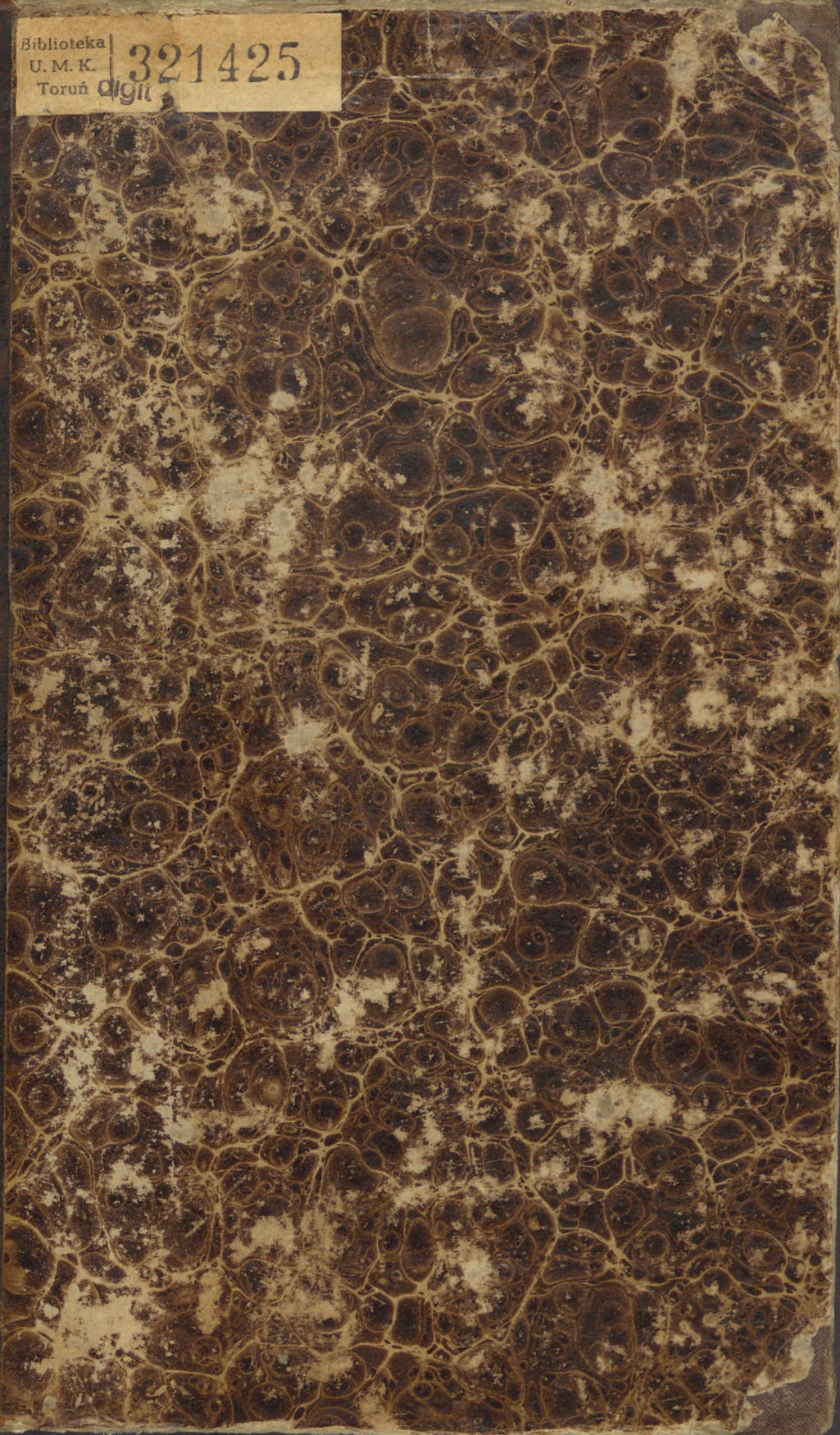
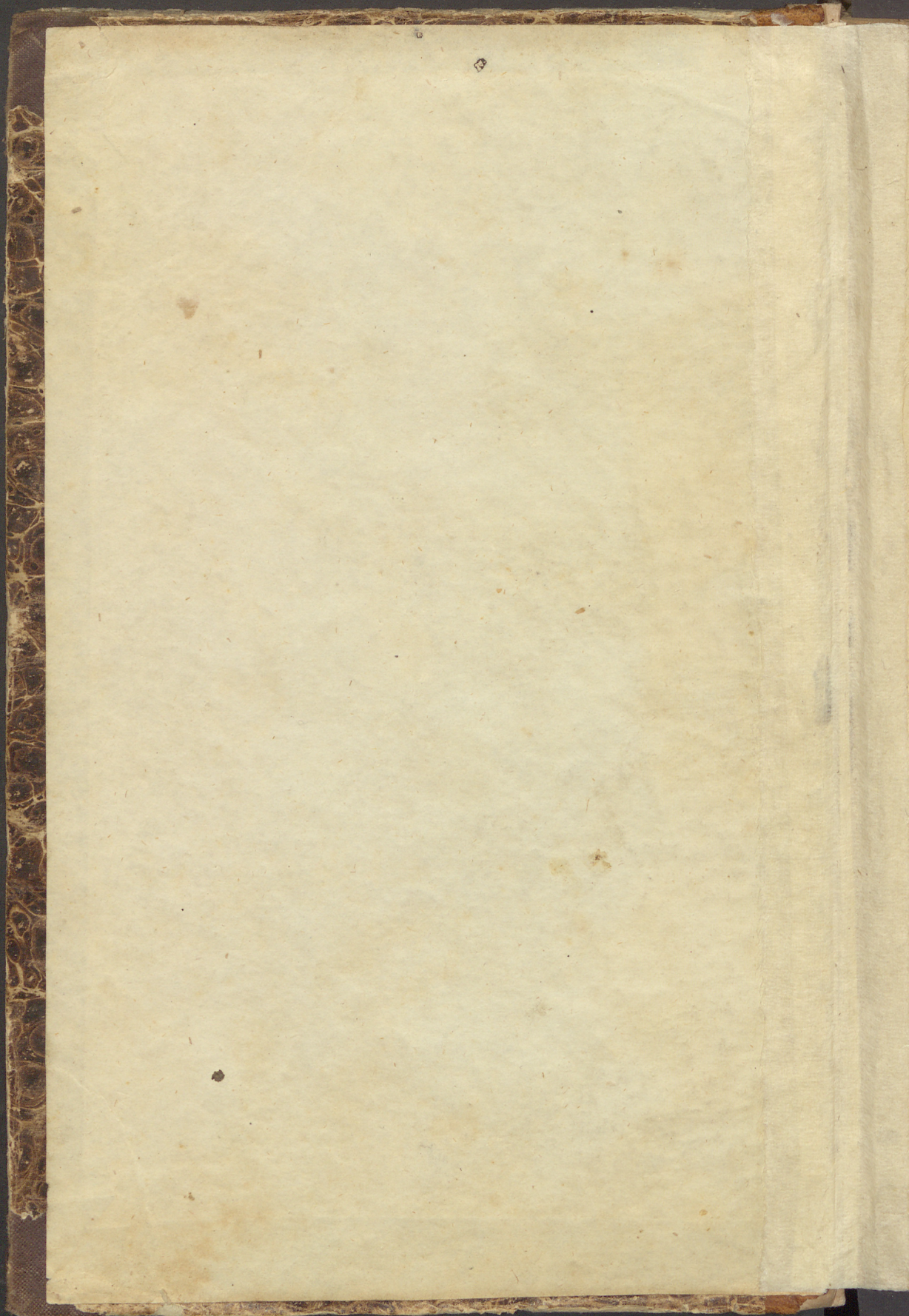


Biblioteka
U. M. K.
Toruń

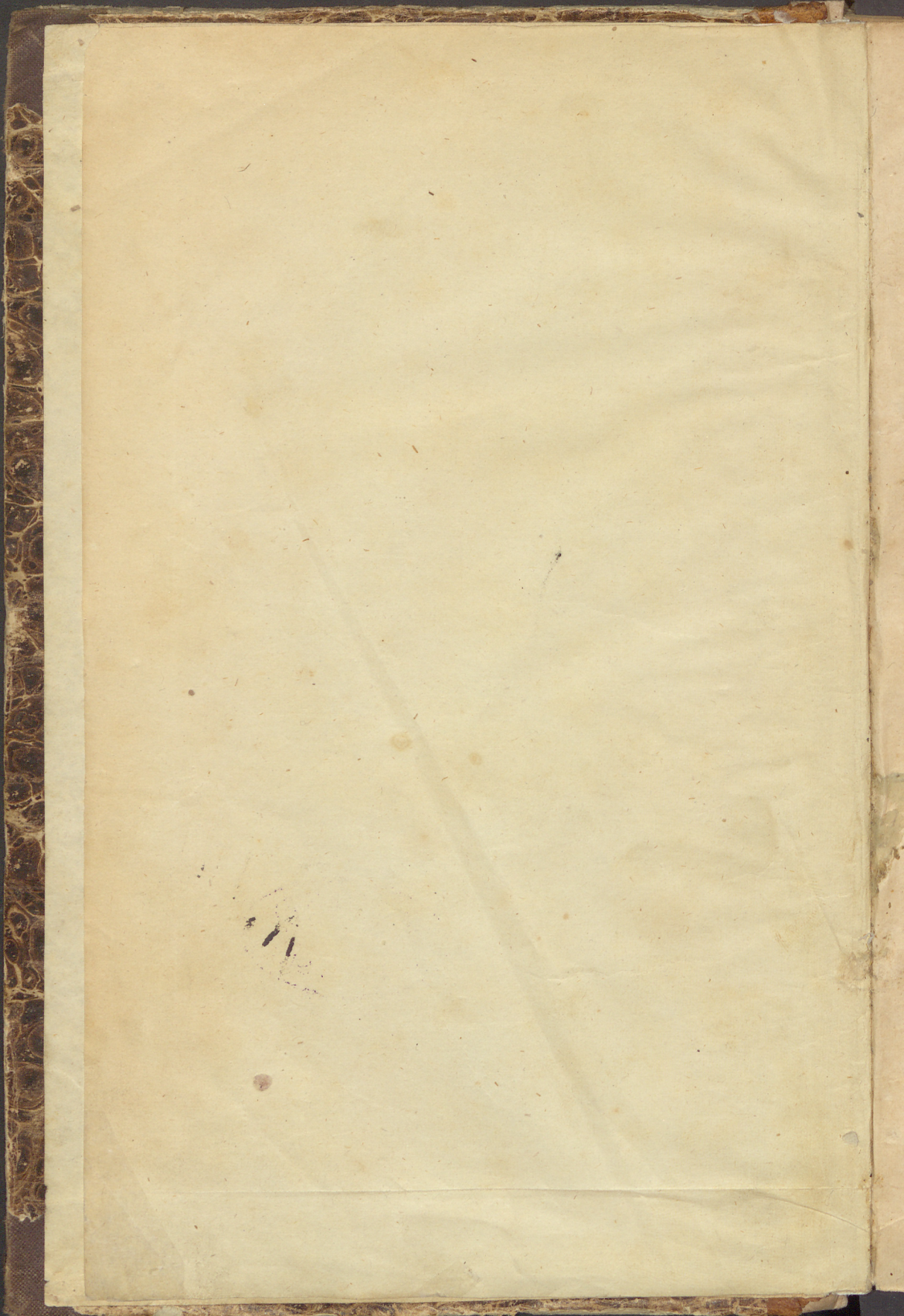
321425

algi





80



DZIEJE ŻYWOTA I UTWORÓW

GOETHEGO,

ORAZ

ZARYSY WIEKU JEGO I WSPÓŁCZESNYCH MU MĘŻÓW
ZNAKOMITYCH;

PODEJĄ OGŁOSZONYCH I NIEOGŁOSZONYCH DRUKIEM ŹRÓDEŁ.

Dzieło

C. H. LEWESA,

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ I WŁASNEMI UWAGAMI, W TEKSCIE SAMYM I DOPIS-
KACH POCZYNIŁ, POWIĘKSZYŁ

A. Nowosielski.

„Serce Goethego, znane niewielu ludziom było tak wielkiem
jak umysł jego, którego znali wszyscy.“

JUNG STILING.

TOM I.



PETERSBURG.

W Drukarni Jozafata Ohryzki.

1860.

DNIE I SYWOTA I ETTOROH

GOTTHEGO

WOLNO DUKOWAC I WARUNKACH NI NIZOW

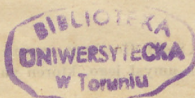
NZAKOMITCI

WOLNO DUKOWAC I WARUNKACH NI NIZOW

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Petersburg, dnia 25 Lutego 1860.

Cenzor Dubrowski.



321425



PETERSBURG

K. 2425/60

SŁÓWKO OD TŁÓMACZA.

Dzielo Lewesa pozyskało sobie wziętość i sławę nie tylko w Anglii samej, ale i w Niemczech, gdzie natychmiast zostało przełożonóm; rzetelnie mówiąc, wystawiło ono wybornie postać wielką poety i myśliciela Germanii, w którym skupił się duch pantheistyczny kraju tego, cecha wybitna okresu cywilizacji niemieckiej, obejmującego ostatnie dwa dziesiątki lat XVIII i pierwszą połowę XIX wieku. Okres olbrzymi, nad którym warto jest zastanowić się każdemu, kto tylko zwraca uwagę na koleje, jakimi postępuje duch ludzkości. Ale niedość jest wystawić obraz wieku i cywilizacji, potrzeba go jeszcze objaśnić sobie i potrafić ocenić należycie. Żeby mózdz dokonać tego, należy koniecznie wyzwolić się najprzód z pod wpływów ducha samego opisywanój epoki i stanąć wyżej od niego; potrzeba spojrzeć swobodnie na pochod dziejów umysłowości, czuć się niezależnym od niego, widzieć jasno z kąd szedł i do czego przytknął nareszcie; widzieć zarówno dobre i ciemne strony opisywanego kierunku ducha. Tego właśnie brakło Lewesowi; tłumacz Spinozy lubuje sobie w tym duchu, którego zamierzył skreślić oblicze w społeczności i w wieku odbite. Dla nas, cośmy przeżyli szal ten filozoficzno-pantheistyczny w kilku leciech wpływu dzieł Hegla i Trentowskiego, ochłonęliśmy z zapalu i poznali się na czczości treści jego, dla nas, cośmy od zarozumiałości i samolubstwa ducha ludzkiego, przeszli do przeświadczenia jasnego

o tój prawdzie, że sam przez się duch ludzki nie dokonać nie jest w stanie, ale wsparty na objawieniu i łasce Bożej, może zająć tam, z kąd wyszedł — dla nas powiadam, owo lubowanie się Lewesa dążnością Goethego, do ubóstwienia człowieka wydało się niedorzeczném, i dla tego-to, tłómacząc żywot poety, uważaliśmy za rzecz konieczną, porobić w tekście i w dopiskach nasze uwagi własne. My, Polacy, co za wodzą wiary świętej, patrzymy jeszcze — Bogu chwala — trzeźwo na rzeczy, nie moglibyśmy zrozumieć tego entuzjazmu poganizmu nowoczesnego, nie pojelibyśmy nawet tego z kąd on powstał. Spodziewamy się więc, że dopiski nasze zaradzą temu.

Mostowidlówka, 15 Września 1859.

A. N.

Literatura, osobliwie poezya niemiecka XIX wieku, wywarła wpływ przeważny na charakter literatury nadobnej całej Europy; z drugiej strony poezya angielska wieku XVI, utwory Szekspira osobliwie, wpłynęła stanowczo na ten okres nowy wyobrażeń literackich Niemiec. Anglia z zapalem powitała w pismach poetów niemieckich jakby odbłask ducha własnego; W. Scott rozpoczął był swój zawód tłumaczeniem *Goetz'a* Goethego, a potem Niemcy, osobliwie Goethe i Schiller, nie przestawały zajmować umysłów w Anglii; studyowano i tłumaczono pisma tych wielkich przedstawicieli nowej literatury Germanii, a ludzie, co się oddawali tym studyom, byli takiej potęgi talentu jak H. Bulwer i Tomasz Carlyle, któremu właśnie Lewes poświęcił swoje dzieło nowe: *O życiu i pismach Goethego*.

Historja życia i pism Goethego jest istotnie wielce ciekawym przedmiotem, wyraża bowiem ona wiernie dzieje wyobrażeń literackich, w ostatnich trzech dziesiątkach lat XVIII i w pierwszych trzech dziesiątkach XIX stulecia, panujących w całej prawie Europie, w której Niemcy przewodniczyły w rzeczy kierunku poezyi i filozofii, na początku bieżącego wieku. Goethe jest uosobieniem prawie całkowitem tego kierunku i charakteru sztuki i poezyi nowej.

Z pism o Goethem i jego dziełach wydanych dałaby się ułożyć ogromna biblioteka; do ostatnich jednakże lat Niemcy nie posiadały dokładnego żywota najpierwszego swego poety. Autor *Fausta* sam w starości swojej kreślił swój żywot pod tytułem *Prawda i Zmyślenie* (*Wahrheit und Dichtung*); doprowadził go przecież tylko do 26 roku życia, a żył 82 lata. Kiedy Lewes ogłosił był swój zamiar napisania szczegóło-

wego żywota Goethego, Niemcy przerazili się, że im, ludziom co się nie boją pracy pióra i atramentu, ktoś obcy ma napisać dzieje ich najpierwszego, najpotężniejszego jeniusza. Aby temu zapobiedz razem prawie dwóch Niemców wzięło się do pracy; Viehoff wypracował biografię w 4 tomach (1847—1853), Schaefer we dwóch (1851); jednakże, pomimo wypracowania sumiennego, dzieło pierwszego nie zawarło w sobie wszystkich ciekawych materyałów do życia poety należących, w części dla tego, że użytkował tylko z materyałów drukiem ogłoszonych, w części też dla tego, że wiele ciekawych szczegółów potem dopiero na jaw wyszło. Schaefer, opuszczając ocenę krytyczną dzieł Goethego, treściwiżej obrobił sam żywot jego; obie jednakże biografie poety, podając nowe zasoby Anglikowi, nie odstręczyły go od napisania przedsięwziętego oddawna dzieła o życiu, a razem o pismach autora Fausta. Dla wykonania go Lewes nie ograniczył się na samém czytaniu pism o Goethem traktujących, ale nadto przeniósł się do Niemiec, gorliwie wyszukiwał tu śladów jego wszędzie, znajomił się z jego przyjaciółmi, zbierał starannie jego korespondencye, nigdzie nieogłoszone jeszcze dotąd drukiem i takim sposobem budował powoli dzieło ciekawe nie tylko dla Anglików, ale równie ważne dla samych Niemców. Jakoż ci długo wyglądali go ciekawie, a po jego ogłoszeniu dzienniki niemieckie przyjęły je bardzo pochlebnie.

W artykule tym poznawszy bliżej czytelników naszych z treścią biografii Lewes'a, zanotujemy tylko wprzód ten oto fakt, jak autor ten zapatruje się na autobiografię samego Goethego. Oświadcza on, że najsamprzód było jego zamiarem skrócić w swoim dziele ten okres żywota Goethego, jaki on sam naszkicował był w swoim dziele pod tytułem *Prawda i Zmyślenie*. Dokonał był już nawet tego pierwotnego planu swego, ale w miarę jak się zaznajamiał bliżej z okresem tym życia poety z jego listów, wówczas pisanych do przyjaciół, spostrzegł tu wiele błędów, a osobliwie wielką różnicę, jaka zachodziła w tonie wystawienia pewnych szczegółów młodości, z tém jak one występowały we współcze-

snych im zwierzeniach się młodzieńczego serca. Goethe autobiografię swoją pisał na starość, jako mąż poważny; nie rozumiał on już siebie i owego zapału, co skraszał dziwnym urokiem uczucia młodego chłopca, co napisał był, przed półwiekiem, *cierpienia młodego Wertera*. Spozrzeglwszy to Lewes postanowił opracować i przepisać na nowo tom pierwszy swojego dzieła, posługując się autobiografią, jako źródłem narówni z innymi dostępnymi mu źródłami, prostując ją listami Goethego, współczesnymi opisywanym wydarzeniom. Na każdym kroku przychodzi nam zgodzić się ze zdaniem Fryderyka W., że jesteśmy jak rzeki owe, co zachowują zawsze jedno nazwisko, chociaż woda w nich ustawicznie się zmienia. Montaigne mawiał, patrząc na swoje dawne portrety: *C'est moi et ce n'est plus moi!* Każden, każden z nas musi to o sobie w końcu powtórzyć! Na tém zaley rozwój ducha ludzkiego; historia jednostki równie zajmująca, jak dzieje społeczeństw i narodów. Merck powiedział o żywocie Goethego, że to, co on przeżył, było jeszcze piękniejszém, od tego co napisał.

Księga pierwsza żywota Goethego nosi napis: „*Dziecię jest ojcem męża*;“ okres ten obejmuje lat 16 (1749—1765). Za epigraf do téj księgi służy kilka wierszy samego poety:

Vom Vater hab' ich die Statur,
Des Lebens ernstes Führen;
Von Mütterchen, die Frohmatur
Und Lust zu fabuliren.

„Po ojcu odziedziczyłem postawę i poważny kierunek żywota; od matuli humor wesoły i chętkę do prawienia.“ Matka Goethego była jakby umyślnie przeznaczoną na matkę poety.

Zwykle mówią, że wszyscy znakomici ludzie mają matki znakomite, ale, dodaje Lewes, podobne twierdzenie nie więcej ma za sobą prawdy, jak wszelkie inne, zbyt powierzchowne, empiryczne uogólnienie pewnych z dziejów znanych nam faktów. Owszem doświadczenie, dodaje on z tego powodu, uczy nas przeciwnie; podobieństwo rodzinne przechowuje się w pokoleniach, w których ojcowie tylko są je-

dnego rodu, matki zaś coraz to inne. Ale nim powiemy coś o charakterze rodziców Goethego, sięgniemy po dalszy rodowód poety wielkiego Niemiec. W hrabstwie Mansfeld, w Turyngii, leży miasteczko Artern; w niem był, około połowy XVII wieku, kowal Hans Chrystyan Goethe. Syn jego Fryderyk, mając zapewne usposobienie poważniejsze, sięgnął po cichszą professyę od ojcowskiej; nie chciał kuć koni, ale został krawcem. Zostawszy wyzwolonym rozpoczął swoją rzemieślniczą wędrowną i zawędrował do Frankfurtu nad Menem; znalazł tu zajęcie, a będąc do tego ładnym chopcem, znalazł prędko żonę. Pan majster Sebastyan Sultz dał mu córkę w zamęcie, po wstąpieniu jego do mieszczaństwa frankfurtskiego i po załączeniu się do cechu krawieckiego. Było to w roku 1687; wiele urodziło się młodemu majstrowi dzieci, ale te prędko pomarły; w 1700 zmarła mu takż żona, a w pięć lat miejsce jęj zastąpiła druga, Kornelia Schellborn, wdówka, kwitnąca 36 wiosną życia, posiadająca, oprócz tego, porządną własność, utrzymywała bowiem oberżę *Zum Wejdenhof*, w której nowy jęj małżonek złożył uroczyście nożyce, a wdział na się fartuch oberżysty. Miał z nięj dwóch synów i zmarł 1730 r. mając lat 73 wieku.

Jeden z tych dwóch synów, a mianowicie młodszy, Jan Kasper był ojcem naszego poety. Widzimy więc, że Goethe, równie jak Schiller, pochodził z ludu. Nie wspomina on w swojej autobiografii, ani o kowalu, ani też o szczęśliwym do płci pięknej krawcu. Wielu to opuszczenie dziada i pradziada uważało za dowód, że minister dworu w. księcia wejmarskiego nie bardzo rad był popisywać się przed światem z tą parentelą. Lewes, wielbiciel zapamiętały Goethego, nie chce zrobić takiego przypuszczenia; mówi on, że jeżeli Goethe nie wspomina swoich dziada i pradziada, to to pochodzi najpewniej dla tego, że ich nie znał i nie miał o nich nic do powiedzenia.

Jan-Kasper Goethe odebrał wychowanie staranne, podróżował po Włoszech, został następnie radcą cesarskim we Frankfurcie i ożenił się w 1748 roku z Katarzyną-Elżbietą, córką Jana Wolfganga Textor'a, głównego urzędnika miasta.

Lewes podaje tablicę genealogiczną rodu Goethego. Ojciec Goethego był zimny, poważny, formalista, trochę pedantyczny, ale rzetelny, z wyższym umysłem człowiek. Lubił umiejętność i chociaż w ogólności usposobienia lakonicznego, jednak lubił rozmawiać o tém, czego się sam nauczył. W kółku domowém słowo jego było prawem. Nie tylko rozkazujący, był on jeszcze w wielu względach kapryśny; jakkolwiek bądź bardzo go poważano, jeżeli za to niewiele był kochanym od żony, dzieci i przyjaciół. Kraze charakteryzuje go jako *nieodrodneho frankfurckiego Reichsbürger'a*, którego zwyczaje były równie wymierzone jak jego krok. Od niego syn wziął był silną budowę ciała, prostą postawę i wymierzone ruchy, które w wieku podeszłym przeszły były w sztywność, uważaną nieraz za dyplomatyczną powagę i wyniosłość; od ojca wziął był nasz poeta skłonność do porządku i pewną cechę stoicyzmu, co tyle namęczyła była, w swoim czasie, tych wszystkich, co nie mogli byli pojąć inaczej jenu-szu, jak tylko w postaci dziwactwa i niestałości w zwyczajach. Upodobanie w nauce, rozkosz w jój udzielaniu innym, osobliwsze, pedantyczne jakies upodobanie w szczegółach, odbite wyraźnie w usposobieniu charakteru poety, są równie widne w duchu jego ojca.

Matka, o której napomknęliśmy słówko wyżej, była więcej tém, czém lubimy sobie wyobrażać matkę poety. Jest ona najulubieńszą figurą w literaturze niemieckiej. Jój proste, serdeczne, wesołe i przyjacielskie przyrodzenie jednało jój serca wszystkich. Była ona rozkoszą dzieci, ulubienicą książąt i poetów. Zachowała do ostatnich dni zapał i prostotę serca, połączone z wielką mocą i znajomością charakteru: *Pani Aja* (jak ją przezwano) była zarazem poważną i serdeczną, pełną godności i prostoty. Wiele czytała z lepszych dzieł niemieckich i włoskich, pozbierała tu i ówdzie wiele wiadomości, mając oprócz tego ten „*zmysł macierzyński*,” który często czyni w kobietach ukształcenie jakby zbyt tęcznym, dotyla ich nagle intuicyjne światło wyprzedza wnioski mozolne doświadczenia; jestto także cecha charakteru poetyckiego. Listy jój były pełne dowcipu, chociaż

nie zawsze zgadzały się one z prawidłami gramatycznymi; nie bez wad w pisowni, były one silne życiem wewnętrznym. Po długim widzeniu się z nią pewien podróżny zawołał był z zapalem: „Teraz rozumiem, w jaki sposób Goethe stał się człowiekiem takim, jakim jest dziś!“ Wieland, Merck, Bürger, pani de Staël, Karol-August i inni znamienici ludzie starali się o jej znajomość. Księżna Amelia (wejmarska) korespondowała z nią jak z poufałą swoją przyjaciółką; list matki Goethego był pewną uroczystością na dworze wejmarskim. Wyszła była za mąż w 17 latach za człowieka, w którym nie była zakochaną; miała lat 18, kiedy wydała na świat poetę. Ten wypadek zamiast tego, by nadać jej przedwczesną powagę, zdaje się przyczynił się jeszcze do przechowania na długo jej pierwszej młodości. „Ja i mój Wolfgang“ mawiała ona „byliśmy zawsze z sobą, bośmy oboje byli młodzi.“ W syna wlała ona upodobania do tworzenia powieści, wrodzoną sobie żywość, miłość wreszcie ku wszystkiemu, co tylko nosiło na sobie znamie wyraźnego indywidualizmu i upodobanie stateczne otaczania się w około wesołemi twarzami. „Porządek i spokój“ pisze ona w jednym ze swoich listów do Stejna „są mojami dwoma głównymi rysami. Odrazu złatwiam, co tylko mam do spełnienia, co najnieprzyjemniejszego najsamprzód; kiedy już wszystko się złatwi, wówczas nikt nie przewyższy mię w dobrym humorze.“ Myśli sama o sobie, że ludzie lubią ją za jej serdeczność. „Lubię ludzi i to każdy czuje dobrze, młody równie jak stary. Bez pretensyi przechodzę przez świat i to się podoba ludziom; nie moralizuję nigdy nikogo; staram się w każdym odkryć to, co on ma w sobie dobrego, zostawiając złe temu, co utworzył ludzkość i wie dobrze, jak ma ściosać ostre kąty. Dobrze mi z tém, jestem szczęśliwa.“ „Kto, woła Lewes zacytowawszy ten wyjątek, nie pozna w matce charakteru jej syna? Najlepszy z ludzi odziedziczył po najserdeczniejszej w świecie kobiecie jej miłującą, szczęśliwą naturę.“ Radbym wiedział, czy ta wyrozumiałość matki na wady i przywary ludzkie, czy owa miłość wszystkiego co dobre, dałyby się pogodzić z miłością cnoty i tego co jest czyste? Wieje tu duch

XVIII wieku; w Goethem i jego matce da się to zrozumieć; ale w autorze biografii byłoby trudnym do zrozumienia faktem, gdyby on sam nie postarał się dać się poznać czytelnikom swoim, jako zagorzały spinozista, jako tłumacz i wskrzesiciel systematu tego panteistycznego filozofa.

Goethe, mówi dalej Lewes, odziedziczył także po matce wstręt do *niepotrzebnych* wzruszeń i to wyrachowane unikać nie wszystkiego tego, co tylko mogło zakłócić jej spokój duszy, który w nim zakrawał nieco na chłód. Jej pogodne przyrodzenie unikało burz wszelkich. Umówiła się była ze służącymi, aby jej nie trapiłi nigdy zasmucającemi nowinami, chyba wtedy tylko, kiedy już koniecznie potrzeba była tego. W 1805, kiedy syn jej był niebezpiecznie chorym w Weimarze, nikt nie odważył się być powiedziec jej tego; aż wtedy dopiero, kiedy już był zupełnie ozdrowiał, pozwoliła sobie mówić o tém. „Wiedziałam ja wszystko“ odezwała się z tego powodu „ale nicem nie mówiła. Teraz możemy już mówić o nim i serce me nie będzie cierpieć za każdym wspomnieniem jego imienia.“

Matki polki nie rozumieją tego osobliwszego wyrachowania egoizmu, co z miłych sobie osób chciałyby wyciągać tylko przyjemność samą, zostawiając im w zamian boleść niepodzielną.

Przypomina mi to jednego męża, któremu w pośród kontraktów kijowskich dano znać o śmierci żony. „Nie mówcie mi o tém!“ mówił na to krewnym i przyjaciółom; bawił się i złatwiał interesa, nie wierząc niby w swoje nieszczęście, aż z końcem jarmarku pozwolił sobie przypomnieć, że w domu czeka nań ciało żony, pogrzeb i łzy dzieci-sierót.

Goethe był obwiniany o nieczułość, mówi Lewes; przecież, dodaje, mówiąc rzetelnie, choćby powierzchowna znajomość jego przyrodzenia moralnego, byłaby dostateczną dla tego, aby się przekonać, że nie zimne serce było powodem tego, iż unikał okazji do boleści. Nie był to brak sympatyj, a owszem nadmiar czułości. To co dla charakteru uboższego byłoby bodźcem, to dla Goethego było zbytkiem. Oto w jaki osobliwy sposób tłumaczy Lewes myśl swoją. Niezaprze-

czoną jest rzeczą, że w instynktach czułości naszej jest pewna chęćka wyszukiwania podobnych pobudzających rzewność środków; ale umysł Goethego dość był mocnym na to, aby wziąć przewagę nad tém usposobieniem instynktowém człowieka. Falk opowiada, że kiedy Goethe posłyszał o tém, że on patrzył na Wielanda po śmierci i przez to zyskał smutny wieczór i przykrzejszą jeszcze noc, został za to mocno strofowany od poety. To niby ma być dowodem owéj mocy ducha nad sobą! „Jak można, mawiał on, piękne rysy przyjaciela, wyryte w pamięci naszej, zmienić dobrowolnie na maskę trupią, którą śmierć oszpeciła? Nie chciałem widzieć po śmierci Schillera, Herdera i księżnę Amelię, bo chcę, aby drogie dla mnie istoty pozostały w pamięci mojej pełnemi ducha i fizyonomii.“

Z przeproszeniem Lewesa, ja widzę w tych słowach Goethego wiek XVIII; chrześcjanizm inaczej patrzy na śmierć, a śliczne nasze obrzędy pogrzebowe, pełne myśli i znaczenia, wyobrażają nam braci naszych zeszyłych z tego świata w innéj wcale postaci, niż może nam wystawiać przechowana w wyobraźni pamięć o nich, chociażby z najpiękniejszą fizyonomią, jaką się cieszyli oni za życia.

W całym żywocie Goethego, pomimowoli, przychodzi nam ustawicznie na myśl ten kontrast pomiędzy panteizmem i chrześcjanizmem; czytelnik co moment dziwi się, jak można było w wieku XVIII upaść tak nisko, zdziecinieć do tego stopnia w tém wszystkiém, w czém chrześcjanin czuje się silnym, dojrzałym, *mężnym*.

Lewes oświadcza nareszcie z powodu posądzania Goethego o nieczułość, że nawet rzeczą jest niebezpieczną podobne *drażnienie* duszy widokami rozrzewniającemi. W tém, wedle niego, Goethe umiał panować nad sobą; z tego powodu cytuje dwuwiersz poety:

„Das wollen alle Herren seyn
Und keiner ist Herr von sich!“

Myśl wyborna, ale wcale nie w miejscu zastosowana. Jan Wolfgang Goethe urodził się 28 Sierpnia 1749 r., kiedy zegar

na wieży wybił południe, w handlowém mieście Frankfurcie nad Menem, na *Grosser Hirsch Graben*; przyszedł na świat prawie nieżywy, po długich męczarniach położu; niespokojność matki w radość się zamieniła, kiedy babka zawołała do synowej: *Räthin, er lebt!* (Radczyno, on żyje!) Jak Condivi w swoim życiu Michała Anioła, tak Goethe w autobiografii własnej zapisuje, w chwili urodzenia swego, wzajemny do siebie stosunek planet na niebie.

Jakikolwiek, powiada Lewes, był stan ówczesny nieba, rzeczą jest niezaprzeczoną, że Niemcy w tej chwili wydały były drugiego wielkiego męża po Lutrze, w okresie, kiedy w wieku XVIII protestantyzm od religii przeszedł był do sfery polityki.

Rzeczywiście Goethe był ostatniem słowem kierunku protestanckiego, który w wieku XIX przyparł był do panteizmu. Dla tego, po nim, Niemcy mogły były tylko wydać jeszcze Heinego; po tym ostatnim należy spodziewać się czegoś nowego—oto reakcyi katolickiej, jaka była rozpoczęła się już współcześnie Goethemu, w osobach Stolberga, Fr. Szlegla, Goerres'a i im podobnych.

Zwykle ludzie umysłu potężnego rozwijają się późno; Goethe był wyjątkiem z pod tej reguły; umysł jego począł się rozwijać nadzwyczaj wczesnie, ku czemu posłużyła, bezwątpienia, metoda pedagogiczna jego ojca rozwijania w dziecku raczej umysłowości, niż pamięci. Lewes chwali ten sposób wychowania; mnie się on nie podoba, bo jest przeciwny przyrodzeniu. Potrzeba, aby dziecię było dziecięciem, żyło najprzód fantazją i powoli, po kolei, od władz niższych ducha przychodziło do wyższych. To jest naturalnym *rozwojem* duszy; chcieć rozwijać dziecię inaczej, czy nie byłoby to samo, co chcieć w roślinie mieć pierwój owoc, niż liście i kwiecie? Przy osobliwszej metodzie ojca Goethego, każde inne dziecię nie wytrzymałoby próby. W ośmiu latach młody Wolfgang pisał doskonale po łacinie, układał w tym języku dialogi, starając się przytém pisać w stylu prawdziwie klasycznym. W *Dodatkach* do dzieła autor biografii zamieścił próbkę tych kompozycyi ośmioletniego chłopca;

istotnie przychodzi podziwiać taką biegłość dziecka w języku starożytnym Wirgila i Horacego.

Ojciec Goethego w młodości swojej podróżował po Włoszech i na starość żył wspomnieniami podróży swojej i pamiątkami klasycznego świata. Widoki Italii złotej, rysunki architektoniczne budowli rzymskich były zawieszane po ścianach i przyszły poeta znał od dzieciństwa głęboką, szafirową tynkę południowego nieba Auzonii i Piazza del Popolo, kościół Piotra św. i Collosseum. Obok tych wpływów Włoch i starożytności we Frankfurcie, nad Renem, otaczała umysł młody przyszłego twórcy Fausta jakby atmosfera wieków średnich i dziejów niemieckiego państwa.

Matka rozwijała fantazję w dziecku, podczas kiedy ojciec chciał uczynić z niego starego człowieka, rozwijając w nim umysł. Matka dzieciom swoim prawiała dziwne historye, które były utworem jej własnej głowy. Oddając się popędowi imaginacyi równie dogadzała dzieciom jak i własnemu usposobieniu. „Powietrze, wodę, ogień i ziemię, mawiała potem, wyobrażałam pod postacią książąt zaczarowanych, a każdemu przyrodzonemu zjawisku nadawałam pewien sens ukryty, w który więcej może sama wierzyłam od moich małych słuchaczy. Myśląc o tych drogach idealnych, co prowadzą z gwiazdy na gwiazdę i o tym duchu wielkim, co zamieszkuje planety, sama niecierpliwie wyglądałam wieczora, aby oddać się swobodnie temu marzeniu; byłam ciekawa tego, jaki obrot dam mojej improwizacyi i jeżeli się zdarzyło kiedy, że jakieś nieprzewidziane zaprosiny pozbawiały mię mego wieczoru z dziećmi, byłam nieukontentowaną. Jak miło mi jest przypominać sobie te dawne czasy; tu siedziałem ja, a tam naprzeciwko mię mój Wolfgang z dużemi czarnemi oczami, utkwionemi we mnie; kiedy się zdarzało, że losy jego ulubionego bohatera nie składały się tak, jakby on sam sobie tego życzył, postrzegałam jak żyły od gniewu nabrzmiewały na jego skroniach i jak lży cisnęły mu się do oczu. Nieraz wołał do mnie: „ależ, mammo, księżniczka nie zechce wyjść za tego krawca, chociażby on nawet zabił wielkoluda.“ Kiedym ciągnął dalszy powieści mojej odkła-

dała na potém, byłam tego pewna, że on sam tymczasem będzie dotwarzał rozpoczętą bajeczkę i nawet często pobudzał on moją węgę twórczą. Kiedym powiastkę moją zakończyła wedle jego własnego układu, mówiąc mu, że odgadł rzeczywiście jój zakończenie, wtedy był cały jakby w ogniu i można było słyszeć, jak jego serduszko biło gwałtownie pod sukienką.“

Babka pieściła wnuczka, była jego powiernicą i od niej to matka dowiadywała się najczęściej, jak on chciał zakończyć rozpoczętą powieść. Ze wszystkich podarunków żaden go tyle nie cieszył, ile mały *wertep* z lalkami, darowany mu na gwiazdkę 1753 roku, który, jak się wyraża Goethe, stworzył mu świat nowy. Kto czytał *Wilhelma Mejstra*, ten przypomina sobie zapewne, ile wagi przywiązuje tam autor do podobnego teatryku maryonetek, a ztąd może wniesć, ile taki wertepik mógł przynieść karmi dla wyobraźni chłopięcia.

Nim skończył lat ośm, oprócz po łacinie, pisał jeszcze po niemiecku, po francuzku, po włosku i po grecku. Włoskiego języka nauczył się, przysłuchując lekcyom siostry swojej Kornelii, dawanym przez jój ojca.

Goethe nie był w szkole publicznej; w domu nie miał braci, z którymi by mógł się oddawać zabawom dzieciennym; przysłuchiwał się poważnym rozinowom starszych, dziadka Textor'a o Fryderyku W. i o wojnie siedmioletniej, albo mędrców, traktujących o opatrności bozkiej, z powodu zburzenia Lizbony przez trzęsienie ziemi. Umysł jego poważniał, dojrzewał wcześniej i trafem szczęśliwym to dziecię, dojrzałe nie w swojej porze, nie spadło rano jak owoc *skorośpiały*, jak to w takich razach zwykle się dzieje.

Viehoff utrzymuje, że gdyby Goethe, przed wejściem do uniwersytetu, kształcił się był w jakim zakładzie naukowym publicznym, wówczas cecha jego ducha byłaby odmienną; Gerwinus téj samój przyczynie przypisuje takż to, że Goethe nie cenił dziejów i nie rozumiał zapasów mass całych. Ale Lewes powiada, że właściwości Goethego musiały mieć inne źródło od wychowania domowego; źródło to leżało we wrodzonym

mu charakterze. Jedno tylko Goethe wyniósł ze szkoły (do której uczęszczał króciotko), oto wstręt do szkoły; brudne, okrutne, nieokrzesane, zuchwałe żaki źle przystawali do obyczajów tego dziecka wypieszczonego i wymuskanego w domu rodzicielskim; Goethe był zawsze arystokratą; nie byłby on w stanie napisać sztuki w tym duchu, co *Rozbójnicy* Schillera.

Jakkolwiekby potrzebna przyznać koniecznie, że okoliczności wpływają na duch człowieka, kształcą go i modyfikują. Jak roślina żyje życiem samodzielnym, indywidualnym, ale do jego rozwoju czerpie zapas z powietrza i ziemi, tak samo i człowiek rozwija się z siebie, ale materiał do dziejów jego ducha leży po za nim w okolicznościach i społeczności, wśród której urodził się i wyrósł. Ale te okoliczności działają różnie na ducha, stosownie do natury tego ducha; i tak nie jedno dziecko słyszało o zburzeniu Lizbony, ale żadne zapewne, w sześciu leciech, nie powzięło z tego powodu jakichś wyobrażeń, zakrawających na sceptycyzm religijny. Pomiędzy ważnemi wpływami, studjami, brak tu był jednego najważniejszego elementu kształcącego ducha: oto brak tu był religii, brak *katechizmu*. Uczono wszystkiego, zapomniano o rzeczy najważniejszej. Przy podobnej wczesniej dojrzałości ducha powaga nauki wyraźniej, dodatniej, powaga prawd objawionych była konieczną. Wyobrażenia protestanckie o wolnym rozumieniu rzeczy dotyczących wiary, do tego duch filozofii francuzkiej wpłynęły inaczej. Aż żał patrzeć jak dziecko to maca tu i ówdzie, szukając prawdy, — i w czém? oto prawdy w rzeczy religii. Goethe uczy się hebrajskiego języka, aby czytać w oryginale Biblię, chce zostać koniecznie teologiem w dziesięciu leciech! Chęć do wszystkich nauk była ogromna; chciała była ta dusza młoda pochłonać cały obszar wiedzy; po długich poszukiwaniach przyszedł do tego sceptycyzmu, jaki potem wyraził w osobie Fausta; nie nauczo go pokory, nie wskazano mu wcześniej granic poznania, *tajemnic* i *wiary*, do których przypiera wszelka głęboka, *rzetelna* wiedza ludzka.

Zastanawia oryginalność pomysłów tego osobliwego dzie-

cięcia; ucząc się wielu języków, dla wprawy w nich, Goethe zaczął był pisać romans w listach; koresponduje z sobą rodzina, złożona z 6 czy 7 członków, braci i sióstr, rozsianych po świecie. Najstarszy brat opisuje po niemiecku swoje podróże; żeby uzdolnić się do jego listów, potrzeba było oddać się geografii; siostra odpowiada mu stylem kobiecym, treściwym i sentymentalnym. Drugi brat oddaje się teologii, dla tego więc pisze po łacinie, a przypiski do listów zamieszcza po grecku! Trzeci i czwarty bracia zajmują się w biurach handlowych w Hamburgu i Marsylii, piszą więc po angielsku i po francuzku: muzyk pisze po włosku, a najmłodszy z rodzeństwa, co pozostał w domu, znosi się z bracią po żydowsku!

Studia hebrajskie, miały za następstwo poemat biblijny o Józefie i jego braciach; dyktował go jednemu biednemu idiotcie, co mieszkał w domu jego rodziców. Ten sposób tworzenia z pomocą dyktowania był mu wielką pomocą w późniejszym życiu; najlepsze myśli i wyrażenia, jak mawiał, przychodziły mu do głowy wtedy, kiedy się przechadzał; nie mógł utworzyć siedząc.

Chcąc pojąć charakter pism i twórczości Goethego, potrzeba koniecznie poznać w najdrobniejszych szczegółach jego życie; natura i życie ludzkie były jego bóstwem; on z nich wysnuwał ideały, z miłością studyował kształty, jako kunsztmistrz i jako uczony, uznawał wreszcie potężne ich wpływy wychowawcze na duszę ludzką i dla tego za najlepszą szkołę dla człowieka i poety uważał *doświadczenie*; zapewne, mówił z tego powodu J. P. Rychter, wyborna to szkoła, tylko lekcye w niej nieraz drogo przychodzi opłacić. Czy ten kierunek Goethego, tak przeciwny poezji klasycyzmu francuskiej Francji, był nowym i oryginalnym? Wyznać należy, że nie zupełnie. Jeston najprzód stosunkiem rzetelnym, przyrodzonym człowiekowi względem przyrodzenia; tylko była to epoka, w której rzeczy jak świat stare były nowymi. Ryszardson, Russo, Diderot, Bernardin de St. Pierre zwrócili się byli do życia w Anglii i Francji; w Niemczech Lessing bojował z dramaturgią francuską, a Goethemu przypadła

była rola otoczyć naturę blaskiem mistycyzmu panteistycznego. Nie poznawszy indywidualnego Boga-stworzyciela chrześcian, ubóstwił on naturę i jej prawa. Potem Szelling i Hegel z tego kierunku Goethego utworzyli byli filozofię, wychodząc jak Goethe ze stanowiska Spinozy, którego chce rehabilitować biograf Goethego Lewes.

Dusza Goethego czuła była na wrażenia, przechowywała je wiernie, odtwarzała i uduchowiała je w sobie i potem wydawała je na zewnątrz, w kształcie poetyckiego utworu; była ona bierną i czynną w równym stopniu. Goethe nie był jednostronnym, przyjmował wszystko, by wszystko mózgiem wydać na nowo z myślą wyższą, w formie indywidualizmu kunsztownego. Duch jego był niejako magicznym zwierciadłem: wszystko się w nim odbijało, niebo gwiazdami usiane i głębina morza z fantastycznymi algami i parostami, i bogi klasyczne starożytności, i bożyszcza Indyi przeładowane symbolizmem. Starożytni natchnienie poetyckie i życie wyższe ducha po zmartwychwstaniu wyrażali symbolem miodu, w tém znaczeniu Goethe był pszczołą; wysysał on z kwiatów bożych stworzenia całego ideał wzniosłe, przerabiał je w sobie na miód i karmił nim współczesnych. Żał tylko, że to wszystko posłużyło jedynie do ubóstwienia przyrodzenia; ojciec niebieski, co stworzył te cuda, pozostał niepoznany od tych, do których przemawiał w tém objawieniu widomym: do tyła jest rzeczą niezawodną, że oprócz tego objawienia w stworzeniu, koniecznym jest jeszcze objawienie inne, przechowane w słowie bożem, dogmacie i symbolu, w kościele.

Kiedy mówimy o idei religii w Goethem, musimy wspomnieć osobę jedną, która starała się była rozwinąć w tém wielce obiecującym dziecięciu wyobrażenia chrystyanizmu; wpływ ten przypada właśnie z czasem jego studyów biblijnych i z bierzinowaniem dokonaném 1763 r. Osobą tą była panna Klettenberg; nieraz prowadził on z nią długie rozmowy, a potem korespondencye; ale cóż to mogło zdziałać w protestantyzmie, gdzie każdy rozumie i tłómaczy sobie pismo, jak mu się podoba, gdzie w systemacie Szlejermachera

naprzykład, współcześnie z epoką Goethego, wywinęła się była teologia indywidualizmu, wedle której każdy człowiek myślący obowiązany był rozwinąć sobie swoją własną wiarę. U nas mówiono: *co głowa to rozum*; w Niemczech, w Ameryce przyszło do tego, że co głowa to była nowa religia, nowy dogmat, nowa nauka, której każdy chciał być zostać misyonarzem. Tyle tylko korzyści przyniosło obcowanie Goethego z panną Klettenberg, iż posłużyła mu potem w *Wilhelmie Mejstrze* do utworzenia rozdziału p. t. *Wyznania pięknej duszy pobożnej*. Pod względem literackim nic z życia nie mogło przepaść u Goethego; każdy fakt żywota, jak ziarno w ziemię padał w duszę, kielkował, rozwijał się, rósł i stawał się żywą rośliną poezyi. W duszy Goethego jak w świecie nic nie ginęło.

Czytając żywot jego, zdaje się, że wszystko się składało na to, aby wykształcić wielostronnie ducha poety; Frankfurt zostaje zajęty przez Francuzów, w domu Goethego staje generał, w mieście zawiązuje się scena francuzka, na której wystawiają tragedye Rassyna, Kornela, Woltera; młody Goethe staje się ulubieńcem oficerów, uczy się po francuzku praktycznie, bywa na reprezentacyach, chodzi za kulisy i układa nawet, po francuzku, sztuki klasyczne na wzór tych, którym się przypatruje na scenie.

Nic tyle nie dało materiału do poezyi Goethego ile jego liczne miłostki; z każdej pozostało coś w duszy, co potem przeszło w wiersze lub romans, w dzieło jakieś, które zawsze u Goethego było *Wahrheit und Dichtung* (prawdą i zmysłem razem). W piętnastu leciach poczęło się było odzywać serce poety; przedmiotem pierwszej miłości była Gretchen, siostra jednego z kolegów jego, który nie bardzo do brego był prowadzenia się. O tej historii wspomina Goethe w swojej autobiografii. W kilkunastu leciach Goethe pisał już poezye, a raczej wiersze okolicznościowe; z tych wierszy wyciągał i praktycznie korzyści, bo pisząc epitalamia, lub też rymy na urodziny albo pogrzeb miał ztąd pewne dochodziki. Pieniądze te obracały się na baliki. Na tych zabawach często spotykał się z Gretchen; chociaż dobra i wzglę-

dną dziewczyną, traktowała go jednakże jak dziecko i nigdy nie dozwalała mu z sobą najmniejszej poufałości. Jakkolwiek bądź pędzili razem wesołe życie na piknikach i wieczorynkach. Koronacya cesarza Józefa II, opisana szczegółowie w Pamiętnikach Goethego, podała nowy pochop do zabaw. Jednego wieczora, po całodzienném wałęsaniu się po mieście i przypatrywaniu się uroczystościom koronacyjnego obrzędu, godziny upływały wesoło jedna po drugiej, aż niespodzianie wybiła północ. Ku większej przykrości Goethe spostrzegł, że zapomniał był wziąć z sobą klucza, za pomocą którego wykradął się był z pod ojczystego dachu i wracał późno pod jego opiekę. Gretchen zaproponowała pozostać do dnia wszystkim, gdzie byli i spędzić noc całą na rozmowie. Zgodzono się na to, ale, pomimo chęci, trudno było czuć tak długo; wreszcie i konceptu zabrakło do rozmowy. Znużenie sklejało w końcu powieki; rozmowa coraz stawała się bardziej urywkową; dwóch kolegów już spało oddawna gdzieś w kącie, przypominali się tylko towarzystwu chrapaniem harmonijném; inny siedział w kącie ze swoją narzeczoną, a głowa jej spoczywała na jego ramieniu; ktoś jeszcze oparł się rękami o stół i na nich złożył swoją głowę strudzoną. Niedawno pokój pełen wrzawy uciszył się zupełnie. Gretchen i Goethe siedzieli u okna rozmawiając z sobą po cichu; ale nareszcie i ją znużenie oparowało: pochyliła głowę na jego ramieniu i usnęła cicho. Z dumą i rozkoszą młody chłopiec podtrzymywał ten drogi dla siebie ciężar, aż w końcu sam uległ znużeniu i zasnął smacznie. Był już dzień, kiedy się obudził. Gretchen stała przed zwierciadłem poprawując czepeczka; uśmiechnęła się do niego miléj daleko, niż kiedykolwiek dotąd; ale kiedy, zdawało się, los go przywiązywał bliżej do lubéj mu dziewczyny, rozwiązanie powieści było bardzo blisko. Wielu z wesołych koleżków tych pohulanek zostało wplątanymi do bardzo nieładnej sprawy: pokazało się, że fabrykowali dokumenty. Przyjaciół Goethego i jego siostra zostali zamieszani do téj sprawy, chociaż fałszywie. Wolfgang musiał być także stawać przy śledztwie, co, przy jego niewinności, nie wiele

go martwiło. Dolegało go jedno tylko: Małgosia (Gretchen) przy zeznaniach swoich oświadczyła „że często się z nim widywała, że lubiła jego towarzystwo, ale że go uważała za dziecko i że miała doń tylko przychylność siostry.“ Można sobie wyobrazić gniew chłopca, co chciał być uważanym za młodzieńca skończonego i widział się traktowanym jak dziecko od dziewczyny, której chciał dla siebie pozyskać względy kochanki. Bolało go to bardzo; płakał po nocach, nie mógł jeść, pusto mu było w życiu. Ale duma przyszła mu w pomoc, duma i właściwa wiekowi młodemu niestałość, w którym nadmiar czułości równoważy się zbytnią łatwością zapomnienia. Oddał się nauce, osobliwie filozofii, pod przewodnictwem nauczyciela, w rodzaju Wagnera w Fauscie. Mistrz ten, przekładający nad wszelkie widoki przyrodzenia okurzone in-kwarta, lubił dokuczać Wolfgangowi tём, że był on rzetelnym Germanem, takim, jak ich opisywał jeszcze Tacyt, chciwym wzruszeń, sprawowanych widokami i samotnością. Ale boleść pierwszej miłości zawiedzionej miała urok wielki dla młodego serca. Uciekał od ludzi; oddawał się przyrodzeniu i jego powabom. W tej epoce zwiedził po raz pierwszy góry, które od dzieciństwa stały w oddali, jakby we mgle, przed jego wzrokiem. Zwiedził był Homburg, Kronburg, Königstejn, Wiesbaden, Schwalbach, Biberich, owe wybrzeża romantyczne i malownicze Renu. One mu napełniły duszę wrażeniami silnemi, które kiedyś miały wyrość w niej na obrazy żywe poezji.

I poważniejsze studia nie były zapomniane; stosując się do życzeń ojca oddawał się nauce prawa; ale gwoli sobie samemu czytał wiele, wybierając nie bardzo szczęśliwie, bo oprócz Polithystora Morhafa, Izagoga Gessnera, studyował namiętnie Dykeyonarz Bayl'a. Największą ambicyą jego było wtedy, zostać kiedyś professorem uniwersytetu! I tu, jak w całym zawodzie jego życia, widzimy tę właściwą mu wrażliwość charakteru, co jak kameleon przybiera barwy od każdego drzewa, na którym usiądzie.

Melancholia nie długo trwała; koledzy, przyjaciele, rozweselili go; wskazywali mu oni wielką przed nim przyszłość,

bo zawsze pomiędzy młodzieżą geniusz jego był cenionym. Tu następuje okres studyów uniwersyteckich; nim te nastąpiły, w wieku dziecinnym prawie, charakter jego wybił się wyraźnie; zawsze malowała się w nim: powaga, formalizm, racjonalność. Zawsze on jest panem siebie. Lewes powiada, że i w tym okresie objawiało się to samo, co potem miało dziwić współczesnych, tych zwłaszcza co nie mogli byli pogodzić tej cechy władania sobą, tego braku entuzjazmu z pojęciami, jakie świat wyrabia sobie zwyczajnie o pocie. Biograf odpowiada na to w ten sens: jeżeli pod słowem entuzjazm (być napełnionym od bóstwa) będziemy rozumieć stan ducha, co umie schwytywać idee boże i tworzyć przy ich świetle — to Goethe był rzetelnie entuzjastą. Wrażliwość właściwa mu sprawiła, że nie mógł długo zatrzymywać się nad jedną rzeczą; drażliwość ta złączoną być musiała koniecznością, co ustawicznie szuka nowego, przetrawiając szybko to, czém się zasilala i czém rosła dusza. Temu to należy przypisać, że wiele dzieł i planów zostało niedokończonemi, a wiele pisało się kawałkami, z długimi przerwami w czasie wypracowania. *Prometeusz*, *Mahomet*, *Córka naturalna*, *Elpenor*, *Achilleis*, *Nausikaa* it.d. długo się opracowywały, przez wiele bardzo lat. Co mogło być dokonaniem prędko, w chwili, w której jeszcze zapal nie ostygł, to się zrobiło; dzieła dłuższe ciągnęły się przez całe lat dziesiątki, jak *Faust* np. który rozpoczął się w wieku młodym, a skończył się w późnej starości.

Druga księga biografii Goethego, przez Lewesa napisana, obejmuje okres życia uniwersyteckiego (1765 — 1771). W miesiącu Październiku 1765 roku, w 16 roku życia swego, Goethe przybył do Lipska na kursa prawne; 19 Października był zapisany do matrykuły „do narodu bawarskiego“, uniwersytet bowiem lipski dzielił się na cztery narodowości: *mejsyńską* (Meissnisch), *saską*, *bawarską* i *polską*. Ta ostatnia narodowość powstać musiała, jeżeli nie od czasów zagnieźdżenia się protestantyzmu w Polsce, to od Augusta II, pierwszego wspólnego monarchy Sasów i Polaków.

Autobiografia Goethego, jak powiada Lewes, nie rze-

telnie kresli ten okres życia; jego Excellencya zapomniała była, jakiej barwy było życie oryginalne i dzikie troche młodego *bursza*. Listy Goethego i jego kolegów z owego czasu pozwoliły biografowi odgadnąć prawdziwą postać owych dni złotych studenckiego okresu. Na uniwersytecie jeszcze wyraźniej objawiła się chętką poznania wszystkiego; słuchał on prawa, bo tego chciał ojciec; ale słuchał także filozofii, historii, literatury; wkrótce wszystko mu się przykrzyło; logika wzbudzała wstręt ku sobie; łaknął on rzeczywistości, życia, nie oderwanych idei i określeń. Nie zajmowały go prawa myślenia, które rządziły od dzieciństwa myślą jego, chociaż nie wiedział o nich; nudziło go dowiadywać się niepotrzebnie o tém, jak ludzie je ochrzczili imionami greckimi. Toż samo co do nauki prawa; umiał on go tyle, ile professorowi podobało się go nauczyć. Pod nauką szukał on czegoś innego, daleko szerszego, głębszego niż mogły mu dać lekcye professorów, pracował więc sam nad sobą, tém bardziej, że dotąd szedł tą drogą i sam sobie najwięcej był winien z tego, co umiał. Ale życie go pociągało równie ku sobie jak nauka, życie dlań było może najważniejszą nauką. Ułożenie frankfurckie, mocny akcent prowincjonalny, nawet jego garderoba, wydawały się śmiesznie w Lipsku, trąciły miastem kupieckim. Garderoba Goethego była podwójnie prowincjonalną; szyto ją we Frankfurcie i szył ją stary sługa ojcowski, przesadzając po partacku jeszcze więcej to, co w kroju samym było ciężkiego. Za ostatnie sprawił sobie Wolfgang odzież modną. U stołu gdzie jadał, u rektora Ludwiga, spotykał wielu uczniów medycyny; pomiędzy nimi słyszał wiele o naukach lekarskich i botanice; imiona Hallera, Linneusza, Biuffona ustawicznie były przez nich cytowane z poszanowaniem. Niezadowolony ze swoich lekyi, zaczął się uczyć nauk naturalnych, osobliwie botaniki, w której potem pracował samodzielnie. Jeszcze pozostawało jedno źródło nauki, towarzystwo kobiet:

„Willst du genau erfahren was sich zient,
So frage nur bei edlen Frauen an!“

Tak powiedział on w Tassie; ale nauka ta rozpoczęła się

w Lipsku jeszcze. Professorowa Böhme, w której domu mieszkał, była tą nauczycielką życia światowego, poprawności i czystości języka, a nawet zasady poetycznej krytyki. Jak pozbył się swojej tandeciarskiej garderoby z domu wywiezionej, tak równie pozbył się, za poradą kobiety wykształconej, tandety literackiej, której hołdował; poznał po raz pierwszy, że jego dotychczasowym utworom poetyckim brakło najgłówniejszego warunku — życia; zatem zostało dokonane przez młodzieńca *calopalenie*; może z bólem serca. Ale świat wkrótce przesycił Goethego; lomber, piketa, sprzeczeki literackie zaczęły go nudzić. W listach do przyjaciół wiersze występują zawsze, ale coraz więcej w nich mocy, życia, coraz więcej talentu w obrobieniu; oryginalność formy widoczna; znać jak się wyrabia tu geniusz, co miał wpływając z czasem wraz z Szyllerem na Niemcy i całą ich literaturę. Młodzież, co umie przeczuć wyższego ducha, patrzyła nań z uwielbieniem, widziała w nim poetę, czekała od niego wielkich rzeczy. Zawsze jednakże stara chętką uniwersalności trapiła go nieustannie; próbował składać wiersze nie tylko w mowie ojczystej, ale pisał poezye francuzkie, angielskie i włoskie. Studenci założyli *casino* dla pogadanek literackich u Schönkopf, *winiarza i oberżysty*. Człowiek ten nie utrzymywał właściwie ani winiarni, ani oberży z profesyi, ale *zastępował* jedną i drugą, jak to się dotąd zdarza w Niemczech. Sprzedawał wino, utrzymywał stół (*table d'hôte*); kiedy tego było potrzeba, znalazło się i parę łózek dla podróżnych. Żona jego należąca do lepszej rodziny frankfureckiej, była żywa, dobrze wykształcona kobieta i ściągala do siebie rodaków; Goethe był z nią w krótkie zażyły, co zadziwi nas, kiedy słyszymy, że to była tylko oberżystka. Był w domu tym domowym prawie; co więcej, *zakochał się* w córce. W Niemczech do stołów wspólnych zbierają się zwykle jedni i ci sami ludzie; tworzy się ztąd towarzystwo poufale; w Anglii, gdzie czas jest kapitałem, kaźden jé naprędce, pije szklankę *elu*, rzuci okiem na *Times* i rusza do interesów. W Niemczech lubią jeść i pić powoli, z przestankami, lubią kurzyć fajki, lubią pogawędzić, pośmiać się,

a czasami i zaśpiewać sobie chórem jaką piosenkę ulubioną. Bursze uniwersyteccy mają swoje pieśni, filistry swoje, rzemieślnicy swoje. Tu przy kawie i piwie gawędzono o *złym smaku* w literaturze; tu się wyrabiała opinia literacka, tu się rozwijał Goethe.

Córka gospodarza Anna-Katarzyna, stosownie do zwyczaju niemieckiego, gotowała w kuchni, wносиła potrawy, wino, ale to nie przeszkadzała jej mięsząc się do rozmowy i być tą samą Anchen, co występuje we wspomnieniach Goethego. Miała wtedy lat dziewiętnaście, była żywa i miła; nie mogła być obojętną na miłość sławnego młodzieńca, z ogniem geniuszu w pięknej fizyonomii, w dużych czarnych oczach i z myślą na wysokim i szerokim czole. Widywali się codziennie, nie tylko u stołu, ale i wieczorami, kiedy akompaniował bratu jej przy klawikorcie na skromnym fleciku. Ułożono tu teatrzyk mały, w którym Anchen odgrywała rolę kochanki, a Goethe kochanka. Prawdziwie młodzi Niemcy umieli się przyjemnie bawić. Pomiędzy nowemi sztukami w modzie naówczas była *Minna von Barnheim* Lessinga. Dekoracye były bardzo proste, w rodzaju dekoracyi z czasów szekspirowskich; słowika w jednej sztuce wyobrażała zwinięta chustka; mniejsza jednak o to, kiedy się bawiono wybornie, jak się umie bawić w wieku młodym. Byli koledzy, co ten dandyzm ułożenia i światowość Goethego wyszydzały w listach prywatnych pomiędzy sobą; Lewes znalazł list przyjaciela jego Horna, w którym ten cytuje wiersze francuzkie z powodu ułożenia poety:

„Il marche à pas comptés
Comme un recteur suivi de quatre facultés.“

Byłto czas nieukontentowania Horna na Goethego; myślano, że on gardzi kółkiem kolegów; w drugim liście tak świadczy ten przyjaciel jego o Anchen: Goethe kocha się, ale nie w tej, o którą go wprzódę posądzałem; kocha on dziewczynę niższą od siebie stanem, ale dziewczynę, którą — zdaje mi się, że nie powiem za wiele — którąbys ty sam pokochał, gdybys ją poznał. Wyobraź sobie kobietę pięknego wzrostu, ale nie nadto wysoką, pulchniutką, przyjemną,

choć nie bardzo pięknej twarzy, otwartą, grzeczną, ujmującego ułożenia; z bardzo pięknym umysłem, chociaż bez wysokiego wychowania. Kocha on ją czule, z zamiarem szlachetnym, godnym zacnego człowieka, chociaż wie o tém dobrze, że ona nigdy nie może być jego. Czy ona go kocha wzajemnie — tego nie wiem; trudno to odgadnąć, ale zdaje się, że są dla siebie utworzeni. Ale co za chytry chłopiec! Żeby go nikt nie podejrzewał o tę miłość, udał, że się w świecie kocha w kim innym; udaje, że składa hołdy osobie światowej, o której ci wprzód wspominałem, i udało mu się oszukać wszystkich. Może takim sposobem bywać u swojej Anchen, ile mu się podoba i nikt go nie myśli podejrzewać o jakiś z nią romans. Często tam z nim chodzimy. Gdyby Goethe nie był moim przyjacielem, sambym się rozkochał w Andzi.“

Jakiż był koniec tego romansu z Anchen? Lewes powiada: nie masz okrótniejszego nad wiek młody; młodzi szaleńcy, raz pewni zwycięstwa, są zawsze nadzwyczaj skłonni do męczenia swoich ukochanych, pod najbliższymi pretekstami. Goethe powiedział:

„Erringen will der Mensch; er will nicht sicher seyn.“

Człowiek chce tylko dopiąć swego, lecz nie chce być pewnym tego.

Gdyby Andzia kokietowała z nim, umiała utrzymywać go w ustawicznej niepewności, byłby wtedy szczęśliwszym; ale dziewczyna ta winna była, że go kochała szczerze. Męczył ją i przesładował ustawicznymi podejrzeniami; był zazdrośnym bez żadnego powodu, zdawało się mu bez żadnej przyczyny, że Andzia kocha kogoś innego; dręczył ją, kłócił się z nią, aż nareszcie cierpliwości nie stało — i miłość jej przeszła. Ledwo się przekonał o tém, już żałował tego, co utracił. Ale darmo. To go wprawiało w rozpacz; starał się obalamucić, zapomnieć. Najlepszym środkiem była poezya. Uczucia przelewały się w wiersze; wiele z pierwszych prób jego noszą na sobie cechę tego ciężaru bólesci na sercu. Ztąd powstała sztuka: *Humor zakochanego* (Die Laune des Verliebten), ciekawy pomnik tego usposobienia ducha Goethego.

W operze *Erwin i Elmira* traktował on także ten sam przedmiot, tylko już wcale w innym sposobie. Pierwsza próba ciekawsza jest od drugiej. Idąc już swoją własną metodą nie wyszukuje on jakichś uczuć i sytuacji wyrojonych, wyraża on swoje własne doznane uczucia, przeżyte sytuacje; natchnienie czerpie z własnej duszy. Śpiewał, co czuł i dla tego poezye jego mają taki urok; nie więdną one, są wiecznie świeże jak wzruszenie, jak namiętność; poruszają nasze serca, bo wyrosły z serca, wyrosły w nim, rozwinęły się życiem ducha. Sam wyznał o sobie Goethe, że wszystkie jego dzieła są tylko ustępami z wielkiej spowiedzi jego żywota. Horacy powiedział był to samo o Luciliuszu, że książkom, jak najlepszym przyjaciółom, powiedział tajemnice swego serca:

„Ille velut fidis arcana sodalibus olim
Credebat libris.“ —

Jak jasno pojmował Goethe nicosię wszelkiej innej manieri, widzimy to z wielu miejsc jego korespondencyi i rozmów. Riemer, sekretarz Goethego, zachował podobne słówko: wkrótce będzie poezya bez poezyi, rzetelna *pojezis grecka*, gdzie rzecz główna *w pojezei, w tworzeniu, w obrobieniu*. Z Lipska datuje Goethe początek swojej własnej praktyki, która była — jak powiada — dążnością, od której nie mógł się uwolnić przez całe swoje życie, mianowicie, dążności *przetwarzania w obraz, w poemat* wszystkiego, co tylko go uderzało, niepokoilo, albo w jakikolwiekby sposób zajmowało duszę, *by w ten sposób porozumieć się z sobą samym w tej rzeczy* i odzyskać spokój wewnętrzny, utracony właśnie z tego powodu. Kierunek ten objaśnia w ten sposób, że żył wówczas odosobniony od wszelkich przedmiotów sztuki i piękna, co go zmuszało poniekąd zaglądać w siebie, kiedy tylko chciał był poszukać czegoś poetycznego. Ale, powiada Lewes, gdyby podobny kierunek geniuszu nie był w jego duchu, podobna okoliczność nie wywołałaby go była zapewne.

Dziwna, jak wtedy daleko oddalono się od natury, kiedy najpierwsze źródło twórczości, *doświadczenie własne*, było

jakby przywalone kamieniem i zapieczętowane pieczęcia potrojną pedantyzmu! Cóż zdaje się prostszego jak wyrażać to, co się czuje, co się zna. A jednak istotnie są epoki, w których nowém i dziwném jest właśnie rzecz najstarsza i najprostsza! Kiedy Goethe powiedział:

Ich singè wie der Vogel singt,

wszyscy się zdziwili śmiałości jego porównania. A cóż mogło być prostszego? Oddawna mówiono, że poeci śpiewają, ale w XVIII wieku śpiew ich nie sięgał w rzetelne uczucie serca.

Wczesnie młody człowiek zaczął był patrzeć po za kulisy życia; salon nie miał dlań powabu. Religia, mówi on, moralność, prawo, stan, zwyczaje, rządzą powierzelnią życia społecznego. Ulice przed wspaniałemi domy zwykle czysto się utrzymują; na pozór kaźden się prowadzi przyzwoicie, ale wewnątrz za to nieraz zepsucie się mieści. Wiele to znałem ja rodzin przyzwoitych, w których, gdyby się je poznało w tém, co ukrywały one pod pozorami przyzwoitemi, odkryłyby się bankructwa, rozwody, uwiedzenia, zbrodnie i wszelkiego rodzaju zgorzenia!

Taki pogląd dała mu jego niby znajomość życia i obyczajów wielkiego miasta! W młodości łatwo wpada się w ostateczności! Z tego czasu datuje jego dramat *Die Mitschuldigen* (Współwinni); autor jego nie miał jeszcze wtedy lat ośmiannastu. Treść téj sztuki mogłaby stanąć obok brudów nowéj dramaturgii francuzkiéj. Nie będziemy jéj tu dla tego wypisywać. Bardzo to młode, niedowarzone. Myśl niby miała być taka: „powinniśmy sobie odpuszczać wzajemnie nasze winy, bośmy wszyscy winni!“ Od tych brudów trudno było przyjść do podobnéj maksymy. Lewes z tego powodu mówi, że Goethe trzymał z Pliniuszem młodszym, że kto nienawidzi występki, musi nienawidzić ludzi (*qui vitia odit, homines odit*). Schöll wydał księgę notatek Goethego, z okresu pobytu jego w Strasburgu, w której istotnie jest wypisana ta maksyma Pliniusza. Jakże to dziecinny pogląd! Można kochać człowieka, a brzydzić się występkiem, jak można nienawidzić chorobę, brzydzić się nią a kochać chorego. Ten co powiedział: „kto

jest bez grzechu, niech rzuci kamieniem“ brzydził się występkiem, a kochał ludzi jak braci swoich.

Goethe w wystawieniu życia był realistą, u niego każda rzecz sama przez się wyrażała swój sens własny; poeta krył się ze swoją myślą, nie występował on, jak chór w tragedyi starożytnej, aby objawić zdanie swoje co myślał o tym lub owym wypadku. Ten charakter przedmiotowy różnił Goethego od Szyllera, natury szczególnie podmiotowej: u tego rzeczy świata przebijały się przez ducha poety; on im nadawał kolor, myśl i znaczenie; były one symbolami jego ducha.

Goethe, jak wszyscy prawie ludzie genialni, nie korzystał wiele z lekcyi, dawanych mu w uniwersytecie przez nauczycieli; chciał on sam zbadać wszystko, sam sobie być mistrzem. Zamiast słuchać kursów profesora literatury, studyował on dzieła wielkich pisarzy i poetów; lubił Molière'a i Corneille'a; zaczął był przekładać *Kłamcę* (Le menteur); Szekspir pociągał go nadewszystko; poznał go najprzód z Dodd'a dzieła: „*Piękności Szekspira*“ (Beauties of Shakespeare); właśnie wychodził wówczas przekład Wieland'a, w prozie, tego dramaturga Anglii.

Ważnym faktem w dziejach rozwoju ducha artystycznego Goethego jest przykładanie się jego do malarstwa i rysunku u profesora Oeser'a. Bazgrał tylko nasz poeta pędzlem przez całe życie, ale teoria sztuki wiele zyskała z tych jego lekcyi; w korespondencyach z tego czasu wiele jest myśli, dowodzących jakiego wpływu była ta nauka malarstwa. Sam to wyznaje w liście do profesora, a pisząc o tém do kolegi mówi, że Oeser, wraz z Szekspirem i Wielandem wywarł był najpotężniejszy wpływ na niego, wpływ stanowczy, którego ślad przechowa się przez całe życie: „*On to, mówi, nauczył mię, że ideałem piękna jest prostota i spokój, a ztąd wypływa, że młodzian nigdy nie będzie zdolnym stać się mistrzem.*“ Winkelmann'a dzieła rozwinęły ziarno, rzucone przez Oesera; klasyczny kształt kunsztu Goethego od nich został wetchnięty w ducha poety; po nich należy się jeszcze zasługa maliej księżeczce Lessing'a—*Laokoon'owi*. Jakkolwiekby nie był on w stanie smakować we wdzięku mistrzów włoskich,

w Dreźnie przyrodzony instynkt ciągnął go raczej ku krajobrazom należącym do szkoły niemieckiej, których przedmiot zostawał w stosunku do tego, co go otaczało od dzieciństwa w okolicy nad-reńskiej. Poznajomiwszy się z rytownikiem Stock'iem począł się uczyć rytować i są próbki Goethego w tej sztuce.

Anchen była zapomniana, chociaż pisywał czasami do niej wróciwszy do domu; w rzeczy miłości, w poecie, wyrobiła się już pewna teorya; śpiewa on:

„Es küsst sich so süsse der Busen der Zweiten,
Als kaum sich der Busen der Ersten geküsst.“

Musiał być porzucić kursa uniwersyteckie, nie ukończywszy ich całkiem, z powodu zdrowia nadwątłego i napadu krwotoku (1768 r.); przypisują to nadwątlenie życiu nieporządnemu, złej dyecie (niepomiernemu użyciu kawy i piwa); niedorzecznej chęćce stosowania się do zasad Russa, a potrzebie powrotu do stanu przyrodzenia.

Stan wiary był nieokreślonym w tym okresie; przyjaciel Langer starał się być wpływać na młodego poetę, aby patrzył na Biblię inaczej jak na przedmiot utworu ludzkiego. „Lubiłem Biblię, mówi sam o sobie, bo jój winienem był moje wykształcenie moralne. Jój dzieje, dogmata, symbola silnie wycisnęły się w moim umyśle.“ Mało jednak miał sympatyi dla deizmu i deistów, wstrząsających w tym czasie Europą, chociaż usposobienie umysłu jego więcej kłoniło się ku racjonalistom, bojującym przeciw mistykom, bał się jednak, patrząc na te zatargi, aby wraz z duchem proroczym pierwsi nie starli takż w piersi ludzkości ducha poetycznego. Instynkt jego był trafny w tym względzie. Zawsze przecież był w stanie religijnego zwątpienia „pozbawiony wiary, a ze strachem poglądujący na zimną niewiarę.“

Opuścił Lipsk, jak miał zwyczaj, bez pożegnania nikogo. Pisał do Anny-Katarzyny Schönkopf: „wybacz mi, żem cię nie pożegnał. Byłem blisko, widziałem lampę palącą się w twoim pokoju, przyszedłem nawet do wschodów, ale zabrakło mi odwagi wstąpić. Teraz więc dopełniam tego, czego

nie dopełniłem wtedy. Dziękuję ci za twoje serce i przyjaźń, jakie miałaś dla mnie, czego nigdy ci nie zapomnę. Nie proszę cię o to, abys pamiętała o mnie; tysiące powodów przypomni ci mnie, jako człowieka, co przez półtrzecia roku był waszym domownikiem, członkiem rodziny waszój, co chociaż był nieraz dla ciebie powodem przykrości, zawsze jednak był dobrym chłopcem i którego, spodziewam się, nieraz nieobecność poczujesz; ja przynajmniej często tęsknię za tobą...“ Jak ustęp ten przypomina Mickiewicza:

Precz z moich oczu — posłucham od razu,
Precz z serca mego — i serce usłucha,
Precz z myśli mojej: o! tego rozkazu
Twoje i moje serce nie usłucha!

Pisał potem do niej, słysząc, że wychodziła za mąż: „Nie mogę teraz być u was, bo gdybym był na wielkanoc w Lipsku, nie wyszłabyś za mąż; a ja nie mogę ujrzeć Kasi Schönkopf, jeżeli nie zobaczę jój pod inném już nazwiskiem. Pisz do mnie; przekonałem się, że listek od Kasi Schönkopf droższym jest dla mnie niż od kogo bądź na świecie. Zawsze jesteś miłą dziewczyną i będziesz drogą żoną. A ja? Ja będę zawsze Goethe. Wiesz, co to znaczy. Jeżeli wymieniam moje imię, wymieniam całego siebie, całe jestestwo moje; a wiesz, że od czasu jak cię poznałem, byłem zawsze częstką twojój duszy.“

Tak, powiada Lewes, opada kwiat miłości, co nie miała dość siły, aby dojrzeć na owoc. „Najgodniejsze miłości serce — pisze do niej Goethe — z pewnym gorzkim humorem, jest to, co kocha najłatwiej; ale to co serce łatwo kocha, łatwo też zapomina.“ To mogło się stosować do niego samego; nie mógł obejść się bez kochania; ale jego ruchawa natura łatwo otrząsała się z trosk, sprawionych stratą kochanki.

W domu, ojciec dość zimno powitał syna; spodziewał się w nim ujrzeć uczonego jurystę, a spotkał poetę. Matka, siostry troskały się jego zdrowiem, smuciły się widokiem jego bladój, delikatnój, kobiecej prawie twarzy. On tymczasem zaczął się zajmować alchemią; Van-Helmont interesował

go bardzo; ale pożyteczniej było użyte przez niego *Compendium* chemiczne Boerhava. Studya te miały mu posłużyć z czasem za materyał do Fausta.

Czas wolny w domu, widywanie się z panną Klettenberg, filozoficzne i teologiczne dzieła, wyprowadziły na scenę religię; wydało to szkic pewnego rodzaju chrześcijańskiego neoplatonizmu, w formie którego odłaly się ówczesne jego wyobrażenia i zasady wiary. Lewes jednakże słuszną robi uwagę, że ponieważ ten ustęp autobiografii Goethego późno został napisany, niewiele zatém może zasługiwać na wiarę w autentyczność swoją.

Pisał do panny Klettenberg, że jego kochanką jest alchemia. Czytywał Woltera, Russa i Bela, ale nie mógł znieść materyalizmu dzieła Holbacha w *Systemacie natury* (*Le système de la nature*) wyrażonego.

Wyjechał w 1770 roku do Strasburga dla ukończenia tam prawa. Tu był obecnym przejazdu do Francyi żony Delfina, Maryi-Antoniny.

Osobliwsze dzieła były przedmiotem ustawicznym zajęć tego młodego i tyle wrażliwego umysłu. Księga notatek z epoki strasburskiej świadczy, że się zajmował dziełami Jordana Bruno (*Spaccio; — De la causa; — Del infinito*) i że się wczesnie przejął zasadą panteizmu. Nie napotykamy nigdzie śladu, żeby choć raz jeden zechciał poznać naukę kościola, pisma OO. świętych; szuka wiary tam, gdzie się tylko znajduje zwątpienie. Dziwny system! A jednak tyle pospolity w młodości pierwszej!

Historja
Emilia
Lucynda
Młody, piękny, elegancki młodzieniec, lubiąc zabawy chciał był nauczyć się tańczyć; wyszukał sobie mistrza tego kunsztu choreograficznego, jednego Francuza starego, ojca dwojga pięknych córek. Nieraz córki wyręczały przy lekcjach ojca, za co się wcale nie gniewał poeta; byłyto istotnie miłe towarzyszki i nauczycielki tańców. Obie mniej niż dwudziestoletnie, z francuzką żywością i zalotnością, musiały być zająć młodego chłopca; on zaś przy swojej pięknej powierzchowności, przyjemności obcowania i sławie, jaka go otaczała, acz tak jeszcze młodego, nie mógł być dla

nich takó¿ obojetyym. Symptomata zajecia siy nim objawily siy predko. Na nieszczycie, ¿e stan serc w tmy *trio* zlo¿yl siy na *sytuacye* dramatycznay. Serce Goethego sklaniaio siy ku Emilii, ktora kochala kogo innego; ale Lucynda, starsza siostra, przylgnela calay dusay do niego. Emilia balay siy zaufaó sobie i byó z nim poufale; ale Lucynda zawsze byla blisko, gotowa walcowaó z nim, uczyó tańca, albo gawedyó o niczym i o wszystkim. Malo bylo u Francuza uczniow, wiecy az nadto zostawalo czasu na pogadanki, albo na czytanie razem romansow: rozrywka bardzo niebezpieczna!

Widzial mlodych, jak staly rzeczy, ale ludzil siy jeszcze tay niezmialoscay mlodszej siostry. Nareszcie powody tego wyszly na jaw. Jednego wieczora, po tańcach, Lucynda zatrzymala go w sali tańców, mowiac mu, ¿e siostra jej jest w pokoju bawialnym z wrozkay, ktora jej wrozy o stanie serca tego męczyzny, ktoremu ona oddala swoje serce. Moje serce, dodala — wolne; muszy siy przyzwyczajac do tego, ¿e je tanio cenic beda. Chcial Goethe grzecznie zaprzeczyó jej w tej rzeczy, radzil, aby sama poradzila siy w tym wzgledy madyroski wrozkay, mowiac, ¿e i sam uda siy do jej swiatla. Lucynda nie chiala tego; mowila, ¿e podobne wyroczenie za nadto sa wazne, aby sobie z niemi zartowaó. Mo¿e to go pobudzilo do patrzenia na te rzecz troche powazniej, bo nareszcie namowil Lucynde pojsc z nim do pokoju bawialnego. Zastali tam Emiliy ucieszonay z wiadomosci, jakay otrzymala od starej Sybilli; ¿e zwykla ceremonia przystapila babina do wrozenia starszej siostrze. Dlugo siy wzbraniaia powiedziec, co wyczytala w kartach. „Och! widzy ja dobrze, ¿e musisz cos niedobrego wypowiedziec — powiedzila Emilia. Lucynda zbladla ale wymowila: „mow, mow, przeciez to miy nie zabije!“ Wrozka westchnela ciezko i zaczela mowic: Lucynda kochala, ale jej miłosó byla bez wzajemnosci; ktos inny stanal jej w drodze. I tak prawila dalej w tym sensie. Na twarzy Lucyndy objawilo siy mocne zmartwienie; starszka chiala ja pocieszyó, mowiac, ¿e wypadaly jej jeszcze listy i pieniadze. „Listy! zawolala Lucynda, nie spodziewam siy listow; pieniadzy nie potrzebujy. Jezeli kocham, tak jak

mówisz, mam prawo żądać wzajemności!“ Wrózka zebrała i rzuciła na nowo karty, ale było jeszcze gorzej; w kabale wypadło, że dziewczyna była w zmartwieniu wielkiem a kawaler jeszcze dalej. Trzeci rzut kart jeszcze był gorszy od drugiego, Lucynda rozplakała się i wybiegła z izby. „Pójdź za nią i pociesz ją“—powiedziała do Wolfganda Emilia. Ale on wahał się, co ma uczynić, nie wiedząc, jakby miał ją pocieszyć, nie mogąc powiedzieć jej, że ją kocha. „Chodźmyż do niej razem, odrzekł na to przełożenie.“ Emilia wątpiła, czyby jej obecność mogła ją uspokoić. Ale wreszcie zgodziła się. Lucynda zamknęła się w swoim pokoju, a Goethe, opłaciwszy Sybillę, wyszedł do siebie.

Nie miał odwagi odwiedzić obie siostry; ale na trzeci dzień Emilia przysłała do niego; poszedł i wziął od niej, jak zwykle, lekcję tańca. Lucyndy nie było; kiedy zapytał o nią, Emilia odpowiedziała mu, że leżała w łóżku, mówiąc, że umrze. Wyrzucała mu potem jego okrutne postępowanie. „Przecież nie wiem, żebym był winnym tego, żeś udawał kiedykolwiek czulsze uczucie dla siostry pani. Mam kogoś świadkiem, że tego nawet być nie mogło.“ Emilia uśmiechnęła się. „Rozumiem, odpowiedziała; ale jeżeli nie będziemy czujni, wszystko troje możemy wpaść w położenie dla nas niecznośne. Wybacz, jeśli powiem ci, abys już zaprzestał tych lekyi. Ojciec mój mówi, że wstyd mu dłużej brać pieniądze od pana, jeżeli nie myślisz wziąć się szczerze do tańca; wreszcie dość już umiesz, ile potrzeba w towarzystwie.“ „Maż to znaczyć, abym nie bywał u was Emilio?“ Tak, ale to nie z mego powodu. Kiedy wyszedłeś ostatnią razą, rzuciłam karty na ciebie: po trzy razy wypadła ta sama odpowiedź. Byłeś otoczony przyjaciółmi i wszelkiego rodzaju pomysłnościami, ale kobiety stroniły od ciebie; siostra moja stała najdalej. Jedna zbliżała się do ciebie, ale ktoś trzeci stanął pomiędzy wami. Wyznam i myślę, że tą kobietą byłam ja sama a więc, myślę, zrozumiesz teraz moją radę. Obiecałam rękę moją innemu i dotąd kochałam go więcej niż kogokolwiek innego. Jednak obecność twoja u nas może być w tym względzie niebezpieczną; jakież, pytam, może być twoje położe-

nie pomiędzy dwiema siostrami, z których jedną możesz uczynić nieszczęśliwą swoją miłością, a drugą swoim zinnem.“ Wyciągnęła rękę ku młodzieńcowi i pożegnała go; potem przeprowadziła go do drzwi; przypomniawszy, że to mogło być ich ostatnie widzenie się w życiu, rzuciła się mu na piersi i ucałowała go czule. Właśnie kiedy Goethe objął ją wzajemnie, drzwi boczne otworzyły się i druga siostra wbiegła, w nocnym ubraniu, mówiąc z płaczem: „nie powinnaś jedna tylko żegnać go.“ Emilia odstąpiła. Lucynda z kolei wzięła go w objęcia, przycisnęła twarz swoją do jego czarnych włosów; tak została chwil kilka, a potem odstępując popatrzyła mu serio w twarz. Goethe wziął ją za rękę i starał się powiedzieć jej coś takiego, coby ją mogło uspokoić; ale ona odwróciła się, chodziła gwałtownie po pokoju, a potem rzuciła się w kąt sofy. Emilia zbliżyła się do niej, ale odtrąciła ją od siebie gwałtownie i nareszcie nastąpiła scena, w której nie było nic teatralnego, chociaż coś podobnego zaledwo byłby w stanie oddać najwyborniejszy aktor tragiczny. Tak mówi o tém Goethe. Lucynda poczęła czynić wyrzuty siostrze. „Nie pierwsze to serce, bijące dla mnie, któreś ty odciągnęła; czyż nie było tego samego z tym, co jest dziś twoim narzeczonym? Wiem tylko, ile to mię łez kosztuje; teraz chcesz mi tego jeszcze odebrać? Wiele to musisz skrywać, obrachowywać, aby złapać od razu kogoś. Ja jestem otwarta i dla tego zdaje się każdemu, że łatwo jest mię zbałamucić. Tyś skryta, spokojna; każdy chciałby się dowiedzieć, co jest pod tém wszystkiem; ale nie masz tam nic, oprócz lodu, serca samolubnego, coby wszystkich i wszystko poświęciło sobie samemu.“ Emilia usiadła przy siostrze i milezała, podczas kiedy Lucynda, wpadając coraz to w większy zapał, zaczęła gadać rzeczy, które niekoniecznie słuchać mu wypadalo. Emilia dała mu znak, by się oddalił. Ale Lucynda, słysząc, że ma odchodzić, rzuciła się ku niemu i stanęła zamysłona. „Wiem ja, że cię utraciła na zawsze, wyrzekła w końcu; nie mam do ciebie więcej prawa, ale i ty go nie będziesz miała.“ Mówiąc to uściśnęła go gwałtownie za głowę, przyciągnęła do siebie, przytuliła

twarz jego do swojej i wielokrotnie pocałowała go w usta. „Teraz bój się mego przekleństwa! Biada i nieszczęście na całe życie na tę, co po pierwszy raz po mnie dotknie się ust twoich! Niech niebo usłyszy moje przekleństwo! A ty spróbuj teraz pokochać kogo, jeżeli możesz!“

Goethe wypadł z domu tego, żeby doń nigdy już nie wrócić.

Czy ten ustęp żywota poety nie wydaje się, jakby był rozdziałem powieści jakiej? Ta rozgniewana francuzka, ten poeta odurzony, owa stara wieszczka i ten stary, suchy, tancmistrz, zaledwo naszkicowany, na drugim planie, są figurami, któreby chętnie przyswoił sobie jaki powieściopisarz.

Miłoścki Goethego są najciekawszymi ustępami jego życia, bo je żywcem przenosił on do utworów swoich. Zobaczmy to później.

Goethego dzieła noszą na sobie piętno klasyczne prostoty i spokoju; duch klasyczności starożytniej jednakże przeszedł do duszy jego nie przez autorów rzymskich, lub greckich, a przez *sztukę*, której charakter schwycił on instynktowie i pokochał sercem. *Oezer* i jego teoria podziałały tu stanowczo. Z drugiej znowu strony winien on był wiele literaturze francuzkiej, co do kierunku i materiału. Jednakże był to czas, w którym brano się do wskrzeszenia germańskiej narodowości. Klopszok, Lessing, Herder, Szekspir i Ossyan nawet Makferson'a stali się przeciwnikami ducha piśmiennictwa Francyi. Działała tu duma narodowa i tworzyła przełam w smaku estetycznym. Sztuka gotycka poczęła być uważaną nie za wyraz barbaryzmu, ale za rzetelną sztukę czasów nowych.

Tu, w Strashurgu, w obliczu pysznej wieżycy katedry średniowiecznej, młodzież oddawała się nowemu popędowi kunsztu. Przy stole (table d'hôte) odrzucono modną mowę francuzką; starano się przytém niczém nie przypominać Francuzów. Literaturę francuzką wysmiewano, jako goniącą na efekt, nienaturalną, nierzetelną. Prawdę, potęgę swojskości i prostotę charakteru germańskiego stawiono prze-

ciwko tamtéj tandeciarskiej literaturze. Goethe był tu na czele młodzieży; studyował on stare pamiątki wieków średnich, podziwiał katedrę, czerpał natchnienie z pism Szekspira i z radością patrzył na dowcip Lessinga, jak ten burzył bożyszcza francuzkiego smaku. Czytał nadto w téj epoce żywot *Goetza z Berlichingen* i obraz tego tytana w wieku anarchii tak podziałał był na niego, że współcześnie zarodziła się w duszy poety myśl użyć téj postaci do dramatu narodowego. Z tego czasu pochodzi takóž zaród myśli Fausta; nadreńska okolica miała o nim wszędzie żywe podania. „Jak on, powiada o sobie, błdziłem ja po obszarze nauki i wcześniej poznałem się na jój czczości; jak on przeszedłem w niéj różne drogi i ściężynki, zaledwo ubite i zawsze wracałem z nich niezadowolony.“ Studya nad alchemią, medycyną, prawem, filozofią, które tak długo zajmowały umysł Goethego, musiały być koniecznie pociągać go do legendy o Fauście; ale aby ją pojąć, aby przylgnać do niéj, potrzeba było na to dąžności silnéj ku wiekom średnim.

W tym stanie ducha zostając, znajomość z Herderem była dla Goethego bardzo pożądaną. Herder o lat pięć był odeń starszym i już pozyskał był sobie imie. Przybył on był właśnie wtedy do Strasburga, chorując na oczy; słabość zmusiła go spędzić w mieście tém zimę całą dla kuracyi. Goethe zachwycony tym silnym umysłem, był przy nim przy operacyi dokonanej na oku i przesiadywał u niego poranki i wieczory, podczas jego wyzdrowienia, przysłuchując się mądrości, płynącej z ust jego, jak słucha uczeń słów swego najukochańszego mistrza. Wielka była sprzeczność pomiędzy tymi, tak znakomitymi ludźmi; ale ta sprzeczność nie dzieliła ich. Herder był stanowczy, jasny, pedagogiczny, znający swoją wartość własną i lubiący udzielać swoich myśli drugim; Goethe zaś był sceptycznym i badawczym. Herder szorstki, sarkastyczny i cierpki; Goethe przyjacielski i nadzwyczaj wyrozumiały. Cierpkość, która tak łatwo odtrącała wszystkich od Herdera, nie mogła zrazić Goethego; była to własność jego duszy, że zawsze gotów był korzystać od prze-

ciwnych całkiem usposobieniu jego duchów; schodząc się na gruncie wspólnym sympatyj, unikał starannie tych szkopułów, na których musieliby się koniecznie roztraścić. Ciekawą to jest wielce rzeczą, że chociaż Herder dość lubił swego młodego przyjaciela i był mu wdzięcznym za jego względy dla siebie, przecież nie podejrzewał w nim wcale geniuszu. Jedyne urywek znany nam z tej epoki i dający nam światło pewne w tej mierze o jego zdaniu o Goethem, jest w liście pisanym donarzeczonej swojej, pod datą Lutego 1772 r. „Goethe dobrym jest chłopcem, tylko trzpiot i troche *wróbelkowaty*, za co go nieraz strofuję; jego jednego prawie, z tych co odwiedzali mię w czasie mojej choroby w Strasburgu, widywałem z prawdziwą przyjemnością i spodziewam się, że nie w jednym względzie wpłynąłem nań z korzyścią jego.“ Wielkie rozumienie o sobie musiało stać pomiędzy nim a młodym poetą: może dla tego, że widział błędy młodzieńca, nie mógł być dojrzeć jego geniuszu. Herder lubił tylko to, co było oderwane i idealne, tak w ludziach jak i przedmiotach; zawsze krytykował i ganił indywidualność, dla tego że ta nie była w stanie urzeczywistnić jego idealnej normy. To co Gerwinus mówi o stosunkach Herdera do Lessinga, mianowicie, że lubił go jako całość, ale ustawicznie nie był zeń kontent, kiedy schodził w nim do szczegółów, może być także zastosowaniem do stosunku jego co do Goethego, nawet przez całe życie jego. Goethe mało miał miłości dla ludzkości, w jej idei oderwanej, która u Herdera i wielu jemu podobnych, zastępować się zdaje rzetelną i żywotną miłość dla jednostek; tamta miłość ludzi zwykle napelnia ducha filantropów, którzy najczęściej bywają przy niej, — chociaż są w niej szczerzy — złymi ojcami, mężami, braćmi, obywatelami, przyjaciółmi. Jakże wielu kocha ludzkosć całą, żeby mieć prawo być zinnymi dla ludzi. Goethe przeciwnie kochał człowieka, jako osobę. „Jego konkretna i czuła natura — mówi tak o nim Lewes, więcej zbliżała się do ludzi niż do idei oderwanych. Można mu zarzucić obojętność w rzeczach polityki, dziejów, w wielu względach dotyczących ludzkości, ale braku miłości człowieka nie można mu zarzucić.“ Istotnie

był on dobroczynnym, jak tego dowody podaje nieraz w dziele swoim jego angielski biograf.

Wpływ Herdera był wielostronny, ale ściągał się głównie do poezyi. On nauczył Goethego patrzeć — *w duchu naturalizmu* — na Biblię, jako na wspaniały przykład tej prawdy, że poezya jest produktem ducha narodowego, a bynajmniej nie jest ona pewnym przywilejem nielicznego grona ludzi wykształconych. Od poezyi hebrajskiej sprowadził go do *śpiewów ludowych*; tu wystąpił także Homer i Ossyan.

Goethe został zachwycony Ossyanem Macfersona jak Napoleon i cała ówczesna Europa; przetłómaczył nawet śpiew Selmy, którego potem wcielił do Wertera. Wpływ Anglii był wielki; oprócz Macfersona i Szekspira, poznał się jeszcze, za pośrednictwem Herdera, z Wikarym Wekfilldskim. Obraz tego poetycznego probostwa angielskiego jeszcze inaczej był go oczarował. Z wieżyc katedry strasburskiej nieraz z towarzyszami swymi Goethe poglądał *à vol d'oiseau* na Ren i na malownicze jego wybrzeża pokryte winnicami, zankami, wsiami i miasteczkami uroczemi. Na kilka mil sięgało ztąd oko; można było rozpoznawać położenie tego, lub owego znajomego sobie miejsca. Kielichem reńskiego pili tu zdrowie znajomych swoich, mieszkających tu i ówdzie. Jedna osobliwie miejscowość zajmować nas powinna — to *Sesenheim*, wioska *Fryderyki*. Postać ta znana jest każdemu wielbicielowi literatury niemieckiej z powodu uroczego ustępu jednego z autobiografii Goethego, ustępu, na którym z miłością spocząć musiał duch naszego poety. Pisząc go musiał być on, w starości, uczuć to, co czuł nasz Bohdan, kiedy śpiewał:

Świeć się, świeć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!

Tylko że z tego powodu musiał być Goethe uczuć jakby wyrzut sumienia; postąpił tu bowiem jako prawdziwy egoista. Mówimy to z przeproszeniem absolutnej admiracji Lewesa dla Goethego.

Weyland, współstołownik, często mówił Goethemu o pewnym duchownym, mieszkającym z żoną i dwiema miłemi

córkami niedaleko Drusenheim, wiosce, około szesnastu mil (ang.) od Strasburga. Jakoś na początku Października 1770 r. Weyland zaproponował Goethemu odwiedzić razem zacnego pastora. Umówili się, że Weyland ma go przedstawić pod postacią ubogiego studenta teologii. Upodobanie Goethego w *incognito* często skłaniało go do podobnych zamaskowań. W tym zdarzeniu pożyczył sobie stare suknie, które przywdział i zaczął sobie przytém włosy w taki sposób, że kiedy Weyland go zobaczył, nie mógł się powstrzymać od gwałtownego śmiechu. Wyruszyli przed świtem. Zatrzymali się w Drusenheim, Weyland, aby się upięknąć, Goethe, aby się przygotować do swojej roli. Jadąc przez błonia Sesenheimu zostawili konie w oberży i poszli piechotą na probostwo, które mieściło się w starym, troche opuszczonym domu, ale za to malowniczym i spokojnym. Zastali p. Brion u siebie i zostali od niego powitani po przyjacielsku. Reszta rodziny była w polu. Weyland poszedł do niej, zostawując Goethego na gawędzie z pastorem o dochodach z parafii, która coraz stawała się więcej poufną. Wkrótce pokazała się pani pastorowa, a za nią starsza córka, pytająca o Fryderykę i śpiesząca na powrót, aby ją wyszukać. Przyniesiono traktament; mówiono z Weylandem o starych znajomych; Goethe tylko słuchał. Wróciła córka niespokojna o Fryderykę. Ten niepokój rozmowy o Fryderykę przygotował Goethego do jej poznania. Nareszcie ona weszła. Obie dziewczyny były w ubiorze narodowym, jaki lud nosił nad Renem: w kruciótkich spodniczkach niedochodzących do kostek, ciasnym gorseciku i czarnym tafłowym fartuszk. Fryderyka trzymała na ręku swój słomiany kapelusz, a śliczne, bogate warkocze pięknych włosów spadały na białą jak śnieg szyjkę. Wesole błękitne oczy i figlarny nosek zadarty dopełniały jej powabów. Patrząc na to śliczne stworzenie, liczące naówczas zaledwo szesnastkę, Goethe uczuł się zawstydzonym ze swego przebrania. Obrażało to jego miłość własną, że się tak pokazywał przed nią, jakby żak odarty, pozbawiony wszelkich powabów. Tymczasem rozmowa toczyła się pomiędzy Weylandem a rodziną pastora. Lista wujów, ciotek, siostrzenic, bratanków była bez

Fryderyka
bohaterka
war...

końca, a tymczasem poeta nasz siedział wyłączony od rozmowy.

Widząc to Fryderyka, przysiadła się do niego i rozpoczęła z nim gawędkę z dziecinną prawie szczerotą. Nóty leżały na klawikorcie; spytała go więc, czy nie grał, a na jego odpowiedź twierdzącą, prosiła, aby „*raczył dać się usłyszeć*.“ Ojciec wdał się w to i oświadczył, że jako gospodyni, sama powinna była rozpocząć muzykę śpiewem. Usiadła więc do klawikortu, nieco rozstrojonego, i wyrażając się stylem prowincjonalnym, *wyexekwowała* na nim sztuk kilka, zapewne nie tak, aby zachwycić dzisiejsze pokolenie, jednakże w sposób zdolny oczarować ówczesnych. Potém zaczęła śpiewać. Śpiew był czuły i rzewny, ale nie musiała być w usposobieniu, bo przyznając się do tego, że się jój tym razem nie udaje, wstała i powiedziała: „*jeżelim śpiewała źle, nie jest winą ani klawikortu, ani mego metra; kiedy wyjdziemy na wolne powietrze, wówczas usłyszysz pan moje alzackie i szwajcarskie piosenki*.“ Towarzystwo przeszło do ogrodu i natychmiast głos jój wesoly zaczął tryle i rulady góralskich śpiewek. Goethe uczył się podbitym.

Skłonność jego do upatrywania w wypadkach rzeczywistości obrazów i poezyi wystawiła mu w tém wydaniu urzeczywistnioną rodzinę *Wikarego Wekfildskiego*. Chociaż p. Brion nie był rzeczywistym odbiciem *Mister Primzora*, jednak z daleka mógł się nim wydawać na *optykę*; starsza córka mogła była takż ujęć za Oliwię, a młodsza za Zofię; kiedy przy wieczerzy syn pastora wszedł był do pokoju, Goethe zawołał niechący prawie: „*Jakto i Mojżesz takż!*“ Wesoła to była wieczerza, do tego stopnia nawet wesoła, że Weyland bojąc się, aby wino i Fryderyka nie przyczyniły się do wydania *incognito* jego przyjaciela, zaproponował wszystkim przechadzkę przy świetle księżyca. Weyland podał rękę Salomei, zwanėj zawsze od Goethego Oliwią. Fryderyka przyjęła ramię poety. Młodość i światło księżyca, potrzebaż jeszcze więcj czego? Goethe począł badać swoją towarzyszkę, wypytując ją o

krewniaków i sąsiadów, niespokojny, czy czasami nie zdradzi się tu jakie przywiązanie czulsze. Ale jej serce było jeszcze spokojne jak kwiatek w pączku i młodzian słuchał w rozkosznym milczeniu wesołego szczebiotania dziewczyny.

Wróciwszy do oberży dwaj młodzieńcy wiele mieli do mówienia z sobą. Weyland zapewniał Goethego, że jego *incognito* nie wydało się; owszem rodzina wypytywała się o młodego Goethego, o którego humorze wesołym i dziwactwach nieraz już słyszała. Z kolei przypadło niepokojące pytanie: czy Fryderyka była już zajęta? Nie. Kamień spadł mu z serca. Czy się kiedy kochała? Nie. Jeszcze lżej było na duszy. Tak gawędząc, długo czuwali w nocy, jak to bywa zwykle pomiędzy dwoma młodzieńcami, kiedy serca ich przepełnione są uczuciem, a mózg zanadto jest rozgrzany, aby mógł usnąć. O świcie Goethe już się obudził, nadzwyczaj niecierpliwy ujrzenia Fryderyki z rosą poranku na świeżej twarzyczce. Ubierając się spojrzał w zwierciadło na swój ubiór; przestraszył się go dziś i napróżno starał się zaradzić jego zaniedbaniu. Z włosami można było jeszcze przyjść do ładu, ale kiedy powkladał ręce w starą kapotę, rękawy były tak krótkie, że wyglądał w nich okropnie. Weyland patrząc nań z pod kołdry śmiał się do rozpuku. W rozpacz, Goethe postanowił był wracać do Strasburga i powrócić we własnej sukni. Ale tymczasem inny nasunął mu się plan. Zamienił ubranie z synem oberżysty, chłopcem jego wieku i wzrostu; dopełniwszy tej zamiany, poczercił sobie korkiem brwi, udawał ruchy i mowę syna oberżysty i nareszcie udał się na probostwo z bułką pod pachą. Udało się mu to drugie przebranie, dopóty przynajmniej, dopóki stał zdala; ale Fryderyka biegła do niego z zapytaniem: Jerzy, co tu porabiasz? Potrzeba więc było wydać się. „Nie Jerzy, ale ktoś, co prosi pani o przebaczenie.“ „Ach, okrutny człowieku, jakżeś mię przestraszył!“ zawołała. Żart został natychmiast wytłómaczony, nie tylko od Fryderyki samej, ale od całej rodziny, która serdecznie z niego się naśmiała.

Wesoło upłynął dzionek; obaj panicze, z godziną każdą, coraz więcej grzęzli w miłości swojej. Namiętność nie ma nic do czasu; w niej momenta są godzinami, godziny latami całemi, zwłaszcza kiedy dwa serca zlewają się w jedno. Autobiografia wspomina tylko o dwóch dniach spędzonych w tém szczęśliwém kółku; ale współczesny wypadkowi temu list opiewa, że spędzili tam kilka dni, *einige Tage*, więc pod kilku dniami przynajmniej należy rozumieć *trzy* dni. Dość, że bawili tam tyle, ile tego była potrzeba, aby się zakochać szalenie i zawrócić głowę rodzinie całej wesołym humorem, grzecznością i darem poetycznym. Goethe dał się jój poznać czém był, opowiadając historię *nowej Meluzyny* (później wyszłej w *latach wędrówki* — *Wanderjahre*), którą obiecał napisać dla téj rodziny ujmującej. Interesował się planami pastora, dotyczącami przebudowania plebanii, i zabrał był nawet z sobą do Strasburga szkice tego nowego mieszkania.

Bolesć rozłąki uśmierzała się obietnicą prędkiego zobaczenia się. Wrócił do Strasburga z nowém życiem w sercu. Rozpoczęła się korespondencya pomiędzy Goethem a Fryderyką, z której Lewes wynalazł kilka listów. Nic tu nowego; stare, wiecznie jednakże nowe frazesy zakochanych. Goethe zwie Fryderykę kochaną swoją przyjaciółką i oświadcza, że nigdy Strasburg nie wydawał mu się dotąd tak pustym, jak się mu teraz wydaje; pociesza się tylko nadzieją widzenia się znowu z tą, którą opuścił i rysuje *abrysy* nowéj plebanii. Posyła jój książki i w zamian za nie odebrał listek, który był w oczach jego pamiątką nieoszacowaną. W Listopadzie był znowu w Sesenheim. Noc już była zapadła, kiedy przyjechał; ale niecierpliwość jego nie dała mu zaczekać jutra, tém bardziej że gospodarz oberży powiedział mu, że panny z plebanii tylko co się udały od niego do domu, bo spodziewały się *kogoś*. Podobne oczekiwanie kogoś niepokoiło go; pobiegł więc na plebanie. Zdziwił się wielce, kiedy spostrzegł, że przybycie jego nie zadziwiło tam nikogo; tém bardziej się zdziwił, kiedy posłyszał Fryderykę, jak szepnęła siostrze:

„czyżem nie mówiła? Otóż jest!“ serce kochające dziewczyny wywróżyło jego przybycie i naznaczyło ten sam dzień właśnie.

Nazajutrz była niedziela i wielu spodziewano się gości. Rano Fryderyka wezwała go na przechadzkę, zostawując w domu matkę i siostrę nad przygotowaniami do przyjęcia gości. Któż opisze tę przechadzkę, w której para młoda, bez kokieteryi wszelkiej, oddawała się temu, co G. Sand nazwała pięknie, *tous les riens d' un amour naissant*. Mówili o czekających ich zabawach dnia tego i układali sobie wcześniej, jak mają go spędzić nierozłącznie. Dziewczę uczyło go różnych gier; on nawzajem uczył ją tych, które jemu były znane, a pomiędzy temi szczebiotaniami uśmiechała się do nich miłość. Dzwon kościelny odwołał ich z przechadzki. W kościele, nie bardzo budująco słuchali nauki pastora. Oddawali się innemu nabożeństwu. Myślał on o jej powabach, a spozierając na jej ustka malinowe, przypominał sobie pocałunek ostatni i przekleństwo wyrzeczone przez namiętną francuzkę. Błogosławione to były czasy dla zakochanych; ile to było gier wtedy umyślnie dla nich ułożonych; każdy sobie przypomina *cet acre baiser*, dany za fant przez Julię Sę-Premu (Saint Preux); otóż i tu było to samo. Goście widząc, że młodzi *mają się do siebie*, często dawali im sposobność do pocałunków. Z uczuciem zabobonném długo unikał Goethe tych sposobności ponętnych, a ona z rzetelnym instynktem miłości dopomagała mu w tych jego wybiegach. Jednakże przyszedł czas, kiedy uniesieni wirem tańca i pustotą gry złączyli się w długim, długim pocałunku miłośnym.

Goethe wrócił do Strasburga, jeżeli jeszcze nie zaręczony formalnie, przecież jako już przyjęty i uznany *aspirant*. Tak patrzyła już na nich rodzina Fryderyki i jej przyjaciele. Może zaręczyny nie nastąpiły tylko jedynie przez wzgląd na zobopólną ich młodość i potrzebę przyzwolenia rodziców kawalera. Muza na nowo odezwała się w duszy młodziana i nie jeden wiersz natchniony od Fryderyki daje się czytać w ogłoszonych poezyach Goc-

thego. Wszystkie te płody zostały najsamprzód wydane w *Spiewniku Sesenheimskim* (Sesenheimer Liederbuch) i w życiorysie Goethego, napisanym przez Viehoff'a (*Goethe's Erläuterungen*).

Celem pobytu Goethego w Strasburgu było pozyskanie stopnia doktora prawa. Rozprawa jego została rozpoczętą właśnie przed tym ustępem sesenheimskim. Ale wykończeniu jej stali na zawadzie Szekspir, Ossyan, *Faust*, *Götz*, a przede wszystkim Fryderyka. Idąc za radą przyjaciół obrał inny sposób doktoryzacyi; zamiast rozprawy, ogłosił pewną liczbę *tezów*, których miał bronić publicznie, w uczoném zgromadzeniu fakultetu. Obrął więc w tym celu, następujące założenie: „*obowiązkiem jest każdego prawodawcy ustanowić pewne wyznanie religijne, obowiązujące tak duchownych jak i świeckich.*“ Dziś podobna teza rozśmieszyłaby każdego, wiemy bowiem już z doświadczenia, że wiara, dogmat nie są rzeczą ludzką, bo nie opierają się wcale na powadze człowieka. Żaden człowiek nie ma mocy kazać wierzyć w coś, co sam sobie wyroił w głowie. Podobną powagę mają prawdy objawione; bywa objawienie fałszywe, ale tu nawet jest w głębi jakaś zasada żywotna, nadająca moc i byt tej nauce ludzkiej, choćby np. ta sama wiara w porządek wyższy, nadnaturalny, zawiązujący pomiędzy ludźmi za pośrednictwem objawienia życie wyższe, społeczne na ziemi. W wieku XVIII, w wieku naturalizmu *per excellentiam*, traktowano inaczej to ważne zagadnienie; potem już teofilantropi, sensymonisci, furyeryści wychodzili z tej zasady, o której pisał Goethe w swojej rozprawie; dziś wiemy dobrze, czy sekty te miały choć jeden moment wiary rzetelnej w dogmat wykonceptowany nad książką, z piórem w rękę? Temat rozprawy Goethego był wyrozumowany; podawał młody jurysta argumenta filozoficzne i historyczne, któreby mogły dowieść prawdy jego; napisał rozprawę swoją po łacinie i posłał ją ojcu, który ją przyjął z ukontentowaniem. Ojcu szło głównie o rozprawę, o rutynę, którą sam przechodził. Jakkolwiek bądź dziekan fakultetu nie chciał przyjąć tej *dysertacyi*;

nie wiadomo, czy poznał się na wartości moralnej założenia, czy też dla tego, że ją nie uznał jeszcze dosyć uczoną. W miejscu rozprawy pozwolono mu obracać tezy do dysputy. Dysputa miała miejsce 6 Sierpnia 1771 r.; oponentem Goethego był Fr. Lerse, który nań mocno nacierał. Wesoły *Schmaus*, prawdziwa pohulanka studencka, uwieńczyła tę promocyę poety na stopień doktora prawa. Zachodzi tu jeszcze niepewność daty; z listu do Salzmann'a zdaje się, że w tym czasie Goethe otrzymał był tylko *licencyaturę*; że był doktorem prawa, to pewna, ale *kiedy* otrzymał ten stopień, to z pewnością nie wiadomo.

Podczas przygotowań do obrony *tezów* nie miał czasu na to Goethe, aby odwiedzać Fryderykę; widział się jednak z nią w mieście, pani pastorowa bowiem z obiema córkami swemi, przyjeżdżała do Strasburga dla odwiedzenia bogatych krewnych swoich. Goethe był znajomy w tym domie i łatwo mu było widywać się ze swoją ukochaną. Dziewczęta oryginalnie wydawały się w swoim alzackim stroju obok kuzynek miejskich, występujących jak francuzki ufryzowane i napudrowane; podobne odróżnienie się od wszystkich martwiło Oliwię, która czuła się poniżoną, wyglądając *jak służąca* pomiędzy temi modnemi pannami. Jój pomieszenie, objawione z tego powodu, zawstydzało Goethego. Fryderyka, chociaż równie czuła się nie w swoim elemencie, będąc w tym towarzystwie, była spokojniejszą i zupełnie zadowoloną, skoro tylko miała przy sobie swego miłego. W *autobiografii* jest jedno wiele znaczące miejsce: te odwiedziny nazwał tam Goethe osobliwszą próbą miłości swojej. I istotnie musiało to być próbą, skoro tylko weźmiemy pod uwagę stosunki, w których zostawali ku sobie kochankowie. Goethe był synem znakomitego obywatela frankfurckiego, był niejako szlachcicem w stosunku do ubogiego pastora. Różnica położenia towarzyskiego była tak wielką, że wielu nawet tłumaczy nieożenienie się Goethego z Fryderyką tém, że podobne połączenie się było niemożliwem; ojciec jego, mówią, za nieby się na to nie zgodził, mówiłby sobie o tém nawet nie pozwolił. Ale mi-

łość nie dba o stan, ani przypuszcza do siebie tego, co o tém świat powie; ale co innego się dzieje, kiedy od miłości przychodzi się do aktu towarzyskiego, *do małżeństwa*. Lewes, starając się usprawiedliwić Goethego, powiada, że w pierwszym zapale miłości księżę nawet kocha się ślepo i nie odstępuje na krok od dziewczyny wiejskiej, ale kiedy otrzyma jój wzajemność, kiedy się zastanowi nad swoim krokiem, wówczas z kolei przyjdzie mu na myśl ta uwaga: jak ludzie ocenią ten jego *afekt*, co powiedzą o jego wyborze? Dodaje jeszcze, że mężczyźni są bardzo czuli na zdanie, jakie inni mają o ich kochankach i żonach. Przywiązanie Goethego musiało być wystawione na próbę, kiedy patrzył na Fryderykę i jój siostrę, jak się one odróżniały w towarzystwie. Była ona nimfą leśną, mówi zawsze Lewes, w gajach Sessenheimu; ale w Strasburgu, w *salonie*, ta nimfa przypominała bardzo chłopkę. Kończy biograf tym zapytaniem: „kto nie doświadczył na sobie podobnego odczarowania, patrząc na ukochaną osobę, jak ona, w skutek innego otoczenia, traciła prawie urok cały?“

Potrzeba było p. Lewesowi powiedzieć po prostu: „Goethe wstydział się Fryderyki, dla tego że nie nosiła robronu, nie miała włosów utrefionych, nie znała pudru, i wyglądała jak chłopka.“ Widzimy tu w Goethem przyszłego dworaka i człowieka, któremu zarzucano zawsze brak serca. Lewes chce go stale bronić od tego zarzutu, ale trudno mu to przychodzi. *Blanchir un nègre c'est perdre son temps.*

Jakkolwiekbydz, pomimo krótkiej spódniczki i włosów uplecionych w warkocze, Fryderyka stała wyżej duchem od wyfiokowanych piękności; jednego wieczora zobowiązała Goethego, aby przeczytał głośno w towarzystwie Hamleta. Spełnił jój żądanie, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich, osobliwie samj Fryderyki, która często wdychała ukradkiem i mieniła się na twarzy. Może myślała o Ofelii, jak ta stawała w niekorzystnym położeniu:

For Hamlet and the trifling of his favor
Hold it a fashcion and a toy in blood!

Musiła być biedaczka mieć przecucie losu swego. Ale oklaski pozyskane przez jej lubego przyjęła tym razem z dumą, jakby jej z prawa należące i „w skromny, a miły sposób nie odmówiła sobie ukontentowania — błyszczenia przez niego.“

Goethego niepokoić zaczęła ta jego miłość; „jakże szczęśliw jest ten“, pisał do przyjaciela, „którego serce swobodne i lekkie! Wieleż to potrzeba na to odwagi, aby tylko zastanowić się nad tysięcznymi trudnościami i niebezpieczeństwami, bo tu radość dostępuje się wielkim, wielkim trudem. Może jestto właśnie najgorsza rzecz, jaką mogę przytoczyć przeciw miłości. Mówią, że ona tchnie odwagę w serce; nigdy! Serce kochające jest słabe. Kiedy bije ono w piersi gwałtownie, a łzy stoją w oczach, wtedy tak jesteśny słabi, że wiazanka z kwiatów wiąże nas i pęta, nie dla tego, aby miała ona w sobie jakąś siłę magiczną, ale dla tego, że się boimy, aby się ona nie zerwała.“

Wzmianka o Hamlecie prowadzi nas naturalnie do kółka, w którym Goethe szukał był pociechy, kiedy Fryderyka jego opuściła nareszcie Strasburg. Tak mówi Lewes, chociaż sam wyznaje, że Goethe przyznawał się do tego, że wyjazd jej był dla niego *wdług*. Ona sama nieboga przeczuwała, odjeżdżając, że zbliża się koniec ich miłości. Goethe rzucił się w wir rozrywek, aby się zapomnieć. W tym czasie zbliżył się był z Lenzem, który tylko co przybył do Strasburga; z nim i z kilku innymi *adoratorami* Szekspira, co trzymali się ślepo wszystkiego, co tylko było w jego dziełach, co nie tylko uważali za wybornych *clown*ów (głuptasów), występujących w tragediach szekspirowskich, ale nawet starali się wprowadzać ich, idąc jego śladami, do sztuk własnych i naśladować ich mowę; wiele ztąd było żartów, wiele gorących sprzeczek na koleżeńskich wieczorkach przyjaciół Goethego. Nie łatwo to dziś wystawić sobie wpływ ów na młode poko-

lenie Niemców, wpływ jaki w owe czasy wywarł był na nie geniusz Szekspira. Siła ogromna głębokości myśli, oryginalność i śmiałość dykeyi, wdzięk, *pathos*, wzniosłość, dowcip i ów dziki humor osobliwie, co przesiąka wszystko w dziełach dramaturga pierwszego Anglii; swoboda żywa w ruchach i rzetelność spostrzeżenia, równie jak głębokość poglądu, jaki poeta ten rzucił na tajemnice uczucia i charakterów, były przymiotami, które musiały być konieczne zjednać sobie serca młodzieży, nie zarażonej jeszcze ani fałszywą krytyką, ani żadnym uprzedzeniem narodowego smaku. Weale inaczej było we Francyi. Tam forma, ustalona od dawna, sztuki, z którą zlewała się duma narodowa i kodeks uświęcony prawideł krytycznych, na których wykształcił się smak ogółu, musiały konieczne uczynić tam z Szekspira jakiegoś Cyklopa geniusza, jakąś potworę nadludzkich wprawdzie rozmiarów. Nie mogło być inaczej; Francuzów musiało razić nie jedno w dramatach Szekspira; przecież ci nawet, których smak wytworny bywał tak obrażony, musieli byli wyznać, że znajdowały się tu perły w pośród śmiecia. W Niemczech widziano same perły, śmiecie znikało. Lessing bez litości wysmiewał *smak dobry* (le bon goût) Francuzów. Porównano tu tragedję francuzką z dramatem angielskim i uznano ją niegodną porównania nawet. W Niemczech Szekspir stał się godłem niejako opozycyi rodzącej się przeciw Francyi i do uznania jego wielkości wiele obcych przyczyniło się było powodów. Stan literatury niemieckiej ówczesny tém większy czynił wpływ tego dramaturga. Goethe odczytał mowę w kółku swoim o *geniuszu Szekspira*. Wyznawał w niej, że od pierwszej przeczytanėj kartki oddał się mu całkiem; a kiedy skończył pierwszą sztukę, stanął jak ślepy od urodzenia, któremu w momencie przywrócono wzrok. „Czułem żywo,“ powiada „że byt mój się rozszerzył, wszystko com tu widział, było mi nieznaném, a niezwykle światło raziło mi oczy.“ „Jak my mamy w wieku naszym osądzić, co jest naturalném? Jak można przypuścić, że my znamy naturę, my, co od samėj

młodości czujemy w sobie i widzimy w innych wszystko upiękzone, uurniksowane?“ Dowód mieliśmy tego wyżej na Fryderyce w alzackim stroju.

„Często“ powiada „jestem zawstydzony przez Szekspira; nieraz zdarza się, że na pierwszy rzut oka myśle sobie, żebym coś inaczej ułożył od niego, ale wkrótce uczuwam, że jestem tylko niedołącznym grzesznikiem, że przyrodzenie przemawia ustami Szekspira, a moi personażę są tylko bankami mydłanemi, które wydeła fantazyja romantyzmu.“

„Jego węzły nie są węzłami w zwykłym znaczeniu słowa, jego bowiem sztuki obracają się na punktach skrytych (których żaden jeszcze filozof nie dojrzał i nie określił); w nich właściwości naszego *ja*, mniemana wolna wola, zlewa się z koniecznym biegiem całości.“

Znać tu studia nad Spinozą, tak zgubne w tym młodym wieku; Goethe kiedy to pisał, miał, tylko 21 lat. To widać jeszcze z następującego miejsca.

„To co wyrzekli wielcy filozofowie o świecie, to samo da się zastosować do Szekspira, a mianowicie, że to, co zwykle zwiemy złém, jest tylko stroną odwrotną świata i równie koniecznie należy do jego bytu, do całości, jak skwarna strefa z konieczności musi palić, a zimna mrozić, a to w tym celu, żeby pomiędzy nimi miała miejsce strefa umiarkowana.“

Panteizm Goethego widny w zasadach całego jego życia, panteizm Niemiec XIX wieku widnym jest w tych kilku wyrazach. Zapalił się on u ogniska systematu Spinozy, o którego duchu tak się wyraził Hegel: „*Oder Spinozismus, oder keine Philosophie!* (Albo spinozyzm, albo nie masz wcale filozofii!) Ważny fakt, zaiste, skoro przypomnimy sobie, że Niemcy na karcie dziejów oświaty własnej, z pierwszej połowy XIX wieku, zapisali dwa tylko imiona, jako ostateczny rezultat kierunku protestanckiego: „*Goethe i Hegel.*“

Wracając do myśli wyrażonych o Szekspirze, słyszymy w nich głos tego młodziana, co napisał *Götz'a o*

żelaznej ręce. Jeżeli się zwrócimy do autobiografii, tam znajdziemy inne myśli o Szekspirze, co nas przekona do reszty, że żywot ten różni się o wiele od rzeczywistości. Ton mowy Goethego jest w duchu partyi literackiej, znanej wówczas w Niemczech pod hasłem: *Sturm und Drang*, wyrażającej okres, którego charakter był potem tak nieznośnym dla niego. Szyller inaczey przyjął był wpływ Szekspira; oto co on sam o tém mówi: „kiedy wczesnie bardzo poznałem się był z tym poetą, zimno jego mnie oburzało; oburzałem się na tę nieczułość, z jaką sobie żartował w pośród najwyższego uniesienia. Nauczony potem doświadczeniem wyszukiwania poety w jego dziełach, gniewało mię jeszcze to, że w Szekspirze nie znajdował jego samego. Długo potrzeba było czekać, nim byłem w stanie zrozumieć jego indywidualność. Nie byłem jeszcze dość usposobionym do tego, abym mógł zrozumieć naturę w jej źródłisku.“

Znajomość z dziełami Szekspira nakierowała Goethego ku dramaturgii; oprócz Götza i Fausta, których rozpoczął w tym okresie, znajdujemy w notatkach jeszcze początek sztuki p. t. Juliusz Cezar.

Trzy przedmioty wybijają się w żywocie Goethego z tego strasburskiego okresu: *Fryderyka, Herder i katedra*; kobieta urocza, myśliciel i pomnik wspaniały wielkiego okresu sztuki, stali się przewodnikami w kraj namiętności, poezyi i kunsztu. Wpływ Herdera był trwałym; wpływ katedry prędko zatarł się pod piętnem innych wpływów, dość jednakże musiał on być potężnym w początkach, kiedy wywołał był wówczas traktacik o budownictwie germańskiem: D. M. *Erwini a Steinbuch*. Zapal ten tak stał się mu potem niepojętym, że zaledwo go zdołano namówić, aby przedrukował tę rozprawę w liczbie dzieł swoich. Jak jednakże pojął on był głęboko zasady, na których wzniosła się katedra strasburska, to da nam poznać następująca anegdota. Oglądał on wieżę strasburską w towarzystwie kilku znajomych, aż któryś z nich zrobił uwagę, „że jaka to była szkoda, że budowa nie została

dokończona, i że miała tylko jedną wieżę.“ Na co odrzekł Goethe, że i dla niego nie mniej przykrém było patrzeć na to, jak ta sama wieża pozostała nieskończoną; że cztery woluty kończą się zbyt nagle, że widoczna jest, że miały być na nich cztery lekkie wężownice, z jedną wyższą po środku, gdzie obecnie stoi krzyż. Ktoś go spytał zdziwiony, kto mu to odkrył? „Sama wieża,“ odpowiedział na to „tak ją długo studyowałem, tak bacznie starałem się ją wy badać, a to z tak wielkiém zamiłowaniem, że nakoniec wyznała mi całą tajemnicę swoją.“ Na co odpowiedział mu ten, co go pytał, że wieża objawiła mu rzetelnie swoją tajemnicę, i na dowód obiecał mu pokazać oryginalne abrysy, pozostające dotąd w archiwum.

Stopień uczony, cel pobytu w Strasburgu, został otrzymany; nie było czego dłużej popasać, zbliżała się chwila opuszczenia miasta, jego wieżycy pełnej wdzięku i smaku, a nareszcie opuszczenia Fryderyki. Chociaż ostatni pobyt jój w Strasburgu mięszał go wyraźnie, przecież kiedy znikła mu z oczu, zawsze myślał o wdzięku tój skromnej dziewczyny wiejskiej. Nie przestał kochać jój, chociaż czuł to, że Fryderyka nie mogła do niego należyć. Pojechał jednakże pożegnać ją. „Byłyto“ mówi on „ciężkie dni dla mnie, chociaż z nich dziś nic już nie przypominam sobie; kiedyś z konia już wyciągnął dłoń ku niéj, łzy świeciły w jój oczach, a ja czułem ciężar na sercu. Kiedyś jechał ścieżynką prowadzącą do Drusenheimu, dziwne złudzenie objęło mię; w oku ducha mego widziałem samego siebie, jadącego ku mnie, ubranego w suknię, jakiej nigdy na sobie nie miałem, szarój barwy ze srebrnym haftem. Zapomniałem o tém; ale w ośm lat później znalazłem się właśnie na tój samej drodze, udając się w odwiedziny do Fryderyki, zupełnie tak odzianym, jak byłem wtedy w owém przywidzeniu, chociaż strój ten był zupełnie wypadkową rzeczą.

I tak więc, kończy rozdział ten Lewes, bywaj nam zdrowa Fryderyko! ćudne zjawisko w życiu młodego poety; kochamy cię, litujemy się nad tobą i myślimy sobie,

jakbyśmy *my sami* inaczej z tobą postąpili! Dziś zwiedzamy Sesenheim, jak źródło Wokluzy i zapisujemy imiona nasze w księdze podróży.

okres
Sturm
und
Drang
Księga trzecia dzieła Lewesa obejmuje okres czteroletni (1771—1775) żywota poety i nosi tytuł Sturm und Drang, imię szkoły, do której wówczas należał. Taki nad nią położył napis z Goethego:

„Es bildet ein Talent sich in der Stille,
Sich ein Charakter in der Strom der Welt.“

„Musimy wszyscy być upojeni: młodość jest upojeniem bez wina.“

Jakże inaczej przemawiał *nasz* poeta do *młodości* w pełnej zapału odzie swojej!

Okres w literaturze niemieckiej, znany pod imieniem Sturm und Drang, właśnie miał powstać i zdumieć Niemcy całe, zrywając wszelkie prawidła konwencyonalne takimi dziełami jak Ugolino Gerstenberga, Götz z Berlichingen Goethego, Sturm und Drang Klinger'a, z kąd powstało miano samo szkoły i Rozbójnicy Szyllera. Dziwna to była szkoła; łączyła ona, jak powiada Lewes, mądrość i szaleństwo tej epoki; jabym powiedział, że odważyła się ona na rzecz niesłychaną dotąd, oto na *konsekwentność*; starzy rzucali *wysłanki*, nie troszcząc się, ani myśląc, co z tego wyniknie; młódz niecierpliwa wyciągnęła z nich wnioski, które zadziwiły i zmięszały starych. Należy tu wspomnieć romans sławny i u nas, a należący do owej epoki, romans Vulpins'a Rinaldo Rinaldini. Zasady te były w powietrzu, w atmosferze roztoczonej przez encyklopedystów; z nich powstał okres rewolucyi francuzkiej. W Niemczech *młódzież* przejęła się zasadą Russa, myślą, że społeczeństwo, że *stan natury* był stanem normalnym ludzi, że należało doń powrócić, aby być cnotliwym. Tym powrotem do stanu natury wstrząsły się zasady społeczne; ale w Niemczech wszystko odbywa się w teoryi; wstrząśnienia te były burzliwe na scenie, w knajpie po dziesiątej butelce piwa i na tém koniec. Kiedy przyszła kolej na Francuzów wyciągać

wnioski logiczne z przesłanek rzucanych od filozofizmu XVIII wieku, nie piwo a krew się polała. Od Russa Niemcy przeszli do Ossyana, do Szekspira, do mitologii północnej tak, że kiedy we Francyi zawrzała była rewolucya polityczna, Niemcy rozwijali u siebie rewolucyę romantyzmu, która ich na całkiem inną prowadziła drogę, bo zwracała do przeszłości, do dziejów, do faktu. Dziwnymi zapewne manowcami Niemcy od Russa, przez romantyzm, doszli do wieków średnich; teorya przyprowadziła ich była do faktów. Francuzi przeciwnie, patrząc na rzecz niby praktycznie, doszli do najdziwaczniejszych teoryi, z których do dziś jeszcze wybrnąć nie mogą.

Ale epoka *Sturm und Drang* była początkiem dopiero tego kierunku Russa; nie wiedzieli jeszcze sami młodzi, czego chcą od tej *natury*, chociaż ustawicznie słowo to było na ustach całej młodej koteryi; wedle niej natura byłato jakaś mieszanina dokonana z wulkanu i promieni księżyca; moc jęj była w eksplozyi, wdziek w uczuciu. Być zuchwałym i sentymentalnym, być *prochem* palnym i razem płakliwym, znaczyło wtedy objawiać w sobie dwa najwyraźniejsze znaki geniusza. Wszystko, co tylko było do tego czasu, było głupstwem. Geniusz unikał tych płaskości wszelkich, dla tego nie powinien był ani pisać tak, jak wymawiali i pisali wszyscy, ani też zachowywać się tak jak inni. Dopiero takie zachowanie się mogło zasłużyć na imie *germanizmu*; potrzeba było nie znać żadnego prawa, być nieokrzesanym i naturalnym. Zapewne byłato bezprawie, gburostwo, ale czy było naturalnem, można jeszcze wątpić. Dzieciństwo czasami może być zbawiennem; młodzież czytając o stanie natury w Russie, połączyła stan ten z tém, co wyczytała w Tacycie o obyczajach starych Germanów; to dało im podstawę pewną, bo dziejową, przywiązało do narodowości i nie uniosło do marzeń jakiegoś Babeuf'a naprzykład.

Nie łatwo jest w autobiografii Goethego odkryć ślad tego, że był on wodzem „*Sturm und Drang*“, ale dowody tego podają nam inne źródła. Znajdujemy np. miejsce o

tém w liście Mayer'a z Lindau (kolegi Goethego ze Strasburga) do Salzmann'a, który jak powiada Lewes, pod tym względem zastąpi całe rozdziały autobiografii. „*O Corydon, Corydon quae te dementia cepit!* Z powodu Korydona i demencyi przychodzi mi na myśl szalony Goethe. Czy jeszcze jest on we Frankfurcie?“

Ojciec, stary radca, cieszył się z początku ze stopnia uczonego; ale jego maniery, układ nie podobał mu się, nie odpowiadały bowiem powadze doktora prawa. I ztąd miała być owa powaga w młodzińcu, któremu koledzy nadali przezwisko „*wilka*“ i „*niedźwiedzia*.“ Jakkolwiekbaż podobalo się staremu to, że syn nie próżnował; przezierał jego wiersze, rozprawy, notatki, rysunki robione w Strasburgu, porządkował, spodziewając się, że młody doktor prawa odda je do druku. Ale Goethe miał tę cnotę, że się nie śpieszył drukować prac swoich; lubił on *pracę*, jak powiadał, a nie *dzieło*; zaledwo ukończył jakiś poemacik, już ostygła dlań, rzucał go gdzieś i rozpoczynał inny. Ztąd wiele z pism jego pozostało bez końca; skoro się praca przeciągnęła, zapał ostygł, rzecz zostawała niedokończona. Dość mu było odczytywać swoje utwory w małym kółku przyjaciół; oni mu wystarczali za publiczność całą. I potem, w Wejmarze, lubił on pisać dla przyjaciół, nie śpiesząc się z drukiem dzieł dojrzalszych. Praca była dlań konieczną potrzebą; potrzebował zapomnieć się, obalamować się, wspomnienie bowiem Fryderyki przesładowało go jak wyrzut sumienia. Pisywał do niej z domu, chociaż widział tu jaśniej jeszcze, że potrzeba było wyrzec się wszelkiej nadziei. Szkoda, że listy te nie doszły do nas. „Odpowiedź Fryderyki“ mówi Goethe „na list, w którym ją pożegnałem, zakrwawiła mi serce; po pierwszy raz poznałem, jak ją to dotknęło i nie znałem sposobu ulżyć jej bólu. Zawsze była ona przytomna w myśli mojej; czułem, że mi jej brakło, i co gorsza, nie mogłem sobie odpuścić. Gretchen odebrano mi, Anchen mię opuściła, ale teraz po pierwszy raz stałem się winnym; zraniłem do głębi serce, jedno z najlepszych i najpiękniejszych na ziemi.

Okres ten ponurego żalu, oprócz przywiązania, które się zwiększyło, był czasem nieznośnym, zabijającym mię. Żeby się rozerwać, szczerze zajmowałem się losem podobnym innych; starałem się rozplatać węzły nierozdzierzgnione przeciwności miłosnych i połączyć tych, co mieli się rozłączyć, aby nie cierpieli tego, co sam ucierpiałem. Dano mi ztąd przezwisko „powiernika,” a z powodu mojej włości nazwano mię „wędrowcem.” Pod szerokiem, czystym niebem, wpośród dolin uroczych albo gór malowniczych, na polu, czy w lesie, lżej jakoś było oddychać i dusza moja czuła się spokojniejszą. Nie raz przechodziłem przez miasto jak obcy; nie zachodziłem do swoich; zjadłem coś w oberży i dalej w drogę. Zwracałem się coraz więcej do przyrody, do świata bożego, tu tylko czułem jakąś pociechę. Podczas tych wędrówek moich często śpiewałem sobie dziwne hymny i dytyramby. Jedna z tych piosnek „*Wanderer's Sturmbied*” pozostała dotąd. Przypominam sobie, że ją śpiewałem głośno tonem dość obojętnym podczas okropnej burzy. Myśl tego poematu jest ta, że człowiek geniuszu powinien iść śmiało przez burze żywota, polegając tylko na sobie samym.” Myśl natchnięta oczywiście tём, co czuć musiał wtedy, we względzie swego stosunku do Fryderyki.

Dla czego Goethe nie ożenił się z Fryderyką? Były o tём silne spory pomiędzy biografami i admiratorami poety. On sam obwinia siebie w tём rzeczy, nie stara się wcale zdobywać na wymówki sofistyczne. Ale partyzanci zapaleni nie szcędzą tych ostatnich; nawet niektórzy, aby bronić poetę, czernili pamięć biednej dziewczyny, która oprócz swego dobrego imienia nic nie miała na świecie. Nawet powodem do oczernienia był dobry jej uczynek, bo sierota, którą przygarnęła po śmierci biednej swojej siostry Salomei. O! wiele ten kaprys geniuszu, któremu się podobało zająć na chwile biedną dziewczyną wiejską, kosztować ją musiał.

Pfejfer składa winę Goethego na Merck'a; on to niby odradził mu ożenienie; mówi on, że ten przyjaciel Goethego

grał tu rolę Carlos'a w *Clavigo*, który woła: „Żenić się! jakto! żenić się właśnie w porze, kiedy życie tylko co ci się odkrywa! Zasklepiac się w domu wtedy, kiedy zaledwo na świat boży wyszedłeś! Że kochasz dziewczynę, to rzecz naturalna bardzo; żeś jęj obiecał ożenić się z nią, zrobiłeś głupstwo; ale dotrzymać obietnicy byłoby czynem prawdziwego waryata!“ Pfejfer przyznaje słusznosc tym słowom i kończy tém, że niewiernosc dla swego geniuszu cięższą byłaby winą Goethego niż jego niewiernosc dla kochanki. Taki jest kodeks moralności dla geniuszu!

Lewes broni tak swego bohatera: czy źle zrobił Goethe, pyta on, że zerwał związek, którego, czuł to w duszy, miłość jego nie była dość silna, aby godnie podtrzymać? Osobliwsze pytanie! Należało pierwěj zastanawiać się Goethemu nad potęgą swojej miłości; ale nie brakło mu przywiązania, sam to wyznaje; rzecz tylko jest taka, że Goethe naj-samprzód kochał siebie i myślał o sobie, a w miłości nie myśli się o sobie. Nie zabraknie nam jeszcze potém na to dowodów. Fryderyka nie narzekała nigdy, nie wyrzucała mu nigdy jego postępku. Zobaczmy potém, jak się spotkali w lat ośm po tém zdarzeniu. Było w tej naturze coś anielskiego, czego niewart był Goethe, z kompletną edycją dzieł swoich we 40 tomach! Inna jest wielkość czynu, a inna wielkość myśli i twórczości. Goethe kochał jak poeta; zajęła go była w dziewczynie jęj gracya sielska (idyliczna); bliższe, poufalsze obcowanie z nią dało mu było poznać jęj przymioty piękne, ale też podobne zbliżenie się do niej ochłodziło zapał poetycki i nasunęło mu myśl tę, że jego wielostronna natura nie mogła być złączyć się na zawsze z Fryderyką. Myśl o małżeństwie przestraszała go. Eros, ze zwiniętymi skrzydły i z przelamanym łuczkiem, miał coś dlań przerażającego. Potrzeba tu było obrać jedno, albo spokojne życie domowe, albo zawód wyższy, który się rozwijał przed jego ambicyą. Obrał sobie ostatnie. Tak rozumuje Lewes. Dodaje następnie, że nieprzyjmując nawet owych dzikich, nieokreślonych idei, jakie tłum wyrabia sobie o geniuszu, należy wyznac po przeczytaniu żywotów

Lewes
geniusz
usu.

mężów wielkich, że zwykle mało zajmują ich ducha obowiązki w kółku rodzinném. Zachodzi, powiada, jakaś niezgoda pomiędzy życiem spokojném u domowego komina a duszą genialną, przechodząca często w dziwne kollizyc. Węzły rodzinne, nawet u serc czułych, rwą się w tém pasowaniu się z ideami, które mocą całą zajęły ducha. Jedném słowem, mówi Lewes, to co zwiemy samolubstwem geniuszu, jest wprost inném tylko nazwaniem tyranii owéj *idei*. Tyrania ta zapala stopy inkwizycyi, dziesiątkuje rodziny, zaprawia goryczą narody całe, najlepsze serca nawet czyni okrutnemi, dusze najłagodniejsze — bez litości. Tak Howard opuścił jedyne swe dziecię, zostawiając je w domu obłąkanych, podczas kiedy *postannictwo* jego powoływało go do pieczy nad więźniami krajów dalekich. Bernard Pallissy obojętnie patrzył na nędzę żony i dzieci, a ostatnie wydawał na doświadczenia, które udarowały nareszcie Europę wynalazkiem fajansu. Lewes dotknął tu istotnie wielce ważnego zagadnienia o powołaniu człowieka do celów wysokich, wymagających zaparcia się siebie; nie pojął on jednakże znaczenia tego powołania, stającego w sprzeczności z życiem rodzinném; pojął je tylko katolicyzm i w nim ludzie podobnego usposobienia ducha, ludzie żyjący dla idei, dla ludzkości całej, nie należeli do rodziny, ale do całego chrześcijaństwa: byli to zakonnicy, *bracia*, żyjący modlitwą, miłością ludzi, nauką, myślą reformy wielkiej, postępu, ofiarą siebie, jedném słowem, żyjący dla idei, która ośwładła całym ich jestestwem. Howard w katolicyzmie byłby wielkim świętym, drugim Wincentym à Paulo; w protestantyzmie został on tylko dziwakiem, na jakich niezbywa wcale Anglii. Co do Goethego, ten kochając się w ładnych dziewczętach, nie był wcale podobnym ani do świętych, ani do reformatorów. Aleksander Humboldt, będąc z powołania człowiekiem nauki, mawiał o sobie, że się nigdy nie kochał, że kochanką jego była zawsze nauka, dla której do końca pozostał z jedném, niezmienném w uczuciach sercem.

Geniusz, mówi dalej Lewes, ma swoją własną orbitę; gdy-

by orbita ta przechodziła przez powszedniość, wówczas geniusz nie byłby geniuszem, a byłby człowiekiem powszednim. Orbita ta nie jest koniecznie ekscentryczną, chociaż nieraz taką się wydaje, dla tego że jój obszar tak ogromny. Nie-raz on targa obowiązki domowe i *mniejszą moralność* (Minor morals), ulegając prawu własnego ruchu. Ztąd geniusz i moralność nie zawsze są synonimami, ale też nie są sobie z istoty przeciwne. Geniusz jest dobrym i wielkim, a w swo-
jój dobroci i wielkości, wyszukuje on wiecznych pierwia-
stków porządku — stara się uczynić życie harmonijném; ale
najpowierzchniejsza znajomość z żywotami ludzi wiel-
kich świadczy, że nie zawsze geniusz szanuje drobniejszą
moralność (!), i że powieść życia tych ludzi nie należy do
powieści moralnych. Osobliwie rozdziały dotyczące pożycia
małżeńskiego np. Szekspira, Milтона, Dantego, Bajrona nie
mogą służyć za wzór do naśladowania. Rzecz ma się tak:
geniusz największy jest tylko człowiekiem słabym i im
wyżej stoi duchem, tém więcej powinien czuć pokorę i
tém częściej powtarzać: i niewodź nas na pokuszenie.

Goethe doświadczył i umiał dobrze wystawić osobliwie
poświęcenie się kobiety dla mężczyzny; ale pewno ani razu
nie uczuł on osobliwszego przywiązania mężczyzny dla ko-
biety, kiedy przywiązanie to przybiera ton czułego opieko-
wania się istotą słabą. Później dopiero poznał on, na sta-
łość, owo delikatne splecenie czułości z nawykniem na-
łogowém, przez które życie wspólne nasiąka miłością, a
miłość podnosi się jeszcze wyżej przez owe poważne cechy,
jakie ona wtedy na się przybiera. Mało znał on to rozko-
szne *koleżeństwo* dusz dwojga, ubiegających się wzajemnie
w przywiązaniu zobopólném ku sobie, aby się przez nie
podnieść, udoskonalić, oświecić w powinności, dając sobie
ustawicznie przykłady zbawienne w tym wielkim zawodzie
życia, przykłady krzepiące ducha i dające mu silną otuchę.

Po tém zerwaniu stosunków z Fryderyką, Frankfurt i
zajęcie prawem stały się mu nieznośnemi; praca tylko mo-
gła była go rozerwać i pracował też wiele. Tworzenie Götze
z Berlichingen stało się jego namiętnością. Sztuka gotycka

zwracała na się uwagę jego; od niej przeszedł był do Biblii, na nowo ją studyował. Następstwem tych studyów były dwa traktaciki, ogłoszone w 1773; jeden nosił napis: *List pastora w *** do nowego pastora w ****; drugi: *Dwa ważne, dotąd nieobjaśnione, zagadnienia, po pierwszy raz rozwiązane przez jednego wiejskiego duchownego w Szwabii*. Znać tu wyraźny wpływ panny Klettenberg, tak w uczuciu religijném, jak w pewném poszanowaniu Biblii, a jego własne przekonania wyrażają się tu w zasadach tolerancyi. Obie rozprawy, rzetelnie mówiąc, nie wiele warte.

Pomiędzy przyjaciółmi, którym Goethe odkrywał się w tym okresie czasu ze swojemi myślami i planami, należy wymienić dwóch: Szlossera, którego poznał w Lipsku i Mereka, którego wpływ był dla niego wielce korzystnym. Portret, jaki podaje Goethe, tego znakomitego człowieka w autobiografii swojej, nie wyobraża go wcale takim, jakim on był istotnie, a jak go wystawiają inni; osobliwie źle odpowiada mu przezwisko „Mefistofela“, bo jakby nie była wielką skłonność jego do sarkazmu, przecież niezaprzeczoną jest rzeczą, że admiracya jego żywą była i szczerą, a wpływ jego na poetę był skuteczny, bądź jako pobudka, bądź też jako przestroga przyjacielska.

Ogniskiem, w którém skupiały się promienie nowych idei były: *Frankfurckie Uczone Wiadomości* (Frankfurter Gelehrten Anzeigen); tam Goethe wchodził w stosunki umysłowe z wielu ludźmi zdolnymi. Kollaboracya w tém piśmie podała mu sposobność do wyćwiczenia się w krytyce. Trzydzieści pięć artykułów napisał był on do tego dziennika; przeszły one potem do dzieł kompletnych Goethego, w których ciekawy może je wyszukać. Przy takim zajęciu czas upływał prędko. Idąc za tym popędem wrodzonym, co chciałby był poznać wszystko, nauczyć się wszystkiego, Goethe zaczął brać lekcye jazdy, fechtunku, a tak jak wtedy właśnie ślizganie się na łyżwach stało się bardzo modną rozrywką za przykładem Klopsztoka, więc i to jeszcze było zabawą Goethego i jego kolegów. Goethego nic nie było w stanie zmęczyć; nie tylko w dzień ale w nocy nawet pędził on po

lodzie, a kiedy księżyc w pełni podniósł się z po-za chmur śnieżnych i oświecił daleko gładką szybę lodu, kiedy wiatr wył żałośnie, a echo łoskotu łyżw po lodzie, obijało się o uszy jego, wtedy zdawało mu się, że się znajdował gdzieś w świecie duchów Ossyana.

Staremu Goethemu nie podobały się były wcale popisy szkoły *Sturm und Drang*; nieukontentowanie to musiało być wzrosć jeszcze więcej z czasem i stary radzca wysłał narzeczce syna do Wetzlaru, żeby tam zajął się czémś pożyteczniejszém.

Tu jednak nie prawem się zajmował Goethe, a Goetzem; sztuka ta, chociaż ogłoszona dopiero wiosną 1773 r., była przecież napisana w 1771 r., albo mówiąc rzetelniej, była wtedy napisana pierwsza ze trzech jój wersyi, w których się odlało dzieło; pierwsza wersya nosiła tytuł: *Historja Gottfryda z Berlichingen o żelaznej ręce*, dramatyzowana, która się ukazała dopiero daleko później¹⁾. Druga miała napis *Goetz z Berlichingen*, sztuka teatralna²⁾. W tój formie najpierw zostało ogłoszoném dzieło. Trzecie obrobienie—jestto druga forma, przerobiona dla sceny, dokonane wraz z Szyllerem podczas ich usiłowań utworzenia sceny narodowej w Wejmarze.

Pierwsza forma najwięcej podoba się; ona takż pod względem biograficznym najwięcej jest zajmującą. Z listu do Salzmann'a dowiadujemy się, że Goethe napisał tę sztukę w Listopadzie 1771 r. „Cały mój geniusz, mówi on, oddałem na to przedsięwzięcie, dla którego zapomniałem o Szekspirze, o Homerze, o wszystkiém; dramatyzuję historję najszlachetniejszego z Niemców, chcąc wskrzesić pamięć meżnego człowieka; praca nad tém zabija mi wiele czasu, co dla mnie jest tak pożądaną rzeczą.“ Takie daje sprawozdanie Goethe w swojej autobiografii: „Nieustający interes w dziełach Szekspira tak rozszerzył duszę moją, że ciasne miejsce przeznaczone dla sceny i krótki zakres czasu wy-

¹⁾ Werke (Ausc. von 1840) B. XXXIV.

²⁾ Werke Bd. IX.

mierzony dla przedstawienia, wydały się mi niedostatecznymi, do rozwinięcia ważnej myśli. Żywot Goetza z Berlichingen, napisany przez niego samego, nasunął sposób historyczny traktowania mojej rzeczy; imaginacya moja przyjęła tak szeroki polot, że budowa moja przybrała rozmiary, przechodzące wszelkie teatralne granice, starając się coraz więcej o to, aby się zbliżyć do życia. Myśląc nad sztuką rozmawiałem o niej z siostrą moją, która całą duszą lubiła podobne poemata; tyle razy wszczynaliśmy te rozmowy, a praca się nie rozpoczynała, że nareszcie zniecierpliwwszy się, powiedziała mi, że już dosyć było tej gadaniny, że pora już było wziąć się przecie choć raz do rzeczy, o której musiałem już wyrobić sobie, ustawiczną mowę o niej, pewną ideę. Pobudzony tém począłem jednego dnia pisać, nieczrobiwszy sobie poprzednio żadnego zarysu albo planu. Napisałem pierwsze sceny, które wieczorem czytałem głośno Kornelii; bardzo je chwaliła, ale wątpiła, czy dalej tak pójdę; nawet objawiła mi wyraźnie, że jest tego przekonania, że nie stanie mi wkrótce wytrwałosci w pracy. To tylko mię więcej jeszcze pobudzało w przedsięwzięciu; pisałem dnia następnego, pisałem trzeciego. Nadzieja powiększała się w miarę codziennych postępów, a z każdym krokiem wszystko nabierało więcej życia, im więcej ovladałem, z dniem każdym, moją rzeczą. Tak szedłem naprzód, nieoglądając się ani przed się, ani poza się, ani na prawo, ani na lewo, a w końcu sześciu tygodni miałem ukontentowanie widzieć rękopism mój zszytym.“

Gottfryd z Berlichingen, przezwany *żelazną ręką*, był znakomitym feudalnym baronem, trudniącym się rozbojem, z XVI wieku; był on jednym z ostatnich niespokojnych, bezprawnych baronów, których osobista odwaga użycza pewnego blasku romansowego czynom prawdziwego bandyty. Gottfryd o *żelaznej ręce* był godnym typem tej klasy. Jego *prawowitość* była równie niezachwiana jak jego odwaga. Co jego cesarz uważał za potrzebne dokonać, to on uważał za słuszne. Nad cesarza nie znał on innego pana. Ze swoimi kolegami baronami prowadził on ustawiczne wojny. Przeciw

biskupowi bamberskiemu, osobliwie, najczęściej się uzbrajał; zaledwo zawarł z tym pokój, natychmiast zaczął biskupa mogunckiego. Wojna była jego żywiołem. Zarywał coś z angielskiego Robin Hood'a; stał zawsze na stronic słabych i prześladowanych, chyba że go powoływał do oręża cesarz, albo że miał dokonać na swoją własną rękę małej wyprawy na gościniec w celu zrabowania karawany kupieckiej. Prześladowani uciekali się pod jego protekcję, a kupcy prosili go o konwój; było sposób wykupienia się od napadu. Ale są przykłady prawdziwej bezinteresowności Goetz'a i osobliwszej dobroczynności jego. Krawiec *np.* jakiś winien był komuś dwieście florenów i nie był w stanie ich zapłacić; udał się do Goetz'a z żałosną powieścią niedoli swojej; natychmiast *żelazna ręka* napada na dwóch głównych kupców kolońskich ciągnących gościńcem i zmusza ich do zapłacenia za niego długu.

Pociągającą osobą dla poety wieku XVIII był ów rycerz śmiały a lotrowaty, bojujący sam za się przeciw rosnącej potęgę cywilizacji, ów herszt usiłujący oprzeć się mocy *prawa* i przechować nadal duch ulatniający się czasów feudalizmu. Osobliwszy urok musiała być dla owoczesnego poety owa *indywidualna* wielkość Goetz'a; był tu człowiek znakomity nie przywilejem, ale przyrodzeniem; rysuje się on w dziejach wyraźnie nie w skutek *podania*, nie łaską dworu, ale mocą swęj własnej potęgi, w skutek przyrodzonego mu animuszu butnego, jakby ongi powiedziano u nas o jakim Piotrze Szafrancu z Pieskowej skały. Czyż cały kierunek wieku XVIII nie był dążnością uznania osobistej zacności, mocy praw przeciwko przywilejom, swobody przeciw podaniu dziejowemu? Takim bojowaniem samém był kierunek wieku XVI, którego wiek XVIII był szerszém i ostateczném wywinięciem w czynie. Reformacya tak się miała do religii, jak rewolucya francuzka do polityki; było powstanie przeciw powadze tradycyi, było bój zajadły o prawa osobowej swobody w rzeczy myśli i czynu, o przepisy absolutne klas uprzywilejowanych.

W *kronice o Goetzu z Berlichingen* czyny jego są wspomniane przez niego samego z nieudaną godnością. Tam Goethe znalazł zasób podobny do tych, jakie dla Szekspira odkryły się w Holingshed'zie i Sakso-gramatyku; korzystał z nich z równą, jak tamten, swobodą. Szekspir dramatyzował był *kronikę*, kazał jej żyć i ruszać się przed okiem widza, ale dramatyzował *kronikę*, a nie napisał dramatu, mówi Lewes. Różnicę tę wyprowadza dla powodu, który się zaraz okaże.

Viehoff wykazał (Goethes Leben II, Bd. str. 77 — 79) dowodnie, o ile i w jaki sposób Goethe skorzystał był z kroniki o dziejach rycerza o żelaznej ręce; wskazał także rozmaite pierwiastki dodane w dramacie z wynalezienia (inwencji) samego poety. Dla nas podobne szczegóły nie mogłyby mieć tego samego interesu; dość będzie odesłać ciekawego czytelnika po szczegóły do wyżej zacytowanego miejsca i zająć się tylko charakterami utworzonymi myślą Goethego. Postaciami temi są Adelajda, sławny, lubieżny, fascynujący Demon; Elżbieta, szlachetna pani, w której matka Goethego lubiła widzieć samą siebie; Marya—wspomnienie Fryderyki; Jerzy, Franz Lerse, Weislingen i narzeczcie Cyganie. Pomysł śmierci Goetz'a także jest oryginalnym.

Goetz nie był dramatem, byłato raczej kronika dramatyczna; nie należało go nigdy zwać dramatem, ale potrzeba go było zostawić w jego pierwotnym kształcie i pod pierwotnym tytułem; zapobiegłoby to było wielu nieporozumieniom i pomięszaniu idei, osobliwie co się dotyczy Szekspira i jego formy kompozycji dramatycznej. Podczas kiedy nikt nie może zaprzeczyć wpływu Szekspira na to dzieło, przecież dowodziło by to wielkiego braku w ścisłości wyrażenia myśli, gdybyśmy nazwali dramat Goethego sztuką szekspirowską. Tegoż samego zdania jest Lewes; krytycy sądzą dzieło na mocy zgody jego z tém co jest; zaledwo wyszedł utwor jaki, kiedy natychmiast feruje się jeden z dwojga wyroków: albo odrzucają go, dla tego że się nie szykuje do żadnej ze znanych już kategorii i

potępiają go dla tego, że nie jest naśladownictwem, albo też przeciwnie zaciągają go poważnie pod pewną rubrykę, nalepiają nań markę, są z niego zadowoleni i wkrótce zapominają o nim, że jest on nawet na świecie. Goetz znalazł się był w ostatniej pozycyi, dla tego że zachwiał był wiarę w *jedności* tradycyjne (teoryi klasycznej dramaturgii) i ustawił na scenie, po-za personażami dobrze urodzonymi, lud prosty dla tego, że zamiast deklaracyi zwyczajnej, jaka była właściwą tragedyi francuzkiej, osoby w Goetzu *mówiły*, stosownie do celu; dla tego nareszcie, że sztuka ta nie mogła była podciągnąć się w żaden sposób pod dobrze znany typ klasycznej tragedyi francuzkiej, więc należało ją było koniecznie zaliczyć do typu szekspirowskiego dramatu, jako jedynę znaną powszechnie formy, przeciwnę formie francuzkiej.

A jednak byłato zupełnie rzecz różna. Co do budowy różni się dramat Goethego od szekspirowskiego najprzód z tego względu, że wystawia raczej *epokę* niż *namiętność*; potem dla tego, że przybiera swobodę opowieści, a nie stara się zajmować ustawicznie sceny działaniem i nie poddaje się pod surowe konieczności sceniczne; potrzebie, jako objawiający wyraźnie brak tej jedności wewnętrznej, w około której grupują się zwykle u Szekspira wszystkie osoby działające i wypadki, tworząc podobnym organizmem żywym dzieło rzetelne sztuki. U Goethego widzimy tylko szereg następujących po sobie scen, widzimy historję w ustępach.

Byłoto już w duchu geniuszu Goethego przywiązywać się więcej do *charakteru* i *obrazu*, a zostawiania obojętnym co do *akcyi* albo wydarzenia. W historyi utworu swego nie dbał wcale o okoliczności; starał się tylko o wywiniecie przyrodzenia człowieka, coby zadowolnił wymaganiu umysłu, i kunsztowne oddanie rzeczy, coby znowu zadowolniło potrzebę uczucia artystycznego. Przyrodzenie człowieka moralne więcej miało dla niego pociągu jako studjum psychologiczne, niż jako obraz *namiętności*; były to raczej problemata niż wzruszenia. Tu leży powód mo-

ralny osobliwszego braku w Goethem uczucia dziejów i siły dramatycznej. W dziejach odwracał się on od biegu wydarzeń; ich wielkość nawet nie miała dlań powabów, dla tego że wielkość ich uszczuplała postać człowieka, jako działacza, na którym wyłącznie polegał u niego cały interes. Byłto kontrast widoczny z utworami szkoły angielskiej i hiszpańsko-francuzkiej (Le Sage), gdzie imaginacja, wypadki brały pierwszeństwo przed charakterami. Goethe streszczał życie, lubił wyrażać je w symbolu, w idei; krytycy od niego rozpoczęli okres sztuki symbolicznej. Romanse Goethego były pierwsze, co wyrażały w sobie pewną myśl filozoficzną. Utwory G. Sanda we Francyi poszły od *Wahlverwandschaften* (Powinowactwa przyrodzone) Goethego; wzięła autorka ta od Goethego zarówno ideę i formę. U nas najwięcej do téj formy, w której przeważa symbolika idei, zbliża się Kraszewski w romansie, podczas kiedy dla Korzeniowskiego więcej mają powabu wypadki, szczegóły życia, niż jego idea filozoficzna, niż chęć jęj symbolizowania.

Wracając do Goetz'a wyznać należy, że i pod względem wystawienia charakterów dzieło to równie dalekiem jest od cechy szekspirowskiej. Dumie narodowej Anglików, mówi Lewes, wydaje się, że wszelkie oddanie mistrzowskie charakteru wszędzie i zawsze nosić musi cechę maniery Szekspira; podobnego przypuszczenia jednak trudno byłoby dowieść w obliczu Sofokla, Rasyne, albo Goethego. Każden poeta ma swój własny sposób wystawienia postaci moralnej człowieka i w rzeczy téj Szekspir wcale nie jest podobny z autorem Goetz'a. Fizyonomie ruszają się przed nami w swojej osobowości, co do zewnętrznej charakterystyki, ale w nich nie masz, tak jak to ma miejsce u Szekspira, tego, co wypowiada ich najskrytszą istotę duszy. Znamy te osoby z ich słów i postępków, ale nie znamy ich myśli, nie znamy tego, jak, czasami, duch ich chce sam siebie ludzić, nie znamy ich ukrytych, obalamuconych powodów, ciemnych zwykle dla nichże samych, a dojrzanych przez nas w przeblysku światła wewnętrznego, tryskają-

cego, czasami, z ich słów gwałtownych. Oto np. jedno miejsce z Goetza: Weislingen jest zarazem ambitnym i nie-decydującym się, ma zamiary dobre, ale jest słaby ³⁾. Głos przyjaźni budzi zgryzotę w nim i zmusza go do przyjęcia wyciągniętej od Goetza dłoni. Przysięga nigdy na nowo nie wchodzić do pałacu biskupiego, ale wciągnięty będąc łatwo przez próżność, upada przez pokusę, jeszcze raz zwraca się do swego szlachtetnego przyjaciela i umiera, oszukany i otruty od żony, dla której wszystko był poświęcił, umiera, bez kropelki jednej litości u obcych, wzgardzony przez siebie samego nawet. To wahanie się jest rzetelne, ale brak mu rzetelności w wystawieniu. Widz patrzył tylko na postępowanie Weislingen'a, nie może je sobie wytłumaczyć. Stoi jakby przed zagadką, jak to się zdarza w życiu rzetelném, ale nie przed charakterem takim, jaki sztuka w stanie nam jest okazać, przez który oko nasze przejrzeć może do głębi. Nie jest zadaniem sztuki wystawić nam enigmata i Szekspir w najdzielniejszych, najszcześliwszych swoich postaciach sprawia w nas to widzenie duchowe w duchu personaży swoich, podczas kiedy patrzymy na *działanie* ich w dramacie. Porównajmy tego Weislingen'a z charakterami słabemi, chybkimi u Szekspira, z Ryszardem II, królem Janem, albo Hamletem; różnica nie będzie w stopniu, ale w rodzaju.

Dykeya takó¿ nie jest szekspirowska. Jest ona mocna, malownicza, jasna, dramatyczna, ale nie nasiąkła ona myślą, nie jest zaciemniona w wyrazie i ciężka przesyceniem częstém ideami, co jest cechą, a nieraz błędem dyalogu Szekspira. Nie ma ona wcale nadętości i zbytku w obrazach, w które wpada nieraz Szekspir, chociaż wyśmiewa sam tę manierę, dając nauki aktorom w Hamlecie. Podobna trzeźwość dyalogu zadziwia, zwłaszcza w pierwszym dziele młodzińca, w wieku, w którym dusza lubi wyrażać się w obrazie.

³⁾ W tém jego wahanii się Goethe miał zamiar wystawić swoje własne niedołęztwo we względzie Fryderyki, jak sam się do tego przyznaje w *Wahrheit und Dichtung*.

Niemozna sądzić tego dramatu Goethego żadną normą. Jestto poema dramatyczne, które dokonało przewrotu w teorii poezyi, ucząc téj wielkiej prawdy „że dla każdego narodu rzetelny duch klasyczny powinien być wynalezionym w geniuszu własnego wątku tak poezyi jak dziejów przeszłości; ten ktoby chciał rzetelnie iść śladem Homera, powinienby był w kronikach swego rodzinnego kraju poszukiwać wieku bohaterskiego. Byłoto dziecię pierworodne romantyzmu, albo raczej téj dążności, z której wywiązała się była ta szkoła, a dążność ta szeroko się rozgałęziła z czasem. Zawierała się ona już u Herdera; on najpierwszy zrozumiał, gdzie się kryje geniusz narodowy, zwracając się do pieśni ludu (*Stimmen der Völker*); kierunek ten wszczepił on w Goethego, który go czynem przeprowadził w życie. Ztąd powstał Walter Skott w Anglii; ztąd u nas: Grażyna, Wallenrod, Ballady Adama, ztąd Marya, Dumy Bohdana, Zamek Kaniowski; ztąd nareszcie *Pan Tadeusz* i *Pamiętki cześnika parnawskiego*, w miarę tego, jak lepiej wyrozumiano charakter i istotę poezyi i przekonano się, że nie żyje ona koniecznie w wiekach zamierzchłych, ale że jestto tylko istota wewnętrzna kształtu, zachwycającego życiem samodzielném, wyrażającym w sobie barwę czasu i cechę plemienia.

Występuje tu na scenę po raz pierwszy w Goetzu tak nazwana odtąd *barwa narodowa*. Lewes tak o tém mówi: „wpływ miejscowej, albo dziejowej barwy, co się dotyczy dramatu, miał raczej zgubny wpływ na sztukę niż zba wienny; pomieszano tu dwa różne pierwiastki: dramatyczny z dziejowym. Każden, choć najmniej oznamiony z płodami szkoły romantycznej w Niemczech i Francyi pojmie od razu to, co tu mówię. Goethe, niepisząc dramatu, ale dramatyzując tylko wizerunek wieków średnich, barwa miejscowa musiała stanąć za najpierwszy warunek; ponieważ ta strona była tak powabną w dziele Goethego, inni poczęli go w tém naśladować tam nawet, gdzie rzecz ta mniej była konieczną. Owszem krytycy tak są przeświadczeni o konieczności tego warunku, że odtąd starają

się w każdym frazesie Szekspira wyszukiwać dowodów tego, że ten poeta dramatyczny był wielkim malarzem czasów ⁴⁾, zapominając zapewne, że owa barwa miejscowa jest odwołaniem się do uczonego, krytycznego audytorium, a nie do serca i wyobraźni. To już są dzieje, nie dramat. Makbet w peruce, ze szpadziną u boku, przerażał tłumy widzów okropnym widokiem zgryzot sumienia. Kostium nie przyczyni się zapewne więcej do przerażenia serca; do tego stopnia staliśmy się krytyczni, że wymagamy rzetelności dziejowej tam nawet, gdzie w wieku więcej dramatycznym pytano tylko o namiętność. Prosty rzut oka na naszą własną (angielską) literaturę dramatyczną dostatecznym będzie na to, aby się przeświadczyć o przeważnym (i nie w swoim miejscu) wpływie dziejowym, tak w traktowaniu, jak nie mniej w przedmiotach obieranych dla dramatu!“

Tak mówi Lewes; ma on słusność w gruncie rzeczy; to co jest w sztuce scenicznej dramatycznego — co stanowi dramę — to rzeczywiście jest całkiem niezależnym od barw czasu i miejsca; ale czy te barwy, dodane dziś do dramatu, psują dla tego efekt? Czy brak jego nie jest raczej w skutek tego, że autorom traktującym dramat braknie talentu dramatycznego, że się nadstawiają kostiumem i dziejowemi szczegółami? Pewną jest rzeczą, że dramaturgia, że w ogóle sztuka XIX wieku, stanąwszy raz na tém stanowisku rzetelności dziejowej, którą stosuje wszędzie, nie może już wrócić na stare swoje stanowisko, że w tém więc jest i musi być *postęp rzetelny sztuki*. Porównajmy z sobą *Barbarę* Felińskiego i *Odyńca* i osądźmy je pod względem barwy, gdzie to będzie postęp? Prawda,

⁴⁾ Uczucie *barwy* nie jest skutkiem nauki, a jest darem wrodzonym, poetyckim; Szekspir przeczuł był fizjonomię Grecyi i Rzymu, nie będąc uczonym; za całą erudycję starożytności posłużył mu Plutarch, resztę dopełniło przeczucie wieszczce. Tak autor jednego monumentalnego dzieła (Feydeau — *Hist. des usages funèbres*) mówi słusznie o Augustynie Thierry'm: „Il eut le sentiment de la couleur, sentiment qui ne s'acquiert pas par la reflexion, ni par l'étude, mais qui nait avec nous, comme toutes les aptitudes différentes de nos esprits, comme toutes les passions de nos coeurs (p. 24). Dalej mówi: „le génie ne consulte pas, comme on l'a dit, dans le souvenir, mais dans la prescience, dans la faculté de vision, de divination.“

że człowiek, jako namiętność, jest zawsze jeden, więc dramat, w tém co w nim jest istotnego, w rozwoju *passyi*, jest niezależnym na pozór od czasu i miejsca; rozwija się tu treść *wiecznego* człowieka. Ale człowiek tak uważany jest tylko *absolucją*, przechodzi snadno w widmo bez życia, staje się w końcu *komunalem*. Tém właśnie zawiniła była idealność klasyczna; tu rozwijała się podobna idea człowieka wiecznego, wyszła ze szkoły stoickiej Seneki; aby idea ta była żywą, potrzeba, aby ten człowiek wieczny, zawsze jeden w istocie swojej, przejawiał się pod warunkami miejsca i czasu, aby przyjął na się postać *indywidualną*. Ten był właśnie powód powrotu do owych cech rzeczywistości: *osobowości, narodowości i ducha czasu*. Oto jest odpowiedź, jaką daję tu Lewesowi na jego zdanie.

Jakkolwiekby, mówi Lewes, chociaż w swoim czasie Goetz był chwalonym bardzo, pod względem oryginalności nie jest on przecież utworem samodzielnego ducha; znać tu słabość właściwą młodemu wiekowi i brak zasobów doświadczenia tak w życiu jak i w sztuce. Wiele rysów, scen nawet, zamiast tego, aby były one wywinięte z wątku obrabianego, Goethe brał ze współczesnego sobie życia. Liczył tu na ich efektywność, niebaczając na to, że to popsuje mu całość obrazu i wprowadzi dyssonans w tonie jego. Tak np. scena pomiędzy Goetzem, a bratem Marcinem, w której mieści się alluzja do Lutry, zawiera w sobie idee zaczerpnięte z kontrawersyi epoki samego poety. Hegel w estetyce swojej mówiąc o téj sztuce robi uwagę, że Goethe wprowadził do dramatu swego idee pedagogiczne Basedowa. „Dzieci“ mówi on „w nim uczą się wiele rzeczy niedorzecznych i dla nich nieprzystępnych, podczas kiedy rzetelną metodą byłoby poznać z rzeczami, a nie z imionami.“ Goethe był żywotnym: brakło mu, jako młodemu, zasobów z życia i dziejów, brał je więc z tego, co go otaczało, brzydząc się komunalem i czczym frazesem, jak to robią zwykle młodzi w takich razach, chcąc czemkolwiek zapełnić czezość swego dzieła.

W Wetzlarze była *Izba główna* apelacyjnego sądu

całego świętego państwa rzymskiego, rodzaj kancelaryi niemieckiej, albo naszego trybunału lubelskiego; po niemiecku *Izba* ta zwała się *Kammer-Gericht*, sprawy tu gromadziły się ogromnie, a szły powolnie, po niemiecku; podczas przyjazdu Goethego liczono tu ich do 20,000, czekających wyroku. Siedmdziesiąt tylko patronów chodziło koło nich, zaledwo sześćdziesiąt spraw można było przeprowadzić rocznie przez trybunał, a podwójna ilość co roku przybywała powiększyć liczbę spraw oczekujących rozwiązania prawnego. Niektóre sprawy sto i półtorasta lat czekały tego rozwiązania; strony zmierały i dzieci ich to samo, a decyzja sprawy ciągle była w przyszłości. Podobne bezprawie nie wiele to musiało zachęcić do prawa Goethego. Obchodzić nas tu jeszcze Dom Niemiecki (*Deutsche Haus*); był on pozostałością znanych nam dobrze *Krzyżaków*, kawalerów niemieckiego zakonu. Po odpadnięciu Prus od zakonnej władzy, Krzyżacy jak kawalerowie maltańscy wegetowali jeszcze, mieli ogromne dobra w Niemczech, a w niektórych miastach tego kraju były domy naczelników zakonu, w których naczelnikami byli ludzie świeccy, żonaci. Tak było w *Deutsche Haus wetzlar*skim; Herr Buff zajmował w mieście, niejako *Amtmann*, ale jako ojciec pięknej córki najstarszej, panny Szarloty.

Rycerze ci, ma się rozumieć, byli parodią tylko zakonu; byli to ludzie różnych narodowości, a pomiędzy nimi był ziomek nasz Lubomirski. Składali oni pewien klub. Dawano mu imię *rycerzy okrągłego stołu*, a każdemu rycerzowi różne przezwiska; *St. Amand* zwał się *decydującym*; *Eustace* — *roztropnym*; Lubomirski — *bojującym*; po polsku, kiedy sobie podchmielił, kieroszował Niemcom łby krzyżową sztuką. Promotorem tego klubu był August Fryderyk von Goué, sekretarz ambassady brunświckiej; był to człowiek dowcipny, nie bez talentu, lubiący zalewać sprawę. Nosił on przezwisko rycerza de Cousy, a Goethego, którego wciągnął do swego klubu, przezwiał *Goetz von Berlichingen der Redliche*, *prawym Goetzem z Berlichingen*.

Oto jakie osobliwsze towarzystwo otaczało w Wetzlar, naszego poetę!

Z téj epoki mamy opisanie usposobień Goethego przez Kestnera. Pisze on, że młody poeta został wysłany tu przez ojca, aby przy trybunale nabył wprawy *in praxi*, ale on więcej przykłada się do Homera, Pindara niż do starych, prawnych szpargałów i jurysty nigdy z niego nie będzie.“

„Ma on wiele talentu, jest rzetelnym geniuszem i człowiekiem z charakterem; ma nadzwyczaj żywą wyobraźnię i dla tego prawie zawsze wyraża się obrazowie i w przenośniach. Często sam mówi o sobie, że mówi figurycznie, i że się nie może przewyciężyć do tego, aby nadać swojej znaczenie literalne, ale że się spodziewa, że z czasem, kiedy dojrzeje, będzie wyrażał myśl swoją prosto, tak jaką ona jest sama w istocie swojej.

„Ognistym jest we wszystkich swoich przywiązaniach, jednakże wielką ma moc nad sobą. Sposób jego myślenia szlachetny; do tego stopnia wolny jest od przesądów, że zawsze postępuje, stosownie jak się mu to wydaje dobrém, bynajmniej nie troszcząc się o to, czy się to będzie tak wydawało innym, czy to jest przyjętém, czy prawa konwencyonalne zgadzają się z tém. Wszelki przymus jest mu nieznośnym.

„Lubi bardzo dzieci i z przyjemnością bawi się z niemi; jest *dziwacznym* i wiele ma takiego w postępowaniu i w układzie, co może od niego odstęczać. Ale u dzieci, u kobiet i u wielu innych jest on zawsze w łaskach.

„Bardzo poważa płeć niewieścią; *in principis* (w zasadach) jeszcze nie ma statecznej reguły i szuka dopiero pewnego systematu.

„Jest on np. wielbicielem Russa, ale nie jest jednakże ślepym jego zwolennikiem.

„Nie jest on, jak się mówi *ortodoxą*. Jednakże nie pochodzi to ani z dumy, ani z kaprysu, albo też ztąd, aby odegrać jakąś rolę. W niektórych względach mało się wynurza i nie lubi zamącać pokoju inszych w ich własnych przekonaniach, które raz uznali za dobre.

„Nienawidzi sceptycyzmu, ubiega się za prawdą i za

przekonaniem w wielu względach i nawet zdaje się mu, że w ważniejszych rzeczach zdobył już je sobie; ale, o ile mi się zdaje, nie doszedł on jeszcze do tego. Nie chodzi do kościoła, nie przystępuje do sakramentów i rzadko się modli, bo powiada, nie jest na to dostatecznym hypokrytą.

„Czasami, zdaje się, wyrobił sobie pewne opinie we względzie niektórych przedmiotów i jest w téj mierze spokojnym, czasami przeciwnie.

„Czci religię chrześcijańską, ale nie w tym kształcie (!), w jakim wyrobili ją nasi teologowie.

„Wierzy w życie przyszłe, w lepszy stan bytu w przyszłości.

„Szuka prawdy, ale więcej daleko ceni samo uczucie prawdy, niż jój udowodnienie (!?)

„Wiele już dokonał, wiele ma nauki, wiele czytania, więcej jeszcze rozmyślał, wyrozumował. Głównie zajmował się belletrystyką i sztukami pięknymi, albo raczej zajmował się wszelkiego rodzaju naukami, temi tylko wyjąwszy, co dają kawałek chleba.“

Na marginesie tego szkicu Kestner dodał: „chciałem był opisać go, ale wieleby to czasu zajęło, wiele bowiem dałoby się jeszcze o nim powiedzieć. Słowem jestto bardzo znakomity człowiek. Potém nigdybym nie skończył, gdybym chciał opisać go zupełnie.“ Tak go cenili ci, co go otaczali naówczas.

Fryderyka zaczęła się była powoli zacierać w pamięci; miejsce jój zastępowała w sercu młodzieńca Szarlota Buff, córka wyżej wzmiankowanego *amtmana* krzyżackiego. Na dwa lata przed przybyciem Goethego do Wetzlaru straciła była matkę; cały dom i młodsze rodzeństwo na nią spadały świętém następstwem. Miała tylko lat szesnaście, ale miała zastanowienie, ochotę do gospodarstwa, miała odwagę i wytrwałość, które ją podtrzymywały w tym zawodzie. Od dwóch lat była zaręczona Kestnerowi, temu, który to wypowiedział wyżej przytoczone o nim zdanie; było sekretarz poselstwa hanowerskiego, liczący naówczas około 24 lat wieku; spokojny, porządny, formalny,

racyonalny, wykształcony, wspaniałomyślny młodzian, jak dowodzi tego korespondencya jego, dochowana dotąd; jego to wyobrazić ma Albert w Werterze, figura, która jednakże nie daje wcale rzetelnego pojęcia o swoim pierwowzorze. Szarlota jest ową Lottchen w *cierpieniach młodego Wertera*. Każdy pamięta zapewne ową scenę idylliczną tego romansu, w której Albert poznaje Lotte, zastając ją otoczoną dziećmi, rodzeństwem młodszym i rozdającą im chleb z masłem. W rycinach do dzieł Goethego zawsze prawie występuje ta prosta scena. Goethe zbliżył się był do Lotty, nie wiedząc o tém, że była już zaręczoną. Podobala się mu tak, jak była, z tym powabem prostoty, który tak czaruje w młodej dziewczynie; nie miała ona ani wykształcenia wysokiego, ani geniuszu poetycznego, nie była wcale tą sentymentalną Lottchen Wertera, ale spokojnym, wesolém, szczerém dziewczęciem, kobietą wyborną na żonę i gospodynię domu. Zresztą grała tu wielką rolę imaginacya młodego serca poety, otaczająca wszystko osobliwszą glorią uroku. Goethe był tu domowym prawie; Lotta lubiła jego towarzystwo, lubiła z nim mówić, tańczyć; Kestner patrzył na to spokojnie, bez zazdrości wszelkiej, ufając narzeczonej i przyjacielowi. Goethe kochał dziatwę wesolą, cisnącą się do niego, kiedy tylko wchodził do domu ojca Lotty. Dzieci te podwójnie były mu drogiemi, będąc braćmi i siostrami ukochanej mu dziewczyny.

W owym czasie wydarzył się w Wetzlar wypadek smutny; młody jeden człowiek, Jeruzaleme, syn opata Riddagshausen⁵⁾ zwracał na się powszechną uwagę, jako piękny jasnowłosy młodzian, z łagodnemi błękitnemi oczami i tęsknym wyrazem twarzy. Usposobienia był melancholiznego, do czego zapewne powodem musiała być hypochondrya; lubił rozmyślać nad samobójstwem i starał się je oprzeć na podstawach rozumowych. Zakochał się był nieszczęśliwie, bo w żonie swego przyjaciela, u którego był

⁵⁾ Ma się rozumieć opata niekatolickiego, byłto sobie opat protestant; opactwo jego sekularyzowane przed dwoma wiekami dawało mu tytuł i dochody.

jak domowy; uniósł się raz do tego stopnia, że się jęć oświadczył i został odtrącony; żona wierna poskarżyła się mężowi; wypowiedziano dom młodemu Jeruzaleme. Ztąd nastąpiło samobójstwo. Jeruzaleme był człowiek wykształcony, z nauką, był przyjacielem Lessinga, wydał dość w swoim czasie czytane dzieło filozoficzne. Śmierć jego uczyniła była silne wrażenie w towarzystwie: samobójstwo z miłości rzadkim było faktem w wieku XVIII. Goethe znał z widzenia Jeruzaleme; widywał go nieraz przechadzającego się późno samotnie za miastem. Postać ta odbiła się głęboko w jego poetycznej duszy; kochał się on także w narzeczonej przyjaciela; mimowoli musiał się być stawiać w osobie Jeruzaleme. Tém bardziej, że postrzegał z dniem każdym, jak Lottchen jego pamięta o tém, że należy już do kogo innego i stara się zawsze utrzymać go tak, aby pomiędzy nimi nie innego nad przyjaźń samą być nie mogło. Są listy Kestnera z tego okresu, w których on pisze o tém, jak jego narzeczona umie nad sobą panować i jest dla Goethego przyjaciółką tylko; sam Kestner nie wdawał się w to, jakby nie miał żadnych praw wyłącznych do ręki i serca Lotty; istotnie była to ciekawa historia trzech serc — Lotty, Kestnera i Goethego. Każde z trojga kochało inaczej — dziewczyna kochała narzeczonego po bożemu, Kestner kochał jak mąż silnego ducha, Goethe zaś kochał jak poeta. Lewes robi słuszną uwagę, że miłość Goethego bez wzajemności nie mogła się nazwać miłością nieszczęśliwą; owszem byłoto przywiązanie pełne powabu, patrząc nań jak na uczucie, w którym więcej daleko działała wyobraźnia żywa niż serce, w którym brał udział większy poeta niż człowiek. Lotta obudzała jego imaginację; wdzięk jęć, jęć niezamąconą niczém pogoda duszy, jęć układ pełen uczucia i dobroci musiały go zachwycać; stosunek jęć do niego musiał być tylko podnosić ten urok, nadając uczuciu jego niepewność, czy zostanie podzieloném. Jestem pewny tego, dodaje autor żywota Goethego, że gdyby Lotta była wolną, wówczasby sam od niej uciekł, jak uciekł był od Fryderyki.

Jakkolwiek bądź będąc w tym stanie uczucia bez nadziei był on niespokojny, niecierpliwy i w pewnym względzie nieszczęśliwy. Z każdą chwilą położenie Goethego stawało się nieznośniejszém; w tym czasie przyjechał do Wetzlaru Merck; ten, widząc jak się mają rzeczy, namówił go na wędrowkę po Renie; Goethe opuścił miasto bez pożegnania. Napisał tylko bilecik do Kestnera, bilecik przyjacielski, prosząc go, aby oddał Lottchen drugi, załączony w jego bilecie. List ten był następującej treści:

„Spodziewam się kiedyś powrócić, ale Bóg to jeden wie kiedy! Lotto, czego nie przecierpiało serce moje, kiedym słuchał cię mówiącą, myśląc w duszy, że to ostatni raz cię widzę. Nie raz ostatni, ale jutro już jadę. Wyjechał! Wiele to poda wam materyi do mówienia. Kiedym chciał był ci powiedzieć wiele, niestety! mogłem tylko przycisnąć do ust rękę twoją, którą po ostatni raz całowałem. Wystawiam sobie teraz ten pokój, do którego już nie wejść nigdy, tego ojca kochanego, co mię odprowadził do progu, po raz ostatni. Teraz jestem sam i mogę się wyplakać. Zostawiam cię szczęśliwą i mogę się spodziewać, że w sercu twojem zajmę i ja miejsce. Mogę cię widzieć jeszcze, *ale jeżeli nie jutro, to dla mnie jakby nigdy!* Powiedz chłopcom, że już pojechałem. Więcej powiedzieć nie jestem w stanie.“

Goethe wyjechawszy z Wetzlaru z takim nowym zapasem uczuć i myśli miał nowy wątek, z którego poeta snuł przedze powieści uczuciowej. A tymczasem Ren malowniczy nastrajał duszę poetycznie, duszę rozrzuwioną już bez tego rozłąką świeżą z ukochaną mu osobą. Przecież ten nastrój ducha nie był ciągły; z tej podróży po Renie mamy kilka pamiątek, jak *Pater Brey i Satiros*, w których przebija się humor i sarkazm. Ale nic dziwnego, w podobnym stanie, jak był stan Goethego, nieraz wypływa na powierzchnię serca gorycz pewna. Nikt nie zgadnie, czém się jeszcze zajmował nasz poeta; oto malował w stylu szkoły flamandzkiej, ale co naprzykład? Trzonek od seczyryka zszyldkretu, nakładany srebrem! W przestankach poprawiał Goetza, którego miał z sobą w tece.

Kiedy Goetz został nareszcie ogłoszonym, zrobił on *furorę* w salonach i w całym świecie literackim. Herder jeden, co dość obojętnie odzywał się o Goethem, poznawszy go w Strasburgu, niewiele także smakował w jego pierwszym utworze. Księgarze prosili Goethego, aby pisał im tuzinami w tym rodzaju; nawet gotowi byli zapłacić mu za każdy podobny dramat *kilkanaście talarów*. Honorarya wówczas w Niemczech nie były wcale świetne; prawda, że przedruki, brak prawa o własności literackiej, rozdrobienie Germanii, nie mogły być zapewnić wielkich korzyści nakładcy dzieła nowego.

Osobliwszy sentymentalizm panował wówczas w Niemczech; było symptom chorobliwy, pochodzący z braku wiary, miłości i nadziei, owych trzech cnót teologicznych, bez których nie masz wcale życia ducha. Brak ten polotu wyższego starano się zapęłnić egzaltacją fałszywą, cikliwą i pełną czczości. Samolubstwo panowało wszędzie, a mówiono ustawicznie o *filantropii*. W Koburgu założono *Zakon Przebaczenia i Ekspijacyi*; Leuchsinring, którego Goethe wysmiewa w *Pater Brey'u*, był fundatorem *Zakonu Sentymentu*. Mówiono o sobliwszych przyjaźniach, *pobratymstwach* i t.d. Jan Paweł Rychter mówi dowcipnie z tego powodu „że w epoce jego panuje osobliwa, powszechna miłość dla wszystkich ludzi i zwierząt, wyjąwszy tylko recenzentów.“ Kochano sąsiada, a więcej jeszcze jego żonę. A jakże płaskim i śmiesznym był ów sentymentalizm! Znany fizyonomista Lavater, pastor protestancki, pisząc do hrabiny Braconi, kobiety zamężnej, tak się wyraża: O toi chérie pour la vie, l'âme de mon âme! Ton mouchoir, tes cheveux sont pour moi ce que mes jarretières sont pour toi. (O ty ukochana moja, na życie całe, duszo duszy mojej! Chustka twoja, twoje włosy są dla mnie tém, czém są dla ciebie moje podwiązki!)

Goethe korrespondował z Kestnerem, pisywał do Lotty, a tymczasem w głowie jego dojrzewiał Werter. W Październiku 1772 roku, pisał do swego przyjaciela, dowiedziawszy się (fałszywie) o samobójstwie jednego ze swoich to-

warzyszy w Wetzlar, Goué: „napisz do mnie o Goué; *znam szacunek do podobnego postępku i lituję się nad ludzkością!*“ Sam jednak nie miał ochoty do podobnego czynu; dusza młoda smakowała we wszystkich przyjemnościach życia. W jednym liście pisze: „byłem w Hamburgu; tu życie jeszcze w jednym nowym objawiło się mi uroku, kiedym się przekonał, ile ukontentowania może sprawić poczciwym ludziom istota tak mizerna, jak jestem ja.“ W innym piśmie dowiaduje się od Kestnera, jak wyglądała Lenchen, młodsza siostra Lotty; zdaje mi się, „żeby mi była jeszcze miłszą od Lotty“, potem dodaje: „Jestem już swobodny i *tesknię do miłości.*“ Dalej: „powiedz Locie, że jest tu jedna pannieńka, którą kocham serdecznie i którąbym pewno, przed każdą inną, wybrał sobie za żonę, gdybym miał myśl żenienia się; i ona urodziła się 11 Stycznia. (Był to dzień urodzin Lotty). Kto to wie, jaka w tém jest wola boża!“ Domyślają się, że chce tu mówić o Annie Sybilli Münch; ale ta urodziła się nie w Styczniu, a w Lipcu. Mogłaby to być także Antonina Gerock, krewna Szlossera, która, jak jest wiadomo, namiętnie kochała się w Goethym i podała mu wzór do Migniony. Ale i tu są wątpliwości. Miał nastąpić ślub Lotty. Z tego powodu pisze do Kestnera: „Jestem całkiem wasz, ale odtąd nie chcę was widzieć, ani ciebie, ani Lotty. Portret jój także, od tego aktu, zostanie zdjętym z nad mego łóżka i wtedy dopiero powróci na to miejsce, kiedy się dowiem, że już została matką; od tego momentu nastanie nowa epoka, w której już będę kochał nie ją samą, ale jój dziatki, zapewne trochę dla niej, ale to nie ma nic do tego; jeżeli poprosisz mię na ojca chrześtnego, duch mój spocznie na twoim chłopcu i on biedny będzie szaléc za dziewczętami takimi jak jego matka.“ W liście do Lotty posyłał pierścionek: „Aby pamięć o mnie, pisał w nim, przechowywała się pomiędzy wami z tym pierścieniem, w pośród szczęścia waszego.“

Dawna miłość, Maksymilianna Laroche wyszła była za kupca frankfureckiego Brentano; Goethe bywał częstym gościem w domu, pocieszał żonę, że miała prozaicznego Wło-

cha za męża, ale Goethe wymawia się, aby w tym związku było więcej coś nad prostą przyjaźń i starą znajomość. Jój to córka była owa Bettyna Brentano, która tak szalenie kochała się w starym Goethym i pisała do niego listy strzeliste wydane p. t. *Korrespondencyi Goethego z dzieckiem* (Goethes Briefwechsel mit einem Kinde). Będzie o tém niżej.

Kestner się ożenił; następnie Goethe dowiedział się z radością, że jego Lotta została matką i syn jój został nazwanym Wolfgang, tak jak sam Goethe. Było to w Maju; w Czerwcu pisał do niej: „prędko przyszlę ci przyjaciela, który będzie mieć wiele podobieństwa do mnie i spodziewam się, że go przyjmiesz uprzejmie; nazywa się on Werter, a jest i był ale to powinien on sam o sobie wytłómaczyć.“

Pobył Goethego w Wetzlarze, znajomość jego z rodziną Lotty, z Kestnerem, miłość jaką czuł był dla Lotty, samobójstwo Jeruzaleme — wszystko to razem złożyło się było na materyał do Wertera. Co doświadczenie zasiało w duszy, to myśl twórcza rozwinęła samodzielnie i nadała temu nowe kształty i inne warunki bytu. Pokonawszy namiętność Goethe patrzył już na przeszłość jak na coś mu całkiem obcego; miało to dla niego teraz myśl i znaczenie. Słusznie powiada z tego powodu Lewes: artysta jest mistrzem, nie niewolnikiem; kieruje on swoim uczuciem, jak mu się podoba. Sztuka wyraża wielką boleść, ale sama nie boleje. Burza przechodzi, a chmury płyną w spokojnych massach, aby ustąpić słońcu, które przeświecając przez nie, opromienia je pasmami swojej światłości. Dopóki boleść jest świeżą, dopóty boli; nie jest ona sztuką, ale uczuciem. I Goethe nie mógł był napisać Wertera, dopóki nie przeżył był werteryzmu. W nim wystąpiła jakby spowiedź powszechna — jak się o tém wyraża — a spowiedź ta przyniosła mu ulgę; ale dopóty spowiedź nie jest możebną, dopóki nie czujemy w sobie żalu za grzech, a żal ten następuje dopiero wtedy, kiedyśmy już błąd swój przeżyli.

Goethe zamknął się, nie przyjmował nikogo, pisał bez żadnego uprzednio obmyślanego planu i po czterech ty-

godniach ukończył Wertera. We Wrześniu 1774 roku pisał do Lotty, posyłając jój egzemplarz swego dzieła: „Lotto! jak drogą musi być dla mnie ta mała książeczka, domyślisz się tego sama, czytając ją, a egzemplarz ten tak jest dla mnie kosztownym, jak gdyby on był jeden tylko odbitym. Dla ciebie go poświęcam, Lotto! po sto razy go całowałem, zamykałem go, aby nikt nie skalał go dotknięciem. Lottchen! proszę cię, niech nikt oprócz Meyersów nie czyta go tymczasem; dopiero wyjdzie dzieło to na jarmark lipski. Chcę, aby każde z was czytało je osobno; ty sama, a Kestner sam; oboje napiszcie mi potem o niém słówko. Lotto! do widzenia się.“

Werter został złożony z własnego doświadczenia poety i z historyi samobójstwa Jeruzaleme, którą mu podał był Kestner w obszernym liście; ale Werter nie było wcale Goethe; Werter ginie z tego powodu, że był nieszczęśliwym, a nieszczęśliwym był ztąd, że był słabą istotą; Goethe zaś umiał panować nad sobą; widział on niebezpieczeństwo i potrafił go uniknąć, uciekając przed kobietą, która go pociągała do siebie, zamiastby się miał narażać na zawody i boleści. Jakkolwiekbaż wiele z uczuć poety zawarło się w postaci Wertera; Goethe zamknął w nim pewną fazę swego życia; nie było Goethe, ale część pewna jego duszy, tak samo cząstka jój postrzega się w Weislingenie, Klawigo, Fauście, Fernando, Edwardzie, Meistrze i Tassie. Tą cząstką żyją te postacie.

Układ dzieła tego jak najprostszy; szczegół każdy tak tu jest umieszczony, że przezeń coraz więcej wyrażają się cierpienia duszy chórój. Sztuka jego jest rzetelnością samą; dotyla jest on artystą znamienitym, że u niego najprostsza drobnostka ma pewne znaczenie. Czy to występuje Szarlota, krajająca chleb i rozdająca *butterbrody* dzieciom, czy to wystawia się scena na balu, czy to dzieci wieszają się w około Wertera prosząc go o cukier — wszystko to składa się na obraz, a dotyla tu braknie inwencji wszelkiej, że krytycy angielscy szczególnie śmieli się z pomysłu Goethego. Sztuka i piękno w Werterze nie

w wypadkach, ale w wystawieniu. Ta maniera Goethego wielki miała wpływ na całą sztukę XIX wieku, na poezję, romans, malarstwo. Sand określiła sztukę, zapatrując się na nią z punktu Goethego: l'art n'est qu'une forme. Autor Wertera sam zformułował tę teorię *kształtu*, którą poczerpnął sam, jak widzieliśmy wyżej, w szkole Oeser'a; mówi on: mało kto zrozumie tę prawdę prostą, że najwyższém, jedyném nawet, można powiedzieć, działaniem sztuki jest nadanie kształtu (Gestaltung).

Effekt dokonany przez Wertera był osobliwszy; czytała i tłómaczyła go cała Europa; miał go w tornistrze swojej Napoleon pod piramidami; w Niemczech drukowano go na bibule jak bajki ludowe, ale precyzyjnie się nawet do Chin i — jak zapewniają — Werter i Lottchen występowała w państwie niebieskiém w postaci lalek porcelanowych.

Nie brak obok tego było krytyk; krytyka nie pojęła tego, że w chorobliwej postaci Wertera wystąpiła była epoka sentymentalizmu, zenerwowana społeczność wieku XVIII. Lessing nie pojął tego, bo jeszcze filozofia sztuki nie pojęła była téj myśli, że ona wyraża wiek swój, nosi cechę społeczności. Autor Laokoona pisał do Goethego: „czy myślisz, że młodzian grecki albo rzymski popełniłby samobójstwo z miłości? Zapewne, że nie. Podobne dziwactwo przystoi tylko naszemu chrześcijańskiemu ukształceniu, które umie potrzeby cielesne przerabiać na doskonałości duchowne!“ Zabawna pretensya do chrystyanizmu! Radzi Lessing Goethemu, aby dodał do Wertera epilog; im więcej, powiada on, będzie ten epilog cyniczniejszym, tém lepij!

Nikolai napisał parodyę: *Ukontentowania młodego Wertera*, na co mu Goethe odpisał poematem komicznym pod tytułem: *Nikolai na grobie Wertera*.

Nie koniec na tém. Werter wiele wziął z życia, zmieształ dwie odrębne historie, pożyczył tu i owdzie rysów charakterów żywych, i jak to zawsze bywa w takich wypadkach, dał powód do tysięcznych kwasów, nieporozumień, domysłów, komentarzy. Ludzie kiedy wpadną na

trop prawdy, poszukują jej wszędzie, objaśniają wszystko, jak im się tylko zdaje najprawdopodobniej, nie przypuszczają już nic wymysłu, wszystko im się wydaje historią, portretem. Tak i tu było. W Wetzlar poznano w Werterze Goethego, poznano Lotte, Kestnera, wszystko brano w romansie za prawdę. Kestner i Szarlotta urazili się na Goethego za to, że podał ich na widowisko świata i wystawił nadto w pozycyi fałszywej. W rzeczy samej powieść za nadto była w wielu względach kopią z życia, aby w tém, w czém odstępowała od prawdy, nie miała wzbudzić, w oczach poznających się na jej rzeczywistości, jakichś złych komentarzy. Postacie były wyraźne, a przecież nie były one rzeczywistemi portretami; poeta użył ich tylko do wyrażenia swojej myśli. Ale całej tej prawdy nie widziano w mieście; tłumaczono więc sobie, jak się komu podobało. Kestner widział się wystawionym w fałszywém świetle; Lotta takż. Można więc łatwo domyślić się tego, jak przyjęto w ich domu ten upominek przyjaciela. Na podziękowanie, odebrał list z wymówkami; musiał przeproszać obrażoną parę, co go jednakże nie odstępowało na przyszłość od mieszania tego, cò przeżył, z tém co miał utworzyć. *Wahrheit und Dichtung* zawsze występowały w jego pismach.

Imię Goethego stało się głośnem w całych Niemczech; dzieła jego przedrukowywano, rozkupywano; on jednakże nie uważał się za człowieka wielkiego, co już doszedł szczybłą ostatecznego rozwoju; owszem pracował nad sobą, szukał coraz to nowych dróg, nowych idei; obmyślał dzieła wielkie, opracowywał je powoli, wydając tymczasem niektóre małe sztuki. Do takich należą; *Klawigo*, *Jarmark w Plundersweilen* i *Prolog do najnowszych objaśnień Bahrdt'a*. Do *Klawiga* wziął się był jeszcze przed ogłoszeniem *Wertera*. Razu jednego, latem 1774 r. we Frankfurcie, w kółku towarzyskiém siostry poety, Kornelii, znajdowała się Anna Sybilla Münch, której wdzięki pociągały do siebie Goethego. Co tygodnia towarzystwo to zbierało się w domu Goethego; jednego wieczora ułożono dla zabawy loteryę

malżeńską. Losem wyciągano pary, a to żeby się przekonać o tém, czy ci, co znają tak dobrze sposób zachowania się względem siebie oblubieńców, będą równie dobrze przyjmowali wzajemne ku sobie obowiązki małżonków. Prawidła były takie: małżonkowie powinni byli stosownie do ówczesnego zwyczaju okazywać względem siebie grzeczną obojętność, nie siadać blisko siebie, nie gadać z sobą często, a témbardziej nie pozwalać sobie jakichś pieszczoł. Obok tego powinni byli małżonkowie wystrzegać się przy mówek, dąsów, podejrzeń; a kto w taki sposób, nie używając nadskakiwań kochanka, potrafił był sobie zjednać serce żony, dowodził tém samém, że dosiagnął był rzetelnego ideału *męża*. Z téj zabawy młodzież wiele miała wesołych wieczorów. Osobliwszym wypadkiem Goethemu po trzykroć wypadła trafem na żonę jedna i ta sama panienka. Kiedy los połączył był ich po raz trzeci, postanowiono jednogłośnie nie podawać już na przyszłość téj pary pod nowe próby; widać, że taka była wola nieba, a co Bóg złączył, tego człowiek rozłączać nie powinien. Na tych posiedzeniach czytano zwykle coś nowego, przez kogoś należącego do kółka. Jednego wieczora Goethe przyniósł był nowość: *Memoary* Beaumarchais. Podczas gawędki jaka nastąpiła była o dziele po przeczytaniu ustępu, żona, którą mu dały losy, objawiła myśl taką: „gdybym była panią serca twego mężulu, a nie żoną, wymagałabym od ciebie, abyś ten pamiętnik zamienił na sztukę dramatyczną, do której, jak się wydaje, bardzo łatwo mógłby się on zastosować.“ Goethe odpowiedział: „Żebyś się przekonała moje serce, że kochanka i żona są jedną rzeczą, postaram się, abyśmy od dziś za tydzień przeczytali tu, w tém oto grodzie sztukę, której treść zostanie wziętą z dzieła Beaumarchais.“

Podobnie śmiała obietnica obudziła powszechne podziwienie, ale Goethe postanowił koniecznie spełnić ją punktualnie. „Co nazywają *wynalezieniem* (*inventio*) w sztuce pisarskiej, powiada Goethe, było w tym razie mimowolném. Przeprowadzając tytułarną żonę moją do jój mieszkania

byłem milczący; na zapytanie jój, z kąd to pochodziło, powiedziałem jój, że obmyślam sztukę i że już doszedłem do jój środka, starając się dowieść jój tém, jakie było dla mnie szczęście uczynić cokolwiek takiego, coby mogło jój sprawić ukontentowanie.“ Poczém ona ścisnęła mię za rękę a ja uszczknałem całusa. „Nie powinienes mężulu odstępować od swego charakteru, zawołała na to; mówią, że małżonkowie nie powinni być w sobie zakochani.“ „Niech sobie mówią, na zdrowie, odpowiedziałem na to, a my tak będziemy postępowali, jak się nam będzie zdawało.

Wyznaje następnie, że nim odczytał głośno sztukę swoją, ta wydawała mu się nadzwyczaj dramatyczną; chociaż bez tój pobudki, jaką miał był w woli pięknej żonki, najpewniej *Klawigo* został by był w liczbie projektowanych tylko utworów. Jedyłą nowością w nim był sposób Goethego wystawienia postaci złych. Sprzykrzyły się mu były już te charaktery, tak często występujące na scenę, co dla zemsty, albo z nienawiści, albo z innych jakich oklepanych powodów, gubią postacie piękne, szlachetne; postanowił on w *Karlosie* przedstawić działanie jasnego, zdrowego rozsądku przeciwko namiętności i skłonności serca. Idąc za przykładem Szekspira, przełożył on słowo w słowo seene główną i wszystkie części dramatyczne pamiętnika, pożyczając rozwiązanie z jednej ballady angielskiej. Nim tydzień upłynął, dramat już był gotów i odczytał sztukę swoją przed zachwyconém audytorium.

Nie od rzeczy będzie powiedzieć coś o *Pamiętniku Beaumarchais*. Autor ten francuzki miał był w *Madrycie* dwie siostry; jedna była za architektem, druga, *Marya*, zaręczona była *Klawigowi*, młodemu, ubogiemu autorowi. Skoro tylko jednakże *Klawigo* otrzymał urząd, o który się starał, natychmiast odmówił dotrzymać obietnicy ożenienia się. *Beaumarchais* pośpiesza do *Madrytu*; podwójny miał cel: 1) ocalić opinię dobrą siostry; 2) dokonać pewnej spekulacyi; wyszukał *Klawiga*, a zimną krwią swoją i odwagą tyle dokonał, że wymógł na nim na piśmie przyznania się do swego niegodnego postępku. Skoro tylko

tego dokazał, jak Klawigo, niespokojny o następstwa, prosi o zgodę z Maryą, obiecując jęj na nowo ożenienie. Beaumarchais zgadza się, ale za ledwo małżeństwo to ma przyjść do skutku, dowiaduje się, że Klawigo knuje coś przeciwko niemu, skarży go o to, że wymógł na nim przemocą obietnicę, w skutek czego wyrobił sobie rozkaz rządu wysłania Beaumarchais z Madrytu. Oburzony taką niegodziwością, Beaumarchais udaje się do ministrów, dosięga samego króla i mści się na wiarołomnym, pozbawiając go jego miejsca. Taka jest w krótkości treść Pamiętnika Beaumarchais, który wyszedł był na świat w Lutym 1774 r. Zdarzenie zaszło było 1764 roku tak, że Klawigo, który w ciągu lat dziesięciu stał się był znakomitym pisarzem, mógł być siebie widzieć wystawionym pod pręgierz opinii Europy nie tylko w błyskotnych Pamiętnikach Beaumarchais, ale jeszcze wystawionym na scenie każdego niemieckiego teatru. Umarł Klawigo 1806 r. wice-prezydentem towarzystwa historii naturalnej w Madrycie, przelożywszy wprzód Biuffona i wydawszy *Historycznego i politycznego Merkurego madryckiego* (*Mercurio historico y politico de Madrid*). Należy przypuszczać, że Goethemu nie przyszło było na myśl, że ów Klawigo żyje jeszcze, albo może nie przypuszczał, aby jego sztuki miały mieć kiedykolwiek rozgłos europejski.

Lewes chwali Goethego za to, że nie śpieszył się z kończeniem rozpoczętego wówczas Fausta, albo Cezara; niezawodnie bowiem powtórzyłby się w nich, tak samo jak się powtórzył w Klawigo; tu zewnętrzne okoliczności zmienione są wprawdzie, ale fakt moralny ten sam. Klawigo jest drugim Weislingenem i nawet autor wiedział o tém podobieństwie. Goethe pisał do Schönborna: „Klawigo — anegdota z życia bieżącego, udramatyzowana z największą prostotą i najwierniejszą rzetelnością. Bohater mój jest niedocydującym się człowiekiem, na wpół wielkim (?), na wpół małym człowiekiem, może służyć za *pendant* do Weislingena, albo jest raczój samym Weislingenem, jako osoba główna.“ Dobrze uchwycił on postać słabiej, a przytém

ambitnej natury człowieka, co się spodziewa wznieść jeszcze wyżej na stopniach świata, ale czuje razem, że zagroził sobie drogę do tego namiętnością, co go uszczęśliwiła w czasie ubóstwa i kiedy imię jego nie było jeszcze znanem nikomu. Pisarz popularny i ulubieniec dworu chce mieć już żonę z rodziny znakomitej: w tej chęci utrwała go więcej jeszcze Karlos, przyjaciel jego, zdmuchujący powoli złośliwą ironią wszystkie kwiatki imaginy, w które poeta ubrał był swoją kochankę.

Marya — słaba, pełna uczucia istota; nie wiele w niej indywidualności i jest może najędzniejszym zarysem z całej galerii niewieściej, jaką nam przedstawiają w sobie dzieła Goethego. Jest tu przecież jeden odcień delikatny, zdradzający poetę; odcieniem tym jest owo zdanie wymykające się z ust Maryi, kiedy Klawigo wraca do niej, żalując swego postępku i odwołując się do jej uczucia; ona rzuca mu się na szyję, wołając: Ach, siostró moja, z kąd on to wie, że ja go tak bardzo kocham? „*Woher weiss er dass ich ihn so liebe!*“

Marya cieszy się z powrotu Klawiga, ale krótką jest ta pociecha; duch wyniosłości, posiłkowany od zimnego, sarkastycznego Karlosa (w którym widzimy już zaród Mefistoflesa), na nowo kusi Klawiga i odwodzi go powtórnie od małżeństwa, tak źle odpowiadającego jego nadziejom. Karlos gorzko ale rzetelnie wypowiada mu tę wielką prawdę, „że nie masz na świecie nic tyle politowania godnego, co człowiek niestały, chwiejący się pomiędzy dwoma uczuciami, spodziewając się, że je nareszcie z sobą pogodzi.“ On to podaje myśl zabicia Beaumarchais. Ten, co zgadza się na zabójstwo brata, okazuje tém samym, że zrywa całkiem z siostrą, dodaje Karlos, zupełnie w tonie Mefistofela. Układają plan niegodny; Beaumarchais ma być uwięziony za to, że obraził i napastował Klawiga w jego własnym domu; rozkaz aresztowania nadchodzi, a Marya umiera z boleści, przeświadczając się o wiarygodności swego narzeczonego.

Do tego miejsca, do śmierci Maryi, Goethe szedł wier-

nie za Pamiętnikami Beaumarchais; dodał do tego akt piąty, z rozwiązaniem stosownym dla sceny. Akt ten tak jest krótki, ale razem tak efektowy, że da się tu wypisać, dla pokazania jak Goethe wcześniej umiał tworzyć.

AKT V.

Scena I. — Ulica przed domem Gilberta. — Noc. — (Dom otwarty; przeddrzwiami stoi trzech ludzi odzianych w czarne płaszcze, z pochodniami. Wchodzi Klawigo, owinięty w płaszcz, ze szpadą pod pachą; przed nim idzie służący z pochodnią.)

KLAWIGO. Mówilem ci, abyś ominął tę ulicę.

SŁUGA. Potrzebaby było zrobić koło, a pan się tak śpieszysz. Już ztąd niedaleko do mieszkania Don Karlosa.

KLAWIGO. Świeć tu!

SŁUGA. Pogrzeb; chodźmy panie.

KLAWIGO. Dom Maryi — pogrzeb. Dreszcz śmiertelny przechodzi po wszystkich członkach moich. Idź spytaj, kogo mają chować.

SŁUGA. (*Do obecnych*). Kogo macie chować?

OBECNI. Maryę de Beaumarchais.

KLAWIGO. (*Usiada na kamieniu i okrywa się płaszczem*).

SŁUGA. (*Wraca*). Mają chować Maryę de Beaumarchais.

KLAWIGO. (*Podnosząc się*). Zdrajco! powinienes że to powtarzać? Powtarzać owo słowo, co jak gromem poraża szpik w kościach moich.

SŁUGA. Uspokój się panie. Chodźmy ztąd. Rozważ, jakie niebezpieczeństwa okrażają cię tutaj.

KLAWIGO. Idź do licha, padalcze! Ja zostaje!

SŁUGA. O Karlosie, gdybym cię mógł wynaleźć! Karlosie — on dostał pomięszania. (*Wychodzi*).

Scena II. — Klawigo. — Muzyka grobowa urywana daje się słyszeć z wnętrza.

KLAWIGO. Umarła! Marya umarła! Pochodnie! Jój dawni śludzy! To przystęp złudzenia, to marzenie nocne, chłodem ścinające serce! Sen, w którym mogę przejrzeć nareszcie koniec wszystkich moich zbrodni! Ale jeszcze jest pora. Jeszcze? Drzę, serce moje bije gwałtownie! Nie, nie, tyś nie mogła umrzeć — idę, idę do ciebie! Zgincie wy du-

chy nocne, co z waszym okropnym postrachem zachodziecie mi drogę. (*Idzie do nich*). Zgińcie! Stoją! Ha! oni poglądają na mnie! Biada mi, biada! Sąto ludzie jak ja. Tak — tak — prawdą jest! Możesz-że to pojąć? Umarła! Ogarnia mię myśl, w pośród wszelkich okropności nocy, ogarnia mię uczucie silne, że ona umarła! Oto leży ona; u nóg jój kwiaty! — A ty! Oh zlituj się nademną Boże na niebiosach — ja! ja to ją zamordowałem! Ukryjcie się gwiazdy jasne — nie poglądajcie na ten padół! Wy, co tak często widywaliście nędznika w upojeniu szczęścia opuszczającego próg ten; przez tę ulicę biegł on ze snami złotemi, z pieśnią i muzyką, aby ucieszyć niemi swoją miłą, ukrytą gdzieś za zasłoną. A teraz napełniam dom ten łkaniem i boleścią, i miejsce mego szczęścia pieśnią pogrzebową! Maryo! Maryo! weź mię! weź mię! weź mię z sobą! (*Z domu daje się słyszeć kilka tonów muzyki pogrzebowej*). Rozpoczynają pochód żalobny do grobu! — Stójcie! Stójcie! Nie zamykajcie wieka trumny! Pozwólcie mi jeszcze raz spojrzeć na nią. (*Biegnie do domu*) Ha! przed kogoż tak śpieszę? Stanąć pomiędzy oplakującymi jój stratę! Pomiedzy jój przyjaciółmi! Przed jój bratem, którego serce rozdziera się od boleści gwałtownej. (*Muzyka nanowo daje się słyszeć*) Woła mię! Woła mię do siebie! Idę — idę! Co za niepokój owłada mną! Jaki dreszcz mię przejmuje!

Scena III. — (Muzyka po trzeci raz rozpoczyna marsz żalobny i gra go ciągle; ludzie z pochodniami ruszają się z przederzwi; trzech innych przyłączają się do nich z wnętrza domu, szykując się w szeregi, aby rozpocząć orszak pogrzebowy, który nareszcie wychodzi z domu. Szczęściu tragarzy niosą mary, na których spoczywa trumna zakryta. Gilbert i Buenco — przyjaciele domu, idą za nią w grubej żałobie).

KŁAWIGO (*występuje naprzód z powagą*). Stójcie!

GILBERT. Czyj to głos? -

KŁAWIGO. Stójcie. (*Tragarze zatrzymują się*).

BUENCO. Kto się ośmiela przerywać uroczysty pochód pogrzebu?

KŁAWIGO. Postawcie trumnę na ziemi. (*Tragarze stawiają*)

GILBERT. Co!

BUENCO. Nikczemniku! Czyż jeszcze nie koniec twoim

postępkom niegodnym? Czyż i w trumnie ofiara twoja nie może być spokojną i bezpieczną od ciebie?

KLAWIGO. Dość tego — nie przywódź mię do szaleństwa. Nieszczęśliwi są niebezpieczni; ja muszę ją zobaczyć. *(Odrzuca całun i wieko trumny. Odkrywa się Marya leżąca w niej, ubrana w bieli, ze złożonemi na piersiach rękami; Klawigo cofa się i zakrywa sobie oczy).*

BUENCO. Czy chcesz ją obudzić, aby ją zamordować na nowo?

KLAWIGO. Nędzny trefnisiu! Maryo! *(Kłęka przed trumną).*

Scena IV. — Beaumarchais nadchodzi z ulicy. — Poprzedzający.

BEAUMARCHAIS. Buenco był u mnie; powiedział, że umarła; muszę ujrzeć ją, choćby piekło miało się rozstąpić, ja muszę ją obaczyć jeszcze. Ha! pochodnie! Pogrzeb! *(Biegnie prędko do orszaku, pogląda na trumnę i pada przy niej niepowie-dziawszy nic. Podnoszą go; on zemdlat; Gilbert trzyma go).*

KLAWIGO. *(Stojąc po drugiej stronie).* Maryo! Maryo!

BEAUMARCHAIS. *(Zrywa się).* To jego głos. Kto woła Maryi? Na dźwięk głosu tego jakaż wściekłość zjadliwa budzi się w żyłach moich!

KLAWIGO. Ja to wołam.

BEAUMARCHAIS. *(Patrzy dziko w kolo i ściska konwulsyjnie szpadę swoją. Gilbert trzyma go).*

KLAWIGO. Ja się nie boję twoich oczu żarzących, ani ostrza twego miecza. Oh! popatrz tu, tu na te oczy zamknięte, na te ręce złożone.

BEAUMARCHAIS. Tyż mi masz wskazywać ten widok? *(Wyrywa się, rzuca się na Klawiga, który natychmiast dobywa szpady; biją się. Beaumarchais przesywa mu piersi ostrzem swojej szpady).*

KLAWIGO. Dziękuję ci bracie; połączyłeś nas. *(Pada na trumnę).*

BEAUMARCHAIS. *(Odciągając go na stronę).* Precz od téj świętej, ty szatanie!

KLAWIGO. Niestety! *(Tragarze podnoszą go i podtrzymują).*

BEAUMARCHAIS. Krew jego! Popatrz Maryo, popatrz na twoje ozdoby weselne, a potem zamknij na zawsze twoje powieki. Popatrz, jak pokropiłem miejsce spoczynku twego krwią twego mordercy. Ślicznie! Wybornie!

Scena V. — Zofia (wychodzi z domu). Poprzedni.

ZOFIA. Brat mój? O Boże! co to jest!

BEAUMARCHAIS. Przystąp bliżej moja droga i popatrz! Myślałem, że uścielę jej łoże małżeńskie różami; popatrz więc na róże, któremi zdobię ją na drogę wieczną.

ZOFIA. Zgineliśmy!

KLAWIGO. Uciekaj nierozważny młodzieńcze! uciekaj, nim zaświta. Oby Bóg, co zesłał cię tu na mściciela, zachował cię. Zofio! przebacz mi! Bracia, przyjaciele przebaczenie mi!

BEAUMARCHAIS. Jakże widok téj krwi sączącej się z rany gasi we mnie wszelką żądze pomsty! Jakże z życiem jego niknie we mnie wszelka ku niemu nienawiść. (*Przystępuje ku niemu*). Umieraj — ja ci wybaczam!

KLAWIGO. Twoją rękę! I twoją Zofio! I twoją (*do Buenco, który nie wie jak ma postąpić*).

ZOFIA. Daj mu, Buenco.

KLAWIGO. Dziękuję wam; zawsze jesteście tak dobrzy jak wprzód. Dziękuję wam. A ty duchu mojej ukochanej, jeżeli dotąd jeszcze wznosisz się w okóło tego miejsca, popatrz tu, popatrz na tę dobroć anielską, spuść na nich błogosławieństwo twoje i przebacz mi takż. Idę — idę. Uciekaj — bracie. Powiedz, czy przebaczyła mi ona? Jak ona umierała?

ZOFIA. Jej słowo ostatnie było twoje nieszczęsne imię. Umarła niepożegnawszy się z nami.

KLAWIGO. Pójdę za nią i zaniosę jej wasze pożegnanie.

Scena VI. — Karlos, sługa. Poprzedni.

KARLOS. Klawigo! Morderstwo!

KLAWIGO. Posłuchaj mię Karlosie! Widzisz tu ofiarę twojej roztropności; teraz zaklinam cię na krew moją, co płynie do ostatku, abys zbawił mego brata.

KARLOS. O mój przyjacielu! (*Do sługi*). Jeszcze tu stoisz! Biegaj po chirurga!

KLAWIGO. Darmo; zbaw mego brata; daj mi rękę twoją na znak, że mi obiecujesz to. Oni mi przebaczyli i tak ja ci wybaczam. Przeprowadź go do granicy i — oh!

KARLOS. (*Tupając nogą*). Klawigo! Klawigo!

KLAWIGO. (*Posuwając się bliżej ku trumnie, na której go kładą*). Maryo! Twoją rękę! (*Rozszczepia jej rece i ściska jej rękę prawą*).

ZOFIA. (*Do brata*). Teraz, biedaku, uciekaj.

KLAWIGO. Mam jej rękę, jej zimną, trupią rękę. Jesteś już moją. Jeszcze ten jeden pocałunek oblubieńca.

ZOFIA. On już umiera. Pamiętaj o sobie, bracie.

(*Beaumarchais rzuca się na szyję siostrze; ona go ściska wzajemnie i daje mu znak, aby odszedł*).

Ten akt piąty nie wywija się organicznie z całości; jest on do niej tylko *przyczepionym*. Myśl osobliwa! Goethe ideą *przebaczenia* chce tu otoczyć w końcu Klawiga urokiem niemal świętości. Nie mógł się tego spodziewać widz z czterech aktów poprzednich, ani nawet wtedy, kiedy Klawigo zabiwszy siostrę, obnaża szpadę na jej brata. Początek aktu piątego, w którym sługa prowadzi Klawigo mimo domu Maryi, prowadzi wbrew rozkazu pana swego, a ten idzie za nim, znając dobrze to miejsce, do którego nieraz chodził, jest wcale nienaturalny. Jako sztuka sceniczna Klawigo obudza interes żywy, pod względem jednakże estetycznym, jest ona słaba; wielką jednak zręczność objawia poeta w rozwijaniu dramatu i znajomość warunków dramatycznych: sytuacje pełne efektu, kollizya dramatyczna dobra, węzeł jasno i prędko się rozwija, język mocny, namiętny, nie rozwlekły. Znać w nim wpływ Szekspira. Merek poznał się odrazu na wartości wewnętrznej sztuki; bał się o przyszłość Goethego, aby nie oddał się na przyszłość pisaniu podobnych sztuk dla sceny. „Podobnych bagateli nie powinienes więcej pisać; inni są na to.“ Byłoto przecież studyum, potrzebne mu do wprawy; wszak niepodobna, aby artysta tworzył same arcydzieła.

Tu, we Frankfurcie, młody poeta występował w tej epoce jako lew literacki; w towarzystwie noszono go na rękę, kobiety miały dla niego słodkie słówka i spojrzenia, ludzie znakomici w Niemczech znajomili się z nim i wchodzili w korespondencye. Wówczas, nabierający sławy w Niemczech Lavater przybył był do Frankfurtu i wszedł w stosunki z Goethym. Stan umysłu ówczesny poety najlepiej charakteryzuje list jego pisany w tym czasie do Pfenningera, przyjaciela Lavater'a: „wierzuj mi, mój drogi bracie, że przyjdzie kiedyś czas, w którym się zrozumiemy. Mówisz dziś do mnie jak do sceptyka, co chciałby *pojmwac*, co chciałby mieć wszystko *dowiedzioném*, co zresztą nie ma jeszcze doświadczenia. Rzecz się ma z tém wszystkiém zupełnie przeciwnie. Nie więcej zapewne jestem za pojmwaniem i udowodnieniem jak i ty sam; może robię niedorzeczność, wyrażając się, tobie gwoli, twoim własnym językiem. Powinienbym, idąc za przepisami psychologii eksperymentalnej, odkryć przed tobą najskrytsze tajniki istoty mojej, aby się przekonać, że jestem człowiek, że więc muszę czuć tak samo, jak czują inni ludzie, i że wszystko, co się nam wydaje sprzeczném pomiędzy naszymi charakterami, jest tylko sprzeczką o *słowa*, pochodzącą z mojej niesposobności uczuwania rzeczy pod innymi kombinacyami, jak są te, pod któremi uczuwasz je obecnie, a ztąd określając ich stosunek do mnie, zwę je inaczej, co właściwie było ustawicznym powodem sprzeczek i zawsze nim będzie. A przecież chcesz mię zawsze pokonać *oczewistemi* dowodami. Po co? Potrzebaż mi na to dowodu oczewistego, że jestem? Oczwistości na to, że czuję? Owszem, ja w tym względzie zbieram skarby, kocham i wymagam dowodów tego tylko, że innych ludzi przedemną tysiące (a może jeden tylko) czuli tak, jak ja czuję to, co mię pokrzepia. A tak jedno słowo człowieka miałoby dla mnie działanie słowa bożego. Z całym zapalem duszy rzuciłbym się na szyję brata tego, czy on byłby Mojżeszem, prorokiem, ewangelistą, apostołem, czy Spinozą, albo Machiawelem! Do każdego z nich powiedziałbym to: drogi przyjacielu, tak było

z tobą jak jest ze mną. Niektóre szczegóły rozumiesz jasno i dzielnie, całość jednakże, równie nie może być ogarnięta tak od ciebie, jak i odemnie!“

Jakże ten kawałek listu pełen deklamacyi, ogólników, czczości właściwej młodemu wickowi; maluje jednak dobrze stan umysłów ówczesnego pokolenia! Umysł, przeświadczenie wewnętrzne, poszukiwania prawdy, nie miały żadnej podstawy, na której mogłyby były spocząć. Wspomina tu Spinozę; widocznie musiał być list ten pisać za jego świeżym wpływem, przypomina się bowiem, czytając to miejsce, pomimowolnie ustęp jeden z Etyki jego, w którym on wyraża myśl „że każdy sądzi o rzeczach stosownie do usposobienia swego mózgu, albo raczej przyjmuje wyroby imaginacyi własnej zarze czywiste fakta. Nie dziw więc, dodaje, że tyle sprzeczek powstawało zawsze pomiędzy ludźmi i że one wydały nareszcie ze siebie sceptycyzm.“ Tak to zawsze bywa w wieku młodym; nie chcemy powagi żadnej w myśleniu, mówimy ustawicznie o samodzielności ducha, a pierwsza przeczytana książka obraca przekonaniem naszym, jak podmuch wiatru kieruje chorągiewką na dachu!

Co się dotyczy wiary, jeżeli przypuścimy w nim wiarę pewną, to w tym względzie zbliżał się on do panny Klettenberg i chrystyanizmu Lavater'a. Zgodę pomiędzy *wiarą*, a *poznaniem* tak określa: „w wierze wszystko zależy od samego aktu wiary; w *co* my wierzymy, podrzędną jest rzeczą; wiara jest głębokiem uczuciem pewności, wypływającym z ufności we wszechmocną, niezbadaną istotę. Moc téj ufności jest tu główną rzeczą. Ale to, *co* my myślimy o téj istocie, zależy już od innych władz duszy naszej, albo nawet od innych okoliczności (!) i jest zarówno obojętném. Wiara jest świętém naczyniem, w które każdy może przełożyć uczucie swoje, swoje przekonania i swoje wyobrażenia, dotyla, o ile to tylko być może. Poznanie jest przeciwieństwem wiary. Tu nie idzie(o to, czy wiemy, ale o to, *co* my wiemy, *ile* wiemy, i w *jak doskonałym stopniu* wiemy. Dla tego ludzie mogą sprzeczać się o wiedzę, bo ta może być

rozwiniętą, sprostowaną; tego nie można wymagać od wiary.“
Wiele słów, mało rzeczy; ogólniki ciemne, niemające ścisłego znaczenia, precyzyi; mówił o tém, czego nie rozumiał.

Drugą znakomitością, którą poznał, był Bazedow, reformator wychowania. Nie można było wynaleść większego kontrastu względem Lavatera. O ile ten ostatni był pięknym, ochędożnym, przyjacielskim, przymilającym się, umiejącym się podobać, pobożnym (!), o tyle Bazedów był brzydkim, brudnym, pomiędzy ostatnimi brudasami, sarkastycznym, lubiącym imponować i zaczepnym heterodoksa (różnowiercą). Lavater starał się niby przywrócić chrystyanizm okresu apostołskiego, drugi nie mógł się powstrzymać od najgrubszych sarkazmów wymierzonych przeciwko Biblii, Trójcy i różnym innym dogmatom chrześcijańskim. Jeden chciał uchodzić za proroka, dając mężatkom, w zamian za ich włosy, swoje podwiązki; drugi bluźniąc wierze reformował metodę wychowania. Takim był wiek XVIII!

Za wodzą panny Klettenberg, Goethe studyował sektę Braci Morawskich, a obok tego, pod wpływem Herdera i Jakobiego, studyował Spinozę; czém Kant był dla Schillera, tém dla Goethego był żyd-filozof.

Te stosunki z ludźmi znakomitymi uszczęśliwiały Goethego; z tego powodu wypowiada on, w liście do hrabiny Augusty von Stolberg, myśl piękną, że wtedy rzetelnie czuje się, że się jest na świecie, kiedy siebie poznajemy w innych: „Man weiss erst dass man ist, wen mann sich in andern wieder findet.“

Tu występuje, z kolei, nowy epizod miłosny żywota Goethego; przedmiotem tego przywiązania jest *Lili*. O niej powiedział był Goethe Eckermannowi „że ona była najpierwszą, którą był szczerze ukochał w życiu swoim; wszelkie inne przywiązania moje, mówił, były powierzchowne i słabe, w porównaniu z tą namiętnością.“

Anna-Elżbieta Schönemann, wslawiona pod imieniem *Lili*, była córką jednego z wielkich bankierów frankfurckich, który prowadził życie na skalę księcia finansowego. Miała lat 16, kiedy Goethe zakochał się był w niej. Wiek

ten znaczy wiele, było bowiem wiek Fryderyki, Lotty, Anny, Sybilli i Maksymilianny, wiek, w którym dziewczę nabiera powabów gracy i osoby, piękności i świeżości, przymiotów, których nie zaprzeczą ci nawet, co czują głęboko wyższość kobiety rozwiniętej zupełnie. Jest pewien urok właściwy temu wiekowi, chociaż brak mu głębokości duszy, pełni charakteru. Dziwnie zapewne wyobrazić sobie autora Goetza, Fausta, Prometeusza w towarzystwie z dziewczęciem szesnastoletniem!

Lili jednak mogła być wyjątkiem. Młoda, urocza, zachwycająca, była do tego kokietką. Znajomi z sobą byli od dawna, jeszcze w owe czasy rozkoszne, kiedy dusza lubi się wywnętrzać, spowiadać się nawet przed osobą ukochaną z błędów swoich. Lili lubiła opowiadać Goethemu dzieje swego życia, przyznała się mu do swojej kokieteryi, wyznała mu to nawet, że chciała była w początku doświadczyć na nim samym mocy swoich wdzięków, ale została za to ukaraną, zakochawszy się w nim i wpadłszy we własne swoje sieci.

Wielka zachodziła różnica w ich pozycjach; eleganckie towarzystwo domu bankiera nie zgadzało się wcale z charakterem tego młodziana genialnego, nie znoszącego przesady i przymusu. Owe bale, koncerty, na które musiał być chodzić, nie były wcale do smaku jemu; w liście do pani Stolberg pisze tak o sobie. „Jeżeli możesz wyobrazić sobie pani Goethego w balowym fraku, wyelegantowanego od stóp do głowy, w pośród światła rzęsistego kandelabrow, przytwierdzonego do kartowego stolika dwójgiem oczów jasnych, a otoczonego tłumem różnych ludzi, rozrywanego ustawicznymi zabawami, od koncertów do balów, a oddającego się z zajęciem miłości dla pięknej blondynki — wtedy będziesz pani mieć portret karnawałowego — Goethego.“ Ale nie było jego stały charakter. „Inny jest — pisze dalej — Goethe w szarym surducie, w butach, w czarnej jedwabnej chustce, zawsze zamknięty w sobie, pracujący, wylewający raz na papier niewinne uczucia młodości w formie poemacików małych, to znowu korzenne przyprawy życia

oddający w formie dramatu, albo malujący kredą postacie swoich przyjaciół, nietroszcząc się co kto powie albo pomyśli o jego postępkach, bo zawsze pracą swoją podnosi się wyżej, niemarząc o ideałach, ale starając się rozwinąć przyrodzenie swoje. Osobliwszą musiała być ta miłość — w której tak jasno widział on, że była głupstwem z jego strony! Było to tylko nowe *studyum* życia, serca ludzkiego, ludzi, sytuacji — jak Köttchen w Lipsku, jak Fryderyka w Sesenheim. Jak w Lipsku napisał był „*Humor zakochanego*,” tak tu ułożył operę *Erwin i Elwira*, w której kokieterka kochanki doprowadza kochanka do rozpaczki. Była to przestroga dla Lili, przestroga, która, zdaje się, nie pozostała bez skutku.

Lekkomysłność panny nie była jedynym kłopotem; rodzice poety i rodzice oblubienicy niebardzo sobie życzyli tego związku; bankier chciał mieć za zięcia człowieka, co by znaczył wiele w świecie finansowym, albo był hrabią; pan radca znowu chciałby był mieć za synową pannę nie tak świetną i modną; przyjaciele Goethego Merck, Horn, Cresper odradzali mu to niedobre małżeństwo. Podobne przeciwności więcej jeszcze pociągały ku sobie młodą parę. Pewna panna Delf, co już sama straciła była nadzieję wyjścia za mąż, trudniła się kojarzeniem innych; ona wzięła na siebie pojednać umysły obojga rodziców, znieść przeciwności i uwienczyć młodą parę mirtem weselnym. Jednego dnia przyszła i rzekła uroczycie do zakochanych: podajcie sobie dłonie. Spełniła para rozkaz, nawet uściśkała się *motu proprio*, ale formalnych zaręczyn nie było i chociaż trudności były usunięte, jednak z każdym dniem małżeństwo projektowane zdawało się niepodobniejszym. Goethemu po tej uroczystości podania sobie wzajemnie dłoni coraz więcej stawało w myśli, że może istotnie źle się dobrali; przybycie braci Stolbergów i propozycja ich wędrówki wspólnej po Szwajcaryi podały dobrą zręczność uwolnienia się od narzeczonej; podróż ta miała stać się doświadczeniem serca ze strony Goethego, czy może ono zapomnieć Lili.

W czasie zwątpień i nieukontentowań miłosnych Goethe pisał: „gdybym nie układał dramatów teraz, wyraża się w jednym liście do Augusty Stolberg, tobym zginął.“ W tym okresie napisał „*Stelle*.“ Z listu do Merek'a dowiadujemy się, że za ten dramat wydawcy ofiarowali mu dwadzieścia talarów. Nędzny stan literatury musiał być wówczas, przy podobnych honoraryach. Szyller, dla kawałka chleba, musiał być tłumaczyć z francuzkiego różne Pamiętniki, po trzydzieści złotych od arkusza w 16-cie stronic.

W *Stelli* trudno się dopatrzeć pierwiastku biograficznego i dla tego może, mówi Lewes, jestto dzieło jedno z naj-słabszych. Znaleźli się jednakże krytycy, co widzieli i w tym dramacie rękę mistrzowską. Jestto stara historia o hrabi Gleichen i o jego dwóch żonach. Fernando uciekł od swojej połowicy i zakochał się w Stelli; rzeczą jednak osobliwą jest to, iż opuściwszy żonę, nie przestał wcale kochać jej; nie można się domyslić, dla czego ją porzucił; owszem wszystko go do niej wiązało: serce jako do żony i matki jego dziecięcia, jako do kobiety cnotliwej i dobrych zasad. Pomimo to uciekł od niej, aby się przyłączyć do drugiej więcej namiętniej, dla tego że ta za spokojne przywiązanie Cecylii dawała uniesienia gwałtowne passyi. Obie kobiety spotykają się i odkrywają, że kochają jednego. Tu następuje kollizya dramatyczna. Z jednej strony Fernando widzi obowiązek w postaci szlachetnej, z jego powodu cierpiącej żony i miłej córki; z drugiej zaś strony stoi namiętność w postaci czarującej go kochanki. Wiele można było z tego dokonać; ale Goethe zrobił mało. Pokazuje nam tylko słabość chwijającego się na obie strony Fernanda, ale nie owłada dzielnie swoim przedmiotem. Lewes dwa miejsca tylko znajduje w tej sztuce, które są warte Goethego. *Np.* Następną uwagę jest bardzo trafna:

„My kobiety wierzymy mężczyznom! W zapale namiętności oni sami się oszukują, jakże tedy możemy my im nie wierzyć?“

Równie piękną jest ta oto sytuacja. Fernando wraca do Stelli po długiej niebytności, a ta, w rozrzewnieniu, tak

doń przemawia: „O! jak my was kochamy! My nie myślimy nawet o tój boleści, jaką wy nam sprawiacie.“

„Szczęście, że twoje włosy są koloru złotego... nie! żaden włos nie wypadł z twego warkocza! (*wyjmując grzebień z włosów żony, które rozsypują się po jej ramionach; on okręca ramię swoje jej włosami, wołając*) Rinaldo jeszcze raz w dawnych swoich pętach.“

Pierwotne rozwiązanie tój sztuki dopełniało się przez bigamię. Ferdynando chce uciekać ze Stellą, to znowu chce wrócić do swoich obowiązków męża, kiedy nareszcie żona, litując się nad stanem smutnym Stelli, gdyby ją opuścił Ferdynando, postanawia dokonać na sobie samej ofiary, odstępując od wyłącznych praw żony i podzielić się nim ze Stellą. Zasłona opada właśnie, kiedy obejmuje obie wołając: moje! moje!

Podobne rozwiązanie obudziło gwałtowne oburzenie; pocziwa Germania, co protestowała już przeciw wszelkiej powadze, nie doszła była jeszcze tak daleko, aby odrzucić powagę praw, na których się opierało społeczeństwo. Wprawdzie Luter uświęcił bigamię w osobie elektora hesskiego, ale to już było dawno i wiedziano o tém tylko z książek. Ogół widział w tém obronę dwojeżeństwa; oprócz tego wiele tu było śmieszności, która znosiła zły wpływ idei sztuki. Potém autor przerobił koniec jój, dając ją na scenę wejmarską; Fernando niemogąc przenieść ani kochankę nad żonę, ani żonę nad kochankę — rzuca je obie i odbiera sobie życie.

Widzimy te zasady, które później rozwinęły się były we Francyi w sekcję Sę-Symonistów.

Współcześnie z tą ostatnią sztuką Goethe pracował powoli nad *Faustem*, napisał operę *Klaudyna von Villa Bella*, a także wygotował niektóre ustępy do *Fizyonomiki* Lavatera, tudzież niektóre mniejsze poemata.

W czasie podróży po Szwajcaryi z młodymi Sztolbergami, w Karlsruhe Goethe był przedstawiony księciu Augustowi wejmarskiemu, mającemu właśnie zawrzeć związek małżeński z księżniczką Ludwiką: książę przyjął go bar-

dzo łaskawie i usilnie zapraszał poetę naszego do Wejmaru. Odwiedził także siostrę swoją Kornelię, która na serio przedstawiła mu niestosowność połączenia się z Lili. Z tego powodu wyznaje, że chociaż nie był nie przyrzekł siostrze, przyznał jej jednakże, że miała zupełnie słusność. Opuścił ją w osobliwszym usposobieniu ducha; był to uczucie, którym karmi się namiętność; tu, dodaje, Cupido czepia się uparcie wszelkiego pozoru nadziei, wtedy kiedy ta oddawna zbiera się go opuścić. Obraz Lili nie opuszczał go pomiędzy uroczymi scenami przyrodzenia; w jednym wierszu mówi: „Droga Lili, gdybym cię nie kochał, jakże byłby dla mnie uroczym ten oto widok! A jednak, gdybym cię nie kochał, czemżeby było dla mnie jakiegokolwiek ukontentowanie.“ Jej wspomnienie przyciągało go do kraju. Ojciec Goethego oddawna życzył sobie, aby syn, jak on sam w młodości swojej, odwiedził Włochy; dziś podwójnie życzył sobie tego, aby udał się pod niebo Auzonii, widząc w tym najpewniejszy środek zapomnienia Lili. Wrócił jednak do Frankfurtu. W czasie niebytności jego, przyjaciele Lili namawiali ją do zerwania z poetą naszym, nie bez słusności upatrując w oddaleniu się jego dowody pewnej obojętności; ale Lili pozostała stałą; mówiono, że chciała udać się z nim do Ameryki. To, przyznaje się Goethe, zamiast mnie pociągnąć więcej jeszcze ku niej, ochładzało owszem; dom ojca mojego, odległy zaledwo o kilkaset kroków od jej mieszkania, więcej daleko miał dla mnie powabę niż owe dalekie, niebezpieczne strony po zamorzem. Jak Gibbon, Goethe westchnął jako kochanek, ukorzył się jako syn woli ojca. Osobliwszy stan jego duszy; nie decydował się ożenić z Lili i nie mógł o niej zapomnieć. Jej zalotność, naprzemiany, budziła w nim to odrazę, to pociąg; poemat jego *Menażeryja Lili* wykazuje jego nieukontentowanie z powodu tych wszystkich, co ją otaczali. Niedźwiedz tej menażeryi wyobraża jego samego.

Jak zwykle do sztuki udał się po pociechę; rozpoczął swego Egmonta, którego dokończył, dopiero kilka lat potem, we Włoszech. Brakło mu tu spokoju ducha. Skoń-

czyło się na tém, że zaręczyny zostały zerwane. Jeszcze raz pozostał swobodnym; swobodnym ale przez to nie był szczęśliwym. Serce jego tęskniło do Lili, bo potrzebowało koniecznie przywiązać się do kogoś; nie szło mu o osobę, ale o uczucie samo, jak to sładnie w wyznaniach swoich mówi o sobie Augustyn święty. Wieczorami lubił błąkać się około jój domu, zawinięty w płaszcz, szczęśliwy, jeżeli na zasłonie okna mógł dostrzedz jój cienia, kiedy się przechadzała po pokoju. Jednego wieczora usłyszał śpiew jój; zadrzał, kiedy poznał własną swoją śpiewkę: *Pocóż tak upornie ciągniesz mię w wir świata?* Byłato śpiewka napisana jeszcze w szczęśliwe czasy! Głos jój umilkł; wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju, nie domyslając się tego, że kochanek jój był niedaleko, pod wrażeniem burzliwych uczuć. Czyż nie wygląda to na scenę z romansu.

Właśnie jakby dla rozerwania Goethego, przybył do Frankfurtu książę August Karol wejmarski, wracając do siebie ze swoją małżonką. Widział Goethego i jeszcze raz zapraszał go uprzejmie, aby przyjechał spędzić kilka tygodni na jego dworze. Wzajemna sympatya objawiła się była odrazu pomiędzy księciem udzielnym a poetą; chęć zwiedzenia świata wielkiego, chęć opuszczenia Frankfurtu, wszystko razem skłoniło Goethego do przyjęcia zaprosin. Ojciec, z dawnymi podaniami człowiek, odradzał mu to; częścią, że świeżo w pamięci był przykład stosunków Woltera z Fryderykiem pruskim; zdawało się staremu, że z takiego koleżeństwa może wyrodzić się jedno z dwojga, albo niełaska, albo służalstwo. Musiał się starowina zgodzić nareszcie na tę podróż do Wejmaru i Goethe opuściwszy raz dach ojczysty, opuścił go na zawsze.

Księga czwarta nosi tytuł okresu genialności, czyli okresu wejmarskiego; obejmuje ona cztery lata (1775—1779).

Siódmego Listopada 1775 roku, Goethe, mając lat 27 wieku swego, przybył do małego miasta, na wydmach Ilmu położonego; długi pobyt w nim poety naszego nadał temu nieznacznemu księztwu rzeszy niemieckiej sławę niepożyta germańskich Aten.

nie było
tak
było

był
w
Wejmarze

Małą na karcie przestrzeń obejmuje księstwo Sachsen-Wejmar; jednakże historycy dworów niemieckich oświadczają, i nie bez słuszności, że po Berlinie nie masz w Germanii całej dworu, którym tyle szczyliłby się naród. Fryderyk W. i Goethe nadali tym dwojgu dworom osobliwszą gloryę. Potrzeba sobie wyrobić jasną ideę Wejmaru, jeżeli chcemy zrozumieć życie zewnętrzne poety.

Wejmar jest starém miastem nad Ilmą, małą rzeczułką, wypływającą z lasów Turyngii i wpadającą do Sali w Jena; po rzeczułce téj pływają tylko kaczki; latem cienką wstęgą snuje się ona po wydmach piaszczystych, a tylko w czasie deszczów wzbiera, zasilona potokami górskimi i wtedy zalewa szeroko brzegi. Miasto samo leży, malowniczo położone, w dolinie i jest wzniesione na kilkaset stóp nad powierzchnię morza. Topograf XVII wieku Mateusz Merian imię Wejmaru wyprowadza od targu na wino (Weinmar), tu bowiem zbierały się jarmarki, sprzedające trunek ten do Jena i innych miast okolicznych.

Na pierwszy rzut oka Wejmar wydaje się być wioską bardziej otaczającą park, niż stolicą, mieszczącą w sobie dwór książęcy, tak tu cicho, spokojnie; prosto; chociaż w architekturze miasto okazuje dawność powstania swego, przecież nie ma ono nic z téj malowniczości stylu średniowiecznego, zachwycającego oko w tylu miastach starych niemieckich. Domy barwy naturalnej kamienia, albo jasnobrunatne, lub jabłkowitzelone, opatrzone są wysokimi dachy, ale brak im wcale tych gustownych przyczółków, tak zdobiących budowy stare, albo wszelkich innych wymysłów architektonicznych; nie mieszają się tu z sobą style, co gdzieindziej tak mile łechce oko artysty i podróżnego. Można się przyuczyć pokochać wreszcie te ciche, proste ulice, te ścieżki sielskie, bardzo właściwe dla ludzi prostych żyjących tutaj, ale potrzeba pożyć tu czas jakiś, aby odkryć w tém wszystkiém pewien urok. Kiedy Goethe przybył był do Wejmaru, powierzchowność miasta tego była wcale imą, niż jest ona dziś; ale możemy ją sobie odtworzyć w imaginacyi, znając przemiany, jakim

ona uległa. Najprzód były jeszcze wówczas mury stare, opasujące miasto; bramy i strzelnice mówiły jeszcze wówczas o czasach niepokoju średniowiecznych. Wewnątrz murów tych było jakich 600 lub 700 domów, niewięcej; wiele z nich było starych; mieszkało w nich około 7000 mieszkańców. Bramy miasta pilnie były strzeżone; nikt nie mógł przejechać nie zapisawszy się w księdze rogatkowej; nawet Goethe, minister i ulubieniec księcia nie mógł być uniknąć tej uciążliwej konieczności, jak to widzimy z jednego listu poety do pani Sztein, w którym radzi jej, aby się udała naprzód sama, a potem połączyć się z sobą za miastem, inaczej bowiem ich wyjazd w jednym powozie zostałby zaraz ogłoszony w mieście. Podczas nabożeństwa niedzielnego przeciągano łańcuch przez ulice, prowadzącą do kościoła, aby oddalić z niej wszelkich przechodniów; zwyczaj ten dotychczas prawie zatrzymał się; łańcuch się przeciąga, ale przechodnie przestępują bez ceremonii przez tę zawadę i idą dalej, dokąd im potrzeba. W nocy nie bardzo było bezpiecznie przechodzić przez te puste i głuche ulice; bo chociaż nie tyle można było obawiać się napadu hultaj, to przecież pozostawało ciągle niebezpieczeństwo złamania sobie karku w jakiej jamie; myśl oświecania ulic nie poczęła się była jeszcze w duszy Turyngezyków. W roku 1685 ulice Londynu po raz pierwszy ujrzały światło lampowe; Niemcy, prawie o lat sto przyzostałe w postępie cywilizacji po za Anglią, nie przyszły były jeszcze do takiej doskonałości. Jeżeli więc w 1854 roku Wejmar nie zna jeszcze gazu i każe cieszyć się mieszkańcom swoim posępnym płomykiem lampy dymiącej, nalanęj olejem cuchnącym a zawieszonęj na sznurze w poprzek ulicy, to można przypuścić, że w 1775 roku Wejmarczycy nie doszli byli jeszcze i do takiego zbytku. Przypuszczenie nasze jest zgodne z rzeczywistością; dekretem bowiem wydanym w Cassel (1775 r.) nakazano, co następuje: w każdym domu, jak tylko posłyszają alarm w nocy, mieszkańcy obowiązani są wystawiać zapa-

loną latarnię, a to w tym celu, żeby ludzie mogli wyszukać drogę swoją w ulicach miejskich. ⁶⁾

Pałac, zajmujący dziś trzy strony kwadratu i rzetelnie mający powierzchowność pałacu, był w czasie przyjazdu Goethego w perzynie. Młoda para książęca mieszkała w Fürstenhausen, stojącym naprzeciwko. Parku jeszcze nie było; na jego miejscu był tak nazwany *Welsche Garten* (ogród francuzki), urządony na sposób Le Notre'a, jak ogrody Wersalu, z drzewami strzyżonemi w różne postacie, z czworobocznemi rabatami, kanałami, mostkami i babilońską wieżą spiralną, zwaną powszechnie *ślimakiem*, w której lud zbierał się słuchać muzyki, popijać pończyk i zajadać go piernikiem. Na lewo tego ogrodu rozciągał się zaród terazniejszego parku, kawał lasu, ciągnący się do wyższego Wejmaru.

Sachsen-Wejmar nie miał handlu, nie znał żadnych manufaktur, żadnego ruchu przemysłowego, politycznego, ani nawet ruchu teologicznego. Ta część Saksonii, należy pamiętać, była ojczyzną i gniazdem protestantyzmu. O kilka mil tylko od Wejmaru leży Wartburg, gdzie Luter, pod przebraniem rycerza Jerzego, mieszkał bezpiecznie, przekładając Biblię, rzucając czasami dla rozrywki kałamarz w łeb szatana, dla tego że łeb ten tak był twardy, iż nie mógł być zrozumieć argumentów teologa. Na rynku wejmarskim do dziś dnia jeszcze stoją dwa domy, z których okien Tetzl ogłaszał indulgencje, a Luter, zapezyczny z tego powodu, piorunował przeciwko nim okrutnie. Wspomnienia z tych religijnych sporów trwają do dziś, ale nie służą więcej za powód do nowych kłótni; wygorzał już ten ogień; nie masz może jednego miasta w Europie, w którymby teologia była tak cichą, a polemika tak drzemała wygodnie. Wartburg do dziś dnia wznosi się malowniczo na wzgórzu po nad dolinami Turyngii, izba Lutra odwiedza się tysięcy pielgrzymów; ale w tym samym zamku, obok izby Lutra,

⁶⁾ Biedermann — Deutschland im XVIII Jahrhundert.

. pokazują ciekawym salę ucztową Minnezyngerów, w której poeta wyzywał poetę i gdzie ta wojna piewców toczyła się w gronie świadków wybranych. Sprzeczność ta może być przeprowadzoną dalej jeszcze. Można wziąć za wyraz rzetelny umysłowości Księstwa Wejmarskiego ten fakt, że podczas kiedy zabytki Lutra chronią się tylko, sala Minstreli dziś odnowiona, świetniej wygląda niż była kiedyś. Kruszy się teologia Lutrowa, zupełnie tak samo jak owa *plama atramentowa* skruszyła się pod ostrzem scyzoryków ciekawych turystów. Pamięć zapasów piewców Germanii, któremi się szezyci kraj ten, coraz się odnawia i odświeża. Nie wskrzesza się ona tylko, ale żyje. Corocznie Wartburg widział zgromadzonych razem członków wielkiej rodziny (Bachów), która wyszła z Węgier w początku reformy, osiadła w Saksonii i wydała oprócz wielkiego Sebastjana Bacha tylu muzyków znakomitych. Rozproszywszy się po świecie, dali sobie przyrzeczenie zjeżdżać się corocznie w Wartburgu; zwyczaj ten trwał do końca XVIII wieku; osobliwszy to był widok; sto dwadzieścia osób jednego rodu, wszyscy muzycy, wydawało koncerta, o jakich nikt nigdzie nie slyszal. Rozpoczywały się od hymnów religijnych, śpiewanych chórem; potem brano za temat jakiś śpiew narodowy, komiczny, albo nawet rozpustny, urozmaicając go improwizacyami na cztery, pięć, lub nawet sześć partycyi. Improwizacye te zwano *quodlibetami*; wielu pisarzy upatruje w nich początek opery niemieckiej. Dziś w Wejmarze miejsce, jakie niegdyś zajmował Sebastyan Bach, dzierży Franz Liszt.

Goethe, ostatni wyraz protestantyzmu wraz z Heglem, osiadł tam, gdzie Luter ogłaszał był pierwsze słowo tego kierunku, mającego się rozwinąć z czasem w panteizmie heglistów i ateizmie Styrnera. W kościele wejmarskim jest portret stary Lutra, malowany ręką Łukasza Kranach'a; wiele to portretów, popiersi, medalionów zrobiono tu z postaci Goethego; dziś nikt nie mówi o Lutrze, ale żyje jeszcze pamięć Goethego w Wejmarze. W mieście tém

brak pamiątek średniowiecznych; wszystko nowe, zwyczajne; park tylko jeden pociąga i zajmuje. Patrząc na ten pyszny obszar lasu, pojmuje się, dla czego Goethemu wystarczyła ta mała miejscina. Po większej części on sam go tworzył, jest on jednym poematem więcej w dziełach twórcy Fausta.

W rozmowach z Eckermanem, Goethe powiada w jednym miejscu: „tu przeżyłem lat pięćdziesiąt; gdzieś ja nie był? a przecież zawsze z rozkoszą wracałem do Wejmaru.“ Miasto to ma śliczne okolice; Ettersburg z pałacem, parkiem, lasami; Berka, uroczą doliną, zwiedzana przez mieszkańców miasta pieszo; nieco dalej Jena w równie malowniczej dolinie; ze wzgórza ogląda się na to miasteczko ciemne, wstawione jednakże oświatą i tyłu imionami sławnymi. Tu byli zgromadzeni Griesbach, Paulus, Baumgarten i Crusius, Danz, jako mistrze teologii protestanckiej; Schelling, Fichte, Hegel, Reinhold i Fries profesorowie filozofii; Loder, Hufeland, Oken, Döbereiner wykładali nauki rozmaite; Luden, Schultz i inni opowiadali dzieje; bracia Szlegle i obaj Humbolci także przyczynili się byli do sławy tego miasta. Przy tém należy wspomnieć o Ilmenau, Eisenach, o lasach turyngskich i dolinie po nad Saalą, miejscami zwiedzanymi z upodobaniem przez podróżnych.

Niemcy w XVIII wieku, jak jeszcze lat temu kilkanaście, były obyczajów prostych, cichych, życie prowadzono po większej części domowe; wystawy i zbytków nie znano. (Pod tym względem przypominały Polskę.) Nawet rzeczy konieczne w życiu, jakimi są naprzykład zanki dobre, drzwi coby się zamykały należycie, noże ostre, powozy na resorach, łóżka wygodne były naówczas rzadkością w Turyngii. 7)

7) Czyż to nie przypomina nasze domy szlacheckie, do niedawnych czasów? Cudzoziemców było to w oczy, osobliwie bawiących po domach pańskich. De Segur mówi o nas w końcu XVIII wieku: „un grand nombre de domestiques et de cheveaux et presque pas des meubles; un luxe oriental et aucune des commodités de la vie: une table somptueuse ouverte à tous les voyageurs et point de lit dans les appartements, hors ceux du maitre et de la maitresse du logis.“ De Segur — Mém. ou souv. et aneclotes T. II (3me edit.) p. 150, 151. (Przyp. tłum.)

Meble u bogatego mieszczaństwa, stolki i stoliki były z drzewa prostego; z końcem XVIII wieku pojawia się mahoń; za nim weszły w użycie zwierciadła ściennie. Przedtém stolki pokrywano grubą tkaniną wełnianą; to samo stoły. O dywanach, jako o rzeczy możebnej, gdzie nigdzie tylko poczęto marzyć; okna zasłaniano wełnianymi zasłonami, kiedy zbytek zasłon przyszedł był już do Niemiec. Krzesel wygodnych nie znano; Grossvater-Stuhl był tylko jeden, przeznaczony dla wieku podeszłego bardzo. Pokój bawialny, *sanctum sanctorum*, w którym przyjmowano poważnych wielce gości, był więcej wyswieżony, po świątecznemu; nie wolno tu było z nim poufalić się w dnie powszednie. Tu były *kurtyny*; po ścianach wisiały portrety familijne albo jaki utwór domorosłego artysty; po komodach, bawiły oko porcelany, w kształcie filiżanek, imbryków, maselniczek i piesków. Tu wchodził gość i w jakąby porę Bóg go nie przyprowadził pod dach uprzejmy, zawsze częstowano go czémś, podając jakąś przekąskę lub kawę. Zwyczaj ten był wszędzie i trwa tam dotąd jak u nas w Polsce, gdzie chronią się długo poczciwe zwyczaje, a po oberżach nie masz nic do jedzenia. Jadano na fajansie; przy takiej prostocie imbryk srebrny albo taca srebrna były czémś tak osobliwém, że o tém mówiono powszechnie w okolicy całej.

Słudzy jadali przy jednym stole ze swoimi panami, mieszali się do rozmowy, żartowali, często nie bardzo delikatnie, ale nie zważano na to wiele. Dzieci święcie poważaly rodziców, do których powagi nie raz przyczyniała się plaga rodzica dobrodzieja; bracia nawet mieli powagę ojcowską nad siostrami. Położenie płci pięknej nie było takie, o jakim marzą dziś nasze panie; nie tylko musiała ona ulegać władzy rodzicielskiej, braterskiej lub mężowskiej, ale nadto społeczność ograniczyła jej swobodę różnemi przepisami i zwyczajami; żadna kobieta np. z klasy wyższej miejskiej nie mogła była wyjść z domu sama; dziewczyna musiała ją przeprowadzać do kościoła, do sklepu, a choćby nawet na przechadzkę.

Z tém wszystkiém język towarzyski wcale nie odznaczał się delikatnością w Niemczech tak jak i w Anglii, czego mamy dowody w dziełach Smolleta albo Sterna. W Wilhelmie Mejstrze, *piękna dewotka* w wyznaniach swoich (mówiąc o towarzystwie wyższém) opowiada, jak jednego wieczora, na zgromadzeniu, grano w gry i sądzono fanty; za jeden fant kazano pewnemu jegomości powieścić jakąś grzeczność każdéj damie obecnej; w skutek tego jespán ten szepnął na ucho jakąś taką grzeczność najpierwszéj damie, do którój przystąpił, że ta, za ten *dusser*, poczęła kręcić go za ucho i to z taką gwałtownością, że puder z włosów fanfarona, zasypał oczy *pięknej dewotce*; kiedy ta nareszcie przetarła sobie powieki, ujrzała jak mąż urażonej damy obnażył pałasza i okładał płazami niefortunnego panicza; tylko wyprowadzenie za drzwi jednego z tych panów zapobiegło dokonaniu pojedynku w obliczu całego wesołego grona.

Lewes kreśląc obraz epoki owéj, daje w końcu cennik rzeczy, dający nam dokładne pojęcie o wartości pieniędzy w owym czasie; punkt ten był rzeczą konieczną, inaczej bowiem nie zrozumielibyśmy tego, jak Karol August mógł być naznaczyć takiemu pociu, jakim był Szyller, pensyę 200 tal.; Goethe jako radca legacyi pobierał tylko 1200 tal. W Anglii, gdzie pieniądz jest tani, komissant u kupca bierze często dwa razy tyle. Ale za to życie kosztuje w Anglii w kilkoro drożej niż kosztowało ono w owe czasy w Niemczech. Z korespondencyi Szyllera z Körnerem dowiadujemy się, że autor *Rozbójników* najmował konia dziennie za kilkanaście groszy, a przepisywano mu rękopism na czysto po kilka groszy od arkusza, złożonego z 16tu stronnic. Przepisywanie całego Don Karlosa kosztowało około siedmiu złotych. Za mieszkanie umeblowane, złożone z dwóch pokoi i sypialni, płacił na kwartał około naszych 14 rubli; służący, mogący w potrzebie zastępować sekretarza, kosztował na kwartał nie pełna czterdzieści złotych; mówiąc o wydatkach, dodać należy, że pranie bielizny, służący, balwierz i inne podobne ekspensa, na kwartał nie

przewyższały kaźden złotówki jednėj; tak, że przyzwoite utrzymanie roczne nie przewyższało rocznie 450 talarów; mówiąc o życiu rodzinném, z żoną i dziećmi, oświadcza, iż z 800 talarami mógłby wyżyć wygodnie w Jena — *recht artig!*

Bo téż w Wejmarze nie prowadzono wcale życia wystawnie; w mieścinie małej, ocienionėj dworem książęcym, życie mieszkańców było właśnie wyrazem téj sprzeczności. Lud był sobie cichy, ciężki, ciemny, nieokrzesany, ale poczciwy, szczęśliwy, rad ze swego chleba razowego i polewki. Wznosząc się wyżej, spotykamy wykształconą klasę urzędników, artystów, professorów, a jeszcze wyżej docierając, staniemy oko w oko z arystokracją, bez wykształcenia klasy średniej, ale ze swoją własną kulturą, nie daleką wcale od prostactwa duszy; jest klasa ubogiej, ale tém więcej jeszcze nadętėj i ciemnej szlachty, zazdrośnej o swoje drobne przywileje, wierzącėj mocno we dwór swego księcia, tak samo jak kalwiniści wierzą w łaskę bożą.

Dwór był najwyższym celem dumy Wejmarczyków. Szlachetnie urodzony, czy z gminu? było główném pytaniem. *Hoffähig oder unfähig* (godzien dworu, albo niegodzien), mogący być przedstawionym na dworze, albo nie; całe zbawienie polegało w odpowiedzi na to zagadnienie. Jeżeli kto mógł przed nazwiskiem napisać *von*, był urodzonym; bez *von*, choćby był Goethe, Szyller, albo Herder — mniejsza z tém — nie był urodzonym, był niczém. W teatrze do 1825 r. do łoż prawo miała była tylko szlachta sama; kiedy studenci z Jena nacisnęli się na parter, wyciskając szturchańcami publiczność prześwietną wejmarską, pomimo całej prześwietności swojej musiała była wracać do domu spuściwszy nosa na kwintę, albo bić się ze studentami o miejsca w parterze albo w galeryi; o łożach pomyśleć nawet nie mogła. Nawet po odbudowaniu teatru, kiedy łoża dozwolone były mieszczañstwu, przywilėj ten stosował się tylko do lewej strony teatru, prawa bowiem była przeznaczona wyłącznie dla *fonów*. To trwało

do 1848 roku; odtąd kaźden zajmuje takie miejsce, jakie jest w stanie opłacić.

Nikt nie mający przed nazwiskiem partykuły *von* nie mógł być przedstawiony na dworze; Herder nawet, znany ze swego demokratycznego usposobienia, musiał być odwoływać się do swego więcej niż wątpliwego tytułu szlacheckiego pfalchrabskiego (Pfalzgrafliche Adel), aby zostać przyjętym u dworu. Odmówiono mu tego, co rzuciło było na niego pewien odcień śmieszności. Goethe musiał być pomimo swojej woli zostać nobilitowanym, a Szyller wyłączony z towarzystwa, do którego miała być prawo jego żona, pochodząca z domu szlacheckiego, musiał być narreszcie przystać choć z goryczą na własne uszlachecenie, chociaż zawsze potem uskarżał się na wydatki wielkie, jakie pociągnął był za sobą ten honor. Jakkolwiek dumny Szyller, musiał być jednakże wyznać, że przyjęcie tytułu było koniecznym; mamy jego zeznanie w liście jednym do Körnera; „W miasteczku jak Wejmar zawsze“ powiada on „źle jest być od czegokolwiek wyłączonym; tu znajdujemy często coś nieprzyjemnego, na co w mieście wielkim, nie zważałoby się nawet.“ Nie prędko po nobilitacyi Goethego mówiono o tém, że rzecz ta miała za powód to, aby mogło dojść jego małżeństwo z panią von Sztein. Nie było do tego żadnego podobieństwa, ani myślano o tém małżeństwie. Przyczyna tego leżała głębiej. Karol August nawet samowolny i rozkazujący, jak przekonamy się o tém w obronie przyjaciela swego, czuł, że nie mógł być nie baczyć na brak godności szlacheckiej i że Goethe musiał być koniecznie mieć tytuł, aby mieć wolny ku niemu dostęp. Księżna Amalia wzięła była na siebie przekonać Goethego o konieczności uszlachecenia go.

Wydawać się musi zabawném to *podniesienie* Goethego i Szyllera do wysokości innych panów szlacheckich dworu wejmarskiego, ale tak być musiało; dwór księcia Karola Augusta był, lubo maluczki, podobny do wielkich dworów; byli tu ministrowie, szambelany, pазie, była armia. Ale czemuż nie miało być tego wszystkiego, kiedy hrabia

Let. 11.
m. 11.
m. 11.

przewyższały kaźden złotówki jednėj; tak, że przyzwoite utrzymanie roczne nie przewyższało rocznie 450 talarów; mówiąc o życiu rodzinném, z żoną i dziećmi, oświadczą, iż z 800 talarami mógłby wyżyc wygodnie w Jena — *recht artig!*

Bo téż w Wejmarze nie prowadzono weale życia wystawnie; w mieście małej, ocienionėj dworem książęcym, życie mieszkanców było właśnie wyrazem téj sprzeczności. Lud był sobie cichy, ciężki, ciemny, nieokrzesany, ale pocziwy, szczęśliwy, rad ze swego chleba razowego i polewki. Wznosząc się wyżej, spotykamy wykształconą klasę urzędników, artystów, professorów, a jeszcze wyżej docierając, staniemy oko w oko z arystokracją, bez wykształcenia klasy średniėj, ale ze swoją własną kulturą, nie daleką weale od prostactwa duszy; jest klasa ubogiej, ale tém więcj jeszcze nadętėj i ciemnej szlachty, zazdrośnej o swoje drobne przywileje, wierząc mocno we dwór swego księcia, tak samo jak kalwiniści wierzą w łaskę bożą.

Dwór był najwyższym celem dumy Wejmarczyków. Szlachetnie urodzony, czy z gminu? było główném pytaniem. *Hoffähig oder unfähig* (godzien dworu, albo niegodzien), mogący być przedstawionym na dworze, albo nie; całe zbawienie polegało w odpowiedzi na to zagadnienie. Jeżeli kto mógł przed nazwiskiem napisać *von*, był urodzonym; bez *von*, choćby był Goethe, Szyller, albo Herder — mniejsza z tém — nie był urodzonym, był niczém. W teatrze do 1825 r. do loż prawo miała była tylko szlachta sama; kiedy studenci z Jena nacisnęli się na parter, wyciskając szturchancami publiczność prześwietną wejmarską, pomimo całej prześwietności swojej musiała była wracać do domu spuściwszy nosa na kwintę, albo bić się ze studentami o miejsca w parterze albo w galeryi; o lożach pomyśleć nawet nie mogła. Nawet po odbudowaniu teatru, kiedy loże dozwolone były mieszczanstwu, przywilėj ten stosował się tylko do lewej strony teatru, prawa bowiem była przeznaczona wyłącznie dla *fonów*. To trwało

do 1848 roku; odtąd kaźden zajmuje takie miejsce, jakie jest w stanie opłacić.

Nikt nie mający przed nazwiskiem partykuły *von* nie mógł być przedstawiony na dworze; Herder nawet, znany ze swego demokratycznego usposobienia, musiał być odwoływać się do swego więcéj niż wątpliwego tytułu szlachcica pfalchrabskiego (Pfalzgrafliche Adel), aby zostać przyjętym u dworu. Odmówiono mu tego, co rzuciło było na niego pewien odcień śmieszności. Goethe musiał być pomimo swojej woli zostać nobilitowanym, a Szyller wyłączony z towarzystwa, do którego miała być prawo jego żona, pochodząca z domu szlchetnego, musiał być narzeczcie przystać choć z goryczą na własne uszlachcenie, chociaż zawsze potem uskarżał się na wydatki wielkie, jakie pociągnął był za sobą ten honor. Jakkolwiek dumny Szyller, musiał być jednakże wyznać, że przyjęcie tytułu było koniecznym; mamy jego zeznanie w liście jednym do Körnera; „W miasteczku jak Wejmar zawsze“ powiada on „źle jest być od czegokolwiek wyłączonym; tu znajdujemy często coś nieprzyjemnego, na co w mieście wielkim, nie zważałoby się nawet.“ Nie prędko po nobilitacyi Goethego mówiono o tém, że rzecz ta miała za powód to, aby mogło dojść jego małżeństwo z panią von Sztein. Nie było do tego żadnego podobieństwa, ani myślano o tém małżeństwie. Przyczyna tego leżała głębiej. Karol August nawet samowolny i rozkazujący, jak przekonamy się o tém w obronie przyjaciela swego, czuł, że nie mógł być nie baczyć na brak godności szlacheckiej i że Goethe musiał być koniecznie mieć tytuł, aby mieć wolny ku niemu dostęp. Księżna Amalia wzięła była na siebie przekonać Goethego o konieczności uszlachcenia go.

Wydawać się musi zabawnym to *podniesienie* Goethego i Szyllera do wysokości innych panów szlchetnych dworu wejmarskiego, ale tak być musiało; dwór księcia Karola Augusta był, lubo maluczki, podobny do wielkich dworów; byli tu ministrowie, szambelany, pазie, była armia. Ale czemuż nie miało być tego wszystkiego, kiedy hrabia

der Herr
von
Sztein

udzielny von Limburg Styrum miał także swój dwór, a nawet swoją gwardyę, złożoną z huzarów; składała się ona z pułkownika, sześciu oficerów i dwóch szeregowych; książę wejmarski miał ministryum wojny, złożone z ministra, jego sekretarza i kancelisty.

Arystokracja ta nie mogła przecież złożyć ukształconego ogółu, coby rozumiał sztukę i czuł potrzebę piśmiennictwa. To też poeci niemieccy mieli swoje kółka, mieli koterye przyjaciół, ale nie mieli *narodu*, coby ich pojął; do dziś dnia prawie tak się ma w Niemczech, tak się ma u nas także.

Ciekawym rozdziałem w dziele Lewesa jest rozdział drugi, księgi czwartej p. t. *znakomitości Wejmaru*. Starając się dać w przekładzie mojem wszystko, co ważnem i ciekawem jest u autora angielskiego, podajemy tu wszystkie ciekawe szczegóły tego ustępu.

Nasamprzód autor szkicuje postać księżny Amalii, matki. Pochodziła ona z domu brunswickiego; miała ona wszelkie rysy jego: kaprysy, zamiłowanie w zabawach i lekkim życiu; ale obok tego miała ona duszę ukształconą, obdarzoną talenty i zdolną oceniać ludzi zdatnych. Choć siostrzenica Fryderyka W. nie szła przecież za zwyczajem dworów owoczesnych w pogardzaniu literaturą własną, a wynoszenia piśmiennictwa Francuzów. Owszem miało się wcale inaczej; najlepszym dowodem jest wybór Wielanda za nauczyciela dla swego syna, a za przyjaciela dla siebie samej. Szyller, niewyrozumiały sędzia dla osób i wcale nieśmiały twórca charakterów kobiecych, pisał do Körnera, po swojem pierwszym widzeniu się z księżną: „Nie podbiła mnie wcale; nie podoba mi się wcale jej fizjonomia. Umysł jej wcale ograniczony: to tylko ją zajmuje, co działa na zmysły, a ztąd smak jej, albo przynajmniej ten, do którego się przyznaje, skłania się wyłącznie ku muzyce, malarstwu i t. p. Sama nawet jest kompozytorką i ułożyła Erwina i Elwirę Goethego pod muzykę. Mówi mało, ma przecież tę zaletę, iż odrzuca na stronę wszelką sztywność ceremonii i etykiety dworskiej.“

Sąd Szyllera o ks. Amalii nie może być przyjętym bezspornie przez każdego, kto tylko zechce się zastanowić nad tém, że oprócz jęj zdatności ocenięcia ludzi z talentem, którzy znajdowali sami przyjemność w obcowaniu z nią, uczyła się ona języka greckiego od Wielanda, czytała Arystofana, umiała po łacinie i przekładała Propercyusza (!), była kompozytorką w muzyce, dość zręcznie sądziła o dziełach sztuki, rozmawiała o polityce z księdzem Raynal'em, a o literaturach greckiej i rzymskiej z Villoison'em; nadto z całym swoim czytaniem i z zabawami, miała czas na czuwanie nad wychowaniem syna i na rządzenie państwem swoim z osobliwszą biegłością. Zdaje się, że to wszystko nie da się pogodzić z *bardzo ograniczoną umysłowością*, jak się o niej wyraził Szyller.

Podstawa zmysłowa, o której namienia Szyller, zapewne musiała być, zwłaszcza u tłumacza Propercyusza, u przyjaciółki Wielanda; można nawet rysu tego dostrzedz w portrecie ks. Amalii; dostrzega się tegoż zarówno w jęj życiu wesołym. Biografowie i chwalecy opuszczają w żywocie rysy podobne; ich ulubioną stroną jest retoryka, ogólniki zarówno dające się zastosować do każdego, ale właśnie szczegóły powyższe mogą ożywić postać księżnej. Oto jest np. jeden zarys tęj postaci, podany przez jednego nieznanego podróżnego: „Szczupła w sobie, przystojna, z fizyonomią bardzo dowcipną; ma ona nos familii brunswickiej, maluczkie, zgrabne rączki i nóżki, krok lekki, a przecież książęcy, mówi dobrze, tylko prędko, do tego ma coś dobrego, coś pociągającego w swęj naturze..... Tęgo wieczora była reduta; bilety były po guldenie ($\frac{1}{2}$ r. sr.); dwór przybył o ósmęj. Księżna była przepyszna w *domino* i jaśniejąca od klejnotów. Tańczy dobrze, lekko i zgrabnie. Młodzi książęta, przebrani za *Zefira* i *Amorka* także tańczyli dobrze. Maskarada była ludna, ożywiona i pełna różnaitości. Stoły stały do faraona; najmniejsza stawka była po pół guldena (25 k. sr.); księżna stawiała talary i półimperyaly, grała wspaniale i przegrywała; ale lubiąc taniec nie długo przesiadywała u stolika kartowego. Tań-

czyła z każdą maską, jaka się zapraszała do tańca i bawiła prawie do trzeciej po północy; kiedy już prawie wszyscy się byli rozjechali.“ Ten sam pisarz mówi następnie: „Księżna wystąpiła *en reine grecque*, w bardzo pięknym kostiumie, który był jój bardzo do twarzy. Bal był bardzo świetny; było na nim kilkudziesięciu studentów z Jena. Na ostatni bal *sezonu*, księżna przysłała mi jeden ze swoich własnych kostiumów sabaudzkich i ja zostałem ufryzowany i odziany po kobiecemu przez służące hrabiny Götz. Młody hrabicz był także przebrany za kobietę i tak przyjechaliśmy do dworu, jedliśmy tam obiad i ztąd pojechaliśmy na bal, który trwał aż do szóstej.“ Ta księżna, tyle lubiąca zabawy, umiejąca tak dobrze rządzić państwem, mało dbała o godność stanu swego. Wedle Wielanda nie raz żyła po studencku, osobiwie w Belwederze, gdzie śpiewano piosenki studenckie, nie zawsze przyzwoite i przechadzano się przy świetle księżycy po ciemnych ogrodach. Jadąc raz z siedmiu przyjaciółmi z Tyfurtu prostym wozem, używanym zwykle do przewożenia siana, i napadnięta od burzy, nie troskała się tém bardzo, odziała się po swojej lekkiej sukni w płaszcz Wielanda i w tém kostiumie jechała dalej.

Listy jój, osobiwie pisywane do matki Goethego, z których kilka Lewes miał pod ręką, miały w sobie wiele serdeczności, a cienia nawet tego, coby trąciło jakimś formalizmem. W jednym z nich przeprasza, że dawno już do niej nie pisała; nie pochodzi to, mówi, z braku przyjaźni, ale raczej z braku nowości; żeby dowieść, że myślała o *Frau Aja* (jak zwały w familli dzieci matkę Goethego), posyła jój parę podwiązek zrobionych od siebie. „Kochana *Frau Aja!* pisze inną razą do niej — radość moja przy odebraniu listu twego nie da się opisać, ani myślę nawet opisywać ci jój, dla tego, że uczucia szczerze za nadto są święte, aby je wylewać *czarno na białem*. Wiesz to, kochana matko, czém jesteś dla mnie i możesz wierzyć, ile wspomnienie twoje o mnie rozradowało duszę moją.“ Jeszcze w innym liście; „O matko! matko! łatwo

odgadujesz zapewne myśli moje! Co tam robi ojciec stary? Wszak miał podobno być niezdrow? Pozdrów go odemnie i to po tysiackroć. Bywaj zdrowa najlepsza matko! Kochaj mię i myśl często o swojej przyjaciółce Amalii.“

Obok postaci księżnej Amalii postrzegamy jeszcze małą, wesołą, złośliwą, z krzywą łopatką osobkę panny Göschenhausen, jęj frejliny, przezwanęj od poufałych Thusneldą. Trudno odgadnąć zapewne, dla czego ten sprytny *demon de bonne compagnie* został nazwany imieniem żony Arminiusza. Wielką ona była faworytą ks. Amalii, księcia Karola Augusta także, któren ustawicznie wojował z nią na dowcipy, nie zawsze nawet z rodzaju niewinnych. Panna honorowa księżnej ożywiała towarzystwo swoją niewyczerpaną gawędką, utrzymując przytęm ogromną korespondencyę z ludźmi dowcipnymi innych miast niemieckich. Bardzo lubiła Goethego i pisywała stale do matki jego. Karol August był jęj pieczoszkim, dla tego może właśnie, że nie dawał jęj chwili jednęj pokoju. W jakim rodzaju były owe żarty, możemy wniesć z tęj oto anegdoty, którą Lewes miał od pani Goethe, która ją słyssała od swego teścia, uczestniczącego w samęm działaniu. Jednego wieczoru, kiedy Thusnelda przyszła była na górę, po schodach prowadzących do jęj apartamentu, zgasła jęj świeca. Nie zwracając weale na to uwagi, poszła dalej, dosięgła galeryi, na którą wychodziły drzwi od jęj sypialni, i zaczęła macać rękami po ścianie szukając klamki. Zapewne nie jest weale trudną rzeczą wyszukać po omacku klamkę od drzwi własnego pokoju, ale Thusnelda szarżyła po ścianie rękoma długo i nie nie mogła na nięj wyszukać, mur tylko gładki nasuwał się jęj wszędzie pod dłonią. Gdzież się podziały drzwi? Nabiedziwszy się nadaremnie, niespokojność jęj doszła do najwyższego stopnia; zeszyła na dół do sypialni księżnej, ale tu już było zamknięto, cicho, księżna musiała już zasnąć i nikt nie odpowiedział jęj na jęj nieśmiałe pukanie. Znowu więc poszła na górę, znowu zaczęła macać, chcąc wyszukać drzwi, ale zawsze goła, równa ściana dawała się uczuć pod ręką.

Noc była chłodna, Thusnelda zmarzła dobrze od zima i strachu, nim się rzecz wyjaśniła: księżę i Goethe wyjęli jęj drzwi, założyli je drzewem i zakleili papierem.

Wieland wydawał gazetę *Deutsche Mercur* (Merkury niemiecki), która była nie bez wpływu. Kiedy przestał być być nauczycielem księcia, pozostał zawsze przyjacielem księżnej matki. Należał do wszystkich zabaw; równie należał do nich zawsze Einsiedel, który najprzód był paziem u dworu, potem został szambelanem księżnej Amalii 1776 r. Epikurzejczyk wesoły, nie dbający o nic, wszędzie miany za przyjaciela dla swojej poczciwej natury i dziwactwa; szaleństwa jego podawały tysiące tematów do rozmowy; był trochę poetą i muzykiem, aktorem i wynalazcą rozmaitych rozrywek; z jego imieniem przychodzi się wszędzie spotkać w kronice społecznej Wejmaru. Pomiedzy jego szaleństwa dość będzie wspomnieć osobliwszą awanturę z panią Werther, która udała umarłą, kazała pochować na swoim miejscu jakiegoś bałwana, a tymczasem wyjechała z Einsiedel'em do — Afryki. Prędko potem wróciła na powrót i dopiero podała się do separacyi formalnej z mężem. (Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, czyli Siebenkäs, umierający równie fałszywie w romansie Jana Pawła *Blumen- Frucht- und Dornenstücke*, nie był umorzony od autora, na wzór tęg zaenęj damy?)

Wspomnieć tu należy o Corona Schröter, śpiewaczce nadwornej. Ta cudna i ślicznie ukształcona istota znana była Goethemu, kiedy był jeszcze studentem w Lipsku; kiedy prędko jakoś po swoim przybyciu do Wejmaru, zwiedził z księciem to miasto, widział się z nią i namówił, aby przyjechała na mieszkanie do rezydencyi księcia. Była ona ozdobą teatru prywatnego i wzorem dla Iphigenii.

Als eine Blume zeigt sie sich der Welt.

(Jak kwiatek światu się objawia).

Mówi o niej Goethe w tém miejscu, w którym uieśmiertelnął ją i Mieding'a.⁸⁾ I jakie śliczne przyrównanie jęg do kwiatu!

⁸⁾ Patrz poemat — Miedings Tod — Śmierć Mieding'a.

Corona miała wiele talentów: malowała, śpiewała, grała, biegła była w muzyce i z osobliwszym darem umiała mówić wiersze.

Wedle zdania Karola Augusta była piękna jak marmur starożytny, ale równie jak marmur była ona zimną. Goethe zaś mówi o niej:

Und hoch erstaunt, seht Ihr in ihr vereint.

Ein Ideal, das Künstlern nur erscheint.

(Z podziwieniem widzicie w niej wcielony

Ideal, objawiający się tylko kunsztmistrzom).

Była pogłoska, puszczona podobno od Riemera (sekretarza Goethego), że Corona była kochanką poety; Schöl widzi tu jakieś nieprawdopodobieństwo. Lewes popiera zdanie Schöl'a świadectwem synowej Goethego, że teść jej zaręczał ją uroczyście, że w życiu swoim nie kochał się nigdy w żadnej aktorce. Może Schröter nie była dlań popolitą aktorką. Varnhagen von Ense podejrzewa, że Corona była prywatnie poślubiona Einsiedel'owi; jeżeli miało się inaczej, to to zdaje się być niezawodną rzeczą, sądząc z listów, że oboje byli z sobą na stopie kochanków.

Imy szambelan, poeta i muzyk był Seckendorf; on przełożył Wertera na język francuzki, w rok po przybyciu Goethego. Do tych wesołych koleżków dodać należy Bode'go, tłumacza Cervantes'a i Smollet'a; Bertuch'a — podskarbiego i Muzeusza, zbieracza powieści ludowych, namiętnego amatora ogrodnictwa, który uदारował Wejmar śliczną willą *Erholung* nazwaną; codziennie można go było widzieć idącego przez spokojne ulice miasta z filiżanką kawy w jednym ręku, a z ogrodniczemi narzędziami w drugim, a zmierzającego do swego miejsca wypoczynku (*Erholung*).

Takie są główne osoby dworu księżnej Amalii. Możemy teraz spojrzeć na dwór panujących książąt Karola Augusta i Ludwika.

Dla księżnej Ludwika kaźden znajduje tylko wyrazy uwielbienia. Była ona jedna z tych rzadkich istot, które bądź w najgorszych okolicznościach, bądź w zwyczajnym biegu życia, objawiają stale charakter szlachetny. Królowa

pruska i księżna sasko-wejmarska są dwiema wielkimi postaciami nowożytnej historyi Niemiec; obie one stały przeciw Napoleonowi, mężowi największemu wieku i pomimo to obie one były cenione od niego dla téj samej oppozycyi swojej. Ludwika była tak wielką istotą, że możemy nawet wyznać o niej to, iż była zimnego usposobienia, za surowa nieco w zachowaniu srogiej etykiety (tak niepodobna w tém do księżnej matki); nosiła ona do ostatnich dni ubiór, który był w modzie za czasów jej młodości. Skłonna do sprzeczek z mężem w początkach pożycia, ale przez cały czas zamężcia okazywała ona rzetelną i szlachetną przyjaźń dla niego. I on zasługiwał na taką przyjaźń więcej nawet niż dozwalała spodziewać się tego po nim dziwaczna i w wielu względach sprzeczna z charakterem żony natura. Karol-August, któremu Fryderyk Wielki, jeszcze kiedy miał on lat czternaście, przyznał był to, że był on księciem najwięcej obiecującym ze wszystkich, jakich tylko znał, był w istocie bardzo sprzecznym, ale pomimo to, bardzo osobliwym charakterem. Zasługuje on na to, aby spojrzeć nań bliżej ze strony więcej powszedniej, niż to dokonuje się zwykle w życiorysach innych panujących osób. Byłto mąż, którego dar oceniania ludzi genialnych nie tylko że ściągnął był do Wejmaru najznakomitszych ludzi kraju niemieckiego, ale byłto człowiek, którego wewnętrzne zalety umiały były ich tam na długo zatrzymać. Zapewne że łatwo jest księciu jakimukolwiek przyciągnąć do siebie ludzi z talentem, ale wcale nie jest łatwą rzeczą zatrzymać ich na długo, tak, by ci mogli używać w pełni danych im od Boga darów duszy, używając przytém wygód życia, odpowiednich swemu stanowisku. Karol-August był właśnie księciem, co przy środkach ograniczonych, zrobił był największe skutki w Niemczech. Byłto mąż nieuspiającej nigdy działalności; czułwał on ustawicznie w państwie swoim, nie tu nie uchodziło jego oka; stałem jego usiłowaniem było ulepszenie bytu ludu. Nie było przecież ani jednego człowieka w jego państwie, wyłączając tylko Goethego, któryby z nim godził się w głównych zasadach

co to za
zwyczaj
2
wielki

jego poglądów. Nawet było coś w ich fizyonomii familijnego, jak powiada Lewes, że się dopatrzył rysów podobnych patrząc na dwa popiersia stojące obok siebie — księcia i przyjaciela jego, poety. Obaj mieli w żyłach swoich, po ojcu, krew turyngską; w wielu też względach Amalia i matka Goethego były do siebie podobne. Ale książę, mając usposobienie ducha czynne, zdrowe, sensualne, skłonne do zabaw jak jego przyjaciel, przecież nie miał, wspólnie z tym ostatnim, tego *taktu*, jemu tylko właściwego, nieprzekraczania nigdy w tém wszystkiém pewnej miary. Brak mu było takż owęj czułości i rycerskiego ducha, które tak podobowało się w Goethym płci niewieściój. Karol-August był dowcipny, ale jego *bon-mots* bywały zwykle z tego rodzaju, które wyrrywając się mimowolnie po dobrym obiedzie, niekoniecznie bywają przyzwoite do kursowania w salonie. Charakterystycznym faktem jest, że książę zbierający bibliotekę *erotyczną* myślał był, słysząc o „*Dziwicy orleańskiej*“ Szyllera, że to było tłumaczenie nowe poematu Woltera: *La pucelle d'Orleans*. Tą myślą nabił tak głowę kochance swojej von Heggendorf, że ta upierała się w odmowie odegrania roli bohaterki Francyi. Był on gruby, żółdakówaty, prędko i rozkazujący. Najlepiej lubił być w garnizonie z pruskiém wojskiem, ale zawsze czuł się nie w swoim elemencie, kiedy był na dworach obcych, on, co i u siebie, w swoim własnym dworze, nie bardzo czuł się swobodnym. Goethe opisuje, jak książę tęsknił za fajką na dworze brunswickim 1784 roku: „De son coté notre bon due s'ennuie terriblement; il cherche un intérêt, il n'y voudrait pas être pour rien, la marche très mesurée de tout ce qu'on fait ici le gêne; il faut qu'il renonce a sa chère pipe et une fée ne pourrait lui rendre un service plus agréable qu'en changeant ce palais dans une cabane de charbonnier⁹⁾“ W jednym nie drukowanym liście książę pisze do Goethego z Gotha, że tęskni za nim i zatém, że nie może, po staremu, patrzeć na wschód i zachód słońca, bo zakrywa je przed

⁹⁾ Briefe an Frau Stein III, p. 85.

nim chmara dworaków, którzy tak są *comme il faut* i tak okrutnie znają swój obowiązek, że co wieczor do rozpaczy go prawie doprowadzają tą swoją pilnością. Jeżeli kiedy nie był w towarzystwie żołnierzy, to lubił się otaczać psami, albo też w małym prostym domku w parku lubił sam na sam ze swoim poetą rozmawiać o filozofii i innych rzeczach poważnych. Przystawał chętnie z ludem prostym. W Ilmenau z Goethym, przebrani w odzież górników, spuszczaali się do kopalni, a całą noc potem tańczyli z górniczkami. Podróżując po kraju, włóczył się po dolach i górach; lubił droczyć panny honorowe, a czasami doprowadzał to do tego stopnia, że obrażał nawet swoją żonę; włóczył się samotnie z psami, albo z jakim wesołym towarzyszem, szukał roztańnienia w winie, albo unizgając się do ładnych twarzątek, bez względu na stan ich towarzyski; urażał swoim grubijaństwem przyjaciół swoich, ale nigdy nie zrażał ich od siebie; Karol-August, często narażając sobie nawet chwalców swoich, był — ze wszystkimi przywarami swojemi, rzetelnego i osobliwszego charakteru. Umysłu czynnego, sąd jego o rzeczach i ludziach miał być zdrowy i śmiały. Za dowód tego (bardzo nieszczęśliwie podług mnie) podaje Lewes taki przykład. Kiedy raz powstała była sprzeczka z powodu przeznaczenia Fichtego na profesora do Jena, jeden z opponentów postąpił bardzo rozsądnie, dając księciu dzieło Fichtego do przeczytania, jako niezbity dowód, że niepodobna było podobnymi nauczycielami obsadzać katedr publicznych do wykładu nauki. Karol-August przeczytał daną sobie książkę — i nazaczył Fichtego. Kto zna naukę panteistyczną Fichtego, ten nie zgodzi się na to, aby postępek ten był dowodem zdrowego sądu o rzeczach. Wiemy, do czego ta filozofia doprowadziła społeczność w nasze czasy; opponent nominacyi na katedrę tego filozofa był owszem daleko widzącym człowiekiem: widział on w teorii Fichtego — heglistów, Strausa, Bauera, Feuerbacha i nareszcie Stirnera.

Miał książkę August wielkie plany, miał więc wolę silną do ich przeprowadzenia w życie rzeczywiste „zawsze po-

stępował on naprzód, mówił o nim Goethe Eckermannowi; jeżeli co się mu nie udało, to raz na zawsze wyrzucił z myśli. Nieraz mozoliłem się nad tém, jak wytłómaczyć sobie to lub owo nieudanie się czegoś; ale on nie dbał o to, jak to się stało, dla czego się stało, bo dążył już do czegoś nowego. O lat ośm młodszym będąc od Goethego, przywiązał się był do niego jak do brata starszego. Poznamy następnie to przywiązanie i wzajemne na siebie wpływy tych dwóch ludzi; nieraz nachodzą chmury, nieporozumienia, nieukontentowania zdarzają się także w tém pożyciu, (w jakikéjże przyjaźni ich nie masz?) ale lat piędziesiąt wzajemnej pomocy i miłości dowiodły, zdaje się, dostatecznie rzetelności obydwóch charakterów — księcia i poety.

Pomiędzy znakomitościami Wejmaru, pani von Stein będzie miała zawsze znaczne pierwszeństwo. Pomówimy o niej jeszcze. Dość będzie powiedzieć o niej na teraz, że była ona damą dworu księżnej Amalii i przez wiele lat bożyszczem ubóstwianém od Goethego. Obok niej możemy jeszcze wspomnieć o hrabinie von Werther, która była tém dla księcia, czém baronowa von Stein była dla Goethego. Ta, jak wiadomo, jest oryginałem nadobnej postaci hrabiny w Wilhelmie Mejstrze, a mąż jój był jeszcze dziwniejszym od przedstawionego tam hrabiego dziwaka. Opowiadają o nim, że razu jednego, kiedy książe i kilku innych znamienitych gości bawili w jego zamku, on zebrał kilkunastu ze swoich chłopów, poubierał ich w liberyę i poczercił ich szuwaksem, aby odgrywali, przy przyjęciu księcia, rolę murzynów.

Na zawarcie spisu mamy jeszcze majora Knebla, tłómacza Lukrecyusza i Propercyusza, poczciwego, satyrycznego republikana, poufałego przyjaciela Karola-Augusta i Goethego, filantropicznego Tymona, jak go nazywał Herder, srogiego dla wszelkiej niegodziwości i nieszczerości, ale kochającego naturę ludzką, przeciw której deklamował. Tak to zwykle bywało w wieku zeszłym. Patrząc na jego niekształtną głowę sokratyczną, zdaje się, że słyszysz z ust jego ulubiony jego wykrzyknik: Jo! Jo! Czytając zaś jego

korrespondencyę, akcent nie zależnej, pocziwój natury nadaje każdemu słowu jego osobliwszą wagę.

Opusciliśmy Herdera, bo dopiero po Goethym przybył on do Wejmaru i nawet Goethe go tu przyciągnął, bo przyjaźń jego dla Herdera, zawiązana w Strasburgu, nie zmniejszała się. Osobliwsza gorycz i upodobanie w sarkazmie, właściwe jego przyrodzeniu moralnemu, których nie mógł być przemódz młody student, nie nadwałiło przywiązania męża. W jednym, nie ogłoszonym, liście Goethego do księżnej Amalii, znajduje się bardzo gorliwa prośba za rodziną Herdera, której trudno było wyżyć przy środkach ograniczonych; książę obiecał zająć się jedném z dzieci, a Goethe pisał do księżnej matki, prosząc jej, aby ona zajęła się drugiem. Nie odbierając odpowiedzi na prośbę swoją, a przynajmniej nie odbierając wiadomości rychłej w tym względzie, pisał powtórnie jeszcze usilniej prosząc, dodając, że jeżeli księżna nie zajmie się losem dziecka, to on sam weźmie je pod swoją opiekę i będzie utrzymywać ze swoich szczupłych dochodów. Było to właśnie w tym czasie, kiedy Herder objawił dla Goethego jakąś gorycz. Słusznie mógł powiedzieć Merck „nikt nie może oprzeć się bezinteresowności tego człowieka.“

Goethe, młodzian genialny, piękny, otoczony urokiem sławy, jako autor *Goetz'a* i *Werther'a*, czarował wszystkich; nawet księżna Amalia, mając do niego urazę, że sztydził sobie z ulubionego jej Wieland'a, nawet ona, mówię, nie mogła się była oprzeć urokowi, pociągającemu do niego oczy i serca wszystkich. Nawet jego pustoty miały powab w oczach księżnej, jako szal dziki duszy młodej, poetycznej a pełnej pogody. Autor Wertera nie udawał przesyty, jak to udawali późniejsi bajroniści. Raz wypowie jakiś paradoks, to znowu zrywa się z miejsca, porywa w objęcia statwę starożytną i w namiętnym uścisku z nią obiega w wirze walsa pokój księżnej, co ją pobudzało zawsze do serdecznego śmiechu. I Wieland nie pamiętał mu jego paradyi; owszem, oto jak pisał on o Goethym, po swoim z nim poznaniu: „Od razu poczułem w nim człowieka wedle serca

mego! Jakże pokochałem tego wspaniałego młodziana, kiedy siedział obok niego u stołu; wszystko, co mogę powiedzieć, jest to jedno: od tego poranku dusza moja tak jest nim przepełnioną, jak kropla rosy porannej pełną jest promieni słonecznych... Myślę, że ten bogom podobny młodzieniec dłużej zabawi u nas, niż to sobie zamierzał i jeżeli Wejmar może zdobyć się na coś, coby go mogło tu zatrzymać, to pewnie nie zaniedba tego.“ Jakże pięknie słyszeć coś podobnego od Wielanda! Lewes powiada, że to wygląda, jakby Nestor sędziwy patrzył na młodego Achilla. Podbiwszy księżnę Amalię i Wielanda, zwycięstwo nad innymi było dla Goethego rzeczą łatwą. Knebel pisze: „Wszedł nad nami jak gwiazda na niebie; wszyscy czczą go, a osobliwie kobiety.“ W ubiorze Wertera, który był stał się także stałym ubiorem Karola-Augusta, wyglądał on jak ideał poety. Dla nas zapewne nie będzie się здаwać poetycznym, ani sentymentalnym frak błękitny, z krótkim stanem i długimi wązkiemi połami, o świecących guzikach mosiężnych, botforty i zamszowe spodnie, a wszystko razem dokomplektowane peruką upudrowaną i harcapem; tak się nam wydaje teraz, ale w owe czasy strój taki pobudzał do marzeń czułych; kochanek snił się zawsze kochance^e swojej z harcapem i we fraku błękitnym, z krótkim stanem i długimi wązkiemi połami, bo to wszystko uświęcił był młody, sentymentalny Werter! Potrzeba jeszcze pamiętać o tém, że strój ten dokonać musiał ogromnego przewrotu; do czasów romansu Goethego bóty noszono tylko na błoto, a w pokoju przy damach nikt nie pokazywał się inaczej, jak w trzewikach i w pończochach jedwabnych. Książę nie tylko przyjął tę modę, ale rozpowszechnił ją na swoim dworze, nieraz nawet sam płacił za swoich przyjaciół rachunek krawca i szewca, co takóž musiało się przyczynić nie mało do rozpowszechnienia stroju, bo dworacy księcia nie liczyli się do ludzi bogatych. Tylko Wieland ubierał się wedle staréj mody; wiek jego był już za podeszły na podobne maskarady.

Łaski u kobiet Goethego były wielkie; należy pamiętać

że to było w wieku XVIII i że rozwiązłość obyczajów w Niemczech tém się tylko różniła do rozwiązłości francuzkiej, że kiedy w téj ostatniej panowała pustota, w tamtéj za podstawę służył *sentymentalizm*. Kiedy serce markizy francuzkiej zapalało się miłością przy wieczerzy, w której iskrzył się szampan i dowcip, serce niemieckiej grafini nie mogło długo opierać się blaskowi mdłemu księżycy i bardziej jeszcze mdłym wierszom. Tam popłacały śmiałość i dowcip, tu sonety i pogróżka samobójstwa. Przy takim stanie rzeczy związek małżeński był, równie jak i we Francyi, jak się wyraziła sławna Zofia Arnould — uświęceniem cudzołóstwa. Zaraza ta zgangrenowała była serca wszystkich; biedny, prosty, poważny Szyller, z rzetelnym duchem poety, któremu nikt zapewne nie zarzuci rozwiązłości, lubował się przecie romanssem francuzkim — *Niebezpieczne związki* (Les liaisons dangereuses) i nie rozumiał tego, dla czegooby kobiety nie miały czytać téj książki; przecież dziś widzimy w dziele tém piętno wstydu, jakie wypiętnowało się było na obliczu owoczesnej społeczności francuzkiej, która mogła wydać coś podobnego i przyklaskiwać temu. Otoż Szyller, co podziwiał to dzieło, zdumiewał się nad stanem kobiet w Wejmarze. „Nie wiem, czy jest jedna przynajmniej pomiędzy niemi, pisze do Körnera, coby nie żyła w nieuczciwym związku. Wszystkie są tu kokietki; każda gotowa jest zawiązać jakąś miłostkę, chociaż ta nie potrwa długo.“ Ale, dodaje Lewes, tak zawsze było; od czasu jak *Eros* (Amor) dostał skrzydeł, jak motylek wysysał on słodycze z kwiatów i leciał coraz dalej.

Przy takim stanie rzeczy pojmiemy, dla czego, jak to w wieku późnym Goethe wyznał był Eckermannowi, pierwsze lata pobytu poety w Wejmarze były przeplatane miłostkami. Wielki wielbiciel kobiet, wielbiony od nich wzajemnie, cóż dziwnego, że wpadał w sidła miłosne? Wiele z tych czarodziejek, co zajmowały Goethego w młodości, znane są z imienia; pomiędzy temi jest panna von Kalb, Corona Schröter i siostra Kotzebue'go Amalia; Lewes jednakże oświadcza, że przy pilném śledztwie dokonaném przez

niego, nie wierzy, aby którakolwiek z wymienionych tu była rzetelnie w łaskach poety; że zapewne je tylko kometował, umizgał się do nich, jak lubił się być przysiadac do każdego pięknych oczów, co gotowe były dać wiare temu, co im mówił¹⁰⁾.

W pierwszych miesiącach pobytu swego w Wejmarze Goethe oddał się był całkiem zabawom i pustotom świątowym; pomiędzy innemi zabawami wprowadził tu, zimną ślizganie się na łyżwach; Wejmar dotąd nie widział był na lodzie człowieka wyższego stanu; ale odtąd Klopszток poetą swoją uczynił ślizganie się poetycznym, Goethe wprowadził je w modę swoją osobliwszą zgrabnością w tój sztuce. Ślizganie się po jeziorze *łabędziem* w parku stało się manią owego czasu. Czasami w nocy brzegi jeziora oświecano lampami i pochodniami, muzyka i fajerwerki ożywiały scenę; księżna i panie dworskie, zamaskowane jak w karnawał, przejeżdżały się saniami po gwałnym lodzie. Najwięcej dokazywał tu Goethe; faworytalnym wyrażeniem Wielanda o nim był wyraz *wüttig*—szalony—i istotnie był on szalony. Potrzeba było widzieć, jak migał lotem strzały po lodzie, jak wirował po nim w kółko, albo rozpuściwszy po plecach swoje długie włosy, wirował po przezroczystej szybie jeziora niby w walcu bakchanckim. Osobliwszy to był czas dziwaectw wszelkich! Goethe z księciem nieraz po całych godzinach stali na rynku klaskając (dla zakładu) z dużych biczów.

Wystawić sobie księcia i poetę przy takim zajęciu na rynku publicznym!

Karol-August był nierozłącznym towarzyszem Goethego; pomiędzy nimi żadnej nie było ceremonii; razem jadal, nieraz razem sypiali i nazywali się po bratersku po imieniu i byli z sobą *na ty*. „Goethe nigdy już nie opuści Wejmaru—pisał Wieland; Karol-August nie może żyć bez niego; dwór, albo raczej przyjaźń z księciem, zabierają mu

¹⁰⁾ Ich log und trog mich bei allen hübschen Gesichtern herum, und hatte den Vortheil immer ein Augenblick zu glauben was ich sagte. (Briefe an Fr. von Stein).

cały czas jego, czego bardzo należy żałować, a jednakże z taką wspaniałą, boską naturą nie jest straconém.“ Wejmar przerażał się i gorszył w kołach poważnych towarzystwa z postępowania tych dwóch młodzieńców i ich towarzyszy; postępowanie to było jednakże zgodne z tym okresem genialności; wedle znaczenia ówczesnego, nadawanego w Niemczech temu słowu, wszelkie dziwactwo, było oznaką natury genialnej. Ale jabym przypisywał to wpływom czasu owego; wiek wysuszył żywe, zdrowe źródła duszy, wyrócił wszelki porządek przyrodzony, wszelkie podstawy życia społecznego, cóż więc dziwnego, że ludzie zaczęli byli schnąć duchem, że chwyтали się rozpusty, samobójstwa, dziwactwa, albo nareszcie mordów krwawych rewolucyi? Ale mówiąc o samych dziwactwach, przychodzi mi na myśl, jakich oryginałów ta sama epoka wyrodziła była u nas: książe Marcin Lubomirski został był frankistą, półżydem i ożenił się z córką franka-reformatora żydowstwa; książe Radziwił, wielki krajczy litewski, został był takóž żydem; w piątce zjeżdżali się do niego żydzi na łokszyny, gugiel i boruchy. Uczony książe Jabłonowski znanym był powszechnie na Wołyniu ze swoich dziwactw osobliwych, wyradzających się u nas tylko w samej klasie wynarodowionej. Gdzie indziej było to samo; król neapolitański Ferdynand IV łowił ryby i przedawał je na rynku przekupkom, przy czém lubił się z niemi wyklócić.

Wracając do Goethego, młody książe z przyjacielem swoim wyprawiali orgie, pili piwo (jak Bajron i jego przyjaciele potem) z czaszek ludzkich i w zwykłym pożyciu mało zważali na *moje* i *twoje*; brali u siebie chustki, fraki, które nigdy się nie zwracały właścicielowi. Najulubieńszém słówkiem czasu tego było „nieskończony“ (infinite); geniusz jadał *nieskończone* sosy, pił *nieskończenie*, kochał *nieskończenie*. (My Polacy dotąd dochowaliśmy tylko ztamtąd formę *nieskończonego* dziękowania, *nieskończonego* obowiązania).

Ale duch wyższy poety prędko musiał się być znudzić podobną nędzotą. Po jakich dwóch miesiącach roztargnie-

nia, spędzonych na maskowaniu się, ślizganiu, polowaniu, piciu i tańczeniu, potrzeba odetchnięcia powietrzem czystym, popatrzenia na świat boży, na twarze proste, takie, jakimi je Pan Bóg stworzył, wywołała Goethego z Wejmaru do Waldeck. W samotności, w pośród gór porośniętych sosnami, jodłami, w pośród skał fantastycznych, przychodziły mu na myśl góry nadreńskie, przeszłe życie jego i nareszcie postać urocza Lili.

Książę nie mógł się długo obejść bez niego, niecierpliwił się, że go nie ma przy nim, nareszcie wzywał go do siebie; Goethe namyślał się, co ma z sobą zrobić, czy wracać do Frankfurtu, czy też do Wejmaru? Kiedy tak myślał nad sobą, zajął tymczasem miejsce w prywatnej radzie księcia. Spróbował już był dworu, teraz miał spróbować administracji. „Jestem tu jak w domu, pisał w jednym liście; z każdym dniem książę staje się droższym dla mnie.“ Istotnie przepowiednie ojcowskie nie spełniły się; przyjaźń Goethego z księciem była wcale inna niż Woltera z Fryderykiem II. Wolter w duszy śmiał się z wierszy króla pruskiego, a król pogardzał słabością poety swego; kilka nieostrożnych słówek było dostatecznym, aby zerwać ten związek; tu było przeciwnie; tu czas, pożycie utrwały przyjaźń dwóch tych młodzianów. Nie należy przecież wnosić, że cała ich przyjaźń zależała na płochych zabawach; owszem po nich następowały godziny pracy poważnej, statecznej — książę wiedział był dobrze, co robił, kiedy przeskakując dawniejszych swoich urzędników wybrał był (w Czerwcu 1776 roku) Goethego na godność tajnego radcy legacyi, z miejscem i głosem w prywatnej radzie, z płacą 1,200 talarów. Pisząc do ojca Goethego książę oświadczył, że synowi jego pozostawia się całkowita swoboda opuszczenia, wedle jego upodobania, służby i że pensya była tylko formalnością a nie miarą jego przywiązania do syna. „Syn wasz, dodawał książę, może mieć jedno miejsce — miejsce przyjaciela mego; wszelkie inne miejsca są niższe nad jego wartość.“

Miejsce tajnego radcy legacyi w Wejmarze, nie zdaje

się należyć do bardzo świetnych posad; pensya 1,200 talarów jeszcze bardziej wyda się nam nie nieznaczącą, jeżeli sobie przypomnimy, że właśnie w tym okresie czasu król pruski dziesięć razy większą płacę naznaczył był Barberiniemu, tańcerzowi włoskiemu; jakkolwiek bądź podobna promocya narobiła była w Wejmarze ogromnego hałasu. Dwór cały był jakby porażony gromem. Łaska okazywana w swoim czasie Wielandowi nie była bez zgorszenia powszechnego; ale dziś daleko większego zgorszenia powodem stało się podobne wyniesienie frankfurckiego obywatela miejskiego. Poeta, nienoszący przed imieniem swoim partykuły *von*, człowiek, co nie przechodził był przez zwykłą rutynę zawodu tego, osoba, której życie weale nie było podobne do tego, jakie zwiemy szanowném, nagle została wyniesioną ponad głowami tylu prawych pretendentów? Czegoż tedy mieli już spodziewać się ci wszyscy, co tak długo przysiadawali sobie fałdów w kancelaryi, co tak dobrze nadtarli sobie łokcie za stołem pisarskim?

Tak szemrał dwór zgorszony; nareszcie szemrania te wyraziły się jawnie w formie protestacyi. Książę uznał akt ten godnym obmyślonego tłumaczenia się i dla tego swoją własną ręką dodał te oto słowa do protokołu czynności ministeryalnych: „osoby światłe wińszują mi posiadania takiego człowieka; geniusz jego i zdatność znane są dostatecznie. Użyć podobnego człowieka w innych obowiązkach, nieodpowiednich zdatności jego, byłoby niedorzecznością. Co się zaś dotyczy téj uwagi, że wiele osób z zasługą uważa się za pokrzywdzonych ominięciem ich w wyznaczeniu kogo innego na urząd, ja z mojej strony oświadczam najprzód, że nikt w służbie mojej, o ile mi jest wiadomém, nie ma prawa wymagać posunięcia go na tak wysoki urząd; dodaję to jeszcze, że nigdy nie przystanę na to, aby mną, w wyborze urzędników, miał kierować dłuższy lub krótszy czas służby urzędników zwłaszcza zostających w tak ścisłych stosunkach ze mną samym, od których przy tém zależy pomyślność ludu mego. W takich razach do niczego nie myślę się stosować, wyjąwszy tylko do stopnia zaufa-

nia, jakie mogę położyć w osobie mego wyboru. Opinia publiczna, mająca za złe wyniesienie do rady mojej D-ra Goethego, który wprzód nie przechodził zwykłych stopni Amtmann'a, Professora, Kammerrath'a, albo Regierungsrath'a, nie robi na mnie wcale żadnego wrażenia; świat gruntuje częstokroć opinie swoje na jakichś uprzedzeniach; ja zaś sam czuwam i działam — jak to musi czynić każdy, co chce się wywiązać sumiennie ze swoich obowiązków — nie w tym celu jedynie, aby narobić hałasu albo ściągnąć na się poklask świata, ale dla tego, aby się usprawiedliwić z obowiązku mego przed Bogiem i sumieniem własnym.“ Książę, co napisał list ten, miał dopiero lat dziewiętnaście!

Przekonano się, że nie kaprys rządził Karolem-Augustem w jego wyborze i szemrania ucichły. Żeby pojąć cały powód nieukontentowania, potrzeba przypomnieć sobie, że w tym czasie szlachta tylko miała prawo do urzędów w Niemczech; kiedy raz zaproponowano na urząd jednego mieszczanina, król bawarski zawołał: jak ja mam kreować jakiegoś awanturnika! Najpierwszy Fryderyk-August saski dopuszczać począł do urzędów ludzi zdatnych, pochodzenia nieszlacheckiego. Należy pamiętać takż, że szaleństwa Goethego, jego postępowanie nie zgadzały się wcale z charakterem poważnym urzędnika i członka rady książęcój. Zwracano na to powszechnie uwagę w Niemczech i oto jaki list z tego powodu Goethe odebrał był od Klopsztoka.

Hamburg, 8 Maja 1776 roku.

Oto jest dowód mojej rzetelnej przyjaźni dla ciebie, kochany Goethe! Wyznaję, że za trudno przychodzi dać go tobie, ale dowód ten musi być danym. Nie myśl, że chcę ci dawać jakieś morały z powodu postępowania twego, albo że sędzę cię za srogo, za prędko, dla tego że patrzymy inaczej na rzeczy; jakkolwiek bądź, odsunawszy na stronę nasze różne sposoby zapatrywania się, pozwól mi zapytać się, jakie będą wreszcie następstwa nieuniknione, jeżeli nadal postępowanie twoje nie zmieni się? Książę,

jeżeli nadal będzie tak pić jak dziś, to niezawodnie, zamiast, jak utrzymuje, wzmocnić swój organizm, zniszczy go bardziej i nie pożyje długo. Młodzież najmocniejszej budowy, a takiej książę nie posiada wcale, ginęła marnie postępując tą drogą. Dotąd Niemcy nie bez słusności zarzucali, że ich książęta nie troszczą się o swoich autorów. Teraz robią wyjątek z księcia Karola Augusta, ale czyż inni książęta nie będą mieli słusznój bardzo odpowiedzi na powyższe, czynione im zarzuty, jeżeli dalej stosunki twoje z księciem będą podobnego, jak dziś są, rodzaju? Gdyby przynajmniej tak się stało, jakbym ja chciał, by się stało! Księżna może nareszcie pokona przykrość, jaką to jęj sprawia, bo jest mężna duchem; ale wtedy przykrość ta stanie się wyrzutem! A ten może być pokonanym? Pamiętaj Goethe, że to będzie wyrzut Ludwiki!... Muszę tu dodać słówko jedno od Stolberga. Udaje się on do Wejmaru z przyjaźni dla księcia. Powinien on także być z Karolem w dobrych stosunkach; ale jakże ma on żyć, czy także w tym samym sposobie? Nie! chyba się i on odmieni, inaczej opuści on dwór wasz, a wtedy co dlań pozostanie? Ani w Kopenhadze, ani w Wejmarze. Muszę o tém napisać do Stolberga, cóż mam mu powiedzieć? Może ci się podoba pokazać list ten księciu; nie mam nic przeciw temu, owszem przeciwnie, bo zapewne nie przyszedł on jeszcze do tego stopnia zepsucia, że nie chciałby słyszeć życzliwych słów przyjaciela.

„Klopsztok.“

Istotnie byłyto wyrazy życzliwego przyjaciela, człowieka prawego, patrzącego na życie jako mąż dojrzały, z poważnej, moralnej jego strony.

Odpowiedź Goethego, datowana 21 Maja, we dwa tygodnie później, brzmi jak następuje:

„Na przyszłość oszczędź nam podobnych listów, drogi Klopsztoku! Nie mogą one uczynić nic dobrego, tylko psują krew darmo. Sam musisz to czuć dobrze, że nie mam nic do odpowiedzenia; bo albo mam jak żak zacząć od pa-

ter peccavi (ojcze zgrzeszyłem), albo wymawiać się sofistycznie, albo nareszcie bronić się jako człowiek uczciwy, a może mieszanie wszystkich tych środków razem wyraziłoby prawdę rzetelną, ale na jakież cel pytam? A więc nie mówmy już o tém nic, dajmy téj rzeczy pokój. Wierz mi, gdybym chciał odpowiadać na wszystkie podobne admonicye, nie miałbym i chwili pokoju. Martwiło to jakiś czas księcia, kiedy dowiedział się, że tak myśli o nim Klopsztok; kocha cię i szanuje; wiesz o tém, że takie są uczucia moje własne dla ciebie. Do widzenia się. Stolberg niech przyjeżdża; nie jesteśmy dziś gorsi niż byliśmy pierwej, a za łaską bożą, może będziemy lepsi jeszcze.“

(Widać ugodził Goethego list Klopsztoka; gniewa się widocznie i wstydzi się jeszcze widoczniej. *Tu te fache done tu as tort!* Czuł, że Niemcy, że Wejmar mają racyę oburzać się za psucie im ich młodziutkiego, a tyle obiecującego księcia).

Klopsztok na tę odpowiedź odpisał z oburzeniem:

„Nie pojąłeś wcale, widzę, dowodu mojej przyjaźni dla ciebie, dowodu wielkiego, właśnie dla tego, że długo nie mogłem się odważyć na to, aby mięszać się mi, nieproszonemu, w interesa innych. Ale ponieważ zaliczasz list mój do *wszystkich* podobnych, odbieranych od ciebie *admonicyi* (bo tak się nawet wyrażasz), więc dla tego oświadczam, że odtąd nie wartes podobnej przyjaźni. Stolberg nie przyjedzie, jeżeli mnie usłucha, albo raczej, jeżeli usłucha własnego swego sumienia.“

Stosunki Goethego z Klopsztokiem zerwane w ten sposób, nie naprawiły się odtąd nigdy; Stolberg nie przyjechał do Wejmaru, a Klopsztok nie pisał już więcej.

Lewes bierze stronę Goethego i księcia; powiada, że pomimo tych orgü Karol August nie zaniedbywał starania o państwo swoje, że obaj z Goethym zajmowali się na serio dobrem jego i książę pamiętał o aksjomacie Fryderyka W., że król jest tylko najpierwszym poddanym. Goethe nie zaniedbywał na dworze dobra literatury; pomiedzy innemi wspomnimy tu o prenumeracie, jaką odkrył,

jeżeli nadal będzie tak pić jak dziś, to niezawodnie, zamiast, jak utrzymuje, wzmocnić swój organizm, zniszczy go bardziej i nie pożyje długo. Młodzież najmocniejszej budowy, a takiej książę nie posiada wcale, ginęła marnie postępując tą drogą. Dotąd Niemcy nie bez słuszności zarzucali, że ich książęta nie troszczą się o swoich autorów. Teraz robią wyjątek z księcia Karola Augusta, ale czyż inni książęta nie będą mieli słusznej bardzo odpowiedzi na powyższe, czynione im zarzuty, jeżeli dalej stosunki twoje z księciem będą podobnego, jak dziś są, rodzaju? Gdyby przynajmniej tak się stało, jakbym ja chciał, by się stało! Książna może nareszcie pokona przykrość, jaką to jęj sprawia, bo jest mężna duchem; ale wtedy przykrość ta stanie się wyrzutem! A ten może być pokonanym? Pamiętaj Goethe, że to będzie wyrzut Ludwiki!... Muszę tu dodać słówko jedno od Stolberga. Udaje się on do Wejmaru z przyjaźni dla księcia. Powinien on także być z Karolem w dobrych stosunkach; ale jakże ma on żyć, czy także w tym samym sposobie? Nie! chyba się i on odmieni, inaczej opuści on dwór wasz, a wtedy co dlań pozostanie? Ani w Kopenhadze, ani w Wejmarze. Muszę o tém napisać do Stolberga, cóż mam mu powiedzieć? Może ci się podoba pokazać list ten księciu; nie mam nic przeciw temu, owszem przeciwnie, bo zapewne nie przyszedł on jeszcze do tego stopnia zepsucia, że nie chciałby słyszeć życzliwych słów przyjaciela.

„Klopsztok.“

Istotnie byłyto wyrazy życzliwego przyjaciela, człowieka prawego, patrzącego na życie jako mąż dojrzały, z poważnej, moralnej jego strony.

Odpowiedź Goethego, datowana 21 Maja, we dwa tygodnie później, brzmi jak następuje:

„Na przyszłość oszczędź nam podobnych listów, drogi Klopsztoku! Nie mogą one uczynić nic dobrego, tylko psują krew darmo. Sam musisz to czuć dobrze, że nie mam nic do odpowiedzenia; bo albo mam jak żak zacząć od pa-

ter peccavi (ojcze zgrzeszyłem), albo wymawiać się sofistycznie, albo nareszcie bronić się jako człowiek uczciwy, a może mieszanie wszystkich tych środków razem wyraziłoby prawdę rzetelną, ale na jakież cel pytam? A więc nie mówmy już o tém nic, dajmy téj rzeczy pokój. Wierz mi, gdybym chciał odpowiadać na wszystkie podobne admonicye, nie miałbym i chwili pokoju. Martwiło to jakiś czas księcia, kiedy dowiedział się, że tak myśli o nim Klopsztok; kocha cię i szanuje; wiesz o tém, że takie są uczucia moje własne dla ciebie. Do widzenia się. Stolberg niech przyjeżdża; nie jesteśmy dziś gorsi niż byliśmy pierwéj, a za łaską bożą, może będziemy lepsi jeszcze.“

(Widać ugodził Goethego list Klopsztoka; gniewa się widocznie i wstydzi się jeszcze widoczniéj. *Tu te fache donc tu as tort!* Ozuł, że Niemcy, że Wejmar mają racyę oburzać się za psucie im ich młodziutkiego, a tyle obiecującego księcia).

Klopsztok na tę odpowiedź odpisał z oburzeniem:

„Nie pojałeś wcale, widzę, dowodu mojej przyjaźni dla ciebie, dowodu wielkiego, właśnie dla tego, że długo nie mogłem się odważyć na to, aby mięszać się mi, nieproszonemu, w interesa innych. Ale ponieważ zaliczasz list mój do *wszystkich* podobnych, odbieranych od ciebie *admonicyi* (bo tak się nawet wyrażasz), więc dla tego oświadczam, że odtąd nie wartes podobnej przyjaźni. Stolberg nie przyjedzie, jeżeli mnie usłucha, albo raczój, jeżeli usłucha własnego swego sumienia.“

Stosunki Goethego z Klopsztokiem zerwane w ten sposób, nie naprawiły się odtąd nigdy; Stolberg nie przyjechał do Wejmaru, a Klopsztok nie pisał już więcéj.

Lewes bierze stronę Goethego i księcia; powiada, że pomimo tych orgü Karol August nie zaniedbywał starania o państwie swoim, że obaj z Goethym zajmowali się *na serio* dobrem jego i książę pamiętał o aksjomacie Fryderyka W., że król jest tylko najpierwszym poddanym. Goethe nie zaniedbywał na dworze dobra literatury; pomiedzy innemi wspomnimy tu o prenumeracie, jaką odkrył,

aby pokryć koszta wydania tłómaczenia Homera, dokonanego przez Bürger'a i wydzwignięciu z nędzy mistyka Niemce Junga Stillinga.

Ciekawy szczegół o Goethym opowiedział Glejm: „Prędko po przybyciu Goethego do Wejmaru i po napisaniu Werther'a, przyjechałem do Wejmaru i życzyłem sobie poznać autora tego sławnego dzieła. Przywiozłem był z sobą ostatni Noworocznik *Muz* (Musen-Almanach), naówczas nowość literacką i razu jednego odczytywałem z niego jakiś wiersz w towarzystwie, w którym zwykle spędzałem wieczory. Podczas kiedy byłem zajęty czytaniem, wszedł do pokoju młodzian jakiś w butach i przy ostrogach, w krótkiej myśliwskiej kurtce, a wszedłszy zmieształ się z gro-nem, które przysłuchiwało się memu czytaniu. Zaledwom był spostrzegł jego wejście, tak zajmował mnie mój Almanach. Przybyły usiadł naprzeciw mnie i słuchał uważnie. Nie wiem sam, co w nim było takiego, co szczególnie zwróciło było nań moją uwagę, wyjąwszy chyba dwojga czarnych świecących oczów włoskich. Ale napisano było, abym więcej się z nim poznał.

Podczas krótkiej pauzy, kiedy panowie i panie objawiali zdanie swoje o wartości wierszy przeczytanych przezemnie, chwając jedne a ganiąc inne, młody elegant (bo za takiego wzięłem go) powstał ze swego krzesła i kłaniając się mi z grzeczną i uprzejmą układnością człowieka światowego, oświadczył chęć swoją ulżenia mi i wyręczenia w dalszym czytaniu. Ma się rozumieć, przyjąłem tę grzeczną propozycję i natychmiast wręczyłem mu książkę. Ale ach! Apollo i wszystkie Muzy — nie wyłączając także Gracyi, cóżem to ja usłyszał wtedy! Z początku szło istotnie nie źle i gładko, urywki z Vassa, Stolberga i Bürger'a były wypowiedziane w sposób taki, że ci panowie nie mieliby wcale powodu skarżyć się nań. Ale nagle, jak gdyby w tym momencie zły duch jaki opętał młodzieńca, zdawało się mi, nawet, że widziałem wielonego *dzikiego strzelca* przed moimi oczyma. Czytał on poemata, jakich nie było wcale w moim biednym Noworoczniku; przema-

wiał wszystkimi narzeczami Niemiec, deklamował wiersze najrozmaitszych rozmiarów, hexametry, jamby sypały się z ust jego, mięszały z sobą jak w kalejdoskopie szkiełka kolorowe, to ciągnęły się, to galopowały, szumiały i ryczały nareszcie jakby potok wezbrany. Czegoż on nie wymyślał wieczoru tego, jakie przychodziły mu do głowy osobliwsze pomysły, w jakich kombinacjach humorystycznych! Pomiedzy niemi były takie śliczne, wspaniałe myśli, rzucone urywkowie, ulotnie, że autorowie, którym je przypisywał, pewnie na klęczkach podziękowaliby byli Bogu za to, gdyby kiedykolwiek podobne zawitały po nad ich skromną pracownię.

Jak skoro odkrył się żart, szmer powszechnego wesela rozlał się po salonie. Każdego przytomnego musiał być zbić z kontenansu (z pantałyku) bądź w ten, bądź w inny sposób. Moje mecenasostwo nawet, które zawsze za obowiązek uważałem dla siebie, w okazywaniu opieki młodym pisarzom, poetom i artystom, miało tu swoją kolęj. Chociaż z jednej strony chwalił je bardzo, przecież nie zapominał dodać z drugiej strony, że przyswajałem sobie jakby prawem własności tych wszystkich autorów, których brałem pod opiekę moją. W małej bajeczce, ułożonej tuż *ex abrupto* w ledziutkich wierszykach, przyrównał mię dowcipnie dosyć do poważnej i szacownej jędyckizki, siedzącej na ogromnej kupie jaj swego własnego i obcego jój rodzaju ptastwa: wysiaduje je z osobliwszą cierpliwością; ale zdarza się nie raz niebodze mieć pod sobą pomiędzy innemi i kradzione jaja zamiast prawdziwych: psikus, za który się poczeiwa maciora nie gniewa bardzo — chociaż nie mało mozoliła się nad temi jajami.

„To albo Goethe, albo sam czart!“ zawołałem nareszcie do Wielanda, siedzącego naprzeciw mnie. „I to i tanto“ odpowiedział mi na to.

Takim był Goethe jako młodzian-poeta; skoro jednakże rozpoczął karierę polityka, zaraz szła wiotku młodego począł w nim słabnąć, a postępowanie nabierało pewnej powagi; nie opuszczał zabaw, starał się przecież nastroić

więcej do tonu ludzi poważnych. W miesiąc po objęciu miejsca Wieland pisze o Goethym: „Poeta nasz, w pierwszych miesiącach pobytu swego pomiędzy nami, gorszył wielce postępowaniem swoim (wyłączając z tej liczby mnie samego); ale od chwili, w której zdecydował się zostać mężem stanu, począł się prowadzić z nienaganną *sofrosyne* — (skromnością) i z całą roztropnością światową.“ Gdzie indziej mówi znowu: „Goethe z całą swoją rzeczywistością i pozorną *sauvagerie* (dzikością) ma w jednym swoim małym palcu więcej daleko *conduite* (prowadzenia się) i *savoir faire* (zachowania się) niż wszyscy nasi parazyty dworscy, owe wice i pajaki snujący pajęczę sieci, mają tego w całym ciele swoim i duszach. Dopóki żyć będzie Karol August, żadna moc ludzka niezdolną będzie ruszyć go ztąd.“

Oswajając się, mówi Lewes, z szczegółami tego ustępu żywota poety, widzimy coraz więcej bezzasadność tych tak często powtarzanych zarzutów i owych krzyków przeciw temu, „że Goethe geniusz swój przyniósł był na ofiarę dworowi.“ Widzimy w tém, mówi biograf, czystą retorykę. Zastanowimy się gruntownie nad tym zarzutem. Potrzeba mu było obrać sobie zawód; zawód poety, wówczas, jeszcze bardziej niż dzisiaj, był niemożliwym; wiersze mogły dać sławę, ale nie mogły być dać pieniędzy. Skoro jednak przyjmujemy to, że zawód pewien jest koniecznym, wiele zarzutów musi wraz z tém upaść, ci bowiem sami, co zarzucają Goethemu to, że tracił czas swój na pisanie wierszy do uroczystości i zabaw dworskich, i na zajęcie urzędowe, coby inni zrobili byli równie dobrze, powinni zapytać siebie samych, czy gdyby poeta nasz poszedł był drogą prawa, albo gdyby był w stanie nędznym Szyllera, który dla utrzymania życia musiał być tłumaczyć z francuzkiego różne nie wiele warte książki, czy wtedy miałby on więcej czasu? Zawsze potrzebaby było poświęcić dla *zawodu* wiele czasu drogiego; za czas oddany służbie Karola Augusta miał on, jak wyznaje w jednym poemacie do księcia, to, czém rzadko mogą nawet pochwalić się mocarze świata! miłość, czas wolny, ufność,

ogród i dom. „Tobie tylko samemu jestem za to obowiązany, mówi do Karola; wiele mi było potrzeba, mnie pocie, nie znającemu się na sztukach zysku. Jeżeli Europa chwaliła mię, co mi dała Europa? Nic. Nawet dzieła moje były dla mnie nowym wydatkiem.“

Jakże język ten różnym jest od mowy wieszczów dawnych; jak tu czuć już w powietrzu wiek XIX, wiek, w którym geniusz będzie produkującym grosz jak wszystko w tym stuleciu! Dawniej pocci chcieli tylko sławy; Goethe zaś mówi: Europa dała mi sławę, ale czemu mnie wynagrodziła? Widzimy, że wieniec laurowy, o który dobijał się Torquato, już w początku naszego wieku przestał być nagrodą! Potrzeba już było koniecznie mamony — ona tylko jedna mogła wynagrodzić..... natchnienie... Nie! Ani Niemcy, ani wiek nasz wpośród industrializmu swego, nie mogli się byli podnieść do natchnienia; poezya Niemiec i narodowość germańska same się wyszydziły w poezyi Hejnego. Natchnienie święte ukryło się w szczepie słowiańskim; najpierwszy poeta Słowian żył w ubóstwie, umarł w ubóstwie, nie wzdychając nigdy do grosza. Jemu to potomność odda laur stary, który w wieku XIX, jak powiada jeden poeta współczesny niemiecki, w złotej Auzonii nie służy więcej do wieńczenia wieszczów natchnionych, ale tylko do trzepania skóry dzieciom krnąbrnym.

Ale wróćmy do Goethego i do obrony jego przez Lewesa przedsięwziętej. W 1801 r., pisząc do matki, z powodu zarzutów jemu czynionych przez tych, co sądzili fałszywie o położeniu jego, mówi, że ci wiedzieli tylko, co on oddał, nie wiedząc tego co za to zyskiwał; nie mogą, powiada, zrozumieć tego, jak on z dniem każdym stawał się bogatszym, chociaż codziennie tyle wydawał. Wyznaje dalej, że ograniczone koło mieszczańskiego życia zleby rymowało z jego gorącym i szerokiego pola potrzebującym duchem. Gdyby był pozostał we Frankfurcie, nie znalazłby był całkiem świata; tu zaś panorama życia rozwinęła się przed nim w zupełności, a doświadczenie jego rozszerzyło się niezmiernie. Czyż Leonardo da Vinci nie stracił był

wiele czasu na dworze medyolańskim, zachwycając wszystkich poezją i graniem na lutni? Czyż nie ekspensował go także na zajęciach mechanicznych i hydrostatycznych, poświęconych pożytkowi państwa? A przecież nikt mu tego nie wyrzuca, nikt nie plami naganą wielkiego imienia jego; nikt nie krzyczy na to, aby się przeniebierzył przez to geniuszowi swemu, nikt nie sarka za to, że tak mało odmalował w pewnym okresie życia swego. *Ostatnia wieczerza* przemawia za nim wymownie. Czyż, dodaje Lewes, *Tasso, Iphigenia, Hermann i Dorota, Faust, Mejsler* i długi szereg dzieł Goethego, nie mówią równie za nim?

Co się zaś dotyczy stanowiska poety na dworze wejmarskim, nikt, znający rzecz, nie pomówi go o jakiś serwilizm, albo o brak rzetelnego popędu ducha; owszem, zarzucają mu, że nie wiele zważał na etykietę dworską. Mówić więc, jak powiada Niebuhr, że dwór był dla Goethego Dalilą, dla której poświęcił on swoją moc, jest to nie znać ani geniuszu Goethego, ani jego żywota. Gdyby, powiada Lewes, (i ma tu wielką za sobą rację), geniusz Goethego był geniuszem tej burzliwej garstki, co prowadzi za sobą przewroty, reformy, (mówiąc inaczej — co technicznie życiem nowym, nowym duchem, w stare formy ludzkości) co wydaje męczenników — gdyby zadaniem jego było poruszyć ludzkosć takim słowem, co odbite światłem nowym w najtajniejszych kryjówkach ducha jój, powołałoby ją do oddania całego żywota na posługę jednej idei — gdyby dążnością jego było rozważać zagrobowe przeznaczenie człowieka i powoływać ludzi do wielkich abstrakcyi (gdyby, dodajemy od siebie, natchnienie *rzetelnie boskie* spoczęło na poccie), wówczas, zapewne mielibyśmy prawo mówić, że jego miejsce było po za tłuszczą światową, a nie żeglowanie z biegiem rzeki życia powszechnego, przesłuchując się muzyce i weselu dochodzących ucha jego z brzegów usianych ludem. Ale Goethe, mówi Lewes, nie był reformatorem, nie był męczennikiem. Był on poetą pierwszej połowy wieku XIX, poetą pan-teistycznej Germanii, dodajemy; — religią jego było pie-

kno, której cześć była czią przyrody, a celem kultura. Zadaniem jego było malowanie życia (powszedniego, dodajemy), a dla tego powinien był poznać to życie.

Zapewne, mówi dalej Lewes, okoliczności szczęśliwsze mogłyby były otoczyć go i zakreślić mu szerszą sferę. Sam czuł często, że ta byłaby zupełnie odmienną, gdyby w około niego był naród, do którego mógł się odwołać, zamiast owęj massy różnorodnej maluczkiich kraików rzeszy, lubiącej czasami pogawędzić o ojczyźnie, ale weale nie przygotowanej do tego, aby stać się narodem jednolitym. Oprócz tego znalazłoby się wiele innych *gdyby*, w których kryje się wiele przyczyn; ale tak jak nie zależało od Goethego stworzyć sobie samemu okoliczności, więc musimy pójść za jego przykładem i poprzestać na tém, co dały mu bogi.

Co się dotyczy serwilizmu, to weale dalekim był od niego; charakter jego był pełen godności, jakby znamionował księcia. „Nazywają mnie służką księcia — powiedziać raz do Eckermann'a, niewolnikiem pańskim, jak gdyby mógł być jakiś sens w podobnych słowach! Komu służę, despocie czy tyranowi jakiemu? Czy służę komuś, co żyje tylko dla własnej uciechy, a dla ucisku ludu? Tacy książęta i czasy kiedy byli podobni, Bogu dzięki, dawno już przeszły. Więcej niż od pół wieku zostawałem w najściślejszych stosunkach z w. księciem, alebym powiedział kłamstwo, gdybym oświadczył, że był choć dzień jeden w życiu Karola Augusta, w którymby on nie zajmował myśli swoich czémś, co dotyczyło bytu jego poddanych, polepszeniu losu każdego z nich z osobna. Co do niego samego, co mu dał jego stan książęcy oprócz ciężaru i kłopotów? Czy jego mieszkanie, albo ubiór jego, albo jego stół były więcej wystawne, jak zwykle są one u każdego dobrze mającego się człowieka prywatnego? Udaj się do jakiego miasta nadmorskiego, a przekonasz się, że tam u każdego kupea znakomitszego lepiej są zaopatrzone piwnica i spiżarnia niż u księcia naszego. Jeżeli więc jestem niewolnikiem książęcym, mam przynaj

mniej tę pociechę, że jestem niewolnikiem tego, co sam jest niewolnikiem dobra publicznego.

Dla dopełnienia tych szczegółów potrzeba odczytać następujące miejsce z listu Merck'a do Nicolai (tego samego Merck'a, który wedle Falka tak cierpko wyrzucał o traceniu czasu marnie przez Goethego w Wejmarze): „Niedawno odwiedziłem Goethego w Wartburgu i przeżyliśmy tam z nim dni dziesięć jak dzieci. Kontent jestem, że przekonałem się na własne oczy o jego położeniu. Książę jest najwyborniejszym, a charakter ma mocny jak żelazo; *dla miłości jego uczyniłbym to samo, co czyni dla niego Goethe*. Mówię ci szczerze, że książę najgodniejszym jest szacunku i jest jednym z najrozumniejszych ludzi, jakich kiedy poznałem; pomysł przy tém, że jest panującym, i że ma lat dwadzieścia!“ Długa i przyjacielska korespondencya prowadzona pomiędzy Merckiem a księciem najlepszym jest dowodem, że wyż wymienione zdanie szczerém jego było sądem.

Mówiliśmy o miłostkach Goethego; pomiędzy nimi zajmuje miejsce najważniejsze romans poety z baronową von Stein, damą dworu księżnej Amalii, a żoną koniuszego księcia. Uczucie to trwało lat dziesięć, więc trwałe było od wszystkich poprzedniczych związków miłosnych. Baronowa była matką siedmiorga dzieci i doszła już była tego wieku, któren, jak powiada Balzac, a za nim Lewes, w kobietach uroczych posiada moc czarowną w osobliwszym stopniu. Wiekiem tym jest rok trzydziesty trzeci życia niewiasty. Patrząc na portret téj czarodziejki, powiada biograf poety naszego, możemy łatwo wyobrazić sobie owe delikatne pełne kokieteryi rysy, ożywione światłem uczucia, wesela i wytrawnego doświadczenia światowego. Śpiewała ona dobrze, grała wybornie, mile rysowała, milój jeszcze umiała rozmawiać, umiała ocenić poezję, a o uczuciu sądziła z tym delikatnym taktem kobiecym, co tak pociąga do siebie serce mężczyzny. Przytém nie była to kobieta z umysłem lekkim; wiele przeczytała rzeczy poważnych i umiała jak pszczoła wysysać

miód z najpospolitszych roślin. Z przywarami pod względem moralności, o których tu będziem mówić, była przecież dla znajomych swoich kobietą *powabną*, zachowującą urok swój do późnego nawet wieku swego, jak świadczy o tém wielu jeszcze dotąd żyjących świadków. W kilka lat po pierwszej jęj znajomości z Goethym, Szyller pisze tak o nięj do przyjaciela swego Körner'a: „jest ona rzetelnie szczerą, interesującą osobą i rozumiem dobrze, co mogło w nięj przywiązać do siebie Goethego. Piękną nie mogła być nigdy; ale jęj zachowanie się ma łagodną powagę i osobliwą jakąś otwartość; przytęm posiada w naturze rozsądek zdrowy, rzetelność i uczucie. Ma ona więcęj niż tysiąc listów od Goethego; z Włoch pisuje do nięj co tydzień. Mówią, że związek ten jest czysty i nienaganny.“

W Piemencie Goethe po raz pierwszy ujrzał portret pani von Sztejn i nie mógł zasnąć przez trzy noce, nasłuchawszy się o nięj od Zymmermanna. Pisząc do nięj o tym pochlebnym dla nięj szczególe, Zymmermann dodaje: „Goethe koniecznie przyjedzie do Wejmaru dla widzenia pani.“ Pod portretem baronowęj Goethe napisał: „Coby to było za śliczne poema, gdyby kto mógł był oddać rzetelnie to, jak świat boży odbija się w zwierciadle jęj duszy! Widzi ona świat takim, jakim on jest, a przecież z tém wszystkięm, widzi ona go przez pryzmat miłości; ztąd przemagającym tonem obrazu jest zawsze słodycz.“ W odpowiedzi do Zymmermanna, prosi go, aby się dowiedział jak najwięcęj o Goethem, i oświadczył mu jęj chęć poznania go. To wywołało odpowiedź taką, że ona nie wie jeszcze jakięm niebezpieczeństwem zagraża jego obecność pełna uroku. Takiego niebezpieczeństwa piękne panie nie zwykłe są unikać, osobliwie, jeżeli jak Szarlotta Sztejn, mają moc zupełną nad sobą.

Zaledwie oderwawszy się od Lili, z sercem jeszcze drżącęm od wzruszeń doświadczonych przy tęm zwycięztwie odniesionęm nad sobą samym, nad żądzami swemi, Goethe ujrzał tę kobietę uroczą. Ziemia długo jeszcze jest

ciepłą po zachodzie słońca, tak i serce długo jeszcze przechowuje żar namiętności, chociaż słońce, co go rozpałiło, skryło się już dla niego. Z takim usposobieniem Goethe był gotowym zakochać się w tej „co widziała wszystko przez pryzmat miłości.“ Wiele musi być interesu w rozważaniu rodzaju bóstwa obranego ku czci nowej serca. Dotąd kochał się on w dziewczętach młodziutkich, w których wieku wiośniowym, powabach, dziewiczości, były wszystkie czary dla jego przelotnej wyobraźni; teraz zaś fascynuje go *kobieta*, kobieta z pozycją w świecie, z wdziękiem elegancyi, kobieta ukształcona wysoko, z doświadczeniem kobieta, która zamiast tego, by oddać się całkiem rozkoszy swego uczucia, wiedziała jak można, nie schodząc z piedestału swego, utrzymać płomień miłości w kochanku. Inne kochały, objawiały mu uczucia swoje i były zapomniane; ona umiała utrzymać go w rozkosznej gorącej nadziei, umiała uczynić dlań potrzebną, zrobić dla niego celem i nagrodą miłość swoją i utrzymać go w upojeniu tego, co nie posiadał ni razu, ale zawsze jest w nadziei osiągnięcia swego szczęścia.

Rozważając stan społeczności i opinii tego okresu, mówi Lewes, mając nadto na uwadze to, że podług opowieści syna jej, mąż sam, dostojny baron, zaledwo raz w tydzień był widywany w domu, i że wcale nie było pomiędzy małżonkami najmniejszej miłości, możemy zrozumieć, jak wiele romans Goethego, znany wszystkim, musiał być obudzać w Wejmarze sympatyi. Ani jedno słówko nagany nie wyrwało się było nikomu z ust z tego powodu. Wiedziano w Goethem kochanka, któremu pani serca jego tyle właśnie dodawała odwagi, ile jej potrzeba było, aby utrzymać go w jego popędzie do celu i co z drugiej strony uniała dobrze powstrzymać go w porę, kiedy ta żarliwość posuwała się za daleko. W pierwszych listach jego do baronowej znajdujemy nagle wylania się i znowu jakby opamiętanie się z zapomnienia; czasami *ty* poufałe wyrwa się z pod pióra, a dnia następnego, czasami nawet w następującym okresie myśli, wraca na nowo ceremonialne

Pani. Listy te są codzienne prawie. W Styczniu 1773, wyrywa się Goethemu ten oto frazes: „Adieu aniele! nigdy nie będę więcej roztropnym i dziękuję za to Bogu. Adieu! A przecież boli mię to, że tyle cię Kocham i że właśnie Ciebie Kocham!“

Oto jest odpowiedź zapewne na coś, co napisała była do niego (bo nieszczęściem nie masz dotąd ani jednego z jej listów; miała tę ostrożność, że wymagała zwrotu wszystkich swoich pism, które paliła, a jego przechowywała u siebie starannie!):

„Dla czego męcę cię, najdroższa istoto! Dla czego oszukuję samego siebie, a Ciebie dręcę! Nie możemy być niczem dla siebie, a jednak jesteśmy dla siebie aż nadto wiele. Wierz mi, że jesteś we wszystkich względach jedną istotą ze mną, ale dla tego, że widzę rzeczy, jak one są, dla tego przychodzę nie raz do szaleństwa! Dobra noc, dobry dzień, aniele mój. Nie będę cię więcej oglądać.... tylko.... wiesz wszystko.... serce moje jest.... Wszystko co tylko mogę powiedzieć jest szaleństwem. Na przyszłość będę patrzeć na Ciebie tak, jak ludzie patrzą na gwiazdy!“ W kilka dni potem pisze: „Adieu droga siostró, odtąd tak już być musi pomiędzy nami.“

Oto jeszcze kilka ustępów z korespondencyi, wskazujących ton jej.

„1go Maja. Dziś nie będę cię widział. Wczorajsza obecność twoja uczyniła takie dziwne wrażenie na mnie, że dotychczas nie wiem, czym zdrów, czym chory z tego powodu. Adieu najdroższa Pani.“

1go Maja — *wieczorem*. Masz rację, kiedy chcesz mię wy kierować na świętego, to jest, kiedy usiłujesz oddalić mię od twego serca. Jakkolwiek jesteś świętą, jabym cię nie potrafił uswięcić. Jutro więc..... tak, jutro nie zobaczymy się z sobą. Dobra noc!“

24go Maja list namiętny wyjaśnia, że musiała była powiedzieć mu albo napisać coś w sposób stanowczy o *pozorach i świecie*.

„A więc najczystszy, najpiękniejszy stosunek, jakim kie-

dykolwiek miał z kobietą, wyjąwszy z siostrą moją, musi być także zamacony! Byłem do tego przygotowany! Ale cierpiałem okropnie z powodu tego, co było i co będzie jeszcze i z powodu biednego dziecięcia przyniesionego na ofiarę boleści. Jeżeli nie możemy być razem, miłość pani tyle może być dla mnie, ile miłość nicobecných, w którą tak jestem bogaty. Obecność w chwili boleści przynosi ulgę, koi rany i pokrzepia... I wszystko to dla świata! Świat, co nie może być dla mnie niczém, wzbrania ci być czemkolwiek dla mnie. Sama nie wiesz, co robisz...“

2go Czerwca. Adieu! Kochaj mię jak przedtém, będę przychodził do ciebie rzadziej i pisał rzadziej.

4go Czerwca. Oto, kochana pani, jest dań dla ciebie. Chcę się przekonać, czy mogę dotrzymać postanowienia mego i nie przychodzić do ciebie. Nie jesteś dość bezpieczna ze mną. Wczoraj były znowu takie chwile, w których czulem gwałtownie to, ile cię kocham.“

6go Czerwca. „Mogłaś więc być tak niedobrą, wyjeżdżając wczoraj. Zapewne, co robisz, powinno być dobrém w oczach moich!! Ale to mię zasmuca.“

7go Czerwca. „Jesteś aniołem, żeś mi wypowiedziała wszystko! Kiedy kto kogo kocha, powinien temu wszystko wyznawać. Najdroższa! Ja także mam kilka słówek, które cię uspokoją, ale słówka te są tylko odemnie do ciebie! Przyjdę dziś.“

Zmuszoną była wyjechać z Wejmaru na krótki czas. „Kochana pani“ pisze do niej „nie mogę oswoić się z tą myślą, że wyjeżdżasz we wtorek, i że sześć miesięcy nie będę cię widział. Co warto wszystko! Obecność ma tylko wpływ, pociesza i buduje! Nawet chociaż czasami męczy, jednakże udręczenia takie są pogodą w miłości.“

Oto jest jeden ciekawy ustęp: „Ostatniej nocy leżałem w łóżku na wpół senny, kiedy Filip przyniósł mi list; na wpół zdziwiony wyczytałem, że Lili jest zaręczoną! Obróciłem się na drugi bok i zasnąłem. Jak to wszystko dzieje się w porę. Drogi mój aniele dobra noc ci!

Jeszcze jeden wyjątek z tych bilecików: „Oh! ty umiesz

zadawać męki, w taki sposób, że one przypominają przeznaczenie, co nie dopuszcza skarg, chociaż to może boleć.“

Trochę później ton listów uspokaja się, zupełnie jak ton prowadzenia się Goethego w Wejmarze; po kilku pierwszych tygodniach burzliwych, stał się spokojniejszy; tak i w listach widzimy, że w prędkim czasie gorączkowe uniesienie miłości, wykrzykniki namiętne ustają i nie masz więcej słodkiego *ty*; pomimo to czuć tu ciepło miłości, listy nie ustają i dowodzą ustawicznego zajęcia się ukochaną osobą. Znajdą się zapewne czytelnicy sentymentalni, którzy gdyby czytali tę korespondencję dwojga kochanków, oburzaliby się, znajdując w niej tyle szczegółów o jedzeniu i piciu, ale jeżeli sobie przypomną w Werterze Szarlotę krającą chleb, wówczas zrozumieją, że autor Wertera mógł czasami prosić wymownie swojej ulubionej o przysłanie mu jakiejś faworytalnej potrawy. Można kochać się szalenie, ale pomimo to jeść zawsze trzeba.

Wyjątki te są ciekawieni z wielu względów, widzimy z nich bowiem jak wiek XVIII prozaizując i plugawiąc wszystko nie potrafił przecież przerobić człowieka; ten Goethe, ten poeta, ten duch mocny, nie wierzący w Biblię, po staremu staje się dzieckiem kochając, bo w obliczu miłości, jak w obliczu wiary jesteśmy dziećmi, używamy słowa prostego, jakie płynie z ust niewinnych. Pokonano wiarę, ale miłość została w sercu i w niej była otucha ludzkości, w tém bowiem uczuciu są dwa bieguny, jeden zmierza do człowieka i ziemi, drugi do Boga i niebios; kochając wierzymy, stajemy się pokorni, gotowi do ofiary, więc lepsi, nawet wtedy, kiedy uczucie źle skierowane, samo przez się jest występkiem. Musi zająć to w tej korespondencji, jak poeta, którego nazwano wielkim, czując miłość w sercu, zapomina języka w gębie i mówi jak ostatni z prostaczków.

Chwile miłości Goethego dla pani Sztejn dochowują się dotąd w pamiętce domku ogrodowego (Gartenhaus) w parku: tu, na ustroniu, rozmyślając o ukochanej, pracował poeta nad zasadzeniem krzewów i kwiatów. Z tych

grządek wilgotne jeszcze rosą poranną kwiaty posyłał przy kartecze do domu swojej lubej. Tu rośnie sad, z którego owoce były przeznaczone także dla niej; uprawiał także szparagi, które posyłał dla jej stołu. Tu jest izdebka, w której tyle dum przepływało przez głowę o miłej, a potem, a za wodzą ich, układał swoje poczye z obrazem kochanki przed oczami duszy. Domek ogrodowy o dwadzieścia minut drogi stał od mieszkania baronowej.

Gartenhaus pierwiastkowo należał do Bertuch'a. Jednego dnia kiedy książę prosił usilnie Goethego, aby osiadł na zawsze w Wejmarze, poeta, mieszkający natenczas w Jägerhaus, w ulicy belwederskiej, nie mogąc zdecydować się, czy miał odjechać, czy pozostać, pomiędzy innymi wymówkami wygadał się z tém, że nie ma cichego ustronia, gdzieby mógł zająć się spokojnie upodobaniem w ogrodnictwie, „ot Bertuch np. żyje wygodnie, dodał; gdybym ja miał taki kawałeczek ziemi!“ Potem książę bardzo charakterystycznie poszedł do Bertuch'a i bez ogródki powiedział mu: „potrzeba, abys mi oddał swój ogród.“ Bertuch zdumiał się; „Ależ Wasza Wysokość!..“ „Żadnych ale“ odrzekł na to młody książę; „ja na to nic ci nie pomogę; Goethe chce mieć twój ogród, i jeżeli go mu nie damy, nie utrzymamy go przy sobie; to jedyny środek przywabienia go do nas.“ Możeby ten powód nie bardzo skłonił właściciela, gdyby książę w zamian za jego futorek nie dał mu daleko lepszego domu i gruntów. W kilka dni Goethe odebrał w posiadłość ogród, jako dar swego przyjaciela księcia. Jestto jedna z najpiękniejszych miejscowości Wejmaru; przez łąki ciągnące się naprzeciwko frontonu płynie Ilm; miasto, chociaż tak blizkie, zakrywa las. Jestto zupełnie ustronie wiejskie; cichość jego przerwie chyba głos dzwonu, muzyka wojskowa z baraków, albo przeraźliwy krzyk pawi, roztaczających pyszne ogony swoje, przechadzając się po parku. Goethe tak pokochał był swój domek, że mieszkał w nim zimą i latem, ciągle przez lat siedm, a kiedy w r. 1782 książę darował mu dom na *Frauenplan*, nie mógł zdecydować się sprzedać

swego domku, ale zatrzymał go nadal, aby czas od czasu ukryć się w nim na dni kilka. Nie raz kiedy chciał być samotnym, zamykał wrota od wszystkich mostów prowadzących do jego domu od miasta, tak, że jak skarży się na to w jednym liście Wieland, nikt nie mógł tedy przyjść do niego, wyjąwszy chyba z pomocą wytrycha, albo łomu.

Tu, w małym ogródku swoim, studyował Goethe rozwój roślin i robił wiele z owych odkryć i spostrzeżeń, które postawiły go wysoko pomiędzy naturalistami. Tu poeta umykał od dworu, tu kochanek był szczęśliwym kochankiem; a przecież, powiada Lewes, wyjąwszy pięknej pozycyi, drzew, dziedzińca, domek tak jest skromnym, że u nas kapitan dymisyonowany, zostający na połowie żołdu, uważałby go za nędzną chatkę; a przecież chatka ta wystarczała faworytowi księcia i ministrowi. Tu najczęściej był z nim książę, przesiadując do późna w nocy, zajęty poważną jaką dyskusją, nie raz nocował na sofie, nie chcąc wracać do pałacu. Tu oboje księstwo odwiedzali poetę, jedli u niego objad, weale nie wymysłny, bo jak dowiadujemy się z jednego listu Szejna, składał się on raz u jednego z polewki piwniej i z zimnego mięsiwa.

Ciekawemi są bardzo podobne szczegóły prostego życia osób znakomitych i postawionych wysoko na szczeblach życia. Książę miał własną chatkę zwaną *Borkenhaus*, w której mieszkał czasami po całych miesiącach; jedna izdebka była salą audyencyonalną, sypialnią i gabinetem. Ale powracając do Goethego, widzimy z podanych tu szczegółów, że jeżeli oddał geniusz swój dworowi i posłudze Karola Augusta, nie czynił był tego weale dla blasku i korzyści. Nie dbał on nigdy o te ostatnie. „Nigdy nie będąc“ pisał on do swojej ukochanej „bogatym w pieniądzu; dla tego przecież wzbogacę się tém więcej w ufność, imie dobre i wpływy pożyteczne pomiędzy ludźmi.“ Taka obojętność dla zbytku pochodziła z jego miłości ku przyrodzeniu; zamiłowanie to nadawało mu prostotę i moc. W wielu względach nie był on podobny do swego narodu, mianowicie w korzystaniu z dwóch czystych, zdro-

wych przedmiotów — wody i powietrza, z których Niemcy jak najmniej umieją użytkować i czuć ich wartość w życiu. Przechadzka, ruch na wolnym powietrzu nie są właściwe Niemcom; wielu wolało zastąpić ruch w celu higienicznym obracaniem jakiejś machyny, a w pole wychodzono z miasta raz w roku, w czasie żniwa, jak np. mówi o tym Jacobs w swoich *Personalien*. Goethe przeciwnie: lubił on do tego stopnia powietrze świeże, że kiedy przebudowywał swój domek ogrodowy, zamiast tego, żeby sobie nająć mieszkanie, albo nocować u którego z przyjaciół, mieszkał po staremu w Gartenhaus, chociaż w nim brakło okien i tylko domek dawał mu schronienie od deszczu. W jednym ze swoich listów (3 Maja) pisze: „Dobry dzień! Oto masz szparagi. Jakże się miałaś wczoraj? Filip upiekł mi ciasteczko; spożywszy je, owinałem się w mój płaszcz granatowy i położyłem się w suchym kącie terrasu i tak spałem, w pośród grzmotu, błyskawicy i deszczu, a spałem tak wybornie, że nie czułem tego jak całkiem podpłynąłem wodą.“ (19 Maja). „Dziękuję za śniadanie! W zamian za nie posyłam także cokolwiek. Spałem dziś na terrasie, uwinięty, jak zwykle, w niebieską płaszczyznę, budziłem się po trzykroć o 12, 1 i 4tej i za każdą razą było coś nowego we wdzięku nieba.“ Kąpał się nie tylko rankiem, ale nawet przy świetle księżycy, zawsze szukając pokrzepienia w świetle, wodzie i powietrzu czystym.

„Tauche mich in die Sonne früh,
Bad' ab im Monde des Tages Müh.“

Książę dzielił ze swoim przyjacielem to upodobanie w kąpielu; grudniowe zimno nie przerywało nawet tej przyjemności. Goethe uczył się pływać z pomocą korkowego drzewa, co mu tak często służyło za przykład w pismach i żadna niepogoda nie wstrzymywała go nigdy od wody. Czar wody żywej a czystej jak kryształ, wabiącej do swoich głębi, przedziwnie jest oddanym w prześlicznej balladzie poety, noszącej napis — *Rybak*.

Krąży w Wejmarze anegdotka, którą tu należy umieścić.

Jednej nocy, kiedy księżyc spokojnie świecił nad kąpiącym się poetą, chłopak jakiś, wracając późno do domu, przechodził przez most łyżwowy; Goethe, zanurzony w wodzie, patrzył na niego, aż nagle przyszła mu do głowy myśl pusta, zaczął się odzywać dziwnemi tony, wyskoczył do połowy z wody i znowu w niej się pogrążył, aby się z niej jeszcze raz wynurzyć i wrzaskliwie zawodzić, ku wielkiemu przerażeniu chłopaka, który słysząc takie wycie i widząc jakąś postać z długimi, spadającymi na ramiona włosami, począł umykać, jakby cały legion szatanów gnał się za nim. Do dzisiaj dnia u ludu panuje to przekonanie, że w tym miejscu rzeki Ilmu mieszka jakiś duch wodny, skomlący czasami po nocach.

Takie było życie Goethego w Wejmarze; spędzał on czas, jak się mu samemu podobało i, jak sam to wyznawał, był tu szczęśliwym i zadowolonym z losu swego. W księciu miał przyjaciela, kształcąc go na znakomitego monarchę. Towarzystwo literackie w Wejmarze poczęło się było zwiększać i miasteczko to coraz więcej rosło w opinii świata uczonego, tak że z czasem zasłużyło sobie w rzeczy całej na imię Aten niemieckich. Za wpływem Goethego sprowadzono tu Herdera, dając mu tytuł nadwornego kaznodziei i generalnego superintendenta; szemrano trochę z tego powodu; mówiono nawet, że duchowny ten wszedł był na ambonę w butach i przy ostrogach. Oprócz tego poeta nasz starał się być ulepszyć byt ludu; pomiędzy innymi projektami dla dopięcia celu tego przywieziemy tu tylko myśl odkrycia min górniczych w Ilmenau, zaniedbanych już od dawnego czasu.

Rozrywki szły poręcz z pracą; pomiędzy temi wspomniemy tu o teatrze amatorskim, ten bowiem da nam wyobrażenie o dworze książęcym i pokaże razem, jak poeta umiał być połączyć zabawę z pożytkiem. Teatr miejski od 1774 r. zgorzał; Seyler z trupą swoją przeniósł się gdzie indziej i Wejmar pozostał bez sceny. Właśnie w tym czasie panowała moda teatrów amatorskich. W Berlinie, Dreźnie, Frankfurcie, Augsburgu, Norymberdze i Fuldzie

były sławne towarzystwa amatorskiego teatru. W Würtzburgu oddawna *szlachetne* grono przywiązało było sobie do nóg koturny; w Eisenach, książę i dwór przyłączyli się byli do téj zabawy. Uniwersytety nawet, co dawniej prześladowały były dramat z powodów religijnych, dziś zapomniały o swoim antagonizmie i w Wiedniu, Halli, Getyndze i Jena, władze akademickie dozwoliły były studentom mieć sceny prywatne.

Teatr wejmarski przeszedł był wszystkie inne. Miał on był swoich poetów jak np. Goethego, Einsiedla i t. p., swoich kompozytorów, dekoratorów, kostiumistów. Kto tylko okazał jakibądź talencik do deklamacyi, śpiewu albo tańca, był zaraz zawerbowany do trupy i musiał pracować tu tak ciężko, jakby od tego zależało utrzymanie jegoienne. Codzienne próby dramatów, oper, baletu zajmowały i cieszyły mężczyzn i kobiet, szczęśliwych, że miały cokolwiek do czynienia. Trupa była znakomita, wchodzili do niej: księżna Amalia, Karol August, książę Konstanty, Bode, Knebel, Einsiedel, Musceus, Seekendorf, Bertuch i Goethe; z kobiet Corona Schröter, siostra Kotzebuego i panna Göchhausen. Z takich osób składała się ta kompania błędna, przejeżdżała bowiem z miejsca na miejsce, z Wejmaru do wszystkich pałaców letnich okolicznych — Ettersburga, Tiefurtu, Belvederu, nawet do Jena, Dornburga i Ilmenau. Nieraz, jak dowiadujemy się o tem od Falka, Bertuch odbierał rozkazy przygotowania wozów i kuchennych podwodek, rano przed świtem, kiedy dwór miał wyruszyć ze swoją trupą błędna. Jeżeli miały być dokonane wyprawy krótkie, dość było trzech osłów do uskutecznienia ich; jeżeli zaś wyprawy te miały być dalsze, przez góry i doliny, wokolice odleglejsze, wówczas noc poprzedzająca wyjazd była poświęcona na przygotowania do drogi, wszystkie bowiem narzędzia księżęce zostawały spakowane. A jakież to, oprócz tego, były smażenia, pieczenia, gotowania! Ileż tu kapłonów padło na ofiarę Talii i Terpsychory, ile gołębi i ptactwa! Stawy przetrząsano, aby dostać ryby, lasy spolowano dla

zwierzyny, a lochy splądrowano i ogołocono z butelek omszonych od poważnej starości! Z rosą poranną wyjeżdżała w drogę wesoła drużyna, cała oddana marzeniom radośnym! Przeciągali przez bory ustronne, gdzie dotąd gościł był zwykle jastrząb na drzewach wysokich, albo wilk przedzierał się przez zarośla mimo chatki węglarza. Tu teraz ciągnęły młodość, wdzięki, wesele, szczęście, bogactwo, nadzieje uśmiechające się, ciągnęły wieńcem uroczym... Teatr prędko stawał w tych kniejach odludnych. W Ettersburgu dotąd jeszcze widne są ślady takiej sceny leśnej, na której, jeżeli pozwalała pogoda, przedstawiały się utwory najulubieńsze wówczas u publiczności. Skrzydło jedno zamku zmieniono także w teatr, ale najwięcej lubiono grać pod odkrytym niebem. Na próby amatorowie zwożeni byli zwyczajnie w powozach książęcych do Ettersburga, a wieczorem, po wesołej wieszce, ożywionej nieraz śpiewem, przeprowadzał ich oddział hussarów gwardyi książęcej z pochodniami. Tu przedstawiano *Cyganów*, operę Einsiedl'a, z osobliwszą uludnością sceniczną. Niektóre sceny z Goetz'a Berlicheńskiego wystawiano tu także. Drzewa uilluminowane, banda Cyganów w lesie, tańce i śpiewy pod gwiazdzistym niebem wykonane, podczas kiedy tu i ówdzie hukął puhacz, wszystko to składało się na widowisko, którego urok długo nie mógł się być zatrzeć w pamięci widzów. Na Ilmie, także w Tyfurcie, w tym miejscu właśnie, gdzie rzeka zaginała się pięknie w około brzegu, zbudowano teatr. Drzewa i inne naturalne przedmioty, jak rybacy, rusalki, duchy wodne, księżyc i gwiazdy — wszystko to oddawało się efektowie.

Sztuki były równie rozmaite jak i teatru. Czasami wystawiano komedye francuzkie, niekiedy poważne dzieła sztuki, a często szalone krotofile (extravaganza). Zdarzało się, że odgrywano szarady, w których plan był ułożony uprzednio, ale dialog sam pozostawiano do improwizowania aktorom. Raz, kiedy, jak to się często zdarza improwizatorom, aktor jeden zaczął był gadać zanadto i oddalać się od celu, kilku amatorów wpadło na scenę, porwa-

ło gadatliwego artystę, wynieśli go za kulisy — t. j. w krzaki, a potem uwiadomili, kłaniając się niziutko, *prześwietną publiczność* (jak gdyby to także należało do sztuki), że znakomity artysta nagle zachorował i występować na scenie nie może.

Najeiekawszą sztuką odegraną na tych amatorskich teatrach jest bezwątpienia komedia Arystofana pod napisem *Ptaki*; przedstawiano ją w Ettersburgu; aktorowie byli ukostiumowani wszyscy w pierze; głowy były ptasie, ale można nimi było poruszać z łatwością; skrzydłami można było także machać — była tu cała ornitologia. Wystawiano tu czasami *ienie chińskie*; ale oprócz tych sztuk wystawiano także poważne utwory dramatyczne. Grało np. *Ifigenię* Goethego, jeszcze wtedy napisaną prozą.

Aktorowie byli następujący:

ORESTES	<i>Goethe.</i>
PYLADES	<i>Księżę Konstanty.</i>
THOAS	<i>Knebel.</i>
ARKAS	<i>Seidler.</i>
IPHIGENIA	<i>Corona Schröter.</i>

„Nigdy nie zapomnę, woła Dr. Hufeland, tego wrażenia, jakie wywołał na mnie Goethe w roli Oresta, występując w kostiumie greckim; można było go wziąć za Apolla. Nigdy zapewne dotąd nikt nie widział podobnego połączenia w jednej osobie zarazem fizycznego i umysłowego wdzięku.“ Gra jego — o ile mógł się o tém dowiedzieć Lewes, miała wady zwyczajne grze amatora, była gwałtowna, a przytém sztywna, przesadzona, a pomimo to chłodna; dzwięczny głos jego był bez cieniowań i wyrazu. W rolach komicznych, było wcale przeciwnie, Goethe występował wybornie; im więcej było w roli pustoty, tém lepiej ją odgrywał nasz poeta. Pamiętają jeszcze, jak wybornie wywiązał się z zadania swego, wystawiając krzykacza publicznego w sztuce *Plundersweiler*. W czasie tego teatralnego sezonu Goethe pisał w *Wilhelmie Meistrze*

długie rozdziały o życiu aktora i o sztuce scenicznej; każde dzieło jego stanowi ustęp z własnej jego biografii.

Dziwnie rozmaite było życie poety naszego! O świcie polował czasami na niedźwiedzia, o południu zasiadał w poważnej dyplomatycznej radzie państwa, wieczorem był przytomnym na próbie teatralnej, o północy wyprawiał serenady komiczne, albo ślizgawki na łyżwach, przy oświetleniu pochodni; tak mu przeszło wiele dni żywota, niewspominając unizgów, balów, maskarad, koncertów i pisania wierszy. Przy tylu rozrywkach muza długo nieraz unilkła, chociaż list poetyczny *Hansa Sachsa* (Hans Sachs poetische Sendung), *Lila*, tudzież niektóre piękne liryki, jako też niektóre dramata i opery okolicznościowe, należą do tego okresu i dowodzą, że nawet w tym czasie zabaw i miłostek poeta nie był nigdy zupełnie próżniakiem. Życie, pamiętajmy o tém, było dlań kopalnią materiałów; *Faust*, *Tasso*, *Egmont*, *Iphigenia* i *Wilhelm Meister* zaradzały się wtedy w duszy, a zapładniało je życie codzienne, doświadczenie.

Szaleństwa wieku młodego trwały u Goethego zaledwo kilka miesięcy; ze swywolnego młodzieńca prędko poeta stał się mężem poważnym. W 1777 roku już był spokojnym mieszkańcem *Garten-Hausu* (Domku w ogrodzie); zajmowały go rysunek, poezya, botanika i stały (na lat kilka) przedmiot miłości serca jego, pani Sztejn. Uczucie to widne jest w każdej kartce korespondencyi jego z tego okresu; zdaje się kobieta światowa, nie pierwszej młodości, baronowa kokietowała długo z poetą; chciała ona wzbudzić ku sobie w sercu jego uczucie silne, chciała się niem nacieszyć, pochłubić, bo musiało ono wiele pochlebiać jej dumie. Miłość Goethego wywyższała; mówiono o niej w Niemczech całych jak równie o jej przedmiocie, co stał się jejeniuszem natchnień i przedmiotem tęsknic wieszczą. Jakkolwiek bądź źle odbija przy miłości poety ta kokieterya kobiety niemłodej, pociągającej raz kochanka do siebie, to odpychającej go znowu, żeby się podnieść przez to w cenie, jak nianka podnosi wysoko nad głowę dziecięcia cacko,

które mu wtedy właśnie wydaje się najpożądanyszém i najpiękniejszém, kiedy go nie może ręką dosięgnąć. Podobne postępowanie musiało być jętrzyć i dręczyć serce młodzieńcze; „Wyrzucasz mi, pisze w jednym liście do niej, że nie codzień uczuвам to, jak bardzo jestem w tobie zakochanym.“ W inném miejscu: „Nie rozumiem tego, jak mogłaś, ostatniemi czasy, oddawać się zwątpieniu i niewierze względem mnie; nic nie masz pewniejszego nad to, że cię kocham.“ Dokuczala mu tém powątpiewaniem o jego miłości, ale kiedy go nie było, pisała do poety swego, że nieobecny coraz stawał się jój droższym. Na to tak jój odpisywał: „Tak mój skarbie! wierzę słowom twoim, kiedy piszesz do mnie, że uczucie twoje ku mnie wzrasta w czasie mojej nieobecności. Kiedy nie masz mnie, kochasz nie mnie samego, a tę ideę, jaką sobie utworzyłaś o mnie; ale skoro się pokażę, idea ta często musi się rozwiać przez moje szaleństwa. Co do mnie, ja kocham cię więcej obecną niż oddaloną, a ztąd wnoszę, że moja miłość jest rzetelniejszą od twojej.“ Czasami jednakże poeta nasz zdaje się powątpiewać, czy istotnie jest zakochanym w swoim bożyszczu, czy raczej nie podoba się mu urok jój obecności. Z temi powątpiewaniami mięsza się jeszcze chęć uczynienia czegoś takiego, coby go zrobiło godnym jój. Pomimo sławy swojej, pomimo swego geniuszu, nie pokonał był jój serca, a tylko poruszał był je; stara się więc poświęceniem dokonać tego, czego nie mogły mu zjednać wszystkie owe świetne jego przymioty. Tak więc *miłość* i *duma* naprzemiany nim miotają i utrzymują w jego pustelni, co dziwiło i oburzało wielu z jego przyjaciół, co chcieliby byli ustawicznie cieszyć się jego towarzystwem.

W Czerwcu tego roku (1777) dotknęło go jeszcze ciężkie zmartwienie: utracił był w tym czasie najukochańszą siostrę Kornelię.

Goethe był mężnym; lubił polowanie na niedźwiedzie i w 1778 roku zmierzył się był z jednym, ale oszczep się złamał, zadrasnąwszy tylko i rozgniewawszy *pustelnika*; zaledwo uszedł poeta wielkiego ztąd niebezpieczeństwa. Na-

stępnego dnia Goethe i księżę ślizgali się; podczas kiedy bawili się w najlepsze, spotkali niosących trupa panny von Lassberg, która kochając się bez wzajemności, rzuciła się w płonkę Ilmu, właśnie w miejscu, w którym Goethe zwykł był oddawać się rozrywce ślizgania się na łyżwach. Widok ten przeraził naszego poetę, ale jakże go zasmucił on jeszcze, kiedy w kieszeni nieszczęśliwej znaleziono Werther'a! Trupa odniesiono do domu p. Sztejn i Goethe udał się za nim, gdzie przesiedział dzień cały, pocieszając nieszczęśliwych rodziców. Píše z tego powodu: „O ten smutek jest tak udzielającym się; ma coś w sobie tak pociągającego jak woda sama, zarówno czaruje nas w obojgu odbicie gwiazd i nieba, jakie zdają się leżeć głęboko na dnie.“ Zawsze występuje tu myśl wyrażona ślicznie w *Rybaku*.

Prędko przecież z tego usposobienia potrzeba było wrócić do repetycji teatralnych; scena dworska miała przedstawić na urodziny księżnej sztukę Goethego *Triumph der Empfindsamkeit* (Tryumf czułości). Liczne smutne następstwa, pomiędzy młodzieżą, werteryzmu, spowodowały, że sam począł go wysmiewać złośliwie; ten słodko-ekliwy sentymentalizm został tu wystawiony; bohaterem jest księżę, dusza którego oddaje się tylko wrażeniom, oświeconym blaskiem księżycy; ubóstwia naturę, ale nie tę naturę prostą, nieokrzesaną, jak ją Pan Bóg stworzył, ale naturę różową, jaka występuje zwyczajnie w sielankach, albo na dekoracjach oper i baletów. Rzetelna natura nie podoba mu się, bo chociaż prawdą jest, że skały są malownicze, ależ i to jest prawdą, że po większej części wierzchołki ich okryte są śniegiem i lodem; ozdoba ta sprawuje efekt osobliwy, ale można się od tego zaziębić; wiatry dmą dziko, ale wycie ich rozdrażnia nerwy delikatne; księżę nie jest amatorem tych akwilonów. Zapewne że i wschód słońca ma swój urok, ale zawsze towarzyszy mu mgła, wilgoć,— a księżę cierpi reumatyzm i nie lubi wstawać rano. Żeby zapobiedz tym wszystkim niedogodnościom miał on sporządzoną na ten cel swoją własną przyrodę; towarzyszy mu ona w podróży nawet; wedle upodobania ma on, kiedy

chce wschód słońca, blask księżycy, las cienisty. Kocha się, ale kochanka jego równie jest sztuczna jak jego przyroda; kobieta jest urocza, nie ma co mówić, ale kapryśna, więc książe ma lalkę przebraną w suknie kiedyś ubóstwianej kochanki; u nóg jej spędza on w zachwycie godziny całe, dla niej on wzdycha, dla niej składa pieśni. Zjawia się potem pierwowzór tego drogiego dlań wizerunku. Jest że on nim zachwycony? Bynajmniej. Serce jego nie bije w jego obecności, nie poznaje go wcale; książe przy prawdziwej kochance rzuca się w objęcia lalce swojej i tak czułość odnosi tryumf. Krotofila ta ma pięć aktów; dość wydaje się ona ckliwą i nudną; dowcip w niej niemiecki. Mówią, że pierwotnie więcej w niej było osobistości; Böttiger powiada o niej, że nie znać w niej dziś śladu tego humoru i satyrycznego dziwactwa, jakie w niej pierwotnie były. Miał tu Goethe biczem Arystofana chłostać modne szaleństwa czasu w stroju, piśmiennictwie, moralności; widzowie widzieli tu siebie, jak w zwierciadle. W ostatku lalka otwierała się i z niej wypadało mnóstwo książek, będących naówczas w modzie, o których wypowiadano srogą i cierpką prawdę; najwięcej dostawało się samemu Werterowi. Cała sztuka była przeplatana baletami, muzyką i komicznymi przemianami scenicznymi, tak że to, co dziś wydaje się nudną farsą, to wówczas było pełnym werwy dziwactwem (extravaganza).

Goethe, pomimo zarzucanego mu egoizmu, dobre miał serce, był ludzkim, miłosiernym, był, jednym słowem, rzetelnym filantropem. Widzieliśmy, jak gotów był wziąć na swoje utrzymanie dziecię Herder'a; przyjaciel jego baron Lindau umarł i zostawił małego chłopca Piotra Imbaugarten'a, ze Szwajcaryi rodem, którym się opiekował. Goethe wziął tego malca na swoją opiekę. Nieznany mu młodzian jakiś, nazwiskiem Plessing, pod wpływem Wertera, wpadł był w melancholię, stał się mizantropem; pisywał do Goethego listy, jako do autora ulubionego dzieła i zwierzał się mu ze swego stanu duszy. Goethe odpisywał mu na nie, dusznie chciał go być wyleczyć z jego usposobienia smutnego, chciał był

obudzić w nim energię ducha, pokazać mu piękne cele życia—ale daremna była jego praca. Poeta postanowił osobiście dokonać tego; w Listopadzie i Grudniu odbył podróż w góry Harzu; pod imieniem wędrującego malarza odwiedził nieszczęśliwego hypokondryka, który widząc się z Goethym w ten sposób, nie domyślał się był wcale tego, że rozmawia osobiście z mistrzem swoim, ze sławnym autorem Wertera. Daremna była podróż; Plessing najmniejszego wyobrażenia nie miał o świecie bożym, ani o ludziach, których nie nawidził; naczytał się książek niestrawnych, żywił się pokarmem niezdrowym i z tego wpadł w niszczącą chorobę ducha. Goethe powoływał go do życia czynnego, do praktyki—ale słowa jego wszystkie były jakby groch o ścianę. Zachęcał go zająć się czémś koniecznie, choćby ogrodnictwem, albo polowaniem przynajmniej—toby nawet mogło go wyratować od następstw ustawicznego zaciekania się w sobie samym—ale i tego nie usłuchał: brakło mu siły do tego. Goethe zrozumiał dobrze potęgę życia rzeczywistości, co jedno tylko zdolne jest pokrzepić ducha, jak przeciwnie marzenia bez treści wysuszają go tylko i wprowadzają w chorobę, wyprowadzając z przyrodzonej mu kolei.

Potém jeszcze starał się być użytecznym temu biedakowi, który, po upływie pewnego czasu, odwiedzając Goethego w Wejmarze, poznał w nim owego wędrownego malarza w okolicach Harzu. Z pomocą Goethego, Plessing wydzwignął się nareszcie ze swojej apaty; otrzymał miejsce (1788) profesora filozofii w Duisburgu, gdzie Goethe odwiedził go w 1792 r., wracając z kampanii francuzkiej, odbytej w tym roku, wraz z księciem wejmarskim. Plessing zostawił kilka pism filozoficznych.

Zarzucano Goethemu arystokratyczną żyłkę; człowiek świata, dworak musi mieć ją koniecznie, ale to nie przeszkadzało, aby lud prosty nie pociągał go ku sobie; kochał go—potém dopiero terroryzm rewolucyi francuzkiej ochłodził w nim nieco ten zapal, pokazując mu w nim bierne narzędzie wszelkich podszeptów. Nie był demago-

giem, ale kochał lud po chrześcijańsku, kochał go w takim stanie, w jakim był, nie marząc dlań o niczém nadzwyczajném. Lubił być zawsze przestawac z prostytutkami, żyć ich życiem *prostém*, wiedząc że w niém właśnie jest szczęście prawdziwe, byle tylko obok niego było jeszcze serce *proste*. Nieraz przebywał pomiędzy górnikami i pisał o ich życiu spokojném do przyjaciół, a osobliwie do swojej ukochanej.

Najciekawszą historią w biografii Goethego, malującą piękne, szlachetne i miłosierne serce Goethego, jest opiekanie się jego jednym nieszczęśliwym, którego imienia nikt dotąd nie zna. Byłto człowiek—jak sądzić można z listów jego—osobliwszego charakteru, schorowany, podejrzliwy, zubożały, częścią z powodu okoliczności nieszczęśliwych, częścią też z własnej swojej winy. Udał się o pomoc do Goethego, jak wielu innych i odmalował mu swoje położenie z całą wymową rozpaczy.

Goethe odpisał tak na list tego biedaka: „Stosownie do wyobrażenia, jakie sobie wyrobiłem o Panu z listów odbieranych od Niego, zdaje mi się, że się nie mylę—i to mi sprawia przykrość— jeżeli sądzę, że nie będę w stanie przynieść pomocy, albo podać nadzieję jakąkolwiek temu, co tak wiele potrzebuje; ale nie jestem człowiekiem, co może powiedzieć: *powstań a idź!* Przyjmij więc tę odrobinę, jaką ci dać mogę; niech ci stanie się ona chwilową zapomogą. Jeżeli będziesz dłużej mieszkać w tém samym miejscu, na przyszłość, postaram się przysłać ci jeszcze jaki mały zasiłek. Piszac do mnie o odebraniu tego, co posyłam, uwiadom mię, proszę cię, na jak długo może ci to wystarczyć? Jeżeli potrzebujesz sukien *np.* płaszcza, butów, pończoch ciepłych, napisz do mnie; mam coś z tego, więc będę mógł ci udzielić.

Przyjmij tę kroplę balsamu z niezapaśnej wcale apteczki Samarytanina, przyjmij ją w tym samym duchu, w jakim ci jest ona ofiarowaną.“

Nie tylko Goethe pomagał ludziom, ale *umiał dawać*, ofiarując im datek swój z miłością, dając prawdziwie po bratersku. Biedak ten, któremu pomagał, był wymyślny, opryskliwy, wymagający, a nigdy mu nie było dosyć. Goethe zno-

sił jego kaprysy, wymówki, bacząc na chorobę i na ową gorączkę, którą nędza i cierpienie napoiły serce jego; biorąc sam 1200 talarów pensyi, mając tyle wydatków, tyle innych do wspomżenia, naznacza mu 200 talarów rocznie, umieszcza go w Jena, jako w mieście, w którym mu będzie spokojnie i nikt nie będzie zwracał nań swojej uwagi, posyła mu odzież, pamięta o potrzebach — a w nagrodę odbiera od niego cierpkie listy. Nie zrażając się niemi, pamięta o nim przez lat sześć, posyła mu ustawicznie, a zawsze pisze do niego, pamiętając, że najważniejszym datkiem dla nieszczęśliwego jest *słowo życzliwe*. Tak umiał wypełniać obowiązki człowieka i chrześcianina Goethe, człowiek świata, dworak, poeta; przy ustawicznych zajęciach, przy pisaniu dzieł wielkich — stawało mu przecież zawsze czasu na dzieła największe, bo dzieła miłości chrześciańskiej. Kiedy ludzie zapominają o pierwszych — Bóg nie zapomni nigdy o ostatnich.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DZIEJE ŻYWOTA I UTWORÓW

GOETHEGO,

ORAZ

ZARYSY WIEKU JEGO I WSPÓLCZESNYCH MU MĘŻÓW
ZNAKOMITYCH;

PODLUG OGŁOSZONYCH I NIEOGŁOSZONYCH DRUKIEM ŹRÓDEŁ.

Dzielo

G. H. LEWESA,

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ I WŁASNEMI UWAGAMI, W TEKSCIE SAMYM I DOPIS-
KACH POCZYNIENIAMI, POWIĘKSZYŁ

A. Nowosielski.

„Serce Goethego, znane niewielu ludziom było tak wielkiem
jak umysł jego, którego znali wszyscy.“

JUNG STILLING.

TOM II.

PETERSBURG.

W Drukarni JOZAFATA OHRYZKI.

—
1860.

DNIEUR NYWOTA I UTWOROH

GOETHEGO

KARST WILHELM VON DER LANGE

C. H. LEWISA

PETERSBURG

Wróćmy tymczasem od autora do dzieł jego. W tym okresie napisał był *Iphigenję w Taurydzie* i napisał ją prozą; we Włoszech dopiero przełożył ją wierszem. Było manją owego czasu pisać prozą, to, co z natury rzeczy należało do poezyi, do natchnienia; proza wydawała się zwrotem do natury, wiersze uważano za rzecz nienaturalną; duch wieku, nasycony racjonalizmem, prozaizował społeczność i literaturę. Więc *Götz, Egmont, Tasso* i *Iphigenja*, równie jak *Rozbójnicy, Fiesco, Miłość* i *Intryga* Szyllera pisały się stosownie do tego usposobienia wieku prozą. Kiedy Goethe przełożył *Iphigenję* na wiersze, wejmarscy przyjaciele jego niekontenci byli z tego, woleli oni tekst dawniejszy sztuki. Rzecz osobliwa, powiada z tego powodu Lewes, było to zupełnie tak, jak gdyby kto lubował się więcej łabędziem na suszy niż na wodzie, kiedy rozwinie śnieżne żagle skrzydeł, zagnie kark i płynie majestatycznie po czystym żywiole swoim. Co do Goethego, jak poeta rzetelny, forma rymowa była mu przyrodzoną formą; zdawało mu się, że pisał *Iphigenję* prozą, a przecież były w niej pierwotnie całe ustępy wierszem miarowym wyrażone; mało potrzeba było na to pracy, aby pierwszą wersję dzieła zmienić na tekst wierszowany. Szlegel charakterystycznie bardzo przezwał był *Iphigenję* „echem pieśni greckiej“; podobne ozdóbki retoryczne podobały się mu zawsze, więc nie należy dziwić się temu zdaniu jego; więcej jest rzeczą dziwną, że Niemcy całe, ów kraj uczonych, powtórzyły były to wyrażenie Szlegla jednogłośnie i tyle razy zadecydowały, że *Iphigenja* jest najpiękniejszą próbką nowożytną tragedyi greckiej. Przestaniemy się jednakże dziwić temu, kiedy sobie przywiedziemy na myśl, jaka to massa tradycyjnych fałszów dochowywała się była jeszcze u ogółu, co się dotyczy greckiego dramatu. Długo trzy

jedności uważały się za nicodłączne od tego dramatu, na przekór temu, że w wielu tragediach greckich na jedność czasu wyraźnie nie dawano baczenia, a w dwóch lub trzech sztukach jedność miejsca nawet nie jest zachowana. Oprócz tego wyrobiono sobie przekonanie, że w starożytności pierwiastki komiczny i tragiczny nie mieszały się z sobą w jednej i tej samej sztuce, nie zważając na dotykany fakt, całkiem temu twierdzeniu przeciwny, u Eschyla i Eurypidesa, którzy zwykle mieszały je z sobą. Z kolei następowało niedorzeczne wyobrażenie o przeznaczeniu, jakoby zawiasie, na której się miał obracać dramat polytheizmu, na przekór takż faktowi, że w wielu, w większej części nawet sztuk tych, przeznaczenie (*fatum*, — *ananky*) nie ma miejsca.

Sam frazes, którym krytycy niemieccy charakteryzują Ifigenję, dostatecznym jest do jęj potępienia; mówią bowiem, że posiada ona „cały spokój tragedyi greckiej.“ Zważcież choć raz, co to znaczy ów *spokój* w tragedyi! Znaczy to spokój w straszném naprężeniu namiętności. Tragedya, mówi Arystoteles, działa przez *strach* i *litość*, budząc w piersiach naszych sympatyę z cierpieniem; przypuszczać, że to może być dokonaniem rozmyślnym spokojem oddychającym z każdego wiersza. Niepostrzeżenie wyobrażenia nasze o sztuce greckiej w ogóle wyrobiły się z wyobrażenia o ich plastyce; ztąd zapewne to wyobrażenie o *spokoju*. Jednakże znajomość dramatu powinna być uprzedzić podobny błąd i nauczyć ludzi nie mieszać *spokojnego rozwinięcia dzieła ze spokojem życia*. Niezamacona niczém prostota greckiej sztuki scenicznej wypływa właśnie z przyrodzenia konieczności scenicznych; ale nie możemy nazywać wulkanu zimnym dla tego że lody leżą na jego powierzchni. ¹⁾ Gdyby dramat grecki wystawiał się na scenie takiej, jaką jest scena nowożytna i wystawiał się przez aktorów bez koturnów i maski, jego głębokie wzruszenia namiętności zawrzałyby na samej powierzchni, udzielając stosownego ruchu formie (!!). Ale to

¹⁾ Tłómaczymy tu zdanie Lewesa, nie godząc się z nim bynajmniej; nie sam układ sztuki greckiej, ale dyalog, słowo, ducha zbiorowego wyrażające, nosi na sobie ów przymiot spokoju, *trzeźwości*, cechujący tak wybitnie plastykę grecką.

nastąpiło z ważnych przyczyn. W dramacie greckim wszystko było zarysowanem na skalę obszerną, stosownie do audytorium składającego się z kilku tysięcy widzów: ztąd wszystko było raczej ułożonem w massach niż szczegółach. Dla tego dramat przyjął pewne cechy snycerskiej formy, zwrócił się do ugrupowań wspaniałych i, w celach efektu, przyjął pewną *ewhrytmiczną* konstrukcyę. Ztąd więc musiał być przyjąć dramat powolność ruchu, bo ten nie mógł być skorym, a razem z tém efektywnym. Jeżeli krytyka wąpi o tém, niech na próbę każe aktorom przywiązać koturny, wprawić w usta tuby i tak odegrać jaką sztukę Szekspira, a wówczas przekona się, jak się on wyda? Z tego powźmie miarę o tych ciasnych ramach, w których trudno było ruszać się aktorowi starożytnemu, który ustrojony tak, aby mógł wydawać się wyższym i mówiąc przez maskę z tromą, wydającą pewien głos oznaczony, nie mógł być działać, w naszém nowożytném znaczeniu słowa, ale mógł być tylko deklamować; nie miał środków oddania *fluktuacji* namiętności, i dla tego poeta zmuszony był kazać mu wystawiać namiętność w szerokich, zakreslonych massach. Ztąd ruch dramatu greckiego był koniecznie szerokim, powolnym i prostym. ²⁾

Jeżeli jednak odrzucimy owe konieczności sceniczne i zwrócimy tylko uwagę na życie dramatyczne, tętniące w tragediach greckich, jakież wtedy rodzaj spokoju napotkamy tam? Oto spokój względny bardzo. Napotkamy Polyfema rzucającego skałami jakby pestkami wiśniowemi; ta figura zapewne uśmiechać się będzie na owe barrikiady Francuzów, jak my uśmiechamy się na brzęczenie muszek. Mierzając miarą ludzką, nie wiem, czyja boleść może wyrazić się z taką mocą, aby mogła nazwać za spokojnemi owe np. wyrażenia tętniące w Edypie, Agamemnonie, albo w Ajaxie.

Przedmiotami dramatów greckich są zawsze takie, co mogą wywołać na scenę najgłębsze i najczarniejsze namię-

²⁾ Dobrze, ale warunki sceny nie były przypadkowe, wypływały one z tego samego ducha religijnego, który wyrażał się wybitnie w sztuce plastycznej i w duchu narodowym Hellenów?

tności — jak np. szaleństwo, cudzołóstwo i mord w Agamemnonie; zemstę, mord i zabójstwo matki w Choëphorach; kazirodztwo w Edypie; zazdrość i dzieciobójstwo w Medei; cudzołóstwo kazirodne w Hippolicie; szaleństwo w Ajaxie i t. d. Bieg tych namiętności zawsze utrzymuje się tam w ruchu i przejścia od litości do trwogi kończą się dopiero z końcem sztuki, t. j. mówiąc innymi słowy, pomimo powolności w rozwoju dramatu, brak w nim wcale *spokoju*, który uważał się za jego cechę charakterystyczną.

Tu znajdujemy najpierwszą a razem najgłówniejszą różnicę pomiędzy sztuką Goethego a dramataми starożytnymi. Spokój, wywołany musem niejako w Grekach, stanowiący u nich hamulec niejako w sztuce, taki naprzykład, jakim dla snycerza jest twardość marmuru, Goethe przyjął dobrowolnie na się, przy warunkach, które go wcale nie wymagały; podczas kiedy spokój u Greków na powierzchni tylko pływał, w sztuce Goethego mroził całą jej istotę, całego jej ducha. W tém, co było wypadkowém, czasowém, Goethe naśladował Greków; w rzetelnej zaś charakterystyce nie sprostął im wcale. Rasyń, tyle potępiany niesłusznie od Szlegla, dał nam życie ogniste dramatu greckiego, naprzekór swojej *Madame Hermiony* i *Monsieur Oresta* ³⁾.

Nie możemy więc na Ifigenię Goethego zapatrywać się jako na wzór grecki; jestto owszem sztuka w duchu niemieckim. W niej autor daje głębokie moralne i psychologiczne passowanie się zamiast passowania się namiętności starej legendy helleńskiej. Nie masz tu nic greckiego ani w ideach, ani w uczuciach; wszystko tu niemieckie, wszystko przenosi nas do Niemiec XVIII wieku zamiast przenieść widza do Scytyi w wieki zamierzchłe, tak samo jak Rasyń mieści dwór wersalski w obozie pod Aulidą i z równą słusnością. Punkta, w których dzieło Goethego podobnym jest do sztuk greckich, są, najprzód powolności ruchu scenicznego i prostota akcji, co razem wywołuje spokój w dyalogu; powtóre, przesylenie mitycznym ele-

³⁾ Tłómacz nie podziela tego zdania Lewesa o Rasyńie.

mentem. Wszystko zresztą jest niemieckiem. Szyller, jako dramaturg, widział to jaśnie. „Dziwi mię to, mówi, że sztuka ta nie wywiera na mnie tego samego wrażenia co przedtém, chociaż zawsze widzę w niej sztukę napisaną z duszą. Jest ona z tém wszystkiém tak dziwnie *nowożytną* i nie grecką, że nie mogę rozumieć, jak to się stało, że kiedykolwiek mogli uważać za dzieło greckie. Jest ona czysto moralną, ale brak w niej mocy uzmysłowienia, życia, ruchu i wszystko nareszcie, co należy do wymagań sztuki dramatycznój. Goethe sam mówił o niej niepochlebnie, ale uważałem wtedy słowa jego za kaprys jakiś albo za pewną kokieterę; teraz dopiero rozumiem go.“ Słowa te stanowią sprzeczność zupełną ze zdaniem Herdera, że sztuka poety niemieckiego o tyle jest wyższą nad dzieła Eurypidesa, o ile nad nie są wyższe utwory Sofokla.

Szyller dodaje, że Ifigenja, odsuwając na stronę formę dramatyczną, jest kreacją przedziwną, która pozostanie na zawsze rozkoszą i podziwem ludzkości. Nie jestto dramat, ale jestto raczej dramatyczny poemat. Uroczysty i wspinały krok rozwoju odpowiada zupełnie szerokiej i prostej zarazem myśli, którą osłania. Spokój jój jest właśnie jój majestatem; w przejrzystej czystości słowa, wcielone charakteru ducha obrysowują się tak jasno, jak widną jest robota pszczół w ulu szklannym, podczas kiedy stateczna moc wyniosłości i muzyka przedziwna, dźwięcząca w poemacie całym, dają wszędzie uczuć czytelnikowi taki nastrój ducha, jakby się on znajdował wpośród świątyni wspinałój. Po nad wszystkie te czary szczegółów jest jeden główny urok, właściwy posągom greckim, więcej niż innym jakim utworom udatnym ludzkiego ducha — oto doskonała *jedność* wrażenia, sprawiona całością tak, że nic w niej nie zdaje się być *dokonaném*, ale jakby to wszystko *wyrosło*, nic tu bowiem nie jest zbyteczném, wszystko jest w pewnej zależności organicznój, nic nie pomyślano na sprawienie jakiego szczegółowego efektu, ale wszystko jest jednym efektem. Cały poemat napęlnia duszę; jakkolwiek jednakże są pięknymi oddzielne ustępy, rzadko przecież

zwracają uwagę na nie admirałowie dzieła tego, zajmuje ich bowiem całość przedewszystkiemi.

W Ifigenii Eurypidesa mamy myśl główną taką: Córka Agamemnona mając być przyniesioną na ofiarę w Aulidzie, raptem zostaje porwaną w obłoku od Diany, a na jej miejscu jest podstawiona łania; potem Ifigenja jest już kapłanką w Taurydzie, dozoruje ona ofiar krwawych; wedle prawa bowiem kraju tego każdy rozbitek wyrzucony na ten ląd niegościnnie, zostaje ofiarą Diany. Orestes i Pylades, słuchając wyroczni, przybywają do Taurydy w celu wykradzenia posągu bogini; po dokonaniu bowiem czynu tego, wedle przepowiedni, Orestes ma się dopiero uwolnić od przesładujących go furyi. Obaj przyjaciele zostają schwytani i sprzedani Ifigenii na ofiarę Dianie. Następuje poznanie brata i tu dopiero siostra pomaga w ich zamiarze uwiezienia bogini. Scytowie przesładują zbiegów, ale ukazuje się Minerwa, dla rozwiązania węzła sztuki i dla ułagodzenia gniewu króla Thoasa.

Historji tej Goethe nadał cechę nowożytną. Charaktery są w istocie swojej inne wcale, równie też innemi są pierwiastki moralne, a następnie odmiennem jest wrażenie, jakie sprawia na widzu całość sztuki. Ifigenia poety niemieckiego, w każdym względzie wyższą jest od kapłanki Diany, ma ona duszę wzniosłą, szlachetną, czułą, duszę delikatną dziewicy chrześcijańskiej. Zmuszona spełnić obowiązki kapłanki, swoim wpływem łagodnym, pokonuje ona uprzedzenie dumne Thoasa i wymaga na nim nareszcie, że odtąd zarzuca niehumanitarnego zwyczaju ofiar krwawych z cudzoziemców na ląd wyrzuconych. Ona, co sama przedtem była przeznaczoną na ofiarę, możesz dozorować ofiary nad innemi dokonywaną? Sympatya takowa jest czysto nowożytną. Zapewne Grek starożytny, w rzeczy obrzędów religijnych, nie dopuszczałby przystępu uczuciom osobistym. Tu odzywa się dźwięk tematu i nuta ta brzmi w głębi myśli całej, w której poeta zbudował dzieło swoje. Ifigenja w zadumie tęskni za rodzinnymi stronami, na przekór godności, jaką piastuje i tym wpływom zbawien-

nym, jakie wywiera ona na Thoasie. Zajmuje ją silnie los rodziny. Thoas uczuł dla niej miłość głęboką; spodziewał się pojąć ją za żonę, chociaż Ifigenja nie podawała do tego żadnej nadziei. Aby go odstręczyć, opowiada mu historję swego życia; wyznaje, iż jest z rodu Tantala, ale i to nie odstręcza od niej króla Thoasa, on powtarza raz jeszcze swoje oświadczenie pojęcia jęj za żonę, czyni ofiarę ręki swojej, której kapłanka przyjąć nie chce. Urażony i rozgniewany odmową król, przypomina, że ujęty jęj wdziękami i prosbą odstąpił był od zwyczaju starego przyniesienia na ofiarę bóstwu cudzoziemców; ale teraz błąd jego musi być naprawiony: dwaj cudzoziemcy (Orestes i Pilades) muszą uleść staremu prawu, gwoli ludowi całemu, co szemrząc patrzył dotąd na jego pogwałcenie. Na tém się kończy akt pierwszy.

Wedle pojęcia charakteru Thoasa wielka kollizya dramatyczna nie jest możliwą: podobnie wzniosła i wspaniałomyślna istota nie może oprzeć się odwołaniu się do jęj wspaniałości, a tak widz przewiduje, że tu nie może być wcale boju, passowania się. W Eurypidesie przeciwnie się dzieje; dumny Scyta wygląda ze swojej ciemnej podmalówki straszny jak przeznaczenie, ukazuje się na scenie jak można najpóźniej; jak on da się przebłagać, żaden z widzów nie może się tego domyslić; zapewne przebługuje go *deus ex machina*; nie może bowiem dokonać tego żadna ludzka siła, żaden pomysł dramatyczny. Ta niższość pod względem sztuki wynagradza się jednak wrażeniem silnem kollizyi, a niespokojność nie opuszcza widza do ostatka. Thoas u Goethego jest moralną raczję, a nie dramatyczną figurą.

W drugim akcie występują na scenę Orestes i Pilades; dyalog pomiędzy nimi jest bardzo niedramatyczny, ale piękny, jako wystawienie poetyczne ich wewnętrznych uczuć. Orestes upada duchem; czuje, że ta droga, którą postępują, prowadzi do śmierci, ale myśl o śmierci uspokaja jego duszę; Pilades ma nadzieję ujścia sromotnego skonu, którego, zdaje się, życzy sobie przyjaciel jego. Pilades od

straży słyszał o charakterze Ifigenii; wińszuje sobie, że od niej zależą ich losy; pod jakimś niezrozumiałym pretekstem oddała Oresta, aby mógł sam na sam pomówić z kapłanką. Kiedy Ifigenia przychodzi, rozwiązuje jego więzy i przemawia do niego, on wykrzykuje: „Jakież dźwięki rozkoszne! drogie głosy naszej mowy rodzinnej w obcym kraju! Więźniowi wydaje się, słysząc słowa twoje, że widzi błękitne góry ojczyzny dalekiej!“ Potem, niewiadomo dla jakiego powodu, opowiada jej historię swoją, bliską do prawdy, ale ukrywając imiona własne. Ifigenja pyta o rodzinę własną i słyszy powieść o zbrodni matki. Widząc jej wzruszenie Pilades pyta, czy ród ten blizkim jej jest przyjaźnią; kapłanka Diany odpowiada mu poważnie.

Mów dalej; — opowiedz, jak się stał ów czyn okropny!

On jej opowiada. Jej słowa, po wysłuchaniu tych dziejów okropnych, są krótkie ale pełne znaczenia:

Dość tego. — Wkrótce zobaczysz mię znowu.

I na tém kończy się akt drugi. Trzeci akt rozpoczyna się widzeniem się Oresta i Ifigenii; kapłanka nalega, aby on jej dokończył powieści Pilada; Orestes obszerniej opowiada; nie ukrywa imion rzetelnych, wyznaje śmiało.

Jam jest Orestes!

Tu jest właściwe *anagnorisis* i naturalnie wywołać powinno z serca Ifigenii wykrzyk, pod czas kiedy sama powinna rzucić się w objęcia brata, wyznając mu stosunek pokrewieństwa, w jakim względem niego zostaje. Ale u Goethego dzieje się inaczej; Ifigenja słucha go spokojnie i dopiero w scenie następującej odkrywa się mu. Zakrawa to na manierę początkujących dramatycznych pisarzy. Orestes dostaje przystępu szaleństwa. Przychodzi przeciw do siebie, aby uczuć się oczyszczonym niewinnością siostry. Pilades przypomina znowu, że należy wykraść i razem uciekać.

Widoczna jest, że sytuacja tragiczna w tej historii jest zabicie brata przez siostrę, niewiedzącą o swoim pokrewieństwie względem Oresta, które jest znanym widzom. Goethe jednakże nie tylko że nie rozwinął w tym sensie swo-

jój akcyi, ale nawet nie dotknął téj sytuacji, nie budząc ani razu w tym względzie niespokojności spektatorów; od początku do końca wcale nie jesteśmy w obawie, poeta wcale nie dotyka wzruszeń naszych, jedna tylko ciekawość jest poruszoną, zajmuje ją silnie sposób, w jaki straszne przeznaczenie da się uniknąć w końcu. U Eurypida dzieje się przeciwnie wcale; tu wszystko przykłada się do powiększenia trwogi wynikłej z téj pozycyi dziwnej. Ifigenja przedtém tak łagodna, że płacze z ofiarami razem, teraz zapalona jak lwica, której odebrano jój dzieci. Śniło się jój, że Orestes umarł, i w swoim położeniu sierocém, stara się innych dotknąć nieszczęściem. Brat jój i jego przyjaciel są przyprowadzeni przed nią. Ona się pyta o ich imiona. Orestes nie chce jój wymienić swego imienia. W bystrój wymianie pytań i odpowiedzi dowiaduje się ona o dziejach rodziny swojej; wtedy ofiaruje zbawić jednego z dwóch, pod warunkiem, że wyzwolony zanieś pismo jój do rodzinnego Argos. Tu następuje sprzeczka wspaniała, z tego powodu, że jeden przed drugim, dwaj przyjaciele, chcą ustąpić sobie wzajemnie téj łaski zachowania żywota. Pilades nakoniec zostaje w tém pokonanym. Odkrycie dokonuje się następnym sposobem: Pilades, związany obietnicą oddania pisma, podaje tę oto trudność, a mianowicie, że na przypadek gdyby statek zatonął, albo gdyby list się zatracił, jakby miał wywiązać się z przyjętego obowiązku? Więc, aby zapobiedz podobnemu wypadkowi, Ifigenja opowiada mu treść pisma swego, i wymienia nareszcie swoje imie. To wywołuje naturalnie wykrzyk z piersi Oresta, który daje się poznać sam i rzuca się w objęcia siostry. Poruszenie dramatyczne téj sceny jest wyborne. Od tego punktu interes u Eurypida słabnie, u Goethego przeciwnie wzrasta. W sztuce greckiej jestto punkt kulminacyjny namiętnego interesu, bo jakkolwiek stratagemat, przez który Ifigenja ułatwia wykradzenia posągu Diany, mógł schlebiać miłości własnej Ateńczyków, zawsze przecież przyjemność tego uczucia jest niższego rodzaju, stosując się do skłonności niższych duszy, niż owe poprzednie wzrastające co-

raz wyżej wielkości tragiczne pierwszej połowy dramatu. Dla tego w sztuce niemieckiej słaby dotąd interes namiętności wzrasta coraz więcej do stopnia wysokiego interesu moralnego, tak że wreszcie tragedia wywinięta w pełni stosuje się do sumienia raczej niż do namiętności, będąc prędkiej kollizyą obowiązku niż pasowaniem się namiętności sprzecznych z sobą.

Ifigenja wielkie ma zadanie przed sobą w akcie czwartym; ma ona nie tylko wybawić brata z niewoli i od śmierci, ale jeszcze wybawić go od furji; to może być dokonaniem jedynie tylko przez fortel, bo siły przy danych okolicznościach, użyć jest niepodobieństwem. Dla duszy Greka nie więcej nie mogło być zaspakajającym; Grek przekładał fortel nad moc; ale chrześcjanizm oburza się na oszukaństwo, jako na podstęp niegodny, i w sposób najwyższy niemoralny. Racine powiedział:

L'honneur parle, il suffit, ce sont là nos oracles!

Stosownie do tych uczuć nowożytnych Ifigenja wzdryga się na myśl samą podstępu. Pamięta ona wszystkie łaski i dobroć króla. Kiedy Pilades przybywa, nastając na nią, aby uciekała, Ifigenja tak wyraża mu skrupuła swoje:

PILADES. Uchodź od tego, co brata chciał ci zamordować.

IFIGENJA. Dla mnie on zawsze był tak dobrym, względnym.

PILADES. Co los nam każe, niewdzięcznością nie jest.

IFIGENJA. Niestety! zawsze jest mi niewdzięcznością.

Jedna konieczność chyba wymówić to może.

PILADES. Ludzie i bogi cię usprawiedliwią —

IFIGENJA. Lecz serce moje nie da się omamić.

PILADES. Zbyteczny skrupuł — płaszczykiem jest duma.

IFIGENJA. Czuć tylko mogę, dysputa ni obca.

Jakże to wszystko jest nowoczesnym! Pięknym jest ustęp w którym Ifigenja uwiadamia króla o ucieczce więźniów.

Wysłuchaj mię królu!

Odkryję ci tajemię; darmobyś mię pytał

O więźni twoich; odeszli by szukać

Na brzegu skrytych swoich towarzyszy.

Starszy, — ten, krórym właśnie miało szaleństwo,

A który dzisiaj już zdrów — ten mi bratem —

Orestes! drugi zaś Pilades,

Przyjacieli stały i szczerzy powiernik.
Od Delfów, Febus sprowadził ich ku nam
Z rozkazem bożkim wykradzenia od nas
Posągu naszej bogini Diany,
Odprowadzenia także, ku ojczystym brzegom,
Siostry rodzonej. Obiecał mi za to
Odpuścić krwawą zbrodnię matkobójstwa.
Oddaję teraz królu w twoje ręce
Szczątki świetnego domu Tantalus'a:
Zniszcz je, jeżeli możesz!—

Darmobyśmy czegoś podobnego szukali w dziejach dramatu greckiego. Gdyby Thoas był wystawiony jako dziki Scyta, albo gdyby był nie dowiedział nam wprzód swojej wspaniałomyślności, kollizya byłaby mocniejszą; znając go nie wierzymy bardzo w jego srogość. Prawie roztopił się już jak воск, kiedy wpada na scenę Orestes z obnażonym mieczem, aby przemocą porwać Ifigenję, kiedy zamiary jego zostały wykryte. Następuje scena, w której Thoas postanawia sobie nie wydać wyobrażenia bogini; a tak jak Orestes chce koniecznie porwać je, więc spór ten musi rozstrzygnąć oręż. W tém światło wewnętrzne oświeca Oresta, które każe mu inaczej rozumieć słowa wyroczeni: Apollo wyrzekł:

Odwiez napowrót siostrę,
Trzymaną w Taurys, przemocą w świątyni;
Wtedy przekleństwa moc się ukończy.
Do siostry Feba stosowałem słowa,
Gdy on tu ciebie najpewniej rozumiał.

Ifigenja miała go oczyścić, ją więc, stosownie do wol Apolla, należało było powrócić ojczyźnie. Tłómaczenie takie wyroczeni rozwiązuje węzeł dramatu. Ifigenja przypomina Thoasowi jego obietnicę, daną kiedyś, że jój pozwoli wrócić między swoich, jeżeli się nadarzy pewna do tego sposobność. Król mówi niechętnie: *Idź więc!*

Ach nie mój królu: ja nie mogę wracać
Bez twego słowa dobrego; kiedy rozgniewany
Zostajesz tutaj. Nic wyganiaj tedy
Od siebie gości twoich. Wszak na wieki
Żegnamy ciebie. Szanowany, drogi
Jak niegdyś ojciec rodzony był dla mnie,
Więc nie odwracaj oczu zagniewanych.
Ale pożegnaj słowem mię łaskawym.

A wtedy wietrzyk łagodny powieje,
Rozedmie żagle i poniesie nawę
Ku brzegom świętym ojczyzny kochanej,
A z oczu naszych, patrząc na Taurydę,
Żal Izę wyciśnie. Bywaj więc mi zdrowy!
Podaj mi rękę, niech ta przyjaźń stara
Nie ginie w takiej chwili uroczystej.

THOAS (*podając rękę*). Bądź zdrowa!

Jestto czule i szlachetne zakończenie, zostające w jedności z całością dramatu.

Wracając do życia Goethego należy tu zapisać, że w początku 1779 roku poeta nasz został dyrektorem departamentu wojennego i był czynnym bardzo w nowym swoim obowiązku, który nabył szczególniejszej wagi z powodu przygotowań do wojny. Starał się przytém usilnie ulepszyć byt ludu prostego. Uorganizował był takżę ogniową komendę, w której brakło porządku, a brak ten czuć się dawał silnie przy częstych pożarach. We Frankfurcie raz Goethe rzucił się był w pośród odurzonego tłumu w ogień i zadziwił wszystkich szybkim i skutecznym usystematyzowaniem ich usilności gaszenia pożaru; w Apol i Ettersburgu także pomagał osobą własną i radą do gaszenia, a to do tego stopnia, że brwi sobie posmolił i nogi popiekl. Namawiał więc usilnie księcia do uorganizowania komendy pożarnej, w czém mu się udało.

W trzydziestą rocznicę Goethego, książę, uznając jego zasługi, posunął go do stopnia radcy tajnego; „dziwném wydaje się, jakby sen jaki, pisze nowy *Geheimrath*, że rozpoczynając rok trzydziesty otrzymuję najwyższą rangę, do jakiej tylko obywatel niemiecki dojść może. *On ne va jamais plus loin, que quand on ne sait où l'on va!*“ Jeżeli Goethemu wydawało się to dziwném, wejmarczykom zdawało się gorszaczem. „Nienawisć dla Goethego, pisze Wieland, który nikomu nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził, doszła do takiego stopnia, od czasu jak został radcą tajnym, że mało różni się, prawie, od wściekłości.“ Ale książę, jeżeli kiedy słyszał podobne szemrania, nigdy na nie nie zwracał uwagi. Więcej jeszcze niż zwyczajnie przebywał

zawsze ze swoim przyjacielem. Wybrali się byli razem 12 Września na małą wycieczkę do Szwajcaryi, w najściślej-szém *incognito* i bardzo lekko. Zajechali do Frankfurtu i mieszkali w starym domu na Hirszgraben, gdzie radca miał być honor, nie tylko przyjąc syna swego jako *Geheimratha*, ale także księcia, jego przyjaciela i pana. Matka Goethego, jak łatwo można się tego domyśleć, nie posiadała się z radości, bo działały tu w sercu jój dwie dumy: macierzyńska najprzód, a potem duma gospodyni domu, mając pod swoim dachem takich dwóch gości.

Z Frankfurtu udali się do Sztrassburga. Tu wspomnienia Fryderyki, pociągały go ku Sesenheimowi. W liście swoim do p. Sztejn tak o tém pisze: „25 Września pojechałem do Sesenheim i tu znalazłem rodzinę taką zupełnie, jaką ją opuściłem lat temu ośm. Przyjęto mię po przyjacielsku. Druga z córek kochała mię wówczas więcej niż byłem wart tego, kochała mię więcej od tych, dla których poświęciłem tyle namiętnych uczuć i wierności. Zmuszony byłem opuścić ją w chwili, w której to o mało co ją nie przyprawiło o śmierć; rozmawiając ze mną teraz, lekko dotknęła tego, by mi powiedzieć, ile jeszcze pozostało śladów z téj staréj choroby i we wszystkiém obeszła się ze mną z tak wyborną delikatnością i wspaniałością, od chwili, w której zjawiłem się niespodzianie przed nią na progu jój mieszkania, że uczułem się z tego powodu o wiele spokojniejszym. Muszę jój oddać zupełną sprawiedliwość, że nie zrobiła najmniejszego usiłowania, aby poruszyć w sercu mojem starych popiołów dawnéj miłości. Poprowadziła mię do ogrodu i tam usiedliśmy razem. Była śliczna noc, oświecona od księżycy, a ja rozpytywałem pilnie o wszystko i wszystkich. Nie było tygodnia jeszcze temu, jak mię wspominali sąsiedzi. Znalazłem tu stare pioseneczki ułożone kiedyś przezemnie i kilka rysunków. Przypominaliśmy sobie wiele z naszych zabaw przeszłych, w owych dniach błogosławionych i wszystko tak żywo stanęło w mojej pamięci, jak gdyby to wszystko działo się ledwo kilka miesięcy temu. Starzy byli szczerzy i serdeczni i zdawało

się mi, że odmłodnieli. Nocowałem u nich i wyjechałem o świcie, zostawując za sobą przyjazne postacie — tak że mogę jeszcze raz myśleć o tém zakątku świata z pociechą i być przekonanym, że oni nie mają ku mnie żadnej niechęci.

Jest tu wiele czułego, powiada Lewes, w tém widzeniu się i opowiadaniu Goethego o niém, opowiadaniu zwróconém do kobiety, którą kochał obecnie, co przecież nie potrafiła mu odpłacić się za tę miłość jego takim uczuciem, jakim było niegdyś przywiązanie doń Fryderyki. Ta Fryderyka Goethego i w tém ostatniém widzeniu się z poetą objawiła była, jak zawsze, piękny, szlachetny charakter duszy, charakter godniejszy zaiste lepszego losu. Cały żywot jój był jednem pasmem spokojnego poświęcenia się dla drugich. Lenz zakochał się w niój; wielu innych oświadczyło się było o jój rękę, ale ona odmówiła wszystkim. „Serce, co raz ukochało Goethego, mawiała, nie może więcéj należyć do nikogo.“

26 Września Goethe wrócił był do swego towarzysza; wieczorem odwiedził Lili, jakby chciał był porównywać, jak go przyjmą jego dawne kochanki i jak się mu one wydadzą po kilku latach niewidzenia. Drugi przedmiot miłości wyglądał wysmienicie, z siedmiotygodniowém dziecięciem na rękę; obok stała matka. „Byłem, pisze, przyjęty z admiracją i ukontentowaniem. O wiele rzeczy rozpytywałem i ku wielkiej mojej radości znalazłem, że to pocziwe stworzenie (Lili) wyszło za mąż szczęśliwie. Mąż jój zdaje się być, o ile mogę sądzić, pocziwym, z uczuciem człowiekiem; przytém jest bogaty, z dobrą pozycją w świecie; słowem, Lili ma wszystko, czego tylko żąda. Meża nie było w domu; zostałem u nich na obiedzie. Po obiedzie poszedłem z księciem oglądać katedrę, a wieczorem byliśmy na pięknej operze Paisiella *L'Infante di Zamora*. Wieczerzę jadłem u Lili i wróciłem o księżycu. Wzruszeń przyjemnych tego wieczora opisać nie jestem w stanie.“

Ze Sztrassburga Goethe udał się do Emmendingen i tam odwiedził grób siostry. Pod wpływem takich trzech wspo-

nień zwiedził Szwajcaryę. Jego „*Listy ze Szwajcaryi*“ powstałe powiększej części, z pism adresownych do pani Szejn, oznajamiają czytelnika, w jakim poeta był usposobieniu duszy w czasie tej podróży. W ZÜRICH spędził kilka godzin szczęśliwych w towarzystwie Lavater'a: obaj podzielili się z sobą wzajemnie uczuciami i myślami; wracając ułożył małą operę p. t. *Jery i Bäteli*, pełną wspomnień Szwajcaryi. W Sztutgardzie książę postanowił sobie odwiedzić dwór, a ponieważ w garderobie podróżnej nie było okazałego stroju, potrzeba było sprowadzać krawca, aby uszył dla obydwóch podróżnych stosowne suknie. Na nowy rok byli przytomni uroczystościom, odbytym w akademii wojennej, i tu po raz pierwszy, Szyller, naówczas dwudziestoletni młodzian, obmyślający swoich „*Zbójców*,“ ujrzał był autora „*Götz'a*“ i „*Werthera*.“

13 Stycznia 1780 roku, po czterech miesiącach nieobecności, Goethe z księciem wrócili do Wejmaru; obaj znacznie odmienili się z korzyścią dla siebie. W dzienniku swoim Goethe pisze: „czuję codziennie, że pozyskuję coraz więcej i więcej ufności ludu; dałby to Bóg, abym rzetelnie mógł na nią zasłużyć, ale w tym sposobie, w jakim tego życzę sobie. Nikt tego nie widzi, ile cierpię od siebie samego i od innych. Najlepszym środkiem na to ta cichość w jakiej zostaję w stosunku do świata; w ten sposób zyskuję to, czego ani ogień zniszczy, ani złodzieje nie wykradną.“ Pomału ustalił się charakter poety; powoli otrzymywał zupełną władzę nad sobą samym. „Chcę być panem siebie; nikt, co nie może rządzić sobą samym, niewart jest rządzić innymi, a tylko taki *może* rządzić.“ Ale z temperamentem Goethego podobna moc nad sobą nie była wcale rzeczą łatwą; sam czuł to do siebie, że wino i łyż kobiece były dwiema jego słabościami:

Ich könnte viel glücklicher seyn,
Gäb's nur keinen Wein
Und keine Weiberthränen. 4)

Nigdy zupełnie nie mógł był uwolnić się od tych dwojga

4) Mógłbym być daleko szczęśliwszym, gdyby nie było na świecie dwóch rzeczy: wina i łyż kobiecych.

słabości; był synem kraju nadreńskiego, od dzieciństwa przyzwyczajonym do wina; był poetą, a więc nie mógł być nigdy zostać wolnym od uroku niewieściego; ale jak nigdy wino nie upajało go do tego stopnia, aby utracił przytomność, tak i urok pięknych oczu nie upajał go także do tego stopnia. Były to tylko dwie *pobudki* ducha.

Namiętność ku pani Szejn trwała zawsze, ale łatwo jest dojrzyć tego, że chłodziła z czasem. Potrzeba było dlań ukochać kogoś, ale tu kochał nadaremno i dla tego wracał do stanu spokojniejszego serca. W tym to czasie coraz więcej przestawał z *Coroną Schröter*; przyjęcie udziału w towarzystwie teatru amatorskiego nie tyle było tylko przyjemnym wypoczynkiem po pracy, ile środkiem zebrania potrzebnych mu zasobów do *Wilhelma Mejstra*, nad którym coraz więcej pracował. „Teatr, jeszcze, jest jedną z tych niewielu rzeczy, które mi dotąd sprawiają przyjemność dzicinną i artystyczną zarazem.“ Herder, co dotąd trzymał się był trochę dumnie, coraz więcej zbliżał się do Goethego, najpewniej z powodu zmiany tej, jaka zaszła była widocznie w sposobie jego życia. Poufale stosunki z Herderem obudzają w Goethym chęć poznania Lessynga; zamierzona podróż do Wolfenbüttel została jednakże wstrzymana przez smutną nowinę, że ten wielki gladiator uspokoił się: — Lessing już nie żył.

Nie bez wielkiego znaczenia w biografii Goethego jest ten oto fakt, że współcześnie z odmianą sposobu życia poety objawia się w nim upodobanie osobliwe w nauce; zawsze lubił się Goethe zajmować poważnemi rzeczami, ale dotąd zajmował się niemi pobieżnie, nie lubił głębszego w nich zaciekania się; teraz zaś, z nastąpieniem okresu męskiego życia, Goethe poważnie, porządnie i gruntownie wziął się do nauki i skłonność ta do niej pozostała nadal stałą, przez cały ciąg żywota jego. Starał się być wynaleźć pewną podstawę dla swego celu; chciał być równie podobną podstawę wynaleźć dla ducha, ale z duchem takim, jakim był duch Goethego, podstawa takowa mogła być tylko szukaną w obrębie poznania przyrody. Jako po-

eta i jako myśliciel przyrodzenie było dlań wszystkiem, początkiem i końcem. Samym poetą Goethe być nie mógł, był bowiem Niemcem i to Niemcem wieku XVIII; ale podczas kiedy Szyller wyszukiwał był dopełnienia dla działalności swojej w metafizyce, Goethe szukał go w nauce. Jeżeli prawdą jest to, co mówią czasami ludzie nauki z przekąsem, że Goethe był poetą w nauce (co razem nie przeszkadza mu wcale być wielkim na polu wiedzy i do robienia na niem wielkich odkryć), to niezaprzeczenie równie prawdą jest to, że on był *mędrce* poetą. Później powiemy jeszcze obszernie o stanowisku Goethego w nauce; na ten raz wskażemy tylko bieg jego studyów. Przedziwne dzieło Biuffona — *Epoki przyrodzenia* (*Les époques de la Nature*) dziś już zestarzałe, z powodu wielkich odkryć geologii, zawsze jednakże zajmujące ze stylu i myśli wielkich — wywarło było na Goethym wrażenie ogromne. W Biuffonie, tak samo jak w Spinozie, a później w *Goffroy St. Hilaire'ze*, znalazł on sposób zapatrywania się na przyrodzenie, zgadzające się całkiem z jego własnym na nie poglądem, zbierającym tysiączne szczegóły w jedną poetyczną syntezę. Saussur, z którym poznał się był w Genewie, zwrócił go był ku nauce mineralogii, a tak jak jego obowiązki służbowe dawały mu, nieraz, sposobność przestawania z górnikami, nauka z czasem nabyła dlań interesu praktycznego, któren prędko wzrósł był w nim do namiętności prawie, ku wielkiemu nieukontentowaniu Herder'a, który w duchu prawdziwie literackim stale drwił sobie z niego z tego powodu, że ustawicznie parał się z kamieniami i minerałami. Do tych zajęć należy dodać anatomię, a osobliwie osteologię, co w latach młodzieńczych, jeszcze w uniwersytecie, pociągała go była ku sobie, w której do tyła już był nawet skorzystał, że mógł był rysować głowy zwierzęce do *Fizyonomiki* Lavatera. Teraz udał się do Jena, aby pod przewodnictwem Lodera zajmować się anatomią. Dla tych nauk nanowo zaczął się zajmować rysunkiem. A tak, pomiędzy poważnemi obowiązkami i rozrywkami lekkimi, w kształcie uroczystości dworskich, balów, maskarad i teatru amatorskiego,

znajdował jeszcze dosyć czasu do oddawania się suchej nauce przyrodzenia. Cudownym niejako sposobem udawało mu się godzić te tak sprzeczne z sobą rzeczy; był on, jak Napoleon, niezmordowanym pracownikiem, a przytém nigdy nie był szczęśliwszym jak wówczas, kiedy oddawał się pracy.

W tym samym czasie został był pomyslnym i rozpoczętym *Tasso* (w prozie); *Wilhelm Meister* postępował powoli, pomimo tysiącznych przeszkód i różnych drobnych zajęć. Nic jednakże nie ogłosił z tego drukiem. Żył dla siebie i dla małego kółka swoich przyjaciół; o publiczności nie myślał nigdy. I dobrze robił; publiczność ówczesna niemiecka bawiła się sobie po *bawaryach*, a w salonach gorszyła się (nie bez słusznej racji) z powodu ogłoszenia *Zbójców Szyllera*. Pewien Kütner mógł być napisać w ogłoszonym wówczas dziele (*Charaktery pisarzy wierszem i prozą piszących* 1781), że krzyki i pochwały, upajające przedtem wielbicieli Goethego, już więcej nie dawały się słyszeć. A tymczasem *Egmont* posuwał się ku końcowi i przybierał wcale odmienny ton od tego, w jakim został był pierwotnie pomyslnym.

Nie ma potrzeby iść krok w krok za wszystkimi szczegółami żywota poety naszego w tym okresie, których tyle podają nam listy jego. Szczegóły te nie pomogłyby nam wcale do zrozumienia człowieka, a zajęłyby za to wiele miejsca. To pewna, że we wszystkich postrzegamy powolny postęp ku stanowczemu i poważniejszemu planowi żywota. 27-Maja umarł Goethego ojciec; 1-Czerwca Goethe zaczyna mieszkać w Wejmarze samym, jako punkcie więcej zgodnym z jego położeniem i powołaniem. Księżna Amalia obiecała mu dostarczyć część potrzebnego umeblowania; porzuca więc swój *Gartenhaus* z żalem, ucieka przecież zawsze do niego w swoich godzinach szczęśliwych. Trochę później przychodzi dyplom cesarski, wynoszący go do godności szlacheckiej; odtąd jest już on *von Goethe*. Długo na to czekano, aby sprawić to miało podziw w Wejmarze, albo bardzo go zająć; przecież nie możemy przypuszczać,

aby obywatel miasta Frankfurtu był obojętnym na ten honor, chociaż w początkach starał się być go uniknąć. Prezydent kamery, pan Kalb, nagle został oddalony od swego miejsca, co uczyniło było wielkie wrażenie. Na jego miejsce został naznaczonym Goethe; z początku zajmował je tymczasowie, ale zawsze zachowując krzesło swoje w radzie prywatnej.

Ważniejszym dla nas jest stosunek Goethego, w jakim zostawał on do Karola Augusta i do pani *von Sztejn*. Ktokolwiek czyta z uwagą listy Goethego ogłoszone w korespondencji z tą panią ⁵⁾, łatwo spostrzeże znaczną zmianę zaszłą w ich stosunkach około tego czasu (1781 — 2). Ton ich stał się spokojniejszym, ale niespodzianie, znowu podniósł się do dawniejszego dyapazonu i wszystko w nim zdradzało szczęśliwego kochanka. W braku listów i innych poszlak niepodobna jest oznaczyć z pewnością rzetelnej przyczyny tej nagłej zmiany. Być może, że sześć lat próby przekonały nareszcie baronową o szczerości affektu poety; być może także, że Corona Schröter obudziła w jej sercu uczucie zawiści; być może, że bała się w końcu utracić go. Jakkolwiekby fakt ten jest dotykającym: Goethe nareszcie dopiął długo pożądanego celu. Osobliwszy urok, jaki wywierała ona na Goethym, głębokie uczucie poświęcenia się dla niej, połączenie wszystkiego z myślą o niej, wszystko to może być tylko zrozumianem po przeczytaniu tej korespondencji. Parę zdań z niej wyjętych mogą tu wystarczyć w tym względzie. „O najukochańsza! przez całe życie moje miałem idealne życzenie, jak miałem być ukochanym i darmo szukałem urzeczywistnienia takiej miłości w marnych marzeniach moich; teraz zaś, kiedy z dniem każdym świat staje się dla mnie zrozumialszym, znajduje urzeczywistnienie tych snów moich w tobie i to w sposób, który nigdy zawieść nie może.“ Albo znowu: „Najdroższa! czegoż ci nie jestem winien! Gdybyś ty mię równie mocno nie ukochała, gdybym był dla ciebie przyjacielem tylko, jak

⁵⁾ Są to tylko same listy Goethego; pani Sztejn swoje odbierała na powrót i paliła.

wielu innych, zawszebym ci musiał jeszcze raz poświęcić całe moje życie. Mógłżebym był wyrzec się wszystkich moich szaleństw bez twojej pomocy? Kiedyż mógłbym patrzeć tak jasno, tak pogodnie na świat i znaleźć się tak szczęśliwym w tym świecie, przedtém, jak dla mnie nic nie pozostało do szukania na nim.“ Albo to: „Jak melodia przyjemna podnosi nas do nieba, tak mnie podnosisz do niego ty sama i miłość twoja. Chodzę pomiędzy znajomymi moimi i przyjaciółami, jakbym ciebie jednej szukał pomiędzy nimi; nie znajduję cię i wracam do mojej pustelni.“

Podczas kiedy Goethe ustatkowawszy się był tak spokojnym i szczęśliwym, młody książę nie mógł być jeszcze pozbyć się burzliwości właściwej wiekowi młodemu; jeżeli kiedy wyjdzie na świat korespondencya Goethego z Karolem Augustem, z niej można będzie widzieć, że Goethe, co w początkach przyjaźni swojej z księciem, uważał go za towarzysza młodości, mówił do niego *ty* i należał do wszystkich wybryków, mało po mało przybrał poważny ton i formy uszanowania. Karol August do ostatka zachował dla Goethego bratnie *ty*, ale ton Goethego coraz więcej stawał się ministeryalnym, w miarę tego jak biegły lata. Nastąpiło to nie dla tego, aby miłość jego dla księcia osłabła, ale im więcej poważniał, tém więcej stawał się uważniejszym na przyzwoitość. Dla księżnej Goethe miał zawsze czułą admiracyę, coś w rodzaju tego, co znajdujemy w jego Tassie. Szlachetna, pełna godności, chociaż chłodna nieco jej natura, wielkość serca i delikatność jej duszy, ujęły go tém więcej, że umiał on i mógł sympatyzować z tém, co w życiu jej było niezupełnie szczęśliwém. Był on nieraz smutnym świadkiem małych nieporozumień domowych księztwa i nieraz wyrzucał księciu jego szorstkość w obejściu się z żoną.

Z listów pisanych do pani Szejn postrzegamy, że Goethego niecierpliwil wreszcie Karol August; kochał on piękne przymioty jego duszy, ale bolał razem nad szaleństwami. „Chociaż jest pełnym entuzjazmu względem tego wszystkiego co piękne i słuszne, przecież ma on mniej w

tém przyjemności niż w tém co jest niewłaściwém; dziwić się przychodzi, jak on może być roztroptym, jak umie patrzeć na rzeczy, ile posiada wiadomości, a z tém wszystkiem jeżeli nie pracuje nad czémś pożyteczném, popełni niechybnie cós niedorzecznego. Na nieszczęście, zdaje się, iż to leży głęboko w przyrodzeniu jego; że żaba zawsze jest stworzona do wody, chociaż może żyć na ziemi.“ W następującém miejscu widzimy, że mniemany „służalczy dworak“ nie tylko dawał przestrogi księciu, ale nawet odmawiał mu towarzystwa swego w podróży, z powodu, że w uprzednio odbytej razem wycieczce z księciem doznał był nieprzyjemności z powodu jego postępowania. „Oto jest epistoła. Jeżeli uważasz to potrzebném, możesz ją zakomunikować księciu; pomów z nim i nie oszczędzaj go wcale. Ja chciałbym tylko dla siebie spokoju, a dla niego tego, aby nareszcie wiedział, z kim ma do czynienia. Możesz mu także powiedzieć, że powiedziałem ci to wyraźnie, że nigdy więcej nie będę z nim podróżował. Oświadcz to mu po swojemu, jak to umiesz wybornie, roztroptnie, a delikatnie.“ Stosownie do tego książę jedzie sam; ale zdaje się, że się potem z sobą porozumieli w tym względzie i ugoda nie została spełnioną. We dwa miesiące potem, to oto zdanie uwiadamia nas o zgodzie: „Miałem długą i poważną rozmowę z księciem. Na tym świecie, moja droga, pisarz dramatyczny ma bogate żniwo; mędrzec powiada: nie sądz nikogo, dopóki nie postawisz się na jego miejscu.“ Dalej uskarża się na księcia, że chcąc zrobić dobrze, czyni zupełnie przeciwnie. „Bóg to wie, czy się on przekona kiedy, że fajerwerki, w pośród dnia białego, nie robią wcale żadnego efektu. Ja nie lubię odgrywać roli pedagoga, innych zaś nie pyta o zdanie i nigdy nie mówi o planach swoich.“ Oto inne jeszcze miejsce: „Księżna jest miła jak tylko być może, książę jest dobre stworzenie i można go kochać serdecznie, gdyby tylko postępowaniem swoim nie psuł wszystkiego i nie zubożył dla siebie przyjaciół swoich swoją ustawiczną niespokojnością, dążącą ustawicznie jakby na złamanie karku. Osobliwsze to uczucie, patrzeć codzien-

nie na podobieństwo skręcenia karku najbliższego przyjaciela i przez oswojenie się z tém patrzeć na to obojętnie.“ „Księżę jedzie do Drezna. Prosił mię towarzyszyć mu tam, albo przynajmniej jechać za nim, ale ja nie pojedę..... Przygotowania do drogi (do Drezna) wcale mi się nie podobają. Księżę reguluje je po swojemu t. j. nie zawsze najlepiej i zraża jednego po drugim. Ja siedzę spokojnie, bo trudno co na to poradzić, cieszę się tylko z tego, że tak nie zawsze potrwa.“

Takie były powody nieporozumień, powstałe w miarę tego jak Goethe poważniał duchem; jakkolwiek bądź nieporozumienia te nie przyczyniały się bynajmniej do rzetelnego poszanowania, jakie miał nasz poeta dla księcia. Księżę, mawiał on, popełniał wiele niedorzeczności, które mu wybaczałem chętnie, pamiętając na moje własne. Jedno zadawałniało Goethego, oto uczucie niepodległości własnej; wiedział on, że w każdój chwili mógł kazać zaprządz konie i wyjechać z Wejmaru. Oświadcza to nieraz, że czuł w duszy to przekonanie, że przeznaczeniem jego był zawód pisarza i nic innego. „Cieszy mię to więcej niż kiedykolwiek, jak skoro co napiszę i czuję wewnątrznie, iż to wyraża rzetelnie myśl moją.“ „Zrodzony jestem do życia prywatnego i nie rozumiem, jakim sposobem przeznaczenie rzuciło mię w zawód ministra i w koło rodzinne księcia panującego.“ W miarę jak począł był jaśniej pojmować posłannictwo własne, tém czuł się szczęśliwszym. Można więc wyobrazić sobie, z jakim uczuciem, teraz, kiedy dojrzał był duchem, okrzepł doświadczeniem życia, wziął on do rąk Wertera i odczytał, po raz pierwszy, po latach dziesięciu, to dzieło młodości swojej. Porobił w nim zmiany, osobliwie w stosunku Alberta do Lotty; wprowadził nowy ustęp o chłopku, odejmującym sobie życie z zazdrości o żonę. Schöl, w notach do korespondencji Szejna, zwrócił był uwagę na punkt ważny, a mianowicie na to, że Herder, pomagający Goethemu w przejrzaniu tego dzieła, wykazał był mu w niem ten sam zupełnie błąd, jaki mu zarzucał, we 22 lata potem, Napoleon, a mianowicie, że samo-

bójstwo Wertera wyprowadzał częścią jako następstwo dumy zawiedzionej, częścią zaś jako skutek miłości niepodzielonej—zarzut, który Lewes, wbrew Herderowi i Napoleonowi, wbrew nawet przyznaniu jego słuszności zarzutu przez samego Goethego, uważa być niesprawiedliwym.

Z początku 1783 roku widzimy Goethego zajętego poważnie studjami nad papierami ze starych archiwów i foliantami. Książę także spoważniał z przyjściem na świat następcy. Chrzcziny odbyły się uroczystie 5 Lutego. Herder, jak wyraża się Wieland w stylu ośmnastego wieku, kazał jak Bóg; z powodu tej uroczystości odśpiewaną została kantata autora Oberona. Goethe na ten raz ustąpił miejsca innym, nie chcąc émić swoją pracą usiłowań innych. Książę dumny z syna pisał do Merek'a: „Niedarmo cieszyłeś się ze mną; jeżeli było we mnie co dobrego, to brakło temu dotąd dostatecznej opory; teraz mam ją nareszcie“

Goethe żył odosobniony, zajęty pracą, szczęśliwy w miłości; książę skarżył się na swego *Herr Kammerpräsident'a*, że stał się milczącym, że go ledwo można było wywabić ofiarą jakiego szychu.

W poemacie swoim „*Ilmenau*,” Goethe opisuje żywo charakter księcia i pewność jego zmiany. „Poemat ten, mówi o nim sam Goethe w rozmowach z Eckermann'em, zawiera w sobie, w formie ustępu, epokę 1783 r. w którym go właśnie pisałem. Jest tam scena nocna, po polowaniu w górach, w rodzaju tych, w których można sobie łatwo nadkręcić karku; u stóp skał pobudowaliśmy sobie sami budy z gałęzi, aby w nich sucho można się było przespać; przed szalaszami temi rozpaliliśmy ognie i piekliśmy przy nich upolowaną zwierzynę. Knebel, niewypuszczający nigdy z gęby fajki, siedział u ogniska, cmolił lulkę i ożywiał towarzystwo swemi żartami, podczas kiedy wino ogrzewało także przeziębłych. Seckendorf leżał pod drzewem i mruczał sobie pod nosem jakieś wiersze. Z drugiej strony książę spał mocnym snem. Ja siedziałem przy nim u tlejącego ognia myśląc o różnych rzeczach, a osobliwie o przykrościach spowodowanych mojemu pismami.“ Dalej

odzywa się w ten sposób o księciu: „Z laty przyjdzie zapewne dla niego rzetelny kierunek siły przyrodzonego mu charakteru; a jednak, obok głębokiej skłonności do prawdy jest w nim namiętność pewna do fałszu; nieroztropność za daleko go czasami unosi; nie masz dlań ani skały za nadto urwistej, ani ścieżynki za ciasnej, niebezpieczeństwo wszędzie jest dlań pociągającym. Swawola dzika miota nim tu i ówdzie, a z niespokojnej czynności wpada znowu w gnuśność. Niepowściągniony w dniach szczęśliwych, wolny, nie będąc szczęśliwym, usypia teraz, znużony ciałem i duszą, na twardym pokładzie skały.“

Goethe nie mało miał z księciem kłopotu zajmując się kontrolą finansów i usiłując nadaremnie wymódcz na Karolu-Auguście to, aby się trzymał stale w wydatkach granic tego, ile mógł być rocznie ekspensować; było to rzeczą niemożliwą dla księcia, (nie zawsze nawet możliwą w życiu człowieka prywatnego), a tém bardziej z usposobieniem, jakie książę miał był od przyrodzenia. „Goethe — pisze Wieland do Merck'a — stara się najusilniej o umiarkowanie w wydatkach; jest on *l'honnête homme à la cour*; cierpi on bardzo, cieleśnie i dusznie, z powodu brzemienia, jakie wziął on na się dla naszego dobra. Czasami serdecznie żał mi go bywa, patrząc na to, jak on musi udawać wesele, wypogadzać czoło, podczas kiedy wiem to dobrze, że wewnątrz cierpi okropnie. Dbą on o swoje zdrowie, ile tylko może i istotnie zdrowie jego potrzebuje bardzo starania o niém. Słuchy o tém musiały być dojsć do uszów matki poety; tak ją uspokaja z tego względu, w jednym z listów swoich, do niej pisanych: „Nigdy nie byłem mocnego żołądka, a głowa często mię bolała; co się zaś dotyczy interesów i zajęć mi powierzonych, temi zapewne należy się zawsze zajmować gorliwie, zwłaszcza przy staraniu o tém, żeby wszystko było spełnioném rzetelnie. Mam się dość dobrze, o ile to być może w naturze mojej; mogę spełniać to, co polega na mnie, a do tego mogę korzystać z towarzystwa dobrych przyjaciół moich i znaleźć nareszcie trochę czasu na wszystkie moje ulubione zajęcia. Nie życzę

znaleźć się na lepszym miejscu dziś, kiedy znam świat i wiem, jak szczęście wygląda za górami. Co zaś do ciebie matko, bądź spokojną o mnie, gdybym umarł przed tobą, bądź pewną, żebym nie umarł ku wstydowi tobie; pozostawię za sobą imię uczciwe, dobrych przyjaciół i będziesz miała pociechę z tego, że będziesz wiedzieć o tém, że *nie zupełnie umarł*. Tymczasem żyj w pokoju; los może nam dać jeszcze starość pogodną, którą przyjmijmy sercem wdzięcznym.“

Niepodobna jest nie czuć przez te wszystkie zapewnienia pewnego tonu smutku, zgadzającego się całkiem z tém, co pisał o położeniu Goethego Wieland. Książę, niespokojny o zdrowie przyjaciela swego, nakłonił go do wycieczki w okolice Harzu, we Wrześniu roku tego (1784). Wyjechał on w towarzystwie małego Fryderyka Sztejna, najstarszego syna swojej ukochanej, dziesięcio-letniego chłopaka, którego kochał jak syna i z którym obchodził się po ojcowsku. „Wielkie było jego przywiązanie ku mnie i wielkimi te starania, jakimi mię obsypywał“ mówi Sztejn, przypominając sobie w wieku dojrzałym owe dni szczęśliwe dzieciństwa swego. Nieraz przez całe miesiące chłopiec bawił u niego; on go uczył, bawił się z nim, kształcił go. Wrodzone upodobanie jego w dzieciach zaostrzone zostało miłością ku matce tego chłopięcia; był to piękny ustęp w życiu różnobarwnym Wejmaru; ten oto widok spracowanego ministra i uczonego, wykradającego święte rozkosze ojcowstwa u przeznaczenia, co długo odmawiało mu było żony i dzieci.

Wycieczka w okolice Harzu wzmocniła zdrowie i pokrzepiła ducha; osobliwie przyjemnym mu było spotkanie z Sömmeringiem, wielkim anatomikiem i innymi uczonymi. Wrócił do Wejmaru kończyć *Wilhelma Mejstra*, który już wtedy doszedł był do czwartej księgi. Zajęcia oficjalne szły swoim torem; coraz więcej odwiedzał Herdera, który wówczas pisał *Filozofię dziejów* i wygrzewał się przy ciepłym uśmiechu swojej ukochanej, że użyję tu wyrażenia angielskiego

skiego Lewes'a (to sun heinsel inthe smiles of his beloved).

Rok 1784 rozpoczął się był zmianą w teatralnym świecie. Teatr amatorski, który dotychczas dostarczał Goethemu tyle zajęcia i ukontentowania, został zamkniętym. Zaangażowano trupę aktorów. Na urodziny księżnej Goethe ułożył *Taniec planet*, processyę masek; przygotował również mowę z powodu odkrycia nowo min górniczych w Ilmenau, wypadek wielce go cieszący, jako spełnienie oddawna objawianego przez niego życzenia. Od początku przybycia swego do Wejmaru Goethe zajmował się minami i zastanawiał się nad możliwością odkrycia ich na nowo. Po wielu trudnościach, 24 Lutego, fakt ten został spełnionym. Mówią o nim, że mając mówić mowę, w przytomności zbiegowiska licznego tłumu z okolic, zdawał się mieć ją całkiem w głowie, tak płynnie mówił rzecz swoją. Nagle zgubił wątek mowy; zdawało się, że zapomniał był, co miał mówić dalej. „To, mówi świadek naoczny wydarzenia, zmięszałoby każdego innego; ale tego nie było wcale z Goethym. Przeciwnie, spokojnie, przez minut dziesięć prawie, patrzył on po zgromadzeniu milcząc; publiczność tak była przejęta widokiem jego postaci okazałej, że w ciągu téj długiej, a w każdym innym razie tak śmiesznej pauzy, zachowała się zupełnie spokojną. Nareszcie ovladnął napowrót wątkiem swojej mowy, perorował dalej i bez przerwy żadnej doprowadził ją do końca, jak gdyby nic wcale nie było zaszło.“

Zajmując się anatomią (osteologią osobliwie) Goethe odkrył był, w roku tym, *intermaksyllarną* (międzyszczękową) kość; nauka znała ją tylko u zwierząt. Goethe poszukując wszędzie w przyrodzeniu jedności, zawsze był tego przekonania, że u człowieka musi być kość takowa; badania jego dowiodły rzetelności tego przypuszczenia. Herder, w tym samym czasie, równie starał się udowodnić, że żadnej różnicy nie można było znaleźć pomiędzy budową człowieka a zwierzęcia; Goethe, posyłając Kneblowi swoje odkrycie, pisał, że fakt ten nowy podtrzyma w nauce teo-

ryę Herdera. „Istotnie człowiek jest ściśle połączonym ze zwierzęty. Porządek całości wszechświata sprawia to, że każde stworzenie jest tém, czém jest; człowiek jest równie człowiekiem kształtem swojej wyższej szczęki jak kształtem i przyrodą ostaniój sustawy swego małego palca u nogi. W ten sposób istota wszelka jest tylko dźwiękiem jednym w wielkiej harmonii, który musi być zbadanym w *całości*, inaczej pozostanie on tylko literą martwą. Z tego punktu zapatrywania się na przedmiot napisałem małą rozprawkę i to, rzetelnie mówiąc, ma jedyne znaczenie filozoficzne w odkryciu mojem.“

Wynalazek ten ważnym jest jeszcze z tego względu, że wskazuje w wynalazcy dążność jego zapatrywania się na przyrodę jako na jedność idealną. Był to wstęp do dalszych odkryć w rzeczy *Przemian roślin i pacierzowój teoryi czaszki*: wszystkie trzy odkrycia zasadały się na tej samej podstawie właściwego mu zapatrywania na przyrodzenie. Studya botaniczne otrzymały były nowy popęd w tym samym okresie. *Linneusz* był stałym towarzyszem w jego podrózach; z zajęciem dowiadywał się o wszystkiém, co tylko w zbiorach botanicznych mogło być podać jakiś dowód jego własnym poszukiwaniom. „Geologiczne moje poglądy, pisze do pani Sztejn, postępują. Widzę daleko więcej od tych, co towarzyszą mi, a to dla tego, że odkryłem pewne fundamentalne prawa kształtowania się, które zachowują w tajemnicy, a z niemi mogę lepiej postrzegać i sądzić zjawiska napotykanne...“ „Wszyscy dziwią się temu, że lubię być samotnym; dziwi to ich dla tego, że żaden z nich nie domyśla się nawet, z jak potężną, niewidzialną istotą w chwile owe wchodzę ja w stosunek i niejako w towarzystwo.“ Te na pozór suche poszukiwania anatomiczne, odkrywały Goethemu najgłębsze skarby myśli; Bossuet rozumiał to takóž, kiedy mając pisać traktat o poznaniu Boga (*De la connaissance de Dieu*) opuszczał dwór świątyni Ludwika, aby się zamknąć w teatrze anatomicznym *Duverney'a*. „Jak jasną staje się dla mnie — pisze Goethe — księga przyrodzenia, nie mogę ci tego wypowiedzieć; długie moje studia

nad abecadłem natury dopomogły mi wielce do tego i dziś ukontentowanie moje jest niewypowiedziane. Wiele odkrywam nowego, ale odkrycia te nie są wcale dla mnie rzeczą niespodzianą; wszystko tu wchodzi, bo nie mam z góry założonego sobie systematu i tylko szukam wszędzie czyściej prawdy.“ Żeby uzdolnić się do tych studyów począł był najprzód od nauki algebry, ale wkrótce porzucił ją, bo dusza jego daleka była od usposobień matematycznych.

W tym czasie miłość i nauka były dwoma filarami bytu Goethego. „Czuję — pisze on — że jesteś zawsze ze mną; obecność twoja nigdy mię nie opuszcza. W tobie mam ja wzór kobiet wszystkich, wszystkich ludzi nawet; w miłości twojej mam wzór losu, nie dla tego, by ona zaciemniała mi życie, owszem świat za jej wpływem staje się mi uroczym, widzę jasno, czem są ludzie, myślę, mam energię, chęć czynów...“

Księżę podwyższył pensję Goethemu o 200 talarów; wraz z dochodami z majątku ojczystego, wynoszącemi 1,800 talarów, roczny dochód Goethego był 3,200 talarów. Pieniądze potrzebne mu były dla potrzeb jego i dla licznych uczynków dobrych. W liście jednym do swojej ukochanej pisze: „Dałby to Bóg, abym mógł stać się oszczędniejszym, abym był w stanie czynić więcej dobrego innym.“ Wiemy z poprzedzających faktów, że nie było to u niego czczym frazesem; we wszystkich listach znajdujemy dowody tego, ile cierpiał patrząc na tylu cierpiących niedostatek.

Poważne zajęcia Goethego, odosobniając go od dworu, wywarły wpływ na całą społeczność wyższą Wejmaru. Rzadko kiedy przychodził na pokoje, a bez niego wszystko tam omartwiał; księżna Amalia skarżyła się, że wszyscy jakby drzemali bez niego, księżę znajdował towarzystwo dworskie nieznośnym: „mężczyźni postarzelisi się, kobiety powychodziły za mąż.“ Ale i sam księżę odmienił się znacznie; towarzystwo Goethego przekształciło go; nawet Karol-August zagustował w nauce i z jednego listu jego do Knebla dowiadujemy się, że „chciałby, aby się niemi zajmował każdy. Dają one poznać nam, że to, co jest

największego, najtajemniejszego, najmagiczniejszego, jest rzeczą zwyczajną, naturalną, prostą, przewidzianą; nauki te muszą w końcu utulić pragnienie nieuków do tego, co ciemne i nadzwyczajne, pokazując im, że to nadzwyczajne leży tuż przy nas, a jest tak jasnym, poufałym i tak rzetelnym. Codziennie proszę mego dobrego geniusza, aby mię zachował od wszelkiej innej nauki, a prowadził mię statecznie po drodze, po której idą badacze przyrodzenia.“

Książę odrzucił wszelkie maskowanie się, słowa szumne, a wyznaje po prostu, że w nauce natury widział czysty naturalizm, materyalizm i — bodaj czy nie ateizm. Myśl ta tyle go cieszyła! Widać w nim prawdziwego syna XVIII wieku! Inni tę samą ideę obwijali w marzenia panteistyczne; Karol-August po żołniersku czysto, jasno i prosto wypowiadał swoją zasadę. Herder pisał swoją *filozofię dziejów*; Jakobi przybył do Wejmaru; chciał był on Goethego wmieścić do dysputy swojej o *Spinozyzmie Lessynga*, ale stary jego przyjaciel wcale nie był w tym usposobieniu i na nalegania jego w tej mierze tak mu odpowiedział: nim napiszę sylłabę jedną o *meta ta fizyka*, muszę wprzód zrozumieć dobrze *ta fizyka* (nim napiszę o nadnaturalnym, muszę zrozumieć wprzód to, co jest naturalne). W Jakobim, którego lubił, niecznośnym było dla niego usposobienie metafizyczne; inawiał, że wszystko, co tylko miał on dobrego, równoważyło się tym jednym złem. Gorzej było z Lavaterem; dopóki ten duchowny pisywał romansowe listy do żon cudzych i dawał im na uczadź swoje podwiązki, dopóty była zgoda; ale kiedy Lavater z wiekiem zaczął poważnie i przeczować po-za naturą coś wyższego nad nią, wówczas począł się on wydawać Goethemu przesadnym klechą. „Widzę w Lavaterze, pisał, najwyższą potęgę umysłową połączoną z najbrzydszą zabobonością i to w sposób nierozwikłany dla nikogo.“ W téjże samej myśli wyraził się on w Kseniach:

Wie verfährt die Natur um Hohes und Niederes im Menschen
Zu verbinden? Sie stellt Eitelkeit zwischen hinein.

(Jak sobie postępuje natura, by połączyć z sobą w czło-

wieku wysokie z niskim? Oto pomiędzy nimi stawi ona próżność).

Lavater'a miał Goethe za hypokrytę i dla tego zerwał z nim stosunki dawne przyjaźni; ale na czém on opierał to podejrzenie?

Przy tych zajęciach naukowych Goethe pisał dalej *Mejstra*, do księgi piątej, operę *Żart, Przewrotność i Zemsta*, rzucił plan wielkiego poematu *religijno-naukowego* p. t. *Tajemnice*, wykończył dwa akty Elpenor'a i wiele z mniejszych swoich poezyi. Pomędzy temi mieszczą się dwa śpiewy do W. Mejstra: *Czy znasz ty kraj, gdzie kwitną cytryny* i *Ten tylko, co zna tęsknotę*; oba przemawiają rzewnie o jego tęsknocie do Italii. Przygotowania do tej podróży dokonywały się w milczeniu; uczył się języka włoskiego, a tymczasem obok tego zajmował się rozpatrzeniem dzieł swoich, gotując drugą ich edycję; w tém dopomagali mu Herder i Wieland.

Widząc go tak szczęśliwym w miłości, w przyjaźni i w pracy, z małym Frycem (Sztejnem) u boku, który stwarzał mu niejako kółka rodzinne, kiedy rok każdy przynosił mu nową pomysłność w zamiarach, możnaby było zapytać, co go powodowało do rozerwania tego życia sympaty i udania się, samotnie, po-za Alpy? Nic więcej oprócz egoizmu, przyrodzonego geniuszowi. Italia była marzeniem jego młodości, byłto kraj, w którym ukształcenie ducha mogło zyskać wiele na materyałach i na podstawie mocnej. Dzisiaj czuł to jasnie, że Bóg stworzył go był i namięcił na poetę, a tylko samotność w krainie pieśni zdawała się mu być potrzebną, aby w duszy zarodziły się idee wielkie i zagrało w niej natchnienie; tam wyrывał się duchem, tam też udał się w końcu.

W Lipcu 1786 roku towarzyszył księciu, Herderowi i pani Sztejn do Karlsbadu; zabrał z sobą dzieła swoje, żeby je przejrzeć do nowej edycji Gäschen'a. Sam widok dzieł tych musiał być go utwierdzić w przedsięwziętym zamiarze. Kiedy Herder i pani Sztejn powrócili byli do Wejmaru, pozostawiając go samego z księciem, ostateczne przygoto-

wania już zostały dokonane. Zamiar ten ukrywał starannie przed wszystkimi, wyjąwszy tylko księcia, którego pozwolenie było potrzebne i może także ukochana przypuszczoną była do tajemnicy. To ostatnie ulega jeszcze wątpliwości. Zaledwo mogę uwierzyć, aby Goethe chciał się być przed nią ukrywać z podobnym zamiarem; Schöl, który tak długo miał być w ręku swym listy Goethego pisane do niej, także jest tego zdania; jedynym powodem, podającym to w wątpliwość, jest to, że Fryc Sztejn długo wyglądał go w Wejmarze, kiedy już Goethe odjechał był do Włoch; mieszkał on stale w domu Goethego oczekując na niego, aż dopóki długa samotność nie zmusiła go do powrotu do domu. Zdaje się, że miejsce następne, wyjęte z listu Goethego, pisanego do pani Sztejn pod dniem 23 Sierpnia, podaje tego dostateczny dowód: „Muszę tu pozostać jeszcze jeden tydzień, a potem wszystko się skończy tak spokojnie, dojrzały owoc spadnie. Wówczas będę żyć z tobą na obszernym świecie i będę bliższym matki naszej ziemi w szczęśliwej samotności, bez żadnego imienia i stanu.“ Ciemny to jest ustęp, zdaje się jednak, że mówi tu on o innym rodzaju przebywania z nią niż dotąd; powtóre, że to postanowienie samotnego życia, bez służącego nawet, stosuje się zapewne do podróży *incognito*. Przynajmniej nie można sobie wytłómaczyć tego miejsca inaczej jak tylko alluzją do podróży.

Prawda, że krył się z tym zamiarem przed ukochaną, unikając scen rozstania, a może bojąc się, by go nie chciała zatrzymać. Takich peripetyi Goethe zawsze unikał starannie, o ile tylko było to w jego mocy. Może wątpił był także o sile swego postanowienia.

Trzeciego Września (1786 r.) Goethe opuścił Karlsbad, sam jeden.

Nareszcie dawne żądanie całego życia jego spełniło się: Goethe był już we Włoszech. Sam jeden, pod przybraném nazwiskiem, wolnym był od wszelkich przeszkód, na jakie rzetelne imię jego narażałoby go, wystawiając na admiraucę licznych czytelników Werther'a; imię kupca Möllera

pozostawiało go w pokoju; mógł oddawać się swobodnie przechadzkom, pomiędzy pomarańczowemi i cytrynowemi drzewami, w pośród miast, posągów starożytnych, obrazów i gmachów, czując się „jakby u siebie w pośród tego obszernego świata, a nie na wygnaniu jak dotąd.“ Namiętna tęsknota Miniony do Italii złotej rosła była wraz z nim, wraz z nim nabierała mocy, łączyła się ze wszelkimi wspomnieniami dzieciństwa i wszelkimi ambicjami męskiego wieku, aż nareszcie stała się jakby chorobą serca. Najakiś czas przed podróżą swoją nie mógł być patrzeć na ryciny wyobrażające Włochy, nie mógł nawet otworzyć łacińskiej książki, dla tego osobliwego uroku mowy, co go przenosił pod niebo Auzonii; oto dla czego, jak mawiał Herder, jedyną książką łacińską widzianą w ręku Goethego było dzieło Spinozy. Ta choroba duszna wzrastała z dniem każdym i tylko niebo Italii mogło być ją uleczyć. Dość jest odczytać piosnkę Miniony, napisaną wkrótce przed podróżą włoską, żeby się przekonać, jak musiała go męczyć myśl o Włoszech i jak niespokojną była żądza jego zwiedzenia tego kraju.

Teraz ten niepokój głęboki duszy jego został zaspokojonym. Dźwięki słodkie mowy włoskiej rozlegały się dookoła niego; niebo Italii rozścielało się nad jego głową, ze wsząd otaczały go dziwy sztuki włoskiego. Czuł to w sobie, że podróż ta była dlań jakby odrodzeniem się ducha jego; cała istota jego przepełnioną była ciepłem i światłem. Życie rozścielało się przed nim spokojne, świetne, mocne; widział wielkość celów swoich i czuł w sercu własnym siły stosowne do ich wypełnienia.

Napisał był sprawozdanie z podróży swojej; chociaż nikt zapewne nie potrafiłby napisać większego dzieła, gdyby się zabrał do niego z wszelkimi zasoby, chociaż wiele kart w niém należą do najpiękniejszych, jakie tylko istnieją o Włoszech, przecież *Podróż włoska* w całości swojej jest książką odczarowującą czytelnika. I nie mogło wcale być inaczej w danych okolicznościach. Książka ta nie była napisaną zaraz po powrocie Goethego, kiedy wrażenia kraju

zaalpejskiego były jeszcze świeże w duszy poety, kiedy styl jego posiadał był całe ciepło i moc swoją, ale podróż ta pisała się już na schyłku sił wielkich Goethego; pozbierał on dorywcze listy z drogi, pisane do pani Sztejn, do Herdera i innych i z nich wyjmował miejsca przydatne do projektowanego dzieła, łącząc je w jedną całość bez wielkiego zachodu i z niewielką dołą zapachu. Była to praca mechaniczna. Gdyby był wprost wydrukował swoje listy z podróży, te by bez wątpienia podały nam daleko żywsze wyobrażenie o kraju; w obecnej formie dzieła nużą nas różne drobnostki i wypadki powszednie, opowiadane obszernie, które w listach miały swoje stosowne miejsca, ale tu będąc z nich powijmowane tracą swoją powabną formę, brak im bowiem téj niewymuszoności rozmowy poufałej, jaka zwykle odbija się w korespondencyi przyjacielskiej. Jednym słowem, brak tu przymiotów korespondencyi, a z drugiej strony brak tu zalet poważnego dzieła. Zaledwo podróż Goethego ma tę zasługę, że wyjaśnia nam wrażenia dokonane w duszy Goethego widokiem ziemi italskiej, wrażenie zapewne zanadto głębokie, aby dało się z łatwością objawić. Zanadto to życie nowe zawładło było jego istotą, aby mógł mieć dość na to czasu, aby się nad nié m zastanawiać i rozbierać jego wrażenia.

Ciekawą jest rzeczą owa uwaga poety, zwrócona na wszelkie szczegóły geologiczne i meteorologiczne, jakie się mu nastroczały w jego podróży; ten interes jego w podobnych przedmiotach dostarczył znajomym jego nie mało przycinków; wielu wydaje się, że poeta powinien tylko pisać ustawicznie jakieś rapsody i marzyć o niebieskich migdałach. Darowano mu podziw jego dla Palladia, bo budownictwo jest jedną z sztuk pięknych; istotnie entuzjazm ten, co go ogarnął był w Vieżenza, spowodował był to, że Goethe oddał się pilnemu studyowaniu dzieł Palladia, jak gdyby sposobił się na architekta; ale kiedy w Padwie zaczął się oddawać studyowaniu roślin i rozmyślać nad ich *typową normą*, to już poczęło wszystkich niecierpliwie, a osobliwie Herder'a. Może poniekąd słusznemi były te prze-

kąsy, kiedy poeta zajmując się temi oto przedmiotami, rzadko kiedy wspomniał o literaturze i poezyi. Italia jest krajem dziejów, piśmiennictwa, malarstwa, muzyki; wszystko to przypomina żywo przeszłość, pełną wspomnień biograficznych i artystycznych, a jednak Goethe, zachwycając się klimatem, urokiem przyrodzenia, milczy prawie o literaturze, nie ma ucha dla muzyki, a uczucia dla dziejów. Już to weszło we zwyczaj, że każdy podróżnik powinien pisać w sprawozdaniu z wędrówki swojej o tém wszystkiém, musi cytować poetów dawnych, przepisywać ogólniki stare o obrazach i posągach; nie darowano więc Goethemu tego, że chciał był pod niebem Auzonii zapomnieć o książkach i bibule, a starał się tylko żyć i oddychać pełną pierśią czystém powietrzem południa, że podziw swój zachował był tylko dla dzieł najpierwszego i największego artysty — Boga! Usposobienia panteistycznego, kochał on tylko nagą plastykę grecką; brzydził się obrazami wystawiającemi ukrzyżowanego Boga, męczeństwo świętych—zwąc to wszystko szpitalném pathos; zaledwo Rafael zdołał go zająć. Lewes broni go po swojemu: nie miał on, powiada, zmysłu dziejowego, coby go był uzdolnił do uznania ważności walk i umartwień religijnych, które przyjęły były na się w owe wieki owe formy przesądu! Ofiara, męczeństwo—to przesąd w oczach współczesnego panteizmu, należy pamiętać o tém; jeżeli mają one jaką zaletę, to tylko dziejową, względną! Lewes daje poważnie naukę Goethemu: człowiek, powiada on, ze zmysłem dziejowym, brzydząc się w duszy podobnemi zabobonami, wiedziałby przecież, jak je ma *ustawić* w postępowym rozwoju dziejów ludzkości!

Nie dla literatury, nie dla dziejów, nie dla entuzjazmu poetycznego mamy otwierać *Podróż włoską*. Nie masz w niej wymowy, nie! nie masz nawet wtedy, kiedy poeta znajduje się w Wenecyi i po raz pierwszy w życiu staje w obliczu morza. Istotnie to dziwna! Pomysleć tylko jakie to wrazenie widok morza wywiera na duszę naszą, to jakby widok toni niebieskich, ujrzanych po raz pierwszy w życiu, a poeta pozostaje zimnym i niemym na ich widok! Jeżeli *Italie-*

nische Reise nie świeci wymową, to za to wszędzie czuć w niej ciepło wewnętrznego ukontentowania pisarza. W Wenecyi *np.* szczęście jego było bajeczném prawie, kiedy widział w każdej chwili jak *piazza* przestawała być słowem tylko, a stawała się malowidłem żywém. Kanały, laguny, przesmyki, architektura wspaniała, tłumy ożywione były dlań prawdziwą rozkoszą, którą nie mógł być dość się nasyć.

Przywiózł był z sobą Ifigenję, aby ją z prozy na wiersz przełożyć. Z Wenecyi przez Ferrarę, Bolonię, Florencyę, Arezzo, Perudzię, Folinio i Spoleto przejechał prędko, zdążając ku Rzymowi, gdzie stanął 28 Października.

W Rzymie bawił cztery miesiące; przyjemność z umysłową korzyścią szły obok siebie. „Wszystkie marzenia młodości mojej widzę dziś żywe, stojące przedemną oko w oko. Gdziekolwiek tylko udam się, wszędzie znajduję stare, od dawna znane mi, postacie; wszystko jest zupełnie takim, jak sobie wystawiałem, a z tém wszystkiém wszystko jest nowém. To samo co do idei. Nie wyrobiłem sobie ani jednej nowej, ale stare za to stały się tak jasne, tak żywe, tak powiązały się z sobą, że śmiało mogą ująć za nowe.“ Bogactwo Rzymu, w początkach, odurza; potrzeba tu dłużej zamieszkać, aby każdy przedmiot mógł zrobić rzetelne o sobie wrażenie. Goethe żył tu z artystami niemieckimi: Angeliką Kaufmann, dla której miał wielkie względy, Tischbejnem, Moritz'em i innymi. O ile tylko mogli, zachowywali incognito jego, przecież fakt ten, że Goethe znajdował się w Rzymie, nie dał się długo ukryć: wiele jednak skorzystał z incognito, i unikał starannie wszelkich owoacy. Nie przyjechał był wcale do Włoch dla tego, aby każdą jego miłości własnej po towarzystwach; ukształcenie było jego celem i stanowczo dążył do tego jedyne go celu.

Żyjąc w pośród przedmiotów głośnych przeszłości, depcąc codziennie prochy grodu wiecznego, każdy powiew ze siedmiu wzgórz musiał mu przynosić myśl jakąś z dziejów. „Nawet starożytności rzymskie — pisze — zaczynają mię

zajmować. Dzieje, napisy, numizmata, o które wcale nie dbałem dotąd, dziś atakują mię codziennie. Tu się czyta historję w innym wcale duchu niż gdziekolwiek indziej; nie tylko dzieje rzymskie, albo nawet powszechnie. " Nie widać jednakże, aby tu nawet, w Rzymie, Goethe bardzo zajmował się dziejami; dość było sztuki samej dla jego zajęć, tém bardziej że malarstwo lubił namiętnie, co jeszcze więcej zdradzało brak w nim zupełny wszelkiej doń zdatności. Zwiedzał kościoły i galerye ze stałą powagą; studyował Winkelmana i roztrząsał z artystami niemieckimi niektóre ważniejsze zagadnienia kunsztu dotyczące. Na nieszczęście marnował czas drogi na bezowocne starania dojścia pewnej biegłości w rysunku. Zajęcia te nie przeszkodziły mu przecież do ukończenia przekładu na wiersz Ifigenii, któren czytał potém w kole rodaków, ale tylko jedna Angelika potrafiła go ocenić; inni, co się spodziewali usłyszeć coś *genialnego*, coś w rodzaju *Götz'a*, siedzieli obojętnie. Nie lepiej mu się udało w towarzystwie wejmarskiem, gdzie, jak już widzieliśmy, przenoszono pierwszą pracę, dokonaną prozą.

Sztuka rozrywała go, nie zdołała jednakże wyczerpać w nim jego różnostronnej działalności duchowej. Współcześnie spekulacye filozoficzne nadały były nowe i osobliwe znaczenia przyrodzeniu; chęć wykrycia tajemnicy form roślinnych wiodła go pomiędzy wirydarze Rzymu i jego okolic. Czuł on, że był na drodze odkrycia prawa, które gdyby zostało dokonane, doprowadziłoby do ścisłej jedności rozmaite formy. Ludzie, co nie doświadczyli na sobie nigdy namiętności w odkryciach, będą szydzić sobie z Goethego z tego powodu, że pośród Rzymu zapominał dla rośliny o kłótniach senatu i elokwencyi Cyncerona. Ci jednakże, co doświadczyli kiedykolwiek na sobie wpływu idei wielkiej, będą zapewne z nim sympatyzować i rozumieją łatwo, jak mało znaczącem jest istnienie tysiąca Cynceronów w porównaniu z jednym prawem przyrodzenia.

Pomiędzy niewielką znajomościami, jakie porobił był w Rzymie, należy zanotować tu znajomość z Monti'm,

poetą, na przedstawieniu tragedyi którego, *Arystodemo*, znajdował się w teatrze. Ten go namawiał usilnie, aby się pozwolił zapisać do towarzystwa *Arcadia*, pod imieniem *Megalio* „*per causa della grandezza*, albo raczej *grandiosità delle mie opere*,” jak to oni wyrażają. (Z powodu wielkości, albo raczej wzniosłości dzieł moich).

Cóż mówił Wejmar na tę przedłużoną nieobecność poety swego? Oto zamiastby miał się cieszyć z jego rozkoszy umysłowych, zamiast sympatyzowania z celami jego, Wejmar szemrał i roznosił ploteczki, a ganił głośno to zaniedbanie się w oficjalnych obowiązkach urzędu, dla waleśniania się pomiędzy ruinami i posągami. Szyller, co w tym czasie przybył do Wejmaru, przesłał był Körnerowi echo owych szemrań. „Biedny Wejmar! Powrót Goethego niepewny i wielu patrzy na wieczny rozbrat jego ze służbą jako na rzecz niezawodną. Podczas kiedy maluje sobie we Włoszech Vogty i Szmidy muszą zań pracować jakby było pociągowe. Za to, że nic nie robi, traci we Włoszech pensyę 1,800 talarów, a ci biedacy za połowicę ledwo tój płacy muszą spełniać podwójną pracę.“ Smutno czytać podobne rzeczy, wyszłe z pod pióra Szyllera; jest tam jeszcze kilka ustępów w korespondencyi jego z Körner'em, które zdradzają zawiść pewną względem wielkiego współzawodnika, zawiść, dającą się zaledwo wytłómaczyć nędzném położeniem, w jakim się on natenczas znajdował, co jednakże nie przeszkadza, aby uczucie to nie smuciło wielbicieli poety. Zobaczymy to następnie, jak otwarcie i z jaką dumą przyznawał się on do tój zawiści.

Podczas kiedy Wejmar szemrał, książę wejmarski wierniejszym był pamięci Goethego; pisywał do niego po przyjacielsku, uwalniając go od zajęć służbowych i rozciągając pozwolenie bawienia na tak długo, jak sobie sam będzie tego życzył. Bez Goethego Wejmar musiał być dla Karola Augusta wcale inném miastem, ale uczucie egoizmu nie powodowało księciem w tym względzie i nie gwoli jemu nie usiłował skrócić pobyt przyjaciela za granicą. 22 Lutego Goethe opuścił Rzym i udał się do Neapolu, gdzie spędził pięć ty-

godni bardzo przyjemnie. Zrzucając na stronę *incognito* swoje bywał chętnie w towarzystwach, a chętniej jeszcze lubił przestawać z ludem prostym, którego szczęśliwe, bez trosk wszelkich *far niente* cieszyło go bardzo. Tu poznał Sir William'a Hamiltona i żonę jego miłą lady Hamilton, syrenę, która wdziękami swemi podbiła szlachetnego Nelsona. Goethe został ujętym jój wdziękiem w obejściu, a osobiwie zgrabnością w tańcu Szala, którego wsławiła była w Europie. Zajęły go takż były pisma Vico, filozofa neapolitańskiego, którego miał być przyjemność poznać osobiście za pośrednictwem Filandziera, który mówił mu o autorze *Scienza nuova* z rzetelnie południowym entuzjazmem.

„Jeżeli w Rzymie — pisze Goethe, kaźden musi oddawać się *nauce*, tu, w Neapolu, musi kaźden oddać się *życiu*.“ I rzetelnie Goethe żył tu różnorodnie, żył na wybrzeżu morskiem, pomiędzy rybakami, pomiędzy ludem, pomiędzy szlachtą, na Wezuwiuszu, na wodzie, oświeconej światłem księżycą, w wąwozach pompejskich rozkopów, w Pauzylipie — wszędzie, jeduém słowem, oddając się urokowi wrażeń coraz nowych, wszędzie karmiąc fantazyę i doświadczenie nowemi obrazami. Trzy razy wstępował na Wezuwiusz; następnie, podczas wyprawy francuzkiej, widzimy go, jak się oddaje spokojnie postrzeżeniom naukowym przy huku dział i pod świstem kul, tak samo tu nie oszczędzał sobie wcale niebezpieczeństw, byle tylko jak najwięcej mógł skorzystać ze spostrzeżeń swoich. I nie jest to jedyny fakt ważny; Wezuwiusz mógł być mu dać zapomnieć ciekawością szczegółów o niebezpieczeństwie osobistém, ale nieobudził w nim wcale weny poetycznej: opisuje go tak obojętnie, jak gdyby szło o jakie przedmieście.

Jednakże, tu i ówdzie, zapal wybuchu czasami. W Pesthum np. zachwycił się widokiem pięknej świątyni starożytniej, której nawet ruiny mówią wymownie czém musiała być sztuka w Grecyi; patrząc na nią czuł to, iż rozstawał się ostatecznie „z niezgrabnymi świątyniami i kolumnami w kształcie cybuchów (osobliwszy entuzjazm!) sztuki gotyckiej,“ co niegdyś pozyskała była sobie jego względy,

ale od której oddalał się mało po mału. We Włoszech nawrócenie jego od chrystianizmu do hellenizmu zostało spełnioném ostatecznie.

Pompeja, Herkulanum i Kapua mniej go przecież zajmowały, niż można było tego się spodziewać. „Księga przyrodzenia — mówi on — jest, jakkolwiek bądź, jedyną, co ma na każdej karcie swojej myśl jakąś wielkiego znaczenia.“ Ta to księga zajęła była całkiem duszę jego, jak w dzieciństwie umysł nasz zajmują bajki cudowne. Morze, zmieniające ustawicznie pozór swój i rodzaj wdzięku swego, i wybrzeża z nieprzebranemi bogactwy widoków, były dlań stałym wzorem studyów.

Błądząc samotnie, myśli jego kołysane harmonią fali dumwały nad tajemnicą pierwiastku form rośliny i tajemnica coraz więcej rozjaśniała się przed wzrokiem duszy i *typowa planta* nie była już więcej dlań widmem złudliwém, ale zasadą pojętą jasnie umysłem.

2 Kwietnia przybył do Palermo. Dwa tygodnie bawił tu pomiędzy drzewami pomarańcz i oleandrów, oddany całkiem przedziwnym wrażeniom, co, jakby lotus mistyczny, ukołysały go do stanu zapomnienia o bożym świecie, wyjąwszy tylko jedną obecną chwilę. Tu po raz pierwszy Goethe zrozumiał wysoką poezję Homera; nabył umyślnie egzemplarz *Odysei* i oddawał się ze stałą rozkoszą rozkoszy wczytywania się w harmonię wierszy boskiego wieszczka, przekładając je na niemieckie, dla przyjaciela swego Kniep'a. Natchniony duchem homerycznym napisał plan swojej *Nauzikay*, dramat, w którym streszczać się miała *Odysea* cała, jak wiele planów Goethego i ten nie doszedł nigdy do swego wypełnienia. Ogród Alcynus'a dopomógł do *Metamorfoz roślin*, dzieła, którego treść tak przemocnie zawładła była wszystkimi myślami poety.

Palermo było miastem rodzinném sławnego maga XVIII wieku, znanego Europie pod imieniem hrabiego Cagliostro; trzy lata przed przybyciem Goethego do Sycylii, odgrywał głośną rolę w gorszącym procesie toczonym z powodu dyamentowego naszyjnika królowej francuzkiej Maryi Anto-

niny. Poeta niemiecki ciekawym był poznać rodziców tego awanturnika; udał się do nich pod przybraném nazwiskiem podróżującego Anglika, przynoszącego im wiadomości o synu. Zawsze w Goethym objawiało się współczucie dla ludu biednego; dwakroć później posyłał zasilki pieniężne tym biedakom, przyznając się im w liście do tego, że ich oszukiwał, udając się za Anglika, znajomego synowi.

Wrócił do Neapolu 14 Maja, zaledwo uniknął był rozbicia na morzu. Wziął był z sobą dwa pierwsze akty *Tassa* (wówczas jeszcze w prozie), aby je przełożyć na wiersze. Odczytując je znalazł, że były bezbarwne, pełne ogólników i że zresztą nie potrzebowały żadnej zmiany materyalnej. Zabawiwszy parę tygodni jeszcze raz wrócił do Rzymu. Było to 6 Czerwca 1787r.; zabawił tu powtórnie do 22 Kwietnia 1788 roku; upłynęło więc mu w Rzymie, w ogóle, dziesięć miesięcy pracy, której tylko działalność umysłowa podobnej potęgi, jaką miała jego, mogła być przydać tyle korzyści. Wiele z tego czasu było obrócono na mazanie amatorskie pęzlem; usiłował on pracą i usilnością zastąpić to, czego mu odmówiła była przyroda. Niemożna jednakże powiedzieć tego, że z podobną duszą, jaką on posiadał, usiłowanie jakiegokolwiek mogło pozostać bezowocném. Jeżeli nie mógł być stać się malarzem przez naukę, przecież studia jego stały się mu korzystne pod innymi względami. Badał on sztuki i starożytności w towarzystwie przyjaciół swoich artystów. Rzym sam przez się jest szkołą wykształcenia, a Goethe tyle był chciwym uczenia się. Ćwiczenia się w malowaniu wykształciły jego smak. Uczył się perspektywy, rysował ze wzorów, namiętnie starał się skorzystać w oddaniu efektu krajobrazowego, zaczął był nawet lepić z gliny. Angelika Kaufmann mawiała mu, że w rzeczy sztuki widzi on daleko lepiej od wielu innych; drudzy myśleli może, że z pracą potrafi z czasem więcej jak widzieć. Ale wszystkie studia jego, cała jego praca pozostały próżnemi, nie doszedł był nigdy w malarstwie nawet biegłości amatora. Upór ten w sztuce jest ważnym faktem w życiu Goethego.

Tymczasem napisał był na nowo Egmonta; naszkicował był jeszcze we Frankfurcie dwa pierwsze akty tej sztuki (1775); zarys całości dokonany był potem (1782) w Wejmarze. Taraz wziął go był przed się nanowo dla tego, że zamieszki w Niderlandach postawiły były znowu patriotów przeciw domowi orańskiemu. Pracowitem było zadanie przerobienia dzieła, znajdował w niem jednak wiele przyjemności i z dumą poglądał potem na dokonany dramat, spodziewając się, że tym razem zjedna sobie pochwały przyjaciół. Nadzieje te były trochę zawiedzione od Herdera, który zawsze niewiele skłonny będąc do pochwał — nie chciał był uznać *Klärchen* (Klarki) charakteru, o którym autor myślał, i myślał słusznie, że zarysował był go szczęśliwie. Obok Egmonta, przygotował do nowego wydania dzieł swoich *Klaudynę z Villa Bella* i *Erwina i Elmire*, dwie opery komiczne. Kilka scen z Fausta zostały w tym czasie napisane, równie poemata: *Amor i Pejzażysta*; *Amor gościem*; *Apoteoza artysty* i t. d. Tym sposobem skompletował był redakcyę ostatnich czterech tomów *Zbioru dzieł* swoich, które przedsięwziął był wydać *Göschen*, a które widzieliśmy już z nim w Karlsbadzie i we Włoszech, jako jego zadanie literackie.

Skutek pobytu Goethego we Włoszech, osobliwie w Rzymie był różnostronny i wielki. Podróż za granicą, nawet dla ludzi miernych zdolności umysłowych, wiele przynosi korzyści, nie tylko z tego powodu, że przypatrują się oni rzeczom dla siebie nowym, ale dla tego jeszcze, że odrywają się od wszystkich stosunków zawitych przyzwyczajenia, które zakrywają przed nimi zwykle rzetelne oblicze życia. Oderwanie się podobne od przeważnej rutyny jest ważnem, daje bowiem nowy punkt, z którego możemy sądzić siebie i innych i odkrywa nam, jak mylnem jest wiele z tego, na co patrzyliśmy dotąd, jako na rzecz istotną. Goethe zyskał był takóž na poglądzie jaśniejszym na siebie samego i na zawód żywota własnego; odłączony od kolei zwyczajnej życia społeczności wejmarskiej nauczył się we Włoszech zapatrywać się szerszej na swoje stanowisko. Wrócił

do siebie zmienionym pod wszelkimi względami. Proces kryształizacji charakteru Goethego, co się rozpoczął był w Weimarze, ukończył się był w Rzymie. Jako stanowczy przykład tego podajemy to *np.* że w Rzymie zostawił nawsze chętkę swoją zostania malarzem. Uczuł, że stworzonym jest do poezji i przez cały przeciąg następnych lat dziesięciu jój oddał się wyłącznie.

Rezultatem studyów jego nad sztuką było sprzymierzenie się teorii jego z dążnościami. Wiele razy już wspominaliśmy o przedmiotowej (objektywnej) dążności ducha jego; dziś widzimy, że uznał dążność tę, jako cechę sztuki starożytniej. „Pozwól mi, — pisze do Herdera — wyrazić tu zdanie moje w kilku słowach. Starożytni wystawiali *byt, egzystencyę*, my zaś wystawiamy *skutek* (effekt); oni wystawiali *okropne*, my zaś oddajemy *okropnie*; oni *przyjemne*, my *przyjemnie* i t. d. Ztąd właśnie pochodzi przesada u nas, manieryzm, fałszywe okrasy i wszelkie ekscessa. Kiedy staramy się o efekt, nie myślimy nigdy, abyśmy dosyć byli efektowymi.“ Lewes zdanie to o tyle przyznaje rzetelném, o ile stosuje się ono do Homera i rzeźby antycznej. „Mówią — w inném miejscu wyraża się Goethe — o studyach nad starożytnemi pomnikami; cóż to znaczy innego, jeżeli nie to, że mamy patrzeć na świat rzeczywisty i usiłować wyrazić go, bo tak właśnie postępowali starożytni.“ Mówił Eckermannowi: „wszystkie ery w okresie upadku są podmiotowe (subiektywne); przeciwnie wszystkie ery postępowe mają kierunek przedmiotowy.“ W Rzymie z uśmiechem słuchał swoich przyjaciół — krytyków, kiedy w sprzeczkach metafizycznych, uważali go za niekompetentnego sędziego. „Ja, gdybym był artystą, niewielebym ważył metafizykę; wolałbym, żeby zasada, pierwiastek, od którego wychodziłbym i przez którybym działał, były odemnie zakryte.“ Jakże mało Niemców mogłoby powiedzieć to bez rumieńca wstydu; jakże mało z nich mogłoby przyznać się z Goethym: *Ich habe nie über das Denken gedacht*, nigdy nie rozmyślałem o myśleniu.

Usuwać na stronę podobne myśli oderwane, a zstę-

pując do szczegółów więcej tyczących żywota poety, należy tu zanotować, że Goethe w tym czasie został wplątany w sieci miłości niewzajemnej. Widzieliśmy już, jak był opuścił panią Sztejn. Obraz jęj nie opuszczał go wszędzie, pisywał do nięj statecznie, ale sam wyznał to był wprzódy, że mniej ją kochał, kiedy był od nięj daleko i teraz widzimy to, że rozłąka ostudziła wreszcie zapal jego uczucia dla baronowęj. Rok cały nie widział się z nią, kiedy ujął go był urok młodęj medyolanki, z którą spotkał się był w Castel Gondelfo; ona dała mu zapomnieć ostatecznie o owęj oziębłości, dochodzącéj prawie do szorstkości, która go utrzymywała dotąd wolnym od uroku piękności kobiecej. Zakochał się w nięj prędko jak chłopiec jaki; wtedy dopiero dowiedział się, że kochanka jego jest zaręczoną. Trudno opowiedzieć dobrze tę historię miłosną Goethego, miał bowiem już lat osmdziesiąt, kiedy napisał tę piękną, ale nieco za ogólną relacyę z podróży włoskięj, a oprócz nięj nie masz innych źródeł pod ręką do tego romansu. Dość na tém, że kochał, dowiedział się, że była zaręczoną i oderwał się od jęj towarzystwa, aby uspokoić nieco bicie gwałtowne serca swego. W skutek klótni z narzeczonym dziewczę zaniemogło; Goethe odwiedzał ją w jęj chorobie, ale był milczący; chociaż spotkali się po wyzdrowieniu i ona była natenczas wolną, Goethe, zwyczajem swoim, nie śpieszył się zamienić jęj miejsca utraconego kochanka. Jak łatwo można się tego domyślić, listy jego do pani Sztejn były chłodne, mniej poufne niż dotąd, mniej w nich było zwierzeń się, jedném słowem nastąpiła zmiana, która nie mogła ujść jęj uwagi.

Z Herderem korespondencya Goethego była jak zawsze pełna przyjaźni. Przyjemnie patrzeć na entuzyazm, z jakim Goethe przyjął był *Pomysły* jego do filozofii dziejów; czytał je w Rzymie z zapalem. Jak odmienne wcale wrażenie na Herderze robiło to wszystko, co Goethe przysyłał z prac swoich z Rzymu!

22-Kwietnia 1788 roku Goethe wyruszył do domu, opuszczając Rzym z niewypowiedzianym żalem, ale czu-

jąc się zasilonym znacznie na bój żywota. Biorąc z sobą Tassa, aby go skończyć w drodze, wracał przez Florencję, Medyolan, Chiawennę, jezioro konstancyeńskie, Stuttgard, Norymbergę; przybył do Wejmaru 18-Czerwca, o dziesiątej wieczorem.

Z téj marszruty widzimy, że poeta nie był wcale w Genui, i że następnie, miejsce w korespondencji Szyllera z Körnerem, wedle którego jakiś G*** zakochał się szalenie w kobiecie służącej za model w pracowniach malarzy, nie może się wcale odnosić do Goethego. Vehsa, w dziele swoim o dworze wejmarskim, nie pytając o to, czy był kiedy Goethe w Genui, podaje miłostkę tę, jakoby rzetelne wydarzenie w życiu autora Fausta.

Bywają czasami osoby, których nie możemy pochwalić postępowania, przecież lubimy ich więcej nieraz od tych, których sposób życia jest nieposzlakowany niczém; w takich razach zdarza się nieraz, że podczas kiedy surowe cenzory wytykają błędy ulubieńców naszych, choć rozum nasz zgadza się na ich zdanie, serce jednakże wzdryga się potępić ich zupełnie. Nie protestujemy wówczas pzzeciwno prawdzie, ale przywiązanie nasze ku obwinionym pozostaje w gruncie niewzruszoném. Tak się ma zupełnie z książkami jak i z ludźmi. Najulubieńsze dzieła nasze nie zawsze bywają w łaskach u krytyki; jak odwrotnie arcytwory w oczach krytyki nie zawsze są najulubieńszymi dziełami ogółu. Nie należy tu wcale pomawiać o słabość umysłową ani moralnego uczucia ludzkiego, ani też krytycyzmu; w obu razach błędy są uznane, ale pewna doskonała strona osoby lub dzieła, zagania w kąć błędy i pozostawia je tam w zupełnym cieniu.

Takim utworem jest Egmont, dramat Goethego. Daleko, ba i bardzo daleko od tego, aby miał być arcydziełem jakim w sztuce; pomimo tego jednak jest on w łaskach u wszystkich prawie. Jako do tragedyi, krytyka nie wiele przykłada doń wartości, przecież wysłuchawszy o sztuce gorzką prawdę wypowiedzianą od krytyki, pod względem sztuki, czytelnik w końcu długo rozmyśla o Egmoncie i

Klarce, nie troszcząc się wiele o te sądy teoretyczne. Te to dwie postaci pozostają na długo w pamięci, jasne, genialne, świetne utwory, zaledwo dające się — zdaniem Lewes'a — porównać z czémkolwiek w długiej galerii sztuki. Tak jest może — ale cóż ma wspólnego pomysł charakteru, moralny urok jego, wzbudzający sympatyę, z warunkami dramatu, które ulegają wcale innym wymagalnościom.

Czuje to sam Lewes i zaraz przechodzi do rozbioru tych oto warunków utworu dramatycznego. Egmont, powiada, jako dramat t. j. jako dzieło napisane w celu wystawienia rzeczy w czynie, na scenie, ma niedostatek w dwóch głównych wymagalnościach dramatu, a mianowicie, brak mu *kollizji* zasadniczych namiętności, z kądby mógł spłynąć na całość interes tragiczny, i powtóre, brak budowy (konstrukcyi) wykonanej tak, żeby w niej wszystko zlewało się w formę dramatu. Wada pierwsza leży w samym pomysle; druga zaś w wykonaniu. Pierwsza jest błędem poety dramatycznego, druga błędem dramaturga. Gdyby Szekspir obrabiał był ten sam przedmiot, rzuciłby był niezawodnie życie i charakter na tłuście, a namiętny ruch objawiłby był w wielkich scenach, coby było sprawiło to, że całość stałaby jak żywa przed naszym wzrokiem. Ale, dodaje w końcu Lewes, nie myślę, aby on prześcignął Egmonta i Klarę.

Powolny, mdły ruch tój sztuki, który w reprezentacyi czyni ją nudną, nie zależy wcale w długości rozmów i scen, pochodzi raczej z niedramatycznego pobudowania szczegółów. Jestto powieść opowiedziana w formie dialogu, a nie dramat. Szyller, w sławnym swoim rozbiore krytycznym tego dramatu, chwali sztukę, z jaką został oddany miejscowy kolor dziejowy; każdy przecież zgodziłby się oddać ową barwę miejsca i czasu za kilka dotknięć pędla, coby nadały ruch dramatyczny scenom i ludziom. Podobna zaleta należy raczej do erudycyi niż do poezyi; barwa miejscowa nie jest dość żywą, aby jak w Götzu, lub w romansach Scotta, wystawić dobitnie epokę całą. Szyl-

ler, z drugiej strony zarzuca Goethemu odstąpienia od rzeczywistości w tém, że zrobił z Egmonta nieżonatego młodziana, a potem, że przywiązując doń interes miłosny, poniżył tę postać heroiczną, dla której ojczyzna była kochanką; dla niej tylko biło jego serce. Zarzut słuszny; jestto rzetelném a dobrowolném zeszczupleniem rzeczy. Ale Lewes broni tak Goethego: wiedział on zapewne o tém, powiada, że Egmont miał żonę i dzieci, ale odrzucił te szczegóły i chociaż zgadzam się z Szyllerem, że przez te zmiany ogołocił siebie z pewnych potężnych sytuacji dramatycznych, myślę jednakże, że jakkolwiekbydz, zrobił dobrze, odrzucając je na stronę. Z tych potężnych sytuacji nie wiele on mógł zrobić, geniusz bowiem Goethego nie był dość namiętnym i dramatycznym. Przytém nie mielibyśmy wówczas — Klarki. Podobna obrona jest potępieniem Goethego jako dramatycznego poety.

Charakter Egmonta jest typem ludzkości. Nie jesteśmy tu widzami czynów wielkich, ale pięknej natury moralnej. Bohater przedstawia się nam w swojej mocy spokojnej, doskonałych władzach, wesoły, przy swobodzie zdrowej ducha, kochający, wspaniały; staje on przed nami nie w chwilach ciężkich pasowań się moralnych, nie w spazmodycznych wstrząszeniach siły swojej, nie na wyżynie momentalnej egzaltacji, ale w położeniu moralném swego własnego przyrodzenia. Podobne wystawienie charakteru okrada dzieje z ich dramatycznych kollizyi. Dążność ducha Goethego nakłaniająca go patrzeć na ludzi, raczej okiem naturalisty niż dramatyka, wiodła go raczej do wystawienia *typu*, niż *namiętności*, a autobiograficzna dążność jego z drugiej strony pociągała go do wystawienia Egmonta więcej takim, jakim byłby sam Goethe, gdyby się był znajdował na jego miejscu i w tych samych okolicznościach. Podobna obrona Goethego przez Lewesa jest znalezieniem natury Goethego; istotnie, nie miał on nic w sobie bohaterskiego. Dla czego? Oto dla tego, że żył w idei *naturalizmu*, bohaterstwo zaś jest przewagą, spotęgowaniem ducha, jest już czémś wyższém nad zwykłą normę natury,

którą poeta ubóstwił. Dążność rysowania, biorąc do rysunku wzór z doświadczenia naszego, doprowadziła była Goethego do wydania postaci Klarki. Rosenkranz, usiłując wykazać znaczenie głębokie we wzglądzie dziejów Egmonta, powiada, że Klarka potrzebną była w utworze Goethego „jako wskazówka współczucia Egmonta dla ludu.“ Lewesowi wydaje się, słuszniej zapewne, że powody do utworzenia téj postaci kobiecej były więcej osobiste niż krytyczne.

Posępny to i wielce tragiczny ustęp w dziejach Niderlandów, ów moment, który wystawia dramat Goethego. Rewolucya kraju tego była w duchu czasu; był to rokosz przeciwko uciskowi, powstanie ludu przeciwko nietolerancyi hiszpańskiej, przeciw władzy obcej. Księżę Alby, co był tego przekonania, że lepiej było cesarzowi utracić Niderlandy raczej, niżli rządzić nad heretykami, ale co pomimo to jednakże nie był wcale za utraceniem kraju tego, zastąpił księżnę Parmy w rządach nad nim; objąwszy wodze administracyi, wedle prawa hiszpańskiej inkwizycyi, mieczem i ogniem karał heretyków. Sprzecznosc wybitna pomiędzy Hiszpanami a Holendrami, pomiędzy katolikami a protestantami, pomiędzy despotyzmem a swobodą, jakiej dostarcza przedmiot, *oznaczona* jest w dziele Goethego; nie użył jęj przecież jako potężnego pierwiastku sztuki dramatycznej. Charaktery przemawiają, mówią dobrze, mówią obszernie; nie szcędzą słów, ale nie działają. W ciągu dialogu jesteśmy oznajomieni z położeniem rzeczy, ale nie patrzymy na nie, jakto jest w naturze dramatu. Jest tu, zdaniem mojem—ślad wpływu sceny francuzkiej, na której Goethe, dzieckiem jeszcze, zaprawiał się we Frankfurcie.

Egmont rozpoczyna się sceną, w której występują żołnierze i obywatele miejscy, sztelający do celu. Długie rozmowy wtajemniczają nas w stan niespokojny umysłów i w rozmaite opinie, krążące pomiędzy ludem. Należy porównać wstęp ten z podobnemi scenami w Szekspirze, a różnica pomiędzy dramatycznym i niedramatycznym traktowaniem rzeczy stanie się widoczną od razu. Tu ludzie są

lalkami; we wszystkiem, co mówią, widzimy wyraźnie zamiar autora; u Szekspira postacie objawiają siebie samych, każda jakimś szczególnym rysem charakteru.

Następna scena jeszcze jest słabszą. Księżna Parmy i Machiavelli rozmawiają z sobą. Regentka prosi go o radę; on doradza jój użyć tolerancyi, co wydaje się jój być rzeczą niepodobną do spełnienia. Wyjąwszy te dwie cechy charakterystyczne, wszystko zresztą w tój scenie jest zbytecznym. Szyller, przerabiając sztukę tę dla sceny, obciął charakter księżnej, jakby narosć ją:

KSIEŻNA. Mówiąc otwarcie, boję się księcia Oranii — boję się takż Egmonta. Książę Oranii obmyśla jakiś plan niebezpieczny; myśli jego sięgają daleko; skromny on, na pozór zdaje się przystawać na wszystko, nie sprzecza się nigdy, ale zachowując pozór poszanowania, z jasnem przewidzeniem następstwa, spełnia swe własne zamiary.

MACHIABELLI. Egmont, przeciwnie, postępuje krokiem śmiałym, jakby świat cały do niego należał.

KSIEŻNA. Wysoko nosi głowę swoją, jakby ręka majestatu nie rozciągała się nad nią.

MACHIABELLI. Oczy ludu całego na niego jednego są obrócone; jest on jakby bożyszczem jego serca.

KSIEŻNA. Nigdy jeszcze dotąd nie przybrał na się najmniejszej maski; postępuje tak, jakby nikt nie miał prawa powołać go do odpowiedzialności. Dotąd jeszcze nosi on imię Egmonta. Hrabia Egmont — jest tytułem najulubieńszym dla jego ucha, jakby miło mu było to, że jeszcze pamiętają o tém, jak jego przodkowie byli niegdyś panami Gelderlandu. Dla czego nie przyjmie on swego właściwego tytułu — księcia Gauryi? Co on tu sobie zamysła? Chciałżeby on na nowo odżywić stare, zapomniane oddawna prawa?

Swobodna, wolna od wszelkich podejrzeń natura Egmonta dobrze jest odróżnioną od charakteru podejrzliwego księcia Oranii; postać jest zarysowana wielą charakterystycznymi rysami; z tój sceny dowiadujemy się o niebezpieczeństwie, w jakim zostaje. Scena kończy się na tém, od

czego się rozpoczęła — na rozmowie. Następująca wyprowadza na widownię Klarę i jej nieszczęśliwego kochanka Brackenburga. Ładnie jest pomyslaném to przywiązanie stałe, cierpliwe i owe współczucie dla miłości, której podzielać nie może.

MATKA. Jużes go wyprawila? Tak prędko?

KLARKA. Chciałabym się dowiedzieć, co tam się dzieje, a potem — nie gniewajcie się na mnie matulu — obecność jego ciąży mi. Nie wiem dotąd, jak mam postępować z nim. Dotknęłam go boleśnie i to mi zakrwawia serce, patrząc jak głęboko on czuje na to. Już dziś nic na to poradzić nie można.

MATKA. To taki stateczny człowiek!

KLARKA. Cóż ja poradzę, muszę go przyjmować grzecznie. Nieraz nie myśląc o tém oddaję mu wzajemnie jego nieśmiałe ściśnienie dłoni. Sama sobie to wyrzucam, że go oszukuję, że w sercu jego obudzam czeze nadzieje. W okropnej jestem kolei — ale Bóg widzi, że nie dobrowolnie go oszukuję. Nie chciałabym, aby miał nadzieję, alebym nie chciała takóž, aby zrozpaczył?

— Czyż nie jest to wyjętém żywcem z rzeczywistości, nie jest że to oddaném wybornie?

KLARKA. Kiedyś go kochałam, w duszy kocham go dotąd. Poszłamby była za niego, jednakże, myślę, że nigdy nie byłam w nim zakochaną namiętnie.

MATKA. Byłabyś za nim szczęśliwą.

KLARKA. Żyłabym spokojnie — to prawda.

MATKA. I taką przysłość odrzucasz przez swoje szaleństwo.

KLARKA. Jestem, matulu, w dziwném położeniu. Kiedy pomyślę sobie, jak do tego przyszło, zdaje się, że wiem to, a przecież nie wiem nic zgoła. Rzuć tylko okiem na Egmonta i wszystko staje się dla mnie jasnym; tak, bo nawet dziwniejsze daleko rzeczy stają się wówczas dla mnie naturalnymi. O jakież to jest człowiek! Prowincye wszystkie ubóstwiają go! W jego objęciach nie jestemże najszczęśliwszą istotą na świecie?

MATKA. A przyszłość?

KLARKA. O jedno tylko pytam; czy on mnie kocha? Jeżeli mię kocha—jakby można było wątpić o tém!

Muszą być pewne wspomnienia o Fryderyce w tej prostej, kochającej Klarce i w tym obrazie oddania się jej człowiekowi tak bardzo przechodzącemu ją położeniem towarzyskiem. Scena ta jednakże, chociaż piękna, jest całkiem bez ruchu: jestto rozmowa, a nie działanie. Powrót Brackenburga na końcu i jego monolog desperacki nie są dostatecznemi do zamknięcia aktu.

W drugim akcie znowu mamy przed sobą mieszczan; stają się oni coraz niespokojniejszymi w miarę jak wypadki postępują dalej. Vanzen nadchodzi dla poskromienia tych buntowniczych wybuchów; następuje kłótnia, uspokajająca się pojawieniem Egmonta, który słysząc ich zażalenia, radzi im być ostrożnymi: „Czyńcie, co tylko możecie, do utrzymania pokoju; macie już oprócz tego złą reputację. Nie wywołujcie gniewu królewskiego jeszcze więcej przeciwko sobie; siła w jego jest dłoni. Uczciwy obywatel miejski, co się utrzymuje pracą stateczną, wszędzie ma tyle swobody, ile mu jej potrzeba.“ Opuszcza ich przyrzekając zrobić dla nich tyle, ile to tylko jest w jego mocy, radząc przytém, aby byli przeciw nowej doktrynie i nie starali się o pozyskanie przywilejów rokoszem. Bohater ludu demagogiem nie jest. Przeciwi się on rozruchom tłumy, jak sprzeciwia się z innej strony tyranii Karola. W następującej scenie widzimy go z jego sekretarzem; tu widzimy dalej dobroć i niezapobiegliwość jego charakteru. Szczęście to dla mnie, powiada, że jestem wesół, żyję otwarcie i znoszę wszystko łatwo; krew moja oburza się na zwyczaje hiszpańskie i postęпки moje nie lubią oglądać się na ostrożne przepisy dworu. Mamże żyć tylko dla tego, aby rozmyślać o tém, czém jest życie? Mamże zaniedbywać użycie obecnej chwili, bym sobie zaskarbił przyszłą, która, jeśli nastąpi, musi być takżé poświęconą niedołącznym obawom i niespokojności?“ Nie jestto zapewne język polityka, ale raczój mowa człowieka zadowolonego z swego bytu. „Brać

żywot na serio, czego jest wartem? Jeżeli ranek nie budzi nas do nowych rozkoszy, jeżeli wieczór nie podaje nam nadziei nowych rozrywek, wartoż to jest tego, aby odziewać się i rozbierać ustawicznie? Maż słońce dzisiejsze dla tego tylko przyswiecać, abym przy jego blasku rozmyślał o tém, co było wczoraj? abym rozważał by przeniknąć i skontrolować to, co ani przewidzianém, ani skontrolowaném być nie może — przeznaczenie jutra?“ Dość jest z niego obecnej chwili. Takim jest Egmont Goethego!

Lewes znajduje poetyczną sprzeczność zachodzącą pomiędzy charakterem a okolicznościami. Znamy zagrażające mu niebezpieczeństwa; czujemy, że ta pogoda jego duszy jest właśnie ukrytą przyczyną jego zguby; dotyka ona nas równie jak wesołość Romea, co na chwilę przed tém, jak ma usłyszeć straszną wiadomość o śmierci Julii, czuje „jak pan ducha jego siedzi lekko na swoim tronie.“ W scenie następującej pomiędzy Egmontem i księciem Oranii piękném jest wystawienie dowodzeń różnych, rozmaitych poglądów ich na stan kraju. Księżę namawia go do ucieczki, dopokąd jeszcze można, ale on przeczuwa, że ucieczka ta przyspieszyłaby wojnę domową i pozostaje.

Akt trzeci jeszcze raz sprowadza na scenę księżnę i Machiavellego; jeszcze raz rozmawiają oni przy nas o zamieszkach krajowych. Scena ta zmienia się w dom Klarki i tu jesteśmy świadkami tego wyborczego widzenia się, które W. Scott przeniósł do swego Kenilworta, w miejscu kiedy Leicester objawia się Robsart'owi w swoim książęcym przepychu. Jakkolwiek piękną może być ta scena, przecież nie może zastąpić ona aktu całego w dramacie, osobliwie aktu trzeciego, bo nic w niej nie dokonało się, nic nie zostało nawet oznaczoném w rzeczy rozwoju historyi; akcyja usypia, dla tego, abyśmy mogli przypatrzeć się tymczasem zachwytowi dziecka, miłości niewieściej i czułości mężkiej.

Czytelnik usposobienia poetycznego, ujęty tą sceną, zapewne oburzy się krytyką, szpiegującą usterki w sztuce i ogłosi obraz ten jako rzecz wyższą daleko od wszelkiego

effektu dramatycznego. „Co za pedanterya, powie, mówić o technicznych wymagalnościach w obliczu podobnej sceny.“ Potém zdaniu machnie pogardliwie ręką na krytykę, by ustąpiła na stronę. Jakkolwiek bądź, obowiązkiem krytyki jest rozważać dramat w stosunku do wymagań sztuki. Jeżeli poeta przedsięwziął pisać tragedję, musi ulegać wymaganiom tego rodzaju poczyi. Jakkolwiek możemy lubować sobie w obrazach Goethego, wystawionych w trzecim akcie Egmonta, musimy jednakże przyznać w duchu, że Szekspir, gdyby dawał nam podobne, niezawodnie poddałby je pod wodzę organizmu żywego sztuki, tak że te, zajmując w nim stosowne miejsce służyłyby razem do postępu i rozwoju akcji; Szekspir bowiem nie był tylko poetą, ale był jeszcze dramatycznym poetą.

Akt czwarty wystawia nam znowu mieszczan, rozmawiających o czasach swoich, które coraz więcej stawały się burzliwemi. W następnej scenie księżę Alby, ów okropny Alba, ukazuje się, spełniwszy wszystkie swoje plany.

ALBA. Podczas kiedy księżęta są w moim gabinecie, pospieszcie zatrzymać sekretarza Egmonta. Wypełniliścież wszystko, co jest potrzebném do przytrzymania innych.

SILWA. Bądź spokojnym. Cień tych dwojga, jak pomrok zaćmienia słonecznego, padnie i na tantych.

ALBA. Strzegąż ich pilnie wszystkich?

SILVA. Wszystkich. Osobliwie Egmonta. Jest on jedynym, którego postępowanie zostało niezmienném od twego przybycia. Po całych dniach jeździ konno, sprasza gości jak zwykle, wesół i bawi innych u stołu; gra w kości, strzela, a w nocy wymyka się do kochanki. Inni, wszyscy zmienili sposób życia; siedzą w domu i patrząc na ich mieszkanie sądziłbys, że w niem choroba się gnieździ.

Księżę Oranii umknął, ale Egmont pozostał. Długa dy-skussya bardzo argumentacyjna, ale nadzwyczaj niedramatyczna, pomiędzy Albą a Egmontem, kończy się przyaresztowaniem ostatniego.

Akt piąty ukazuje Klarkę na ulicy, usiłującą pobudzić Brackenburga i mieszczan do zamieszania i oswobodzenia

Egmonta. Wiele jest życia w tej scenie, w której miłość podnosi dziewczę proste do godności bohaterki. Mieszczanie są potrwożeni i drżą spodziewając się usłyszeć imię Egmonta:

KLARKA. Stójcie! Stójcie! Nie uciekajcie na dźwięk imienia jego, bojąc się spotkać z tym, na spotkanie którego biegliście niedawno jeszcze w takiej radości, kiedy szmer zapowiadał jego przybycie, kiedy krzyki obijały się wszędzie: „Egmont przybywa! Przybywa z Gandawy!“ O! wtedy szczęśliwymi byli ci, co mieszkali przy ulicy, którą szedł jego orszak. Cóż powiedzieć kiedy już słyhać było stąpanie jego konia, czyż nie rzucał się każdy, opuszczając warsztat i pracę, kiedy promyk nadziei i radości rozjaśniał wszystkich, jakby wschód słońca w ranek pogodny oświecał te wszystkie zmęczone trudem twarze, wyglądające z każdego okna domów rzemieślniczych. Wówczas stojąc u drzwi swoich, podnosiliście w górę dziatki wasze, a wskazując na niego, wołaliście: „Patrzcie—oto jest Egmont, ten co się wznosi po-nad wszystkich! Od niego to macie wyglądać dni lepszych od tych, jakich zaznali ojcowie wasi.“

Trudno jednakże po tych słowach poznać w Egmoncie Goethego, Egmonta ludu.

Tak często wspominaliśmy tu Szekspira, porównyując go z Goethym, że nie od rzeczy będzie rzucić na chwilę wzrokiem na podobny ustęp w *Koryolanie*, aby postrzedz odrębny charakter stylów dwóch tych dramatyków:

„Wszyscy mówią o nim, nieruchome oczy każdego na niego są wykierowane; —

Gadatliwa mamka w zachwyceniu.

Pozwala krzyczeć swemu malcowi, podczas kiedy sama nim się lubuje; kucharka, przywdziewa swój najbogatszy naszyjnik i wspina się na parkan, aby tylko spojrzeć na niego; stajnie, obory, okna jakby nasiane są ludem; około murów konni się cisną, każdy wygląda inaczej, a wszyscy tłoczą się, aby go choć okiem zajrzeć; rzadko wychodzące *flaminy* przemykają się w tłumie pospólstwa, rozpierając go łokciami, aby sobie wynaleźć choćby lichy zakątek; a na-

sze przysłonięte matrony darmo usiłują zakryć rąbkiem swoje wypogodzone twarze przed gorącymi pocałunkami Feba. . . .“

Klarka, nie mogąc pobudzić pospólstwa, odprowadzoną zostaje przez Brackenburga do domu. Scena odmienia się na więzienie Egmonta, w którym on mówi do siebie o swoim przeznaczeniu; teatr odmienia się znowu i przedstawia Klarke, oczekującą w niespokojności śmiertelnej na Brackenburga, co ma przyjść do niej i przynieść jej nowiny. Przychodzi nareszcie i mówi jej, że Egmont skazany na śmierć. Ona bierze truciznę, a Brackenburg zrozpaczony postanawia także odebrać sobie życie. Ostatnia scena jest bardzo długa i jeszcze bardziej słaba. Egmont widzi się z synem Alby, którego stara się nakłonić do pomożenia mu do ucieczki; nie potrafiwszy wymóżyć tego na nim, idzie położyć się spać i tu Klarka objawia mu się we śnie w postaci swobody. Podaje mu wieniec laurowy. Obudza się i znajduje się w więzieniu, napełnioném żołdactwem, którzy prowadzą go na stracenie.

Wielkie są nierówności w sztuce i różnaitość w stylu; dzieło było pisane w trzech rozmaitych okresach żywota poety i chociaż dzieło ukończone może skorzystać z przejrzenia go w wiele lat potem, jednakże będąc pisane w przerwach zawsze musi na tém stracić wiele. Dzieło sztuki powinno być ukończone nim farby oschną na niem, inaczej zmiany ducha artysty pod wpływem czasu dokonane dadzą się poznać każdemu w różnorodności części budowy dzieła. Egmont został był pomyślany w okresie, w którym Goethe zostawał pod wpływem Szekspira; wykonany został potem, w okresie kierunku klassycznego. Brak mu burzliwego życia Götz'a i spokojnego wdzięku Ifigenii. Szyller myślał, że zakończenie zanadto było w stylu opery; zdaniem zaś Gervinusa jest, że Goethe, gwoli pomagania Kayser'owi, zajmując się w tym czasie bardzo operą, nadał całemu dziełu pozór i obrót operowy. Lewes nie znajduje tego, widzi tylko brak budowy dramatycznej, co jest widnym także we wszystkich późniejszych jego dziełach; rze-

telnie mówiąc, zdaje się, Goethe nie rozumiał, czego mianowicie wymagał dramat, aby być zarówno dramatem jak i poematem; pokaże się to jasnie w przykładzie potém. Pomimo to wszystko jednak Egmont podoba się czytelnikowi, jakeśmy to powiedzieli wyżej, przystępując do rozbioru téj sztuki.

Goethe powrócił z Włoch z wielkimi zasobami, ale wrócił wcale niezadowolony. Same bogactwa, jakie był tam nagromadził ciężły mu, odkrywając przed nim nowe zagadnienia i nowe widoki, „wszelkie bowiem doświadczenie jest jakby arkadą, przed którą wygląda świat niezcho dzony, którego krańce coraz więcej ustępują, im więcej się do nich zbliżamy.“

Przekonał się był w Rzymie, iż życie całe nauki nie wystarczyłoby dla chciwych poszukiwań umysłowych; z żalem tedy porzucił Włochy. Powrót do domu był jakby żałobą; przybycie było jeszcze boleśnieszém. Każdy, kółkolwiek przeżył kiedy kilka miesięcy po-za obrębem dawnych przyzwyczajęń i znajomości i poczuł w nowym świecie szersze, stosowniejsze dla siebie i celi własnych warunki bytu, zrozumie łatwo, że powracając nanowo do dawnéj kolei żywota i znajdując to wszystko takiém, jakiém je zostawił — poczuje się sam, jakby obcym w pośród swoich. Już musiałoby być tak, wracając do mieszkania w wielkiéj jakiéj stolicy, a cóż dopiero, powróciwszy z Włoch do Wejmaru! Jeżeli wjeżdżając do Londynu w powrocie z obcych krajów, znajdujemy przyjaciół naszych przy tych samych zajęciach, jakie były przedmiotem ich zabiegów przed wyjazdem naszym, znajdujemy też same plotki towarzyskie, też same rozinowy o książkach, o których szeroko rozprawiano przedtém, te same afisze, poprzylepiane na tychże samych, co do joty, ulicach, zdaje się nam wówczas, że świat stał tu nieruchomie, podczas kiedyśmy sami tyle a tyle przeżyli; cóż musiało dopiero wydawać się Goethemu, kiedy wrócił był z Italii błogosławionéj z duszą przepełnioną doświadczeniem i nowemi ideami i patrzył na cichutkie uliczki Wejmaru? Zdawało

się mu, że nikt go nie pojmuje, nikt nie współczuje z nim ani w jego entuzjazmie, ani w jego tęsknocie. Znalaziono go zmienionym, on zaś znalazł ich ruszających się powoli w tém samym szczupłym kółku, w jakim się obraca koń ślepy wprzężony do deptaka.

Najprzód powiedzmy tu, że wróciwszy, Goethe postanowił sobie żywot swój poświęcić wyłącznie sztuce i nauce, wyrzekając się czasych zajęć służbowych. Z Rzymu tak pisał był do Karola-Augusta: „Jakże jestem ci wdzięcznym, żeś mi dał ten nieoszacowany czas swobodny. Dusza moja od dzieciństwa tęskniła do tego; nigdy nie będę spokojnym, aż dojdę do takiego stanu swobody artystycznej. Zajęcia się moje interesami powstały ze stosunków osobistych z tobą księżę; teraz pozwól, aby z poprzedzających stosunków wyrodziły się nowe. Mogę powiedzieć rzetelnie, iż w samotności tych oto ośmiestu miesięcy na nowo odzyskałem siebie, swoje przyrodzenie moralne. Odzyskałem siebie, jako artystę. Czémże innym mogę ja być kiedykolwiek, sam możesz patrzeć i osądzić. Przez całe życie twoje okazywałaś zawsze ten zmysł książęcy poznawania ludzi, czém są i do czego są zdolni; zmysł ten wzrastał coraz więcej, jak o tém przekonuje się z listów twoich; poddaje się temu intuicyjnemu przeczuciu. Wzywaj pomocy mojej w téj symfonii, którą zamysłasz odgrywać, a ja zawsze będę najszczęśliwszym, jeżeli będę mógł ci rzetelnie usłużyć radą moją. Pozwól niech u boku twego spełnię bieg żywota mego; wtedy siły moje, jako nowo-odkryte źródło, łatwo się nakierują tu lub ówdzie. Widzę, co zrobiła dla mnie ta podróż, jak ona oczyściła i rozjaśniła byt mój. Widziałem piękny kawał świata; następstwo tego jest takie, że chcę żyć z tobą i twoimi. Tak, chcę być więcej jeszcze twoim niż byłem dotąd, jeżeli tylko każesz mi robić to, do czego jestem zdolnym, a oddasz resztę innym. Uczucia twoje dla mnie, wyrażone w pismach twoich, tak są piękne, tak dla mnie pochlebne, że wywołują na twarz moją rumieniec wstydu, i tyle tylko mogę powiedzieć:

„Panie, oto jestem przed tobą, uczyni ze sługą twoim, jak ci się spodoba.“

Mądry książę odpowiedział na to szlachetnie. Uwolnił on przyjaciela swego od prezydencyi izby i od zarządu wydziałem wojennym, ale zachował dla niego honorowe miejsce w radzie swojej „ilekroć inne jego zajęcia pozwolą mu w niej zasiadać.“ Poeta pozostał nadal doradcą księcia swego, ale został swobodnym od innych ciężkich obowiązków. Dyrekcya komitetu górniczego i wszelkich artystycznych i naukowych zakładów pozostała przy nim; pomiędzy temi przy nim pozostała także dyrekcya teatru.

Znajdowano powszechnie, że stał się zimniejszym w obejściu od czasu swojej podróży włoskiej; proces krystalizacyi charakteru poety postąpił nagle; oprócz tego następstwa rozwinięcia moralnego, któreby nastąpiło było, chociażby Goethe nie opuszczał był Wejmaru, zmieniły się nawet jego uczucia dla otaczających go: im mniej go rozumieli, tém więcej zasklepiął się w sobie samym. Ci, co go rozumieli, jak Moritz, Meyer, książę i Herder nie mieli powodu do skargi.

Przez pierwszych kilka tygodni, ma się rozumieć, stale bywał u dworu. Tak księga Hof-Courier'a świadczy, że na drugi dzień po powrocie Goethe jadł obiad u dworu. Było to 19 Czerwca. To samo 20, 22, 25, 27, 28, 29 i 30. W Lipcu 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 11, 12, 14, 16, 17, 18, 19, 20 i 21 i tak dalej, nieprzerwanie prawie, do Września. Brak zajęć oficjalnych scieśnił jeszcze bardziej związek przyjaźni; oprócz tego każdy był ciekawym usłyszeć o jego podróżach, a on rad był opowiadać o nich.

Ale, jeżeli Wejmar skarżył się na zmianę, do której się zresztą prędko przyzwyczaił, była jedna osoba, mająca głębsze powody do narzekań, a której przyrodzenie nie dość było mocne, aby ją przenieść; osobą tą była pani Szejn. Nieobecność ochłodziła była zapal jego namiętności. W Rzymie, do ujemnego wpływu nieobecności, przyłączył się jeszcze wpływ dodatni nowego przywiązania. Wrócił do Wejmaru, jeszcze wdzięczny kochance dawniej

za szczęście, które mu była dała, czując jeszcze w głębi serca ten rodzaj przywiązania, którego nic nie mogło zniszczyć i które nie opuszczało go do ostatniego czasu, ale nie było już, za powrotem, w duszy jego téj namiętności, którą umiała w nim budzić przez lat dziesięć; wrócił z zupełnym przekonaniem, że przeżył już miłość swoją. Obecność kochanki nie mogła odżywić ognia w popielisku, ubóstwiana bowiem liczyła już 45 lat wieku! Łatwo sobie jest wystawić, jak ślady wieku tego musiały być uderzyć go po jego powrocie. Gdyby był jój nigdy nie opuszczał, zmiana ta postępowałaby powoli, niedojrzana dla oka; ale tyle miesięcy nieobecności musiały być zedrzyć zasłonę z oczów: była kobietą czterdziestopięcioletnią dla niego jak dla wszystkich. W téj niebezpiecznej przepawie obrała sobie najgorszą drogę; widziała odmianę w nim i wymówiła mu to zaraz, wymówiła w sposobie, który wykazał mu jeszcze dobitniej zaszłą odmianę w jego bożyszczu. Czuła chłód w jego postępowaniu i ucieczką jój stały się ustawiczne wyrzuty czynione z tego powodu; środek ten więcéj daleko był kobiecym niż korzystnym. Zamiast tego, aby sympatyzować z jego tęsknotą za Włochami, ona widziała w niej urazę dla siebie; zapewne że nie była ona dla niéj wcale komplementem, ale może serce szlachetniejsze, szersze, serce posiadające więcéj abnegacyi niewieścicéj, potrafiłoby zagłuszyć swoją własną boleść we współczuciu z ukochaną osobą. Żałował Włoch; kochanka nie wynagradzała mu téj straty; widziała to jasno i jój miłość własna cierpiała na tém. Owa kokietka, trzymająca tak długo w więzach swoich tego męża, nagle ujrzała niewolnika swego uciekającego z pęt swoich. Był to moment bolesny. Ale nawet w takiém położeniu, piękna natura kobieca znalazłaby była pociechę (gdyby związek podobny nie nosił zawsze, sam w sobie, zarodów kary i upokorzenia); mogłaby była baronowa z kochanki pozostać przyjaciółką poety, a przyjaźń podobnego męża więcéj zapewne byłaby wartą niż miłość innego mężczyzny. Ale tak nie było, (bo zwrot podobno, przyjęty dobrowolnie, byłby powrotem z występku

do cnoty, a zmiana podobna nie dzieje się za wodzą uczuć światowych).

Przed ostatecznym zerwaniem stosunków Goethe jeździł jeszcze z baronową do Rudolstadt i tam po raz pierwszy miał rozmowę z Szyllerem, który tak o tém widzeniu się pisał później do Körner'a (12 Września 1788 r.): „Nareszcie mogę ci napisać o Goethym i zaspokoić, pod tym względem, ciekawość twoją. Z pierwszego rzutu oka wydał mi się wcale inaczej, jak go sobie wyobrażałem. Jest on średniego wzrostu, trzyma się sztywnie i chodzi wyprostowany, nie ma on w obejściu wyrazu otwartości, ale oko jego pełne jest ekspresyi, żywe i z przyjemnością patrzy się na jego spojrzenie. Z wielką powagą układ jego łączy wiele dobroci i uprzejmości. Jest on smagławy i wydaje się starszym, niż jest rzetelnie. Głos ma przyjemny bardzo, mówi płynnie, słowo jego pełne jest życia i dowcipu; z przyjemnością słucha się go kiedy przemówi; kiedy jest w dobrém usposobieniu ducha, jak to się właśnie zdarzyło w tę porę, mówi ochotnie i z wielkim zajęciem. Prędkośmy się zbliżyli z sobą i to bez najmniejszego usiłowania; koło było za obszerne i kaźden zanadto był w chęci mówienia z poetą, żebym mógł mówić z nim wiele sam, albo żeby można było zagaić rozmowę o czém inném, jak o ogólnych przedmiotach konwersacyi towarzyskiej... W ogóle muszę wyznać, że wszelkie moje wyobrażenie o nim nie zmniejszyło się wcale po poznaniu się osobistem z autorem Werther'a; wątpię jednakże, czy będziemy kiedy z sobą poufale. Wiele z tego, co mię dziś żywo zajmuje, on już przeżył oddawna; jest on, mniej laty niż doświadczeniem i ukształceniem, tak odemnie starszym, że nigdy nie potrafimy zbliżyć się z sobą; cała jego istota jest zupełnie różną od mojej; świat jego nie jest moim światem, wyobrażenia nasze całkiem są odmienne. Zresztą czas wszystko okaże.“

Gdyby Szyller mógł był zajrzeć do duszy Goethego, zobaczyłby, że w niej była większa daleko przestrzeń, od dzielająca ich od siebie, niż to sobie nawet wyobrażał.

W tej chwili Goethe był właśnie nie usposobionym do przyjaźni z Szyllerem, widział bowiem w nim potężnego sofistę, psującego naród. Wyznał, jak go męczyło to, kiedy po powrocie swoim z Włoch widział Niemcy unoszące się nad *Ardinghellem* Heinse'go, nad *Rozbójnikami* i *Fieskiem*; oddawna i na zawsze odtrącił był od siebie błędy szkoły *Sturm und Drang* nazwanej; przerósł już był tę dążność i nie lubił nawet własnych dzieł swoich, pisanych jeszcze w tym okresie; we Włoszech przyjął był nowy kierunek, spodziewając się, że naród pójdzie za nim w te wyższe krainy, jak szedł był dotąd za nim stale. Ale w miarę jak on sam postępował, naród stał spokojnie; zamiast tego, by miał iść za nim, szedł on za najszaleńszymi jego naśladowcami. Spodziewał się on zachwycać ziomek widokiem spokojnej, idealnej piękności Ifigenii i jasnym heroizmem Egmonta, znalazł tymczasem publikę zachwyconą *Ardinghellem* i *Karolem Moor'em*. Nakładca jego skarżył się przed nim, że nowa edycja dzieł jego, edycja kosztująca go tyle pracy i starań, rozchodziła się bardzo powolnie, podczas kiedy bardzo korzenne dzieła współzawodników jego sprzedawały się tysiącami.

Schüler macht sich der Schwärmer genug und rühret die Menge,
Wenn der vernünftige Mann einzelne Liebende zählt.
Wunderthätige Bilder sind meist nur schlechte Gemälde,
Werke des Geist's und der Kunst sind für den Pöbel nicht da.

(Marzyciel dość pozyskuje uczeni dla siebie, poruszając tłumy, podczas kiedy człowiek rozsądny liczy zaledwo kilku przyjaciół. Obrazy, obudzające największy podziw tłumu, powiększanej części są złą mazaniną, dzieła zaś ducha i sztuki martwemi są zwykle dla oczu społeczeństwa).

W tym usposobieniu ducha naturalną było rzeczą, że Goethe trzymał się zdala od Szyllera i długo, pomimo wszelkich usiłowań, nie mogła pomiędzy nimi nastąpić wielka poufałość. „Gdybym często przestawał z Goethym — pisał następnie Szyller w miesiącu Lutym — byłbym nieszczęśliwym; z najbliższymi swoimi przyjaciółmi nie ma on chwili

jednej wylania się; myślę, że musi być samolubem w wysokim stopniu. Ma on dar podbijania sobie ludzi i zobowiązywania ich sobie równie wielkimi, jak i małemi względami; posiada oprócz tego sposób pozostania samemu swobodnym. Daje się on uczuć łaskawym, ale w sposobie bóstwa, nie oddając się nawzajem; zdaje mi się to być postępowaniem konsekwentnem i dobrze obmyślanem, jedy-ném jakie może zabezpieczyć najwyższą uciechę miłości własnej. . . . Dla tego stał się mi on nieznosnym, chociaż wielbię geniusz jego z całego mego serca i trzymam o nim wysoko. . . . Osobliwszą mieszaninę miłości z nienawiścią obudził on we mnie ku sobie, uczucie podobne do tego, jakie Brutus z Kassysuszem musieli byli żywić dla Cezara. Mógłbym zabić ducha jego, a potem kochać go znowu od serca.“ Dziwnemi wydają się te ustępy dziś, kiedy wiemy o tém, jak potem Szyller pokochał był Goethego i jaki miał dla niego szacunek. (Ale tak bywa w życiu ludzkim— zbliżamy się i oddalamy od siebie, w miarę jak przeistaczamy się a następnie zbliżamy się duchem, za wodzą dojrzenia własnego moralnie, za wodzą doświadczenia życia, a może także za wodzą okoliczności i nie raz zapewne kaprysu, który także czasami zbliża i rozdziela ludzi).

„Nie będę się porównywał z Goethym— brzmi jeden z następnych listów Szyllera — osobliwie wtedy, kiedy przyłoży do czego całą swą moc. Ma on daleko więcej odemnie geniuszu, daleko większe bogactwo wiedzy, dokładniejszą władzę zmysłowej bierności (eine sichere Sinnlichkeit), a do tego wszystkiego łączy jeszcze smak artystyczny, wykształcony i zaostrzony znajomością wszelkich dzieł kunsztu.“ Ale razem z uznaniem tém wyższości łączyło się uczucie nieprzyjemne zawisłości szczęślijszego losu Goethego, uczucie, które jego niefortunne położenie towarzyskie wymawia nawet w pewnym względzie. „Odkryję ci serce moje— pisze do Körner'a — człowiek ten, ten Goethe, zawsze musi stać mi na mojej drodze, aby mi przypomnieć, że przeznaczenie twardo postąpiło sobie ze mną. Jak łatwo szło

mu z jego geniuszem, a jak ciężko muszę ja bojować aż do dziś dnia z moim losem!“

Rzeczywiście że ciężki był los Szyllera. W korespondencyach jego wszędzie przebijają się, sprawiając na czytelnika przykre uczucie, ustawiczne troski drobnostkowe o środki utrzymania się. Zdrowie było słabe, interesa złe; widzimy go, że musi piórem zarabiać jak rzemieślnik i to bez korzyści znacznej. Zmuszonym był tłómaczyć za kilka talarów, szczęśliwy jeżeli znalazł czasami pomocników, którzy wyręczyli go za tańszą cenę. Widzimy go natchnionego myślą wysoką, gdy z drugiej strony nędzą go cisnie. W nim samym bój się toczy; widna w nim jeszcze burzliwa epoka młodości pierwszej, widocznie nie doszedł był jeszcze do jasnego poglądu wieku męskiego, a nic mu nie przychodzi w pomoc z życia, coby ustaliło i posunęło naprzód wątek rozwoju ducha poety. Goethe, przeciwnie, nie znał podobnych trosk nigdy; całe swoje życie nie doświadczył on cisnącej ręki ubóstwa, (to też głębsza strona duszy ludzkiej, jaką odkrywa nam cierpienie, była mu nieznaną; boleść w poezyi — zwał on pieśnią szpitalną i zdaje się, że nigdy autor Werthera nie wycisnął łzy serdecznej z oka), kiedy Szyller rozmyślał o tém wszystkiém, musiał był pomimowolnie obwiniać przeznaczenie swoje, jako złą macochę (jeżeli nie potrafił się być wznieść do wysokiej idei chrześcijańskiej — do idei Opatrzności, co różnemi drogami, przez boleść i kwieciste łąki, prowadzi swe dzieci do wytkniętego im celu. Gdyby Szyller podniósł się był choć raz do tego stanowiska, postać jego byłaby większą, uniwersalniejszą w dziejach. Przyroda jak matka wykołysała Goethego i on oddał się jój duszą całą; celem jego muzy było oddanie spokojne wdzięków przyrodzenia; nędzą, boleścią, cierpienie chorobliwe, zgryzoty domowe, odrywały duch Szyllera od świata i skupiały go wewnątrz siebie; cóż, kiedy tak skupiony duch poety więcej daleko gonił za formułami filozofii Kanta i Fichtego, niż za treścią moralną mądrości chrześcijańskiej! Obaj poeci Goethe i Szyller wyrazili byli dwie dążności czasu swego: Goethe ubóstwienie

pantheistyczne natury, Szyller ubóstwienie autonomii duchowej, skupionej w jednostce ludzkiej).

Goethe miał swoje troski, ale te były innej natury; nosił on w sobie płomień geniuszu, płomień co pożera oświecając. Bojowanie jego było z sobą, nie z okolicznościami. Czuł się on niepoznanym; mało było takich, coby zrozumieli słowo jego, a nikt nie rozumiał jego celów. Zasklepił się więc w sobie. (Dla czego Goethe nie był pojęty? Bo w dobie tej ludzkość czuła próżnię w swęj piersi i chciała była ją zapełnić; sucho i spiekło było tam jak w pustyni, a nie było na świecie całym proroka, coby ruszczką Mojżesza wyprowadził źródło orzeźwiająjące z opoki. Ani pantheizm przedmiotowy Goethego, ani panteizm podmiotowy Szyllera nie mogły były tego dokonać. Bajron poruszył był tę Saharę jak uragan ale jęj nie ożywił — potrzeba było cudu, a cud — jak przyznał to sam autor Fausta:

..... ist des Glaubens liebstes Kind!

jest ulubioném dziecięciem wiary).

Wracając do wzmiankowanego wyżej widzenia się Szyllera z Goethym, faktem jest ważnym to, że, jakkolwiek głośném stało się potém imie autora „Rozbójników,“ wówczas różnica pomiędzy Goethym i Szyllerem była wielka w opinii ogółu i ostatni był tylko „młodym, obiecującym pisarzem.“ Pierwsze dzieła jego były popularnemi w Niemczech, ale podobnegoż rozgłosu były pisma Klinger'a, Maler'a, Lenz'a, Kotzubeugo i innych, którym jednakże zalet wielkich krytyka nie przyznała potém. Szyllera nie potrafiiono ocenić wówczas; kiedy przybył był do Wejmaru, sam się na to uskarża z podziwieniem, jak nie mnięj z uczuciem obrażonej miłości własnej, że Herder znał go tylko z imienia. Goethe, w oficjalném odniesieniu się, polecającém Szyllera na profesora do Jena, mówi o nim, jako o *Herr Fryderyku Szyllerze*, autorze dzieła historycznego o Niderlandach. Nietylko dążność Szyllera obudzała wstręt w Goethym, ale nie miał był on nawet w oczach jego tej pozy-

cyi, która nakazuje szacunek dla współzawodnika; Goethe zanadto uważał sztukę za przedmiot ważny w rozwoju ludzkości, aby różnica jęj dążności miała być mało znaczącą rzeczą.

Teraz opowiemy ważny wypadek w życiu Goethego. Pewnego dnia 1788 r. poeta nasz, przechadzając się w ulubionym przez siebie parku, napotkał w nim świeżę, młode, jasnookie dziewczę; zbliżyło się ono do niego z wielką ukłonami i podało mu prośbę. Spojrzał najprzód w jasne oczy proszącej, a potem w papier podany, w którym proszono wielkiego poetę, aby użył wpływu swego, w celu wyrobienia jednemu młodemu autorowi, mieszkającemu pod ten czas w Jena i zarabiającemu na chleb powszedni przekładami z francuzkiego i włoskiego języków. Młody ten autor nazywał się Vulpius, którego romans *Rinaldo Rinaldini* zjednał był sobie europejską famę. Dzisiaj żartujemy sobie z Rinaldiniego, ale musiało być coś w nim, kiedy stał się on tak *poczytnym* wszędzie; było tu wiele fantazyi obudzającej interes i przerażenie, jak w romansach Diumasa, obiegających dzisiaj Europę. Był to brat Chrystyny Vulpius, pięknej oddawczyni prośby; był to pierwszy krok na tej drodze, która ją zaprowadziła potem do zamężcia. Chrystyna z wielu względów jest interesującą figurą dla tych, co z żywym zajęciem czytają żywot Goethego; miłość, którą obudziła była dla siebie w sercu poety, jako też poświęcenie się jęj, z którym przez dwadzieścia ośm lat służyła mu jak sługa wierna, warte są większej uwagi niż zwykle poświęcono jęj w innych biografiach. (Pani Sztejn i Chrystyna Vulpius — to dwie *metressy* poety; o pierwszej piszą wiele, chociaż przyznają to, że była kokietką, ale, jako baronowa, zwracała ona na siebie uwagę świata; druga zaś była równie występna, ale, że była *nizkiej kondycyi*, patrzono na nią z pogardą. Przecież ona jedna może, ofiarą szczerą życia całego, okupiła słabość swoją, słabość ginącą w pośród zepsucia wieku: kto by chciał ją potępić, musi pomimowoli przypomnieć sobie słowa Zbawiciela: „wiele jęj będzie odpuszczoném, albowiem wiele kochała.“ I ta

moc uczucia pokonała wszystko, pokonała nawet serce samolubne poety; podczas kiedy tyle kobiet nie potrafiło było przywiązać do siebie stale Goethego, biedna *sluga* została nareszcie *żoną* człowieka, o którego serce i rękę ubiegało się tyle pań pięknych. Niech mówią sobie, co chcą, niech sobie Wieland zwie syna Goethego synem *niewolnicy*, jednak przyznać należy, że w tej pokorze, w tym poniżeniu dobrowolnym Chrystyny jest coś takiego, co zwraca na się osobliwszą naszą uwagę).

Ojciec Chrystyny należał do tych nieszczęśliwych istot, których nałóg brzydki opilstwa, powoli, ale stale prowadzi całą rodzinę do nędzy. Nieraz ostatnią suknię z grzbieta swojego zciągnął, aby ją zamienić na trunek. Kiedy dzieci podrosły, musiały były opuścić go, aby się starać same na siebie; syn zajął się literaturą, córka robieniem kwiatów ⁶⁾ i innych robót ręcznych. Mówią powszechnie, że Chrystyna była bez wychowania, bez wykształcenia żadnego, i pióro epigramatyczne lubi powtarzać to, że Goethe „ożenił się był ze swoją służącą.“ Rzetelnie zaś nie była ona służącą, najętą do usług; służyła ona Goethemu z miłości; nie brakło jej także na ukształceniu. Położenie jej towarzyskie było niskie, jak widzimy to z poprzedzających o niej szczegółów, ale że miała ona wychowanie, widno z faktów, o których nie można wątpić, a mianowicie, że dla niej Goethe napisał *Elegie rzymskie* i *Metamorfozy roślin*; w jej towarzystwie oddawał się on także studjom optycznym i botanicznym. Nie możemy tego wiedzieć, do jakiego stopnia rozumiała ona te rzeczy; pewna jest jednakże, że gdyby nie okazywała w tym względzie pojętności, nigdyby jej o tym nie mówił. Czas swój, mówi Goethe, nie spędzali tylko na samych pieszczotach, ale zajmowały go także poważne rozmowy:

Wird doch nicht immer geküsst, es wird vernünftig gesprochen.

Jestto rzecz pewna. We wszystkich swoich korrespon-

⁶⁾ Szczegół ten da czytelnikowi klucz do poematu *Der neue Pausias*.

dencyach zawsze widzimy jak lubi traktować o rzeczach, interesujących jego korespondentów, usuwając stale na stronę to, co go samego tylko zajmuje. Pomiędzy tylą przedmiotami, któremi się lubił zajmować musiały być takie, które interesowały Chrystynę, mogły więc posłużyć za temat do ich rozmów, niepotrzebując rozmawiać z nią o fenomenach naukowych, którychby nie była w stanie pojąć. Jest jedna z *Elegii* (rzymskich), ósma mianowicie, dająca w sześciu wierszach rzetelny obraz rodzaju dowcipu i tego rodzaju piękności jaką zdołała się w oczach jego kochanka; nie był to spryt z tego rodzaju, jakim się zwykle lubują bakałarze, nie odznacza się on bowiem zdatnością do książkowej nauki, jako też wdzięk nie z tego gatunku, jakim się piętnuje zwykle smak konwencyonalny, brak w nim bowiem powszechnie przyjętej regularności rysów:

„Wenn du mir sagst, du habest als Kind, Geliebte, den Menschen
Nicht gefallen, und dich habe die Mutter verschmäht
Bis du grösser geworden und still dich entwickelt; ich glaub' es:
Gerne denk' ich mir dich als ein besonderes Kind
Fehlet Bildung und Farbe doch auch der Blüthe des Weinstocks,
Wenn die Beere gereift, Menschen und Götter entzückt.“

(Kiedyś mi mówiła, że dzieckiem będąc nie podobałaś się ludziom, że matka cię nawet nie bardzo lubiła, dopóki nie stałaś się większą i nierozwinęłaś się bujnie; wierzyłem ci łatwo, chętnie bowiem lubię cię wyobrażać sobie, jako jakąś szczególną dziecinę. Czyż nie brakuje równie barwy i woni kwiecica macicy winnej? Lecz kiedy dośpieją jój grona, to upajają bogi i ludzi zarówno.)

Zapewne, że w takim razie należy wierzyć słowu poety!

Ale sprostowując powszechny błąd nie wpadajmy też w przeciwną mu ostateczność. Chrystyna miała swój urok, nie była jednakże wysoce udarowaną kobietą. Nie była ona panią Sztejn, zdolną być towarzyszką i współpracą najwyższych natchnień poety. Spokojny, macierzyński umysł, umysł żywy, serce kochające, wielkie usposobienie do zajęć domowych, były jój przymiotami; była wesoła, umiała rozjaśnić czoło poety, lubiła zabawy aż nadto nawet i —

jak to można wyczytać w natchnionych przez nią poematach — mniej była kochanką duszy wieszca, niż jego upodobań. Jój ciemno-złote kędziory, oczy śmiejące się, pełne jagody, usta nęcące, mała i zgrabnie zaokrąglona twarz, nadawały jój „postać młodego Dyonisa 7).“ Naiwność jój, równie jak jój humor wesoły i miły temperament, zupełnie oczarowały były Goethego, co widział w niej jeden z tych swobodnych, zdrowych utworów natury, których nie popsuło wychowanie fałszywe. Była jakby dziecięciem Italii zmysłowej, którą tylko co był opuścił z takim żalem; mało jest poematów, w jakimkolwiek bądź języku, coby mogły, choć w przybliżeniu, wyrazić namiętną wdzięczność tych utworów Goethego, w których on wspomina szczęście, jakim go ona upoiła.

Dla czegoż od razu nie pojął on był jój za żonę? Widzieliśmy już, jak Goethe bał się zawsze nawet myśli samej ożenienia; do tego strachu dodać jeszcze należy wielką różnicę położenia towarzyskiego, różnicę tak wielką, iż nie tylko byłby to związek gorszący, ale sama nawet Chrystyna nie chciała była przyjąć tój ofiary. Stahr świadczy, że dotąd jeszcze żyjące osoby słyszały ją mówiącą, że jój była w tém wina, że pobranie się ich nastąpiło tak późno; rzeczą jest pewną, że kiedy urodziła mu syna (na święto Bożego Narodzenia 1789 r.) Augusta, (którego Karol August trzymał do chrztu), Goethe z matką i siostrą wziął ją do siebie i zawsze traktował ją, jako prawą swoją małżonkę. Jakkolwiek on patrzył na to, ogół inaczéj to uważał i nie tolerował łatwo pogwałcenia praw społecznych. Ganił go głośno; nawet wielbiciel poety nie mogli bez zmartwienia myśleć o tém postępku swego ulubieńca. „Naród,“ mówi *Schäfer*, „nigdy nie darował był tego swemu wielkiemu poecie, że pogwałcił prawo i obyczaj; nic tyle nie przeszkadzało do rzetelnego ocenienia jego charakteru moralnego, nic więcéj nie prodziło sądów niesłusznych o dą-

7) Tak mówi o niej pani Szopenhauer, wcale niepodjęrzany świadek.

żności moralnej pism jego, jak to oto małżeństwo Goethego „na lewą rękę.“

Lewes stara się obronić Goethego w następujący sposób, jak gdyby były powody jakie, broniące pogwałcenia prawa moralnego i społecznego: „Nikt zapewne nie może, mówi on, nie ubolewać nad tém, że Goethe, potrzebujący w tak wysokim stopniu czystego, domowego pożycia, nie znalazłby kobiety, którąby mógł być przyznać publicznie za małżonkę, kobiety, którąby pod każdym względem była godną tego zaszczytu, coby była panią domu, towarzyszką życia jego; z drugiej jednakże strony, nikt, znający wszystkie okoliczności, nie zaprzeczy temu, że była w tém także strona odwrótne czysta, w tym ciemnym ustępie żywota Goethego. Wskazawszy na stronę brudną, a osobliwie na jej następstwo towarzyskie, musimy rozważyć z kolei, jakie szczęście przyniosła mu żona, w czasie, kiedy był on sam na świecie, smutny, tęskny, bez pociechy. Chrystyna obdarzyła go rozkoszą ojcowstwa, do którego wzdychało serce jego; obdarzyła go miłością wierną i pełną poświęcenia się; obdarzyła go kobietą, co pilnowała jego domu, wyręczała go we wszystkiém, a razem dała mu pokój święty, którego on oddawna szukał.

Oftmals hab' ich geirrt, und habe mich wieder gefunden,
Aber glücklicher nie, nun ist dies Mädchen mein Glück!
Ist auch dieses ein Irrthum, so schont mich, ihr klügeren Götter,
Und benehmt mir ihn erst drüben am kalten Gestad.

„Nieraz zdarzało mi się pobrać; znalazłem się potem na drodze prostej, ale szczęśliwszym nie znalazłem się nigdy; teraz to dziewczę szczęściem jest dla mnie. Jeżeli i to szczęście jest błędem, to ochrońcie mnie bogi rozsądne, nie wyprowadzajcie mnie z błędu mojego, aż wtedy dopiero, kiedy stanę na chłodnym wybrzeżu umarłych.“

(Ciekawemi są te poczye Goethego, w których poeta spowiada się niejako przed światem ze swojej winy, poczuwając się do niej widocznie; czuć że jeszcze była mocną opinia ogółu. G. Sand, rozwijając dalej myśl Goethego o związkach, na powinowactwie przyrodzonym (die

Wahlverwandschaften) opartych, spowiada się takoz, ale bezczelniej mówi o swojej winie, jakby wyzywając świat do walki. Oto jest postępek wsteczny zła).

Jest list Goethego (nieogłoszony drukiem), pisany w dziesięć lat po pierwszej znajomości z Chrystyną; w nim, jak zakochany szalenie kochanek, żałuje w swojej podróży, że nie wziął był z sobą nic od niej na pamiątkę, choćby pantofla nawet, zawsze bowiem z tym fantem nie czułby się tak samotnym, jak był obecnie. Aby wzbudzić miłość podobną, Chrystyna musiała była być wcale inną kobietą, niż jaką ją lubią wyobrażać w Niemczech. Nareszcie, dodajmy i to jeszcze, że matka Goethego, nie tylko że była kontenta z wyboru syna, przyjęła Chrystynę jak córkę i pisała do niej czule, ale nie chciała słuchać nawet usłużnych intrygantów, starających się przekonać ją o zgorzeniu, jakie sprawił był ten związek syna.

Elegie rzymskie wiele zawierają w sobie ciekawych szczegółów biograficznych z tego okresu; są one wzorowe w swoim rodzaju. Widzimy z nich jak podróż włoska przepełniła Goethego duchem starożytności; jednakże odtwarzając kształty przeszłości jest on wszędzie samodzielnym. Nigdzie, w rzymskiej ani w greckiej literaturach, nie znajdujemy tego zjednoczenia wybornego myśli obejmujących, zdaje się, sobą świat cały, a nadających uroczystość wierszom z osobistą namiętnością, nadającą im moc wewnętrzną. Nie są to proste elegie, wypływające z uczuć osobistych, ale są to *Elegie rzymskie*, są one jakby zwierciadłem świata. W poematach nowoczesnych wszelkie alluzje i wspomnienia klasyczne zwykle bywają chłodne i wymuszone, znać wyraźnie, że powstały z książek, a nie są samodzielnym wytryskiem wyrażenia poetycznego. W tych zaś *Elegiach rzymskich* odżywa przed naszymi oczami świat starożytny; istotnie, możemy czasami myśleć, że to rzetelny utwór świata tamtego. Szlegel wyraził się o nich szczęśliwie, mówiąc, że one wzbogaciły poezję rzymską poematami niemieckimi. *Elegia Amor der Schalk* jest w rodzaju Anakreona, ale jest daleko wyższą od wszystkiego tego, co doszło do nas od tego sta-

rożytnego poety. Antycznością więc jest niepodrobiony zmysł poety dla tego, co jest żywą plastyką, i owa niezamącona trzeźwość namiętności, trzeźwość niezagłuszająca żadnej innej działalności jego przyrodzenia, ale łącząca się z niemi. Tak np. w wyborniej Elegii piątej znajdujemy obraz najżywszej barwy i uzmysłowienia, obraz przecież, co niezawadza bynajmniej akcyi, ale owszem pomaga jój. Co za poemat, co za świat wzruszeń i myśli zawiera się w tych oto kilku wierszach:

Ueberfällt sie der Schlaf, lieg' ich und denke mir viel.
Oftmals hab' ich auch schon in ihren Armen gedichtet,
Und des Hexameters Mass leise mit singender Hand
Ihr auf dem Rücken gezählt. Sie athmet in lieblichem Schlummer
Und es durchglüheth ihr Hauch mich bis in's Tiefste der Brust.

„Gdy sen ją zmorzy nareszcie, leżę i wiele rozmyślam. Nieraz w jój objęciach namiętnych składałem ja wiersze; rytm hegzametryczny, z lekka, ręką muzyczną, wybijałem na jój ramieniu. Teraz oddycha spokojnie we śnie uroczym; a oddech jój ogniem sięga do samej głębi mej piersi.“

Obraz ten, wystawiający poetę, szepczącego rymy, podczas kiedy kochanka jego usypia przy nim, poetę natchnionego ogniem jój piersi, ale zawsze muzyczną dłońią liczącego rytm składającego się wiersza, jest odbiciem wierném całej historyi żywota Goethego. Namiętność rozdmuchiwała ale nigdy nie powstrzymywała ognia jego geniusza; oddawał się on rozkoszy, ale w krótkich jój przestankach czuł on w sobie wysokie cele do których dążył.

Mieszanie osobistych uczuć z formami klassycznymi, tak że te nadawały życie w terażniejszości temu, co obumarło było w przeszłości, może dać się objaśnić następującym przykładem:

Lass dich, Geliebte, nicht reu'n, dass du mir so schnell dich ergeben!
Glaub' es, ich denke nicht frech, denke nicht niedrig von dir.
Vielfach wirken die Pfeile des Amor: einige ritzen
Und von schleichendem Gift kranket auf Jahre das Herz.
Aber mächtig befiedert, mit frisch geschliffener Schärfe,
Dringen die andern ins Mark, zünden behende das Blut.
In der heroischen Zeit, da Götter und Göttinen liebten,
Folgte Begierde dem Blick, folgte Genuss der Begier.

Glaubst du, es habe sich lange die Göttin der Liebe besonnen,
Als im Idäischen Hain einst ihr Anchisses gefiel?
Hätte Luna gesäumt, den schönen Schläfer zu küssen,
O, so hätt' ihn geschwind, neidend, Aurora geweckt.

„Nie żałuj tego, kochana, żeś mi się prędko oddała! Wierz mi, że przez to nie gardzę ja tobą bynajmniej. Romantycy działają strzały Amora: jedne draskają po sercu i od ich jadu długo, a długo, przez lata całe, cierpi serce bolejąc; inne jednakże, ostre a lotne, sięgają do szpiku samego i w momencie jednym ogniem krew zapalają. W czasy bohaterskie, kiedy bogi i boginie kochały, żądza szła za spojrzaniem, a użycie postępowało za żądzą. Myślisz-że droga, że długo namyślała się bogini kochania, kiedy w gaju indyjskim spodobał się był raz jej Anchizes? Gdyby się Luna była ociągała pocałować pięknego śpiocha (Endymiona), to pewno, zanimby jeszcze to nastąpiło, przebudziłaby go ze snu Aurora zazdrośna.“

(Jakkolwiek, pod względem formy, ma to wdzięk piewien, przecież duch poganizmu dziko odbija w obliczu wieku XIX; należy tylko zwrócić tu uwagę, że Goethe, rehabilitując naturę, zmąsły, poprzedził St. Simona i Fouriera i był, właściwie mówiąc, ich protoplastą, na drodze wstecznej, ku pantheizmowi materyalnemu.)

Goethe powiedział Eckermannowi, że metr jest osobliwszą osłoną, przykrywającą nagość wyrażenia i przypuszcza to, czegoby w prozie wyrazić przyzwoicie byłoby rzeczą niepodobną; nawet byłoby to samo, gdyby przyszło się użyć innego, lepszego rodzaju metra. Tak np. twierdzi, że w *stanza'ch* Don Juana materyał Elegii rzymskich wydałby się rażącym. Co do zagadnienia, jak daleko da się usprawiedliwić poeta, zapoznający przepisy właściwe moralności epoki swojej, tak je rozwiązywał Szyller: Prawa przyzwoitości obcemi są dla niewinnego przyrodzenia; tylko doświadczenie zepsucia dało im początek. Jak skoro zepsucie zajęło swoje miejsce, a niewinność przyrodzona(?) zginęła w pośród obyczai, natychmiast przyzwoitość roztacza prawa swoje, których nie pozwala naruszać uczucie moralne. W stanie *sztucznym* mają one tę samą wagę, jaką mają

prawa natury w stanie niewinności. To, co stanowi poetę, jest właśnie to samo, co ruguje zeń to wszystko, co tylko może mu przydać świat konwencyonalny, aby mógł odtworzyć przyrodzenie w jej pierwiastkowej prostocie. Jeżeli tego dokonał, jest już on przez to samo uwolnionym od wszelkich praw, przez które serce zepsute usiłuje zabezpieczyć się przeciwko sobie samemu. Jest on już czystym, niewinnym i co tylko dozwala się przyrodzeniu niewinnemu, dozwala się takżeo jemu. Jeżeli, czytając albo słysząc go, nie jesteś przez to niewinnym, jeżeli nie możesz, na moment nawet, stać się nim, przez oczyszczającą duszę obecność jego, jest to już własną niedolą twoją, ale nie jego; zapoznałeś go i on nie dla ciebie śpiewa.“ (Czuć tu Russa i jego teorię o społeczności, która powstała z zepsucia pierwotnego niewinnego stanu natury. Dziś wiemy, jak mamy trzymać o tém).

Elegie zawierają w sobie wiele szczegółów biograficznych; widzimy w nich wpływ Włoch na ducha Goethego; mówią one żywo o miłości dla Chrystyny. Lewes powiada: inne są hołdy dla jej wdzięków i dla szczęścia, jakiem obdarzyła poetę; ale gdyby nie było innych, już te Elegie, natchnione przez nią, dowiodłyby dostatecznie niesłuszność opinii, którą złe języki Wejmaru utworzyły były o niej, opinii, która, wyznać należy, nabrała była z czasem pozoru prawdy, kiedy Chrystyna przeżyła była młodość swoją i wdzięki, a przyrodzone jej błędy stały się coraz wyraźniejszymi. Nieszczęściem jest Goethego, że uosobnił się on w wyobraźni świata, jako spokojny starzec; rzadko kiedy staje on w myśli, jako świetny młodzieniec. Większa część popiersi, portretów i szczegółów biograficznych pochodzi z ostatniego okresu jego zawodu. Równie nieszczęściem żony jego było to, że świadectwa o niej pochodzą od tych powiększej części, co widzieli byli ją wtedy dopiero, kiedy wdzięk i urok młodości ustąpiły były szpetności i otyłości wieku. Zadaniem jednak życiopisa jest udowodnienie, za pomocą poszukiwań, tego wszystkiego, co było prawdą w rozmaitych okresach zawodu, a nie-

ograniczać się tylko jednym okresem. Chociaż trudno było autorowi dzieła tego przedstawić Goethego „jak on ruszał się, kochał i żył,“ a przecież dokonał tego, tak samo starał się on obronić Chrystynę od fałszywych wyobrażeń jej i plotek, a osobliwie oddzielić to, co się odnosiło do niej w wieku podeszłym, od tego, czém ona była w młodości swojej.

Powiedzieliśmy już to, że Wejmar ganił głośno nowy związek Goethego, chociaż nic nie miał był przedtem przeciw podobnemu jego związkowi z panią von Sztejn. Całą więc winą jego było to, że wybrał był sobie kochankę w warstwie towarzystwa niższej od téj, w której sam on żył. Ten szmer nieukontentowania wzrastał ciągle. Sprawilo to nareszcie ostateczne zerwanie stosunków pomiędzy Goethym a panią Sztejn. Oto jest list, w którym odpowiada jej na czynione mu przez nią wyrzuty: „Gdybyś tylko zechciała wysłuchać mię, powiedziałbym ci otwarcie, że chociaż wyrzuty twoje dotkliwemi są dla mnie na pewną chwilę, przecież nie budzą one w sercu mojem wcale najmniejszego gniewu ku tobie. Owszem, umiem je przenieść; jeżeli wiele cierpisz z mego powodu, słuszna więc, abym i ja takóž ucierpiał przez ciebie. Lepiej jest nawet, że możemy nareszcie porozumieć się z sobą po przyjacielsku, zamiast tego ustawicznego usiłowania przyjscia do zgody. Niepodobną jest dla mnie rzeczą oczyścić się przed tobą, bo zawsze ja jestem twoim dłużnikiem; jeżeli jednakże pomyslimy, jak wiele musieliśmy przenieść od siebie wzajemnie, powinniśmy nareszcie odpuścić sobie. Bądź więc zdrowa i kochaj mię. Za najpierwszą sposobnością posłyszysz więcéj o uroczej tajemnicy.“

„Uroczą tajemnicą“, do której tu zmierza, zapewne jest związek jego z Chrystyną. List ten wywołał był odpowiedź, na którą Goethe odpisał jak następuje: „Dziękuję ci za list, chociaż on zmartwił mię nie pod jednym tylko względem. Odkładałem ciągle odpowiedź, trudno jest bowiem w takich razach być szczerym i nie zasnucić... Com pożegnał we Włoszech, nie będę tego powtarzał; zresztą odtrąciłaś

od siebie od razu wcale nie po przyjacielsku moje zwierzenia się w tym względzie. Kiedym wrócił, byłaś, na nie-szczęście, w osobliwszém usposobieniu, a ja wyznaję otwarcie, że sposób, w jaki przyjechałaś mię, był dla mnie bardzo dotkliwym. Patrzyłem na wyjazd księżnej i Herdera do Włoch; uprzejmie ofiarowali mi oni miejsce w swoim powozie, ale pozostałem dla tego przyjaciela, dla którego wróciłem i było to wtedy właśnie, kiedy powtarzano mi ustawicznie z przekazem, że mogłem być śmiało pozostać za granicą, że nie miałem współczucia i t. d. Wszystko było przedtém, nim było jeszcze jakiegokolwiek podobieństwo do związku tego, który dziś zdaje się tak cię martwić. Czémże jest związek ten? Kto na nim stracił? Kto ma jakiegokolwiek bądź prawo do uczucia, które oddałem biednej dziewczynie? Kto ma prawo do chwil tych, jakie jęj poświęcam? Spytaj Fryca, zapytaj Herderów, zapytaj kogokolwiek bądź, co zna mię poufale, czy jestem dziś mniej sympatycznym, mniej czynnym, albo mniej przyjacielskim niż przed tém. Czy owszem, po pierwszy raz w życiu, nie należę ja wyłącznie do nich i do społeczności? Cudem zapewne jakimcis miałbym zapomnieć o najlepszej, o najszczerzej przyjaźni mojej, przyjaźni mianowicie ku tobie. Jakże żywo czułem w sobie chęć pozostania tym samym, wiele tylko razy zdarzyło się, że mówiliśmy z sobą o jakimś przedmiocie zajmującym! Ale ja wyznaję otwarcie, że sposób, w jaki mię traktowałaś, odtąd był dla mnie nieznośnym. Kiedym był w usposobieniu mówienia, zamykałaś mi usta; kiedym opowiadał o Włoszech, skarżyłaś się na obojętność moją; kiedym zajmowałem się przyjaciółmi moimi, wyrzucałaś mi chłód i zaniedbanie ciebie. Miałaś zawsze coś przeciw każdemu mojemu spojrzeniu, każdemu poruszeniu i mieszałaś mię ustawicznie. Jakże tedy miała tu pozostać nadal pomiędzy nami otwartość i ufność, kiedyś odtrącała mię stale swoim złym humorem, w którym postanowiłaś sobie pozostać dla mnie na zawsze? Mogłym dodać do tego więcej, gdybym się nie bał, że to, w obecnym twojem usposobieniu dla mnie, mogłoby cię raczej

jeszcze więcej zirytować, niż pogodzić nas z sobą. Na nieszczęście długo gardziłaś moją radą we władzie kawy, i przyjęłaś sposób życia zupełnie zgubny twemu zdrowiu. Jak gdyby nie dość jeszcze trudno było pokonać pewne wrażenia moralne, powiększałaś więcej jeszcze hypokondryę twoją środkami fizycznymi, o których złych skutkach przekonałaś się oddawna i dla mojej miłości na jakiś czas wystrzegałaś się ich, ku wielkiemu wzmocnieniu zdrowia swego. Oby podróż obecna podziałała na cię szczęśliwie! Nie opuszczam nadziei, że znowu jeszcze ocenisz mię lepiej. Bądź zdrowa! Fryc szczęśliwy i odwiedza mię stale.“

Nad tym listem napisała O!!! Był to straszny list dla niej; zapewne okropnie musiała się oburzyć na to, co nazywała jego niesprawiedliwością. Była „zapoznaną.“ Ludzie zawsze zostają zapoznanymi w podobnych razach. Nie są oni naganni, ale ich postępowanie jest źle zrozumianém. Mają oni przeświadczenie tego, że czuli zupełnie przeciwnie, niż im to przypisują; dziwią się, że nie są lepiej poznanymi.

Musiała być przykrą w postępowaniu swoim pani Szejn, kiedy odstręczyła od siebie Goethego; tém więcé będziemy tego pewni, skoro zobaczymy, jakie było jój postępowanie później. Ostatni ustęp listu, napomykający o jój hypokondryi, powiększonej jeszcze używaniem kawy i złą dyetą, zakrawa na impertynencyę; ci jednakże, co wiedzą, jak na serio brał on użycie kawy i jak jasno pojmował on wpływ stanu zdrowia na ducha, nie zadziwią się temu wcale. Jakkolwiekby, jakby cierpkim niewydawał się list Goethego, zawsze jednakże czuć w nim boleść; w tydzień potem, pisze tak:

„Przykro mi pisać do ciebie, z większą boleścią jeszcze, niż pisałem ostatnią razą; tamten list był może równie nieprzyjemnym dla ciebie, kiedyś go czytała, jak kiedyś go pisał. Jakkolwiekby, przemówiliśmy do siebie i może usta nasze nie pozostaną dla siebie niememi na zawsze. Nie było dla mnie większego szczęścia jak posiadanie ufności w tobie, ufności nicograniczonej; od kiedy nie mam jój wię-

cój, stałem się innym i coraz więcej jeszcze będę musiał się zmieniać. Nie uskarżam się teraz na mój stan obecny, staram się bowiem przywyknąć do niego; mam nadzieję, że wytrzymam, chociaż klimat na nowo mi dokucza i pewno później czy wcześniej, stanie się dla mnie zgubnym. Ale kiedy pomyślę sobie o skwarném lecie, o zimie surowej i o kombinacji rozmaitych okoliczności, które czynią po-
byt tu nieznośnym, nie wiem, co może z tego nastąpić. Mówię to, tak w stosunku do ciebie jak i do mnie samego i zaręczam cię, że boli mię to okropnie, że cię martwię w takich okolicznościach. Nic nie powiem na własne usprawiedliwienie, ale prosiłbym cię tylko, abyś postarała się, żeby stosunek nasz nie stawał się jeszcze gorszym, ale pozostał przynajmniej takim, jakim jest dziś. Przywróć mi na nowo ufność swoją, patrz na to, co zaszło, ze stanowiska naturalnego, pozwól, abym mówił do ciebie o tém spokojnie i rozsądnie, a spodziewam się, że wszystko pomiędzy nami na nowo będzie czystém i przyjaznym. Widziałas się z matką moją i uszczęśliwiłas ją odwiedzinami twemi; niechże powrót twój będzie takż powodem mego własnego uszczęśliwienia.“

Darmo ofiarował był jój na powrót przyjaźń swoją; zranił był miłość własną kobiety próżnej, i jeżeli Bajron, ze swobodą poetycką, mówi:

„Heaven has no rage like love to hatred turned,
Nor hell a fury like a woman scorned.“

„Niebo nie ma zemsty równej téj, jaką ma miłość zmieniona w nienawiść, ani piekło posiada wściekłość podobną do téj, jaką ma kobieta wzgardzona“

To wedle ścisłej, prozaicznej prawdy, powstaje jad w duszy nieszlachetnej, skoro tylko w niej zostanie zadrasniętą miłość własna, jad zatruwający przyjaźń i niszczący wszelką wdzięczność. Nie dość dla pani Szejn, że kochał ją tyle lat z takim poświęceniem, nie dość było tego, że dla jój syna był on więcej niż ojcem, nie dość było, że kiedy narzeczcie nastąpiła nieunikniona zmiana uczucia, czuł on jeszcze dla niej przyjaźń, wdzięczny za to, czém była ona

dla niego; ale ten jeden fakt, że przestał ją kochać miłością kochanka, zacierał w jej oczach całą przeszłość. Serce szlachetniejsze nie zapomina nigdy tego, że kiedyś kochało, że było kiedyś szczęśliwem tą miłością; wdzięczne serce ma zawsze w pamięci przeszłość. Pani Szejn pamiętała tylko o ranie jej zadanej; z niską złośliwością mówiła o „nikczemnej“, co zajęła jej miejsce; odrzucała przyjaźń Goethego, udawała że lituje się nad nim i rozsiewała plotki o jego żonie. Musieli się spotykać z sobą, ale nie spotykali się już z sobą jak kiedyś. Do ostatnich dni swego życia Goethe mówił i myślał był o niej dobrze, z uczuciem; a jeżeli kiedy zdarzyło się, że podano coś wybornego u stołu, coś takiego, co mu się zdawało, że mogło smakować jej, zawsze zwykł był mawiać: „Poszlij to pani Szejn.“

Jest list, świadczący jakim był stan uczuć jej dla Goethego po upływie dwunastu lat; pismo to może tu znaleźć miejsce, jako dokument ostatni, którym może się zakończyć ten ustęp z żywota poety. List ten pisany jest do syna. Trzy miejsca podkreśliliśmy w nim dla dania im większej mocy i dla zwrócenia na nie uwagi czytelnika.

Wejmar 12 Stycznia 1801 r.

„Nie wiedziałam, że nasz *dawny przyjaciel, Goethe*, był mi jeszcze tak drogi, że choroba silna, na którą był zapadł przed dziewięcią dniami, tyle mię obejdzie. Cierpiał na kaszel konwulsyjny połączony z eryzypelą; nie może leżeć w łóżku i musi zawsze stać; inaczej zostałby zaduszonym. Szyja jego, równie jak twarz, jest opuchła i okryta wewnętrznymi pryszczami; lewe oko jego wyszło na wierzch, zaszło krwią i ropą; jest często nieprzytomny; bano się, aby nie dostał zapalenia mózgu, więc puszczo mu krew, stawiono synapizma na nogach, co spowodowało obrzęknięcie nóg i jakby ulżyło mu cokolwiek; ale, onegdaj, kaszel spazmodyczny wrócił, może dla tego, że go golono; napiszę do ciebie, czy będzie się miał lepiej, czy umrze; nie poszłę listu mego aż jedno lub drugie nastąpi. Szylle-rostwo i ja wiele płakaliśmy nad stanem jego, ostatniemi

dniami; bardzo teraz żałuję tego, że kiedy w dzień nowego roku chciał był mię odwiedzić, ja — niestety! z powodu bólu głowy, nie chciałam go przyjąć; teraz może nigdy już nie obaczę go więcej.

14-tego Goethe ma się lepiej, ale musi przeżyć dwudziesty pierwszy dzień, trzecie kryzys, jeżeli ma wyjść z niebezpieczeństwa; nim to nastąpi jednakże, może mu się jeszcze coś przytrafić, bo zapalenie zepsuło coś mu w głowie i w dyafragmie. Wczora zjadł z apetytem trochę rosółu, którego mu posłałam; oko ma się także lepiej, ale smutny jest i mówią, że płakał przez trzy godziny; płacze osobliwie, patrząc na Augusta (syna swego), który tymczasem do mnie uciekł. Żałuję tego chłopca, okropnie cierpiał, ale już przywykł do topienia zmartwienia w kieliszku: nie dawno na klubie, do którego należy matka jego, wypił siedmnaście kieliszków szampańskiego i trudno mi było powstrzymać go od wina, w czasie bytności jego u mnie.

15-tego, Goethe przysyłał do mnie dziś, dziękował mi za moje współczucie i oświadczył, że się spodziewa wkrótce mieć się lepiej; lekarz uważa go za wyszłego z niebezpieczeństwa, ale wyzdrowienie samo pociągnie długo.“

Któżby uwierzył, że to pisała ta, którą Goethe kochał namiętnie przez lat dziesięć i pisała o tym, co był przy śmierci? I tu nawet jej nienawiść dla Chrystyny nie mogła się ukryć wcale.

Dość już mówiliśmy o Goethym, przejdźmy teraz z kolei do dzieł jego; powiemy coś o *Tassie*. To co Johnson powiedział był o *Comus'ie*, to z równą słusnością da się zastosować do *Tassa*, mianowicie, że jestto szereg szkiców wybornych, ale dramatem wcale nie jest. Utwór ten ma urok, któremu mało kto oprzec się potrafi; ale pod względem dramatycznym, wyjąwszy *Córkę naturalną* (*Die natürliche Tochter*), jest to najsłabsze dzieło dramatyczne Goethego. Jest tu wiele światła, przelewającego się oddzielnie od skoncentrowanych promieni, stanowiących *effekt*

dzieła, do którego to efektu przywykliśmy w nowożytnych sztukach, a który nie oddzielnym jest od rzetelnej formy dramatycznej. Tasso ma jasność, jedność i nieporównany wdzięk utworów Rafaela, ale brak mu ciepła promiennego dzieł Tycyana, jako też natłoczonego przepychu Pawła Veroneze. Niemasz tu wcale działania, a działanie jest jedyną dźwignią boju wewnętrznego duszy Tassa, którego miłość, jak i szaleństwo, dają się wprawdzie uczuwać, ale nigdy nie przelewają się w potężny efekt dramatyczny. Tragedya Goethego, z tego powodu, jest czysto psychologicznym utworem; ruchliwość uczuć i spokojność rozwinięcia charakteru — oto jój treść cała. To i tamto wystawia się przez dyalog, a nie przez działanie. Ztąd piękność dzieła polega jedynie na poetyczności jego. Skoro nie możemy poczuć uroku formy, nie mamy już żadnego środka poczuć i przejąć się mocą myśli, tak jak nie czujemy jój w złej kopii pięknego posągu. Przekład, choćby najlepszy, nie odda tego uroku, chociaż on to wyzywa tłumaczy do wypróbowania mocy swojej sztuki.

Analiza więc *Tassa* nie może być korzystną dla sztuki.

Moment obrany przez Goethego jest ten właśnie, kiedy Tasso, skończywszy swoją *Jerozolimę wyzwoloną*, okazuje jawne oznaki swojej nieszczęsnej namiętności i smutnej choroby, które obie razem uczyniły żywot jego jednym z najnieszczęśliwszych, z tej wielkiej liczby „potężnych poetów, w swoich czynach niedołącznych.“

„Mighty poets in their misery dead.“

Nie mogę dać zdania o sztuce, z jaką Goethe obrobił fakta dziejowe w osnowie swego dzieła; krytycy niemieccy wyznają, że on przepełnił sztukę swoją faktami rzeczywistymi. Jakkolwiekby, pewną jest rzeczą, że dzieje nie odpowiadają wcale charakterowi Alfonsa, ani też tonowi całego dramatu. Znadto wielkie zachodziło podobieństwo pomiędzy pozycją Tassa na dworze ferrarskim, a położeniem Goethego na dworze Karola Augusta, żeby poeta nie odstąpił od swego wzoru najprzód dla skorzystania z wła-

snego doświadczenia, a potem dla tego, aby nie okazać jakiego sarkazmu na protekcyę dworską, okazywaną poetom. Gdyby był Goethe malował wiernie stosunek pomiędzy Tassem a Alfonsem, wtedy publiczność pozwoliłaby była sobie pewno czytać, pomiędzy wierszami jego dzieła, myśli nieprzyjazne dworowi księcia wejmarskiego. Tak jak stosunek ten występuje w Tassie, nie można powiedzieć, aby Alfons wystawiał Karola Augusta, księżna Ludwikę, Antonio Herder'a, a Leonora panią Szejn. Trudno jest powiedzieć, wiele w tém wszystkiém może być prawdy, chociaż to pewna, że w kilku z pięknych rysów Alfonsa poznajemy księcia wejmarskiego; równie jest niezawodną rzeczą, że Goethe miał czułe względy — wcale jednakże dalekie od uczucia miłości — dla księżnej, a chociaż Herdera nikt, nawet z ludzi najlepiej wtajemniczonych w dzieje literackie okresu tego, nie poznaje w Antonio, przecież pani Szejn wyraźnie musiała była użyć kilku rysów do portretu Leonory. Te wskazówki, połączone będąc z tym znanym powszechnie faktem, że Goethe zawsze nadawał wyraz poetyczny swemu własnemu doświadczeniu, zapewniają nas, że Tasso ma w sobie wiele autobiografii poety, ale, ile mianowicie, tego nikt z pewnością wskazać nie może.

Tasso został rozpoczętym 1777 r. i do tego roku musimy się zwrócić, jeżeli zechcemy schwycić główną myśl poematu. Tasso został wystawionym jako oddany zupełnie poezyi, ale niespokojnie nieokreślony w swoich zamiarach. Mieszka w małym miasteczku, różnym od wszystkich innych miast wielkością księcia swego, nie wielkością ludu.

Ein edler Mensch zieht edle Menschen an,
Und weiss sie fest zu halten.

„Szlachetny mąż przyciąga do siebie ludzi szlachetnych i umie ich zachować przy sobie.“

Sam odsuwa się od dworu i zdaje się być tylko szczęśliwym na ustroniu. Antonio dyplomata, najpraktyczniejszy człowiek, przybywa i napełnia duszę Tassa dziwną za-

zdroszcia mocy jego i doświadczenia. Darmo księżna zdejmuje laur z popiersia Virgila i wieńczy nim głowę poety; napróżno Alfonso wyraża swoją radość z powodu ukończenia *Jerozolimy*; Tasso posłyszał Antoniego, ideał zetknął się z rzetelnością i zdumiał się nad jej wielkością. Nie lubi on Antonia; instynktowie czuje on sprzeczność, jaka musi zachodzić, koniecznie, pomiędzy ich przyrodzeniem. A przecież pomimo to podziwia go, bo posiada on w sobie to wszystko, czego mu samemu brakuje. Pobudzony tą admiracją łatwo jest przekonany od księżnej, że należy, aby się postarał o przyjaźń Antonia. Czyni to z dziecinnym powodowaniem się. Poważny, racjonalny Antonio nie dzieli tego entuzjazmu, nie ma wcale sympatyj dla Tassa, odrzuca jego zabiegi zimno. Następuje kłótnia. Tasso, którego szaleństwo nadchodzi, w gniewie dobywa miecza w pałacu księcia. Ukazuje się Alfonso, rozdziela walczących i każe Tassowi ustąpić do swego pokoju.

Kłótnia ta pomiędzy Antonio i Tassem wystawia w obrazie bojowanie wewnętrzne Goethego, pomiędzy statystą a poetą, podczas pierwszego okresu pobytu jego w Wejmarze. Chłód pogardliwy Antonia jest wyraźną wojną pomiędzy polityką a poezją.

Kara wyznaczona Tassowi, nic nieznacząca, a tylko formalna, działając przeciw na wzburzony stan jego umysłu, rozwija jasnziej dążność jego do szaleństwa, która wprzód się już objawiła. Udaje, że się zgodził z Antonim, o którym myśli, że knuje na niego spisek, do którego należą wszyscy, a prosi tymczasem pozwolenia udania się do Rzymu. Zgodzono się na jego żądanie i tu następuje widzenie się z księżną, w którym jego długo ukrywana namiętność wybucha gwałtownie wraz z szaleństwem.

W tej nawet analizie pobieżnej czytelnik łatwo odgadnie powód uwagi pani de Staël. „que les couleurs du Midi ne sont pas assez prononcées.“ Istotnie sztuka ta jest bardzo niemiecką i jakkolwiek wątek dziejowy jest w nią wplecionym, przeciw duch sam utworu nie odpowiada Italii z czasów Tassa. Księżna jest postacią czysto germań-

snego doświadczenia, a potem dla tego, aby nie okazać jakiego sarkazmu na protekcję dworską, okazywaną poetom. Gdyby był Goethe malował wiernie stosunek pomiędzy Tassem a Alfonssem, wtedy publiczność pozwoliłaby była sobie pewno czytać, pomiędzy wierszami jego dzieła, myśli nieprzyjazne dworowi księcia wejmarskiego. Tak jak stosunek ten występuje w Tassie, nie można powiedzieć, aby Alfons wystawiał Karola Augusta, księżna Ludwikę, Antonio Herder'a, a Leonora panią Szejn. Trudno jest powiedzieć, wiele w tém wszystkiém może być prawdy, chociaż to pewna, że w kilku z pięknych rysów Alfonsa poznajemy księcia wejmarskiego; równie jest niezawodną rzeczą, że Goethe miał czułe względy — wcale jednakże dalekie od uczucia miłości — dla księżnej, a chociaż Herdera nikt, nawet z ludzi najlepiej wtajemniczonych w dzieje literackie okresu tego, nie poznaje w Antonio, przecież pani Szejn wyraźnie musiała była użyć kilku rysów do portretu Leonory. Te wskazówki, połączone będąc z tym znanym powszechnie faktem, że Goethe zawsze nadawał wyraz poetyczny swemu własnemu doświadczeniu, zapewniają nas, że Tasso ma w sobie wiele autobiografii poety, ale, ile mianowicie, tego nikt z pewnością wskazać nie może.

Tasso został rozpoczętym 1777 r. i do tego roku musimy się zwrócić, jeżeli zechcemy schwycić główną myśl poematu. Tasso został wystawionym jako oddany zupełnie poezji, ale niespokojnie nieokreślony w swoich zamiarach. Mieszka w małym miasteczku, różnym od wszystkich innych miast wielkością księcia swego, nie wielkością ludu.

Ein edler Mensch zieht edle Menschen an,
Und weiss sie fest zu halten.

„Szlachetny mąż przyciąga do siebie ludzi szlachetnych i umie ich zachować przy sobie.“

Sam odsuwa się od dworu i zdaje się być tylko szczęśliwym na ustroniu. Antonio dyplomata, najpraktyczniejszy człowiek, przybywa i napęlnia duszę Tassa dziwną za-

zdrością mocy jego i doświadczenia. Darmo księżna zdejmuje laur z popiersia Virgila i wieńczy nim głowę poety; napróżno Alfonso wyraża swoją radość z powodu ukończenia *Jerozolimy*; Tasso posłyszał Antoniego, ideał zetknął się z rzetelnością i zdumiał się nad jej wielkością. Nie lubi on Antonia; instynktowie czuje on sprzeczność, jaka musi zachodzić, koniecznie, pomiędzy ich przyrodzeniem. A przecież pomimo to podziwia go, bo posiada on w sobie to wszystko, czego mu samemu brakuje. Pobudzony tą admiracją łatwo jest przekonany od księżnej, że należy, aby się postarał o przyjaźń Antonia. Czyni to z dziecinnym powodowaniem się. Poważny, racjonalny Antonio nie dzieli tego entuzjazmu, nie ma wcale sympatyj dla Tassa, odrzuca jego zabiegi zimno. Następuje kłótnia. Tasso, którego szaleństwo nadchodzi, w gniewie dobywa miecza w pałacu księcia. Ukazuje się Alfonso, rozdziela walczących i każe Tassowi ustąpić do swego pokoju.

Kłótnia ta pomiędzy Antonio i Tassem wystawia w obrazie bojowanie wewnętrzne Goethego, pomiędzy statystą a poetą, podczas pierwszego okresu pobytu jego w Wejmarze. Chłód pogardliwy Antonia jest wyraźną wojną pomiędzy polityką a poezją.

Kara wyznaczona Tassowi, nic nieznacząca, a tylko formalna, działając przecież na wzburzony stan jego umysłu, rozwija jaśniej dążność jego do szaleństwa, która wprzód się już objawiła. Udaje, że się zgodził z Antonim, o którym myśli, że knuje na niego spisek, do którego należą wszyscy, a prosi tymczasem pozwolenia udania się do Rzymu. Zgodzono się na jego żądanie i tu następuje widzenie się z księżną, w którym jego długo ukrywana namiętność wybuchła gwałtownie wraz z szaleństwem.

W tej nawet analizie pobieżnej czytelnik łatwo odgadnie powód uwagi pani de Staël. „que les couleurs du Midi ne sont pas assez prononcées.“ Istotnie sztuka ta jest bardzo niemiecką i jakkolwiek wątek dziejowy jest w nią wplecionym, przecież duch sam utworu nie odpowiada Italii z czasów Tassa. Księżna jest postacią czysto germań-

ską; więcej ona roztrząsa uczucia swoje niż im ulega; Tasso zaś ze swojemi uwagami i powiewnością uczuć, pe-wnoby nikogo tyle nie zadziwił, ile rzetelnego Torquata, którego przyrodzenie namiętne i gwałtowne wzgardziłoby zapewne zaciekającym się nad każdą rzeczą Niemcem. Nie pojmowałby on równie niemieckiej idei poezyi, jako urny, w której przechowują się popioły cierpien przeszłych i zwierzenia się myśli tajemnych. Zmuszony do użycia pewnej zasłony w wyrażeniu uczuć swoich, Tasso rzucił na nie zasłonę bardzo przezroczystą; w innych zaś rzeczach wcale nie używał osłony.

Tasso został ukończonym wkrótce po rozrywie z panią Sztejn. Po dokonaniu téj pracy oddał się studyowaniu dzieł Kanta. *Krytyka czystego rozumu* została napisaną w sposobie *ezoterycznym* (tajemnym); Goethe nie mógł zrozumieć téj mowy szkoły; rzecz była więcej metafizyczną, niż to było w jego usposobieniu ducha. Jakkolwiekbydz czytał on Kanta, czytał dzieła Spinozy; *Krytyka władzy sądzenia* (*Kritik der Urtheilskraft*), osobliwie estetyczne rozdziały tego dzieła, wielce go zajmowała. Kant posłużył za środek do zbliżenia Goethego z Szyllerem, który jeszcze czuł to, że stali oba na innych stanowiskach. Widzimy to z tego, co ten ostani pisał w téj rzeczy do Körner'a: Filozofia jego za wiele z materyi swojej pożycza ze świata zmysłowego, podczas kiedy ja sam czerpię ją z duszy. Jego sposób przedstawienia rzeczy jest takż za zmysłowym dla mnie. Duch jego jednakże działa i szpera we wszystkich kierunkach, usiłując złożyć całość, co właśnie czyni go w moich oczach wielkim człowiekiem.“

Istotnie godną jest uwagi różnorodność jego poszukiwań. Ukończywszy *Tassa*, widzimy go pracującego nad Karnawalem rzymskim i nad naśladowaniem natury; obok tego zapamiętałe zgłębia on tajniki botaniki i optyki. Z poezyi dość jest wspomnieć *Elegie rzymskie*, aby pokazać, jaką moc okazał on w téj gałęzi; chociaż w rzeczy saméj, poetyczna działalność jego była wówczas uległą jego naukowej działalności. Był on, pod względem społecznym, w położeniu

przykrém, i, jak to później sam wyznał, nie potrafiłby był przenieść go, gdyby w tym względzie nie pokrzepiły go jego badania nad *Sztuką i przyrodzeniem*. W każdym czasie były one jego ucieczką i pociechą jedyną.

Co do sztuki, świat literacki słuchał go pilnie; co się zaś dotyczy nauki, nie chciano go wcale słuchać, ale odwracano się od niego w milczeniu, a nieraz ze śmiechem. W obu względach był on tylko amatorem. Nie miał on wcale biegłości praktycznej w malarstwie, albo w snycerstwie, aby mógł nadać w tych rzeczach powagę zdaniu własnemu; przecież sąd jego był słuchanym z poszanowaniem, a nieraz był przyjmowanym z zapalem. Rauch, snycerz, wyznawał, że pomiędzy innemi wpływy w życiu jego, przypomina sobie, jakiemu entuzjazzmowi uległ był po przeczytaniu uwag o sztuce, napisanych przez Goethego. Wielu zapewne mogłoby wyznać to samo. Ale podczas kiedy ogół i artyści przyznawali to, że człowiek z geniuszem mógł być mówić z pewną powagą o sztuce, chociaż w tej rzeczy był tylko prostym amatorem, uczeni niechętni byli temu, aby ktokolwiekby mówił o ich przedmiocie, jeżeli nie złożył był egzaminu i nie otrzymał dyplomu uniwersyteckiego na stopień uczony w tej nauce, o której chciał się odezwać publicznie. Do dziś dnia, ostatni klepacz, który posiadał dyplom, uważa się w prawie drwienia sobie z "*poety*, co pozwalał sobie bredzić o anatomii porównawczej." Jakkolwiekby poeta ten poczynił był odkrycia i odsłonił był prawa, których ważność nasi profesjonalni przedrwiwacze nie są nawet w stanie ocenić, do dotyla przechodzą one wiadomości szkolne.

Uczeni śmieli się z Goethego w jego okresie czasu; nawet dziś, wyjąwszy głowy najpotężniejsze, są tacy, co lubią się odzywać z przekąsem o pracach uczonych Goethego. Jakoż nie tu nie masz osobliwszego. Ludzie z profesyi uczeni mają prawo nie dowierzać dyllentom, wiedzą bowiem ile pracy wymaga nauka; ale, o ile słuszna jest niedowierzać w rzeczy tak ważnej każdemu słowu, równie niedorzecznie jest zamykać oczy na wszystko, coby nie po-

dał amator, nie racząc nawet zastanowić się nad tém, co on mówi. Jeżeli dyletant podaje stare rzeczy, chcąc je wystawić za rzecz nową, przez niego samego odkrytą, zapewne że lekceważenie uczonych słuszném jest w téj mierze; ale jeżeli się zdarzy, że on podaje rzetelne odkrycia w nauce, które uczonym podoba się uważać za bagatele, wtedy pogarda cechu uczonego jest tylko poniżeniem tych ludzi, co naukę uważają za rzemiosło, którego kiedy się kto raz wyuczy, już jest spokojnym na całe życie, niepotrzebując nad niém pracować i zastanawiać się więcej. Jeżeli zawód uczoney daje im wyższość, wyższość ta winna nadać im większą gotowość pojęcia i przyjęcia rzeczy nowych. Jednakże zawód uczoney nie daje wcale téj sposobności. Massa ludzi, dla tego właśnie że jest massą, z trudnością przyjmuje wszelki pomysł nowy, chyba że ten leży na ubitym gościńcu ich umiejętności; opozycya ta, jaką wszelka myśl nowa musi pokonać, staje się dziesięćkroć silniejszą, jeżeli myśl ta jest promowaną od człowieka niemającego za sobą powagi profesjonalnej.

Kiedy Goethe napisał był swój mały ale wyborny traktacik o *Metamorfozach* (przeobrażeniach) *roślin*, miał być do walczenia z podwójną zawadą, najprzód z zawadą nowości, a potem z zawadą własnego swego imienia. Gdyby był dzieło to ogłosił jaki nieznamy profesor, jużby nowość sama pomysłu była dostateczną, aby uczynić je niepopularnym; ale najbardziej ciemne imie w Niemczech przyjaźniejszym by było dla téj rozprawy, jak imie wielkiego poety Germanii. Już każda nowość *prima facie* jest podejrzaną; młodym tylko podoba się ona, bo nie jestże wszelka nowość jakby obelgą zadaną domysłności i sprytowi tych wszystkich, co nie potrafili byli jój się domyślić? A możeż nowość, podana od poety, być godną zbijania jój nawet? Autorytety uczone zgodziły się na to, że niewarta jest tego honoru. Wydawca dzieł Goethego, poradziwszy się botanika, odmówił drukowania *Przeobrażeń roślin*. Dzieło to było nareszcie drukowaniem dla tego tylko, że przedsiębiorczy księgarz spodziewał się być przez to osiągnąć wyda-

wnictwo innych dzieł tego samego autora. Kiedy rozprawa ta wyszła była z druku, publiczność widziała w niej piękny pomysł fantazyi, ale nic więcej. Botanicy wzruszali ramionami i ubolewali nad tém, że autor nie schował był imaginacyi swojej na poemata raczej. Nikt nie wierzył tej teorii, nawet jego najbliżsi przyjaciele. Długo musiał czekać Goethe, nim ujrzał rzetelność myśli swojej uznaną powszechnie i była ona wtedy przyjętą dla tego tylko, że wielcy botanicy uczynili ją popularną. Ważnej powagi naukowej pisarz zaświadczył o tém, jak długo teoria ta była zaniedbaną, i jak od lat dziesięciu (pisał 1838 r.) nie było może ani jednego wydanego dzieła o organografii, albo o botanice opisowej, któraby nie nosiła na sobie piętna myśli tego sławnego autora.⁸⁾ Teoria ta najwięcej obudziła niedowierzania ogółu z tego powodu, że wyszła była z pod pióra autora Werther'a; należy jednakże pamiętać jak daleko wyprzedziła ona była samą naukę. Wyłuszczył ją był w krótkości w roku 1759 Kasper Fryderyk Wolff, w słusznie cenionej dziś *Teorii generacyi* (*Theoria generationis*), a potem znowu w 1764 w tém samym dziele, napisaném po niemiecku (*Theorie von der Generation*). Nie mamy potrzeby zwracać się do tego dzieła; dość będzie zauważyć to tylko, że nawet jego powaga profesjonalna i znakomita moc ujęcia idei nie były dostatecznymi, w swoim czasie, do zwrócenia najniniejszej uwagi botaników na teorię morfologiczną — dowód wyraźny, że czas nie dojrzał był jeszcze dostatecznie, aby ją mógł zrozumieć.

Cel ustępu tego nie byłby dostatecznie dopiętym, gdybyśmy nie wsparli tego, cósmy tu powiedzieli powagą znakomitych pisarzy w naukach specjalnych; mamy tu wykazać głównie, że prace Goethego uczone, wzgardzone od ogółu, doczekały się nareszcie uznania rzetelności swojej od największych autorytetów. Linneusz, powiada Aug. St. Hi-

⁸⁾ Aug. St. Hilaire — *Comptes rendus des séances de l'Acad.* VII 437, Obaczyć także jego *Morphologie végétale* vol. I. p. 15 —

laire, rzucił był myśl, zawierającą w sobie *implicite* naukę o przekształceniach; powiedział on w jedném miejscu: *principicem florum et foliorum idem est*; (zasada kwiatów i liści jest jedną). Tę myśl Goethe opracował systematycznie, ale książkę jego spotkał był ten sam los, jaki spotkał był wyrażenie Linneuszowe — oboje były zaniebdanemi. Uczeni nie czytali rozprawy Goethego, wyobrażając sobie, że wyszła z pod pióra poety, nie mogła być być czém inném jak tylko marzeniem, napisaném w fałszywym stylu poetyckim, w rodzaju *Miłości roślin*. Jakże źle przyjmowali oni geniusz Goethego! Ów geniusz gibki, przyjmujący na się kaźden kształt, a wybierający zawsze taki, jaki odpowiadał najlepiej przedmiotowi. Kiedy pisał o naukach, był poważnym jak sama nauka. Zostawił on wzory rozmaitych rodzajów literackich kompozycyi a pomiędzy témi wzór kompozycyi naukowej. Jeżeli dzieło jego nie zostało przyjętém, to stało się to z tego tylko powodu, że wyszło było za wcześnie dla jego współczesnych — *wyprzedził on mającą jeszcze nadejść erę*.

Kilku z wielkich botaników Niemiec, po upływie kilku lat, poczęło przyznawać wartość odkrycia poety. Tak Kiesser przyznał, że było ono największym pomysłem, jaki tylko znanym był fizyologii roślinnej od najdawniejszych czasów. Voigt wyraził oburzenie swoje z powodu zaślepienia botaników, odmawiających uznania téj teoryi. Nees von Esenbeck, jedno znajwiększych imion w nauce, w r. 1818 pisał: „Teofrast jest twórcą nowéj botaniki, Goethe jest jój czułym ojcem, na którego będzie ona patrzeć z miłością i wdzięcznością, skoro tylko wyrośnie z dzieciństwa swego i nabierze uczucia, jakie jest należném temu, co ją wyniósł do tak wysokiego położenia. Sprengel zaś, w swojej historii botaniki, często robi wzmiankę o téj teoryi. W jedném miejscu mówi on: *przekształcenia* (Metamorphoses) mają tak głębokie znaczenie, połączone z tak wielką prostotą, były tak płodne w następstwa, że nie powinniśmy dziwić się temu, że wymagały licznych komentarzy i jeżeli

niektórzy botanicy nie przyjęli od razu całej wagi odkrycia.“

Jest dziś zwyczajem umieszczać rozdział o *przekształceniach* w każdym dziele botanicznym, mającym pretensję do wysokiego znaczenia naukowego. Jakkolwiek bądź, sami tylko ludzie najwyższej powagi naukowej mówią o Goethym tak, jak on rzetelnie zasługuje, aby o nim mówiono.

„Od pół wieku, mówi Goethe w historii swoich studyów botanicznych, byłem znany jako poeta w moim własnym kraju i za granicą. Nikt nie myślał odmówić mi tego daru. Ale nie było to wiadomym powszechnie, nie brano tego na uwagę, że m się zajmowałem także poważnie, przez wiele lat, fizycznymi i fizyologicznymi zjawiskami przyrodzenia, postrzegając je z pilnością taką, jaką może tylko dać jedna namiętność do tego rodzaju nauki. Owóż, kiedy rozprawa moja o rozwoju roślin, ogłoszona od blisko czterdziestu lat przedtem, zaczęła być zwracać na się uwagę botaników Szwajcaryi i Francyi, nie było większego zdziwienia, jak obudziło wtedy powszechnie to, że poeta, wyszedłszy ze swego zawodu, potrafił być zrobić tak ważne odkrycie. Dla zbicia właśnie tego fałszywego uprzedzenia napisałem historję moich studyów, oraz dla pokazania, że większa część żywota mojego była poświęconą historii przyrodzenia, do którego wrodzoną miałem namiętność. Nie przez jakieś niespodziane, nagłe natchnienie geniuszu, ale przez długie, zmudne poszukiwania, przyszedłem do moich rezultatów. Zapewne mogłem być przyjąć ten honor, jaki oddają przez to mojej przenikliwości, i cieszyć się nim w sekrecie; ale tak jak szkodliwą jest rzeczą w naukach trzymać się wyłącznie faktów samych, albo też trzymać się wyłącznie samych oderwanych teoryi, więc za obowiązek poczytałem sobie napisać, dla ludzi poważnych, historję szczegółową moich studyów.“

Nie bardzo obeszło Goethego zimne i szydercze przyjęcie dzieła jego. Wiedział on dobrze, jak niechętni są ludzie ku udzieleniu pochwały komukolwiek, co pracuje na innym polu; znalazł on to zupełnie naturalnym, że się

okazali tak niechętnymi dla poety ludzie nauki; dodawał jednakże, że przyrodzenie energiczne czuje się popchniętém w świat dla własnego swego rozwinięcia, a nie dla pochwały ogółu. Z czasem uznano jego zasługę, chociaż nigdy może nie potrafiiono ocenić jój należycie. Dziś poeta zajmuje miejsce pomiędzy kilku wielkimi naturalistami, których imiona znalazły miejsce w *Słowniku nauk przyrodzonych* (*Dictionnaire des sciences naturelles*); autor dzieła tego słuszną uczynił uwagę, że „pour Goethe en effet l'étude de l'histoire naturelle ne fût pas un simple caprice, ou une distraction à ses innombrables travaux; ce fût une oeuvre sérieuse et dans laquelle il a marqué l'empreinte de son génie II s'y appliqua non en amateur, qui se contente des notions générales, mais en savant qui n'arrive à la généralisation qu' à force des détails.“ (Dla Goethego istotnie nauka dziejów przyrodzenia nie była kaprysem jakimes albo rozrywką w pośród jego najróżnorodniejszych zajęć, a była owszem zajęciem poważném, na którym odcisnął on cechę własnego geniuszu Oddawał się jój nie jako ochotnik, któremu dość jest, jeżeli obejmie ogólne pojęcie pewnej umiejętności, ale jako człowiek uczony, co do pojęć takowych przychodzi dopiero za pośrednictwem licznych szczegółów.)

Potém będziemy mieli sposobność rozważać jego teorię *przekształceń się rośliny*; obecnie idźmy dalej po drodze biograficznej Goethego i zapiszmy tu wyznanie jego, że najszczęśliwszemi chwilami jego życia były te właśnie, które oddał był badaniom botanicznym. „Nabrały one u mnie nieoszacowanej ceny, mówi, bo im winienem najpiękniejszy ze stosunków, jaki tylko przyświecał w żywocie mojem, im jestem obowiązany za przyjaźń zawiązaną z Szyllerem.“

Obok tych badań botanicznych powinny zająć miejsce jego poszukiwania w dziedzinie optyki. Niepodobna jest zapewne znaleźć innego, równie wyraźnego przykładu sprzeczności (kontrastu), jaka musiała być zająć koniecznie w dziejach jego usiłowań w rzeczy tych dwóch kierunków. Rzucają one światło na metodę naukową, objaśniając za-

równy jego przymioty i wady w poszukiwaniach uczonych. Jeżeli szliśmy dotąd za Goethym, mówi Lewes, ze współczuciem i podziwieniem, to musimy teraz przygotować się do postępowania za nim z tém uczuciem boleści, jakie pozostaje zwykle w duszy naszej na widok wielkiego geniuszu passującego się z fałszywie obranym kierunkiem. Jego anatomiczne i botaniczne poszukiwania miały wzniosły charakter, co oburza na tych wszystkich, co ośmielają się przyjmować je obojętnie; przeciwnie badania jego w zawodzie optycznym były z tego rodzaju, co nastęrcza słuszny powód do lekceważenia ich przez ludzi profesyi.

Goethe napisał takż historyę i tych swoich poszukiwań. Od wieku młodzieńczego miał był on skłonność do teoryzowania nad malarstwem, która się rozwinęła, jak to wyznaje, przez sam brak zdatności do malarstwa. Niepotrzebną było dlań rzeczą teoryzowania nad poezją, miał bowiem w niej potęgę twórczą. Rzeczą konieczną dla niego było teoryzowanie nad malarstwem, bo czuł w sobie potrzebę „umysłem i wzrokiem dopełnić niedostatki przyrodzenia.“ We Włoszech teorye te znalazły były dla siebie liczne pobudki. Ze swoimi przyjaciółmi malarzami spierał się on nieraz o koloryt, o barwę, usiłując przez rozmaite paradoksa dojść do prawdy. Przyjaciele ci byli nadzwyczaj nieokreśleni w swoich pojęciach o kolorycie. Krytyczne roztrząsania zarówno były nieokreślone i mgliste; nigdzie nie mógł był Goethe znaleźć dla się mocnej podstawy. Począł był więc zastanawiać się nad tą rzeczą z przeciwnej strony; zamiast tego, aby miał rozwiązać zagadnienie artystyczne, zwrócił się do rozwiązania zagadnienia naukowego. Zapytał sam siebie czém jest kolor? Uczeń odesłał go do Niutona (Newton); ale Niuton mało mu w téj mierze udzielił pomocy. Professor Büttner pożyczył mu kilka przyrządów i narzędzi optycznych, dla spróbowania przepisanych doświadczeń. Trzymał u siebie czas długi pryzmata, ale nie korzystał z nich. Büttner pisał doń o swoje narzędzia; Goethe ani odsyłał mu ich, ani zabierał się z niemi do dzieła; odkładał z dnia na dzień doświadczenia swoje, będąc za-

jęty czém inném. Nareszcie Büttner począł się niecierpliwić i przysłał po swoje pryzmata, obiecując mu pozyczyć je jeszcze, kiedyś, ale że na teraz musiał je mieć koniecznie zwrócone. Zmuszony w taki sposób rozstać się z niemi, nie chcąc odsyłać ich nie sprobawwszy doświadczeń, powiedział posłanemu, aby zaczekał, a biorąc pryzmat, popatrzył przez niego, przez chwilkę, na ścianę białą pokoju, myśląc, że ujrzy całą ścianę zamalowaną w tęczę, zgodnie z twierdzeniem Niutona. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, nie zobaczył nic w tym rodzaju; widział przed sobą ścianę tak białą jak była przed tém i tylko tam, gdzie na zawadzie stawał przedmiot ciemny, mógł być spostrzeżonym, mniej lub więcej, wyraźny kolor; kształty były więcej ubarwione, a jasno szare niebo nie okazywało wcale barwy. „Mało mi potrzeba na to zastanowienia, aby wpaść na myśl, że dla otrzymania barwy potrzebna była *granica*, i instynktowie zawołałem że „*teorya niutonowa była mylną*.“ Nie mógł tedy po takiej decyzji rozstać się z pryzmatami; napisał więc do Büttnera, prosząc go o pożyczenie mu ich na czas dłuższy i wziął się natychmiast do dzieła na serio.

Był to wcale niepomyślny początek pracy, rozpoczął ją bowiem ze złém zrozumieniem niutonowych danych i zbijając niby Niutona, w istocie zbijał on tylko swój własny błąd. Teorya angielskiego mędrca nie utrzymuje tego wcale, że przestrzeń biała, widziana przez pryzmat, okazuje się ubarwioną, ale że jest białą, a ma tylko kraje ukolorowane. Mniemane odkrycie jego nie dawało mu chwili pokoju; czynił tysiącne doświadczenia, rozmyślał ustawicznie w tym przedmiocie i zamiast postępowania w tój rzeczy drogą prostą i poznać najsamprzód abecadło nauki, usiłował je wymyśleć i dojść do niego z pomocą doświadczeń. Miał on koło białe na czarném tle i koło to, widziane przez pryzmat, dawało mu *spectrum* takie same jak w teorii niutonskiej; ale on znajdował, że czarne koło na białém tle dawało podobne następstwo: „Jeżeli światło — powiedziałem sobie — rozkłada się na rozmaite barwy w pierwszym razie, to w drugim razie musi na nie rozkładać

się ciemność.“ Takim sposobem przyszedł on do wniosku, że barwa nie jest w świetle, ale jest następstwem mieszanki światła i ciemności.

„Nie mając doświadczenia w tej rzeczy i nie wiedząc jakiego miałem trzymać się w tej mierze kierunku, udałem się do fizyka sławnego, prosząc go o sprawdzenie następstw do jakich doszedłem. Od razu wypowiedziałem był mu wątpliwości moje we względzie hipotezy niutonowej i spodziewałem się, że on od razu podzieli moje przeświadczenie. Ale jakże wielkiem było moje zadziwienie, kiedy ten zapewniał mnie, że zjawisko, o którym mówiłem, było powszechnie znanem i wyjaśnionem wybornie przez teorię niutońską. Naprawdę sprzeczałem się i zbijałem jego argumenta, trzymał się mocno przy swoim *credo* i radził mi powtórzyć doświadczenia moje w *Camera obscura*.“

Zamiast by to miało ochłodzić, owszem podobne zbijania uczonych nowego systematu o świetle, nabawiały go wstrętem od fizyków, ale nie od nauki o kolorach; szedł dalej swoją drogą. Przyjaciele bawili się lub zajmowali jego doświadczeniami; ich nierozumienie tej rzeczy czyniło z nich gotowych adeptów. Księżna Ludwika okazywała osobliwsze zajęcie teorią kolorów; jej potem przypisał on swoją *Farbenlehre*. Księżę również podzielał entuzjazm żony. Księżę de Gotha dał mu do rozporządzenia całą swoją bogatą laboratoryę. Księżę August przysyłał mu przepyszne przyznata z Anglii. Księżęta i poetastry wierzyli, że Goethe strąci z tronu optycznego Niutona; jedni tylko ludzie nauki śmieli się z tych pretensyi i nie raczyli nawet zbijać publicznie teorii jego. Wspomina fakt jeden, który jest bardzo godnym uwagi, a mianowicie, że mógł być szczyć się sympatyą anatomików, chemików, literatów i filozofów, mężów takich jak Loder, Sömmering, Götzling, Wolff, Forster, Schelling (a następnie Hegel), ale w liczbie życzliwych dla teorii jego nie mógł znaleźć ani jednego fizyka — *hingegen keinen Physiker!* Wspominając o tém, nie rozumie, zdaje się, że taki stan rzeczy nadzwyczaj mówi przeciw jego wynalazkowi. Czém bowiem było tu zdanie

literatów albo filozofów? Kto zechce słuchać matematyka, kiedy odwołuje się do zdania zoologów, przeciw przeświadczeniu wszystkich matematyków przeszłych i współczesnych? Jakkolwiek bądź, wiele jest do powiedzenia za Goethym, doznał on już przed tém złej woli i lekceważenia ze strony profesjonalistów, kiedy odkrył był międzyszczekową kość, i znowu wtedy, kiedy w *Przekształceniach się rośliny* (Metamorphoses) podał im rzetelny wynalazek, o prawdzie którego był on głęboko przeświadczonym. Był więc wcześniej przygotowanym do zapoznania jego pracy, kiedy nie tylko że podawał teorię nową, ale nadto burzył najwyższą teorię naukową. Rozumiał to dobrze, że niutoniści patrzyli na niego jak na swego naturalnego wroga. Myślał, że zgodzili się pomiędzy sobą bronić ustalone od dawna uprzedzenie. Opozycya ta, ani na chwilę nietamowała biegu jego pracy; argumenty ich nigdy go nie wyprowadzały z cierpliwości. Zdaniem jego było, że byli oni wszyscy w błędzie, skoro uważali optykę za część matematyki; ponieważ nie rozumiał on matematyki, więc też nie był w stanie ocenić ich dowodzenia.

Jego *Beiträge zur Optik*, które ukazały się w 1791 r. był rodzaj rękawicy rzuconej światu uczonemu. Muszę oddać sprawiedliwość ogółowi wyznając, że on bynajmniej nie sympatyzował z autorem tego dzieła. Prostaczkowie nie zajmowali się wcale tą rzeczą i wcale nie myśleli udawać się po naukę do poety; ludzie znający się na rzeczy widzieli jasno, że wcale nie miał racyi. „Wszędzie, pisał, znajduję niedowierzanie i wstręt obudzony usiłowaniami mojemi; im więcéj kto jest uczonym i znającym się na rzeczy, tém więcéj okazuje się upartym na moje dowody.“

Przez lata całe zajmował się dalej poszukiwaniami swojemi, z cierpliwością namiętą, godną zaiste podziwienia. Nie dbał o opozycyę; owszem zdawało się, że ta podwaja jeszcze upór jego. Czasami jednakże krzyki te niecierpliwiły go, a to do tyła, że wrywały mu się nieraz w polemice wyrażenia namiętne i w złym smaku, które dziwią w człowieku, z kąd inąd, tak wyrozumiałym i spokojnym.

Dowodzi to, że człowiek, kto by on nie był, zawsze jest tylko *człowiekiem*. Może, jak Kingsley dał do zrozumienia autorowi tego dzieła, pochodziło to ztąd, że Goethe miał czasami przecucie tego, że wywody jego były wątpliwe, i uczuwał dla tego w głębi serca zawiść właściwą przeświadczeniom niezupełnym. Gdyby przekonanie jego było mocne, byłby spokojnym. Wszak lekceważenie *Przekształcenia się rośliny*, odmawianie rzetelności jego odkryciu kości międzyszczękowej, obojętność na jego prace w rzeczy anatomii porównawczej, znosił on z pogodą duszy rzetelnie filozoficzną. Jedyńc tylko w przedmiocie *Nauki o kolorach* (Farbenlehre) okazywał się zawsze drażliwym, a w wieku podeszłym aż do śmieszności. Eckermann wspomina ciekawą rozmowę, w której podał był Goethemu fakt, zauważany przez siebie, a zaprzeczający całkowicie teorii kolorów: Goethe nie tylko się rozgniewał z tego powodu, ale odmówił był wręcz uznania rzetelności faktu. Był to punkt, w którym objawiała się słabość jego moralna, równie jak i słabość umysłowa. „Z tego com dokonał jako poeta — powiedział był raz o sobie w wieku podeszłym bardzo — nie pysznię się wcale; daleko doskonalsi byli przedemną poeci i będą jeszcze po mnie. Ale z tego, że w wieku moim, jestem jedynym, co wyrozumiał rzetelnie trudne zagadnienia teorii barw — z tego — powtarzam — pysznię się ja nie po mału.“

Zapewne czytelnik chciałby dowiedzieć się czegokolwiek o tej teorii barwy; chociaż ta może wydać się bardzo na szkodę naszego poety będąc wystawioną w treści, dla której tylko może się tu znaleźć miejsce, ogołocona z licznych swoich przykładów i doświadczeń, nadających jej pewien pozór prawdy, przecież damy tu rdzeń samą jego pomysłu.

Wedle teorii niutońskiej biały promień światła, składa się z trzech, albo z siedmiu barw. Goethe utrzymuje, że ten nie jest wcale złożony, ale jest najprostszym i najjednorodniejszym przedmiotem, jaki tylko znamy⁹⁾. Mówić, że

⁹⁾ Podziękujmy Bogu, mówi Szelling, że on wyswobodził nas nareszcie od

jest on złożonym z barw, jest niedorzecznością, każdy bowiem promień, co przybrał na się barwę, ciemniejszym jest niż bezbarwne światło. Z tego więc wypływa, że jasność nie może być złożoną z ciemności. Jest tylko dwie czyste barwy *sina* i *żółta*, z których każda ma skłonność przejścia w barwę czerwoną, przez *fiolet* i kolor *pomarańczowy*; jest także dwie barwy zmieszane *zielona* i *purpurowa*. Wszelka barwa inna jest tylko jednym ze stopni intensywności jednej z tych, albo też jest zmieszaną. Barwy powstają w modyfikacji światła, za wpływem zewnętrznych okoliczności. Nie wypływają one *ze* światła, ale *przy* świetle. Dla zjawisk barwy potrzebnymi są światło i cień (ciemność); najbliższą światła jest barwa, którą zwiemy *żółtą*; najbliższą ciemności, barwa, którą zwiemy *sina*. Zmieszaj z sobą obie, a otrzymasz *zieloną*.

Nietrudną jest wcale rzeczą wywrócić tę teorię prostoty (niezłożoności) światła. Dla pokazania że promień biały jest rzetelnie złożonym z barw pryzmatycznych, najprzód rozkładamy na te kolory z pomocą pryzmatu; a gdyby tego było nie dosyć jeszcze, z tego spectrum składowamy na nowo barwę pierwotną, białą. Weź koło, na którym w porządku są odmalowane barwy tęczowe, nadaj temu kołu szybki ruch, a wtedy zamiast tego, abyś widział barwy, spostrzeżesz tylko kolor biały. Niuton posługiwał się trzema rozmaitemi metodami do złożenia na nowo światła białego; jedną z tych była: rzucić *spectrum* na szeroką soczewkę w pewnej odległości od pryzmatu, sprowadzić wszystkie barwy w jedno miejsce i zmieszać je znowu, jak były one w świetle, zanim jeszcze promień jego padł był na pryzmat ¹⁰⁾.

Wychodząc z głównego błędu o prostocie światła, Goethe zamierzył był sobie wytłómaczyć wszystkie zjawiska barwy,

niutońskiego *spectrum* (spektrum (wid'ma) rzeczywiście!) światła złożonego. Winniemy to temu geniuszowi, dla którego dług nasz i bez tego już jest tak wielkim. Zeitschrift für Speculat. Phil. II, S. 60. To samo Hegel w Encyklopedyi nauk filozoficznych.

¹⁰⁾ Sir David Brewster's — Life and Discoveries of Newton vol. I, p. 75.

za pośrednictwem tego, co on zwał był ciemnymi przestrzeniami, *środkami* (media).

Utrzymuje on, że z jednej strony mieści się światło, a z drugiej ciemność; jeżeli pomiędzy nich będzie wstawione medium na w pół przezryste, z tego kontrastu i z tego medium, rozwijają się barwy, sprzeczne z sobą w ten sposób, ale zaraz, przez wzajemne stosunki, zdążają do punktu złączenia.

Najwyższym stopniem światła widzianym przez środek (medium) bardzo mało ściśły (zbity) przedstawia się barwa żółta. Jeżeli zbitość środka zostanie zwiększoną, albo, jeżeli jego objętość stanie się większą, światło powoli przyjmie na się barwę żółto-czerwoną, która nareszcie przechodzi w kolor rubinu.

Najwyższym stopniem ciemności, widzianym przez na w pół przezrysty *środek* (medium), oświetlony światłem, padającym nań, daje barwę siną; barwa ta staje się bledszą, w miarę tego, jak środek jest przezrzystszy. W ostatnim stopniu rzadkości (środku), kiedy przezrzystość jest prawie absolutną, ciemno-siną barwa staje się najpiękniejszym *fioletem*.

Są tu u Goethego przytoczone zajmujące przykłady; tak *np.* dym wydaje się żółtym, albo czerwonym na jasnym tle, sinym zaś na czarnym; siny kolor u spodu płomienia u świecy, jest także wypadkiem barwy siniej na ciemnym tle; światło przebijające się przez powietrze jest żółte, pomarańczowe, albo czerwone stosownie do miąższości masy powietrza; ciemność przebijająca się przez powietrze jest siną, jak *np.* w kolorze nieba, albo odległych gór.

Opowiada także ciekawą anegdotę dla wyjaśnienia tej siniej barwy ciemności. Malarz pewien miał raz u siebie portret stary jakiegoś teologa, dany mu do oczyszczenia; gąbka mokra przechodząc po czarnej jego aksamitnej sukni, nagle zmieniła ją w jasno siny plusz. Zdziwiony tym istotnie osobliwszym zjawiskiem, a nie pojmując, jakim sposobem jasno-siną barwą, mogła być podstawą ciemno-czarnego koloru, był bardzo zaambarasowanym, myśląc że ze-

psuł dany mu obraz. Następnego poranku, ku wielkiej swojej radości znalazł czarny aksamit sukni, takiej barwy, jaką miał przed zmyciem. Aby zaspokoić ciekawość swoją, nie mógł się powstrzymać od zmycia powtórnie jednego rogu obrazu i na nowo spostrzegł ukazującą się barwę siną. Goethe został uwiadomionym o tym zjawisku, które objawiło się na nowo, w przytomności Goethego, po dokonaniem doświadczeniu na malowidle. „Wytłómaczyłem je, mówi, moją teorią nawpół przejrzystego środka. Malarz dla nadania większej jeszcze ciemności czarnej barwie sukni, musiał być naprowadzić ją jakimes osobliwszym pokostem; zmyty pokost ten musiał być przyjąć w siebie pewną ilość wilgoci i stał się przez to nawpół-ciemnym, a w skutek tego barwa czarna, będąca pod nim, stała się natychmiast siną.“ Tłómaczenie jest bardzo oryginalne. Z powodu tego tłómaczenia jeden z recenzentów edynburskich tak mówi: „Jak nie masz gummy takiej, albo żywicy, ani też takiego pokostu, coby posiadał własność, będąc zmoczonym, wydawania barwy błękitnej, nie wątpimy tedy, że albo przez obmycie portretu pokost został zmyty, albo też że na obrazie rzeczonym nie było wcale lakieru.“ Ale tu nie szło wcale o to, czy zmoczony pokost wydaje z siebie barwę błękitną, ale szło o to, czy zwilżony pokost staje się środkiem, przez który barwa czarna wydaje się siną. Własne tłómaczenie recenzenta może być jednakże rzetelnym. Przypuszcza on, że na malowidle nie było wcale pokostu i że cząstki ciała, wydającego barwę czarną, mniejszymi są od cząstek wydających barwę siną; kiedy następnie zwiększymy objętość atomów, dających czarną barwę, będą one wydawać barwę siną, opisaną przez Goethego. W przywiedzionym wypadku działanie wody mogło powiększyć trochę objętość atomów farby i takim sposobem zmieniło własność ich odbijania koloru czarnego, na kolor siny.

Goethe zapoznał był myśl Niutona, jak to już widzieliśmy wyżej, a jak on tłómaczył zjawiska odbicia może być tak wyłożonem w krótkości. Stawi on jasne koło, jak

np. cyrkularnie zakreślony kawał papieru, na tle czarném i patrzy nań przez pryzmat. Za pośrednictwem refrakcyi koło jest przestawione; ale massa przestawiona jest żółtą ze strony najbliższej pierwotnego białego koła, a błękitną ze strony drugiej. Te dwie barwy, sina i żółta objawiają się na białém; obie przyjmują barwę czerwoną w miarę jak się mieszają z czarném; tak postrzegamy pierwotny fenomen barw wszystkich spowodowanych refrakcją. Rozpatrując process doświadczenia, znajdujemy że w jednym wypadku rozciągnęliśmy biały kraj na powierzchnię czarną, w drugim zaś rozciągnęliśmy czarny kraj na powierzchnię białą, zmieniając jeden drugim, posuwając jeden na drugi. Odnosząc się do poprzedniego doświadczenia, pokazującego że ciemny przedmiot wydaje się mniejszym niż jasny tejże samej objętości, uważa to jako rzecz wykazującą pewne zlanie się we względzie *retyny* (siatki ocznej), pomiędzy jasnym przedmiotem a światłem tłem. Kształty, tak rozciągnięte i ściśnięte, źle się odróżniają od tła swego, a ukazują się z pewnym rodzajem szlaku szarego albo zielonoszarego (*verdigris*); jedném słowem z dodatkową barwą. Aby wyrazić myśl jego w zdaniu: pryzmatyczny pojav jest „dodatkowym obrazem,“ odpowiadającym zupełnie kształtowi przedmiotu, i dzielający z nim wszelkie inne jego przymioty, jak *np.* jasność jego i ciemność.

Utrzymywał teorię swoją tyłą doskonałymi postrzeżeniami i słusznymi dowodzeniami, że studyując ją nie można się wcale dziwić temu, że zyskał sobie kilku uczni pomiędzy ludźmi znakomitymi, jakim *np.* był Hegel. Pomylił się jednakże grubo. Zaprzeczał temu, aby światło miało być substancją złożoną z rozmaitych pierwiastkowych barw nie jednakiego łamania się, co przecież nie tylko że jest rzeczą dowodną, tak przez rozkład pryzmatyczny światła i przez jego skład powtórny, ale nawet jest koniecznym dopełnieniem niedającego się wcale zaprzeczyć prawa refrakcyi, wykrytego przez Snelliusza i Descartes'a. Nie tylko fakt ten jest niezbitym, ale nawet wyciągnięte zeń następstwo, mianowicie to, że stosunek sinusów (wstawy) rozszczepie-

nia się promienia, chociaż stałego dla każdej barwy, zmienia się przecieź w oddzielnych kolorach *spectru*; tu już zagadnienie wchodzi w obręb matematyki. Doszliśmy narzeczcie do punktu, w którym nietylko że teoria Goethego może być odrzuconą, ale nawet może być wskazanem rzetelne źródło jego pomyłki. Matematyka była mostem przez który nie mógł być przejść Goethe. Owszem, utrzymywał nawet, że przez most ten nie można było się przeprawić. Wszelkie tłumaczenie matematyczne odbicia (refrakcyi) uważał on za mylne uprzedzenie, a Hegel w swojej Encyklopedyi wtórzył temu oświadczeniu poety. „Poruszyłem przeciwko sobie, mówi Goethe, całą szkołę matematyków; ogół wielce się temu dziwił, że ktoś, niemający wyobrażenia o matematyce, mógł się odważyć zaprzeczać Niutonowi, bo, że fizyka mogła się była obejść bez pomocy matematyki, nikt zdaje się tego nie podejrzewał wcale.“ Dotąd to podejrzenie nie zakorzeniło się pomiędzy fizykami, chociaż czasami wypadało zaprotestować im przeciw wyłącznemu użyciu matematyki w wykładzie ich nauki. Jakkolwiek bądź nieporozumienie, leżące w głębi polemiki Goethego, było wcale naturalnem w pocie, co się nie zajmował nigdy matematyką, ani naukami opartemi na doświadczeniu, co nie znał był położenia osobliwszego, jakie zajmuje matematyka jako wielkie narzędzie nauki fizycznej. W rozprawie swojej „*O matematyce i jej nadużyciu*“ (Ueber Mathematik und deren Missbrauch), porównywa on filozofów, używających podobnego narzędzia jak matematyka, do człowieka, co chce wynaleść machynę do wyciągania korka, czynności do której dość jest mieć parę rąk zręcznych; zdaje się ze wszystkiego, że nie pojmuje należycie nieodbitęj potrzeby tego narzędzia (matematyki).

Żeby uczynić namacalnym błąd ten, przypuśćmy, że znalazł się człowiek z wielkim umysłowym sprytem i taką energią ducha, co od razu szedł do przekonania racjonalnego o tém, że wszelkie nasze teorye chemiczne są zwichnięte przez zasadę fałszywą, że teoria anatomiczna jest nie tylko przypuszczeniem samém, wystawiającém mylnie

porządek przyrodzenia, ale że rzeczywiście nie ma wcale w przyrodzie takich stosunków, jakie podaje nam teoria powyższa. Wystawmy więc sobie reformatora, zabierającego się do dzieła, mnożącego doświadczenia, wyszukującego wyjaśnienia, nie zważając bynajmniej na to, co w tym względzie podały nam nagromadzone doświadczeniem wieków całych fakta, a nadewszystko, gardząc jako niepożytecznym, albo złym samo narzędzie, wydzwigające chemię ze stanu prostej macaniny, a podnoszące ją do możebności nauki — narzędzie znane pod imieniem wagi. Może być, że reformator nasz uczyni kilka ciekawych postrzeżeń, nawet dotąd nieznanych wcale; może być, że niemi pobudzi do nowych poszukiwań, ale to jest przecież równie niezawodną rzeczą, że w teorii swojej będzie on mylnym zawsze, dla tego samego że będzie niedokładnym w swoich doświadczeniach. Bez ścisłej kontroli wagi, doświadczenia chemiczne nie mogą nigdy stać się *ilościowemi*; a bez wiedzy ilościowej nie może być wcale umiejętności fizycznej, ściśle tak nazwanej, ale tylko może być *jakościowa* t. j. umiejętność przybliżona. Liczba doświadczeń nie może uczynić doświadczenia ścisłym, dopóki nie zostanie wymienionym. Żadna siła umysłu nie zastąpi tu miejsca narzędzia; możecie przez wieczność całą patrzeć na spadające z góry ciała, ale samo przypatrywanie się nie da wam prawa ciężkości. Możecie sobie ile się wam podoba mięszać z sobą kwasy i alkalię, ale liczba tych doświadczeń chociażby ona była największą, nie odkryje wam tajemnicy ich składu, jeżeli odrzucicie od siebie z góry *wagę*.

Goethe odrzucił wagę; usiłował on rozumem i doświadczeniem zastąpić miejsce doświadczenia i matematyki. Hegel uważa to śmieie za zasługę w Goethym — że odrzucił od siebie pryzmat; chwali on w nim „czysty zmysł przyrodzenia,” który u poety naszego powstał przeciwko „barbaryzmom rozmysłu“ Niutona. To samo prawi Szelling, niewahając się ani na chwilę wziąć to za sam powód do ogłoszenia wyższości Goethego nad Niutonem, że zamiast sztucznych, poplątanych i wykrzywiających rzecz doświad-

czeń niutonistów, przyjął raczej *czyste, rzetelne zeznanie* samego przyrodzenia; dodaje jeszcze, że nie jest to wcale nic dziwnego, że zaślepieni i niewolniczy zwolennicy Niutona mogą przeciwstawić poszukiwania dowodzące, że właśnie ten sam oddział fizyki, w którym podali oni najdodatniejszą, owszem najmatematyczniejszą jawność ze swojej strony, polega na fundamentalnym błędzie.

Rozstrząsnąwszy dostatecznie ten punkt metody, będziemy w stanie zrozumieć całe zagadnienie zdolności Goethego do traktowania o nauce. Przyrodzony kierunek duszy jego widnym jest w jego optycznych poszukiwaniach równie stanowczo jak i w jego poezjach; kierunkiem tym było usposobienie do zjawiska *konkretnego*, a nie do idei oderwanych. Starał się on wyjaśnić zjawiska barwy, w matematyce zaś zjawiska te znikają t. j. rzecz sama, o którą mu szło właśnie, kryła się od wzroku pod zasłoną abstrakcyi. Taka postać rzeczy była mu w najwyższy sposób odrażliwą w przedmiocie pojmowania przyrodzenia. Tak owe przedziwne zjawiska światła polaryzującego się, kiedy przechodziły do rąk matematyków, obudzały ostatnią jego pogardę. „Nie można wiedzieć, powiada, czy przed tobą leży ciało, czy proch jego tylko leży zagrzebany pod temi formułami.“ Samo imię Biot'a wprawiało go we wściekłość prawie; ustawicznie sobie żartował z przyzmatów i *spektrow* niutończyków; byli oni w jego oczach pedantami, co przekładali zapyłoną izbę nad powietrze wolne nieba odkrytego. Zawsze zwykł był mawiać o postrzeżeniach, czynionych w ogrodzie swoim, albo z prostym przyzmatem nad światłem słonecznym, jak gdyby naturalna i zwyczajna metoda więcej daleko miała za sobą prawdy, niż metoda kunsztowna nauki. Zdradzał w tém niechęć swoją ku metodzie wszelkiej. Sądził on że przyrodzenie objawiło się samo przez się cierpliwemu postrzegaczowi.

Und was sie deinem Geist nicht offenbaren mag,
Das zwingst du ihr nicht ab mit Hebeln und mit Schrauben.

„Czego ci ona nie objawi sama, tego nie wymożesz na

niej lewarem ani szrubą.“ Probował on przez spostrzeganie barwy dojść do rozjaśnienia tajemnicy. W tém była jego pomyłka, ale w tém była razem i jego zasługa, niepowinniśmy bowiem zapominać o tém, że jeżeli co do optyki nauka jego o kolorach jest nie wielkiej wagi, to za to, z drugiej strony, ma ona pożytek dla artystów; malarze niejednokrotnie objawiali korzyść jaką odnieśli przez nią; Sir Charles Eastlake tak był ujętym jęj wartością, że przłożył na język angielski jęj część dogmatyczną, dodając do niej przewyborne noty. *Historya teoryi kolorów* zawiera takż w sobie wiele ważnych wiadomości.

Teraz na zawarcie rzeczy jeszcze jedna uwaga. Goethe oświadcza ustawicznie, że tłómaczenie Niutona jest fałszywém, ale w tym względzie ogranicza się tylko samém twierdzeniem tego; nigdzie ani razu nie przedsięwziął on zbijania jego teoryi; nigdzie nie okazał tego, w jaki sposób tłómaczenie niutonowe niezgadza się z zasadami z których Niuton wychodzi. Poprzestaje na oświadczeniu z jednej strony, że Niuton okrutnie się myli, z drugiej zaś, że jego własna teorya dostateczną jest do wyświecenia istoty zjawisk optycznych. Ale darmo czytelnik wygląda dowodów tego, że się Niuton pomylił; Goethe, zdaje się myśleć, że pomyłka jego jest oczywistą. Istotnie, stosownie do jego własnego sposobu zapatrywania się, błąd ten jest oczywistym; Niuton bowiem zamiast tego, aby zdać się wprost na zjawisko konkretne, przenosi je w sferę ode-rwaną; zamiast spostrzegania przyrodzenia „zapytuje on,“ przeprowadzając przez próby doświadczenia, zmierza jego kąty, każe mu zeznać z pomocą dźwigni i szrub to, czego niechce ono wypowiedzieć „oku spostrzegawczemu.“

W optyce poeta okazuje się poetą, t. j. człowiekiem nieznanący cyrkla, pełen imaginacyi, bo niemający pod sobą pewnej posady. Ani jego przyrodzone usposobienia ducha, ani jego przyzwyczajenia i wychowanie, uzdolniały Goethego do nauki opartej na doświadczeniu. Pokuszenia się jego w tym względzie są przecież warte większej uwagi niż tej z jaką ją traktują zwykle, są one, powiem, poku-

cze idee, do których dopiero zmierzały natenczas nauki, a dziś nadają im one ich obecną formę.“ Nadewszystkich zdanie jest wielkiej powagi świadectwo Ryszarda Owena: „Goethe, powiada on, rzeczywiście objął był kierunek w badaniach przyrodzenia, w myślach rzuconych jeszcze w r. 1787 o kości międzyszczękowej; wielkie filozoficzne zasady, wypowiedziane w anatomicznej rozprawie poety wielkiego, wywołały ważne prace pokrewnych mu umysłów Oken'a, Bojanus'a, Meckel'a, Carus'a i innych znamienitych uprawia-czy nauki anatomicznej w Niemczech.“

Powiedziałem już to, że Goethe był myślicielem w nauce, promotorem idei zasadniczych; nie należał on do tych pożytecznych szperaczy, co z mikroskopem i skalpelem w rękę zbierają skrzętnie materyały, z których powstaje budowa nauki; pracował on takż po swojemu, a wszędzie wyszukiwał w porządku przyrodzenia dowodów myśli, które *à priori* rzucił był w nauce. Nie należy go przecież brać za metafizyka; owszem był on myślicielem dodatnim chociaż szedł metodą apryorystyczną, metodą złą, jeżeli uczonej poprzestaje w niej na swoich własnych przypuszczeniach, albo pobieżnie i niedokładnie stara się je usprawiedliwić faktami — co Bakon zwie słusznie *notiones temere a rebus abstractas*. Metoda ta przecież jest wielce naukową i filozoficzną, skoro tylko idzie przed faktami, uprzedzając to, co później stanie się wywodem ostatecznym doświadczenia. Apryorystyczna metoda jest jasnym i świetnym narzędziem. Pokaleczy on palce będąc zażyty niezręcznie, ale, z drugiej strony za to głęboko wkraja się on w prawdę, gdy zostanie zażyty właściwie. Goethe poglądał na przyrodzenie z wysoka, ale popatrzwszy na nie z tego stanowiska, zstępował potem na niziny, aby to co dojrzał on z tego wyniosłego punktu, udowodnić rzeczą, przeświadczeniem empirycznym.

Spójrzmy na działanie jego na tém polu. Międzyszczękowa kość ¹³⁾ długo była przedmiotem sporu pomiędzy

¹³⁾ Jest to średnia część kości szczęki wierzchniej, ta mianowicie, co obejmują w sobie zęby *przerzynające* (*incisivae*).

anatomikami. Vesaliusz, jeden z największych i najsmiel-
szych dawnych pracowników, co pisali przeciwko Galenowi,
jak filozofowie pisali byli przeciw Arystotelesowi, oświad-
czył, i słusznie, że anatomija Galena nie gruntowała się
na dyssekcji ciała *ludzkiego*, ale na dyssekcji zwierzęcych
trupów. Dowodem tego, powiadał on, jest to *np.*, że Galen
wymienia osobną kość spojoną z kością szczękową, kość
jednakże, która, jak to jest rzeczą wiadomą anatomom,
znajduje się tylko u zwierząt samych. Galeniści powstali
byli na takie oświadczenie. Nie mogli oni podać przeciw
twierdzeniu Vesaliusza faktu, ale nie bardzo dbali o taką
bagatelę, bo jeżeli brakło faktu, czyż nie można było na
jego miejscu badać jakiego przypuszczenia? Sylwiusz *np.*,
utrzymywał śmieie, że człowiek miał *pięrowotnie* kość taką,
jaką opisał Galen; jeżeli jej nie miał teraz to *powinien* był
mieć ją. Zbytek, zmysłowość pozbawiły człowieka kości
tęj. Sprzeczka ta trwała wieki całe, nikt jednakże nie spro-
bował dowieść anatomicznie rzeczywistego istnienia kości
tęj. Camper nawet w mniemanym braku tej kości widział
liniję demarkacyjną, oddzielającą człowieka od małpy;
szkoda jednakże podwójnie, naprzód że kość ta jest u czło-
wieka, a powtóre, że o ile można ją uważać nieegzystu-
jącą u człowieka, o tyle nie masz jej u najwyższego ga-
tunku małp, u *Czimpance*. Tak anatomija nie dopisała była
w tém zagadnieniu, chociaż Camper nie przeczuwał był tego,
o ile się ona pomyliła.

Drobny ten zarys historyczny posłuży do okazania, że
odkrycie to, jeżeli nie ważném było przecieź trudném; rze-
telnie, tak daleko leżało ono od gościńca bitego nauki
ogólniej, że z początku przyjęto je z pogardliwą niewiarą,
nawet od ludzi tak znamienitych jak Blumenbach, i po-
trzeba było na to czterdziestu lat, aby fakt ten doszedł
powszechnego uznania w nauce, chociaż Loder, Spix i Söm-
mering od razu go przyjęli. Camper, któremu Goethe prze-
słał był swój rękopism, znalazł *qu'il était très élégant, admi-
rablement bien écrit, c'est à dire d'une main admirable*, ale
życzył, aby autor wyrobił sobie lepszy styl w łacinie.

Goethe począł gardzić pedanterią ludzi z professyi uczonych, co woleli nie wierzyć świadectwu swoich pięciu zmysłów, niż przypuścić pomyłkę jakąś w przyjętej raz doktrynie; wybornie wyraża się on z tego powodu, że „fragoza, które ludzi nawykli są powtarzać ustawicznie, stają się nareszcie przeświadczeniem i jak gdyby krystalizują organa umysłowe.“

Najważniejszą rzeczą w tém odkryciu, mniej jest samo odkrycie, niżeli metoda, co przywiodła Goethego do odkrycia. Kość międzyszczękowa mieści w sobie u zwierząt zęby przecinające. Człowiek ma zęby przecinające; Goethe, przeświadczony do głębi duszy tém, że w przyrodzeniu zachowuje się jedność idei, oświadczył śmieie, że jeżeli człowiek ma równie jak i zwierzęta zęby przecinające, musi więc mieć tak jak one kość międzyszczękową. Anatomicy, zagrzebani w szczegółach, nie znający tego gruntownego pomysłu, który leży dziś w podstawie samej anatomii filozoficznej, nie widzieli wcale konieczności oderwanej podobnej jedności w budowie; tém bardziej, że na pozór, oczywistość sama mówiła przeciwko temu twierdzeniu Goethego. Ale Goethe nie tylko szedł w tej rzeczy za rzetelném pojęciem filozoficzném, ale instynktowie przyszedł on był do wierniej metody udowodnienia, a mianowicie, do wzajemnego porównania z sobą rozmaitych zmian, jakim kość ta ulegała w szeregach różnych zwierząt. Metoda ta stała się metodą *per excellentiam*; potrzeba udać się nam do dziejów nauki, aby ocenić nowość jej w czasie, kiedy została metoda ta użytą przez Goethego. Z porównania odkrył, że kość ta zmieniała się z pokarmem zwierzęcia i z objętością zębów jego. Odkrył oprócz tego, że w niektórych zwierzętach kość ta nie była oddzieloną od szczęki; w dzieciach zaś spojenia były widocznymi. Przekonał się, że patrząc od czoła nieznac było śladu spojenia, ale że ze środka był on widnym niemylnie. Po opatrzeniu czaszki zarodu (foetus), rzecz ta stanęła w zupełném świetle; nikt już nie mógł odtąd zaprzeczać bytu tej kości. Widziałem jedną czaszkę taką, w której kość ta była oddzieloną wyraźnie;

mam czaszkę kobiecą, w której skostnienie doszło już do spojeń ściennych (parietal sutures), a przecież ze środka ślady kości międzyszczękowej są widoczne.

Goethe zrobił doświadczenie swoje w 1784 roku i udzielił je kilku anatomom. Loder wzmiankuje o niém w *Compendium* swoim 1787 roku. Data niewiele tu znaczy; pokazuje ona tylko jak odkrycia bywają jednoczesnemi i jak mamy być ostróznemi w zarzucaniu w téj mierze plagiatu w nauce. W 1786 r. wielki anatom francuzki Vicq d'Azyr, ogłosił traktat swój (*Traité d'Anatomie et de Physiologie*). W dziele tém nietylko że są wyraźne *poglądy* (nie dowodzenia wszakże) o istnieniu kości międzyszczękowej u człowieka, ale nawet fakt ten przytoczonym jest tu, jako pojęcie ogólne typu. „Peut-on s'y refuser enfin, en comparant les os maxillaires anterieurs que j'appelle *incisifs* dans les quadrupèdes avec cette pièce osseuse qui soutient les dents incisives supérieures dans l'homme, ou elle est séparée de l'os maxillaire par une petite fêlure très remarquable dans le fœtus, a peine visible dans les adultes, et dont personne n'avait connu l'usage. ¹⁴⁾

(Możnaż zaprzeczyć temu, porównywając kości międzyszczękowe przednie, które zwę *przecinającemi*, u czworonożnych z tą częścią kościstą, co podtrzymuje zęby przecinające wierzchnie u człowieka, gdzie oddziela się ona od kości szczękowej małą rysą, wyraźną bardzo w zarodku, a ledwo widomą u dorosłych, a której użytku nikt dotąd się niedomyślał.)

Tu znajdujemy zgodność nauki, jak równie zgodność i jednoczesność wynalazku. Że Goethe nie przejął go u Vicq d'Azyr'a dowodzi tego pismo Sommering'a do Merck'a: „Wyraziłem zdanie moje o dziele Vicq d'Azyr'a w *Goetyngskich uczonych wiadomościach*. Najlepsze jest ono ze znanych mi. O ile jednakże zostało posuniętem to dzieło, nieznajdujemy w niém dotąd wzmianki o Goethym.“ Dla

¹⁴⁾ Z noty Blumenbacha w jego *Anatomii porównawczej* (p. 19) zdaje się, że postrzeżenia swoje Vicq d'Azyr zrobił był jeszcze 1780 roku.

zamknięcia tych szczegółów zanotujmy tu, jakby na próbę tego, jak żółwim krokiem posuwały się wynalazki, w owym czasie, z Niemiec do Francji; Geoffroy St. Hilaire, wyrabiający idee Filozofii anatomii w duchu zupełnie tym samym, co Goethe, niewiedział zgoła nic o współpracowniku na tém samym polu po za Renem, a robiąc wzmiankę o monografii Fiszer'a, powiada: „*Goethes aurait le premier découvert l'interpariétal dans quelques rongeurs et se serait contenté d'en faire mention par une note manuscrite sur un exemplaire d'un traité d'anatomie comparée.*“

Jeżeli czytelnikowi jakiemu wyda się, że za wiele miejsca daliśmy tu téj rzeczy, to pewny jestem, że czytelnik lubiący nauki chętnie mi to odpuści, równie ten, co ciekawie śledził dotąd za rozwojem ducha Goethego, nie będzie obojętnym dla tych zagadnień, rzucających tyle światła na ten paradoks, że poeta, do tego wielki poeta, nie może pracować skutecznie w zawodzie poważnym nauki. Odkrycie kości międzyszczękowej nie było ważnym przez się. Odkryłyby ją, wcześniej lub później, ktoś inny; metoda porównawcza, będąca naówczas jakby w atmosferze wieku, przyprowadziłaby niezawodnie do tego odkrycia. Całą zaletą tego odkrycia jest to, że służy za przykład w żywotopisie Goethego, jak on wcześniej i dzielnie wpadł był na trop téj metody. Niemogę zgodzić się z Carusem, przypisującym Goethemu utworzenie jój; Vicq d'Azyr ogłosił był już traktat swój o Anatomii, w którym jój zasady główne zostały jasno wyłożone; sądzę przecież, że położenie jego w dziejach Anatomii jest daleko zaszczytniejszém, niż to jakie mu w niej zwykle przeznaczają. Teraz przejdziemy do innych materyi, a mianowicie do nauki o Morphologii.

Dajcie kwiat jaki w ręce najrozumniejszego człowieka, jakiego znacie, ma się rozumieć takiego, coby nie czytał dzieł nowych o botanice, i zapewnijcie go, że liść, kielich, korona, pączek, słupek, łodyga, jakkolwiek wszystkie są różne od siebie tak barwą, jak i kształtem, są przecież tylko

rozmaicie zmienionými liśćmi; zapewnijcie go, że kwiat i owoc są tylko zmianą jednéj i téj saméj typowój formy, którą stanowi liść; a jeżeli ma on jakąkolwiek wiarę w wiedzę waszą, przyjmie może to twierdzenie, zawsze jednakże wyda się mu ono niezrozumiałym paradoksem. Postawcie go przed szkieletem ludzkim i zwracając uwagę jego na różnaitość, zachodzącą w kształtach jego, zapewnijcie, że każda kość jego z osobna wzięta, jest albo ogniwem pacierza, albo dodatkiem jego, że czaszka jest całością, powstałą ze składu czterech pacierzy, zmienionych rozmaicie; zapewne znajomy wasz, jak uprzednią razą, przyjmie może to wasze twierdzenie, ale, jak przedtém, uzna je za wyrafinowanie transcendentalnéj spekulacyi, do którój filozofowie tylko dojść mogą. A jednakże oba te osobliwe twierdzenia są zasadniczymi pierwiastkami w Morphologii, w dziejach zaś nauki, oba należą się potężnéj myśli Goethego. Botanicy i anatomicy, ma się rozumieć, zmienili bardzo jego własny pogląd i podawali coraz więcej i więcej idee bliższe prawdy, niezgodziwszy się przecież ostatecznie na jedno. Zawsze przecież pamiętać należy o tém, że pobudką do tych odkryć nowych był Goethe.

Postawiłem tu teorię dzwonekową (wertebrałną) obok teoryi przekształcenia się (metamorfozy) rośliny dla tego, że postęp naukowy uczynił był wyłom wielki w teoryi przekształcenia, wynajdując organ daleko prostszy i powszechniejszy niż jest liść. Organem tym jest *komórka*. Wiele jest roślin bez liści, albo śladu nawet liści, ale niemasz rośliny coby się zaradzała bez komórki, albo coby nie była złożoną z grupy komórek rozmaicie zmienionych. Jedynym pierwotnym, powszechnym organem świata roślinnego widocznie nie jest liść, ale komórka; liść nie tylko nie jest pierwotnym, ale owszem sam jest podrzędny i złożony. Za czasów Goethego niepodejrzewano nawet podobnego powszechnego organu jakim jest komórka; od czasu jego odkrycia przez Szlejdęna, zdaje się powszechném przekonaniem było, że teorya Goethego przygotowała do niego. Ale jeżeli mogę wyrazić zdanie moje o téj delika-

tniej materji, to *teorya komórkowa* dotyka o tyle teoryę przekształcenia się rośliny, o ile ją *ogranicza*. Znosząc powszechność liścia, jako organu zasadniczego, pozwala ona przecież pozostać listkowi jako kształtowi typowemu, od którego wszelkie inne pochodzą, w tych roślinach, co mają liście. To usposobiło analizę do zajścia dalej w rzecz i nadania nauce formę nową. Komórka jest zasadniczym organem roślin i zwierząt; ci, co utrzymują teoryę typowości liścia, znajdują się w podobnym położeniu do tych, co utrzymują typowość *zwonu* (wertebry); botanik może pokazać na rośliny prostsze, niemające liści, rośliny prosto komórkowe; zoolog znowu może pokazać że są zwierzęta bez pacierzowej kości, zwierzęta bez żadnego szkieletu. W obydwóch razach, obrońca typów może dać odpowiedź: rzetelnie, typ mój nie jest powszechnym, ale gdziebyśkolwiek znalazł zwierzę z wewnętrznym szkieletem, znajdziesz szkielet ten zbudowanym na systemacie pacierzy; gdziekolwiek bądź znajdziesz roślinę z liśćmi, znajdziesz że wszystkie jej organa są tylko zmienionemi liśćmi.

Niepodobna jest być choćby powierzchownie oznajmionym z biologią i spekulacją i nie uznać ogromnej wazności kreacyi z typu. Helmholtz spostrzegł trafnie, że prace botaników i zoologów mało co więcej uczyniły nad zebranie materiałów, aż do tego czasu kiedy nauczono się szykować je w takie grupy, z których dałyby się wywinać prawa ich zawisłości i nareszcie typ ogólny. Tu właśnie duch wielki poety naszego znalazł był stosowne dla siebie pole, a czas był po temu. Dość było zebranych materiałów w botanice i anatomii porównawczej, dla jasnego przejrzenia całości idei, jako się w nich objawiała; a chociaż współcześni mu błakali się bez iglicy, albo przestawali na suchém spisywaniu faktów, on przecież stał się zdolnym do wprowadzenia do nauki dwóch zasadniczych idei, mających w sobie nieskończoną płodność.“

Chociaż utworzenie typu należy do Goethego i chociaż słusznie jest poczytywanym za założyciela nauki morfologicznej, przecież cięży mi na sumieniu obowiązek od-

dania sprawiedliwości poprzednikowi jego Wolffowi, jednemu z największych myślicieli jakich tylko posiadały fizyologia i biologia, którego jednakże pomysły zanadto wyprzedzały wiek swój, by mogły uzyskać dla siebie uznanie. W roku 1817 Goethe ogłosił z dumą fakt ten, „że uprzedził był go w tej rzeczy Wolff, którego dzieła on poznał w kilka lat dopiero po ogłoszeniu swojej własnej pracy“ (Werke XXVI p. 105). Jasną jest rzeczą z samej różnicy ich poglądów i traktowania przedmiotu, że Goethe nie pożyzył był teorii swojej od Wolffa; nawet nie sądzię, aby zrozumiał on dokładnie Wolffa. Zacytowawszy ustęp z przekładu Meckel'a, w którym Wolff ustanawia jedność rozmaitych organów rośliny, krytykuje jakby Wolfowe streszczenie się, mianowicie: nieuznaje jego następstwa *kontrakcy* i *ekspensyi* (*ściągnięcia* i *rozciągnięcia*) krytyka okazująca jawnie właściwy mu morfologiczny pogląd na zagajony przedmiot, podczas kiedy metoda Wolffa była fizyologiczną, a nie morfologiczną. Uskarża się że Wolff stracił był ścieżkę, coby go była niechybnie zaprowadziła do przekształcenia się zwierząt, ale w rzeczy tak się ma, że Wolff wskazywał tylko na jedność procesu w roślinach i zwierzętach.

Nie ujmujemy przez to Kolumbowi sławy odkrycia Ameryki, jeżeli mówimy, że na pięć wieków przed nim Skandynawi przybijali nieraz do jej brzegów (Grenlandyi); równie nie ujmujemy nic zasłudze Goethego w nauce, jeżeli zapisujemy ten oto fakt, że przed nim Wolff przeczuł już był jedność rozmaitych organów rośliny. Skandynawi, przybijając do Grenlandyi, nie myśleli o odkryciu nowego świata, nie myśleli o udarowaniu nim ludzkości: równie nie był owcale myślą Wolffa utworzyć nową teorię w botanice; odkrył on był process przyrodzenia, kiedy szukał praw epigenezy; odkrycia swego użył był tylko jako jednego z wielu przytoczonych przykładów. Przeciwnie było z Kolumbem; wypłynął on był z wyraźnym celem zrobienia odkrycia i z odkrycia swego zrobił był dar dla potomności. Tak samo Goethe przedsięwziął był odkrycie i słu-

sznie, z tego względu, botanicy przyznają, że jego udziałowi winni są ideę przekształcenia się rośliny. Dzieło to jest piękne i może być czytaniem bez wszelkiego poprzedniego przygotowania naukowego. Skreśla on przeobrażenia się ziarna w liść, a z niego w kwiat. Część morfologiczna jest wyborna, kuleje tylko w fizyologicznym przypuszczeniu. Każdy odcinek (segment) wychodząc bezpośrednio z poprzedzającego, otrzymując żywność swoją z odcinków poprzedniczych, musi, powiada, być doskonalszym i przesyłać liściom swoim i pączkom więcej wyrobione soki. Następstwem tego jest to, że gorsze soki odchodzą, lepsze przyciągają się, a roślina rośnie, coraz więcej doskonała, aż dojdzie do swego punktu kulminacyjnego.

Hypoteza ta coraz lepiej wyrabiającego się soku, a dochodzącego powoli do ostatecznych parości, jest w wyraźnej sprzeczności z przypuszczeniem Wolffa. On, także oświadcza, że kwiat jest zmodyfikowanym liściem, ale w jaki sposób? pyta sam siebie (Theorie von der Generation § 80 u. folg.). Zmieniają się one, odpowiada, dla tego że są niedoskonałe. Rozwój ich został powstrzymany. Są one drobniejsze, mniej mają soku, sok ten stracił swój *chlorophyl*, a barwa kwiatu widoczną jest oznaką *niedoskonłości*. Nie możemy zatrzymywać się tu nad rozważaniem dowcipnych argumentów Wolffa, którymi usiłuje on okazać to, że kwitnienie i wydawanie owoców są zjawiskami, pochodzącymi z powstrzymania rozwoju roślinnego. Dość będzie wskazać tylko to, że zachodzi w tém sprzeczność pomiędzy teorią Goethego a teorią Wolffa. Obaj zgadzają się na to, że musi być pewna przyczyna zjawiska, ale podczas kiedy Wolff przyczynę tę upatruje w niedostateczności soku, Goethe widzi ją w wyrobieniu tego soku.

Goethe zgadza się z Wolffem, że przechodzenie liścia w kwiat zależy od przyspieszenia, albo opóźnienia obrotu soku. Już Linneusz zauważył to był, że zanadto obfity zasób żywności opóźnia kwitnienie w roślinie, a przyspiesza wzrost liści; przeciwnie zaś umiarkowana czczość, na-

wet czczą zbliżająca się do wycieńczenia, przyspiesza kwiat i zmniejsza liczbę liści. Wolff przypisuje to jedynie temu, że jak długo jest obfita żywność, musi być dla tego samego wzrost szybki, a brak powstrzymania go w kształcie niedoskonałych listków (t. j. kwiecica); kiedy żywność jest skąpa, powstrzymanie to musi nastąpić prędko. Na nieszczęście jednakże dla téj opinii, (że kwiaty są niedoskonałemi liśćmi, a to z braku pożywienia), znajdują się rośliny, kwitnące zanim jeszcze wypuszczą listki. Jakkolwiek przypuszczalnem jest tłómaczenie Goethego, jest ono przecież lepszem od tłómaczenia Wolffa. Mówi on, że jak długo w roślinie znajduje się jaki z jój grubszych płynów, które ona musi wyrzucić z siebie, organa jój zajmują się tém stale, co czyni kwitnienie niepodobnem; ale jak skoro ograniczymy pożywienie, wtedy zmniejszając proces wyrabiania się rośliny, przyspieszamy, przez to samo, dobę jój kwitnienia.

Dotykamy tu wielkiego przeciwieństwa, zachodzącego pomiędzy rośnięciem, a rozwojem, przeciwieństwa, będącego w ścisłym stosunku z prawem odradzania się (reprodukcyi), — rzeczy zanadto obszernej, abyśmy mogli ją tu wspomnieć, chociażby tylko w pobieżnym poglądzie. Zajmujący się nauką powinien to tylko sobie zauważyć, że chociaż Goethe naruszył był położenie swoje, wprowadzeniem przypuszczalnego wyrabiania się soków, nie podając przyczyny podobnego wyrabiania się, przecież postrzega on to dobrze, czego wielu nie mogło dojrzeć, że odradzanie się jest tylko inną formą wzrostu — jest procesem wyrozdzielenia się. „Żywotne siły rośliny“ mówi on „objawiają się podwójnym sposobem, najprzód przez *roślinienie* (wegetacyę), dokonujące się w łodydze i liściach, powtóre w *odradzaniu* się (reprodukcyi) dokonującym się w kwieciu i owocu. Jeżeli będziemy rozważali ściśle roślinienie, zobaczymy, że roślina rozrastając się z kolanka do kolanka (artykulacyi), z listka do listka, wydając narazie pączki, spełnia pewien sposób odrodzenia się własnego, sposób różny od zwyczajnego środka odrodzenia

się będąc *sukcesyjnym*. Siła wydająca pączki ma wielkie podobieństwo z tą siłą, co pobudza do wyższego aktu odrodzenia się. Możemy zmusić roślinę do wydania natychmiastowego pączków, albo możemy przyspieszyć czas kwitnienia, pierwsze, przez obfitą żywność, drugie przez żywność mniej obfitą. Określając *pączkowanie* jako „odrodzenie się sukcesyjne“, a *kwitnienie* i *owocowanie* jako odrodzenie się *współczesne* (simultané), wskazujemy przez to sposób w jaki ono się objawia. A więc bądź roślina pączkuje, bądź kwitnie i owocuje, zawsze staje się to za pośrednictwem tych samych organów, których kształt i przeznaczenie zostają zmienionymi. Ten sam organ, co rozciąga się w liść na źdźble i przedstawia tak rozmaite kształty, ściąga się dla utworzenia kielicha, rozciąga się powtórnie dla wydania listków kwiecia, a ściąga się potem na nowo dla sformowania organów płciowych, rozciągając się jeszcze raz dla wydania owocu.“

Z miejsc przywiedzionych tu możemy się przekonać, że *Metamorfozy*, jakkolwiek one przystały się dziś w tyle przy gwałtownym postępie nauki przyrodzenia — są dotąd godne pilnej uwagi uczonego naturalisty. We względzie teorii morfologicznej, jako na *teorii*, znam tylko jeden zarzut godzien być poruszonym przeciwko niej. Zarzutem tym jest następujący: jeżeli liść może być uważanym jako zbiór komórek, mających określone roślinne funkcje (zgodnie z teorią komórkową) nie może być powiedzianem, na przykład, że łodyga jest przekształceniem się *tego* listka, łodyga bowiem równie inne ma zadanie, jak i kształt inny. Przeobrażenia się łodygi, wydającej listki kwiecia, zamiast wydawania nowych parosci, nie więcej dowodzą przeobrażenia, jak kostnienie naczyń krwistych dowodzi, że tkanka tych naczyń jest zmiękczoną kością. To tylko może być ściśle nazwanem przekształceniem (metamorfozą), kiedy części rzeczywiście wywijają się z rozwiniętych liści, a nie *na ich miejscu*.

Ze zwyczajnych pojęć metamorfozy nie wiem jakaby można było wyciągnąć odpowiedź na ten zarzut; jest on

podobny do tego, jaki był postawiony przeciw teorii przekształcenia się tkanki, na który także partyzanci teorii komórkowej nie potrafili byli odpowiedzieć. Zdaje mi się jednakże, że współcześni nam fizyologowie francuzcy mają słuszość, używając w miejsce wyrazu (metamorfoza) *przekształcenie*, wyraz *podstawienie*, w całym świecie organicznym. Chrzątka naprzykład nie przekształca się w kość, ale zmienia się nią. Stosując to wyobrażenie podstawienia (substitutio) do przekształceń się roślin, będziemy w stanie usprawiedliwić Goethego, może najwięcej osobliwym przykładem przekształcenia się, jaki tylko znamy, przykładem poczwarki żabiej zmienionej w żabę samą. Bo rzetelnie mówiąc, jeżeli prawdą jest, że łodyga różni się od liścia funkcją i kształtem, to nie mniej prawdziwą jest rzeczą, że poczwarka żabia różni się we względzie fizyologicznym od żaby. Łodyga w pierwszych momentach rozwoju swego bardzo jest podobną do liścia w pierwszych momentach jego rozwoju; ale w miarę jak fazy rozwoju tego postępują, zmiana następuje wielka, jako następstwo zmiany warunków, zaród liściowy staje się łodygą, tak samo jak poczwarka żaby przechodzi w żabę samą. Tu punkt analogii nabiera jeszcze większej mocy, bo tak samo jak zmieniając warunki możemy wstrzymać rozwój łodygi i sprawić to, że będzie się ona rozwijać w liść, równie zmieniając warunki, możemy powstrzymać rozwój żaby i uczynić ją ogromną poczwarką tylko. Zdaje się więc widoczném, że jeżeli pozwalamy sobie używać wyraz *przekształcenie*, to zarówno możemy użyć go, mówiąc o roślinach jak i o zwierzętach.

Zajmując się tu zagadnieniem o tyle tylko o ile ono objaśnia stanowisko Goethego w nauce, mało nas obchodzi, do czego mogła dojść w następstwach swoich teoria. Dość jeżeli się przekonamy, że była ona żywotną, że wyprowadziła naukę na nowe pole doświadczeń i spekulacyi, że oświeciła światłem nowém fizyologię, dość jeżeli będziemy wiedzieć o tém, że dziś morfologia liczy pomiędzy swoimi zwolennikami imiona sławne w nauce i całe

tlumy zwyczajnych partyzantów. Naukę tę winniśmy autorowi Fausta.

Winniśmy mu więcj jeszcze, winniśmy mu bowiem wiele z najjaśniejszych, najracyonalniejszych idei nauki o zyciu, które teraz stoją na czele biologii. Zapewne takie twierdzenie nie łatwoby się ostało, gdyby opierało się ono jedynie na mojem prywatném zdaniu, ale może się ono poszczycić powagą zdania najznakomitszych uczonych. Jużem przytoczył tu Owena, St. Hilaire'a i kontynuatora Cuvier'a. W Zarysie dziejowym, jaki załączył Carus do swojej *Anatomii transcendentalnej*, naznacza on Goethemutę zasługę, że utworzył on *rzetelną metodę*. Wskazawszy na rozmaite pokuszenia się o to, aby za pośrednictwem anatomii opisowej i okolicznościowych porównań wyjaśnić rzetelne stosunki wzajemne rozmaitych części ciała, tak mówi on: „jeżeli cofniemy się wstecz, jak tylko możemy daleko, w dzieje spekulacyi, przedsięwziętych w celu dojścia z ich pomocą do pojęcia filozoficznego szkieletu, znajdujemy zawsze, że najpierwszą ideą metamorfozy (przekształcenia) form kościstych, t. j. myśl o tém, że wszystkie kształty są tylko zmienieniem mniej więcj wyraźném jednego i tego samego typu, jest pomysł Goethego. Po przytoczeniu słów Goethego, Carus dodaje: „Trudno wyrazić jaśniej myśl o jedności, rządzącej mnogością kształtów szkieletu. Najpierwszém wielkiem jój zastosowaniem jest teoria zwonowa (wertebrałna, pacierzowa) czaszki.“ Do tego przydajmy jeszcze świadectwo profesora Oskara Szmita: „Anatomia porównawcza, w czasie kiedy Goethe począł był rozmyślać nad nią, była jeszcze w zarodzie; znała ona tylko szczegóły, a nie miała wcale pojęcia całości.“ Izydor Geoffroy St. Hilaire, mówiąc o pracach ojca swego i zgody ich z kierunkiem wziętym w nauce od Goethego, tak pisze: „L'un en Allemagne, l'autre en France, n'ont cessé de marcher parallèlement et souvent de front, vers une semblable rénovation de l'anatomie comparée.“ (Jeden w Niemczech, drugi we Francyi nieustawali iść równolegle, a często razem, ku jednakowemu odnowieniu

anatomii porównawczej). Zapewne nie mały to jest honor dla anatomika być postawionym obok Geoffroy St. Hilaire'a, jednego z najślawniejszych myślicieli i jednego z najświetniejszych anatomistów. Jest to cześć, na którą słuszenie zasłużył Goethe, gdyby bowiem pisma jego uczone, były podpisane imieniem głośnym w nauce, oddawnaby stały się powagą dla każdego. Na nieszczęście był poetą; wielki tylko geniusz mógł ocenić go; nie zawsze też umiano go ocenić. De Blainville naprzykład, w *Historji nauk organicznych* (Hist. des sciences de l'organisation III p. 484 do 494) powiada: „Goethe był raczej poetą niż naturalistą, jakkolwiek z dumą dziecinną, chciał być nosić ten tytuł przez większą część żywota swego.“ Może zdanie to nie należy do Blainville'a, a do współpracownika jego księdza Maupied; przypuszczenie to tém więcej jest prawdopodobnym z tego powodu, że Goethe bardzo jest źle przedstawionym w wykładzie jego teoryi; powiedziano nawet, że Goethe wykonywał był sobie ją *à priori*, nie dbając o doświadczenie!

Zapewne znajdują się tacy czytelnicy, co nie zastanowisz się ani razu w swém życiu nad przedmiotem anatomii filozoficznej, nie będą w stanie pojąć ogromną ważność tej nauki, a następnie nie potrafią ocenić tego, co w niej dokonał Goethe. Sam ten fakt jednakże, że anatomia filozoficzna jest jednym z najpotężniejszych filarów nauki o życiu, dość już przemawia za tém, aby zachęcić czytelnika do poznamienia się z nią; osobliwie jeżeli on został zainteresowanym dziełem takim, jakim jest dzieło: *Zarysy historyi naturalnej stworzenia*. (Vestiges of the Natural History of Creation). Nie może nikt odstręczać się od podobnych studyów suchością szczegółów anatomicznych, nauka bowiem anatomii filozoficznej nie szczegółami, a ogólnemi zajmuje się ideami; szczegóły w niej służą tylko, jako przykłady, do wyjaśnienia rzeczy. Zapewne w miarę nauki każdego dzieło Goethego wyda się lepij; ale bez wszelkiego uprzedniego przygotowania nawet, kaźden może je odczytać z korzyścią dla siebie.

Powtarzam raz jeszcze, że w dziele tém zasługą autora nie są żadne ciekawe odkrycia, albo zbiór szczegółów ciekawych, ale to jedno, że autor występuje w niem jako *myśliciel w nauce*. Nie na materyał, ale na filozofię rzeczy należy tu zwracać uwagę. Najgłówniejszém uślo-waniem było utworzyć metodę, ustanowić zasady, na któ-rych może być ugruntowaną nauka. W przedziwnym ma-łym artykule: „*Doświadczenie, jako pośrednik pomiędzy pod-miotem a przedmiotem*“, napisanym r. 1793, widzimy, jak jasnymi były wyobrażenia jego o metodzie. „Człowiek“ powiada on „uważa nasamprzód wszelkie zewnętrzne przed-mioty w stosunku do siebie samego, i słusznie, cały los bowiem jego zależy od tego, od rozkoszy lub téż przy-krości, jakie one nań wywierają, od ich korzyści, lub nie-bezpieczeństwa względem człowieka.“ Jest początkowe sta-nowisko wszelkiej spekulacyi. Metoda jego jest określenie rzeczy zewnętrznych, stosownie do *analogii poczerpniętej z wewnątrz*. Punktem kulminacyjnym téj metody jest za-sadniczy aksjomat *Des Cartes'a* i *Spinozy*: *wszelkie idee ja-sne są rzetelne*. Jak długo idzie się za tą metodą meta-fizyka jest tryumfującą, a nauka dodatnia, ścisła, jest nie-możliwą. Metoda dodatnia ruguje tamtę. Goethe robi uwagę jak daleko trudniejszą jest rzeczą rozróżniać przedmioty stosownie do metody dodatniej, tj. nie w stosunku do nas samych, ale w stosunku tym, w jakim one zostają jedne względem drugich. Już potrzeba się tu rozstać z probie-rzem naszym, przyjemnością, albo przykrością. Z obojętno-ścią bogów poglądamy już na rzeczy i szukamy tego co jest, a nie tego co nas dotyczy. Tak rzetelny botanik mniej zważa na wdzięk, albo pożytek roślin i kwiatów, niż na prawa ich wzrostu i na stosunek ich do siebie. Tak jak słońce świeci na nie i rozwija je wszystkie bezwzględnie, równie filozof powinien zapatrywać się na nie spokojném, zadumaném okiem, biorąc termina do porównania obszaru na który pogląda, a nie z własnej duszy. Goethe odkłada na stronę wszelkie poszukiwania o przyczynie ostatecznej, a stara się poznać to tylko co *jest*.

Warto jest zwrócić uwagę na to, że nauka o *rozwoju* jest zupełnie nauką nową. Dawniej ludzie przedstawiali na opisie jakiego dużego zwierzęcia; to ich zaspokajało. Nie przykładano wagi do okresów rozwoju i prawa wzrostu, albo mówiono o nich w sposób bardzo nieokreślony. Nadeszła zmiana w duchu zapatrywania się. „Dzieje rozwoju“ powiada ojciec *embryologii* (nauki o zarodzie) K. E. von Baer „są rzetelną poświatą we wszelkich poszukiwaniach w ciałach organicznych.“ W geologii, w fizyologii, w dziejach, w sztuce jesteśmy dziś skłonni do kreslenia faz rozwoju. Aby wyrozumieć to co jest *dorostém*, staramy się pojąć sam process *wzrostu*.

Kiedy Goethe spekulował, wówczas nauka o rozwoju była jeszcze w dzieciństwie swoim. Jego to jest zasługą, że od razu stanął on na tém stanowisku, na którym z Meckel'em i Geoffroy St. Hilaire'm wyprzedził wiek swój. Nietylko ujął mocno zasadę samą, ale umiał on ją przeprowadzić w zastosowaniu. Tak czytaliśmy z podziwieniem najjaśniejsze wyłuszczenie pewnych praw ogólnych organizacyi, które potem stały się sławą St. Hilaire'a, von Baer'a, Milne-Edwards'a, Cuvier'a i Lamarck'a. Odczytajmy np. ten oto ustęp: „Wszelka żyjąca istota nie tylko jest jednością, ale i wielością razem. Nawet wtedy, kiedy się nam wydaje być osobnostką (individuum) jest ona tylko zgromadzeniem żywych, bytujących samych w sobie istot, jednakich co do pochodzenia, które przecież mogą wydawać się nam jednakiemi lub podobnemi, albo téż różnemi i nie podobnemi.

„Im niedoskonalszą jest istota, tém więcej części jéj indywidualne podobne są wzajemnie do siebie i tém więcej części te podobne są do całości. Im doskonalszą jest istota, tém różniejszemi są jéj części. W pierwszym przypadku części są mniej więcej powtórzeniem całości; w drugim są one wcale nie podobne do niej.

„Im więcej części podobne są wzajemnie do siebie, tém mniej w nich jest podwładności wzajemnej względem siebie. Podwładność części okazuje wysoki stopień organizacyi.“

Objaśnijmy przykładami przystępnemi prawo tak wyłożone. Weźmijmy polipa i potnijmy go na wiele kawałków; każdy kawałek będzie żył i objawiać będzie wszelkie zjawiska żywienia się i czucia jakie objawiał przedtem w sobie cały polip. Wywróc go na nice jak rękawiczkę, wtedy część wewnętrzna stanie się skórą, zewnętrzna będzie żołądkiem. Przyczyna tego taka, że w prostej budowie polipa, części podobne są wzajemnie do siebie, jako też podobne są razem do całości. Nie masz tu indywidualizowanego organu, albo aparatu organów, wypełniających pewne zadanie żywotne, jak np. żywienie. Wszelkie zadanie jest spełnianem przez każdą część, tak jak to bywa w społecznościach ludów dzikich, gdzie każdy jest sobie krawcem, orężnikiem, kucharzem i policyantem. Ale weźmijmy zwierze, stojące wyżej na drabinie istot organicznych, a znajdziemy w niem budowę, złożoną z części różnych, a każda z nich będzie mieć odrębne zadanie żywotne. Już zwierze to nie może być posiekanem na cząstki, tak żeby każda z nich żyła dalej jak przedtem; zwierze to nie może mieć wywróconej skóry na nice, tak, aby skóra ta przekształciła się w żołądek. Zwierze to jest ciałem społecznem, nie może już jak dzicz owa, sporządzać sobie samo sukien, albo oręża; rozdział pracy, towarzysząc wyższemu jego położeniu organicznemu, ogłocił je z tej powszechnej jego sposobności do wszystkiego. Prawo wykazane przez Goethego, i jak sądzę, wykazane po raz pierwszy przez niego, napotyka się dziś w każdej filozoficznej zoologii. Jedno z tych praw znane jest w Anglii pod imieniem prawa odkrytego przez von Baer'a, a mianowicie prawo, że rozwój postępuje od jednakiego ku różnemu, od ogólnego do szczególnego, od jednorodnego do różnorodnego; prawo to nieraz było wychwalanem i stosowanem przez Owena, Carpenter'a i Huxley'a. Zanadto mam głęboki szacunek dla von Baer'a, abym chciał w jakikolwiek bądź sposób starać się zmniejszyć jego wielkie zasługi, nie mogę przecież nie uczynić tej uwagi, że kiedy Dr. Carpenter przypisuje jemu zasługę odkrycia tego pra-

wa, wtedy zostaje w zupełnej sprzeczności z von Baer'em samym, który nie tylko, że nie ma wcale pretensyi do tego, ale owszem, podając tę formułę, dodaje: „prawo to rozwoju nigdy nie było zapoznanem (dieses Gesetz der Ausbildung ist wohl nie verkannt worden).“ Zasługą jego jest wyborne zastosowanie i udowodnienie prawa tego, ale nie pierwsze jego ujęcie rozumem.

Powszechnie jest to znaną rzeczą, że prawo podziału pracy w organizmie zwierzęcym, jest uważanem od Milne-Edwards'a, wielkiego francuzkiego fizyologa, jako jego własne odkrycie. Przecież widzieliśmy to, jak jasno zostało ono wyrażonem w formule Goethego. Z większą jeszcze jasnością znajdujemy wyrażoną zasadę Cuvierową klasyfikacyi, mianowicie: *podwładność wzajemną pomiędzy sobą członków*. Nie mam zamiaru nastawać więcej na ten przedmiot, ani też zamiarem moim jest оголаć tych mężów wielkich z ich zasług, w celu przyozdobienia niemi Goethego. Badacz dziejów wie to dobrze jak odkrycia wielkie są raczej dziełem wieku niż pojedynczych ludzi; wie on, że wszelkie odkrycie miało swoje przygotowawcze napomknienia, i że świat słusznie uważa za wynalazcę tego, co sformułował jasno rzecz, nie tego, co uważał ją być możebną, co ją przeczuwał tylko. Ten jest rzetelnym odkrywaczem kto ustala prawdę; dowodem tego jest powszechnie jej przyjęcie. Nie piszę tu dziejów nauki, ale tylko żywot Goethego; celem wszystkich tych przytoczeń jest wykazanie tego, że postawił się on był na najwyższym szczeblu poglądu i że jako myśliciel pojmował on myśli, które potem najwięksi uczeni potrafili sformułować i puścić w świat z pieczęcią własnego geniuszu.

Zauważmy nadto, że wyprzedzenie odkryć przez Goethego nie jest z tego drobnego, zwodniczego rodzaju, co jak wiele innych wyprzedzeń, gruntuje się tylko na jakiejś nieokreślonej, przypadkowej zwykle, wyrażeniu się. Nietylko, że przejrzał on prawdę, ale nawet wyrozumował prawo, a wyrozumowanie to wypłynęło z objęcia myślą całego szeregu objawów, w których ono ma miejsce. Tak

np. w swoim „*Wstępie do anatomii porównawczej*“ napisanym 1795 r., usiłował on wynaleźć rzetelną metodę nauki. Wykazał on wtedy jasno jałowe w istocie przyrodzenie wszelkich naówczas czynionych zbliżeń i porównań, nie tylko we względzie porównywania wzajemnego zwierząt z ludźmi i z innemi stworzeniami, nie tylko w nadużyciu przyczyn ostatecznych, ale takż w tém, że brano człowieka jako normę, zamiast tego, aby zacząć od najprostszych organizmów i od nich dopiero postępować w górę do organizmów więcej złożonych. W rok potém, Geoffroy St. Hilaire, nie wiedząc wcale o tém, co wynalazł Goethe w Wejmarze, albo w Gabinecie w Jena, ogłosił swoją *Dissertation sur les Makis*, gdzie zaczął był odnowienie, zreformowanie nauki. On takż, równie jak Goethe, skłaniał się do utworzenia Typu, przez który mogłyby być wyjaśnionemi wszelkie budowy organiczne. To pojęcie *typu* (allgemeines Bild), wedle którego możnaby było powiedzieć, zostało zbudowane całe królestwo zwierzęce, było rzetelnie pojęciem naukowym i przyniosło w następstwie szlachetne owoce. Pojęcie to przecież nie należy łączyć z ideą platońską. Nie było ono wcale bytem idealnym, metafizycznym, było ono po prostu sztuką naukową. Goethe oświadcza wyraźnie, że nie należało ani na chwilę jedną wierzyć w byt owego typu, jako w przedmiotową rzeczywistość, chociaż jest on uogólnionem wyrażeniem tego, co bytuje rzeczywiście. Ostrzeżenie to pokazało się niedostatecznym; nie było ono zawsze obecnem w myśli wielu myślicieli, i osobiwie w rękę Niemców, idea Typu porodziła była nie mało dziwactw. Jednakże rzetelne następstwo tych spekulacji było dobre. Jeżeli Oken czasami obudza uśmiech na ustach, to Geoffroy i Owen wybawiają anatomię filozoficzną od pośmiewiska i stawiają ją na podstawie, nakazującej dla niej szacunek powszechny.

Wzmianka o Owenie prowadzi mię do uwagi, która nie bez korzyści zapewne będzie dla badacza anatomii filozoficznej, odrzucając na stronę niektóre zboczenia, zagma-

twujące owo zagadnienie o budowie typowej. Zwyczajnie mówią: czaszka jest składem zmienionych zwonów (*vertebrae*). Oken i Goethe obaj, zdaje się, uważali czaszkę jako kość pacierzową. Ale jest to wtedy tylko pojęciem rzetelném, jeżeli pod zwojami rozumieć będziemy *zwona typowe* i rozróżniać czaszkowe zwona od mózgowych zwonów, od zwonów grzbietowych, od zwonów biodrowych. Innemi słowy, wszelki specjalny zwon jest formą indywidualną kształtu powszechnego, ogólnego, *typowego*. Czaszka nie jest, jak to utrzymuje Oken, zmienioną kolumną pacierzową. Utrzymywać coś podobnego, byłoby to samo, co powiedzieć, że zwona grzbietowe są typowemi kształtami, z których wywinęły się zwona czaszkowe, kiedy przeciwnie oba są tylko zmianą pewnej typowej modły (*normy*); myśl Kielmeyer'a, że kość pacierzowa jest czaszką, równie jest tak rzetelną, jak twierdzenie Okena, że czaszka jest kolumną pacierzową. Nawet przypuszczenie Kielmeyer'a więcej daje się przyjąć, jeżeli bowiem oczywistości będziemy poszukiwać w embryologii, albo w tej „stałej embryologii“, szeregach zwierzęcych (*seryach*), znajdziemy tam, że czaszkowe zwony są wcześniejsze; u ryb czaszka sama przedstawia tylko rzetelne rozwinięcie kości, a jeżeli posuniemy się jeszcze niżej w szeregi, czyli szczeble istot organicznych, znajdziemy w *Cephalopoda* zaród mózgu, nie zupełnie niepodobny do niższych kształtów mózgu w rybach, zamknięty w zarodzie czaszki, ale bez szpiku i kolumny grzbietowej. Usprawiedliwieni więc jesteśmy, mówiąc, że czaszka nie jest i nie może być zmianą kolumny pacierzowej.

Oken i Spix uważają głowę za „powtórzenie“ tułuba; mózg jest powtórzeniem szpiku grzbietowego; gęba nasładuje wnętrzości i żołądek, nos jest niby płucami i *thoraxem*, szczęki biodrami, język członkiem rodzajnym. Na nieszczęście dla tej dowcipnej teoryi znajdują się zwierzęta o kości pacierzowej, nie mające członków, a mające jednak głowę; więc właściwiéjby było powiedzieć, że biodra są zmienioną szczęką, niż zwać szczęki zmienionemi

biodrami. W obec podobnych sprzeczności, nie należy się dziwić temu, że byli tacy, co zarzucali teoryi zwonowej to, że nic innego nie mówi w końcu nad to jedno, że zwona są kośćmi.

Wielką zasługą pięknego dzieła Owena jest to, że nie tylko całe zagadnienie budowy zwonowej postawił on na niezaprzeczonej podstawie szczegółowego udowodnienia, lecz nadto je wybawił od wcześniejszych jego niedokładności, przez określenie zwonu i budowę typu idealnego. Zamiast, by nam pozwolić zwać zwono kością, zmusza nas przyznać, że jest ono „jednym z odcinków endoskeleton'u, stanowiącego oś ciała, i protekcyjnym kanałem nerwowego i naczyniowego tułuba (Homologies S. 81).“ Pod to określenie wszelkie zwona mogą być umieszczone, a od typu, co sobie zbudował, można wyprowadzić wszelkie szczególne zwono jako osobliwą zmianę (modyfikację). Jakkolwiek pociągającą jest rozprawa Goethego o anatomii porównawczej, nie będę się przecież dłużej nad nią zastanawiał. Wiele idei, jakie w sobie ona zawiera, godne są zapewne szczególnego nad sobą zastanowienia, ale zajęłoby to nie mało miejsca, więcej, niż możemy tu na to poświęcić w tym żywotopisie Goethego. Musimy tedy poprzestać na odesłaniu ciekawego czytelnika do samego dzieła, notując tu to tylko jedno, że ważny pierwiastek wprowadzony od Lamarck'a do zoologii filozoficznej, mianowicie, wpływ otaczających *mediów* na zdeterminowanie się rozmaitości kształtów organicznych — pierwiastek który on nadzwyczaj był przesadził nad jego rzetelną wartość — był takż wyrażonym od Goethego, nawet z większą jeszcze przesadą. ¹⁵⁾

Tyle tylko mam tu miejsca, abym mógł udowodnić prawo Goethego do zwonowej teoryi czaszki, prawo, którego mu odmawiano uporczywie, które było nawet przewane od Okena aktem kłamliwej próżności. Wchodzi ono z tego powodu w ściśle biograficzny materyał tego oto dzieła.

¹⁵⁾ Dzieło Lamarck'a — Philosophie Zoologique, wyszło 1809 roku; Goethe zaś pisał 1795.

W piętnaście lat potem jak Goethe zeszedł był z tego świata i kiedy już nie był w stanie bronić się od czynionych mu zarzutów, Oken w swojej „Izydzie“ (1847 zeszyt VII) uczynił był mu powyższy zarzut. Takie wyrzeczenie wpłynęło było na wykład odkrycia dokonany później przez profesora Owena, wykład mogący wzbudzić przykre podejrzenie co do Goethego. Istotnie że podobieństwo w dziejach obydwóch odkryć wzbudza podejrzenie. Goethe podczas jednej ze swoich wędrówek po okopisku żydowskiem w Wenecyi, znalazł był czaszkę barana przeciętą w podłuż; rozpatrzywszy ją, przyszło mu na myśl, że przód złożonym był z trzech zwonów: „przejsie od przedniego *sphenoidu* do *ethnoidu* stało się odrazu oczewistém.“ Teraz porównajmy historię Okena. Podróżował on w górach Harz'u i tam znalazł czaszkę jelenia: „rozpatrując ją“, powiada Carus, zawołał: „jest to kolumna pacierzowa!“ Goethe oświadcza, że odkrycie swoje zrobił był w 1790; Oken zaś odnosi swoje do 1806 r., a w 1807 miał napisać swój programm akademiczny. Był wtedy prywatdocentem w Getyndze „w czasie, w którym Goethe niewiedział zapewne o tém, że jestem na świecie.“ Zauważmy to twierdzenie, że Goethe nic o nim nie wiedział. Wysłał swoją rozprawę do Jena, gdzie został był naznaczonym właśnie na profesora. Uniwersytetu tego Goethe był opiekunem (kuratorem). Do tego Oken przywiązuje bardzo wiele. Myśli, że Goethe oświadczyłby się przeciwko jego roszczeniom do wynalazku, gdyby sam poczuwał się do tego. Fakt ten jednakże nie jest wcale przekonującym. Zobaczymy, że Goethe miał był swoje powody do zachowania milczenia w tym względzie. „Posłałem, mówi dalej Oken, exemplarz programy mojej Goethemu. Odkrycie to tak mu się podobało, że zaprosił mię na święta Bożego narodzenia 1808 r., abym spędził z nim tydzień w Wejmarze, com i uczynił. Dopóki odkrycie moje było wysmiewaném przez ludzi nauki, Goethe milczał, ale jak tylko zjednało ono sobie potem sławę i wziętość przez dzieła Meckel'a, Spix'a i innych, wówczas poczęto szeptać sobie

między niewolniczymi chwalcami Goethego, że idea ta jemu się należy. Około tego czasu Bojanus przybył do Wejmaru i słysząc tam o odkryciu Goethego, nawpół uwierzył mu i wieść tę przesłał był do mnie, którą, nie zwracając na nią uwagi, wydrukowałem w „Izydzie“ (1818 s. 509), przytém objawiłem z mojej strony, żem odkrycie to samo zrobił był w jesieni 1806 r.“ Jest to coś wątpliwego. Niepowątpiewał o wcześniejszej dacie odkrycia Goethego, wspominał tylko o swoim odkryciu podobnym; „teraz, kiedy Bojanus, dodaje, przyłożył wagę do tego faktu, próżność Goethego została podłechtana, wysunął się więc naprzód we trzynaście lat po moim odkryciu i zaczął utrzymywać że sam on zrobił je trzydzieści lat już temu.“

Tak mówi Oken. Po długim i ściśłym poszukiwaniu przyszedłem do wniosku, że zarzut czyniony Goethemu przez Oken'a nie może się wcale ostać przeciw mocy faktów; przyszedłem więc do tego, że wiele w tym względzie pobrał. Można tego dowieść, że Goethe miał za sobą słusność, kiedy obstawał za własnością idei, Oken zaś miał znowu słusność, upominając się o pierwszeństwo wynalazku. Goethe przejrzał był tę prawdę, ale jej nie rozwinął; Oken wyrozumiał rzecz, rozwinął ją i udowodnił czynem, w szczegółach. W myśli Goethego było to tylko jednym z zastosowań zasadniczego pojęcia organicznego rozwoju, pojęcia, które go doprowadziło było do odkrycia kości międzyszcękowej. U Okena zagadnienie to stało się głównym zadaniem, które sobie zamierzył rozwiązać młody anatom. Jeżeli Goethe może obstawać za prawem należnym mu, co do odkrycia kości międzyszcękowej u człowieka, której byt utrzymywanym był od wszystkich galenistów, ale udowodnienie tej rzeczy należy się jemu samemu, to, na tej samej zasadzie, Oken równie może się upomnieć o zwonową budowę czaszki chociaż idea ta najpierwej przebłysnęła była w głowie Goethego.

Ustanowiwszy w ten sposób powyższe zagadnienie, oddawszy Okenowi wszelką, należną mu, zasługę w rzeczy odkrycia, muszę teraz oczyścić Goethego od zarzutu mo-

ralnego, uczynionego mu od Okena w tak nieumiarkowany i, dodaję, w taki wątpliwy sposób. Przedstawiają się nam dwa pytania: dla czego Goethe milczał, kiedy Oken po raz pierwszy objawił był światu odkrycie swoje? I znowu, dla czego Oken nie uczynił był Goethemu zarzutu o plagiat za życia wielkiego poety? Na pierwsze pytanie możemy wyczerpnąć odpowiedź z dzieł samego Goethego. W notatce, nazwanój: *Aparat czaszki zbudowany z sześciu zwo-
nów* (Das Schädelgertist aus sechs Wirbelknochen auferbaut) zrobiwszy wzmiankę o tém że uznał był pierwój trzy, a potém sześć zwo-
nów w czaszce, o czém mówił on przy-
jaciołom swoim, dodaje: „W roku 1807 teorya ta wyszła była zagmatwana i niedostateczna przed oczy świata i, naturalnie, obudziła była pomiędzy uczonymi wielkie spory, a trochę tylko zyskała, gdzie niegdzie, poklasku. W jakim jednakże stopniu została ona uszkodzoną niedokładną i fantastyczną metodą wykładu swego, dzieje to muszą obja-
śnić.“ Krytykę wykładu zrozumie kaźden, kto tylko czy-
tał Okena i zna wstręt Goethego ku metafizyce. Równy wstręt Cuvier’a do tego wykładu stał się powodem tego, że myśliciel ten nie chciał był dojrzec w rzeczy samej głę-
bokięj prawdy, jaka w niej przebywała. W dziele *Tag- und
Jahres-Hefte* Goethe wspomina o tém, że podczas kiedy pracował był nad swoją teoryą z dwoma swoimi przyja-
ciołmi, Riemer’em i Voigt’em, ci z pewném podziwieniem przynieśli mu raz wiadomość o tém, że idea ta była już ogłoszoną światu w programmie akademickiěj; „fakt, do-
daje, o którym, ci dwaj, będąc jeszcze przy życiu, mogą za-
świadczyć.“ Dla czego Goethe nie upomniał się o pierwszeń-
stwo swoje co do odkrycia? „Mówiłem przyjaciołom mo-
im, aby milczeli, idea bowiem sama nie była dostatecznie wyrobioną w programmie, a że nie była ona wyrobioną z samodzielnych doświadczeń, to jest jasném dla kaźdego człowieka z nauką. Nieraz namawiano mię, abym się oświadczył otwarcie w téj rzeczy, ale byłem stałym w mo-
jém o niej milczeniu.“

Wyznaję, że to ma dla mnie zupełną powagę prawdy.

Było to ogłoszonem na wiele lat przedtem, nim Oken zrobił był swój zarzut, i zawierało najwyraźniej obwinienie, że zawczasie objawił był światu ideę, którą Goethe obrabiał był podówczas z pomocą dwóch swoich przyjaciół; nie koniec na tém; odwoływał się w tej rzeczy do dwóch szanownych, żyjących pod ten czas, ludzi, jako świadków w tej sprawie. Oken nic na to nie mówił wtedy, kiedy rzecz ta mogła się była wyjaśnić, odwołując się do Riemer'a i Voigt'a. Czekał aż śmierć uczyniła rzecz tę nierozwiązalną. Powiada, że dla tego nie odpowiadał na wyż przytoczony zarzut, że nie był w nim poszczególnionym imiennie i że niechciał wdawać się w nieprzyjemne utarczki. Ale to nie jest wcale odpowiedzią, co do drugiego ustępu. W tym wymieniono go najwyraźniej, jakby imiennie Okena było wypisane wszystkimi literami;¹⁶⁾ nie tylko jest on wymienionym, ale nadto przyjaciele Goethego mówią o wysforowaniu się Okena z ideą Goethego, jak o rzeczy, która ich zastanowiła.

Zadawszy pytanie: dla czego Goethe milczał, pozostawiam interessującym się charakterem Okena odpowiedzieć na pytanie: Dla czego Oken milczał przez cały przeciąg następujący żywota Goethego, którego obwiniał dopiero po śmierci jego o plagiat?

Na zamknięcie tego przydłuższego nieco ustępu o zawodzie uczonym Goethego, potrzeba oświadczyć, że starając się nadać temu pewną całość nie zwracaliśmy uwagi na chronologię. Nie wskazaliśmy także rozmaitych rozpraw pisanych w materyach uczonych; wszystkie czytelnik znajdzie w jego dziełach kompletnych. Głównym celem biografą było wskazanie rozmaitych kierunków ducha poety; w czém się wyniósł, co się mu udało, w czém upadł, jakie miejsce zajmowała nauka w życiu jego i jak błędnem było to przypuszczenie, że w rzeczy wiedzy był on sobie partaczem jakimeś, traktującym poważną postać nauki w sposób lekki, artystyczny. Co powiedział był Biuf-

¹⁶⁾ Wzmianka o programmie akademickiej.

fon o Pliniuszu, może być przystosowaném do Goethego, że miał on tę osobliwszą łatwość myślenia na wielką skalę, która wzbogaca naukę (qu'il avait cette facilité de penser en grand qui multiplie la science); jako o myślicielu tedy rozpisaliśmy się tu o nim.

Wracamy teraz do biegu żywota Goethego. W 1790 roku objął on zarząd wszystkich zakładów naukowych i kunsztu, zajmując się urządzeniem Muzeumów i ogrodu botanicznego w Jena. W Marcu tego samego roku jeszcze raz udał się do Włoch, dla połączenia się w Wenecyi z księżną Amalią i Herderem. Tu starał się znaleźć wypoczynek w naukach i rozrywkę w kłopotliwych myślach. Włochy, w czasie drugiej jego podróży, wydały się mu zupełnie innym krajem. „Nosił on w sobie inną wcale postać tej ziemi czarownej, jakże miał ją odczarować teraz?“ Podobne wrażenia nie powtarzają się po dwakroć w życiu naszym. Począł tedy podejrzewać, że wiele do uroku pierwszego tu pobytu domięszało się było złudzeń. *Epigrammy weneckie*, jeżeli je porównamy z *Elegijami rzymskimi* wskażą nam różnicę ową w usposobieniu ducha poety. Tęsknota rzewna, pełność ukontentowania, świeżość zachwytu, co nadawały Elegijom charakter wybitny, zmieniają się obecnie w sarkazm i gorycz odczarowania. Prawda że wiele z tych epigrammatów potem już zostały napisane, jak tego dowodzi treść ich sama, wiele przecież z nich jest płodem pobytu Goethego w Wenecyi. Coś z tego nieukontentowania przypisać należy położeniu jego. Niezadowolony był on podówczas ze świata; zamieszki ówczesne, niepokój domowego jego pożycia, powiększały jeszcze więcej to usposobienie; trudno mu było w pośród tego wynaleźć sobie drogę właściwą w nauce i sztuce, przyczém można by było rozwijać dalej ową pierwotną cześć jego dla świata.

W Czerwcu wrócił był do Wejmaru. W Lipcu książę posłał po niego z obozu pruskiego, rozłożonego w Szlasku, „gdzie zamiast kwiecica i skał, miał patrzeć na pola pokryte wojskiem.“ Udał się tam niechętnie, ale starał się tu nawet

rozrywać poszukiwaniami pilnemi nad kwiatami i kamieniami, zostawiając księciu i innym poszukiwać dla siebie zajęcia w żołnierzach. Żył jako pustelnik w obozie i rozpoczął tu rozprawę o rozwoju zwierząt i operę komiczną!

W Sierpniu wrócili nazad. Księżna Amalia i Herder, zniecierpliwieni tём, że Goethe tracił czas drogi nad spruchniałemi kośćmi, dokuczali mu, aby dał pokój osteologii, a kończył raczej *Wilhelma Mejstra*. Nie wiele jednakże napisał tego dzieła. Przeszło usposobienie do tego, przytём pilno mu było zbijać Niuton'a. W 1791 roku, poświęconym cichym studyum i szczęściu domowemu, odkrył się teatr dworski: Z ukontentowaniem wziął na siebie dyrekcyę jego. Potём napiszemy o tём jak on starał się przytём utworzyć scenę narodową. W Lipcu księżna Amalia odkryła swoje wieczory piątkowe. W pałacu jęj, pomiędzy piątą a ósmą, księżę, księżna Ludwika, Goethe i jego kółko, z małą liczbą przyjaciół dworskich, zbierali się w celu słuchania utworów, napisanych przez któregobądź ze członków zgromadzenia. Żadnej tu nie było etykiety; kaźden członek, wchodząc, siadał gdzie się mu to podobało, dla czytającego tylko było wyznaczone osobne miejsce. Jednego wieczora Goethe czytał tam rodowód Cagliostro, który przywiózł był z sobą z Włoch; innego wieczora czytał na wieczorze teorię swoją o kolorach; Herder czytał o nieśmiertelności; Bertuch o farbach chińskich i ogrodach angielskich; Böttiger o urnach starożytnych; Hufeland o swoim ulubionym temacie — o *wieku długim*; Bode zaś czytał urywki ze swego przekładu Montaigne'a. Kiedy ukończono odczyt, wszyscy razem okrażali stół wielki w pośrodku salonu, na którym leżały ryciny albo jakie zajmujące nowości literackie, i tu rozpoczynały się dopiero różne rozprawy krytyczne. Brak wszelkiej etykiety czynił z tych wieczorów bardzo przyjemne posiedzenia.

Wzmianka uczyniona tu o Cagliostrze, przypomina nam komedyę Goethego „*Wielki Kophtha*,” w której udramatyzował on *sprawę o naszyjnik* (królowej Maryi Antoniny); najprzód naszkicował on ją jako operę; Reichardt miał na-

pisać do niej muzykę, i jeżeli zdarzyło się kiedy czytelnikowi naszemu czytać tę nudną sztukę, zapewno musiał tego żałować, że autor nie utworzył był z niej opery, albo czego innego, byle tylko nie komedję. Przykro zawsze spotykać podobne rzeczy pomiędzy utworami tak wielkiego pisarza; więcej jeszcze nieprzyjemną jest rzeczą, jeżeli znajdujemy krytyków, przesadzających się w pochwałach dzieła, którego podnieść nie mogą nawet ich subtelne mrzonki. My nie będziemy tu zabierać miejsca rozbiorem téj komedyi.

Znowu musiał był Goethe porzucić swoje spokojne studia, aby się oddać trudom i niewygodom życia obozowego. Król pruski i książę brunświcki na czele wielkiej armii weszli byli do Francyi, dla osadzenia na tronie Ludwika XVI i wybawienia legitymizmu od rąk świętokradzkich sankiulotów. Głoszono, że Francya stękała pod przemocą stronnictw i wzdychała do oswobodzenia jéj od nich. Emigranci tłómaczyli tak jasno jak dzień, że sprzymierzeni zostaną przyjęci za Renem z rozpostartemi ramionami od całego narodu; niemieccy książęta chętnie oddali wojska swoje na przywrócenie prawowitości. Karol August, lubiący namiętnie wojsko, otrzymał dowództwo pułku pruskiego. Goethe, kochający księcia, udał się za nim na wojnę. Ale szedł on tylko za księciem, nie sympatyzując wcale ze sprawą, którą wojska podtrzymać usiłowały. Nie bardzo on był za prawowitością, mniej jeszcze był on za republikanizmem. Nie interesując się wcale polityką, przekonany mocno, że wszelkie zbawienie wypłynąć może tylko z wewnętrznego ukształcenia, i brzydząc się zamieszkami, jako rzeczą, czyniącą ukształcenie niepodobnym, był on emfatycznie mówiąc „dzieckiem pokoju,“ i nigdy w życiu swoim nie mógł mieć współczucia z wielkimi zaburzeniami. Nie lubił on rewolucyi, jak nie lubił reformacyi, dla tego, że obie opóźniały postęp spokojny rozwoju duchowego:

Franzthum drängt in diesen verworrenen Tagen, wie ehemals
Lutherthum es gethan, ruhige Bildung zurück.

Że filozofowie i patryoci piorunują na podobną doktrynę, zbijają jej argumenty i głoszą że jest niebezpieczną, jest naturalnym i słusznym; ale jakże dziwnie niedorzecznym jest w filozofach i patryotach (mówi Lewes) powstawać na Goethego, ztąd, że on będąc tego przekonania, pisał i działał w tym duchu. Nie potrzebujemy tego przykładu, aby wiedzieć o tém, ile to na świecie bywa takich, co nieważąc swoją do opinii pewnej przenoszą na ludzi, utrzymujących te opinie; w Niemczech wrzeszczano na największą sławę imienia germańskiego dla tego, że mąż ten nie dzielił przekonania tych krzykaczy. Zapewne i oni sami nie trzymaliby się przekonania tego w czasy Goethego, bo to, co potem wypadki utrwaliły jako rzecz możliwą, wówczas uważało się za szaleństwo.

Nie było tego w przyrodzeniu moralnym Goethego, aby wypadki polityczne poruszały go bardzo, żeby się interesował silnie bieżącym ruchem życia zewnętrznego. Dusza dumająca, jaką była jego, szuka w wiecznych zasadach przyrodzenia tej pobudki i tej karmi, jaką ludzie zwyczajni wyszukują w codziennych wypadkach życia. Poeta i filozof zajmują się wiecznymi zagadnieniami poczci i filozofii; sztydźć z nich z tego powodu, że nie biorą udziału w polityce, równie jest nierozsądnym, jak sztydźć z pierwszego ministra, z tego powodu, że nie dba o sztukę grecką i nie ma poglądów oryginalnych w zagadnieniach chemii. Powiedziano, i powiedziano nie do rzeczy wcale, że Goethe dla tego od polityki ucickał się do nauki i sztuki, że polityka go mięszała, że zanadto był samolubem dla tego, aby mógł interesować się sprawami innych. Ale oskarżenie to może stanąć obok z tém drugim obwinieniem, co dowodzi, że wolne myślenie w rzeczy wiary jest tylko tarczą rozwiąźłości, ¹⁷⁾ jak gdyby wątpienie tylko z rozwiąźłych obyczajów miało pochodzić. Jak dalekim Goethe był

¹⁷⁾ Bardzo słuszna myśl; jeżeli nie zawsze kryje rozwiąźłość ciała, to jest zawsze rozwiąźłością moralną samo przez się.

od samolubstwa wiedzą ci, co znali go bliżej; dobrze by było, abyśmy mogli powiedzieć to samo o tych, co się oddają planom patryotycznym. Patryotyzm równie jest samolubnym jak sztuka i nauka, wtedy nawet, kiedy jest on ideą religijną; zapewne nie będzie on mniej samolubnym, kiedy — jak to się zdarza bardzo często — jest on tylko nędznym pauperyzmem.

Że Goethe szczerze życzył dobra ludzkości i że pracował nad tém, w swoim sposobie, z wytrwałością, w której mało mu potrafiło dorównać, to może bez wątpienia wystarczyć na to, aby go obronić od zarzutu samolubstwa, dla tego tylko, że nie oddał się polityce. Inna rzecz jest to, jakie były jego zasady, a inna jego postępowanie. Jan Paweł mówi: „widział dalej niż reszta świata, bo na początku zaraz rewolucyi francuzkiej gardził on tak samo patryotami, jak inni gardzili na końcu.“ Nie widzę żadnego uczucia tak głębokiego jak jest pogarda, wczesna, czy późna; pewną jest jednakże rzeczą, że podczas kiedy Klopszok i inni byli szalenie entuzyastyczni przy otwarciu tego straszego dramatu, równie byli szalenie fanatyczni przeciw niemu, kiedy się miał już ku końcowi, podczas, kiedy Goethe zawsze był jednego przekonania o tym wypadku od początku aż do końca. Pięknie powiedziano: „Toute période historique a deux faces: l'une assez pauvre, assez ridicule, ou assez malheureuse, qui est tournée vers le calendrier du temps; l'autre grande, efficace et sérieuse, qui regarde celui de l'éternité.“ (Wszelki okres dziejowy ma dwie strony; jedna dość uboga, dość śmieszna i nędzna, zwrócona ku czasowi; druga, wielka, skuteczna i poważna, zwrócona ku wieczności). O żadnej epoce nie można tego wyrzec równie rzetelnie jak o rewolucyi francuzkiej. W niej Goethe widział był tylko postać względną; brak w nim poglądu filozoficzno-dziejowego był powodem, że nie dojrzał on w niej pierwiastku tego, co miał pozostać wiecznie, jako wyrób postępowego rozwoju ludzkości.

Trzy były zasady rozkrzewiane przez rewolucyę, które

były dlań tylko prawdziwą niedorzecznością. Pierwszą była zasada równości, nie tylko równości w obliczu prawa (którą uznawał), ale równości bezwzględnej. Badania jego nad przyrodzeniem, równie jak nad ludźmi, przywiodły go były do tego, do czego nie mógł on być nie przyjść, mianowicie do przeświadczenia tego, że wszelka jednostka jest doskonałą w sobie, a jako taka równą jest ona najwyższej (!?), ale obok tego żadna nie jest taką samą jak inna.

Gleich sei Keiner dem Andern; doch gleich sei Jeder dem Höchsten.
Wie das zu machen? es sey Jeder vollendet in sich.

Drugą zasadą rewolucyjną była myśl o samowładztwie ludowém. Goethe nie wierzył w tę władzę.

Sie gönnten Cäsar'n das Reich nicht,
Und wussten's nicht zu regieren.

(Nie chcieli byli ustąpić państwa Cezarowi, a nie umieli sami się rządzić).

Wskazywał on na los Francyi, jako na naukę zarówno dla rządzących jak i rządzonych, więcéj nawet dla ostatnich, jak dla pierwszych. Zniesiono rządzących, ale nie było na ich miejscu nikogo, coby ochraniał masę ludzi przeciwko innéj massie. Tłuszcza zmieniła się w tyrana.

Frankreichs traurig Geschick, die Grossen mögen bedenken;
Aber bedenken fürwahr sollen es Kleine noch mehr.
Grosse gingen zu Grunde: doch wer beschützte die Menge
Gegen die Menge? Da war Menge der Menge Tyrann.

Cóż w tém dziwnego, jeżeli czuł wstręt do wszelkich „apostołów swobody,” jeżeli po ścisłym zastanowieniu przekonał się, że oni nie pragną niczego okrom jednéj swowoli?

Alle Freiheits-Apostel, sie waren mir immer zuwider,
Willkür suchte doch nur Jeder am Ende für sich.

Trzecią zasadą rewolucyi było to, że swoboda polityczna konieczną była dla człowieka. W pierwszych dniach swego zawodu pisarskiego wypowiedział on był już prze-

konanie swoje w tej mierze, utrzymując, że swoboda taka nie była wcale potrzebną. W *Egmoncie* objawia on na nowo myśl tę; przez cały ciąg żywota widzimy go obsta-
jącym przy tym fakcie, że człowiek nie może być wolnym; jedyną potrzebną mu swobodą jest to, co go czyni zdol-
nym zajmować się powołaniem swoim bezpiecznie, utrzy-
mywać dom i rodzinę, obracać się w kole swoim bez
wszelkiego ścieśnienia postronnego.

Ale będąc przeciwnym zasadom rewolucyi i rządowi
wielu, równie nie objawiał on sympatyi dla rojalistów;
nie wymawiał on, ani ich polityk, ani ich uczynków. Sza-
leństwo terroryzmu nie wymawiało w jego oczach obłądy
rojalistów. „Nie, nie macie za sobą słuszności; nie, nie
powinniście tumanić tłumu, dla tego że tłum ten dziki i
szalony. Dzikim i obłąkanym jest kaźden tłum, którego
raz oszukano. Bądźcie tylko szlachetni względem niego,
bądźcie prawymi, a pewnie stopniowo dokażecie tego, że
gawieź stanie się zbiorem *ludzi*.“

Sage, thun wir nicht recht? Wir müssen den Pöbel betrügen.
Sieh' nur, wie ungeschickt, sich' nur, wie wild er sich zeigt!
Ungeschickt und wild sind alle rohen Betrog'nen;
Seid nur redlich, und so führt ihn zum Menschlichen an.

W jego oczach dzikie oratorstwo republikanów nie było
tak niedorzeczném, jak w oczach rojalistów. „Ci mówcy
uliczni wydają mi się jakby szaleni; ale szalenie nawet
będzie mówił rozsądnie w swobodzie, podczas kiedy w nie-
woli mądrość sama niemieje.“

Mir auch scheinen sie toll; doch redet ein Toller
Weise Sprüche, wenn, ach! Weisheit im Slaven verstummt.

Mógłbym powiększyć te uwagi, wykazaniem jak te za-
sady polityczne wyrosły były naturalnie w czasie jego wy-
chowania moralnego i jak on, w czterdziestym trzecim
roku życia nie był wcale podobnym do tego, aby mógł
kiedy stać się apostołem wolności, albo być bardzo za-

interesowanym w zamieszkach politycznych, osobiwie wówczas, kiedy już był całkiem wyszedł z marzeń buntowniczych młodości i zbił się w kryształ wieku męzkiego. Ale dość już zostało powiedzianém o tém, jakim było jego położenie; czytelnik, coby go nie przyjął chętnie z tą bezstronnością, jakiej ono od niego wymaga, nie przyjąłby go zapewne chętniej, choćbyśmy tu wyłożyli przed nim jego początek i wzrost. Amerykanin, gardzący murzynem dla tego że on jest czarny, nie będzie nim gardził mniej, kiedy się dowie, że barwa czarna jego ciała nie jest czém innym, jak tylko zmianą *pigmentu* skóry jego.

Goethe pisał sam dziennik „Wyprawy francuzkiej“ i gdybym miał ja ufność pewną w to, że czytelnik pójdzie za moją radą, tobym mu poradził, aby odczytał sam to dzieło i przez to umniejszył téj pracy kilku stronic. Ale mając za sobą bardzo prawdopodobną wątpliwość, żeby z mojej rady nic zapewne nie było, więc wybieram z dzieła Goethego kilka szczegółów zajmujących i wplatom je do wątku opowieści mojej.

Sprzymierzeni weszli do Francyi, w tém przekonaniu, że wojna będzie tylko prostą przechadzką; myśleli, że lud garnąć się będzie do nich: ale ten dalekim był od tego, owszem okazywał wszędzie najzaciętszy opór nieprzyjacielowi, co naszedł jego ziemię. Wyjątek następujący wtajemniczy nas jasno w tajemnice przekonania Goethego: „Tak tedy Prusacy, Austriacy i część Francuzów wnieśli swoje nieprzyjazne usposobienia na grunt francuzki. Czyją powagą i mocą dokonali oni tego? Mogli byli dokonać tego w imieniu własném. Wojna była im wydana, związek ich nie był wcale tajemnicą; ale wynaleziono inny powód. Przedsięwzięli wojnę w imieniu Ludwika XVI; nie wydierali niczego, pożyczali tylko przymusowie. *Bony* odłaczano, a dowódzca je podpisywał; ktokolwiek miał je, używał ich wedle swego upodobania, a Ludwik XVI miał je płacić. Może być, że po manifestie nie nie oburzało tyle ludu przeciwko monarchii, jak te oto postępowanie. Sam byłem obecnym zdarzeniu, które mi się wydało bardzo tra-

giczném. Kilku pastuchów połączyło było trzody swoje, w celu ukrycia ich w bezpieczném miejscu, w lasach, albo inném jakiém uboczu; zostali jednakże ujęci od czujnych patroli i przyprowadzeni do wojska, gdzie ich najprzód przyjęto dobrze i obchodzono się łagodnie. Pytano ich kto byli właściciele trzody; podzielono potém bydło i przeliczono je. Niespokojność i trwoga, ale nie bez pewnej nadziei, przebijały się na przemian w ich twarzach. Kiedy zaś przyszło do tego, że trzódki ich oddano między pulki i roty, a z drugiej strony, zamiast pieniędzy, dano im grzecznie *bony*, wypuszczone na rachunek Ludwika XVI, wyznają szczerze, że oczy moje nie widziały równie smutnego widowiska i tak rozmaitego cierpienia w jego rozlicznych stopniach. Tylko tragedye greckie mają jedno coś równie głęboko, czysto patetycznego.“

We wszystkich tych ustępach widzimy jak go zajmują tu ludzie, nauki, przyrodzenie — ale wcale nie zajmuje przyczyna wojny. Żołnierze łowiący rybę, pociągają uwagę poety ku sobie; zapala się z powodu zjawisk optycznych, spostrzeganych w wodzie. Rozpoczyna się bombardowanie Verdunu, Goethe zbliża się do baterji pracującej silnie, ale musi ją opuścić dla nieznośnego ryku dział; odchodząc spotyka księcia Reuss. „Chodziliśmy tam i sam, pomiędzy winnicami, rozścielającemi się po murze; osłaniały nas one od kul działowych. Nagadawszy się o różnych projektach politycznych, które wciągnęły nas tylko w wir najrozmaitszych nadziei i kłopotów, książę zapytał mię, czém zajmowałem się obecnie i bardzo się zadziwił, kiedy, zamiast gadania o tragediach i powieściach, poruszony zjawiskami dnia, począłem z zapalem mówić mu o teorii mojej kolorów.“ Wymawiano mu tę „obojętność“ i w liczbie téj byli ludzie, co zdaje się powstałoby na samego Archimeda za to, że w czasie oblężenia Syrakuzy zajmował się swojemi doświadczeniami. Naturalną było rzeczą dla Goethego zajmować się ciekawemi zjawiskami pomiędzy rykiem dział, jak rzeczą naturalną dla żołnierzy było śpiewać tłuste piosneczki, idąc na spotkanie śmierci. Życie obo-

zowe, pokazując mu przykłady wytrwałości, dawało razem sposobność badania przyrodzenia człowieka. Notuje on wpływ zły wojny na duszę: „Jednego dnia człowiek jest w usposobieniu okrutném i burzącém, drugiego znowu jest ludzkim i budującym; przyzwyczajają się do wyrażen, przysposobionych dla poruszenia i utrzymania nadziei w pośród najcięższych okoliczności; temi sposobami wyrabia się pewien niezwykły rodzaj obłudy, rodzaj inny wcale od księżego i dworskiego rodzaju.“

Opisując szczegółowie niektóre z nędz życia obozowego, dodaje: „szczęśliwym jest ten, czyje łono pełném jest wyższego uczucia, wyższych interesów. Zjawiska barw, badanych w porze wiosny, nie opuszczały mię tu na chwilę jedną. Rozmyślałem o nich ustawicznie, aby się usposobić do robienia nad niemi doświadczeń. Dyktowałem Voglowi ogólny zarys teorii mojej, a potém rysowałem figury. Papiery te mam dotąd u siebie ze wszystkimi świadectwami dżdżystej pory i dowodami stałego badania w pośród niepewnej ścieżki, na którą wszedłem był.“ Bardzo charakterystyczném we względzie pragnienia jego wiedzy jest wystawianie się z jej powodu na niebezpieczeństwa: „Nasłuchiłem się wiele o *gorące działowej* i chciałem był doświadczyć na sobie co to takiego było istotnie. Nuda i duch wojenny, jaki mię otaczał, pobudzały razem do męstwa i narażania się; jeździłem na szançe *La Lune'a*. Były one zajęte naszymi ludźmi i przedstawiały postać dziką. Dachy były zniesione kartaczami; wałały się tu snopy słomy, ciała śmiertelnie ranionych leżały tu i ówdzie, a zaleciała kula armatnia spoczywała na kupie potłuczonej czerepicy. Samotny, jeździłem konno po wzgórzach i mogłem przypatrzeć się dobrzej pozycji wojsk francuzkich; stały one w półkole w największym porządku i spokoju; Kellermann na lewém skrzydle; do niego najłatwiej było dojechać..... Przybyłem był w okolicę, w której kule przelatywały nademną; świst ich jest rzetelnie ciekawym, zupełnie wydaje się jak gdyby do niego wchodziły szczęk oręża, klekot wody i świergot ptactwa. Kule te mniej były niebezpiecznymi z powodu wilgo-

tniej ziemi; gdzie która upadła tam już i leżała. Takim sposobem moje wędrówki szalone przynajmniej były zabezpieczone od kul odskakujących. W tych okolicznościach wkrótce byłem w stanie spostrzedz, iż coś niezwyčajnego obejmowało mię: zwracałem na to uczucie pilną uwagę i zaledwo przez podobieństwo podobną poniekąd jest rzeczą dać o niem pewne wyobrażenie. Wydaje się jak gdybyś był w jakimś nadzwyczajnie gorącym miejscu, i razem, jak gdybyś był przejętym tym upałem do tego stopnia, że ci się wydaje, że gorąco to, a ty sam, to jedno. Oczy nie tracą nic bynajmniej na swojej mocy i jasności wzroku; wydaje się przecież jak gdyby świat cały pociągnął się odcieniem ciemnym, co czyni położenie i rzeczy otaczające więcej jeszcze wrażliwemi. Nie byłem w stanie postrzedz jakiegokolwiek poruszenia krwi, wszystko jednakże wydawało się pochłoniętem tym upałem. Z tego powodu można tedy wnosić łatwo, w jakim sensie można stan ten nazwać *gorączką*. Godnym uwagi jest to, że owo nieprzyjemne uczucie, jakie ztąd powstaje, wchodzi do duszy drogą słuchu, przez uszy, bo łoskot dział, ryk, świst kul, wszystko to jest jedyną przyczyną uczucia. Wróciwszy, kiedy już był w miejscu zupełnie bezpiecznym, spostrzegłem z zadziwieniem, że upał przeszedł zupełnie i niepozostało żadnego wrażenia gorączkowego. W ogóle stan ten jest wcale nieprzyjemnym; nie było nikogo pomiędzy moimi mężnymi kolegami, coby lubował sobie w nim. Tak dzień przeszedł; Francuz stał nieporuszony, Kellermann zajął bowiem korzystną pozycję. Nasi zostali spędzeni z pola i zdawało się jak gdyby na niem nic nie było zaszło. Największy popłoch został rozsiany w wojsku. Tegoż jeszcze rana nie myslano o niczem innym, jak tylko o tém, aby zmieść Francuzów i pozrzec; sam miałem ochotę należec do tej ekspedycyi niebezpiecznej, tyle miałem ufności w wojsku i księciu Brunświckim; teraz zaś kaźden wrócił samotny, nikt nie patrzył na swego siasiada, albo kiedy się to trafiło, kaźdy zaraz kłął po żołniersku. Właśnie kiedy noc zapadła, przypadkiem zeszlśmy się razem; nie mogliśmy nawet roznie-

cie ognia zwykłego; wielu milczało, niektórzy mówili, ale brakło w rozmowach tych rozwagi i sądu zdrowego. Wezwano mię nareszcie, abym powiedział, com o tém myślał, ożywiałem bowiem i rozweselałem dotąd wojskowych. Tą razą powiedziałem: odtąd w dziejach świata nastąpi era nowa, a wy wszyscy panowie, będziecie mogli powiedzieć, żeście byli przy jój poczęciu.“

W nocy wiatr nagnał deszczu. Leżano na ziemi po za wzgórzem, okrywającem nas od wiatru; ktoś zaproponował, aby się zagrzebać w ziemię i przykryć się płaszczami. Wygrzebano jamy; nawet Karol August nie wzgardził tym „wczesnym grobem.“ Goethe obwinał się w przeszcieradło i spał lepiej od Ulissesa. Napróżno pólkownik przekładał i wskazywał, że Francuzi mają poza wzgórzem wymierzone baterye i mogą pogrześć rzetelnie śpiących; ale na teraz najwięcej pociągaly sen i ciepło, więc one były warte w oczach naszych niżli ochrona od niebezpieczeństwa.

Porażka pod Valmy, jakkolwiek nie wiele ważna, zraziła była Prusaków, a ożywiła Francuzów. Prusacy przerażeni krzykiem: *vive la nation!* z którym napadli na nich republikanie i znajdując się na obcej ziemi, bez magazynów, zapasów, albo jakichkolwiek zasobów na wypadek, spostrzegli popełnioną przez się pomyłkę i rozpoczęli odwrót. Zapewne wielką to było pociechą dla Goethego, kiedy posłyszał, że już nie będzie nadal znosić niewygód obozowych. Nie wiele go interessowała ta sprawa i nie skorzystał wcale, przy bliższém zetknięciu się z dowódcami, w wyobrażeniu jakie miał o ich charakterze. „Chociaż pomiędzy dyplomatami znalazłem prawdziwych i drogich dla siebie przyjaciół, nie mogłem się jednak powstrzymać, ile tylko razy widziałem ich w pośród tych wielkich rozruchów, od zrobienia dziwnego porównania, które samo cisnęło mi się do głowy; oto wydawali mi się oni jakby dyrektorami jakiego teatru, co wybierają sztuki, rozdają role i krążą niewidomi w około sceny, podczas kiedy aktorowie, usiłując popisać się najlepiej, mają odnieść, jako rezultat pracy własnej, pochwałę lub naganę publiki.“

Zdarzyło mu się dostać zbiór pamfletów, a pomiędzy temi były instrukcye znakomitszych (Notables). „Umiarowanie ludu w owym czasie, skromność, z jaką on wykladał potrzeby swoje, tworzyły sprzeczność uderzającą z gwałtownością, zuchwalstwem i rozpaczą obecnego okresu rewolucyi. Czytałem papiery te z rzetelném wzruszeniem i przepisałem sobie niektóre z nich.“

Powrót Goethego do domu był powolny. Tymczasem oręż Francuzów był wszędzie zwyciężkim. Verdun i Longwy zostały zajęte powtórnie od republikanów. Nad Renem, Trewir i Moguncya kapitulowały przed Custine'm. Goethe powiada: „W pośród tych nieszczęść i zamieszania, doszedł mię list matki mojej i przypomniał mi, w osobliwy sposób, wiele spokojnych ustępów z dzieciństwa mego i okoliczności, połączonych ze wspomnieniami o rodzinie i mieście rodzinném. Wuj mój ławnik Textor umarł; jego pokrewieństwo wyłączało mię dotąd od honorowego i pożytecznego urzędu frankfurckiego radcy; teraz zaś, zgodnie z ustalonym chwalebnym zwyczajem, pomyślono natychmiast o mnie, jako o człowieku zajmującym znakomite miejsce w hierarchii frankfurckiej. Poruczono matce mojej zapytać mię, czy zechcę przyjąć na się obowiązek radcy, gdyby przyszło do głosów i na mnie padła złota gałka? Pytanie podobne nie mogło być nadejść w więcej osobliwym czasie jak obecnie; zdziwiłem się i zadumałem się głęboko; tysiące obrazów stanęło przedemną i przeszkodziło postanowić coś statecznego w tym względzie. Ale jak to się zdarza czasami, że osoba chora zapemina na chwilę o swoich boleściach i kłopotach, kiedy się przysłuchuje jakiejś powieści ciekawej, równie i ja przeniosłem się z tego powodu myślą do innych sfer i do czasów innych. Znalazłem się w ogrodzie dziada mego, którego szpalery osypane owocami nieraz kusily wnuka widokiem dojrzałych jabłek lub gruszek. Tylko bojaźń zostania wypędzonym z raję tego, tylko nadzieja odebrania z własnych rąk dziadunia czerwonego jabłuszka dość glego już całkiem, mogły być powściągnąć tę poząd-

wosc w granicach rozsądku, aż do téj pory, kiedy owoc mógł być jedzonym śmieie. Wówczas widziałem dziadka, zajętego swemi różami; ręce jego od cierniów osłaniały jakieś starożytne rękawice. Potém widziałem go już w ubiorze prezydenta miasta, z łańcuchem złotym na szyi, zasiadającego na krześle honorowém pod portretem cesarskim; następnie, po raz ostatni — niestety! — widziałem go już w jego krześle — jako chorego — przez długie lata, a nareszcie w grobie jego! Podczas ostatniej mojej podróży do Frankfurtu, zastałem wuja cieszącego się domem, dziedzińcem, ogrodem; jako syn godny takiego ojca, spełniał on najwyższe godności w rządzie wolnego miasta. Tu, w tém poufałym kółku rodzinném, w tym starym, niczém nie zmienionym domku, którego zakątek każdy był mi tak dobrze znanym, przypomniały się mi żywo wszelkie wypadki dziecinnych lat moich i stanęły przed oczami, jak gdyby one dopiero wczora minęły. Łączyły się one z innemi uczuciami wieku dziecinnego, o których także niechęć przemilczeć. Któryż obywatel miejski wyprze się tego, że marzył kiedyś w życiu stać się, wcześniej lub później, radcą, wójtem, albo burmistrzem; i że, stosownie do życzeń tych usiłował, mniej więcej wyraźnie, dojść tego przez zabiegi do tych, albo choć mniej nawet ważnych godności? Nie mogłem, jednakże, oddawać się długo tym miłym marzeniom wieku dziecinnego; wcześniej poruszane będąc we mnie, musiałem zawczasu postrzedz złe okoliczności, jakie mię otaczały, a razem mglisty widnokrąg, zakrywający przedemną godności w magistraturze rodzinnego miasta. Widziałem Moguncję w ręku Francuzów; Frankfurt zagrożony, jeżeli nie był wziętym; droga do niego była utrudniona, a w jego murach, na ulicach jego, na jego placach, w jego mieszkaniach, przyjaciele młodości mojej, moi krewni, dotknięci może już klęskami, jakim przypatrywałem się w Verdun; któż chciałby być rzucić się w wir podobnych okoliczności? W szczęśliwszych nawet dniach poważnej municypalności, nie podobna byłoby dla mnie zgodzić się na te przełożenie; łatwo sobie jest

wytlómaczyć powody tego. Od lat dwunastu doświadczyłem osobliwego, przyjaznego mi losu, ufności i łaski zarówno księcia wejmarskiego. Ten wysoce udarowany i ukształcony książę lubił pochwalać słabe moje zasługi, ułatwiając środki do rozwinięcia mego moralnego, które były niedostępne pod żadnym względem w mojej rodzinnej okolicy. Wdzięczność moja była nieograniczona, równie jak przywiązanie moje dla wysokiej pary i księżnej matki, do młodej ich rodziny i do kraju wreszcie, dla którego i ja sam nie byłem może bez pewnej korzyści. Nie miałemże wspomnieć w tej dobie na przyjaciół moje, na tak wysoko ukształconych mężów i na wiele innych przyjemności domowych i korzyści, jakie się wywinęły dla mnie z mojego położenia w Wejmarze?”

Po powrocie Goethego do Wejmaru czekała go tam przyjemna niespodzianka, w kształcie domu na *Frauenplan'ie*, który został przebudowany z rozkazu księcia podczas jego nieobecności. Dom ten, w owe czasy uważany za pałac, był bardzo kosztownym darem. Budowa jego nie posunęła się jeszcze była tak dalece, by niemógł jój Goethe przekształcić podług własnego upodobania; urządził on sobie pyszne wschody, za szerokie w stosunku do rozmiarów domu, ale mające na sobie cechę wspomnień uroczych z Włoch wyniesionych w młodości.

Przechodzący widzą przez szyby okien popiersia bogów Olimpu, stojące tam jako symbola spokoju i zadowolenia. Wchodząc do sieni, oko zastanawia się na szlacheckich kształtach stojących we framugach posągów, albo spocznie na widokach Rzymu, zdobiących ściany i na Jutrzence Meyer'a, zdobiącej sufit. Przy drzwiach stoi gruppa Ildefonsa, a na progu przemawia głos gościnności starożytny rzymskim wyrazem „*salve*.“ Na pierwszym piętrze wchodzi się do pokoju Junony, nazwanego tak od kolosalnego popiersia bogini, która go uświęca obecnością swoją; na ścianach są „*loggie*“ Rafaela (Sanzia). Po lewej stronie pokoju tego jest pokój od przyjęcia; w nim stoi arfa, która uprzyjemniła nie jeden wieczór: grał na niej Hum-

mel, śpiewały przy niej *Catalani* i *Sontag*. Nad drzwiami umieszczone są kartony mytologiczne Meyer'a; na ścianach kopija „Zaślubin“ Aldobrandiego, ze szkicami z wielkich mistrzów. Wielki gabinet zawierał w sobie sztychy i kamienie rzeżane; boczny pokój posążki bronzowe, lampy i urny. Po drugiej stronie, połączone z pokojem Junony, a naprzeciw pokoju od przyjęcia gości, były trzy małe pokoiki. Pierwszy mieścił w sobie szkice mistrzów włoskich i malowidło Angeliki Kaufmann; drugi i trzeci mieściły w sobie rozmaite wyroby gliniane i aparat do objaśnienia *teorii kolorów* (*Farbenlehre*) służący. Jako przedłużenie pokoju Junony w tył był pokój, przeznaczony dla popiersi, z biustami Szyllera, Herdera, Jakobiego, Vossa, Sterna, Bajrona i t. d. Za nim, w kilka schodów niżej i wychodzący na wschody oplecione macią winną, prowadzące do ogrodu, był mały pokój, w którym poeta nasz lubił być obiadować w małym towarzystwie. Ogród był zarysowany smakownie. Altanki zawierały w sobie zbiory, należące do historii przyrody.

Ale świętością domu tego były pracownia, księżnica i sypialnia. W pokojach opisanych wyżej odwiedzający widział w Goethym ministra i lubownika sztuki. W porównaniu ze zwykłą skalą życia ówczesnego w Wejmarze, pokoje te były okazałości pałacowej; dziś jednak, w porównaniu nawet do sposobu życia wejmarskiego, są one więcej jeszcze niż mieszczańskiej prostoty. Przechodząc przez przedpokój, w którym na spodkach stoją zbiory mineralogiczne, wchodzimy do pracowni, niskiego i ciasnego pokoiku, trochę ciemnego nawet, bo oświetconego tylko dwoma niewielkimi oknami, a umeblowanego z prostotą, której widok wzrusza duszę. W pośrodku stoi prosty owalowy stół z niepoliturowanej dębiny; niemasz tu wygodnego krzesła z poręczami, nie, coby przemawiało za wygodką. Proste, twarde krzeselko, ma przy sobie kosz, w którym zwykł był nieboszczyk składać swoją chustkę. U ściany, po prawej stronie, jest długi stół gruszowy, z półkami na książki, na których ustawione są słowniki i podręczniki

(Handbücher); tu wisi poduszka do szpilek, przypruszona szanownym kurzem, z biletami wizytowemi i innymi bagatelkami, którym śmierć poety nadała wysoką cenę. Tu takżo umieszczony jest medalion Napoleona z tym napisem: „*Scilicet immenso superest ex nomine multum.*“ Na bocznej ścianie, znowu, szafa z książkami, w której mieszczą się dzieła niektórych poetów. Przy ścianie, po lewej stronie, jest długi stół z miękkiego drzewa, na którym lubił pisywać. Na nim leżą oryginalne rękopisma „*Götz'a*“ i „*Elegij*“, stoi takżo biust Napoleona, ze szkła koloru mlecznego, przeświecającego przy świetle barwą błękitną i ognistą; ma wartość tę, że służy do objaśnienia *teoryi barw* poety. Arkusz papieru z notatkami z dziejów współczesnych, przytwierdzony jest do drzwi, a za niemi tablice schematyczne do muzyki i geologii służące. Te same drzwi prowadzą do sypialni, jeżeli pokój ten może nazwać się sypialnią, której pewnie ostatnia służąca w Anglii niechciałaby przyjąć na ten cel bez szemrania. Jest to gabinecik z oknem. Łóżko proste, obok niego krzesło, mały stołek do umywania się, z małą białą misą i gąbką na wierzchu — oto wszystko. Wchodząc tu z myślą o wielkości i dobroci tego co spał tu, co się tu ułożył do snu wiecznego, niemożna nie uronić łez kilku.

Z drugiej strony pracowni wchodzimy do księżnicy, która raczej mogłaby mieć nazwanie składu książek. Proste półki dźwigają książki, z kawałkami papieru, na których są napisy: filozofja, historia, poczyta i t. d. dla oznaczenia porządku. Ciekawą bardzo rzeczą było spojrzeć na ten zbiór; czytelnik angielski, łatwo zapewne wyobrazi sobie uczucie, z jakim wzięłem do rąk tom *Przeglądu historycznego poezji niemieckiej* przez Taylora, dzieła przesłanego Goethemu przez Carlyle'a, a w którym znalazłem kawałek papieru, służący na zakładkę, z napisem ręki samego Carlyle'a.

Takim był dom Goethego przez wiele lat, przez które poeta w nim przemieszkiwał. W tym czasie, o którym tu piszemy, ma się rozumieć, był już nieco zmienionym. Roz-

kosz przebudowywania go i przyjemność znajduwania się w domu z Chrystyną i synkiem, możliwości zajmowania się znowu literaturą i nauką, stanowiły szczęśliwą sprzecznosc z życiem obozowém. Meyer wrócił był z Włoch i mieszkał u niego. Jego nauka dziejowa i przyjaźń szczerą uczyły mu go drogim. Poszukiwania optyczne zmieniały się roztrząsaniem o sztuce.

W tym 1793 roku, wiele zgłębił rzeczy, ale mało wydał na świat. Komedia pod tytułem *Obywatel-general* (Bürgergeneral) została napisana; druga p. t. *Powstańcy* (Aufgeregten) została rozpoczęta, a *Rozmowy wychodźca* (Unterhaltungen eines Ausgewanderten) osnute. Ważniejszą rzeczą była wersja poematu o *Lisie* (Reinecke der Fuchs). Wszystkie te prace były następstwem rewolucji francuskiej. *Obywatel-general* jest małą, wesołą sztuczką, wystawiającą nedorzecznosc rozgłaszanego patryotyzmu; rozgniewała ona niemało tych wszystkich, co powstawali na Goethego za to, iż nie objął interessów rewolucji. Zapewne wiele było w czasie rewolucyjnym płytkiego, szalonego, wiele zepsucia, ale zapatrywać się na nią z tego jedynie stanowiska równie było śmieszném. Ale Goethe, co nie sympatyzował z przewrotami politycznymi we Francji, co, z drugiej strony, potępiał równie rojalistów, co niemógł pisać ani dytyrambów o swobodzie, ani też wołać z oburzenia, on, co nierozumiał ważności dziejowej tej epoki, widząc w wypadku tym jedynie czasowe i osobiste powody, mógł zapewne widzieć w tém wszystkiém za ledwo treść do komedyi i napisał komedję. Niepisał ani potępienia, ani satyry; postrzegał w tém tylko sytuacje komiczne i uśmiechał się obojętnie. W miarę, jak wypadki tego czasu rzucały cień mocniejszy na obraz, on takż stawał się poważniejszym. *Powstańcy*, sztuka nigdy niedokończona, dałaby była wyraz jego poglądom politycznym. *Reinecke Fuchs* począł się jako wypoczynek; zmienił się on potem w „nieświętą Bibliję światową“ w której plemie ludzkie odbiło swoją prostą, bezpretensjonalną zwierzęcą przyrodę, z osobliwszym humorem, w przeciwień-

stwo krwawemu obrazowi, jaki przedstawiało na ówczas światu panowanie terroryzmu.

W Maju 1794 roku miał jeszcze raz odjechać do wojska, oblegającego Moguncyę. Opowieść o tej wycieczce nie przedstawia z nowej strony Goethego i dla tego może być opuszczoną. Miasto zdało się 24 Lipca, a 28 Sierpnia w czterdziestą piątą rocznicę urodzin — wrócił do Wejmaru, aby dokończyć *Lisa* i ciągnąć dalej swoje poszukiwania uczone. „Wracam do domu — pisał do Jakobiego — gdzie mogę w około siebie zarysować koło, którego nie przestąpić nie może, oprócz miłości i przyjaźni, nauki i kunsztu. Nie będę się uskarżał na przeszłość, nauczyłem się bowiem z niej wiele ważnego.“ Doświadczenie jedynym jest mistrzem, chociaż o niem powiedział Jan Paweł, że w szkole jego drogo opłacić potrzeba naukę. Goethe przecież zawsze był chętny do płacenia za nią, byle tylko poczerpnąć naukę życia.

Wspominaliśmy wyżej jak stosunek pomiędzy Goethym a Szyllerem nie mógł się być zawiązać. W 1794 roku przecież zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, trwająca do samej śmierci Szyllera, aż do 1805 roku. Jak ślicznie odezwał się był Goethe o Szyllerze po jego śmierci!

„Denn Er war unser! Mag das stoltze Wort
Den lauten Schmerz gewaltig übertönen.
Er machte sich bei uns, im sichern Port
Nach wildem Sturm zum dauernden Gewöhnen.
Indessen schritt sein Geist gewaltig fort
Ins Ewige des Wahren, Guten, Schönen.
Und hinter ihm, im wesenlosen Scheine
Lag, was uns Alle bändigt — das Gemeine!“

Niemcy przewalili dwóch poetów-przyjaciół „*Dioskurami*.“ Bo też trudno było o widok piękniejszy, szlachetniejszy, jak ta przyjaźń dwóch wielkich mężów; nie w tym względzie dzieje literatury nie przedstawiają podobnego. Przyjaźń Montenia i Etienna de la Boëtie była może więcej namiętną, ale była ona połączeniem dwóch serc poczciwych, co od razu się poznały, a nie jednotą dwojga współzawodników, ustawicznie różnionych od popleczników

i od początku skłonnych już do odstąpienia się od siebie. Byli oni współzawodnikami i są nimi dotąd; byli dwiema naturami, w wielu względach całkiem sobie przeciwnymi; naczelnicy dwojga przeciwnych partyj, łączący się z sobą tém tylko, co było w nich najwyższego, tém co ich wiodło do szlachetnego celu.

Spojrząwszy na tych dwóch wielkich współzawodników, odkrywała się od razu zachodząca pomiędzy nimi różnica. Piękna głowa Goethego miała być w sobie spokojną, zwyciężką niejako wielkość greckiego ideału; piękność Szyllera była niejako poważną pięknnością chrześcijanina, poglądującego w przyszłość. Czoło massywne, duże zręcznice, (podobne do tych, jakie nadał był Rafael Dzieciątku Bożkiemu, w nieporównanej Madonnie Syxtyńskiej) mocne i dziwnie kształtne rysy, oddychające myślą i cierpieniem, okazujące jednakże, że myśl i cierpienie wzruszyły tylko, ale nie zwyciężyły mocnego męża; przytém coś zdrowego w ciemnej płci, coś nieokreślonego, przeświecającego z oblicza całego czynią Goethego uderzającym kontrastem Szyllera, z jego niespokojnym okiem, wązkim czołem, ściśnionym i wcisnionym, nieregularnymi rysami, odbijającymi myśl i cierpienie, wyrażającymi chorobę. Jeden patrzy, drugi wygląda (*The one looks, the other looks out*). Obaj są majestatyczni, ale jeden ma wspaniałość spokoju, drugi bojowania. Budowa Goethego jest massywna, imponująca; wydaje się on wyższym niż jest w istocie; Szyllera zaś postać nieszykowna, wydaje się mniejszą nawet niż jest rzetelnie. Goethe trzyma się prosto; dłużoszyi Szyl-ler „idzie jak wielbłąd“ jak powiedział raz o nim Tieck, snycerz, w rozmowie z Rauchem. Piers Goethego wygląda jakby tors Thezeusza; Szyl-ler zaś, zgarbiony i słabych piersi. Podobna różnica da się wykazać w szczegółach. „Powietrze, wydające się zdrowém Szyl-lerowi, działało na mnie jak trucizna, mówił raz Goethe Eckermannowi. Odwiedziłem go raz i niezastałem go w domu; usiadłem przy jego stole, aby sobie coś zanotować. Nieprzesiedziałem kilku minut, kiedy mi się czegoś zrobiło słabo i o małym nie

zemdłał. Spoczątku niewiedziałem od czegooby to być mogło, aż nareszcie spostrzegłem że jakiś zapach nieprzyjemny wychodził z szuflady stolika, przy którym usiadłem. Kiedym ją wysunął, zobaczyłem, że była pełną nadpsutych jabłek; natychmiast musiałem stanąć przy otwartém oknie, aby odrzeźwić się świeżem powietrzem, które mi zaraz pomogło; tymczasem nadeszła żona Szyllera i powiedziała mi, że szuflada była zawsze napełnioną nadpsutemi jabłkami, bo zapach ich był zdrowym dla jój męża i że bez nich ani żyć, ani pracować niemógł.“

Innym ciekawym szczegółem, cechującym zdrową i chorobliwą dążność w piśmiennictwie, jest ten, że Goethe pisywał wczesnemi rankami, bez żadnych pobudzających ducha napojów; Szyller zaś pracował w gorączkowe godziny nocy, pobudzając myśl swoją kawą i szampańskiem winem.

Porównywając jednego z nich do ideału greckiego, drugiego zaś do ideału chrześcijańskiego, daliśmy poznać że Goethe był przedstawicielem *realizmu*, Szyller zaś *idealizmu*. Goethe sam wskazał był różnicę główną, jaka zachodziła była pomiędzy nimi: Szyller ożywiał się ideą swobody; Goethe, przeciwnie, natchnienie swoje czerpał z przyrodzenia. Różnica ta wszędzie objawia się stale w dziełach tych dwóch poetów Niemiec. Szyller ustawicznie dąży do czegoś wyższego od przyrodzenia; chciałby on z ludzi zrobić półbogów. Goethe usiłuje rozwinąć tylko przyrodę w jój rzetelnej treści i wydać najwyższe kształty tego co ludzkie (*humanitas*). Upadek człowieka był dla Szyllera najszcześniejszém ze wszystkich zdarzeń, bo przez to ludzie odpadli od *instynktu*, a podnieśli się do *swobody* (!) świadomiej siebie; z tém uczuciem swobody wyrodziła się możebność moralności. Dla Goethego było to zapłacić za moralność więcej niż była warta; miał on wyobrażenie (!) stanu w którym moralność była niepotrzebną. Jakkolwiek chwalił on dobrą politykę, przecież więcej mu się podobała społeczność w której polityka byłaby niepotrzebną rzeczą.

Ale podczas kiedy sprzeczność pomiędzy tymi dwoma mężami jest tylko sprzecznością jaka zachodzi pomiędzy *ideałem* i *realem*, *podmiotowością* i *przedmiotowością* w dążnościach, sprzeczność pozorna, jeżeli będziemy zapatrywać się na nich w całości ich ducha, a rzetelna wtedy tylko, kiedy patrzymy na nich względnie jeden do drugiego. Mówić o Goethym, jako o realisście, czystym i prostym, jest rzeczą błędną; mówić o Szyllerze, jako o idealisście czystym i prostym, niemniej także mylną jest rzeczą. Gerwinus robi słuszną uwagę, że Goethe, w porównaniu z Nicolai i Lichtenbergiem, wydaje się być idealistą; porównany zaś z Kantem i jego zwolennikami, Szyller wydaje się znowu realistą. Jeżeli Szyller, w porównaniu z Goethym, musi być nazwanym samowiednym poetą, to w porównaniu z romantykami, jest on *naiwnym* i instynktowym. Rzetelnie można powtórzyć tu, co się rzekło już wyżej, że wszelkie podobne klasyfikacye muszą koniecznie być niedokładnemi i mogą tylko być użyte jako sposoby wyrażenia się, któremi dadzą się oddać w krótkości wybitniejsze cechy Goethego i Szyllera; były to zapewne dwa różne charaktery, ale gdyby były one charakterami do tyła z gruntu różnemi względem siebie, jak lubią je zwykle wystawiać, toby zapewne dwaj ci ludzie nie byłiby nigdy w stanie zejść się i złączyć się tak z sobą, jak to nastąpiło istotnie. Byli ci dwaj mężowie różni pomiędzy sobą, ale z drugiej strony jednali się z sobą temi prawie samemi różnicami i podobieństwami, jakie zachodzą pomiędzy greckim Aressem, a Marsem rzymskim, W mythologii greckiej bóg wojny nie ma tego znakomitego miejsca, jakie zajmuje on w rzymskiej; snycerze greccy, kiedy chcieli go wyobrazić, przedstawiali go, jako zwycięzcę, wracającego po boju do domowego zacisza; trzymał on w ręku gałązkę oliwy, a u nóg jego siedziała miłość (Eros). Rzymscy snycerze, albo ci, co pracowali dla Rzymian, wystawiali Marsa jako boga wojny, w całej jego grozie, w samym akcie, kiedy prowadzi do zwycięstwa zastępy. Ale, jakkolwiek różnemi są dwa te pojęcia, w rze-

czy są to jednakże zawsze wyobrażenia bożka wojny; Goethe może być przyrównany do jednego, a Szyller do drugiego: obaj byli znakomitemi geniuszami, połączonemi dla jednego celu. Owszem, dotknąwszy już sprzeczności, jaka pomiędzy nimi zachodziła, należy powiedzieć jeszcze z drugiej strony słówko jedno o punktach ich wzajemnego do siebie podobieństwa, służących jakby za podstawę łączącą ich pomiędzy sobą. Nie potrzebną byłoby rzeczą nastawać na podrzędne strony, jakie mogły być wspólnemi tym dwóm poetom; wzmianka o niektórych ważniejszych punktach wystarczy dla obecnego naszego zagadnienia.

Obaj byli przekonanymi o tém głęboko, że sztuka nie była jakimś zbytkiem życia próżnego bogacza, nie rozrywką marną strudzonego, ale wpływem potężnym, poważnym w celach swoich, chociaż przyjemnym w środkach wykonania ich; sztuka wedle nich była siostrą wiary i religii; z pomocą jój urzeczywistniały się wielkie zadania świata. Takie pojęcie nie było u nich wcale brzmiącym frazesem tylko; patrzyli oni na nią poważnie; wierzyli oni mocno, że oświata, że ukształcenie moralne podniosą ludzkość do jój najwyższej potęgi; jako artyści nie znali oni kultury wyższej nad sztukę. Zapewne jako następstwa tego przekonania, potrzeba uważać słowa Karola Grün'a: „Goethe był najidealniejszym idealistą, jakiego tylko ziemia kiedykolwiek wydała; idealistą estetycznym.“ Ztąd zapewne szeroko rozsiany błąd, że Goethe „patrzył tylko na życie jak artysta“ tj. dbał o tyle tylko o przyrodzenie ludzkie, o ile to dostarczało mu materiału dla sztuki; punkt, nad którym więcej się potem zastanowimy.

Fazy rozwoju ich były dość podobne do siebie, to też doprowadziły ich w końcu do jednego stanowiska. Obaj rozpoczęli byli buntowniczo, obaj wybrnęli byli z bezprawia tytanicznego, wychodząc z okresu młodości pierwszej, a przechodząc w wiek męzki. We Włoszech widok starożytnych dzieł mistrzów i wpływ klimatu rozkosznego dokonały w Goethym tego przeobrażenia; Szyller miał do

czynienia z niebem mglistém północy, pasując się ustawicznie z ubóstwem. I on takż wzdychał do Włoch; myślał on, że niebo Grecyi mogłoby być utworzyć zeń poetę. Ale dusza jego, pełna życia wewnątrz skupionego, dusza rozkochana w dziejach ludzkości, nie znajdowała ani bodźca, ani ukontentowania w sztuce plastycznej. Ludzie szlachetni, czyny szlachetne — była to karm' żywiąca duszę jego wielką. „Poetyczne oczyszczenie jego wyszło od idei moralnych; u Goethego zaś ideał moralny pochodził od artyzmu.“ (Gervinus. V. p. 152). Plutarch był jego Bibliją. Starożytne arcydzieła poezyi przyszły doń w tym okresie rozwoju jego, by go doprowadzić spokojnie do tego samego punktu, na którym stanął był Goethe. Czytał on tragików greckich w zepsutych przekładach francuzkich, i z taką pomocą słabą przekładał pracowicie Ifigeniję Eurypida. Homer, w przekładzie wiernym Vossa, stał się dlań tém, czém był on oddawna dla Goethego. Jak namiętnie rzucił się on był w świat starożytny, możemy widzieć jasno z poematu jego *Bogowie Grecyi* (*Die Götter Griechenlands*). Jak u Goethego, opinije jego religijne oddalały go stopniowo coraz więcój od Chrystyanizmu; jak Goethe, wyrobił on był dla siebie pewien systemat religijny z zasad Spinozy, Kanta i mędrców greckich.

W czasie, kiedy ci dwaj poeci wydawali się najwięcój oddalonymi od siebie, a co do uczuć wzajemnych byli istotnie oddalonymi, poczęli stopniowo zbliżać się coraz więcój i więcój w samym sposobie rozwoju swego, i utworzyła się ztąd mocna podstawa dla przyszłego, trwałego związku przyjaźni. Goethe miał wówczas lat 45; Szyller 35; Goethe wiele miał do udzielenia, co Szyller przyjmował od niego sercem wdzięczném; jeżeli niemógł był wzajemnie wpłynąć na rozwiniętą wielce duszę przyjaciela swego, albo dodać cokolwiek do zasobów ogromnych jego wiedzy i doświadczenia, mógł był przecież dać mu to, co było więcój daleko szacowném, mógł mu dać *sympatyę* i *popęd*. Pobudzał on Goethego do pracy. Odrywał on go

od coraz więcej wzrastającej w nim żądzy wiedzy, a przywracał go napowrót poezyi. Nastawał nań, aby kończył dzieła rozpoczęte i nie zostawiał pism swoich w urywkach. Pracując razem, w jednym celu i z jedną powagą, okres ten ich żywota stał się najslawniejszym ustępem w dziejach ich ducha i pozostaje wiecznym przykładem szlachetnej przyjaźni.

Ze wszystkich tych oznak wielkości Szyllera, którą okrzyknął lud pełen zapału, niemasz może większej jak pochwała i przyjaźń Goethego dla niego. Ciekawy to bardzo fakt w dziejach Szekspira, że nie mamy ani jednej pochwały, którąby on napisał dla współczesnego sobie poety. Moda owoczesna pisania przez poetów pochwał na cześć braci swojej zdawałaby się wyzywać go koniecznie do tego; tém więcej jeszcze, że posiadamy mnóstwo panegiryków przyjaciół jego dla niego samego; nie mamy przecie pomimo tego ani jednego wiersza pochwalnego, wysłęgo z pod pióra, co by w stanie było słówkiem jednem przewyższyć pochwały tysięcy. Gdyby współcześni mu literaci obwiniali go o niechęć i chłód dla innych, ten fakt ciekawy wystarczał by już do potępienia go pod tym względem. Często w tém dziele porównywaliśmy Goethego z Szekspirem i w tym więc razie postawimy ich obok siebie. Ze wszystkich wad przypisywanych pisarzom, Goethe cienia nawet nie miał tego, coby można było nazwać zawiścią; ze wszystkich przymiotów właściwych wielkości, Goethe miał w wysokim stopniu przymiot wspaniałości duszy. Potok czasu zaniesie w potomność wiele imion, które będą żyć w niej tylko pochwałą Goethego. Przyszli badacze dziejów piśmiennictwa nie będą mieli powodu zrobić podejrzenia nawet o to, o co moglibyśmy podejrzewać Szekspira; owszem zobaczą oni dowodnie, z jakim zapalem i podziwem był on dla współzawodników swoich: Szyllera, Vossa i Herder'a, jak był gorliwym w rozgłaszaniu sławy Scotta, Bajron'a, Beranger'a i Manzonięgo.

Ale musimy opuścić charakterystykę tych dwóch współzawodników, a iść dalej w opowieści naszej ich czynnego współdziałania w rzeczy sztuki.

Podczas kiedy świat był poruszony do głębi szybkim postępowaniem rewolucyjnym, mały światek wejmarski szedł dalej dawną koleją, jak gdyby nic, co dotyczyło zbliżania ludzkości, nie było zaszło w dziejach. Ponieważ Goethe jest największą figurą w Niemczech, oczy więc wszystkich zwrócone są na niego, aby zobaczyć, jak on zachował się w owej chwili. Widzą go nie idącego z biegiem idei, nie sympatyzującego czynnie z wypadkami; nie znajdują lepszego tłumaczenia tego co widzą, jak tylko w tej oto króciuchnej formule: „że był on egoistą!“ Gdyby przecież rzucili okiem na towarzyszy jego i współzawodników, znaleźliby równą w nich „obojętność.“ Wieland uznany powszechnie za przeciwnika wszelkiego despotyzmu, przestraszył się widokiem krwawym terroryzmu. Pojęcia filozoficzne Herdera o humanizmie, czyniły go obojętnym na wszelkie zagadnienie podrzędne o narodowości; rewolucya francuzka nie więcej go zajmowała jak współczesna rewolucya w Hiszpanii zajmuje Augusta Comte'a. Nie więcej — jakkolwiek może to się wydać dziwnem — Szyller, poeta swobody, twórca charakteru Rozy, był przyjaznym Francuzom jak i Goethe. Rzeczpospolita uczyła go była w sposób osobliwy: oto nadała mu ona dyplom na obywatelstwo, godność udzieloną współcześnie Waszyngtonowi, Franklinowi, Tomaszowi Penowi, Pestalozzi'emu, Campemu i Anacharsysowi Cloutz! Dyplom, podpisany przez Dantona i Rolanda, datowany 6 Września 1792 r., do dziś dnia przechowuje się w bibliotece wejmarskiej, gdzie zwiedzający mogą się ucieszyć osobliwym darem Francuzów w czytaniu imion obcych; dyplom Szyllera podpisany jest *à Mr. Gille, publiciste allemand*. Cześć tę dla Szyllera zjednały jego *Zbójcy* (Räuber), albo jak zarenscy wielbiciele jego czytali *Robert*, chef des brigands (Robert naczelnik zbójców). Od początku nie patrzył on przyjaznym okiem na rewolucję, a męka Ludwika XVI tak głębokie uczyniła była na nim wrażenie, że rozpoczął był adres do

konwencji narodowej, którego koniec uprzedziły były wypadki smutne we Francyi. Tak Wieland i Szyller widzieli tylko zbawienie w dyktaturze. Jeżeli takim było usposobienie umysłów przodkujących, dla czegoż się mamy dziwić, że dwaj poeci nasi zajmowali się spokojnie poezją, jak gdyby nic wcale nie zaszło było we Francyi, albo gdziekolwiek bądź. Wejmar nie mógł wcale odgrywać żadnej roli politycznej w Europie. Wejmarczycy więc nasi, musieli zajmować się literaturą, w której widzieli oni jedyny środek odrodzenia się Niemiec. Wierząc w moc potężną ukształcenia, z patryotyzmem oddali się jemu. Rzut oka na stan literatury niemieckiej dowiedzie, wiele na to potrzeba było patryotyzmu, aby się zajmować. Jarmark lipski wyglądał wtedy jak angielska prassa Minerwy: romanse rycerskie, historye ciekawe o rozbójnikach, powieści o duchach i upiorach, stare gusła niemieckie, powieści sentymentalne Augusta Lafontena i sztuki dramatyczne w stylu szkoły znaniej pod imieniem *Sturm und Drang*, zalegały półki księgarskie. Na scenie królem był Kotzebue. Klopszok stawał się w stylu coraz więcej podobny do wyroczeni, coraz mniej i mniej poetyczny. Jan Paweł objawiał tylko moc i samodzielność, ale oprócz Goethego i Szyllera, Voss, co napisał był swoją *Luizę* i przełożył Homera, sam jeden tylko zdawał się stanowić głowę szkoły, z której naród mógłby się być cieszyć.

W takim stanie rzeczy Szyller obmyślał plan pisma peryodycznego pod imieniem „*Hory*“ (Die Horen); pismo to stało się znakomitęm pod wielu względami w literaturze niemieckiej. Goethe, Herder, Kant, Fichte, bracia Humboldzi, Klopszok, Jakobi, Engel, Meyert, Garve, Matthiesson i t. d. utworzyli byli hufiec, którego moc nieprzełamana wkrótce podbiła im była kraj cały. „Im więcej znikome interessa współczesne — mówi Szyller w objawieniu na to dzieło — trzymają umysł w natężeniu i podbijają go przy swojej ciasnocie, tém konieczniejszą okazuje się potrzeba oswobodzenia go z pod tego wpływu przez interes wyższy, powszechniejszy, interes tego, co jest czysto ludz-

kiem i wyższem nad wszelkie wpływy czasowe, i w taki sposób połączyć jeszcze raz rozdrobiony świat polityczny pod sztandarem Piękna i Prawdy.“

Takim był cel, co związał był po raz pierwszy z sobą Szyllera z Goethym; w jakich stosunkach byli oni dotąd z sobą widzieliśmy to już wyżej.

Jednego dnia, w Maju 1794 r., obaj spotkali się z sobą, wracając z lekcyi Batscha, mianej w instytucie towarzystwa historyi naturalnej w Jena; rozmawiając o tym przedmiocie, Goethe z przyjemnością słuchał tego, jak Szyller krytykował metodę urywkową, przyjętą powszechnie od nauczycieli nauk. Tak zajęci przyszli razem do domu Szyllera; Goethe zaszedł do niego, wyłuszczając mu teorię swoją *przekształceń* z wielkim zapałem. Biorąc potem pióro, zrobił on szybki zarys typowej rośliny. Szyller przysłuchiwał się temu z wielką uwagą, schwytyjąc punkt każdy jasnie i prędko, ale potrząsając wreszcie głową, tak się odezwał: Nie jest to spostrzeżenie — jest to idea. „Zdziwienie moje było przykre, w tych bowiem kilku wyrazach widziałem jasno punkt rozdzielający nas. Zdanie, jakie wypowiedział był w rozprawie swojej *Ueber Anmuth und Würde* (O przyjemnym i godności) przysły mi od razu na myśl, i dawna niechęć moja nanowo prawie odżyła. Jednakże przewyciężyłem się i odpowiedziałem mu, że cieszyłem się z tego bardzo, że posiadam idee, niewiedząc o nich wcale i że mogłem patrzeć na nie mojami własnymi oczyma.“ Istotnie, przepaść rozdzielająca ich była ogromna; Goethe powiada: „W przeciwieństwie pomiędzy przedmiotem a podmiotem, przeciwieństwie największém ze wszystkich, rozpoczęła się była przyjaźń nasza z sobą, mająca trwać do ostatka.“ Początek został dokonany. Żona Szyllera, dla której Goethe wielki miał szacunek, starała się ich zbliżyć z sobą; uprojektowany dziennik „*Die Horen*“ zespolił był z sobą ich działalność i współczucie w jeden węzeł. Szybki był wzrost ich przyjaźni, błogi zarówno dla jednej jak i dla drugiej strony. Szyller bawił u Goethego dwa tygodnie w Wejmarze; Goethe bywał często

w Jena. Postrzegli że nie tylko zgadzają się z sobą co do przedmiotów, ale nawet co do sposobu zapatrywania się na nie. „Wiele będę musiał użyć na to czasu, aby rozwinąć w sobie te wszystkie idee, jakieś we mnie pan obudził, pisze Szyller do Goethego, ale spodziewam się, że żadna z nich darmo nie zginie.“

Żałując tego, że nie będzie mógł oddać powieści swojej „*Wilhelm Meister*“ do *Horów*, obiecawszy już pierwój odesłać ją wydawcy, Goethe przesyła jednakże od trzeciej książki rękopism dzieła Szyllerowi, korzystając chętnie ze zdania jego, jakie mu on objawia, czytając jego utwór. Dał mu jednakże dwa listy, Rozmowy wychodźców niemieckich, Elegije rzymskie i rozprawę o sankiulotyzmie literackim.

Wzmianka o Wilhelmie Meistrze zmusza nas cofnąć się wstecz o kilka miesięcy do okresu, w którym autor jego z takim zajęciem oddawał się dyrekcji teatru wejmarskiego; to ożywiło nanowo upodobanie jego do przerwanój powieści, spoczywającój nieruchomie w tece autor-skiej od wielu lat. Ukończył ją, ale ukończył ją w innym wcale duchu od tego, w jakim ją był rozpoczął, i nieznajdując wcale, aby krytyka i rady Szyllera rzetelnie były korzystnymi dla powieści. Ale o tém potem.

Ku końcowi Lipca Goethe wyjechał był do Dessau, a ztąd do Drezna, gdzie starał się, wraz z Meyer'em, odurzyć się, w pośród zaburzeń czasu tego, rozważaniem skarbów kunsztu. „Całe Niemcy — pisze do Fryca Sztejna — dzielą się dziś na niespokojnych, zapobiegliwych i obojętnych ludzi. Co do mnie nie znajduję nic lepszego do czynienia jak odgrywać rolę Dyogenesa i toczyć moją beczkę.“ Wrócił do siebie i z każdym dniem coraz stawał się zażyłszym z Szyllerem. Rozpoczęli byli z sobą korespondencyę przyjacielską, która stała się tak zasobną w pomysły, że ją wydano później w sześciu tomach, znanych każdemu, co się zajmuje literaturą niemiecką. W listach Goethego do innych przyjaciół swoich, w tym czasie pisanych, (1795 r.) wyraża się wszędzie radość wewnętrzna,

którą on otwarcie przypisuje nowemu wpływowi. „Była to jakby nowa wiosna dla mnie — powiada — w której wszystkie nasiona zeszyły, rozwinęły się i zakwitły we mnie.“ Zetknięcie się z Szyllere, duchem poważnym i niespokojnym w celach swoich, nadało pobudkę nową duchowi Goethego, której on tak dawno potrzebował. Zwyczajne bodźce czynności autorskiej, potrzeba pieniędzy, albo potrzeba sławy — niewystarczały dla Goethego; dość miał on obojga. Dla sławy brakło nawet narodu, któryby mu ją przyznał. Ale niespokojne zabiegi Szyllera i emulacya, jaką one w nim budziły, działały nań jakby w sposób czarodziejski; lata przyjaźni ich wzajemnej były dla obydwóch latami najobfitszej pracy.

Pierwszego Listopada drugi syn urodził się Goethemu. Pisz do Szyllera z tego powodu, aby on, ze swojej strony, złożył także kontrybucyę w postaci córki, aby rodzina poetycka mogła się połączyć z sobą i wzrastać przez małżeństwo. Dziecko to jednakże żyło tylko dni kilka. 20 Szyller pisze: „Głęboko uczuliśmy stratę twoją; możesz się w niej pocieszać myślą, że nastąpiła tak wcześnie i że więcej dotyka ona twoich nadziei niż miłości twojej.“ Goethe odpisuje tak: „niemożna wiedzieć tego, czy w podobnych razach lepiej jest dozwolnić smutkowi iść swoją przyrodzoną kłejbą, czyli też przytłumiać go rozmaitemi środkami, jakie cywilizacya nam do tego podaje. Jeżeli kto zgodzi się na ostatnie, jak ja *sam zawsze to czynię*, na moment tylko ten posilamy się, zawsze bowiem to spostrzegalem że przyrodzenie zawsze dopomina się o swoje własne prawo przez inny jakiś kryzys.“

Inny przecież kryzys nie nastąpił, zdaje się, w tym razie. Był on czynnym we wszystkich kierunkach. Götting, w Jena, właśnie odkrył był, że fosfor pali się w saletrorodzie (nitrogenie); to zwróciło myśli Goethego do chemii, która na pewien czas stała się jego rozrywką. Anatomija nigdy nie traciła dlań swego powabu, i w śnieg, raniutko, nieraz widziano go idącego na lekcyę Loder'a z pilnością, jakiej młodzi studenci mogliby mu pozazdro-

ścić. Bracia Humboldt'owie, osobliwie Aleksander, z którym Goethe zostawał w czynnej korespondencji, utrzymywali w ruchu ustawicznym jego naukową wenę; za ich to wpływem winniśmy mu jego rozprawy o anatomii porównawczej. Ustawicznie lubił mówić z nimi o tych pomysłach swoich, wykładając wymownie swoje idee, ale zapewne nie wyłożyłby był nigdy ich czarno na białym, gdyby oni nie zachęcali go byli do tego. Nie wykończył do ostatka swojej rozprawy; dopiero w 1820 roku wydrukował tyle ile napisał; ważnym to jest faktem; kiedy bowiem Goethe rozpoczął był swoją pracę, idee jego były nowością, kiedy zaś ją wydrukował, główne z nich znane już były światu. Te rozmowy z Humboldtami zajmowały obszerne pole. „Niebędzie może zarozumiałością przypuścić — powiada Goethe — że wiele idei stało się wówczas, przez ustne podanie, powszechną własnością nauki i rozkwitło potem na jej polu, chociaż ogrodnik, co przygotował był ziarna do wysiewu, nigdy nie został w niej wspomnianym.“

Plany poetyczne były bardzo liczne; wiele z nich zostało wykonanemi. Tragedyał „*Prometeusz uwolniony*“ została rozpoczętą, ale nigdy nie była ona dokończoną. Hymn do Apollina został przełożonym. *Alexy i Dora*, *Cztery pory roku* i niektóre inne drobne poezye zostały napisane i oddane Szyllerowi do *Horów*, albo do *Almanachu Muz*; nie wzmiankując tu przekładów z pani de Staël i Autobiografii Benvenuto Celliniego. Ale dziełem, które najwięcej wówczas miało rozgłosu, były *Xenije*.

Biblioteczka mała dałaby się ułożyć z książek napisanych, z powodu tych epigram; dla nas jednakże przedmioty w nich traktowane, nie wiele mają zajęcia. Celem ich jest oczyszczenie i poprawa literatury niemieckiej.

Myśl sama należy do Goethego; wpadł był na nią, czytając *Xenije* Martialis'a; złożywszy ze dwanaście epigram, przesłał je Szyllerowi do *Almanachu Muz*. Szyller został zachwycony niemi, ale powiedział, że potrzeba by było setkę, powiększłej części wymierzonych przeciw dzien-

nikom, co napadały na Hory; wkrótce jednakże spostrzegli, że i sto jest jeszcze za mało i postanowiono napisać tysiąc. Napisano je w sposobie składkowym, tak powiększej części, że myśl była jednego poety, a jój wykonanie drugiego; czasami jeden pisał wiersz pierwszy, zostawiając drugi koledze. Dotąd nie rozklasyfikowano dokładnie, którego epigramat należy do którego z dwojga pisarzy, chociaż niektórzy krytycy dali przybliżony podział epigramatów, podług autorów.

Wrażenie było nadzwyczajne. Wszyscy nie tędy autorowie w Niemczech, a było ich nie mało, uczyli się w tém urażonymi osobiscie. Wszyscy pietyści i sentymentalisci zostali tu ośmiani; wszyscy pedanci i pedagogzy zostali ochłostani. Tyle tu padło ofiarą ludzi i przekonañ, że nie dziw wcale, jeżeli ucho ogółu zostało nastawione pilnie na krzyki powszechne. Przeciw-epigramata ukazały się prędko i Xenije mogą być uważane jako ciekawy ustęp wojny „wielu głów pustych, przeciwko dwóm rozumnym.“ „Zabawną jest rzeczą, pisze Goethe do Szyllera, patrzeć na to, co rzetelnie rozgniewało tych ludzi i co w ich przekonaniu może nas rozgniewać, jak czczém i niském jest ich pojęcie o innych.“ Wrażenie, sprawione w Anglii przez *Duncyadę* (Oślijadę) i przez *Bardów angielskich i szkockich krytyków* (English Bards and Scotch Reviewers), było łagodném w porównaniu z wrażeniem wywołaném przez *Xenije*, chociaż dowcip i sarkazm w tych epigramatach wydaje się jak mleko z wodą w porównaniu z witryolem *Duncyady i Bardów angielskich*.

Uważając *Xenije* pod względem dowcipu, a nie pod względem gniewu i oburzenia osobistości urażonej, publikacya ta wyda się wcale słabą, i dziwném zapewne musi nam wydać się wrażenie owo, jakie ona w swoim czasie, była wywołała. Dziś rzetelnie nie można zrozumieć tego wpływu ogromnego, jaki *Xenije* miały były kiedyś; dowcip ich zwietrzył dla nas całkiem. Wiele jest tu epigramatów, w których są wyrażone wyborne zdania krytyczne i idee filozoficzne. W tym okresie przypada równie ogłoszenie *Wil-*

helma Mejsra i dla tego zastanowimy się z kolei nad tém dziełem, jako nad utworem sztuki.

Kazano raz Francuzowi, Anglikowi i Niemcowi napisać rozprawę o wielbłądzie; w skutek tego Francuz udał się do ogrodu botanicznego (Jardin des plantes) w Paryżu, zawierającego w sobie zwierzyńiec, zobaczył tam wielbłąda, wrócił do siebie i napisał artykuł, w którym nie masz ani jednego miejsca, coby mogła mu naganić akademija, ale też nie ma ani jednej myśli, coby cośkolwiek przydała do zasobu nauki. Jakkolwiek bądź, Francuz nadzwyczaj cieszy się ze swego feljetonu i z zadowoleniem woła: *le voilà, le chameau!* Anglik odebrawszy zlecenie upakował natychmiast swój przybór herbaciany i szkatułkę, z całym *comfortem*, udał się na wschód i rozbił tu swój namiot podróżny; bawił dwa lata w Indyi, przypatrując się życiu i przyrodzeniu wielbłąda, a powróciwszy do domu podał gruby tom faktów, zebranych nieporządnie, wyłożonych bez wszelkiego filozoficznego poglądu, ale pożytecznych wielce dla każdego, ktokolwiek zechce po nim pracować nad tém samém zwierzęciem. Niemiec, gardząc lekkością Francuza, i nie filozoficznym materjalizmem Anglika, zamknął się w swoim gabinecie, aby w nim *utworzyć ideę wielbłąda, czerpiąc ją z samej głębi swojej moralnej samowiedzy.*

Z pomocą tego mythu, czytelnik został wprowadzonym w same tętno tego rodzaju krytyki, co kwitnąć w Niemczech, bywa takż czasami podziwianą w niektórych kółkach towarzyskich w Anglii, pod hasłem krytycyzmu filozoficznego, albo filozofii heglowskiej. Ten rodzaj krytyki namozolił się był nie mało nad Wilhelmem Mejsrem, tyle prawie co nad Faustem; ale kiedy dotyka on Szekspira, wówczas dopiero dochodzi do zenithu nedorzeczności. Wielu jest wybornych krytyków w Niemczech i byłbym niekontent weale z tego, gdyby to, cośmy tu powiedzieli o śmiesznych, o czczych pedantach, zechciano u nas stosować do tych ludzi z rzetelnie głębokim filozoficznym poglądem; ale w imieniu kunsztu i zdrowego rozsądku,

muszę zaprotestować przeciw zasadniczemu błędowi i tym wszelkim nedorzecznym mrzonkom szkoły, co chcąc być głęboką, jest tylko wielce nedorzeczną. Jój błędem zasadniczym jest to, że sztukę przesadza w dziedzinę filozofii, zwąc to filozofiją sztuki; krytyka ma przed sobą dzieło; zamiast coby miała ona wydać o niém sąd swój, usiłuje ona zająć *po za ten* utwór, wejść w *niego*, a nareszcie spuścić się w głąb' samą ducha, co porodził go, jakby duch pisarza był studnią, albo kopalnią. Krytyk taki niezadowolnia się tém, co *podał* nam autor, chce on wiedzieć jeszcze, co on rozumiał pod tém wszystkiém. Czatuje więc na tę myśl ukrytą autora; ¹⁹⁾ im więcéj myśl ta jest odległą, tém lepiéj, tém więcéj cieszy się krytyk z tego odkrycia swego, odrzucając z oburzeniem wszelkie proste tłómaczenie dzieła, dla téj oto idei *exegetycznej!* Tak widmo filozofii unosi się mglisto po nad sztuką, nieraz zasłaniając ją przed wzrokiem naszym. Że idea spoczywa w dziele, nikt tego dotąd nie podejrzewał, a najmniej zapewne artyści; sława tego wynalazku należy się krytyce; pyszną jest z tego ona, że pierwsza znurtowała utwór i dobyła z niego *psyche*. Ze wszystkich okropności, w oczach téj szkoły krytycznej, największą jest zapewne okropnością powierzchnia dzieła; boją się jój oni więcéj niż wody zimnej.

Wilhelm Meister był powodem potworzenia muóstwa idei, które miały niby być wydobyte z głębin dzieła tego; pomysłano tyle osobliwych (i sprzecznych z sobą) rzeczy, że niechybnie autor jego musiał być się najwięcéj dziwić temu, że głąb' jego ducha posiadała tyle w sobie bogactw, o których się mu samemu ani śniło. Istotnie, w części ostatniej *Wilhelma Mejstra* jest wiele symboliki, i myślę, że ona musiała się była pojawić w niej owym filozoficznym krytykom gwoli, jak równie tego jestem zdania, że wstęp do *Mejstra*, zepsuł to wysokiéj wartości dzieło Goethego.

¹⁹⁾ Literatura w wieku XIX., stała się *symboliczną*; nie dziw więc, że i krytyka musi w symbolach tych dopatrywać się idei, jakie autor w nich utaił; Lewes zdaje się niezrozumieć tego.

(Przyp. tłómacza).

Brak jedności w dziele otworzył wolne pole dla objaśniającej go wyobraźni. Hillebrand mówi śmieje, że „idea Wilhelma Mejstra jest to właśnie, że nie ma w nim wcale żadnej idei“ — co zapewne nie wiele pomaga nam do zbadania tego utworu.

Zamiast byśmy mieli próbować odkryć myśl ukrytą autora, trzymajmy się raczej metody historycznej w krytyce naszej i zobaczymy jakiego światła udzieli nam pogład na początek i postęp dzieła samego. Fakta historyczne przekonują nas, że pierwszych sześć ksiąg — najlepszych, bez wszelkiego porównania i najważniejszych w powieści — zostały napisane przed podróżą włoską; układał je autor w okresie czynnego życia teatralnego, kiedy był razem entrepreneurem, poetą i aktorem. Treść tych sześciu ksiąg wskazuje jasnie na zamiar autora wystawienia w nich całego przyrodzenia, dążności i kunsztu aktora; w liście do Merck'a Goethe pisze o tém wyraźnie, że celem jego jest odbicie rzetelne zawodu aktorskiego. Czy chciał jeszcze mieć on żywot aktora symbolicznym, nie można tego określić z pewnością. Mogło to być lub też nie być intencją *drugorzędną*. Pierwszy zamiar jest wyraźny. Jeszcze wcale nie wszedł był Goethe wówczas na drogę symbolizmu w sztuce. Śpiewał on jeszcze jak ptaszek na gałęzi; cała rozkosz jego była w zdrowém, przedmiotowém wcieleniu; nie przywdział był jeszcze szat kapłana egipskiego, nie wyuczył się był jeszcze mówić hieroglifami. Zajmował się podówczas serio oddaniem sceniczném i sztuką aktora. Uważał on zawód aktorski za dobrą ramę dla pewnych obrazów, i dla tego obrał go sobie. Potém zapewne przyszła mu myśl uczynienia tych obrazów symbolicznemi i w tém usposobieniu ducha ukończył on swój romans.

Gerwinus wspomina emfaticznie niewiarę swoją w to przekonanie, że Goethe od początku chciał być uczynić Wilhelma niezdolnym do powodzenia aktorskiego; sędzę, że pilne odczytanie powieści, nawet w obecnym jéj stanie, mogłoby przekonać każdego, że Gerwinus ma za sobą

słuszność. Zamiast tego, aby zawód Wilhelma miał być obrazem źle obranej kariery — upornym uprawianiem słabej zdolności, jak to miało miejsce w samym Goethym, w jego zajmowaniu się sztuką plastyczną, kaźden widzi, (pomimo dodatków, rzuconych potem dla usprawiedliwienia późniejszėj już idei), że Wilhelm ma rzetelną, pierwotną dążność wystawienia talentu dojrzewającego w praktyce. W roli *Hamleta* punkt jego najwyższy został doścignionym i tu się też kończy pierwszy plan dzieła. Napisawszy tyle tylko, Goethe wyjechał był do Włoch. Wdzieliśmy już zmianę tę, jaka była zaszła w jego sposobie widzenia. Po upływie dziesięciu lat zaczął pisać dalej powieść swoją; w tym czasie doświadczywszy na sobie dążności fałszywėj — przekonawszy się jak jest bezowocnym zajmowanie się rzeczą, do którėj Bóg nie dał przyrodzonego daru — zmienił plan powieści swojej, uczynił ją symboliczną, wystawiając w niej błędne dążenie młodzieńca ku ukształceni. G'woli temu wynalazł machinerję nową, wprowadzając rodzinę tajemniczą, którėj miłość czujna kierowała wszystkimi krokami młodziana, zachęcała go nawet do tėj dążności fałszywėj, aby przez błąd mogła doprowadzić w końcu do prawdy. Taki był plan, wedle którój napisał romans swój Goethe, jak to wyznawał w starości swojej (w *Tag und Jahres Heften*) i w Listach do Szyllera). „Wywinął się on — powiada, ze słabego poczucia tėj wielkiej prawdy, że człowiek często szuka tego właśnie, czego mu odmówiło przyrodzenie. Wszelki dylle-tantyzm i błędny kierunek, należą tu same przez się. Możliwą jest przecież rzeczą, że wszelki krok błędny jest w stanie doprowadzić (?) do nieocenionego dobra, i pewna wskazówka tego daną jest w Wilhelmie Mejrstrze.“ Mówił raz Eckermannowi: „Dzieło to zostało napisaném bez świadomości; ja sam nie mam prawie klucza do wnętrza jego. Ludzie szukają punktu środkowego; zaiste trudno go wynaleść, nie wiem nawet czy to jest słuszna. Myślę sobie, że wielostronne życie, jakie się rozwija przed nami, i bez tego jest bardzo zasobnym, nauczającym, choćbyśmy nie schwycili jego

dążności wyraźnej, która wreszcie ma być swój jedynie dla umysłu naszego.“ To odsłania nam do samej rdzeni przekonanie autora Wilhelma Mejstra. Początek metody symbolicznej, powstał wreszcie z łaknienia podobnego pokarmu umysłowości niemieckiej. „Ale — mówi dalej Goethe, jeżeli będziemy koniecznie szukać czegoś podobnego w dziele mojem, to możemy ideę tę znaleźć może w słowach, które na końcu Fryderyk powiedział do bohatera, amianowicie: „Wydajesz się mi jak Saul, syn Kish'a, co wyszedł był szukać osłów ojcowskich, a znalazł na drodze królestwo.“ Weźmy to jedno tylko, bo w istocie, całe dzieło nic, zdaje się, więcej nam nie mówi; nadto, że człowiek pomimo wszelkich swoich szaleństw i błędów, będąc powodowanym w życiu ręką wyższą, osiąga nareszcie do pewnej spokojnej przystani.“

Szyller, co znał dobrze tylko ów drugi plan dzieła, zarzucał słusznie nieproporcjonalność ustępu, który wystawia aktorów. „Wydaje się to tak zupełnie, pisze do Goethego, jakbyś pisał romans swój dla aktorów, kiedy masz zamiar pisać tylko o nich. Staranność z jaką oddajesz niektóre drobniejsze szczegóły w ich życiu i niektóre doskonałości osobowe sztuki, jakkolwiek te są potrzebne dla aktora i reżyssera, nie są równie interesującymi dla ogółu czytelników; daje to twojemu sposobowi wystawienia rzeczy pewien fałszywy pozór, jakiegoś szczególnego celu; ale nawet ten, coby cię nie posądzał o cel podobny, mógłby cię słusznie obwinić o osobliwsze jakieś przywiązanie się prywatne do tych rzeczy, a występujące nie w miejscu i nie stosownej mierze, w rzeczy sztuki.“ Jeżeli przyjmujemy plan ostatni, wtedy koniecznie będziemy musieli wykazać brak artyzmu w układzie, co podaje pięć ksiąg wstępu, jedna służy za ustęp, a na rozwinięcie rzeczy samej przeznaczają dwie tylko. Jest to przeciw wszelkiej szykowności. Przecież Fryderyk Szlegel mówi wyraźnie, że dwie ostatnie księgi są, mówiąc rzetelnie, całym dziełem, inne zaś są tylko przygotowaniem do niego.

Zadaniem, albo raczej zadaniami Wilhelma Mejstra,

było najprzód podniesienie sztuki dramatycznej; powtóre teoria wychowania; dwie ostatnie księgi pełne są myśli o wychowaniu. Bardzo mądre i głębokie pomysły są tam wyrażone; myśli te okupują dostatecznie popolitość układu. Ale z drugiej strony księgi te okropnie wydają się niższymi od sześciu pierwszych ksiąg, pod względem stylu, charakterów i zajęcia. W ogóle Wilhelm Meijster rzetelnie jest „nieocenioném dziełem.“ Niejednokrotne odczytywanie zwiększyło dla niego mój podziw (który dość był mierny przy pierwszym czytaniu dzieła), ale też razem zwiększyło uczucie jego niedostatków. Piękności zawsze są w niém nowe, zawsze przedziwne; błędy cisną się równie jasno pod uwagę jak i pierwszą razą. Są czytelnicy, co nie spostrzegają tych wad, albo spostrzegając je, patrzą na nie z mniejszą niecierpliwością; ale ponieważ wyrażam tu własne moje zdanie, a nie ich, więc muszą mi oni wybaczyć otwartość moją.

Historja rozpoczyna się z wielką żywością dramatyczną. Maryanna i stara Barbara stoją przed nami, odrysowane z Szekspirowską mocą, co do konturów i rzetelności szczegółów. Cały ustęp jest wyborny, wyjąwszy przydługie, za nudne może opowiadanie Wilhelma o guście jego w dzieciństwie do bawienia się lalkami w wer-tepie; powieść o tém musiała usnąć, myślę, nie jednego czytelnika, jak to dokonała była na Maryannie. Sprzeczność pomiędzy Wilhelmem, a prozaicznym Wernerem także oddana jest szczęśliwie. Najlepszym jednakże rysem jest wykazanie w Wilhelmie owego braku postanowienia i wy-trwałości w wykończeniu dzieła, które rozpoczął; rys ten zdradza jego osobliwsze usposobienie. Istotnie, przez całą powieść Wilhelm nie jest wcale bohaterem, ale istotą uległą ustawicznym wypadkom; jest to chorągiewka na da-chu, którą wiatr obraca w tę, lub w inną stronę. Wy-stawił to takóŜ autor zrzęcznie. Egmont i Götz, są boha-terami; żyjąc w czasach burzliwych, potrafilo się oni po-stawić po nad ich wpływem. Zamiarem poety było wy-stawić charaktery szlachetne i wystawia je w ich mocy,

czystej osobowości, wyższej nad okoliczności. Co do Wilhelma, poeta ma inne cele; cel mianowicie ten, aby pokazać, jak to pewne charaktery zmieniają się, uległe będąc wszelkim podmuchom zewnętrznym. Przeobrażenia Wilhelma byłyby niemożliwe wcale przy duchu Egmonta. Jest to tak widocznym, że dziwić się przychodzi temu, jak mogli znaleźć się niektórzy krytycy, co zarzucali tę powinność charakteru Wilhelma, jakby ta była błędem sztuki. Równie byłoby rozsądnym zarzucić nieśmiałość podobną w charakterze Hamleta. Wilhelm nie tylko łatwo przechodzi od jednej rzeczy do drugiej, ale nadto chwieje się ustawicznie w swoich przekonaniach o sobie. Nawet wrażenia jego nie są trwałe; przechodzi on od miłości namiętnej Maryanny do przywiązania dla zalotnej Filiny; od Filiny do hrabiny, o której natychmiast zapomina dla Amazonki, blizkim jest poślubienia Teresy, ale prędko opuszcza ją po przyjęciu swoim przez nią, aby oświadczyć się Natalii. (Rzekłbyś, że widzisz tu żywot samego Goethego).

Jest tu w tej powieści dość na to humoru, coby z autora jej mógł uczynić pisarza humorystycznego, gdyby dar ten nie zależał u niego od drugich władz jego ducha. Pedanterya Wilhelma, do której się nie poczuwa, i jego główna żądza, widzieć w życiu przewagę pierwiastku dramatycznego, zmienić żywot społeczny w scenę; hrabia i jego dziwactwa; przygody aktorów w zamku, do którego przybywają i nic nie zastają w nim z najpotrzebniejszych rzeczy; kostium, w który odziewa się Wilhelm; cały charakter Filiny i postać Fryderyka — są właśnie dowodami tego daru humorystycznego.

Opowiadać treść tej powieści, byłoby to wyrządzić jej wielką niesprawiedliwość; musimy przytém przypuszczać, że czytelnik nasz ma już pewną znajomość jej. Poznajemy się więc z dziwną sztuką autora, z jaką oni rozwijają przed nami charaktery same przez się. Widzimy je i widzimy przez nie. Nigdy ich autor nie opisuje, wszędzie się same określają. Filina np. jedna z najwięcej czarujących postaci w świecie twórczości poetyckiej, Filina, którą znamy tak

jakby się ona do nas zalecała, nigdy się nie opisuje. Nawet postać jej daje się nam poznać przez wrażenie, jakie sprawia ona na innych, a nie przez słowa autora. Nie mówi on nam tego, że była ona osobliwszą mieszanką niedbałości, wspaniałości, kaprysu, uporu, przywiązania i pustoty; dziwne wesołe usposobienie Francuzki, z najmniejszym, jak może być, względem na przyzwoitość, ale z rzetelną przyzwoitością we właściwym jej rodzaju; nie dba ona o świat, nie cierpi konwencyonalizmu i pedanteryi; nie masz w niej wcale dążeń i tęsknicy do ideału, ale też nie masz w niej także żadnej affektacyi; zalotna z każdym mężczyzną, niecierpiana od wszystkich kobiet, powodująca każdym końcem swego paluszka, gotowa jednakże dopomódz temu nawet, co ją ukrzywdził, lub obraził. Nikt nam tego nie mówi, ale taka ona staje żywa przed oczami naszymi. Jest ona tak naturalną, tak uroczą grzesznicą, że przebaczymy jej chętnie wszystkie jej błędy. W ogóle jest ona najoryginalniejszą i najtrudniejszą do oddania postacią w dziele. *Miniona*, wielki utwór poetycki, była mniej trudna do oddania, będąc raz pomyslaną. Wszelkie inne postacie służą nam tylko za kontrasty dla Filiny. Rusza się ona w pośród nich i wybija je mocniej na tle malowidła, jak one odbijają wzajemnie jej figurę. Chorobliwie-sentymentalna Aurelia i sentymentalna pani Melina mają powagę, której nie rozumie Filina; ale mają one wady, należące do ich przymiotów, a ona nie ma żadnych (??). Nie ma ona więcej wyobrażenia o powadze jak ptaszek. Z weselem ptaszka i ciesząc się życiem jak ptaszyna (!), skacze ona w dół i pogodę. Nikt nie myśli wcale (dla czego?) pytać ją o moralność. Moralność? Ona jej nie zna; dalekiej nawet nie ma z nią znajomości! Nie może też uchodzić za niemoralną (!!). Porównując ją z *Minioną*, znajdujemy ją w sprzeczności z niewinnością, powagą, pobożnością i tęsknotą rzewną za krajem dalekim; ale Filina nie była nigdy niewinną. Zwinna ona i roztropna jak kotka; nie może być w żaden sposób poważną; jeżeli się nie śmieje, to ziewa, lub szlocha; nie

może być oddaną dla kogoś, chociaż może kochająca (?), co zaś do dalekiej strony rodzinnej, jak ona może kogoś obchodzić, co umie wszędzie znaleźć sobie kątek wesoły? Można połajac Filinę, ale jak nie jedno „zepsute dziecię“ rozbija ona surowość spojrzeniem wesołym i swoją pełną powabną miną.

O Minionie i jej piosnkach nie mam wcale potrzeby mówić. Malarze próbowali oddać obraz tej osobliwszej postaci, czarującej wyobraźnię i serce każdego czytelnika; ale ona przechodzi moc najbiegłego penzla. Arfiarz stary jest dziką figurą, otoczony niedocieczoną tajemnicą, zaledwo koniec powieści rozprasza jej pomrok. Nietylko dodaje on sobą różności osobom powieści, ale nadto pieśniami swemi nadaje on barwy uczucia i cierpienia dziełu samemu, które bez niego rozwijałoby się całkiem w sferze powszedniego żywota ludzkiego. Te dwie postaci, otoczone urokiem poetycznym, występując ze tła prozy codzienniej, przemawiają niejako za światem piękności idealnej, leżącym po za obrębem powszedniości. Sprawia to taki efekt, jaki np. sprawia widok tęczy siedmiobarwnej, rozścielającej się na niebie, po nad okurzonemi ulicami Londynu. Serlo, Laertes, samolubna Melina, mniej są rozwiniętymi charakterami, ale jednakże odrysowane są po mistrzowsku. Ale kiedy porzucimy ich towarzystwo, to jest jeżeli porzucimy część powieści, napisaną przed podróżą włoską, przed zmianą planu pierwotnego utworu — przychodzimy do charakterów takich, jakimi są Lothario, Abbé, Doktor, Teressa i Natalia, i czujemy razem, że otacza nas tu wcale już inny styl. Porzuciliśmy świeże powietrze przyrodzenia, a weszliśmy do gabinetu uczonego; życie zastępują tu myśli oderwane. Nietylko upada zajęcie, żywe dotąd, powieści, ale nawet czynność charakterów całkiem się zmienia. Charaktery opisuje już sam autor; same nie żyją już przed nami, jak żyły dotąd. Wypadki tłoczą się, mało mają w sobie prawdopodobieństwa, a mniej jeszcze uroku i zajęcia. Dykcya osłabła wielce, a czasami nawet zupełnie wydaje się lichą. Tak jak mężczyźni i ko-

bieta występują bez namiętności wszelkiej, tak i styl stracił barwę swoją. Szyller, pisząc o księdze pierwszej, powiada: „śmiałe ustępy poetyckie, wytryskujące ogniem ze spokojnego biegu całości, mają wyborny effect; podnoszą one i napełniają duszę.“ Ale styl ostatnich dwóch ksiąg, za wyłączeniem doskonałej historyi Arfiarza, jest taki, że dla tego w Anglii nazwano powieść Goethego nudną, pomimo osobliwszej rzetelności i różnorodności jej charakterów, i wdzięku, rozsianego w wielu miejscach. W tej części ostatniej opowiadanie ciągnie się, a wypadki są zwyczajnie bardzo, a razem nieprawdopodobne, nie w miejscu. Rodzina tajemnicza w wieży jest tylko mistyfikacją niedorzeczną; brak tu nawet zajęcia takiego, jakie potrafiłaby była rzucić na ten ustęp pani Redkliff. Co do stylu dość jest rozrzucić tylko książkę, aby natrafić przypadkowo na taki okres, że trudno jest uwierzyć, że go napisał Goethe (w istocie bowiem Goethe nie pisał tej części, ale ją dyktował tylko). Powtarzanie ustawiczne pewnych wyrażeń i sposobów mówienia, przytém dykcya oderwana nużą czytelnika. Oto jest frazes: „Sie können aber hieraus die ungläubliche Toleranz jener Männer sehen, dass sie eben auch mich auf meinem Wege gerade *deswegen*, weil es mein Weg ist, *keineswegs* stören.“ Tak pisał Goethe!

Jedną z osobliwości dzieła tego jest to, co zapewne spowodowało Novalisa do nazwania go „ateizmem artystycznym“ (Künstlerischer Atheismus ist der Geist des Buch's), że autor nie daje własnego zdania o wątku i osobach utworu — nie daje nam sensu moralnego, jak to było zawsze i dotąd jest jeszcze we zwyczaju (potrzebaż wiedzieć co myślał autor, zwłaszcza kiedy moralnej myśli swojej nie wcielił w dzieło). Charaktery występują na scenę, wypadki stają się przed nami, myśli się wyrażają, ale słówka jednego nie masz od autora samego, dotyczącego moralnej strony tych wypadków i czynów. Życie takżę zapomina w działaniu o sądzie moralnym; dobro przynosi korzyść, ale nikt tu go nie chwali; zło szkodzi, nikt go przecież nie myśli ganić, albo przeklinać! Jest to świat, w którym nie znajdujemy

kaznodziejów, ani śladu nawet ich komeżki. Dla wielu czytelników brak ten jest jakby brakiem soli przy obiedzie.¹⁸⁾ Czują coś oni przeciw podobnemu wystawieniu przedmiotowemu rzeczy; jak w kółkach ewangelickich w Anglii czują wstręt przeciw powieściom panny Edżewort. Robert Hall wyznał, że po przeczytaniu dzieła téj autorki nie mógł przez kilka tygodni odprawować swoich obowiązków duchownych; był on ustawicznie rozrywanym obrazem ludu szczęśliwego bez żadnego czynnego wpływu wiary, ludu czułego, zdrowego moralnie, bez przestroóg, bez nauki wiary, bez pogroźek, dotyczących przyszłego stanu duszy.

Wiele mówiono o niemoralności Wilhelma Mejstra, czego nie widzimy tu wcale potrzeby powtarzać. Szyller odpowiedział na przymówki Jakobiego: „Krytyka Jakobiego, mówi on, nie zdziwiła mię wcale, konieczną bowiem jest rzeczą, że człowiek taki jak on musiał być koniecznie zostać urażonym czystą prawdą obrazów twoich, jak równie naturalnym jest, aby dusza podobna twojej, była powodem oburzenia jego. Jakobi należy do tych, co szukają wszędzie idei własnych, własnych przekonań w utworach nawet swobodnej fantazyi poetyckiej i chwałą więcej to *co być powinno*, niż to *co jest rzetelnie*; różność jest w samej zasadzie ducha, w poglądzie samym. Skoro tylko ktoś pokaże mi, że jest coś dla niego w utworze poetyckim, co go więcej zajmuje od prawdy i konieczności wewnętrznej, natychmiast daję mu za wygranę. Jeżeli może ci dowieść, że niemoralność obrazów twoich, nie wychodzi z przyrodzenia rzeczy, ale ze sposobu w jaki ją traktujesz, wówczas zapewne jesteś odpowiedzialnym za to, nie dla tego byś zgrzeszył przeciw prawom moralności, ale dla tego, żeś przekroczył prawo krytyki.“ (Widzieliśmy,

¹⁸⁾ Zapewne, tak się dzieje w świecie; ale w świecie wypadki się dzieją, grupują, układają w sens za pomocą myśli bożej; kto umie czytać, ten czyta w księdze wielkiej świata. Ale nikt tu nie fałszuje jej tekstu, nikt nie ubarwia jakiegś Florentyny, tak że z nierządnic staje się niewinną ptaszyną, od której nikt nie ma prawa pytać o moralność jak się wyraził Lewes. (Przyp. tłóm.)

że utwór Floryny, powabny w wystawieniu kobiety ze-psutój, odpowiedział właśnie na to, co tu wyrzekł Szyl-ler; Goethe był ojcem szkoły nowożytniej powieści francuz-kich, jak już o tém mówiliśmy wyżej).

Wilhelm Meister nie jest powieścią moralną, t. j. nie jest powieścią napisaną w wyraźnym zamiarze wystawie-nia w zastosowaniu jednej z tysiąca maksym, któremi wy-raża się system nasz etyczny. Dla tego (?) nazywają ją czę-sto powieścią niemoralną; uważam to za sąd niedorzeczny, bo chociaż niema ona celu moralnego na względzie, któ-ryby powodował i ożywiał wszystkie sceny, przecież nie ma takż z drugiej strony dążności niemoralnej. Zapewne powieść ta nie była napisana w zamiarze zbudowania cnoty, ale takż nie pisał ją autor dla tego, aby przez nią roz-szerzał występki. Jeżeli autor Wilhelma nie występuje ni-gdzie jako nauczyciel, to też nie jest nigdzie gorszycie-lem. To tylko można powiedzieć, że poeta poprzestał na malowaniu scen życia, bez wszelkich komentarzy; że nie-które z tych scen należą do znacznej części przedmiotów, znanych doświadczonym ludziom, a ukrytych dzieciom tylko, chociaż w ogóle zgodzono się nie mówić o nich „w towarzystwie.“ Jeżeli czytelnik jaki zgorszy się z tego, dla tego że przeczytał o tém w powieści, a nie dowiedział się z gazet, to wyznać należy, że stan jego moralny do tego stopnia jest słabym, że należy się nad nim bardzo litować. Myślimy, że świat zaludnionym jest przez ludzi mo-cniejszej konstytucyi, a charakter męzki nie ma wcale po-trzeby obawiać się zgorszenia przez powieści. Ale mówiąc, że Wilhelm Meister nie jest w żadnym względzie powie-ścią niemoralną, muszę wyznać razem, że przeciwnie leży w niej myśl moralna zdrowa, tętni w niej, przemawiając rozmaitemi głosami do tych wszystkich, co mają uszy ku słyszeniu. Ale myśl tę każden musi sam schwycić, wycią-gnąć z rzeczy. To co czytelnik znajdzie w powieści będzie zależyć od jego światła i doświadczenia moralnego. Taką myślą zbawienną jest *np.* ten sens ogólny dzieła, mówiący nam, że Wilhelm wyrobił się i wykształcił życiem, zmie-

nił charakter w skutek doświadczenia własnego, podniósł się od prostych pobudek do podczynienia się władzy rozumu, od nawpół sennéj poblężliwości dla siebie samego, do poczucia praktycznego obowiązku, od kształcenia samego siebie do współczucia; ale sposób, w który artysta udziela téj nauki, nie jest zwykłym kazaniem autorskiém, a ztąd może być zapoznanym od tych, co chcieliby aby im morał kładziono łopatą do głowy, a nie samym docho-dzić jego znaczenia ukrytego.

„*Spowiedź pięknej duszy*“ obejmująca księgę VI-tą, w niektórych kółkach naprawiła była to, co nazwano zgorse-niem w innych księgach dzieła. Sztolberg spalił był wszy-stko, zachowując tylko tych kilka rozdziałów. Ciekawą jest rzeczą istotnie ów obraz spokojny mistycznej kobiety, która razem jest oryginalnym i silnie odrysowanym cha-rakterem; efekt przekonań religijnych w życiu delikatnie został nakreślonym, w stopniowém rozkrzewieniu się i osta-teczném wywinięciu się mistycyzmu z duszy takiej, która zdawała się była być w początkach najwięcej uzdolnioną dla świata. Przecież, ceniąc ten ustęp, żałuję razem, że on nie został był ogłoszonym osobno, przerywa bowiem bieg opowieści w sposób najbardziej nie artystyczny i weale nic niema wspólnego z resztą dzieła.

Krytyka Hamleta, którą robi Wilhelm, dotąd jest je-szcze najlepszą krytyką, jaką mamy na te dzieło cudo-wne. Rozdział ten dobrze się udał autorowi; wydaje się on tak, jak gdyby był rzetelnie częścią powieści; Rozen-kranz chwali wstęp do niego, nie tylko dla tego że obja-śnia on powinowactwo, zachodzące pomiędzy Hamletem, a Wilhelmem, ale (obaj oni są refleksyjnymi, powiewnymi charakterami) dla tego, że Hamlet następnie zbliża się do Wilhelma w tém, że ten uczynił sztukę kamieniem pro-bierczym, przez którą chciał poznać prawdę i zgodnie z nią zespolic swoje postępowanie.

Gdybyśmy mieli miejsce potemu, wypisalibyśmy tu całą krytykę tego dzieła, wyrażoną w entuzjastycznych listach Szyllera; ale muszę tu poprzestać tylko na jednym

wyjątku, który w czytaniu sprawia przedziwną przyjemność: „Uważam to za bardzo szczęśliwe zdarzenie w życiu mojem, że dożyłem ukończenia tego dzieła i że to stało się wtedy, kiedy władze ducha mojego były jeszcze w stanie pojąć je; święty związek przyjaźni, łączący nas z sobą, czyni prawie uczuciem religijném czuć to, co jest twojém, tak, jak gdyby ono mojém własném było, a przez to podnieść i oczyścić przyrodzenie moje tak, aby dusza moja mogła się stać zwierciadłem czystém do tyła, abym mógł zasłużyć w wyższém znaczeniu na imie przyjaciela twego. Jak silnie poczułem ja z tego powodu, że doskonale jest potęgą, że od dusz samolubnych może ono tylko być uczutem jako potęga, ale tam tylko, gdzie jest miłość bezinteresowna, tam tylko ono może być uczute jako rozkosz. Nie mogę ci nawet opisać tego, jak głęboko prawda, żywość uroczą, prosta pełń dzieła twego dotknęły mię. Wzruszenie, w jakie mię ono wprowadziło, dopiero się wyjaśni, kiedy przemogę je nareszcie, a czas ten stanie się ważnym *kryzys* w istocie mojej. Wzruszenie to jest następstwem piękna i tylko samego piękna, a wypływa ztąd, że umysł mój nie jest jeszcze zupełnie w zgodzie z uczuciem mojém. Rozumiem teraz doskonale, co rozumiałeś, kiedyś mówił, że ściśle piękno i prawda tylko mogą cię do łez poruszyć. Spokojném a głębokiém, czystém, a przecież niepojętém, jak przyrodzenie samo -- jest twoje dzieło; wszystko, najzwyczajniejsze nawet wypadki uboczne, okazują jasność, równość ducha, z którego one wypłynęły.“¹⁹⁾

„Po szalonych wybrykach „*Xenij*,” pisze Goethe do Szyllera, musimy zająć się jedynie wielkiemi i zacnemi dziełami sztuki, powinniśmy zawstydić przeciwników naszych objawem poetycznej przyrody naszej w postaci dobra i piękna.“ Pobudka ta znalazła Szyllera w gotowości. Dwaj ci poważni mężowie wzięli się do rzeczy poważnie i wydali swoje nieporównane ballady i poemata: *Herman*

¹⁹⁾ Ustęp ten przepełniony emfazą, wcale nie sprawia rozkoszy w czytaniu, czuć tu zanadto wyraźnie, że pisał go biedny profesor do swego protektora, kuratora i ministra.

i *Dorota* i *Walensztejn*. Wzajemny wpływ na siebie dwojga przyjaciół był osobliwszy. Uczynił on Goethego spekulacyjnym i teoretycznym, wbrew wrodzonej mu dążności; na Szyllera zaś wywarł skutek realizmu, wbrew jego dążności pierwotnej. Gdyby wpływ ten nie pobudził Goethego do większej działalności nazwalibyśmy go szkodliwym; widząc jednakże czego on dokonał, musimy zamilknąć. „Stworzyłeś we mnie młodość, pisze Goethe; jeszcze raz pobudziłeś mię do poezyi, o której już oddawna przestałem być myśleć.“ Obaj wiele zajmowali się w tym okresie filozofią. Kant i Spinoza zajmowali Szyllera; Kant i teorie uczone pociągały ku sobie umysł Goethego. Obaj, oprócz tego, przejmowali się duchem poezyi starożytnej i skłaniali się do odnowienia jej zasad. Byli obaj ludźmi geniuszu i dla tego dwie owe dążności — dążność do rozmysłu (refleksyi) i dążność do naśladowania, mniej były rażąciami w ich dziełach, niż szkodliwemi ukształceniem narodowemu. Geniusz ich wybawił, pomimo ich błędów; ich jednakże błędy zwichnęły ogół. Gerwinus to spostrzegł trafnie, że „filozofia odnowiona została 1781 r. i ciężko dotknęła całe Niemcy. Niech tylko ktokolwiek zechce ułożyć tablicę statystyczną naszych dzieł literackich, a zdziwi się zapewne nad upadkiem poezyi podczas tych pięciu lat, w których filozofia była panującą.“ Filozofia zgubiła poezyę, i stała się powodem upadku krytyki. Skoszławiła ona sztukę świadomością i żądzą teoryzowania, które zwykle mistrze wielcy zostawiają krytykom.²⁰⁾ To zepsuło literaturę niemiecką; porodziło, wraz z chętką do naśladownictwa, błąd, znany pod imieniem *szkoły romantycznej*.

Kilka słów o tej głośniejszej *ongi* szkole nie będą może nie w miejscu. Jak odrostek jej *l'école romantique*, we Francyi, miała ona cel krytyczny, cel zapewne dobry, i cel wsteczny, który musiał być złym. Oba powstawały przeciw ciasnym kanonom krytycznym, oba głosiły wyższość sztuki

²⁰⁾ Mozart mawiał: „jeżeli tylko będziesz myślał o tém jak masz czegoś dokonać, nie najpewniej nie stworzysz; ja piszę, bo nie mogę nie komponować.“

średniowiecznej; oba szukały w katolicyzmie i legendach średniowiecznych myśli głębszych, niż te były właściwe literaturze owej epoki. W innych względach szkoły te różniły się od siebie znacznie. Bracia Szleglowie, Tieck, Novalis i Werner, nie mieli do zwalczania wroga w postaci smaku narodowego, takiego jaki zawadzał zamiarom Wiktora Hiuga, Diumasa i Alfreda de Vinji. Owszem byli oni podtrzymywani masą narodu, ich teorye bowiem posuwały naprzód pewne dążności, które stały się były w końcu powszechnymi. Tak więc o ile teorye te były krytycznymi, o tyle one były przyjmowane z otwartymi rękami, po zwycięztwach Lessinga, Herdera, Goethego i Szyllera. Szleglowie stali na pobojuwisku i śpiewali hymnu zwycięztwa, nad trupami pobitych. Fryderyk Szlegel, pod wielą względami najznakomitszy krytyk téj szkoły, rozpoczął był zawód swój antologią z dzieł Lessynga, p. t. „Duch Lessynga;“ zakończył zaś go pochwałami dla Filipa II-go i srogiego Alby, a takż ogłoszeniem światu zdania, że Calderon większym był poetą od Szekspira. Takim sposobem, Fryderyk Szlegel uosabia w sobie całą szkołę romantyczną od jój początku do końca.

Fichte, Szelling, Schleiermacher i Solger są filozofami téj szkoły; od dwóch pierwszych pochodzi, niegdys tak sławny, dziś całkiem zapomniany pierwiastek „Ironii,“ który Hegel (*Estetyka* I str. 84 — 90) nie tylko wziął był za zasadę, ale wykazał, że krytycy sami nie umieli byli użyć go. Istotnie, o ile sobie przypominam, jeden na serio użył go był w zastosowaniu, a tym był Szlejermacher, w rozprawie o *ironii Sofoklesowój*. Nikt, nawet Tieck nie kuśił się o wystawienie ironii Szekspira, bożka ich bałwochwalstwa. Pomiędzy zasługami, oddanymi przez Tiecka i A. W. Szlegla, jest przekład Szekspira; chociaż przekład ten wcale dalekim jest od téj doskonałości, za jaką mają go w Niemczech, będąc często okropnie słabym, a nieraz grubo się mylił w tłómaczeniu znaczenia myśli, pomimo to jednak jest on przekładem, który w ogóle niema może

równego sobie w literaturze i posłużył do uczynienia Szekspira tak znajomym w Niemczech, jak jest on w Anglii.

W tej krucyacie przeciw smakowi francuzkiemu, w przeszczepieniu Szekspira i w pomocy, daniej Herderowi w rzeczy odnowienia stariej balladowej literatury, oraz w smaku do architektury gotyckiej, romantycy szli z biegiem ducha czasu swojego. Równie schlebiali oni dążnościom narodowym, kiedy ogłosili byli „mytologię i poezję, legendę symboliczną i sztukę za jedną i nierozdzieloną całość (Fr. Szlegel — Gespraechen über Poesie str. 263),“ z kąd jasną było rzeczą, że religia nowa, albo przynajmniej nowa mythologia była konieczną, bo „największy brak i słabość największa sztuki nowiej leżą właśnie w tém jednym, że artyści nie mają mythologii (ibid. 274).“ (Prze-czuwali tę prawdę wówczas, że wiara, natchnienie, zapal święty są życiem ducha artysty, a to wszystko dać może tylko jedna religia).

Podczas kiedy Fichte, Szelling i Szlejermacher mozolili się nad utworzeniem filozofii nowiej i nowiej religii, prędko przekonano się o tém, że mythologii niepodobna było utworzyć wedle programmatu; a ponieważ mythologia była niezbędną, romantycy rzucili się do katolicyzmu, ²¹⁾ z jego legendami duchownemi i bohaterami świętymi; niektórzy z nich, jak Tieck, naprzykład, i A. W. Szlegel, dla samego entuzjazmu poetycznego i dylletantyzmu, inni, jak Fr. Szlegel i Werner z przekonania, przyjęli byli katolicką wiarę i wszelkie jej następstwa.

Solger nazwał był ironiję córką mistycyzmu i jak szczytnie romantycy ci sławili mistycyzm, znają to wszyscy czytelnicy Novalis'a. Być mistycznym, było to samo prawie co być poetycznym, co być głębokim; krytycy wy-sławiali dziwactwa wieków średnich, dla ich „głębokiego spirytualizmu,“ stojącego w sprzeczności z materyalizmem pogańskim Goethego i Szyllera. Ruch ten, raz będąc roz-

²¹⁾ Jako do wiary jednej, podnoszącej człowieka i dającej mu natchnienie wyższe.
(Przyp. tłum.)

poczętym, posuwał się szybko aż do niedorzeczności. Sztuka stała się służką religii. Kanon powszechny został wspieranym (mający dotychczas pewną powagę w niektórych kółkach), a mianowicie, że w służbie religii kwitła kiedykolwiek sztuka, że więc w tej służbie świętej może ona kwitnąć. Sztuka stała się propagandą. Fra Angelico i Calderon nagle zostali bożyszczami. Teorya przesyciała się niedorzecznościami (?). Werner został ogłoszony za kolos przez Wackenroder'a, co napisał *Wylania serdeczne bractwa klasztornego, kochającego sztukę*, z pomocą Tieck'a, a to dla udowodnienia Goethemu, że ponieważ niektórzy mnisi byli artystami, więc wszyscy artyści, powinni byli stać się mniachami. Pojawiło się wielu ludzi, co od wiary wyglądali cudów kunsztu. Studya biblijne *Devout'a* uważane były za najlepszy środek dla tego, aby współubiegać się z Fra Andżelico i Van Eyck'iem; włosienica miała zastępować natchnienie. Malarze tłumem przechodzić zaczęli na łono kościoła rzymskiego. Korneliusz i Owerbeck użyczyli swego rzetelnego geniuszu staraniom odrodzenia form martwych pierwotnej sztuki chrześcijańskiej, jak Goethe i Szyller ożywili byli obumarłe kształty sztuki greckiej. Owerbeck, malując w klasztorze, do tego przejął się był duchem ascetyzmu, że nie chciał malować obrazów swoich ze wzorów żywych, dla tego, aby nie nadać im przez to cechy za nadto naturalnej; wedle niego bowiem być rzetelnym przyrodzie było to samo, co odstąpić od wyższych dążeń duchowych. Korneliusz, będąc więcej ducha artystycznego, za nadto był przejętym instynktem kunsztmistrza, aby miał wpaść w podobną przesadę; inni jednakże, mniej udarowani, a więcej pobożni, posunęli te zasady do ostateczności. Kompania cała tych reformatorów malarstwa osiadła w Rzymie, dziwiąc katolików tyle prawie, ile protestantów. Cezar Masini w dziele swoim: *Dei Puristi in Pittura* (O purystach w malarstwie) tak ich opisuje: „Kilku młodzieńców przybyło do Rzymu z Niemiec północnych w 1809 roku. Wyrzekli się oni tu protestantyzmu, odzielili się oni w strój wieków średnich (cin-

que cento) i poczęli opowiadać naukę taką, że malarstwo skonało było wraz z Giottem i że dla tego należało koniecznie wskrzesić stary styl w sztuce. Pod taką pokrywką pobożności ukryli oni nicość swoją. Podziwiacze niewolniczy najgrubszego okresu sztuki, ogłosili oni karłów za olbrzymów, usiłując cofnąć kunszt malarski do suchego stylu i barbarzyńskiej niedoskonałości Buffalmacca, Calandrina, Paolo Uccello, kiedyśmy już mieli Rafaela, Tycyana i Korredzia.“ Pomimo tych przesad chwalców *Treczentyzmu* (trzynastego wieku), pomimo nauki, fałszywej w zasadach swoich, romantycy dokonali stanowczego przewrotu i dotąd oni trzymają jeszcze przodek w malarstwie. Cokolwiek jednakże trzymać można o „szkole niemieckiej“, wyznać jednak należy, że do Owerbeka, Korneliusza, Szadow’a, Hessa, Lessynga, Hübner’a, Sohn’a i Kaulbach’a Niemcy nie mieli wcale malarzy i że w tych mężach mają oni kunszt mistrzów znakomitej mocy.

Taką była szkoła nowa i jej nauka. Rafael nie był większym kontrastem względem Fra Andżelika, Tycyan względem Alberta Dürera, ile Goethe i Szyller byli względem cherlającego Novalis’a i dandego Szlegla. Jakkolwiek bądź rzeczą jest pewną, że ich wykształcenie refleksyjne z jednej strony, a naśladownicze z drugiej, posunęły szkołę romantyczną dalej, niż ich własne dzieła opóźniły jej postęp. Pochód ten oddawna stanął w literaturze i sąd o romantyzmie został już dawno w niej wyrzeczony stanowczo²²⁾; ale z wielą wadami, dał on wiele korzyści i nikt zapewne dziś nie odmówi mu zasług jego, a tej głównie, że przezeń, wieki średnie lepij zostały poznane.

Wracając do Goethego, był on, jak to powiedzieliśmy, wprowadzony od Szyllera na trop ustawicznych roztrząsań literackich i teoretycznych. Filozofowali oni, pomiędzy

²²⁾ Szkoła romantyczna, jak wszystko w kolejach ludzkich, była jednem ogniwem postępowego łańcucha, ogniwem spajającym się z ogniwem drugim. Czegoż Lewes chce od romantyzmu, żeby był on wiecznym, żeby trwał ciągle? Dziwne wymaganie. Odpowiadał on potrzebie czasu swego, wprowadził go na kolej nową, wyrodził dążność inną i przeszedł jak wszystko tu przechodzi.

sobą, o granicach poezji epicznej i dramatycznej; czytali oni i rozbierali poetykę Arystotelesa, co było powodem do ogłoszenia rozprawy Goethego „*O dramatycznej i epicznej poezjach*,” a jak widzimy to z ich korespondencji, nigdy nie przedsięwzięli oni żadnego kroku nie zastanowiwszy się nad tém, co o nim powie Teorya. *Prolegomena* Wolfa do Homera były czytane od Goethego z entuzjazmem; od razu przyjął on jego zasady. Myśl pobudzona w ten sposób, powiodła go od początków pieśni epicznych do początków pieśni hebrajskich, a *Wstęp do starego testamentu* Eichhorn'a przywiódł go do pokuszenia się o wyjaśnienie wędrówek ludu Izraelskiego, które on potem zamieścił w przypiskach do *Zachodnio-wschodniego Dywanu*.

Nie tylko zajmował się teorią poezji epicznej, owszem sam próbował także sił swoich w tym rodzaju. *Herman i Dorota*, najdoskonalszy z poematów Goethego, został napisanym w tym czasie. *Achilleis* została osnuta, a w części i napisana; *Polowanie* także zostało osnute, ale nie wykonane; potem zrobił zeń Goethe powieść prozą, p. t. *Novella*. Ten 1797 rok nadto jest pamiętnym, jako „rok ballad,” w kształcie których, wraz z Szyllerem, w przyjacielskiem współzawodnictwie, udarowali Niemcy wybornemi poezjami lirycznymi. Udział jego był ważnym, jeżeli się dowiemy, że w tym roku zostały napisanemi „*Narzeczona z Koryntu*” „*Uczeń w czarodziejstwie*,” „*Bóg i Bajadera*,” i „*Kopacze skarbów*.”

W tym samym roku „*Faust*” nanowo został był wzięty do roboty, ale porzucony dla ballad. Ale została napisaną „*Dedykacya*.” „*Prolog w Niebiosach*” i intermedya „*Zasłubiny Oberona i Tytanii*.” Ale w czasie, kiedy Goethe zostawał w tém usposobieniu ducha, do Wejmaru przybył był Hirt; w pośród wspomnień rozkosznych o Włoszech i gorących roztrząsań o sztuce, jakie obudziło przybycie jego, wszelkie widma północnej strefy pierzchnąć musiały przed urokiem południowego nieba. Porzucił Fausta a wziął się do Laokoona. Jeszcze raz począł tęsknić za Italią. Jest

to rys charakterystyczny ducha Goethego, owo łaknienie wiedzy; nigdy nie zdawało mu się mieć nadto *materyału*. Chociaż Szyller, tak dalece uboższy od niego w zasoby, a tak więcej mający skłonności do tworzenia, myślał że podróż ta tylko obciąży go daremnie nowemi przedmiotami i dla tego namawiał Meyera, aby go od niej odciągał. Goethe nie wyjechał na południe: ja myślę, że Szyller miał słuszność; doszedłszy tego punktu, na jakim on stanął obecnie, potrzebował już tylko oblekać w kształty te materyały, jakie bogate doświadczenie jego nagromadziło.

W Czerwcu tego roku, po raz trzeci Goethe, odbył podróż po Szwajcaryi. We Frankfurcie poznał Chrystynę i syna swego z matką, która przyjęła ich serdecznie; spędzili tu przyjemnie dni kilka. Niepotrzebnie będzie dla nas iść za nim w tej wycieczce; pod względem biograficznym zajmuje ona tylko z tego powodu, że podała myśl do *Wilhelma Tella*; dla niej studyował Goethe miejscowość. Planu swego nie wykonał nigdy; oddał go Szyllerowi, aby z niego wykonał dramat; podał mu także pomysły charakteru Tella i obraz miejscowości. Szyller użył tych materyałów w sposób, co zadziwił samego Goethego. Podobne bratnie współdziałanie widne jest w utworzeniu Walensztejna. Nieprawda jest, jak myślano w Niemczech, jakoby Goethe pisał niektóre części dzieła tego. Sam wyznał, że napisał w niem tylko dwa nic nieznaczące wiersze. Wspierał jednakże Szyllera radą swoją w napisaniu prawie każdej sceny; wystawienie dramatu tego na scenie było dla Goethego jakoby jego osobistym tryumfem.

Wiosną 1798 roku Szellinga Filozofia przyrodzenia i jego własne plany do Historii kolorów odciągały go od poezyi; ale Szyller na nowo go do niej napędził. Faust został wyciągnięty na nowo i ostatnie sceny tragiczne pierwszej części zostały napisane. W lecie wiele przestawał, w Jena, z Szyllerem, a więc i z poezią. Achilles i Tell, świat starożytny i nowy, jak powiada Schäffer, bojowały z sobą o pierwszeństwo, ale żaden z nich nie odniósł przewagi, dla tego, że jeszcze był Goethe pogrążony

w swoje teorye epiczne. Studya nad Iliadą „goniły za nim w kole entuzjazmu, nadziei, widoku i rozpaczy.“ Zaledwo opuścił był Jena kiedy, jak sam to wyznaje, został pociągnięty drugą ostatecznością. Stosownie do tego nowego zachcenia widzimy go pracującego nad nowym dziennikiem, sztuce poświęconym, nad *Propileami*. Zajmował się także sceną, na której 12 Października 1798 r. wystawiano *Obóz Wallensztejna* i *Prolog*, 30 Stycznia 1799 r. w dniu urodzin księżnej Ludwiki, wystawiono *Piccolomini'ch*, a 20 Kwietnia, *Śmierć Wallensztejna*.

W tym to roku pisarz młody wydał w Edyburgu przekład angielski Götz'a; przekład ten był wstępem do dzieł, które miały osiągnąć sławę równą sławie Goethego — tym młodym pisarzem był Walter Scott. W Grudniu wspaniałość Karola Augusta pomogła Szyllerowi opuścić Jena i przenieść się do Wejmaru na resztę żywota; tu w nieprzerwanąj działalności z Goethym, wykonywali oni drogę dla siebie obydwóch plany, osobliwie, co się dotyczy utworzenia sceny narodowej. Powiemy teraz o poemacie Goethego *Herman i Dorota*. Poemat ten został ogłoszony 1796 — 97 roku.

Przyjemnie jest poznać się z pierwotnemi powieściami, z których czerpał Szekspir materyał do swoich przedziwnych dramatów; wiele ukontentowania sprawia to odkrycie, jak geniusz z prostego napomknienia może dokazać i jak mocą żywój potęgi ducha własnego może on tehać w materyał bezduszny życie nieśmiertelne. Ukontentowanie to daje jeszcze to przeświadczenie, że dla artysty nie masz nic drobnego, nieważnego; widzimy że dla poetów wielkich nie potrzeba długo szukać przedmiotów godnych ich ręki; owszem, przeciwnie, najprostsze zdarzenie poda im zaród potężnego utworu; prosty frazes obudzi w nich myśl głęboką.

Materyał, który nastreczył myśl Goethemu do poematu jego, bardzo jest podobny do tego, jaki Bandello podał

był Szekspirowi do jego utworów.²³⁾ Dowiadujemy się tu „jak pewien zamożny i poważny obywatel Altmühl'u długo starał się napróżno namówić syna swego do małżeństwa. Tymczasem wychodźcy zalcburscy przechodzą przez ich miasto, a pomiędzy nimi synaczek ów znajduje pewną urodziwą dziewczę, która mu przypadła do serca; więc roztępuje o jój rodzinę, o konduite, a jako słyszał o niej wszystko tak jak Pan Bóg przykazał, że była stateczną, a skromną; udał się tedy do rodzica swego, oświadczając mu, że jeżeli owa dziewczucha zalcburska nie będzie jego bogdanką, to już przez cały żywot swój, ile mu go Najwyższy przeznaczył tu na ziemi, innę nie pojmie sobie w małżeństwo. Rodzic tedy z księdzem jegomością proboszczem, usiłują wyperswadować mu owe jego tak nagle postanowienie; kiedy przecież usiłowania ich nic w téj mierze dokazać nie mogły, tandem ksiądz proboszcz radzi ojcu, aby się zgodził z wolą boską, co w końcu i nastąpiło. Idzie tedy synaczek ów ku owéj dziewczusze, a pyta jój, azali nie byłaby chętną wejść w usługę w domu rodziców jego. Dziewoja przystaje nato i wchodzi w dom ich. Ale rodzic, nie zgóła o fortelu synowskim niewiedząc, a myśląc, jako już widział przed sobą bogdankę jego, a przyszlę synowę swoją, pyta jój, azali synaczek jego do serca jój przypadł? Dziewka zapłoniła się ze sromu ciężkiego, sądząc że się z nią najgrawają, ale dowiedziawszy się o tém, jako rzetelnie ludzie słuszni chcą ją wziąć w dóm swój, jako swoją synowę przyszlę, oświadczają, że nie zgóła ze swojej strony przeciwko temu nie ma, a zgodę swoją na to wypowiedziawszy, z zanadrza worek spory wyjęła, (a było w nim jakoby dwieście czerwonych złotych) któren oblubińcowi swojemu do rąk, jako przyszlę swe wiano, złożyła.“

Taką jest historia prosta, którą rozwinął Goethe i utwo-

²³⁾ Das Liebthätige Gera gegen die Saltzburgischen Emigranten; das ist: kurze und wahrhaftige Erzählung wie dieselben in der Gräflichen Reuss Plauischen Residenz-Stadt angekommen, aufgenommen, und versorget, auch was an und von vielen derselben Gutes gesehen und gehöret worden. Leipzig 1732.

rzył z niej „*Hermana i Dorotę*.“ Poeta tylko mógł w tém upatrzeć poemat. Co tu on upatrzył wie to dobrze kaźden w Niemczech; dla tych jednakże, co nie znają poematu Goethego, musimy się ograniczyć następującym jego rozbiorem.

Epoka zmienioną została; Goethe wziął okres czasu z rewolucyi francuzkiój. Wychodźcy opuścili kraj swój dla powodów politycznych. Rzecz dzieje się na prawém wybrzeżu Renu. Ulice spokojne małej wioski gwarnie napełniają się ludem, ruchem im niezwykłym; kaźden ciśnie się zobaczyć wychodźców przeciągających drogą, w upał i kurzawę, pewnego letniego wieczora. Gospodarz zajazdu pod złotym lwem, siedząc u drzwi domostwa, dziwi się po co lud ciśnie się, a tłoczy w ulicy, pochwała jednakże pocziwą skwapliwość żony, co posłała syna z bielizną, żywnością i napojem, aby rozdzielił je pomiędzy podróżnych. „Dawać bowiem obowiązkiem jest tych, co mają.“ Aż oto zjawia się z powrotem kilku ciekawych. O, jakże zapyłone mają trzewiki! Jak pałają im lica! zbliżają się ocierając pot z czoła; starzy gospodarstwo cieszą się z tego, że siedzieli sobie spokojnie w kącie, poprzestając na tém, co im powiedzą inni, co widzieli. Oto nadchodzą Pastor, a z nim Aptekarz; siadają na ławicy, otrzepują proch z trzewików, a chłodzą się, powiewając nad twarzą chustkami. Opowiadali co widzieli; pan gospodarz, wzdychając, mówi, że się spodziewa, że syn jego napędził wychodźców i rozda pomiędzy nich, co im posłano. Ale upał podaje mu myśl, że dobrzeby było do bokówki się schronić, gdzie w chłodku, bez much, możnaby było ochłodzić się butelczyną reńskiego. Tu, przy winku, pan gospodarz wyraża życzenie swoje widzieć syna swego w stanie małżeńskim. Oto treść pieśni pierwszój. Jakkolwiek ubogim jest materiał, wyborny sposób traktowania, rzetelność wystawienia, nadają mu mocy. Świeże powietrze wiejskie wieje z kaźdego wiersza.

W pieśni drugiej Herman ukazuje się przed ojcem i przyjaciółmi. Uważne oko pastora odkrywa od razu, że

wrócił pomieszany, jakby nie swój. Herman opowiada jako wypełnił dane mu zlecenie. Napędziwszy wychodźców, natrafił na wóz ciągniony od wołu, na którym leżała niewiasta, a obok niej dzieciątko, które porodziła była właśnie. Popędzała wołu dziewczyna; zbliżyła się ku niemu z ufnością pogodną, jaka zwyczajną jest duszy prawej, prosząc o pomoc dla biednej niewiasty, której tylko co pomogła w jej położeniu. Tknięty politowaniem, czując od razu, że jej najlepiej będzie oddać pomoc przyslaną, Herman wręczył jej wszystko. Rozstali się tedy, ona z wdzięcznością w sercu idąc w dalszą drogę, on zadumany wracał do domu. Miłość wkradła się mu do serca, a pan pastor, po uśmiechu tęsknym, poznaje że czegoś mu braknie.

Słyszając powieść tę aptekarz, pociesza się tém, że niema żony i dzieci, co by kłopotowało nie mało w te czasy burzliwe; „najłatwiej jest uchronić się człowiekowi samemu.“ Ale Herman oburzył się na to, pytając go „czy to ma być dobrem u niego, kiedy człowiek jest sam zawsze w szczęściu i niedoli, niewiedząc z kim ma podzielić się strapieniem i szczęściem? Nigdy nie był tak chętny do ożenienia jak dziś jestem, wiele bowiem dziewcząt statecznych potrzebuje opieki męża, a wiele mężczyzn potrzebuje pociechy czulej małżonki, w tém brzemieniu niedoli.“ Na co ojciec, uśmiechając się, woła: „Słyszę cię z ukontentowaniem; tak mądrze, a razem poczciwie rzadko się kiedy odezwałeś. Pani matka toż samo, czepiając się téj myśli ożenienia; myślą ściągając ją w przeszłości czas swego własnego postanowienia; przypadło ono w niedoli takż, kiedy ogień zniszczył był całe jej mienie; wtedy właśnie zamężcie jej zostało ułożonem. Tu pan ojciec wniósł się w sprawę; przyznał że rzecz miała się tak istotnie; widocznie atoli stara się odwieść syna od naśladowania w tém jego przykładu. Z przedziwną sztuką i humorem odmalował poeta jego niepokojność ojcowską. Poślubił on dziewczynę, co nie posiadała nic, kiedy sam on nic nieposiadał; dziś przecież, kiedy jest stary i dobrze mu się dzieje, myśl podobna rozpoczynania zawodu życia, bez wszelkiej podstawy fortuny,

wcale mu się niezdaje. Wystawia on trudność utrzymania domu, korzyści zasobnego gospodarstwa, a wszystko za-kańcza tém oto, że się spodziewa od Hermana, że wprowadzi mu w dom synowę, która nie przyjdzie do hurtu z gołemi rękami. Wskazuje mu córki sąsiada bogatego i oświadcza, że życzyłby sobie, aby z nich wybrał sobie żonę. Ale Herman nie tylko czuł w sercu miłość stateczną, ale jeszcze miał oddawna wstręt ku tym córkom bogatego sąsiada, co drwiły sobie z jego prostoty, wysmiewając że nie znał tak dobrze osób jakiejś tam komedyi jak one same znały. To gniewa pana ojca; wymawia mu że jest prostak, bez okrzesań, oświadczać przy tém, że prostytutka na synowę sobie nie życzy, ale chce mieć taką, co by grała na klawikorcie i ściągala w około siebie wszystkich ludzi bogatszych z miasteczka. Herman w milczeniu wychodzi z izby — i tak się kończy pieśń druga.

Trzecia pieśń rozwija dalej powieść. Pan gospodarz ciągnie dalej swoją reprimendę. Jego zdaniem jest, że syn powinien zawsze stawać wyżej na szczeblu towarzyskim od swego ojca, cóż bowiem stałoby się z gospodarstwem, albo z narodem, bez ustawicznego postępu? „Tyś zawsze niesprawiedliwy dla twego dziecka“ — odpowiada na to pani gospodyni — „i tak niszczysz najgorętsze żądania nasze. Nie spodziewajmy się, że poprowadzimy dzieci po swojemu. Jak Bóg dał ich nam, to musimy mieć je i kochać je, wychowywać jak możemy tylko najlepiej, a pozostawić im samym prawo rozporządzania sobą. Bo jednemu dano to, drugiemu owo. Niechciałabym Hermana naszego uczynić nie-szczęśliwym; pocziwe to chłopczyisko. Ale ty łając go, a gderząc nań ustawicznie suszysz tylko swoje dzieci.“ Powiedziawszy to poszła do syna. „Osobliwsze plemię są te kobiety,“ rzecze gospodarz, uśmiechając się po wyjściu żony swojej „zupełnie jak dzieci. Chciałaby wszystko postawić na swoim, ale jeszcze kochaj, gładź i chwal je za to!“ Stary Aptekarz, rozwijając dalej dowodzenie gospodarza, co się dotyczy ustawicznego wzrastania kondycyi ludzkiej, rozwija wesoło swój charakter tłómacząc się hu-

morystycznie; opisuje on swoje własne chęci, w rzeczy podniesienia apteki, ale razem maluje to, jak przeszkadzało mu w tém jego własne skąpstwo. Sprzeczność charakterów w poemacie tym jest wyborna, matka i ojciec, Pastor i Aptekarz, wszyscy stoją przed nami wyraźnie, jak tylko doskonała sztuka może wystawić.

W pieśni czwartej, matka szuka syna; ustęp tego poszukiwania jest przewybornym wzorem opisowej poezji Goethego, przedstawia bowiem szereg obrazów, bez wszelkich metafor, bez postaci, bez wszelkich pomocy poetyckich; przecież pomimo tego, jest on żywy i malowniczy w najwyższym sposobie. Chciałbym go tu zacytować, ale umiejący język niemiecki wyszuka go w oryginale, przekład zaś jest więcej niż nierzetelnym, w takich zwłaszcza razach, gdzie idzie głównie o styl.

Szuka go w stajni, myśląc że tu go znajdzie, przy jego ulubionym ogierku; idzie potem do ogrodu (niezapominając przytém poprawić podpory drzew owocowych i zdjąć gąsienice z kapusty, jako gospodyni zawołana nieomieszka nigdy tego uczynić); potem przez winnicę, aż uareszcie znajduje go pod gruszą, całego we łzach. Śliczna następuje scena, pomiędzy matką, a synem. Herman oświadcza chęć swoją pójść do wojska; mówi on wymownie o obowiązku syna ojczyzny wysączenia ostatniej krwi kropelki w obronie własnego kraju. Ale matka wie dobrze, że to nie zapal patryotyczny tak znoważa poruszył mu serce i wzbudził w nim chęć opuszczenia strzechy rodzinnej; odgadła ona miłość jego dla Doroty, téj to dziewczuchy, którą napotkał był pomiędzy wychodźcami. Pyta więc go, pyta to jak matka umie wypytywać dziecko swoje i odbiera od niego zatajone dotąd zwierzenie. Tak, to dla tego, że kocha on Dorotę, dla tego, że ojciec wzbrania mu myśleć o innej, okrom bogatej, żonie, chce on opuścić dom i rodziców. Ojciec zawsze był dlań niesprawiedliwym. Tu staje matka ze swoją radą wierną; namawia ona Hermana zwierzyć się we wszystkim ojcu, będąc pewna, że gniew rodzicielski jest tylko na wiatr wyrzeczonym słowem, a naj-

gorętsze życzenie synowskiego serca nie zostanie odrzuconém od niego. Prowadzi go tedy z sobą, ukołysanego tą słodką nadzieją.

W piątej księdze przyjaciele popijają jeszcze z zielonych kieliszków chłodne wino nadreńskie, roztrząsając stare zagadnienie. Do nich przychodzą matka i syn. Matka przypomina mężowi, jak to często tęsknił on do dnia tego, kiedy Herman wybierze sobie nareszcie żonę. Otoż dzień ten nadszedł. Wybrał on sobie dziewczynę wędrowną. Pan gospodarz słucha tego w źle wróżącym milczeniu. Pastor powstaje z siedzenia i szczerze wspiera Hermana w jego prośbie; patrzy on na prośbę jego jako na myśl natchnioną mu z góry; zna on dobrze Hermana i wie, że można mu zaufać w jego wyborze. Ojciec jeszcze milczy. Aptekarz, ostrożny zawsze, trzyma się środka. Nie wierzy on ślepo w owe natchnienia z góry. Proponuje on wywieźć się z boku o charakter owę dziewczynę, a jak nie łatwo go oszukać w tej mierze, on podejmuje się przynieść nazad rzetelne świadectwo. Nie będę tu powtarzać starych powieści, gdzie kochanek wywiaduje się sam wprzód o dziewczynie, a potem już postanawia sobie ją zaślubić. Herman niepotrzebuje żadnych badań, ale też nie ma on nic przeciwko nim zgola. Nagli na Aptekarza, aby się wybił i zabrał z sobą pastora; dwóch takich doświadczonych mężów odkryją zapewne prawdę, co do niego jest on pewny skutku dobrego. Pan gospodarz, znajdując przeciw sobie żonę i przyjaciół swoich, zgadza się, jeżeli świadectwo przyniesione przez pastora i aptekarza okaże się chlubnym dla dziewczyny, nazwać ją swoją córką. Dwaj posłowie siadają do wózka, a Herman powożąc z kozła wiezie ich przez wieś aż do obozu wychodźców. Pastor z aptekarzem wysiadają. Herman opisuje im Dorotę, aby ją mogli poznać; potem czeka niespokojnie ich powrotu. Bardzo żywym jest obraz wioski, w której wędrowcy zalegli skupioną masą po ogrodach i stodołach; ulice zastawione są wozami; mężczyźni pilnują bydła i koni; kobiety zajęte praniem i suszeniem bielizny na każdym płocie, podczas

kiedy dzieci pluskają się w strumieniu. Przez tłum ten przeciskają się nasi dwaj przyjaciele; obecni są kłótni, którą rozsądza jakiś starszyzna; potem daje im zaspakajającą odpowiedź względem Doroty. Ustęp ten pełen jest szczęśliwych odcieni i pełnej myśli poezji. Wracają więc posłowie do Hermana i mówią mu, że może zabrać z sobą Dorotę. Ale podczas kiedy oni rozpytywali o nią, Herman na progu przeznaczenia swego, męczył się niepewnością, czy zechce Dorota przyjąć go za męża? Może kocha ona innego; cóż może być więcej prawdopodobnego? Może odmówić pójść za nim do domu cudzego. Prosi więc przyjaciół poważnych, aby odjechali do domu bez niego. Sam on zapyta Doroty, a jeżeli się zgodzi, piechotą z nią powróci. Pastor tedy bierze w ręce wodze, ale aptekarz, człowiek ostrożny, powierzając mu chętnie pieczę o duszy swojej, niebardzo mu dowierza, czy potrafi zachować mu w całości ciało. Pastor go upewnia i nikną nareszcie obawy w obłoku kurzawy, pozostawiając Hermana samego, który długo, nieruchomie, pogląda za nimi, pogrążony w myślach natrętnych.

Dwie następne pieśni są przedziwnie poetycznymi. Herman stał u studni, aż tu spostrzega Dorotę idącą, z dzbanem dużym w każdym ręku. Zbliża się do niej, a ona uśmiecha się doń przyjaźnie, w miarę jak się przybliżał. Pyta ją, dla czego z tak daleka od wioski przychodzi tu po wodę? Odpowiada mu na to, że trud jej dość się już jej wynagrodził, choćby już dla tego jednego, że ma sposobność widzieć go i podziękować mu za jego litość dla cierpiących; dodaje przecież, że ludzie niedbali puscili konie i bydło do wody i zamęcili przez to strumień przy wiosce. Przystąpili do studni i usiedli na murze, co ją okalał. Wzięła ona dzban i wpuściła go do wody; wziął on dzban drugi i zanurzył go także; nachyleni widzą oni oblicza swoje, jak ruszają się w wodzie, na tle błękitnego nieba odbite; uśmiechają się młodzi patrząc na siebie w odbiciu i kłaniają się sobie wzajemnie. Pozwól mi się napić, rzecze szczęśliwy młodzieniec; podniosła mu

dzban pełny opierając go na ramieniu. Potém usiedli na cembrowinie, opierając się na dzbanach, z zupełną dla siebie ufnością. Nie mogę oprzeć się pokusie, przytoczenia tu oryginału tego uroczego obrazka:

Also sprach Sie, und war die breiten Stufen hinunter,
Mit dem Begleiter gelangt; und auf das Mäuerchen setzten
Beide sich nieder des Quells. Sie beugte sich über, zu schöpfen;
Und er fasste den andern Krug, und beugte sich über.
Und sie sahen gespiegelt ihr Bild in der Bläue des Himmels
Schwanken, und nickten sich zu, und grüßten sich freundlich im Spiegel.
Lass mich trinken, sagte darauf der heitere Jüngling;
Und sie reicht' ihm den Krug. Dann ruhten sie Beide vertraulich
Auf die Gefässe gelehnt.

Pyta go potém dziewczyna, co go sprowadziło w tę stronę? Herman patrzy jój w oczy i czuje się szczęśliwym; nieśmie jednakże dowierzać sobie, boi się wyznać jój miłość swoją. Chciałby jój dać poznać niewyraźnie swój zamiar; prawi więc jój o tém, jak to w domu, przy gospodarstwie, potrzebna jest młoda, czynna, pracowita kobieta, coby i domu doglądała i o starych rodzicach jego miała staranie. Dziewczyna wnosi z tego, że ją chce zamówić na służącą do domu swego, a będąc sama jedna na świecie, chętnie na to się zgadza. Spostrzegł omyłkę swoją Herman, ale boi się wyprowadzić ją z błędu; myśli, że lepiej jest może, aby pobyła jakiś czas w domu jego rodziców, a tamby może pozyskać potrafił jój serce. „Ale chodźmy już — woła nareszcie dziewczę, zawsze nas łają za to, kiedy długo u studni stoimy na czczój rozmowie.“ Powstają więc i jeszcze raz oglądają się do wody, aby w niej zobaczyć drżące obrazy swoje, odbite jeden obok drugiego, a patrząc na nie „jakaś rozkoszna żądza przejmuje ich dusze.“

Idą do wioski razem, w drodze Herman jest świadkiem tego, jak wszyscy kochają Dorotę; najlepszym to jest znakiem, że serce jego dobry zrobiło wybór. Żegna się ona ze wszystkimi i udaje się za Hermanem, żegnana błogosławieństwami i wiejącami chustkami. W milczeniu szli oni do domu, a przed nimi zapadało słońce, roztaczając barwy

jaskrawe po zbierających się chmurach, co zapowiadały burzę. W drodze prosi dziewczę towarzysza, aby jej opisał charakter tych, którym ma służyć. Ten wystawia jej matkę swoją i ojca. Jakże ja mam być z tobą, z tobą jedynym dziecięciem gospodarstwa moich? pyta go nareszcie. Tym czasem doszli byli do gruszy; po nad nimi świecił księżyc. Herman wziął ją za rękę, mówiąc: „zapytaj o to serca twego i postępuj tak, jak ono ci w tém podyktuje.“ Boi się jednak wyraźniej jej oświadczyć, bojąc się odmówienia z jej strony. Siedzą tedy w milezeniu chwilę i patrzą na jasny księżyc. Widzi ona okno w domu, okno w izbie Hermana, która, jak się spodziewa chłopiec, będzie równie jej własną. Powstają aby pójść dalej, ale noga się pośliznęła i ona padła w objęcia Hermana, pierś z pierśią, twarz przy twarzy; pozostają tak chwilę, on nieśmie ją przycisnąć do siebie, a tylko podtrzymuje. W kilka minut potem wchodzili do domu.

Wdzięk tych pieśni, jak istotnie i całego poematu tego, nie może być odgadniętym z tego oto rozbioru; woń fiołka nie daje się wyrazić opisem tego kwiatu. Ale pomimo tego, jednak rozbiór uzdalnia czytelnika z imaginacją do utworzenia sobie lepszego wyobrażenia o poemacie, jak gdyby sobie mógł je utworzyć z roztrząsania estetycznego, takiego *np.* w jakim lubuje sobie krytycyzm filozoficzny. Po tém ostrzeżeniu idźmy tedy dalej w naszym rozbiorze. Matka niespokojna jest z powodu téj długiéj nieobecności Hermana; wchodzi ona i wychodzi, uważając nadchodzącą burzę i ganiąc z tego powodu dwóch przyjaciół za to, że go zostawili nie pogadawszy z dziewczyną. Aptekarz opowiadał jak w młodości jego uczono go cierpliwości, aż w tém drzwi, otwierając się, ukazały parę młodą ich uradowanym oczom. Herman wprowadza ją, ale na stronie szepcze pastorowi, że dotąd jeszcze nic nie mówił jej o zamężciu, że tylko myśli, że wchodzi w służbę do domu. Ale pan gospodarz chcąc być grzecznym, od razu idzie do rzeczy, traktuje ją już jak córkę i winszuje jej gustu dobrego w tém, że obrała sobie syna jego. Dzie-

weczka płonie, cierpi i odpowiada z pewnym wyrzutem, że nie przygotowała się na takie przyjęcie. Ze łzami w oczach, żałuje ona stanu przeszłego; wymyka się jej tajemnica, że ujęta wspaniałością Hermana i szlachetnym postępkiem jego, ona rzetelnie poczęła była go kochać, ale wyznawszy już to uczucie, ma się rozumieć, nie może dłużej bawić w tym domu. Chce ona opuścić go z żalem w sercu, kiedy wyjaśnia się omyłka. Dorota zostaje przyjętą jako synowa bez grosza przy duszy, przyjęta radośnie od wszystkich, a Herman przyciskając ją do serca, czuje się gotowym do szlachetnego boju żywota.

Taka jest powieść o Hermanie i Dorocie, napisana homerycznemi hexametrami, z prostotą starego ślepego piewcy Hellady. W zwyczajnym biegu rzeczy, musiałbym był wypowiedzieć zdanie moje, zdanie przytrudne trochę, mianowicie, czy uważam ją, w rzetelném znaczeniu wyrazu, poemat ten za epos, czyli też za idyllę, albo też w drodze zgody, za idylliczne epos. Krytycy obfici są w różnieniach i klasyfikacyach swoich; mówią oni nam na czém zależy epos właściwe, które oni rozróżniają od eposu romantycznego i od eposu mieszczańskiego. Po dokonaniu téj klasyfikacyi, ciężkie jej baterye nakierowują się na *Hermana i Dorotę*. Nas to mniej obchodzi do jakiego rodzaju poezyi zaliczyć należy Hermana i Dorotę, czy jest ona poematem epicznym i jakiego rodzaju epicznym. Jest to poemat i dość natém; należy do rodzaju *dobrego* poezyi. Jeżeli utwór nie przypomina innych, tém ci lepiej; jeżeli przypomina, nieprzeszkadza to wcale do tego, aby go czytać z przyjemnością. Przyjmijmy go więc za to, czém on jest w istocie, za poemat pełen życia, charakteru i wdzięku, za poemat prosty, nie wymyślny co do materiału, nadzwyczajnie téż prosty w obrobieniu; napisany w rzekomém naśladowaniu Homera, z tém wszystkiém jednakże, zachowujący wszędzie barwę i uczucie nowoczesne. Ze wszystkich idylli, jest ta najrzetelniejsza pierwiastek idylliczny; ze wszystkich sielanek, opisujących wieś i lud wiejski, jest to najrzetelniejsza zapewne w istocie swojej sie-

lanka; porównując ją z Teokrytem i Maronem, z Guarini-
nim albo Tassesem, Floryanem lub Delilem, Gesnerem lub
Tomsonem, krytyk spostrzeże zapewne z przyjemnością,
brak tu wszelki ornamentacyi poetyckiej, swobodę od wszel-
kiego „idealizowania.“ Chłopi tego poematu nie warci, aby
ich malować na porcelanie drezdeńskiej, albo żeby wystę-
powali pod penzlem Lancret'a i Watteau; ale są tak praw-
dziwi, jak tylko może oddać ich poezya. Postacie odryso-
wane są wybornie, i to kilka prostemi pociągami ołówka.
Sam Szekspir nie jest więcej dramatycznym w wystawie-
niu charakterów. Gospodarz, żona jego, pastor, stary, prze-
zorny aptekarz, stoją przed nami z całym humorem. Her-
man szczery, prosty, nieśmiały chłopak wiejski, Dorota
zdrowa, kochająca, silna, prosta dziewczka — są charakte-
rami idealnemi w dobrem znaczeniu wyrazu tego, t. j. w czy-
stości przyrodzenia swego. „Chłopi idealni“ o rysach gre-
ckich, z linjami regularnemi pod względem sztuki plasty-
cznej, tak ukochani od ładajakich bazgraczy na płótnie,
albo na papierze, nie byli wcale figurami dla talentu Goe-
thego; czuł on rzetelność w przyrodzeniu, która wzbra-
niała mu idealizować przedmioty w sposób powyższy. Go-
dném jest uwagi to, że jak Walter Scott, Goethe znajdo-
wał szczególną przyjemność w rozmawianiu z ludem pro-
stym, co bardzo dziwiło synowę jego (od której, oprócz
innych świadków, dowiedziałem się o tym rysie), nie mo-
gła ona zrozumieć, co ten geniusz wielki mógł znajdować
w rozmowie ze starą babą wypiekającą chleb, albo z cie-
śłą starym ociesującym brusy. Rozmawiał chętnie z fur-
manem swoim, zwracając uwagę jego na miejscowość po-
wabną okolicy i ciesząc się z jego odpowiedzi. Był on po-
ważnym i milczącym z nudnymi towarzyszami podróży
w dylizansach i austeryach, jako też z literatami, co przy-
chodzili odwiedzać go, a niemieli nic ciekawego do powie-
dzenia mu nad to, co wyczytali w opylonych *in kwar-
tach* i *in oktawach*; za to okazywał się rozmownym z lu-
dem prostym, wielekroć zdarzyło mu się zetknąć z nim
w życiu, a tajemniczą przyczyną tego zjawiska, było lu-

bowanie jego w każdej osobowości. Cieśla, co był cieślą tylko, interesował go; ale cieśla w odświeżającym odzieniu, małpujący mieszczanina, równie znalazłby go sztywnym i chłodnym jak każdy inny człowiek z pretensją. Co zyskał był Walter Scott ze swego przestawania z pospółstwem, wie to dobrze każdy, co zgłębił ów grunt bogaty humoru, na którym rozrastają się fantazyje starożytnicze autora Wewerleja. Co skorzystał Goethe z tego samego źródła, można wyczytać z wielu dzieł jego, osobliwie z *Hermana i Doroty*, *Fausta* i *Wilhelma Mejstra*.

Ta sama rzetelność przedmiotowa widną jest w charakterze scen jego. Nie są one opisane retorycznie, albo metaforycznie, ale są wystawione nam od razu. Zamiast tego, aby mówić nam do czego one są podobne, mówi on czém one są. Zamiast obrazowości daje nam przedmioty same. Ztąd pochodzi, że podczas kiedy dzieło Goethego rozchodzi się w warstwach niższych, równie podoba się ono wyższym klasom społeczności. Lud prosty nawet smakuje w utworach poety i mnóstwo egzemplarzy ich różchodzi się na bibule, po najniższych cenach, jak drukują i sprzedają *Sowizdrzała* i inne książki ludowe. Pomiędzy klasą wyższą i ludem pospolitym jest jeszcze klasa średnia, takż ukształcona, ale znajdująca prostotę dzieł tych jakby ubóstwem, brakiem imaginacyi. Tacy czytelnicy wymagają koniecznie od książki uroku fantazyi i nie widzą tam kunsztu, gdzie nie znajdują tego warunku; chcą oni więcej wypadków wzruszających i charakterów, co nie mogąc być wzniosłemi, stają czasami na szczydach. *Non ragioniam di lor, ma guarda e passa!*

Tak jak nie zastanowiłem się nad tém, czy poemat ten był albo nie był epicznym, równie też mogę odsunąć na stronę wszelkie zagadnienia ztąd wypływające, a dotyczące braku *ustępów i maszyneryi nadprzyrodzonej*, ktore, jak krytycy nas zapewniają o tém, niezbędnymi są rzeczami w poemacie każdym, co chce zasłużyć sobie na tytuł honorowy epicznego; to samo uczynimy co do innych warunków sztuki poetyckiej — *działania, czasu i miejsca*. Postę-

pując w ten sposób, obcinamy sobie dobrowolnie objętość naszego dzieła, nic przecież nie straci na tém nasz czytelnik. Dwa tylko punkta wymagają od nas objaśnienia i o tych namienimy tu pokrótce.

Najprzód co do przedmiotu. Rzecz będąc wziętą z doświadczenia smutnego współczesnych autorowi wypadków, ruszając się w pośród scen okropnych, wywołanych rewolucją francuzką, naturalném więc musiała być następstwem tego, że należało tu szukać czegoś, coby myśl polityczną wyjaśniło. Szyller najpewniej użył by przedmiotu tego za środek do rozwinięcia pysznej wymowy swojej na temat swobody; ale nie było to wcale zamiarem Goethego. Mówił on Meyerowi, że starał się być o to umyślnie „aby w epicznym utworze wystawić czysty byt ludzki, zawarty w małej mieścinie niemieckiej, wolnym od wszelkich mętów, a razem odbić w małym lusterku wielkie poruszenia i zmiany wielkiej sceny świata politycznego.“ Pozostawiając innym zagadnienie polityczne, zamknął się sam, jak zwykle czynił, w interesie czysto ludzkim i osobowym. Zamiast wszelkich deklamacyj o swobodzie, starał się on o to, aby nauczyć ludzi być swobodnymi; pod swobodą zaś rozumiał on całkowite a zdrowe rozwinięcie swojego własnego przyrodzenia, a nie zmianę ustaw politycznych. W jednej ze swoich Xenij mówi on:

Zur Nation euch zu bilden, ihr hoffet es, Deutsche, vergebens;
Bildet, ihr könnt es, dafür freier zu Menschen euch aus.

(Spodziewacie się darmo Niemcy wykształcić się w narodowe ciało; wykształćcie się raczej, a możecie tego tém swobodniej dokonać, na ludzi).

W tym sensie może zostać przyjętym poemat *Herman i Dorota*, przyjętym jako hymn do rodziny, jako uroczysta obrona celów odwiecznych, co najsamprzód powinny są zajmować ludzi.

We względzie drugiego punktu, a mianowicie, co się dotyczy stylu, pochwała serdeczna Szyllera, w liście do Meyera, może tu znaleźć miejsce. „Nie byliśmy także nie-

czynnymi w tym czasie, jak wiesz o tém, a najmniej zapewne przyjaciel nasz, co w ostatnich kilku latach rzetelnie sam siebie przeszedł. Jego poemat epiczny jużes czytał; zgodzisz się na to zapewne, że jest to szczyt jego własnej i całej współczesnej nam sztuki. Patrzyłem na postęp jego i dziwiłem się równie ze sposobu wzrostu jak i z dokonanego już dzieła. Podczas kiedy my musimy biedzić się, a zbierać, aby z czasem skleić coś z tego, coby ująć mogło, jemu dość jest wstrząsnąć drzewem, aby się zeń posypały najpiękniejsze owoce, dojrzałe, a dorodne. Niedouwierzenia jest to, z jaką łatwością dojrzewają dlań dzisiaj owoce dobrze użytego i wyrachowanego żywota, jako też usilnego kształcenia się; jak ważnemi i pewnemi są wszelkie jego kroki obecne; jaka jasność we wzglądzie jego samego i we wzglądzie przedmiotów, co go zachowuje przeciw wszelkim czczym usiłowaniom i wszelkiemu marnowaniu czasu drogiego. Ale masz go teraz przed sobą i sam możesz się przekonać o tém naocznie. Zgodzisz się zapewne na to ze mną, że na tym punkcie wysokim, na którym dziś on stoi, powinien on starać się o wydanie na zewnątrz tej formy wyborniej, której się on oddał zdawna, zamiast tego, aby wyszukiwać sobie nowych materyałów; słowem, że dziś całkiem powinien żyć on dla poetyckiego wykonania.“

Forma homeryczna przewybornie została zastosowaną do tego rodzaju opowieści; Voss upopularyzował był już tę formę swoją „*Luizę*“. Co do stylu poematu tego, to bym prosił czytelnika mego, aby go porównał ze stylem ostatnich ksiąg Wilhelma Mejstra, pisanego około tego czasu, a wówczas pewno by się o tém przekonał o niezmierniej wyższości Goethego wierszy nad jego prozą. Nie masz tu wcale żadnego błędu, prozie jego właściwego. Język tak jest czysty jak kryształ i prosty jak kryształ; wszystkie szczegóły są, bez wyjątku, znakomite; jednej linii nawet niemożna wyrzucić bez szkody dla całości. Każden czuje to, że powiew ożywiający Ilmenau, gdzie, w przeciągu

sześciu miesięcy, poemat ten był utworzonym, podniósł był poetę nad prozę i dał całą jego moc spokojną.

Nim ostatecznie opuścimy poemat ten, może być zajmującą dla czytelnika rzeczą, widzieć przed sobą próbkę téj genialnej krytyki, co lubi tłómaczyć najzwyczajniejsze fakta, pewnemi zawilemi znaczeniami. Hegel, w Estetyce swojej, a po nim Rozenkranz, w wyborném dziele swoim p. t. *Goethe i dzieła jego*, zwraca uwagę na ten fakt, że Goethe rzetelniejszym jest od Vossa w swoim kolorze niemieckim, którego „*Luiza*“ podała była pochop do poematu o *Hermanie i Dorocie*. Nie jestem ja w stanie sądzić o téj wyższości nie czytawszy *Luizy*; przykłady wszakże przywodzone od tych krytyków są bardzo zabawnemi. Voss, mówią nam oni, traktuje osoby swoje kawą; ale, jakkolwiek zwyczaj picia kawy jest rozprzestrzenionym w Niemczech, przecież należy o tém pamiętać, że ani kawa, ani cukier do niej używany, nie są produktem Niemiec, pochodzą zaś z Arabii i Indyi zachodnich; same nawet filiżanki, w których pija się kawa, są początku chińskiego, a nie niemieckiego. O całe mile odlegli jesteście w tém od Niemiec. Jakże inaczej u Goethego! Jego gospodarz z lwa złotego posila gości swoich kieliszkiem wina i jakiego jeszcze wina? Wina reńskiego, wina rzetelnie niemieckiego *per excellentiam*, wina co rośnie na wzgórzu tuż po za domem! A to winko reńskie nie popijająż Pastor z Aptekarzem z kieliszków zielonych, prawdziwie niemieckich kieliszków? A na czém ustawione są te kieliszki? Na tacy cynowej — i to jest takóż rzetelnie niemieckiem!

Byłoby to brytańskim prozaizmem w oczach tych pp. krytyków, gdybyśmy odparli im w ten sposób, że na plebanii Pastor popija kawę dla tego, że na plebanii zwykle pije się kawa; u Goethego zaś personażę piją wino, bo są w oberży pod *lwem złotym*; piją winko reńskie, bo rzecz dzieje się nad Renem; jednakże do podobnego prozaizmu musi zejść krytyka angielska, odpowiadając na subtelnosci estetyków germańskich.

Przedstawimy teraz Goethego jak dyrektora i reżyssera

teatru. W czasie przybycia Goethego do Wejmaru dwór namiętnie lubił teatr; teatr miejski był w gruzach po pożarze przeszłorocznym. Scena była zaimprovizowaną w ettersburgskich lasach, w dolinie tyfurckiej. Aktorowie nabierali się z koła dworskiego. Sztuki improwizowano, a czasami pisano je starannie. Publiczność była ta sama co w teatrze prywatnym dworskim. O tém wszystkiém mówiliśmy już wyżej. Tu zwrócimy tylko uwagę na różnicę, zachodzącą pomiędzy sceną wejmarską a innymi scenami niemieckimi, a głównie wykażemy, jakie były warunki istotne tej sceny, które czyniły ją więcej jak prostą rozrywką amatorskiego kółka. Aktorowie byli ludźmi ukształconymi; wchodzili do trupy lubowniczej księżęta, panowie, poeci, muzycy. Zamiast grać dla publiczności, dla tej różnorodnej, ale w rzeczy teatru nieodbitej wyroczeni, której sąd zawsze prawie jest rzetelnym, odgrywali dla rzeszy dworaków, których sąd, nawet niewychodząc z pochlebstwa, nie wiele ma zawsze wartości, do tegoż nigdy nie był on szczerym. Następstwo łatwo jest przewidzieć; jako zabawa dworska, teatr był rozrywką przyjemną i nie bezkorzystną; ale jako wpływ, był on szkodliwym. Sam punkt wyjścia był już fałszywym; nie może w sposób taki kwitnąć sztuka dramatyczna; nie tak rozwijali moc swego talentu Moljery i Szekspiry. Koniecznym jest tu współdziałanie narodowe. Akademije mogą kompilować słowniki, ale nie mogą stworzyć literatury; dwory mogą protegować scenę, ale nie mogą utworzyć drammatu. Przyczyna tego leży głęboko w istocie samej rzeczy. Niemcy nie miały nigdy drammatu, bo nie miały one nigdy sceny, coby była albo coby chciała stać się narodową. Lessyng rozumiał dobrze czego było potrzeba do takiej sceny, ale nie w jego było mocy stworzyć ją. Szyller wcześniej zapoznał rzetelną drogę, wiodącą do tego, i wszystkie jego starania w tej mierze były czcze. Goethe i Szyller, biorąc rzeczy na seryo, przeświadczeni głęboko o wpływie wielkim, jaki mogła być wywrzeć scena, usiłowali utworzyć drammat niemiecki, coby stanął wysoko po nad

nędznemi wyrobami, każącemi podówczas smak ogółu. Chcieli oni utworzyć drammat idealny, w którymby kształty wyniosłe sztuki mogły być wystawione przed oczami widzów. Ale zrobili do tego krok fałszywy. Zniechęceni grubemi wyrobami współczesnemi, nie wierząc w instynkt piękna, żyjący w sercu publiczności, odwołali się oni do małego ukształconego kółka. Postawili oni ukształcenie wyżej nad namiętność i nad humor. Scena miała stać się literacką, co znaczy mówiąc innemi słowy, że nie miała ona stać się popularną. Doświadczenie nie naprowadziło ich na dobrą drogę. Przez cały przeciąg czasu reformy ich nie miały wpływu; po teatrach rzecz szła starym torem; wędrownie truppy odgrywały, ze starego repertuaru, drammata, opery i farse, jak umieli najlepiej, z daleko lepszym powodzeniem, niż mógł je osiągnąć kunszt wysoki. Wtedy nawet, kiedy Szyller wślawił scenę swojemi wybornemi sztukami, potrzeba zmuszała entrepreneurów do *bawienia* publiczności wyrobami starej sceny. Zadanie dramatyczne jest takie: jak można połączyć z sobą wymagania zabawy widzów, z wymaganiem sztuki, sięgającym po za chęć zabawy? Wiele jest pisarzy mogących bawić, co jednakże nie sięgają wyżej nad ten cel; są znowu tacy, co mają wznioślejsze cele, ale nie umieją wcale zabawić. W drammacie ten jest rzetelnym poetą, kto potrafi połączyć z sobą to i tanto. Szekspir i Moljer, biorąc w tej mierze przykłady najwyższe — równie bawią jak są głębokimi; żyją oni tak długo na scenie, że w sztukach ich żyje dotąd owa moc osobliwsza bawienia człowieka (choć człowiek ten zmienił postać swoją, przeżywszy kilka pokoleń). *Othello*, *Hamlet*, *Macbeth*, *Tartuif*, *Szkoła kobiet*, *Chory na imaginację*, podobają się ostatniemu prostakowi i najukszałcenszemu krytykowi! Goethe i Szyller wpadli byli w błąd, który ogłoszono właśnie w Anglii, kilka lat temu, jako środek zbawczy; głosili go pisarze rozsądni, ukształceni, szcząc się tytułem *drammatyków nieodgrywanych* (Unacted Drammatists). Szyller i Goethe utrzymywali myśl fałszywą, że kopuła py

szna może wznieść się pod obłoki, nieopierając fundamentami swemi na poziomie; wpadli w błąd, polegający na przypuszczeniu, że dramat może mieć więcej powodzenia od literatury. W 1790 roku odbudowano i otworzono teatr wejmarski. Goethe wziął był na się dyrekcyę, z mocą więcej absolutną, niż miał kiedykolwiek dyrektor sceny, moc ta bowiem nie zależała nawet od powodzenia. Dwór płacił wszelkie koszta, a dyrekcyja wolną była czynić doświadczenia jakie jęj się podobało. Robiła je więc, i te wszystkie się nieudały. Goethe pilnował *repetycyi* z wielką pilnością. *Król Jan* i *Henryk IV* Szekspira, jego własne sztuki *Wielki Kofta*, *Obywatel-jenerał*, *Klawigo*, *Rodzeństwo* (Die Geschwister) były wystawiane, ale z niewielkiem były przyjęte zajęciem; aktorowie byli mierni i źle płatni, a nie było wcale *audytoryum*, co by potrafiło utworzyć aktora uniesieniem i sądem. Audytoryum było zimne z powodu obecności dworu, rzadko odważyło się ono odezwać ze zdaniem, z poklaskiem, z wrzawą, w czém właśnie polega życie, tętno, pobudka do czynu. Parter nieśmiały był z powodu obecności dworu, dwór zaś nieśmiały z powodu Goethego. Nie krył się on wcale z pogardą zdania ogółu. „Dyrekcyja“ pisał on do swego podwładnego „postępuje podług swoich własnych widoków, wcale nie zważając na proźby publiki. Postanowiono raz na zawsze, że publiczność powinna być prowadzoną „will determinirt sein.“ Szyllerowi, co był tegoż prawie przekonania, mówił: „Nikt dwóm panom służyć nie może, a pewnie za pana nieobrałbym sobie ogółu tego, co zasiada w parterze niemieckiego teatru.“ Dobrze to mówić tak poecie, albo filozofowi, co gardzi dniem dzisiejszym odwołując się do przeszłości; ale dramat odwołuje się do zdania publiczności dzisiejszej; podczas kiedy dyrektor teatru będzie wyglądać sądu potomności, parter może pozostać próżnym.

„Wer machte denn der Mitwelt Spass?“

„kto będzie bawić współczesnych?“ pyta błazen w prologu do Fausta. Dramaturg, odwołując się do potomności,

podobny jest do mówcy owego, co mówi nie dla tego, aby przekonać słuchaczy swoich, ale słuchaczy, co mają się z czasem urodzić.

Widzowie wejmarskiej sceny pozwalali się traktować arbitralnie, ale nie można ich zmusić do tego, aby unosili się nad tém, co ich nudziło. Poddawali się oni w milczeniu. Burzliwy paradyz i wymyślny parter we Francyi i Anglii cierpi te tylko niedorzeczności, co ich bawią; za sędziego uznają tylko swoją własną zabawę. Zaszczepienie tego burzliwego elementu pomogłoby może było Goethemu i Szyllerowi w ich usiłowaniach, ostrzegając ich w wielu pomyłkach. Studenci z Jena mogliby byli zastąpić ten pierwiastek, gdyby byli oni częstszymi widzami, a z drugiej strony, gdyby zdanie ich mniej było kontrolowaném. Student z przyrodzenia i z professyi swojej jest nieuległym; studenci jenajscy dążność tę wypielegnowali w system. Być krzykliwym *burszem*, gardzić *Filistynami* (Philister), ciągnąć porządnie piwsko, zapewne niewystarczało jeszcze do tego, aby dać zdrowy sąd o sztuce; ale być młodym, pełnym życia i popędu, a przedewszystkiém być niezależnym w zdaniu, znaczyło mieć wszelkie przymioty potrzebne dla widzów teatru, a studenci ci wnieśli je byli właśnie do wejmarskiego parteru. „Bez nich“ oświadcza szanowny Klebe w swoim *Opisie Wejmaru* „sala nieraz byłaby próżną. Zwykle przychodzili wieczorem, a po sztuce odjeżdżali konno, albo wózkiem.“ Jeżeli ozywiali oni teatr, to z drugiej strony wyznać należy, gorszyli oni miasto. Imaginacya wystawia nam ich przybywających w kurzu, w ubiorach dziwacznych, chciwych ukazać się inaczej od „motłochu“ o ile tylko możność tego dozwalała; więc czapki wysokie jak wieże, z pstremi ozdobami, w kształcie kutasów, galonów i t. d., z pod nich spadały włosy długie, nieuczestane, mięszające się z wąsami zawieszonymi i brodami. Krótkie ich kurtki obszyte są rozmaitemi lamówkami: spodnie wyłożone skórą, jak do konia przystoi; w rękę długi harap, z którego klaskają potężnie, skoro wyjadą już z Webichtu, kierując się po moście ku mia-

stu; następują nieraz przy tém chóry pieśni studenckich. Starają się biedacy jak mogą zasłużyć na dany im powszechnie przydomek „*nieobyczajnych*.“ Kiedy studenci ci natłoczyli się na parter, wówczas wnosili weń pewien zaród entuzjazmu pomiędzy widzów; ale zapal ich był kontrolowany przez pewną osobę, co mało miała współczucia dla ich wybryków, a mianowicie przez Gehejmratha (radcę tajnego) Goethego. O nim Edward Devrient, w swojej wyborniej Historii sceny niemieckiej powiedział: siedział on we środku parteru; jego oko potężne rządziło i kierowało całym zgromadzeniem, co go obsiadało do koła; powściągało ono niechętnych, albo neutralnych. Raz, kiedy studenci jenajscy, których sąd arbitralny nie wiele mu się podobał, wyrazili byli opinię swoją za nadto gwarnie, on powstał i nakazał milczenie, grożąc, że każe wyprowadzić z teatru każdego, coby się ośmielił mięszać porządek w teatrze. Straż u drzwi trzymali huzarowie gwardyi książęcej. Podobna scena wydarzyła się była także w roku 1802, przy wystawieniu na scenie *Alarcos* Fryderyka Szlegla; widzom sztuka ta wydała się nudną; oklaski dane jej przez partyę dworską, obudziły śmiech i gwar ze strony studentów. Goethe powstał był i głosem grzmiącym zawołał: „niech się nikt nie śmieje!“ Nareszcie zaszedł był tak daleko, że zabronił widzom wszelkich oznak, tak pochwały jako i nagany. Niemógł znieść żadnej zawady w tém co się wydawało być dobrém. Krytyka była mu uległą; słysząc raz, że Bötticher pisał rozprawę o jego sposobie rządzenia sceną, oświadczył, że jeżeli tylko ona zostanie ogłoszoną drukiem, on złoży natychmiast urząd swój. Bötticher nie drukował artykułu swego.

Zachowując się względem ogółu tak despotycznie, można wyobrazić sobie łatwo, że musiał być dobrze surowym z aktorami. Obaj z Szyllerem byli tego przekonania, że względem aktorów nie można było być inaczej, jak tylko „lakonicznie rozkazującym“, nic bowiem nie można było dokazać z nimi rozsądkiem i grzecznością (*denn durch Vernunft und Gefälligkeit ist nichts auszurichten*), jak mówi

Szyller. Goethe, jako dyrektor, nie chciał słyszeć o żadnej opozycji, o żadnych celach egoistycznych, jakimi zwykle męczą dyrektorów, aktorowie. Chciał on, aby każdy z nich spełniał święcie co mu kazano. Opieranie się ściągało karę; Goethe posyłał mężczyzn na odwach, a kobietom stawiał u drzwi straż, zamykając je takim sposobem w ich pokoju. Z głównymi aktorami używał innych środków: raz kiedy Becker odmówił być grać małej roli w *Obozie Wallenszteina*, Goethe powiedział mu, że jeżeli on nie zechce grać tej roli, to on sam (Goethe) grać ją będzie, co od razu pokonało Becker'a, który wiedział, że Goethe dotrzymałby pewnie tego co powiedział.

Jednak, pomimo tego despotyzmu, był on zawsze wielkim, wspaniałym, kochanym człowiekiem; szanowali go aktorowie, co służyli pod nim. Kanclerz von Müller tak się odzywa: „Nigdzie więcej nie okazywał on potęgi swojej nakazującej obecności; poważny i ścisły w swoich wymaganiach, niezmienny w postanowieniach, prędko i skłonny do uznania chętnego wszelkiego pokuszenia się, uważny na wszystko, rzecz małą czy wielką, wyzywając w każdym ostatnie siły jego w spełnieniu zadania swego, w kółku ciasném, nieraz ze środkami miernymi, dokonywał on tego, co komu innemu wydałoby się niepodobieństwem. Jego spojrzenie zachęcające było już nagrodą; jego słówko życziwe nicocenionym darem. Każden czuł się większym i potężniejszym tam, gdzie go on sam postawił; pochwała jego stawała się niejako namaszczeniem na trudy żywota całego. Nikt z tych, co nie słyszeli, co nie widzieli z jakim przejściem się starzy weterani owych czasów współdziałania Goethego z Szyllerem, przechowują u siebie najdrobniejsze pamiątki tych bohaterów swoich, nikt, mówię, nie chciałby dać temu wiary. Jak często samo wspomnienie imienia ich wywołuje rumieniec zapału na oblicze.“

Okazuje się ze świadectwa Edwarda Devrient'a, że aktorowie licho byli opłacani. Nawet pani Jägemann, kochanka księcia, co była prymadonną i pierwszą aktorką razem, pobierała tylko sześćset talarów rocznie, a sześć-

set talarów, to około 100 funtów szterlingów. Oprócz tego, nie mieli uwolnień wakacyjnych, jak to się dzieje po innych teatrach, tak, że oprócz pensyi ich nic im jeszcze nie mogło się okroić. Wyjąwszy mierności świętej, nikogo Wejmar nie mógł pociągnąć do siebie; jednakże imiona magiczne Goethego i Szyllera pozyskały teatrowi temu kilku dobrych aktorów.

Sposoby, do jakich potrzeba się było uciekać, z tak małą i niedostateczną kompanią aktorów, mogą być poznane z następującej anegdoty. Wystawiono operę *Flet zaczarowany*, ale *królowa nocy* tak widoczne okazywała na sobie dowody miłości swojej względem swego króla, że niepodobna było pokazać jej na scenie w tym stanie. Nie można było mieć drugiej śpiewaczki; w tém trudném położeniu Goethe kazał jej śpiewać za sceną, podczas kiedy aktorka inna na scenie mimiką wypełniała jej rolę.

Kiedy przyjaźń Goethego z Szyllerem stała się ściślejszą, teatr począł przyjmować na się rzetelnie poważną postać. Ze swoim usposobieniem interessowania się szczerze tém wszystkiém co interessowało jego przyjaciół, Goethe przyjął był niektóre zasady Szyllera i począł był uważać teatr, jako środek ukształcenia moralnego narodu. Wystawiono *Don Carlosa*; nieco później *Egmont* został był obrobionym dla sceny przez Szyllera (w stylu melodramatycznym, co zdradzało upodobanie jego w efektach materyalnych); największém przedsięwzięciem było wypełnienie na scenie *Wallensztejna*. Effekt był ogromny i scena wejmarska, zdawało się, spełniła rzetelnie coś podobnego do ustanowienia nowego i wspaniałego stylu w przedstawieniu dramatyczném. Był to jednakże tylko przebłysk. Usiłowania dwojga tych poetów źle były nakierowane, jak to skutek wkrótce okazał. Dramat nie mógł być założonym w sposób temu podobny. Wiek dramatyczny przeszedł i nie mógł być wskrzeszonym, przynajmniej nie w tej formie.

„Szkoła wejmarska — powiada *Devrient* (*Geschichte der Deutschen Schauspiel-Kunst* s. 255), mówiący tu *ex-professo* i dla tego godny uwagi każdego, — chociaż potrzeba było

na to artyści „aby wydać coś, coby było podobnym do przyrodzenia“, ²⁴⁾ zatknęła przecież sztandar nowy szlachetności i piękna, przy którym wszelki objaw w krainie sztuki, mógł zostać poznany. Dążność panująca dotąd nie spuszczała z oka piękna, szukała przecież tylko *rzeczywistości pięknej*, — teraz, z subtelnym rozróżnieniem, żądano od niej *pięknej prawdy*. Dotąd *żywa przyroda* służyła za hasło, obecnie *smak wykształcony* miał być prawidłem. Aktorowie powinni byli odzwyczajać się od przyrodzonego im układu niemieckiego, dążąc do swobodniejszych, do uniwersalniejszych pojęć; musieli wznieść się od ciasnych szranków specjalności, osobowości, do przejrzenia tego, co powszechne, co idealne.

„Były to nadzwyczajnie nowe i ciężkie wymagania od aktora. Dotąd proste zrozumienie, uczucie żywe, wystarczało dosyć do tego, aby talent przyrodzony przemówił; zadanie to bowiem leżało w zakresie pojęcia każdego aktora. Teraz odwoływano się głównie do smaku jego; wymagano koniecznie by on miał instynkt delikatny, uczucia uszlachetnione, co w pewnym względzie przypuszczało w nim pewien zasób naukowego i archeologicznego wykształcenia; zamiast bowiem tego by przyrodzenie — jak to było dotąd — miało być wzorem, starożytne, (antyczne) stało się nim tak co do wysłowienia jak i do postaci. Stan współczesny wykształcenia klasy aktorskiej nieodpowiadał był wcale tym wymaganiom; cóż należało tedy począć w tej mierze? Szkoła wejmarska musiała była poprzestać na kostiumie; starała się zewnętrznymi środkami zaradzić temu, co rzetelnie z życia umysłowego powinno było wypływać, z przyrodzenia uszlachetnionego wewnątrznie. Ale nic innego nie pozostało było jej nad to jedno. Duch literatury naszej dążył był na przód z mocą niesłychaną do tego szczytu, z którego mogła była ona odtąd mierzyć się z literaturami innych narodów; starała się więc tedy zrobić postęp i w sztuce teatralnej, jaką by ona nie była.

²⁴⁾ Goëthe's Vorrede zu den Propyläen.

Gdyby postarano się posunąć wyżej wykształcenie aktorów o tyle, o ile to było koniecznym do tego, aby postawić je narówni z pochodem piśmiennictwa naszego, to by utracono chwilę sposobną, w której scena mogła być stać się ważnym środkiem w ukształceniu narodowym.

„Goethe i Szyller mieli to posłannictwo: podniesienia poezyi, podniesienia na szczybel wyższy życia umysłowego narodu; literatura była ich bezpośrednim przedmiotem, scena podrzędnym. Pracować, z zupełnym oddaniem się, nad sztuką dramatyczną, jedynie nad nią i przez nią, jak to czynili Szekspir i Moljer, nigdy im to na myśl nawet nie przyszło; równie niemieli oni zamiaru naśladować Lessynga, co przywiązał się był tylko do sztuki. Oni postawili byli siebie i poemata swoje na stanowisku niepodległego dramatu literackiego. Stare odszczepieństwo rodzajów objawiło się było nanowo; dramat uczony w przeciwieństwo dramatu narodowego; sztuka poetyczna na nowo otrzymała była przewagę nad sztuką dramatyczną. *Don Carlos* i *Wallensztejn* nie pisały się dla współczesnej sceny i mogły być zastosowanemi do niej tylko z wielkim trudem i z wielką ofiarą; pisząc *Fausta*, *Tassa* i *Córkę naturalną*, Goethe nie miał wcale na uwadze wystawienia ich na scenie, które musi być uważanem tylko jako proste doświadczenie teatralne. Najprostszym następstwem tego musiało być to, że od czasu, jak ci dwaj poeci poczęli obrabiać dzieła swoje powtórnie dla sceny, nie będąc w tej rzeczy wcale zanadto wymyślnymi, razem z tém, z pewnym rodzajem przemocy, posunęli naprzód sztukę wystawienia, i w tej rzeczy musieli takóŜ poprzestawać na tém, co dało się skutecznie samemi czysto zewnętrznymi środkami. Sztuka dramatyczna nie doszła jeszcze do tego punktu wykształcenia, aby mogła przygotować doskonale do zrozumienia i kierowania temi poematami, do odtworzenia ich niezależnie..... Teraz, gdyby ta szkoła nowa chciała stanowić powagę, co do uznanego powszechnie smaku, powaga ta musiałaby wykonywać się w pewien sposób despotyczny, w stosunku do aktorów jak i do widzów, od czasu

jak aktorowie i widzowie przesiękli głęboko naturalizmem. Jak nieszczęśliwy Neuber, jak Schroeder, w swoim ośmdziesiątym roku życia, Szyller i Goethe postawili się byli w wyraźnym przeciwieństwie ze smakiem większości. Zachowali oni pewne położenie arystokratyczne, w stosunku do ogółu, broniąc pierwiastku idealnego z całą mocą swego potężnego geniuszu; nawet nie obawiali się oni wyszydząć smak panujący najostrzejszą bronią satyry. Korrespondencya ich wykazuje pogardę ich dla masy i dla atletów smaku narodowego, z całą mocą i dobitnością, które zdają się być nierozłącznymi z zapałem dusz wielkich. Nigdy nie starali się oni o względy tłumu; nigdy nie starali się oni zastosować do smaku panującego, albo nawet do schlebienia mu choćby na chwilę jedną.

„Energija despotyczna, z jaką Goethe wynosił pierwiastek idealny w brew wszelkim trudnościom, musiała się była dać poznać w jego zawiadywaniu teatrem. Miał on posunąć naprzód sztukę dramatyczną i wywalczyć od ogółu poszanowanie formalne dla doświadczeń szkoły swojej; zadanie podwójne, które zmuszało go do przejścia Schroeder'a nawet w swoich rozporządzeniach.

„Jak wielką potrzeba było zwalczyć tu trudność, trudno jest ocenić dziś, kiedy wszelka rozmaitość wierszy wypowiada się łatwo na najlichszej scenie nawet. Język poezyi zaginął; pokuszenia się we względzie przywrócenia aleksandrynów nie udały się wszędzie; uczucie rytmiczności, które większe rozwinięcie opery wzmocniło zapewne pomiędzy artystami, nie było dotąd zrozumianem nawet, tém mniej zastosowaniem do języka. Nawet Mannheim, gdzie najczęściej robiono doświadczenia z jambicznymi wierszami, dalekim był od jasnego pojęcia zasady wersyfikacyi, czego dowodzi rozprawa mylna Ifflanda o tych wierszach jambicznych. Schroeder, w czasie przedstawienia *Don Carlos'a* w Hamburgu, wierny własnemu systematowi, wcale nie zwracał uwagi na stronę retoryczną. Zachodziły więc tu trudności podobne do tych, jakie przy końcu XVII wieku przeszkadzały upowszechnieniu się aleksandrynów i wpły-

wom poetów szkoły szląskiej na literaturę. Szczęściem jednak, że poeci, co wprowadzili byli nowy ten język metryczny byli wytrawnymi mistrzami w użyciu go, że mieli dość sposobności i mocy do rozwiązania praktycznego tego zadania. Kiedy raz tego dokonano, łatwo przyszło się naśladować, a pośrednik pełen wpływu, Iffland, chętnie sam ofiarował się w tym celu. Ale natychmiast wystąpiło było na plac zagadnienie drugie, a mianowicie, jak deklamować należy poprawnie rymy w *Obozie Wallensztejna*? Wielcy poeci obawiali się niebezpieczeństwa, jakie spotkać może deklamatora w nieregularności rymów, w pokusie uderzenia wyraźnego na nich; ale, dość szczęśliwie, rzecz tu prędko została załatwioną. Zdawało się jakoby średniowieczne wiersze narodowe były we krwi niemieckiej; potrzeba było tylko przypomnieć je, aby nauczyć wymawiać je naturalnie, płynnie, jak za czasów Hansa Sachsa i Jakóba Ayrer'a. . . . System dyrekcyi, zaprowadzony od Schroeder'a, w którym zaleta największa była przywiązana do repetycyi, jako podstawy wszelkiego wykonania artystycznego, został był także przyjęty od Goethego; w tym stanie rzeczy, w którym część retoryczna reprezentacyi była tak nową i tak nadzwyczajnie ważną, repetycye nie tylko że winne były być zwiększonymi, ale nadto powinny były jeszcze być dopełniane ćwiczeniem w czytaniu, w deklamacyi. Do tyła przy tych ćwiczeniach trudnym okazało się zachować rytm należyty, że Goethe, w gorliwości dowodzenia, dochodził czasami do tego, że chwycił za rękę główną ulubioną aktorkę i szarpał nią tu i ówdzie wedle miary jambicznej dopóty, aż wpoił w nią należycie jej zasadę. Rozwiązanie problemu nowego pociągało za sobą wiele prób cierpliwości świętej z każdej strony, a nie jeden zwyczaj, przeważny w dawniej metodzie, stawał się zawadą nie małą w nowej. Tak Goethe pisze do Szyllera, po jednej próbie: „Panna Teller mówiła wczora rolę księżnej do tego już stopnia dobrze, że nie czytała już fałszywie, ale za słabo, za nadto w sposobie repetycyjnym. Upewnia mię że na scenie będzie inaczej. Jest to powszechny kaprys aktorski;

nie mogę więc jój szczególnie o to obwiniać, chociaż głupstwo to jest główną przyczyną że żadna część ważna nigdy nie bywa wyuczoną należycie i że w końcu wiele zależy od wypadku.“

Nie tylko zachodziły trudności co do rytmu, ale także nie mało było biedy z wymawianiem. Język niemiecki jest prędkim w wymowie i ztąd staje się niedbałym w ustach ludzi nieokrzęsanych naukowicie; każda prowincya, niemal miasto każde, klasa każda, ma swój sposób odrębny wymawiania liter pewnych. Szwabi, Austriacy, a osobliwie Wejmarczycy dręczyli Goethego okropnie chrapliwą intonacją tego języka końskiego, jak go przezwiał był Karol V. „Są tu ludzie, co zdają się niewierzyć temu, aby litery b, p, d, i t, mogły być uważane powszechnie za cztery odrębne od siebie dźwięki,“ mówił poeta nasz Ecker-mann'owi; mówią oni tylko o twardém i o miękkim b, o twardém i o miękkim d, i zdają się myśleć w prostocie ducha, że niemasz wcale p i t. U tych ludzi *Pein* (trud) brzmi jak *Bein* (noga); *Pass* (paszport) jak *Bass* (bass). Tak aktor pewien, chcąc powiedzieć na scenie do kochanki aby zaprzestała wymówek swoich, zawołał: O Ente! (O kaczko!), chcąc powiedzieć O ende! (skończ, dość tego)!

Powodzenie Wallensztejna, które było rzetelnie teatralnym, a nie tylko artystycznym powodzeniem, zdawało się zadecydować bój na korzyść szkoły idealnej; zdawało się, ale tak istotnie nie było. Sztuka miała być odtąd wszystkiém. Do tyła Goethe wyniósł był swoją zasadę stawiania na pierwszym planie sztuki, że nie chciał znieść tego, aby aktor zapominał o widzach; zdaniem jego było, że w scenie pomiędzy dwoma aktorami, powinna była być zawsze uczuwaną obecność widza. Następnie więc nie pozwalał nigdy aktorowi stawać w profilu, albo odwracać się tyłem do widzów, albo mówić, odwróconym będąc od widzów, do głębi sceny, pod jakimkolwiek pretekstem. Mieli oni *recytować*, a nie wystawiać charaktery! W działaniu, obracał on na nice dawną swoją maksymę artystyczną i

chciał najprzód piękna, a potem prawdy: *erst schön, dann wahr*.

Nikogo to zadziwić nie powinno, że dążenie *kunsztu*, to zajęcie się wyłącznie ideałem, musiało być wyrobic rehabilitację najdoskonalszej formy drammatu, jaką niegdys dążność ta sama była porodziła: chce tu mówić o tragedyi francuzkiej, tak niemiłosiernie wysmianej niegdys przez Lessynga. Goethe sam przełożył *Mahometa* tragedye Woltera, która została wystawioną na scenie 1800 r., a potem *Tankreda*. *Adelphi* Terencyusza były przełożone przez Einzydla; *Jon* przez Szlegla; *Fedre* Eurypidesa przełożył Szyller; nareszcie *Narieczona messyńska* Szyllera pokazuje jak daleko pisarze ci oddalili się w końcu od idei narodowej, nowoczesnego drammatu. Wiencem tej fałszywej dążności, były komedye Terencyusza, wystawione w maskach rzymskich; tu się całkiem Goethe oddalił od wyrazu, stanowiącego podstawę nowożytniej sztuki. Tak fałszywy kierunek dość będzie ukazać, aby go ocenić. Jeden krok tylko pozostawał dyletantom — tym krokiem było przywiązać koturny aktorom i kazać im mówić po grecku lub po łacinie.

Podczas takowych przywróceń do życia form starożytnych, robiono doświadczenia nad Szekspirem, Calderon'em, Gozzi'm: (nad wszystkiem, oprócz nad jednym tylko żywotem ludu); ogłoszono Wejmar za szkołę wielką *kunsztu*, w co publiczność literacka wierzyła święcie. Ale druga publiczność? Na to odpowie sam Goethe: „Tu w Wejmarze zrobiono mi zaszczyt wystawienia na scenie mojej *Ifigenii* i mego *Tassa*, mówił Eckermannowi w starości. Ale jakże to było często? Zaledwo raz jeden we trzy, lub we cztery lata. Parter znajduje te sztuki nudnemi. Bardzo być może.... Rzetelnie zdawało mi się kiedyś, że Niemcy mogłyby mieć swój własny dramat; ale ponieważ pokuszenia o to nie miały mocy poruszenia serc tłumy — wszystko pozostało jak dawniej.“

Aby utworzyć dramat niemiecki, za pośrednictwem dzieł poetyckich i odnowień starożytnych, mogło być złu-

dzeniem tego tylko, co rzetelnie rzecz biorąc, nie był sam drammatykiem. Nie raz jeden zaprzeczałem Goethemu tego osobliwego rodzaju geniuszu, co tworzy drammatycznych pisarzy; zaprzeczenie to nie opiera się jedynie na oczywistym czynie (fakcie) dzieł jego, ale zdaje mi się, udowadnia się najwyraźniej tłómaczeniem Szekspira (*Romeo i Julia*), dokonaniem przez niego. Nie mało szczycił się Goethe z przekładu tego. Rzecz, istotnie nie małego interessu literackiego; ale rozbiór następny przekładu tego, nie tylko uwydatni nam sposób zapatrywania się Goethego na sztukę drammatyczną, lepiej niż jakiegokolwiek bądź własne jego dzieło: ale nadto pokaże nam to, że nie można było się spodziewać od poglądu podobnego reformy drammatu.

W 1811 roku wziął się był Goethe do przerobienia *Romea i Julii* dla sceny; tak jak niedawno praca ta Goethego została odszukana i wytłoczona od Boas'a (*Nachträge zu Goethe's Werken*) to możemy z łatwością zastanowić się nad nią. Nie masz może drugiej podobnej sztuki Szekspira, której zarówno mogliby się wyprzec i poeta wielki i wielki drammatyk, jak *Romeo i Julia*; podczas kiedy tu objawiają się instynktowie niejako życie, charakter i ruch drammatyczny, z drugiej strony sztuka ta może stać pomiędzy utworami najgorzej napisanemi z całego repertoaru Szekspira. Młodość i niewprawność stylu widoczna w każdej scenie prawie. Częsty rym, nadętość retoryczna i koncepta niesmaczne, wyrażenia nietrafne, i brak téj namiętnej i głębokiej poezyi, jaka koloruje zwyczajnie wielkie utwory poety tego, dowodzą jasnie, że jest to jedno z najpierwszych dzieł Szekspira. W wielu z wielkich sytuacji znajdziemy długie tyrady retoryczne, albo koncepta płaskie, zamiast tego mężkiego języka, technącego namiętnością, którym w okresie późniejszym, tak wybornie umiał władać poeta. Tak np., kiedy Julia zostając w niepewności, czy *Romeo* żyje czy umarł, jest jak nie swoja, mówi osobliwszą mową, pełną dwuznaczników, wcale nie w miejscu. Zapewne, że znajdą się krytycy co zechcą bronić tego ustępu (czegoż bowiem nie broniono

w Szekspirze?) i znajdą właściwe do tego argumenta, aby okazać, że to najrzetelniejszy język namiętności:

I am not I if there be such an I.

Ja nie jestem ja, jeżeli tylko jest jakie ja!

Nie radziłbym przecież żadnemu nowoczesnemu pisarzowi pisać tak jeżeli chciałby sobie pozyskać względy tych samych krytyków. Ustępy, jak następny, są dosyć częste. Kapulet stary, widząc córkę swoją w żalu, mówi:

Mży niebo rosą po zająściu słońca;
Ale po zająściu mego synowca
Ulewą lejesz.
Dziecko czyś rynna? We łzach bez końca?
Zawsze li płakać? Osobą małą
Barkę i morze z wiatrem przedstawiasz:
Morze twe oczy, z nich się łez toczy
Wylew i odlew, barka twe ciało,
Płyne w łez morzu, wiatrem westchnienia,
Co się wćiekając ze łzą jak z falą —
Jeśli nie będzie uspokojenia —
Łódź skołatana ciało obalą.

O ile tylko mogę tu wydać zdanie moje, jest to wyraźnie styl chłopcica; a nie mało miejsc podobnych w całym dziele.

Nie należy przecież myśleć, że nie czuję cudnego uroku utworu tego starego Wiljama, utworu, co się podoba powszechnie, dla swoich zalet uderzających. Jest to dzieło Szekspira *młodego*, ale zawsze niezaprzeczenie jest dziełem Szekspira. Nie tylko oddał on rzecz z osobliwszém życiem i różnaitością, ale jeszcze natłoczył tu charakterów wiele i ożywił je rzetelnie dramatycznemi powodami. Przypomnijmy sobie Kapuleta starego, Tybalta, Mamkę, Piotra, Grzegorza i Samsona, Aptekarza, wszelkie figury ustępowe, a przecież zachowujące zawsze dobrze nacechowaną osobowość! Zaledwo pęzlem dotknie płótna, a przecież wystają od razu na tle jego postacie wyborne, żywe a rozmaite. Dość jest tylko wymienić figury główne Romea i Julii, Merkucya i braciszka Wawrzyńca.

Każdenby pomyślał sobie, że gdyby inny jaki dram-

matyk zechciałby zająć się poprawieniem wad dzieła tego, od razuby przystąpił do tych części, w których dramat wydaje się być najslabszym, a tym sposobem oczyścić żniwo bogate pomysłów dramatycznych od wszelkiej plewy niepotrzebnej. Niktby zapewne tego nie przypuścił, że taki dramatyk poważy się na ujęcie całości niektórych z tych odcieni, co nadają życie charakterom, albo na te sposoby dramatyczne wystawienia rzeczy, które ożywiają scenę. Przecież to i tylko to jedno zrobił Goethe.²⁵⁾

Szekspir otwiera sztukę żywą ekspozycją nasieklą celem artystycznym, a zatrzymującą uwagę widza na tém co mu wiedzieć należy. Słudzy Kapuleta gawędzą sobie na ulicy Werony, a zaledwo spotykają się z nimi słudzy Monteka, jak natychmiast przychodzą z sobą do czubów i pięści. Tybalt i Benvolio nadchodzą na tę bójkę; stary Kapulet i Montek stary nie długo po nich już są na placu. Całe partye dwojga domów — tego co jest właśnie węzłem sztuki — żyją przed oczyma naszymi. Ukazanie się księcia, grożącego śmiercią pierwszemu co poda powód do zamęcenia pokoju Werony, wyprowadza drugi punkt tragiczny. Cały wykład jest mistrzowską próbką sztuki dramatycznej. Ale Goethe tak mało miał uczucia tego co jest rzetelnie dramatyczném, że wymazał był właśnie ten ustęp, a rozpoczął przekład swój, jakby jakiej opery komicznej, chórem służących, szykujących girlandy i lampy przed mieszkaniem Kapuleta.

Maski wchodzą do domu. Romeo i Benvolio wchodzą i *rozmawiają*. Opowiadają oni o téj kłótni familijnej, którą Szekspir *pokazuje* widzowi. Romeo wspomina o Rozalindzie, wszelkie jednak hyperboły fantastyczne żądzzy, które wypowiada Romeo Szekspira (w sprzeczności prostej z wyra-

²⁵⁾ W liście do pani Wolzogen mówi tak o téj świeżej pracy swojej: Zadanie, którego się przytrzymałem było takie, aby skupić wszystko to co było najwięcej zajmującego w sztuce i zgodzić to w pewnej harmonii całości, Szekspir bowiem, idąc za popędem swego geniuszu, czasem swoim i swoją publicznością, musiał być wstawić tu wiele tego, co nie było zgodném z całością, aby schlebić panującemu smakowi.

zem namiętności późniejszej dla Julii) zostały wymazane. Obaj wchodzą do domu Kapuleta, w którym Benvolio obiecuje pokazać im pięknniejszą daleko twarz niż oblicze Rozalindy. Nim wejdą do domu jednakże przybywa Merkucyo; w tém miejscu zwolennik Szekspira zmarszczy zapewne czoło, patrząc jak Goethe popsuł niemiłosiernie ten utwór poetycki. Nietylko sławna mowa Maby została opuszczoną, ale Merkucyo oświadcza, że nie może się ukryć pod maską nawet, że zostanie wyprowadzony z balu, bo go poznają po ruchach układnych, po właściwym mu wdzięku; zacytujemy tu ten ustęp:

ROMEO. Chodź z nami. Weź płaszcz, wdziej maskę na się.

MERKUCYO. Darmobym brał na się maskę, nicby mi nie pomogła ona; dziecię mnie każde zna tutaj i muszę być znanym. Znakomitą jestem osobą; jest pewna cecha w twarzy méj i w głosie, w moim chodzie, w każdym mym ruchu.

BENVOLIO. Czy tak? Taki urok ma twoja arlekinowska postać?

MERKUCYO. Łatwo bo jest wam gadać, wam trzcinikom i chudeuszom. Wieszacie na sobie ile chcecie i kto was tam rozpozna? Co do mnie, ja w najcięższym płaszczu, z najpotężniejszym nosem z kartonu, niech tylko wejdę, a niechybnie ktoś już szepnie za mną: oto idzie Merkucyo! Na honor, to Merkucyo! Rzetelnie byłoby to wcale nieznośną rzeczą, gdyby to razem nie schlebiało dumie własnej. Ale ponieważ jestem Merkucyem, niech więc nim zostanie, Merkucyem nazawsze. A teraz do widzenia z wami; pamiętajcie popiszcie się dobrze, co do mnie, ja poszukam przygód na mojej poduszce. Sen zdrowy mię pokrzepi, podczas kiedy wy ubiegać się jeszcze będziecie za czczemi snami. Ja będę zdrów i wesół, przespawszy się wybornie, podczas kiedy niewyspani i znięczeni będziecie ziewać sentymentalnie. (Odchodzi.)

Oto w kogo został zamienionym Merkucyo Szekspira! Następują sceny na balu. Mamka wchodzi wprawdzie, ale cała jej osobowość zniszczona; każdy z rysów charakterystycznych został starty gąbką. Zmiany w tej scenie nie

są ważne; główna jest wprowadzenie na bal księcia, który wchodzi z Merkucyem; celem jego było złączyć razem Kapuletów z Montekami i w ten sposób przywrócić przyjaźń pomiędzy temi domami. Znow mówią tu o stariej waśni, jakby mowa mogła zastąpić miejsce czynu! Reszta sztuki następuje tak prawie jak jest ona w oryginale; dwie tylko zmiany dają się postrzegać; jedna jest poprawą, druga niedorzecznością.

Rozpocznijmy od niedorzeczności. Wie to czytelnik z jaką mocą Szekspir oddał sprzeczność pomiędzy spokojnym, szanownym Parysem, oświadczającym się przez rodziców o rękę Julii, a zapalonym Romeo, który wprost sam udaje się do niej; jeden stara się o przyzwolenie ojca, nie troszcząc się o dziewczynę; drugi stara się o przyzwolenie panny, nie dbając o nieprzyjaźń ojca. Co może myśleć sobie czytelnik o pojęciu dramatyczności Goethego, posłyszawszy, że ten zniósł całkiem sprzeczność ową: Parys zaleca się do Julii; długo ubóstwiał ją w milczeniu, zanim odważył się oświadczyć rodzicom jej o jej rękę!

Druga zmiana jest udoskonalenie dramatyczne, które zapewne obudzi w czcicielach Szekspira głośne krzyki. Dotyczy ono zakończenia sztuki; kończy się ona śmiercią Julii, a mnich w krótkim monologu wyraża jej morał. Nic nie może być więcej niedramatycznego, więcej nudnego, jak owe długie streszczenie rzeczy powszechnie każdemu znajomiej, którym Szekspir kończy sztukę swoją.

To tłumaczenie *Romea i Julii* nie tylko że było wystawiane na scenie wejmarskiej, ale do ostatnich kilku lat, odgrywało się stale na scenie berlińskiej! Krytycy berlińscy niekontenci byli tylko z zakończenia, jak dowiadujemy się o tém od Zeltera. Gniewali się za to, że uwolniło ich od nudy.

Wróćmy do Wejmaru i jego szkoły dramatycznej. Dość już było powiedziane o cechach pokuszeń Goethego i Szyllera w celu utworzenia dramatu narodowego niemieckiego, pokuszeń, których nieudanie się chociaż nieuniknioną było rzeczą, jednakże niepodobna patrzeć na nie bez współczu-

cia, dla pięknego celu jaki je ożywiał. Cel ten został był źle pokierowanym; zawsze przecież sam błąd ten był szlachetnym marzeniem dwojga dusz wzniosłych, wznoszących się *po nad* wymagania wieku swego. Nie mogli byli myśleć, aby dramat, na którego poglądali jako największą formę kunsztu, mógł być przestać być czémś ważném, a zostać tylko czczą zabawą.

Ze śmiercią Szyllera czynne zajęcie się Goethego teatrem ustało. Wielki marszałek hrabia von Edeling został był mu dodany, jako czynny superintendent, ale bez władzy stanowczej, która jeszcze pozostawała w ręku Goethego. Było to ku końcowi roku 1813. W 1817 roku syn Goethego, August, został był dodanym do dyrekcji. Tak teatr został był przeładowanym naczelnikami, z których jeden był Gehejmrathem, z władzą zupełną, ale nie czynnym, drugi wielkim marszałkiem, a trzeci paziem dworskim. Nie lepiej szły rzeczy za sceną. Oddawna knuła się intryga, pod przywództwem Jägemann, aby zmusić Goethego do złożenia urzędu. Pomiedzy kochanką księcia a jego przyjacielem nie było nigdy wielkiej przyjaźni. Naturalnie musiała ona zazdrościć władzy Goethego. Będąc aktorką, zostającą pod jego dyrekcją, musiała była ona mieć tysiące drobnych powodów do skargi. Gdyby poeta mniej był mocno położonym w łasce książęcój, to współzawodnictwo nie mogłoby było trwać tak długo. Nareszcie przypadła jedna okoliczność.

Około 1817 roku był aktor jeden na imie Karsten, którego pudel odgrywał rolę w dobrze znanój melodramie „*Pies z Montargis*“; talent sceniczny psa był tak wysoki, że ścigał on do siebie ogromne tłumy tak w Niemczech jak i w Paryżu. Można sobie wyobrazić z jaką smutną wzgardą Goethe słyshał o tém. Jakto, sztuka dramatyczna miała przyjmować pudla! On, co nie cierpiał psów zawsze, słyshał o tém, że pies na wszystkich teatrach odgrywał rolę i odgrywał ją z lepszym powodzeniem niż najznakomitsi aktorowie. Korzystano tedy ze sposobności. Książę, który tyle lubił psy, ile Goethe ich nie cierpiał, został

proszony usilnie, aby zaprosić Karstena z jego psem do Wejmaru. Kiedy Goethe słyszał o tém, odpowiedział dumnie: W postanowieniach teatru naszego stoi: „*psy nie wpuszczają się na scenę*“; i powiedziawszy to nie zwrócił więcej uwagi na ten interes. Ale ponieważ książę napisał był już zapraszając Karstena i jego psa, Goethego opozycję uważano za kaprys osobliwszy, „dziwiono się chytrze jak Goethe mógł podobnemi głupstwami sprzeciwiać się woli księcia“. Pies przybył. Po pierwszej próbie, Goethe oświadczył, że nie chce mieć nic do czynienia z teatrem, na którego scenie występował pies. Wyjechał natychmiast do Jena. Nieprzyjaciele jego pracowali usilnie. Książę był nieukontentowany z powodu dąsów ministra. W przystępie złego humoru napisał następujące ogłoszenie przylepione w teatrze i przesłane Goethemu.

„Ze zdań wyrażonych a doszłych do mnie, przekonałem się, że pan tajny radzca v. Goethe życzy sobie być uwolnionym od obowiązków intendenta teatru, na co się zgadzamy.

Karol August.“

Nie można było wymyśleć więcej obrażającego uwolnienia od służby nad to. W księciu był to tylko wybryk temperamentu rozkazującego i brutalstwa, psującego piękne jego przymioty; Goethego raz ten ugodził był ciężko. „Karol August nigdy mnie nie pojmował,“ zawołał on z westchnieniem głębokim. Obraza podobna, zadana najznakomitszemu człowiekowi swego kraju, uraza pochodząca od jego przyjaciela i towarzysza żywota, co był dla niego przez cały czas 42letniego pożycia więcej przyjacielem niż monarchą, co odezwał się był raz, że jeden grób kości ich połączy, i wszystko to pękło z powodu psa, a za tém ukrywała się intryga nędznej istoty! Myśl opuszczenia Wejmaru nazawsze i przyjęcia w Wiedniu wspaniałych, czynionych mu propozycji, wciskała się mu gwałtownie do głowy.

Ale, należy mu oddać tę sprawiedliwość, książę uczuł wiele z powodu porywczosci swojej i napisał do Goethego

list skłaniający go do zgody. Chmura przeszła; ale żadna prośba nie mogła już była nakłonić Goethego do przyjęcia zarządu teatru. Mógł on wybaczyć słowo porywcze i czyn nieogłędny swego przyjaciela; dumniejszym był jednakże od księcia i stałym był w postanowieniu swoim nie mieć w niczem do czynienia z teatrem, na scenie którego występował pudel.

Co za sarkazm, a obok sarkazmu jaki morał kryje się w tej historyjce. Sztuka, której niechce Wejmar, ustępuje miejsce pudlowi!

Doszliśmy w opowieści naszej do roku 1817; musimy teraz cofnąć się do roku 1800. Szyller osiadł był właśnie w Wejmarze; do końca lat swoich spędzał on tu żywot swój na szlachetnych usiłowaniach i pracach, przedsięwziętych we wspólnictwie z wielkim przyjacielem swoim. Może zajmującą dla czytelnika naszego byłoby rzeczą mieć wyobrażenie codziennego trybu życia Goethego, tém więcej, że podobnej wiadomości nie dostarczy mu żadne z dzieł ogłoszonych drukiem.

Goethe wstawał o godzinie siódmej, niekiedy wcześniej, po zdrowym i długim śnie, bo równie jak Thorwaldsen, „miał on być dar spania,“ któren mógł być tylko zakasowanym drugim jego darem, talentem do pracy ciągłej. Do godziny jedenastej pracował bez przerwy. Wtedy przynoszono mu filiżankę czekolady, po wypiciu której szła dalej praca do godziny pierwszej. O drugiej obiadował. Był to główny posiłek jego dzienny. Apetyt miał ogromny; nawet wtedy skarżył się na brak apetytu, gdy zjadał więcej od innych. Puddynge, cukry i ciasta były zawsze pożądanymi daniami; przesiadywał długo u stołu przy kieliszku, gawędząc wesoło z przyjaciółmi, albo ze znajomymi (nigdy bowiem sam nie obiadował), albo z aktorem jakim, z którymi miewał po obiedzie zwykle rozmowy; odczytywali mu role swoje, albo przychodzili do niego po dyspozycję. Lubił wino i wypijał dziennie stale po dwie i trzy butelki.

Bodajby wiadomość ta miała sprawić na czytelniku

moim nieprzyjemne wrażenie, musiałem jednakże podać ją tutaj; przecież owe czasy były powszechnie czasami butelkowemi; pito w Anglii porządnie i nierzadko można było spotkać u nas człowieka trzybutelkowego (jak w Turcyi trzybuńczuczno paszę).²⁶⁾ Goethe, syn kraju nadreńskiego, od dzieciństwa nawykły do wina, pił winko, które jego angielscy koledzy nazwaliby pewno wodą albo kwasem. Ilość wypita rozweselała go tylko, nigdy zaś nie czyniła go niezdolnym do pracy albo towarzystwa.

Przy winie więc przesiadywał kilka godzin; w owe czasy nieznano wcale deserty, nawet zwykłej dziś kawy czarnej po obiedzie. Sposób życia Goethego nadzwyczajnie był skromnym a prostym; nawet kiedy świece woskowe używane były w niezamożnych bardzo domach, u niego gorzały stale łożówki. Wieczorami często chodził do teatru i tu zwykła jego szklanka ponczu dopędzała go w bufecie o szóstą. Jeżeli nie był w teatrze, przyjmował u siebie przyjaciół. Pomiędzy ósmą a dziewiątą podawano mu skromną wieczerzę, ale zwykle jadał tylko sałatę, albo marynowane owoce. O dziesiątej zwykle był już w łóżku.

Wielu go odwiedzało. Było to przyjemną ale razem i ciężką rzeczą dla Goethego, że każdego z przejeżdżających przez Wejmar składał stale czołobitność swoją Goethemu. Nieraz odwiedzający ci byli ludźmi znakomitymi; ale też częściej daleko byli tu nudni goście, ludzie z pretensjami naukowemi albo literackiemi, które czyniły je stokroć jeszcze nieznośniejszemi. Dla tych, którzy mu się podobali, był nadzwyczaj uprzejmym i przyjemnym; dla innych był znowu małomównym, sztywnym i oziębłym.²⁷⁾

²⁶⁾ W Polsce pić butelkami w okresie saskim nie znaczyło pić; pijacy sławni wysuszali antały, a nawet półbeczki wina. (Przyp. *Włomacza*.)

²⁷⁾ Musimy tu podać dla tych, coby nie znali szczegółu tego, opis przyjęcia przez Goethego dwóch młodych natenczas poetów polskich A. Mickiewicza i Odyńca (1829 r. 17—28 Sierpnia).

Adam miał listy polecające go Goethemu od pani Maryi Szymanowskiej, sławniej w owym czasie fortepianistki, a przyjaciółki obydwóch poetów Goethego i Adama. Jej rekomendacya zjednała dwóm młodym Polakom nadzwyczaj uprzejme przyjęcie. O pani Szymanowskiej (do której wiersz, napisany w jej albumie, każdy może odczytać w dziełach Goethego) mówił gościom swoim: „Elle est charmante

Dla tego to jedni odzywają się o nim z entuzjazmem, jaki tylko może być obudzonym przez podobny mu geniusz, inni zarzucają mu dumę, sztywność i chłód. Nieraz natrafiamy na odczarowanie, a nawet na urazę, wywołaną

comme elle est belle, et gracieuse comme elle est charmante!“ Skoro tylko Adam oddał o godzinie 10 rano wizytę i listy pani Otylii (synowej Goethego) w jej mieszkaniu w mieście, sam Goethe bowiem mieszkał za miastem, zaprosiła natychmiast podróźnych naszych tegoż samego dnia na wieczór do siebie, na którym jednakże Goethego nie było. Ale raniutko nazajutrz przyniesiono do ich mieszkania dwa bilety wizytowe Goethego, a od pani Otylii zaproszenie na obiad. O południu przysłała po nich powóz swój, który zawiózł poetów polskich do wiejskiego ustronia niemieckiego wieszca.

Służący starszek czekał już na gości przy furtce ogrodowej i zaprowadził na górę do salonu, gdzie przeszło kwadrans czekali na Goethego. Po upływie czasu tego posłyszeli stąpanie starca-poety. Adam zacytował wiersz Kiszki-Zgierskiego (najnieodrzeczniejszego, jak wiadomo, ówczesnego wierszopisa): „*słychać chodzenie i górnie stąpanie*,” a podczas kiedy się śmieli z tej osobliwszej w tej chwili cytaty, wszedł Goethe i z dziwnie miłym, pełnym dobroci wzrokiem i uśmiechem powitał ich i z kolei uściskał każdego za rękę. Pierwsza rozmowa była o pani Szymanowskiej, potem o literaturze polskiej, którą, jak sam powiadał, znał mało i żałował, że żadnego języka słowiańskiego nie umiał. Ale dodał: *L'homme a tant à faire dans cette vie!* O Adamie wiedział z dzienników i znał niektóre wyjątki z Wallenroda, przełożone na niemieckie przez pannę Janisz, przyjaciółkę Adama w Moskwie, a drukowane w *Leipziger Jahrbücher*, gdzie także czytał tłumaczenie *Branki Odyńca*, świeżo wówczas ogłoszonej w Meliteli. Chwalił żywość akcyi i stylu, *autant que je puis juger par la traduction*. Rał był bardzo gdy mu Adam powiedział, że każda prowincya polska ma swoją cechę oddzielną w pieśniach, i sam to drugim potem przy obiedzie powtarzał. Pytał potem gości swoich o zamiary ich podróży dalszej i wspominał czule o Włoszech, zazdrosząc im że się tam udają, zkąd i on — jak to widzieliśmy już w dziele tém — wywiózł za młodu najmilsze wspomnienia. Z kolei mówił znowu o pani Szymanowskiej, wspominał o kilku innych znajomych sobie niegdys Polakach, a pomiędzy innymi o Janie Potockim i o księżnej Lubomirskiej, którym wielkie pochwały oddawał. Żałował że dla deszczu (który właśnie padał), nie mógł nas oprowadzić po swoim ogródku. „Ale będę miał przyjemność cieszyć się z towarzystwa panów u stołu, w domu mojej synowej; będziemy mieli tam kilka pięknych pań i panien; spodziewam się że to sprawi wam ukontentowanie,” dodał z uśmiechem, obracając się do Odyńca. Zaśmieli się oba i on, śmiejąc się także, podał im znowu rękę i pożegnał. Gdy już wyszli uchylił jeszcze drzwi i powtórzył: „*Au revoir*“. Ten sam ton uprzejmej życzliwości, poważny z Adamem, wpółzartobliwy z Odyńcem, zachował przez cały czas pobytu ich w Wejmarze. Pobyt ten przedłużył się nadspodziewanie, bo na zaprosiny pani Otylii zostali do 28 Sierpnia, 80tej rocznicy urodzin Goethego, który miał być nadzwyczaj świetnie obchodzonym. Przez ten czas byli trzy dni na obiedzie, a pięć czy sześć razy na wieczery u pani Otylii, wraz z Goethem. Poznali w Wejmarze Dawida d'Angers, rzeźbiarza, który przybył był do Wejmaru dla zrobienia biustu Goethego; wykonał on medalion Adama. Sam zaś Goethe przysłał był dnia jednego młodego malarza do Adama, z listem własnoręcznym, prosząc go aby pozwolił mu zdjąć swój portret, gdyż chciałby był tak interesującego gościa mieć

jego przyjęciem. Minister przywodził do rozpaczony tych, co przybywali byli do Wejmaru dla widzenia natchnionego poety. Tak jak ci goście zwykle bywali autorami, naturalną więc rzeczą było, że niezadowoleni mścili swoją obrażoną miłość własną epigramatami i krytykami. Zacytujemy tu jeden tylko z wielu przykład: Bürger, któremu w pewnym razie pomógł był bardzo Goethe, przybył do Wejmaru i przedstawił się Goethemu w tym pysznym stylu: „Pan jesteś Goethe — a ja jestem Bürger,“ widocznie, zafany w swojej wielkości, chciał mu ofiarować pewien sojusz. Goethe przyjął go z największą dyplomatyczną grzecznością i formalnością; zamiast rozmowy literackiej, rozprawił ustawicznie o stanie uniwersytetu Göttingńskiego i o liczbie studentów jego. Bürger wyjechał rozgniewany w najwyższym stopniu i zemścił się za to przyjęcie epigramą, opowiadając przytém każdemu, czego był doznał od tego dumnego, zimnego, dyplomatycznego *Geheimratha*. (Bo téż rzetelnie było za co; autor balady *Lenora* miał być prawo niezaprzeczone do innego przyjęcia; ale w takich razach zwykle inaczej należy tłómaczyć podobne obejście: chłód Goethego pochodził najpewniej z nieukontentowania, jakie obudzał w nim rozgłos imienia Bürgera po całych Niemczech. Są autorowie pobłażliwi dla mierności, a chłodni dla wszelkiego geniuszu. Nie brak ich nigdzie.) P. T. i inni doświadczyli byli na sobie tego samego, a publiczność, chciwa zawsze zgorszenia, zawsze wierzyć gotowa, że człowiek wielki jest w istocie maluczkim człowieczkiem, wtórzyła tym głosom przemożnym chórem. Wiele z tego wypływało z trzymania się Goethego, które było sztywne aż do dumy. Pozór tak imponujący, że Hejne opowiada o nim, z powodu pierwszego z nim widzenia się, jak sama jego postać jowiszowska wymazała była całkiem

w swojej koleceki znakomitych, znajomych sobie ludzi. Dał mu na rozstaniu swój autograf, a na prozbę darował obu poetom naszym po piórze. (Ze wspomnienia o życiu A. M. Kaz. Wład. Wojcickiego).

Widzimy że przyjęcie poety naszego było takie, jakiego tylko żądać można było dla niego od Goethego.

z jego pamięci wcześniej a mozolnie przygotowaną do niego mowę; wyjął on tylko uwagę swoją „o śliwkach wybornych, rosnących po drodze z Jena do Wejmaru.“ Mina imponująca gniewa małe istotki; Goethe zaś mógł być pozyskać przyklask powszechny, gdyby nie nosił był wysokiej rogówki i nosił włosy długie, spadające na ramiona, jak zwykł był nosić je *Jan Paweł* (Fryderyk Rychter).

Wzmianka o Rychterze prowadzi mię do zanotowania tu wrażenia jakie wywarł był na nim Goethe: „Nieśmiało przyszedłem był do niego. Każden opisywał mi go jako zimnego i nieczułego dla wszystkiego na świecie. Pani von Kalb powiedziała mi, że oddawna nic on nie podziwia, nawet przestał się dziwić sobie samemu. Wszelkie słowo jego ścięte było lodem. Jedna tylko ciekawość jeszcze poruszała niekiedy fibrami jego serca; prosiłem więc Knebla czyby nie mógł mię spetryfikować w jakiej studni mineralnej, aby mię mógł mu pokazać potem jako jaką kopalność, albo zabytek sztuki dawniej.“ Jak tu czuć zdaleka plotkę wiejską! Dla Wejmarczyków dziwactwem i czémś potworném wydawał się był zapał Goethego dla posągów i płodów przyrodzenia. „Dom jego — mówi dalej Jan Paweł — albo raczej jego pałac podobał mi się; jest on jedyny w całym Wejmarze, zbudowany w stylu włoskim; a jakie wschody! Jest to pantheon, pełen obrazów i posągów. Na widok tego wszystkiego nowa niespokojność objęła mię. Nareszcie wyszło ku nam bożyszcze zimne i małomówne. „Francuzi, odezwał się Knebel, idą na Paryż!“ Hm! mruknął na to bożek. Twarz jego jest massywna i pełna życia; oko jego to kula ognista! Nareszcie, ponieważ rozmowa nasza zwróciła się ku sztuce, ożywił się trochę bożek i był już sobą. Rozmowa jego nie jest tak bogatą i kwiecistą jak rozmowa Herder'a, ale wraża się głęboko, jest spokojna i dowcipna; nakoniec przeczytał nam, albo raczej oddał przed nami, nieogłoszony jeszcze drukiem poemat, w którym płomienie serca jego przebijają się przez zewnętrzzną korę lodową; przyszło do tego, że zapał mój dla utworu został wynagrodzonym uściśnięciem dłoni mojej ręką autora. Powtó-

rzył to, kiedyśmy go opuszczali, i prosił mię, abym go odwiedzał. Dla Boga, będziemy się kochać! Zawód swój poetyczny uważa już za skończony. Sposób czytania jego jest nieporównany z niczém! Przypomina ono grzmot odległy, za którym puszcza się deszcz kroplisty, kołysząc cię przyjemnym szmerem swoim!“

Teraz zobaczymy co mówi *Jan Paweł* o Szyllera. „Wczora poszedłem poznać skalistego Szyllera, od którego wszyscy podróżni odskakują jak od przepaści. Postać jego wyniszczona, ale z tém wszystkiém mocna, chociaż koścista. Cały kształt jego złożony z ostrzy, chociaż bez pocisku miłości. Rozmowa jego tak jest wyborna jak jego pisma.“ Niepowtórzył nigdy tych odwiedzin u Szyllera, który zapewne zgodził się całkiem na to co pisał do niego Goethe. „Rad jestem z tego żeś poznał Rychtera. Jego zamiłowanie prawdy, jego chęć ukształcenia się usposobiły były mię ku niemu; ale człowiek społeczny jest, w pewnym sposobie, człowiekiem teoretycznym i wątpię bardzo czy się zbliży on ku nam na drodze czynu.“

Jeżeli dla obcych i dla ludzi z pretensjami Goethe wydawał się chłodnym i odpychającym, był on za to gorącym i pociągającym dosyć dla tych wszystkich, z którymi mógł być sympatyzować. Braterski dla Szyllera i Herder'a, był on z uczuciem ojcowskiém dla takich ludzi, jakimi byli Hegel, naówczas nieznany nauczyciel domowy, i Voss, syn tłumacza Homer'a. Budził on ku sobie przywiązanie namiętne we wszystkich, co byli z nim w poufałej zażyłości; jak namiętą nienawiść w tych wszystkich, których nie życzył był przypuszczać z sobą do poufałości.

Początek wieku tego zastał Szyllera czynnym i pilnym w wynajdywaniu pobudek, potrzebnych do obudzenia działalności w jego przyjacielu. Ale geniusz Goethego zajmowały obecnie teorye; rozrywały go rozmaite zajęcia. Nie był on poetą ducha rozmyślającego i krytycznego jak Szyller, ale samodzielny, instynktowym poetą. Następstwem tego było to, że nie tylko rozmyśl opóźniał pracę jego, ale nadto wprawiał go w symbolizm, ciemny zakątek owego

jasnego przybytku sztuki, który był jego świątynią przez cały żywot jego. Wziął się był na nowo do Fausta i napisał do niego intermedyę „*Helene*.“ Zajmował się wiele teatrem i nauką. Ku końcowi roku zachorował niebezpiecznie, co niepokoiło było wielce księcia i Wejmar cały, o której to chorobie pisała wyżej pani Sztejn. W kilka tygodni przyszedł był do siebie i zajmował się przekładem dzieła Teofrasta „*O kolorach*,“ „*Faustem*“ i „*Córką naturalną*.“

Podczas kiedy dwaj naczelnicy literatury niemieckiej współubiegali się z sobą w ten sposób, kochając się wzajemnie bratniem uczuciem, każdy zajmując się powodzeniem wzajemnem, naród dzielił się na dwie partye, sprzecząc się z sobą, któren z nich był większym poetą? Jak w Rzymie malarze sprzecząc się z sobą o Rafaela i Michała Anioła. „Trudno jest ocenić geniusz dwóch tak różnych od siebie geniuszów — mówi Goethe o tych malarzach; dla tego ogół chwyta się roli stronniczój.“ Stronnictwa w tym wypadku były zapamiętałe i trwałe długo. Zamiast tego, by pójść za radą Goethego i cieszyć się z tego, że mieli takich dwóch poetów, ogół wolał wywyższać jednego z nich, by poniżyć przez to drugiego. Sam Szyller ze skromnością ujmującą wyznał był niższość swoją; a w jednym z listów swoich do Körnera powiada: „w porównaniu z Goethem jestem tylko poetyckim łachmanem — *gegen Goethe bin und bleib'ich ein poetischer Lump*.“ Ale większość postawiła go była wyżej nad jego współzawodnika, wyżej go miała przynajmniej w sercu swoim. Gerwinus spostrzegł osobliwszy los w ich dziełach. Szyller, co pisał dla mężczyzn, jest ulubieńcem kobiet i młodzieńców; Goethe zaś, co był wiecznie młodym, czytany jest tylko od mężów dojrzałych. Tajemnica tego zjawiska leży w tém, że Szyller miał te namiętności i te zapawy, jakich właśnie brakło Goethemu; Goethe mówił Eckermannowi, że dzieła jego nigdy nie mogły być popularnemi; że, wyjąwszy pomniejszych poezyj jego i Fausta, nie było wcale

pomiędzy dziełami jego czegoś takiego, coby wyrównało popularności dzieł Szyllera.

Z tego współzawodnictwa dwóch poetów, zrobić narzędzie zemsty, zdało się Kotzebuemu wyborynym pomysłem; Kotzebue był sławą Berlina, a sceny Niemiec zalewał łzami, wyciśnionymi z oczu publiczności sentymentalizmem jego melodramatów. Przybył on do swego rodzinnego Wejmaru. Zaproszono go do dworu, ale nie zaproszono go do wybranego kółka Goethego i Szyllera. To tém więcej rozdrażniło było jego próżność, że doniesiono mu razem z tém o żarcie Goethego, powiedzianym z jego powodu. W Japonii — mówił on — obok doczesnego dworu cesarza jest jeszcze duchowny dwór Dairi, wywierający wpływy wyższe, chociaż tajemne. Stosując do tego, powiedział był jeszcze Goethe: „Cóż z tego że Kotzebue został przyjętym na dworze (świeckim) *Kubo*, kiedy nie może dostąpić czei być przyjętym na dworze *Dairi*’ego“²⁸⁾. Kotzebue myślał, że mógł znieść tę powagę Goethego (*istotny mandarynizm barbarzyński*), a na miejscu jój wznieść własny swój autorytet, własny dwór, którego Dairim miał zostać Szyller.

Było w owym czasie wybrane kółko, złożone z Goethego, Szyllera, Meyer’a i z kilku kobiet znakomitych, hrabiny Einsiedel, panny Imhoff, pani Wolzogen i innych jeszcze. Wielka przewaga kobiet w tém kole nadawała pewien odcień romantyzmu prawom, które towarzystwo nadało było sobie z góry. Za przybyciem Kotzebue’go, jedna z panien honorowych księżnej Amelii, starała się gorliwie o to, aby koterya ta przypuściła do swego grona nowoprzybyłego gościa; ale Szyller i Goethe obstawali przy jednym punkcie ustawy towarzystwa, a mianowicie przy tym, że żaden członek zgromadzenia nie będzie miał prawa wprowadzania do niego nowych osób, bądź miejscowych, bądź przybyłych, aż za zgodą powszechną wszystkich człon-

²⁸⁾ Co za słabostka! Dajmy na to, że Kotzebue, że Bürger byli rzetelnie ludźmi bez talentu; dla czegoż, jednakże, było gardzić nimi do tego stopnia, żeby aż wyłączyć ich ze swego towarzystwa, a wyłączając, przechwalać się jeszcze z tego! Jakże ludzie wielcy mogą być często drobni i śmicszni! (*Przyp. tłumacza*).

ków towarzystwa. Pewien chłód nastąpił był z tego powodu pomiędzy wielą członkami téj koteryi, a Goethe, przyciskany od wielu, aby przypuścił koniecznie do zgromadzenia Kotzebue'go, wyrzekł nareszcie: „prawa raz ustanowione winny być szanowane; jeżeli ma się dźiać inaczej, lepiej jest od razu rozwiązać towarzystwo, co, zapewne, tém więcej powinnyby było się spełnić, im więcej widną jest rzeczą, że stałość zawsze jest trudną, jeżeli nie całkiem uciążliwą dla kobiet.“ Ma się rozumieć, że panie zostały rozdrażnione podobną do nich przymówką. Kotzebue poddmuchiwał ich nieukontentowanie. Szyller wyjechał był właśnie do Lipska, a Kotzebue, korzystając z tego, urządził był uroczystość, obchodzenia uwieńczenia popiersia Szyllera w domu miejskim Wejmaru. Sceny z *Don Karlosa*, *Dziewicy Orleańskiej* i *Maryi Stuart* miały najprzód być wystawione. Ulubienica Goethego hr. Einsiedel (dziś jego nieprzyjaciółka) miała grać rolę Joanny d'Arc; panna Imhoff królowy, szkockiej; Zofija Moreau miała powiedzieć „*Dzwon*,” Kotzebue miał się ukazać w roli *Ojca Thibaut* w *Dziewicy Orleańskiej* i jako *odlewacz dzwonu*; w ostatnim charakterze miał on uderzyć w formę dzwonu (zrobioną z kartonu) a krusząc ją w kawałki odkryć popiersie Szyllera, które miały uwieńczyć panie. Przygotowania do téj uroczystości postępowały skwapliwie. Wejmar był w stanie rozdrażnienia powszechnego. Intryga zdawała się *prosperować*. Księżna Karolina obiecała przybyć na tę uroczystość. Szyllera zapraszano usilnie, ale on powiedział był u Goethego, kilką dniami przed tém: „*wymówię się, żem chory*.“ Na to Goethe nie dał żadnej odpowiedzi. Słuchał o wszystkich tych przygotowaniach w zupełném milczeniu²⁹⁾.

Myślano, powiada Falk, że przez tę intrygę, nastąpi pomiędzy dwóma przyjaciółmi chłód, osobliwie, jeżeli prosty, niepodejrzliwy Szyller, wpadnie w zastawione mu sidła. Ale ci, co tak myśleli, nie znali tych ludzi. Szczęściem (?)

²⁹⁾ Jakże by było pięknie z jego strony, gdyby sam był przyłączył się do grona, które chciało było uczcić jego przyjaciela; jakże by był tém zawstydził tych, co chcieli byli go poniżyć!

(Przyp. tłómacza).

cały zamiar upadł. Dyrektorowie biblioteki, odmówili pożyczania popiersia Szyllera; Burmistrz nie chciał pozwolić ratusza (*zapewne, aby nie rozgniewać Goethego*). „Rzadko dzień równie niepomysłny świtał kiedy dla Wejmaru. Widzieć najpiękniejsze, najświetniejsze nadzieje tak skruszonymi od razu, wtedy kiedy ich spełnienie było tak blizkie, było to, jakby rozbiecie statku tuż u samego portu. Niech tylko wystawi sobie czytelnik ową zbawę krepy, gazy, wstążek, koronek, kwiatów, przygotowanych przez piękne panie, nie mówiąc już nic o kartonie gotowym dla dzwonu, o płótnie, farbach, penzlach przygotowanych na kulisy, o świecach woskowych do oświetlenia sali. Pomyslimy także o zbawie czasu drogiego i tyle mozołów nad uczeniem się wierszy! Wystawmy sobie humor majestatyczny Joanny d'Arc, ujmującej Maryi Stuart, powabnej Agnieszki Sorel, kiedy się dowiedziały o tém, że schodzą nagle ze swego piedestalu, że je odarto nielitościwie z uroku poezyi, że muszą złożyć wieńce, korony, berła, kwiaty, ozdoby wszelkie, które się im uśmiechały i śniły od tak dawna! Było to okropném!“

Wkrótce potem — 13 Czerwca 1802 — syn Goethego został był bierznowany. Herder celebrował przy téj zręczności i to zbliżyło go znowu do stosunków przyjaźnych z Goethem, stosunków, które ostatniemi czasy ostygły były, z powodu zazdrości jego o Szyllera. Herder niekontent był z przyjaźni pomiędzy Goethem i Merkiem; tém z większą goryczą widział on jeszcze przyjaźń wzrastającą pomiędzy Goethem a Szyllerem. Nie cierpiał on bożyszczu Szyllerowego — Kanta i wszelkich wielbicieli jego, oświadczając, że filozofia nowa niszczyła moralność chrześcijańską (*o dogmat Herder niedbał wiele*). Starzał się, a z wiekiem i osłabieniem rosła cierpkość jego charakteru. Szyller wszędzie był dlań przeciwnikiem, a wystawienie Wallensztejna przypawiło go o chorobę. Goethe, tak pobłażliwy dla jego słabości, nieprzystający nigdy podziwiać przymiotów jego, powiedział raz o nim: „nie można iść do niego nie ciesząc się z łagodności jego; nie można wracać od niego, nie

będąc obrażonym jego cierpkim humorem.“ Od pewnego czasu nie wspominało imienia Goethego w rodzinie Herdera, chyba z przekąsem; pomimo to jednakże żona Herdera pisała do Knebla: „Dziękujmy Bogu, że dotąd zachował nam Goethego. Bez niego Wejmar byłby nieznośnym.“ Zgoda przy bierzmowaniu zawarta nie potrwała długo. Kilka dni mieszkali razem w Jena i rozstali się, aby się nigdy z sobą nie widzieć. W Grudniu 1803 r. Herder już nie żył.

Rozmawiając o fizyce z Ritter'em, o anatomii porównawczej z Loder'em, o optyce z Himly'm, a robiąc ostrzeżenia nad księżycem, przyszła mu była myśl poematu wielkiego: *De natura rerum* (*O przyrodzeniu rzeczy* — jak poemat Lukrecjusza); plan ten, jak tyle innych planów Goethego, pozostał na zawsze niespełnionym. Zetknięcie się z filologiem Wolfem nakłoniło go było ku starożytnościom klasycznym; od Vossa chciał być przejąć zasady metru z gorliwością filologa. Jest w tém coś uderzającego, że wielki poeta narodu, najmelodyjniejszy mistrz metru w jego możliwych kształtach, chce posiadać także wiedzę teoretyczną tego, co instynktowie udawało mu się wybornie. Jest w tém charakterystyczny rys jego dążności nowej teoryzowania nad poezją.

Ktokolwiek czyta: „*Córkę naturalną*“ Goethego, ukończoną w tym okresie, zapewne przypisze tej dążności teoretyckiej brak w niej wszelkiego życia i mocy, co czyni ją „gładką jak marmur, ale też i zimną jak marmur.“ (A. W. Szlegel). Wyznaję, że nie czytałem dzieła tego, chociaż po dwakroć rozpoczynałem je czytać. Jednak Szyller podziwiał je i pisał do Humboldta: „Wysoki symbolizm, w jakim pomyślał Goethe utwór ten, jest przedziwny; dochodzi to do tego stopnia, że nie masz tu wcale surowego materiału, wszystko bowiem staje się częścią całości idealnej. Jest on całkiem sztuką, a dochodzi do rdzeni żywotnej przyrody przez samą potęgę prawdy.“ Fichte (który, jak mi opowiadał Varnhagen von Enze, był z nim w jednej łoży w teatrze, kiedy wystawiano tę sztukę w Berlinie i został wielce nią poruszony) uznał ją za arcydzieło głó-

wne Goethego. Rosenkranz dziwi się, że tak powszechnie je potępiają. „Co za pathos, co za ciepło, co za boleść tragiczna!“ woła on. Inni wtórzają temu — z ironią. Ja nie chcę decydować o dziele, którego nie czytałem, a nie czytałem dla tego, że nie mogłem go przeczytać; namienię tylko, że sama pochwała Fichtego i Szyllera usprawiedliwia sąd powszechny. Drama, co się chwali w taki sposób, tj. „dla jój wysokiego symbolizmu“ jest może sztuką powabną dla filozofów i krytyków, ale sztuka pewnie się jój wyrzeczce. Dramat, bądź inny jaki poemat, może zapewne mieć w treści swojej coś takiego, co może się zgodzić z tłumaczeniem symboliczném; ale jeżeli poeta uczyni symbolizm przedmiotem i celem utworu swego, to zapewne zapozna przez to powołanie swoje. Cały dramat grecki *wyłożono* symbolami, w szkole nowych uczonych; ale gdyby greccy dramatycy pisali byli w tych celach jakie odkryto w ich dziełach, toby pewnie one nie dożyły do tego czasu, w którym doczekały się tych wykładaczy. *Iliadę* nie dawno ogłoszono za allegoryę; *Komedję boską* Dantego wyłożono jako allegoryę; sztuki Szekspira, Ulrici wytłómaczył w sensie moralnych komunałów; *Powinowactwo istotne* (Wahlverwandtschaften) Goethego wytłómaczono jako „dzieje świata.“ Zapewne symbolizm będąc w istocie swojej rzeczą dowolną, więc wykład myśli niewyrażonej wprost, ale tylko wyszukiwanój mozolnie pod formą, nie może mieć żadnej granicy. Pewną jest jednakże rzeczą, że gdyby wieszczcy natchnieni pisali byli dla komentatorów, to by pewno nie wydali sztuk mistrzowskich.

W Grudniu 1803 roku, w Wejmarze zjawił się był gość, którego godność wielką była w świecie literackim: gościem tym była pani de Stael. Napoleon nie chciał jój mieć we Francyi i Benjamin Constant wywiózł ją do Aten niemieckich, aby poznała niektórych z tych mężów, których byt miało objawić światu całemu jój dzieło o *Niemczech*. Zapewne łatwo jest ośmiewać panią de Stael, zwać ją z Hejnem „wichrem w spódnicy“ i „sułtanką duszy;“ ale Niemcy wdzięcznymi być powinny jój za to jój

dzieło, które dotąd jeszcze jest jedném z najlepszych, jakie kiedykolwiek napisano o ich kraju. Miłośnicy literatury nie zapomną tego, że geniusz jój, w najrozmaitszych rodzajach piśmiennictwa, wślawił na zawsze moc żeńskiego umysłu. Goethe i Szyller, których ona uderzała kanonadą wymowy swojej, mówili o umysłowości jój z wielkim podziwem. „Ze wszystkich istot żyjących jakim widział“ mówił Szyller „ona była najrozmowniejszą, najszermowniejszą, najgestykulacyjniejszą,“ ale razem była ona „najukszałceńszą i najudarowańszą.“ Różnica, zachodząca pomiędzy wykształceniem francuzkiem a niemieckim, trudność wysłowienia się po francuzku nie przeszkodziły wcale temu, aby Szyller nie interessował się wielce tą kobietą sławną. W opisie jój, jaki Szyller przesłał był Goethemu, powiedział tak: „Usiłuje ona wszystko wytłómaczyć, wszystko pojąć, wszystko zmierzyć; nie przypuszcza wcale nic zgoła, coby pozostać miało ciemném, ztąd wstręt jój ku filozofii idealnej, która wedle niej, musi prowadzić do mystycyzmu i przesądu. Nie rozumie ona tego, co my zowieśmy poezją; pojmuje ona tylko to, co namiętne, retoryczne, powszechne. Nie chwali tego co fałszywe, ale też nie zawsze potrafi ocenić to, co rzetelne.“

Księżna Amalia zachwycona była p. de Stael, a książę pisał do Goethego, który był w Jena, prosząc go, aby przyjechał i poznał się z nią, czego Goethe odmówił wyraźnie. Mówił, że jeżeli chce go poznać koniecznie, niech przyjedzie do Jena, a będzie przyjętą uprzejmie; znajdzie u niego wygodne mieszkanie i stół gospodarski; co dnia téż, jeżeli pozwoli zajęcie, znajdą na rozmowę kilka godzin, co zaś do jechania teraz do dworu, do bywania w towarzystwie, tego nie może teraz dokonać, nie czuje się bowiem dość na siłach. Na początku 1804 roku przecież przybył do Wejmaru i tu poznał się z tą sławną autorką, tj. przyjął ją u siebie, najprzód sam na sam, a potem w małym kółku przyjacielskiem.

Wyjąwszy te momenta, kiedy potrafiła była rozruszać go paradoxami swemi, albo swoim dowcipem, był on

z nią chłodnym i formalnym, nawet był z nią więcej takim, niż z innymi znakomitościami. Powiedział był powód tego. Rousseau był wciągniętym w korespondencyę z dwoma kobietami, które oświadczały się dla niego ze swoją admiracyą; w korespondencyi téj nie okazał się być korzystnie dla siebie; właśnie te listy zostały były (1803) ogłoszone drukiem.³⁰⁾ Goethe słyszał o téj korespondencyi, czy czytał ją nawet; pani de Stael wprost mu była oświadczyła, że ma zamiar drukować swoje z nim rozmowy. Dość było tego, aby go oziębic i uczynić nieśmiałym. Chociaż pani Stael mówiła, że był on „un homme d'un esprit prodigieux en conversation..... quand on le sait faire parler il est admirable,“ przecież można powiedzieć, że nie widziała ona nigdy prawdziwego, a tylko wymuszonego Goethego. Przez chwilowe rozruszanie, przez szampana, udało się jój kilka razy wprowadzić go w usposobienie mówienia błyszcząco; nigdy przecież nie udało się jój zmusić go mówić poważnie. 29 Lutego opuściła ona Wejmar ku wielkiej uldze Goethego i Szyllera.

Nic do końca tego roku nie ściąga uwagi naszój, oprócz przekładu Diderot'owego dzieła „*Siostrzan Romeaus'a*“ i początku przedziwnego dzieła „*Winkelmann i wiek jego*.“ Początek 1805 roku zastał go zmięszanego przeczcuciem, że w nim, albo on, albo Szyller umrze. Istotnie obaj chorowali śmiertelnie. Czuła była scena, gdy Szyller, zaledwo powstały ze swojój choroby, przyszedł do złożonego słabością przyjaciela. Szli do siebie, a nie mówiąc słowa, wyrazili uczucia swoje, z powodu widzenia się, w długim, a serdecznym pocałunku. Obaj spodziewali się z powrotem wiosny zdrowia i siły. Tymczasem Szyller przekładał „*Fedre*“ Rasyne; Goethe przekładał „*Siostrzana*“ Diderot'owego i pisał dzieje swojój „*nauki o kolorach*.“

Wiosna nadchodziła, ale Szyller nie miał już widzieć jój kwecia; 30 Kwietnia przyjaciele rozstali się z sobą

³⁰⁾ Zapewne jest tu mowa o korespondencyi Rousseau z panią de la Tour-Franqueville i jój — nieznaną dotąd — przyjaciółką.

na zawsze. Szyller miał iść do teatru; Goethe był niezdrów i wrócił do domu, pożegnawszy Szyllera u jego progu. Podczas choroby Szyllera Goethe był zmartwiony. Voss zastał był go raz chodzącego niespokojnie po swoim ogrodzie i zapłakanego. Kiedy Voss mówił mu o złym stanie zdrowia przyjaciela, przemógł swoją boleść i powiedział tylko te słowa: „Przeznaczenie jest nielitościwe, a człowiek nędzna istota.“ (Wyrazy wyszłe, zdaje się, z ust poganina starożytnego!)

Rzetelnie zdawało się, jakoby dwaj ci przyjaciele mieli połączyć się z sobą w grobie, jak żyli złączeni z sobą za życia. Goethe miał się coraz gorzej; Szyller dogorywał. 8 Maja skonał. „Téj nocy sen jego był przerywany; bredził; nad ranem stracił przytomność, mówił niezwięźle i po większej części po łacinie. Ostatnim napojem jego było wino szampańskie. Około godziny trzeciej było bardzo źle; oddech słabł. Około czwartéj chciał prosić o naftę, ale sylaba ostatnia skonała mu na ustach; nie mogąc mówić, skinieniem wskazał, że chce coś napisać, ale ręka jego nakreśliła tylko trzy litery, w których jeszcze można było rozpoznać cechę jego pisma. Żona jego uklękła przy nim, on uściśnął dłoń jéj. Siostra jéj stała przy łożu z lekarzem, przykładając mu poduszki ogrzane do nóg ochłodłych. Nagle pewien rodzaj elektrycznego toku poruszył jego ciałem; głowa opadła, najgłębszy spokój rozlał się po jego fizyonomii. Rysy jego były takie jakby on był pogrążonym we śnie głębokim.

„Wiadomość o śmierci Szyllera wprędce rozniosła się po Wejmarze. Teatr został zamknięty; ludzie gromadzili się po ulicach; każdy czuł w sercu taki żal, jakby utracił najdroższego swego przyjaciela. Nikt nie miał odwagi powiedzieć o tém Goethemu, osłabionemu chorobą i doświadczającemu na nowo jéj paroxyzmów. Kiedy wiadomość o tém doszła Henryka Meyer'a, on opuścił dom, aby boleść jego nie zdradziła tajemnicy przed Goethem. Nikt nie śmiał mu jéj objawić. Goethe postrzegł, że jego domownicy są pomiészani i jakby wystrzegali się go, do-

myślił się czegoś i nareszcie powiedział: „Widzę, że Szyller musi być bardzo chory!“ Tęj nocy słyszano, że Goethe płakał; ów pogodny wiecznie człowiek, zdający się każdemu wyższym nad uczucia ludzkie, ten, co nie wykazał nawet nikomu boleści ojca po stracie syna — ten mąż płakał teraz nad stratą swego współzawodnika. Nazajutrz powiedział jednemu ze swoich przyjaciół: „Prawda, że wczora Szyller był bardzo chory?“ Przyjaciel (była to kobieta) łkaniem tylko odpowiedziała mu na jego zapytanie. „Umarł więc!“ wyjąkał niezrozumiale. „Ach tak!“ odpowiedziała mu na to. „Umarł“ powtórzył Goethe i zakrył twarz rękami.

„Połowa bytu mego opuściła mię“ pisał do Zeltera. Najprzód miał zamiar kończyć „*Dymnitra*“ (Samozwańca), w tym duchu, w jakim go osnuł był Szyller, tak, aby jeszcze czas jakiś duch przyjaciela był przy nim obecnym, kiedyby pracował nad spełnieniem myśli jego. Ale darmo kusił się o to. Nic nie mógł dokazać. „Dziennik mój czysty około tego czasu; próżne karty jego świadczą o próżni w duszy mojej i w mojem życiu. W tym czasie nic mnie nie zajmowało.“

(Jest to najpiękniejsza karta żywota Goethego, owo obudzenie się w wielkim *mężu* prostego uczucia *człowieka*!)

Chociaż część pierwsza *Fausta* została ogłoszoną światu dopiero 1806 roku, przecież została ona ukończoną przed śmiercią Szyller'a i może być wspomnianą w tém oto miejscu. Przez więcej jak lat trzydzieści wzrastało to dzieło w duchu autora, a chociaż ścisła chronologia jego nie jest znaną dokładnie, przecież można się do niej, mniej więcej zbliżyć; co nie będzie zapewne bez korzyści dla człowieka, zastanawiającego się nad duchem Goethego i jego dziełami.

Bajka o Fauście znana była Goethemu jeszcze w jego dzieciństwie. Bawiąc w Strassburgu r. 1770—71, powziął był zamiar zlać swoje doświadczenie osobiste w formę stariej legendy; nic jednakże nie napisał z tego dzieła aż do lat 1774—75, epoki, kiedy ballada o królu Tuli, pierwszy monolog sztuki i scena z Wagnerem zostały napi-

sane; podczas miłości swojej dla Lili, naszkicował był katastrofę Małgosi (Gretchen), scenę na ulicy, scenę w sypialni Małgosi, sceny pomiędzy Faustem i Mefistofelem, podczas przechadzki i na ulicy, a nareszcie scenę w ogrodzie. W czasie swojej podróży szwajcarskiej, naszkicował pierwsze widzenie się z Mefistofelem, równie też scenę przed bramą miejską, zakreslił plan Heleny (potem wielce zmieniony), scenę pomiędzy studentem a Mefistofelem i nareszcie piwnicę Auerbachową. We Włoszech bawiąc, odczytał manuskrypt stary i dopisał w nim scenę kuchni czarownic i scenę w katedrze, równie też monolog w lesie. W 1797 roku *wszystko to było przerobione*. Wtedy dodał do sztuki oba prologi, noc Walpurgis (na łąsłej górze) i dedykację. W 1801 roku dopełnił utwór jeszcze raz, obrabiając go w ten kształt w jakim go mamy dziś, retuszując go może jeszcze 1806 roku, kiedy dzieło swoje drukiem ogłosił. Popatrzmy teraz pilnie na to dziecię, kosztujące go tyle starań.

W bajce Ezopa kogut wygrzebał perłę na śmieciisku, przyznał jednakże, że wolałby być znaleźć na niem jakie ziarnko prosa; perła bowiem jest perłą dla tego, co potrafi ją ocenić. Tak samo ma się z przedmiotami sztuki, są one tylko pięknymi rzetelnie w ręku wielkich artystów. Tam, gdzie jest potrzebna moc ducha, piękny temat jest skarbem całym, ale bez mocy owęj przedmiot ten żywiej jeszcze zapewne wystawi przed oczy słabość autorską. Mierni poeci próbowali sił swoich na Fauscie; poeci z talentem niezaprzeczonym obrabiali ten sam przedmiot, ale tylko sam Goethe przejrzał w nim rzecz odpowiednią swemu geniuszowi i zrobił z nięj największy poemat nowoczesny.

Chociaż geniusz może wynaleść dla siebie materyał w drobnostkach, na które nikt nie zwraca uwagi, jednakże mało jest przedmiotów, dających zupełny polot geniuszowi. Właściwości organizmu ludzkiego i wychowania przyoblekają w oczach jednego pozor powabu i znaczenie, jakiego nie mają one dla oczów innęj osoby. Takim był *Wolny*

strzelec dla Weber'a, macierzyństwo N. Panny dla Rafaela, *Faust* dla Goethego. Ztąd piękny przedmiot staje się podstawą, na której geniusz może się okazać w nieściśnionych kształtach swojej postawy; możemy go także nazwać bryłą marmuru z którego wyciosuje się monument.

Nie należy to do zamiaru mego, ani też jest to w granicach dzieła tego wyszczególniać rozmaite materyały dziejowe i estetyczne, które piśmiennictwo niemieckie nagromadziło było o *Fauście* i o jego legendzie. Nie masz tu ani jednego szczegółu, coby nie posłużył za przedmiot obszernych rozpraw komentatorom, tak, że nie można wcale utyskiwać na brak dzieł objaśniających sam materyał *Fausta*. Trudność zapewne będzie tylko w wyborze dzieł licznych, traktujących o tej materyi. Ważniejszą zapewne rzeczą od tych zasobów uczonych będzie wybór punktu, z którego najstosowniej byłoby patrzeć na ten poemat osobliwszy, poznać jego piękności, ocenić sztukę, z którą rzecz sama została obrobioną od naszego poety, i zrozumieć ową popularność bezprzykładną, jaką ona pozyskała sobie powszechnie w Niemczech całych. Odwołuje się ona do każdego umysłu z niepokonanym urokiem wiecznego zagadnienia i z powabem różnaitości niewyczerpanej. Są tu wszelkie pierwiastki: jest dowcip, pathos, mądrość treściwa, błaznowanie, tajemnica, melodia, cześć, zwątpienie, czarodziejstwo i ironia; uderzył poeta w każdą strunę liry swojej, dotknął każdej fibry serca ludzkiego. Ludzie poważni, nurtowani zwątpieniem, a usiłujący rozwiązać sobie uroczyste zagadnienia żywota, czują, czytając ten poemat, jak tętna ich biją gwałtownie; ale nie tylko tak się ma z owymi poważnymi mężami, ale — jak powiada H. Hejne — każdy markier bilardowy w Niemczech unosi się nad utworem Goethego. W *Fauście* widzimy, jakby w zwierciadle, wieczny problemat naszego bytu umysłowego; oprócz tego, widzimy tu najrozmaitsze odcienia naszego bytu społecznego. Jest razem obraz i problemat. W tém może leży jego urok cały. Problemat obejmuje sobą wszelkie pytania żywotnej wagi; obraz wy-

stawia wszelkie zdania, wszelkie uczucia, wszelkie klasy, ruszające się na widowni życia. Wielkie zagadnienie wystawione jest w całej jego nagości; obraz zaś odmalowany w całej jego różnorodności.

Ta dwojaka przyroda dzieła tego tłumaczy jego więtość, i co jest ważniejszem dla celu naszego, podaje klucz do tajemnicy jego układu, klucz, którego nie mieli, zdaniem mojem, wszyscy krytycy; chociaż wiem to dobrze, że wielką wątpliwość przywiązywać należy do wszelkiego zdania, mającego pretensyę do nowości w rzeczy tak starej jak świat, przecież spodziewam się, że rozwinięcie samo myśli mojej dostarczy dostatecznej oświetlenia, dla podtrzymania założenia i przyjęcia go przez czytelników moich. Przeświadczenie tego powstało we mnie w czasie poszukiwań moich, przedsięwziętych kiedyś nad popularnością *Hamleta*. Dwa te dzieła tak się z sobą łączą, tak się spajają z sobą w duszy każdego, że sąd o jednem musi koniecznie rzucić światło na drugie.

Hamlet, pomimo uprzedzenia panującego w pewnych kółkach, że gdyby go przedstawiono dziś po raz pierwszy, upadłby niechybnie, jest najpopularniejszą sztuką w języku angielskim. *Bawi* on tysiące corocznie, a to pobudza dusze milionów. Odgrywany po stodołach i po teatrach mniejszych częściej niż w teatrze królewskim, jest on zawsze i dla każdego powabnym. Najniższe i najciemniejsze audytoryum cieszy się tą sztuką. Źródło uciechy tej jest dwojakie: najprzód wzniosłość i bogactwo najgłębszych myśli, najograniczeńsza dusza bowiem może *uczuc* wielkość, której nie w stanie jest pojąć, i gotowa jest przysłuchiwać się ze zdumieniem i przejęciem się głębokim wytryskiem duszy sięgającej daleko i badającej upornie wyroki przeznaczenia; powtóre przedziwna różnorodność dramatyczna tej sztuki. Zastanówmy się tylko na moment jeden nad uderzającym wrażeniem, jakie sprawia w *Hamlecie* duch, tyran-morderca; straszna cudzołożna królowa; melancholiczny bohater, z losem tak okropnym; biedna *Ofelia*, pełna cierpienia, umierająca w obłąkaniu; owa

scena na scenie, poruszająca występne sumienie króla; straszne wesele grabarzy; pogrzeb Ofelii, przerwany kłótnią nad dołem, zaszła pomiędzy jój bratem a kochankiem, nareszcie owe szybkie a krwawe rozwiązanie sztuki. Takimi są figury oddane na obrazie barwą namiętności i poezyi. Dodać do tego osobliwszy urok myśli głębokich. Sztuka ta mogłaby nosić nazwisko tragedyi myśli, gdyż w niej tyle jest rozmyślania, ile działania, ale rozmyślanie to jest u Szekspira dramatyczném i pociąga za sobą widzów, siłą osobliwszą zajęcia, nieustającego do samego końca. Dziwném zaiste zjawiskiem w sztuce téj jest nierozwiązana jedność wyrafinowania z okropnością, reflexyi z tumultem, wzniosłej i delikatnej poezyi z wielkimi, dotykalnemi efektami teatralnemi. Machinerya jest tu machineryą okropności fizycznej i duchowej; zjawisko widma, szpetne objawienia cudzołóstwa kazirodneho i mordu, szaleństwo, Poloniusz zabity jak szczur, kiedy podsłuchuje za obiciem, grabarze, wyrzucający z dołu na scenę czaszki trupie i profanujący powagę smętarza nieprzystojnemi żartami, te i tym podobne okropności składają machineryę, którą porusza się największa, najszczytniejsza i najfilozoficzniejsza z tragedyi.

Nie trudno jest wcale zrozumieć w jaki sposób tak głębokie dzieło stało się dziełem tak popularnym. Faust ubiegający się z niém w popularności rywalizuje także w głębokości i powadze myśli. Prawie każdy pogląd typowy na życie został tu dotknięty; każdy prawie interesujący przedmiot znalazł tu wyraz swój w najosobliwszej rozmaitości rytmu. Dzieło to znajduje dla siebie obszerne audytoryum, bo odwołuje się do szerokiej sceny świata:

Die Masse könnt ihr nur durch Masse zwingen,
Ein jeder sucht sich endlich selbst was aus.
Wer vieles bringt wird Manchem etwas bringen
Und jeder geht zufrieden aus dem Haus'.

(Massę możesz sobie zjednać tylko massą; każdy szuka zawsze czegoś co mu się spodoba. Kto daje wiele, wielu coś przyniesie i każdy wyjdzie zadowolonym z teatru).

Krytycy zwykle poświęcają całą uwagę swoją wykładowi idei Fausta; mnie się zaś zdaje, że w tych zmuszonych poszukiwaniach za dalekimi jakimiś tłumaczeniami rzeczy, zwykle tracą oni z uwagi najgłówniejsze, i najnaturalniejsze tłumaczenie pomysłu utworu, tj. to, jakie podaje każdemu dzieło samo. Czytelnik, co postępował za mną dotąd, zapewne spostrzegł to już, że mało mam ja współczucia dla filozofii sztuki, zasadzającej się na tém, aby sztukę przekładać na filozofię, i że mało daję względu na idee³¹⁾. Doświadczenie nauczyło mię, że artyści sami wiele mają w widoku innych rzeczy, aby myśleli o rozwijaniu idei; doświadczenie mówi nam dalej, że publiczność dla której pracują artyści, wcale nie ma na pierwszym względzie idei, ale zostawia ją krytykom, którzy, we względzie jęj, zwykle nie mogą się z sobą pogodzić. Studyjując dzieło sztuki postępuję tym samym sposobem jakim postępuję przy badaniu utworów przyrodzenia; nacieszywszy się dosyć wrażeniem jakie one sprawiły na mnie, staram się dowiedzieć jakimi środkami wrażenie owo zostało sprawione, nie dbając wcale o to jaka idea leży po za temi środkami. Jeżeli dysekując zwierze rozumiem jasno środki mechanizmu, któremi spełniają się pewne funkcyje, nie zyskuję wcale na wiedzy, jeżeli mi powiedzą, że funkcyje te są ostatecznymi przyczynami mechanizmu; podczas, kiedy z drugiej strony przystępując do przejrzenia mechanizmu zwierzęcej anatomii z pojęciem apriorystyczném „celu“, muszę uleść koniecznie rozmaitym przypuszczeniom metafizycznym, pod któremi nie ma wcale stałego gruntu. Potrzeba było koniecznie, przystępując do rozbioru dzieła takiego jak Faust, wypowiedzieć wyraźnie moje pojęcie o krytyce, aby darmo nie tułać się po błędnych manowcach. Mam przed sobą poemat,

³¹⁾ Jednakże w dziełach Goethego, co wprowadził symbolizm do sztuki, idea jest rzeczą główną; zapoznać ją jest to zapoznać cechę literatury XIX wieku, zostającej pod wyraźnym wpływem tego poety. Ten wpływ przeważny Goethego, co do ducha charakteru sztuki i poezyi, stawia go wysoko w dziejach ohojga.

(Przyp. tłum.).

rozcłonkowuję go, biorę na uwagę, jeden po drugim, każdy z osobna członek organizmu, okazuję jego miejsce w całości i staram się określić zadanie (funkcję) jego. Jeżeli czytelnik ma co przeciw podobnej krytyce, więc tu wcześniej go ostrzegam o tém.

Prolog w teatrze. Jest to odkrycie dzieła; wystawia on snującą się truppę aktorów, gotowych wystąpić na rynku, aby wygodzić tłumowi pewną grubą formą komedyi i tragedyi żywota ludzkiego. Trzy są osoby: poeta, entrepreneur i błazen: trzy typy, wystawiające zadanie sztuki dramatycznej w stosunku do poety i publiczności. Entrepreneur przeciw nieokreślonym celom i pozaświatowym tęsknicom poety stawi twardy zmysł praktyczny; podczas kiedy poeta marzy o sławie, myśli on o kasie pełnej. Ale tu, jak i wszędzie, twardy zmysł praktyczny nie jest najlepszym sędzią; okazuje się potrzeba trzeciej osoby, coby pogodziła z sobą dwa te sprzeczne zdania; ten pojednawca występuje w osobie błazna, co obydwom im wskazuje cel rzetelny rzeczy, mianowicie *zabawę ogółu*. Podczas kiedy poeta buja w deklamacyach czcnych o potomności, ten wesoły, a mądry doradzca pyta go dobrodusznie: a kto ubawi współczesnych? Jest to pytanie, które nieraz unosi się nam samym na ustach, kiedy czytamy owych *górných* pisarzy, co gardząc powodzeniem, nie dającym się im osiągnąć, odwołują się dumnie do przyszłych wieków, jak gdyby owe wieki przyszłe nie miały nigdy stać się takż obecnością, która równie mieć będzie swoich gardzicieli i swoich Jeremiaszów.

Jakkolwiek ów prolog w teatrze jest krótkim, przecież wyraża ściśle rzecz całą, dotyczącą poety, publiczności i przedsiębiorcy. Jest tu najrzetelniejsze zdanie, dotyczące głównego zagadnienia dramatu, a tyle tu świeżości, tyle stosowności, że zdaje ci się, iż je napisano wczora dopiero. Żadnego tu nie przepuszczono ważnego względu, a nic nie masz zgoła tego, coby było nadto. Rys kaźden rzuconym jest łatwo, jakby od niechcenia, ale z przedziwną jasnością i mocą osobliwszą. Moźnaby było powie-

dzieć bez przesady, że mistrzowstwo geniuszu tak wyraża się wybitnie w tych szczęśliwych odcieniach jak we wszelkiej inniej części dzieła, bo może w traktowaniu podobnych drobnostek najwięcej i stanowczo objawia się moc talentu; pomniejsi pisarze zawsze albo przesadzą, albo nie wypełnią należycie podobnych rzeczy, są albo nadęci, albo słabi. Wszelkie ciała, będąc ogrzane do pewnego stopnia stają się świetlistemi, a w porywie namiętności, dusza choćby była nawet niższej potęgi, może mieć natchnienie myśli szczęśliwych; ale będąc sprowadzonem do temperatury zwyczajnej, to co było przed chwilą świetlistem staje się ciemnem, a dusza niższa, nie będąc ani podniesioną namiętnością, ani pobudzoną do nowych usposobień, przemocą tłoczących się myśli, objawia tylko zwyczajną swą siłę. Oto jest, dla czego rzetelnym jest paradoks ów o prawdziwem mistrzowstwie, dającym się poznać w drobnostkach. Kiedy wiatr dmie gwałtownie na powierzchnię wód, nie możemy rozpoznać mielizny od niezmierzonej głębi; dopiero kiedy się wiatr uspokoi, możemy dojrzeć dna strumienia i poznać głąb' niezgruntowaną rzeki.

Jeszcze możemy powrócić do rzetelności prologu. Przedsiębiorca chce wiedzieć jak można lepiej pociągnąć do siebie publiczność:

Sie sitzen schon, mit hohen Augenbraunen,
Gelassen da, und müchten gern erstaunen.
Ich weiss wie man den Geist des Volks versöhnt;
Doch so verlegen bin ich nie gewesen;
Zwar sind sie an das Beste nicht gewöhnt,
Allein sie haben schrecklich viel gelesen.

(Już siedzą z podniesionemi brwiami, gotowi podziwiać talenta; wiem ja jak sobie zjednać łaskę tłumu, nigdy jednakże nie uciekałem się do tego; prawda, że nie przywykł on do rzeczy wybornych, ale za to nadzwyczaj jest on oczytany).

Poeta niezważający na utylitaryzm, odpowiada mu rapsodyami o godności sztuki, na co błazen mówi mu, aby dowiódł sztuki swojej i ubawił publiczność.

(Niech fantazyja swoim chórem, rozumem, rozsądkiem,

uczuciem, namiętnością wystąpi przed widza; ale pamiętaj dodać zaprawę szaleństwa).

Przedsiębiorca nastaje na to, aby przedewszystkiēm pamiętano o „wypadkach“: „Przychodzą po to by patrzeć, należy wzrok ich nasycić.“

Dodaje potē m z prawdziwie entrepreneurskim instynktem:

Dajesz sztukę, daj więc od razu w sztukach! Darmo kleisz ją w całość misterną, publiczność rozerwie ją w jēj długim biegu.

Tak toczy się sprzeczka, aż ją przedsiębiorca godzi tē m postanowieniem, aby dać wielką i jak najrozmaitszą reprezentacyę:

Niech rzecz zstępuje z niebios na ziemię, a z ziemi niech piekiel dosięże.

Sentencya ta daje nam klucz do układu dzieła.

Prolog w niebiosach następuje po pierwszym. W wielu względach prolog ten bywał zapoznawany w osobliwszy sposób; przeżywano go parodyą księgi Hioba i jako parodyę miano go w pogardzie. Nacechowano go pieczęcią bezbożności i bluźnierstwa. Wielu tłumaczów (angielskich) opuściło go, „jako nieprzyzwoity do ogłoszenia.“ Coleridge długo bojował sam z sobą, czy zgadzało się to z jego charakterem moralnym, aby oddać go po angielsku, i jak postąpić należało z językiem prologu, który uważał za gminny, wolny i bluźnierczy. Wyznaję, że pierwsze otrzymane przeze mnie, po przeczytaniu jego, wrażenie było bardzo nie na rękę dla niego; wrażenie, złagodzone tylko uwagą, że Goethe napisał go w stylu legend średniowiecznych, stosując go do charakteru poematu całego. Sam tylko rozbiór organiczny może rzetelnie schwycić znaczenie pierwiastków organicznych, jak skoro bowiem będziem decydować o całości organizmu z punktu zewnętrznego, całkiem mu obcego, stosownie do idei albo do *ideów* naszych, a nie zgodnie z przyrodzeniem istoty, nigdy nie pojmiemy rzetelnie jēj budowy i funkcyi; jest to zarówno rzetelnē m tak we względzie zwierząt jak i poematów. Pani Stael

odzywa się wybornie o całości dzieła: „Il serait véritablement trop naïf de supposer qu'un tel homme ne sache pas toutes les fautes de goût qu'on peut reprocher à sa pièce; mais il est curieux de connaître les motifs qui l'ont déterminé à les y laisser, ou plutôt à les y mettre.“ (Byłoby istotnie rzeczą śmieszną przypuszczać, że człowiek podobny Goethemu nie był w stanie poznać się na tych wszystkich błędach smaku, jakie można zarzucać utworowi jego; ciekawą jest rzeczą jednakże poznać powody, co skłoniły go do zostawienia, albo raczej do umieszczenia ich w dziele). Starając się wyrozumieć powody, co skłoniły były Goethego do wprowadzenia prologu tego i do traktowania go w stylu podobnym, musimy przypuścić najprzód, że chciał on być bluźnierczym; powtóre, że nie mógł on być tak poważnym i przyzwoitym jak Klopszok na przykład. Wybadajmy to bliżej.

Zakład, pomiędzy bóstwem a Mefistofelem, był częścią legendy. Przyjmując legendę, Goethe nie mógł być opuścić pierwiastku tego, a traktowanie jego jest prawdziwie w stylu średniowiekowym, jak każdy komu styl legend owoczesnych jest znanym, a osobliwie styl misteryów dawnych, zgodzi się na to łatwo. W owych misteryach dziwić się przychodzi nad płaską bufonadą, nad tém, co się nam wydaje bluźnierstwem, stojącemi obok najpoważniejszych nauk moralnych; rzeczy najświętsze kalają się brudem dowcipu gminnego; najświętsze osoby są przedmiotem żartów i historyj takich, jakie w nasze czasy dreszczem przejmują dusze pobożne.

Niemasz nic nad to pewniejszego, że te rzeczy nie uważały się wcale za bluźniercze; były one tylko naiwném wyrażeniem tego, co dusze nieokrzesane dopuszczały w swojej prostoduszności. W traktowaniu legendy średniowiekowej, Goethe nadał jój barwę rodzimą, słabą tyntę, tyle tylko, ile tego było potrzeba do oddania jego zamiaru; rzetelna bowiem barwa, w całej jój mocy, razićby mogła. Przyjmując myśl prologu, szedł on za starą wertepową

sztuczka o Fauście, której jest kilka wersyj³²⁾. Niższy jaki artysta od Goethego uczyniłby był zapewne prolog ten tak wielkim i metafizycznym jak tylko można. Goethe umyślnie uczynił go prostym. Nie możemy tego przypuścić żadną miarą, że gdyby był chciał, mógłby wystawić go inaczej; ale nie chciał tego. Został naprowadzonym do napisania téj sceny wpływem literatury staro-niemieckiej i łatwo jest dojść w téj prostocie źródła jego natchnienia.³³⁾ Potrzeba się tylko zastanowić dobrze nad charakterem brzmienia całego dzieła, aby się przeświadczyć o tém dokładnie, jakby źle godził się prolog z całością układu, gdyby w nim Mefistofel i Bóstwo występowali zgodnie z nowymi wyobrażeniami o surowej przyzwoitości, a w samem dziele wszystko byłoby wedle wiary legendowej ludu; sceny podobne do téj, w której występuje Pudel, noc na łysej górze (Walpurgis Nacht), jako téż kuchnia czarownic, zostawałyby w zupełnej sprzeczności z prologiem, napisanym w duchu nowoczesnym. Zdaje się mi więc, że prolog jest właśnie takim, jakim on być powinien: poetyczny, z odcieniem barwy średnim wiekom właściwej. Daje on ton całości dzieła, odkrywa świat cudu i wiary legendowej, w którym ma się odegrać wielki, mistyczny dramat żywota; jest próg niejako, na którym masz złożyć wszystko, co przypruszyła kurzawa powszedniego bytu; za to masz przywdziać na się suknie czarownicze i wejść w nich do nieznanéj strefy, w której odgrywa się dramat senny w kształtach swoich, ale w duchu straszliwie rzetelny.

Takoż język, włożony w usta Mefistofela, język tak grubiański, że czytelnik, bez uwagi dostatecznej, gotów jest prolog cały wziąć za bluźnierstwo, nie jest że zgodny z barwą całości, nie jest że właściwym?

.

Powiedzieliśmy już to, że dwa są prologi: prolog w te-

³²⁾ Patrz: Magnin Hist. des Marionettes.

³³⁾ Zapewne to uczucie prostoty było powodem tego, że Goethe utrzymywał, że prolog powinien być przełożonym na stary język francuzki Marot'a.

atrze i drugi w niebiesiech. Powód téj dwoistości leży, wedle mego zdania, w dwojakiéj przyrodzie poematu, w dwojakiém założeniu które on rozwija. Ma się tu wystawiać świat i drogi świata tego; z drugieój znowu strony ma odmalować duszę indywidualną w zapasach z pokusami żywota. Dla pierwszego celu mamy prolog pierwszy; „tu świat cały jest sceną, a wszyscy ludzie na nim, mężczyźni i niewiasty są tylko aktorami.“ Dla celu drugiego mamy prolog w niebiesiech, niebo bowiem jest średnicą wszelkich bojowań, zwątpień i hołdów: ponieważ zaś Faust bojuje dla wyższego celu duszy:

Nicht irdisch ist des Thoren Trank und Speise,
Ihn treibt die Gährung in die Ferne.

(U tego osła nawet napój i jadło nie są rzeczą ziemską — powiada o Fauscie Mefistofel; — kwas duszy jego prze go gdzieś daleko!)

.....
.....
.....
.....

..... ; oba prologi zostały napisane w tym samym roku, a w wiele lat po wykoncowaniu Fausta powstały były w duchu Goethego. Były one późniejszym wymysłem, warto więc zastanowić się nad tém, w jakim celu powstały one? Myślę, że najprzód Goethe miał zamiarem wystawić tylko ów element osobowy (indywidualny) w dziele swojém, a obraz świata był już dodatkiem, wyrobem rozmysłu (reflexyi). W duchu tego drugiego ujęcia rzeczy, część druga Fausta już stawała się możebną i konieczną nawet; dwa prologi są wstępem do całego poematu w nowym jego kształcie.

Ale idźmy dalej w rozbiórze naszym. Scena pierwsza wystawia Fausta w jego pracowni. Tu się rozpoczyna dramat. Faust siedzi, pomiędzy księgami i instrumentami, czczemi pomocnikami czczych poszukiwań. Błady, wycieńczony czuwaniem nocném, czuje w duchu, że próżnemi były usiłowania jego, czuje, że nauka jest niedołączną, czuje,

że niemasz odpowiedzi w mądrości doczesnej na pytania śmiałe ducha jego, i z tej przyczyny oddaje się magii.

„Widzę, że pomimo znoju całego, dalej niepodobna mi będzie nauczać tego, czego sam nie rozumiem; chciałbym ja okiem śmiałym przejrzeć moc wewnętrzną przyrodzenia, wybadać ukryte ziarna żywota i nie parać się już więcej z kształtami znikomemi i czczemi słowy tylko.“

Księżyc świecący nad nim przywołuje go na nowo do uczucia życia rzetelnego, o którym zapomniał był całkiem w pracowni swojej, dla starych, zakurzonych pergaminów i na wpół spruchniałych kości; „i pytasz jeszcze“ woła on, „dla czego serce twoje taką tęsknicą ścisną się w piersi; dla czego boleść jakaś nie dająca się objaśnić niczym tłumi w tobie wszelki ruch życia; zamiast przyrodzenia żywego, w którym Bóg stworzył wszystkich ludzi, otaczają cię dookoła szkielety same i zgnilizna.“ Powiedziawszy to otwiera księgę czarów, z której wywołuje ducha.

(Błyska płomień czerwony, a w płomieniu objawia się duch).

DUCH. Kto mię woła?

FAUST (*odwraca się*). Okropne widmo!

DUCH. Wyzwałeś mię potężnym zaklęciem, musiałem ci być posłusznym, a teraz. —

FAUST. Precz mi z oczów!

DUCH. Zaklęcie twoje przywołało mię tu pod widomą postacią; chciałeś koniecznie widzieć mię, chciałeś usłyszeć głos mój; odbiegając od sfery dalekiej, dla twego zachcenia, stoję tu! Ale, jakaż bojaźń ogarnia ciebie i zawładła całą istotą twoją! Gdzież się więc podziało zuchwałe zaklęcie twoje? Gdzie jest pierś owa co gardziła przyznać się do pokrewieństwa z ziemią, gdzież świat ów stworzony i wypieszczony w niej? Gdzież jest ów człowiek, co tak tęsknił do tego, aby opuściwszy ziemię, unosić się z duchami, nadpowietrznemi szlaki? Gdzież jesteś Faucście, ty, którego przyzwanie dosięgło słuchu mego, którego moc zawładła była mną całym? Jesteśże ty Faustem owym? Ty, którego moje technienie samo roztapia, a strach do szpiku kości przenika, tyżes to, ty nędzny robaku ziemny?

FAUST. Mamże ustąpić przed tobą, ty istoto płomienna? Jam równy tobie, jam Faust, jam dotąd ten sam!

DUCH. Tam gdzie płyną nurty życia, gdzie wyją burze czynów, unoszę się górą, dołem; latam swobodny, wesoły; snuję śmierć i urodziny, tajnie życia, kształtów przemiany, ocean bezbrzeżny, którego wody dyszą wiecznie; tak po fali czasu zmienną przędę ja żywą osłonę bożą.

FAUST. Ty, co się błąkasz po świecie bezbrzeżnym, ty duchu roboczy, jakże blizkim czuję się ja tobie!

DUCH. Tyś podobien duchowi którego pojmujesz, ale nie mnie (*znika*).

FAUST (*zdziwiony*). Nie tobie! Komuż więc? Ja, obraz Boga, niepodobien tobie! (*słychać pukanie*) O! nieznośnie! To pukanie Wagner'a; przychodzi tu przerwać urok nasłany na mnie słowami ducha! Tak moja rozkosz największa kończy się na złudzeniu, przerywana usunięciem się nędznego pedanta!

Jakże pięknym jest ów przechód, schodzący na prozę powszednią, od marzeń sennych poety. Wagner wchodzi; słysząc głośne słowa Fausta myślał on, że deklamował on głośno ustęp jaki z tragedyi greckiej i wsunął się, aby skorzystać co z sztuki mówienia pięknego wierszy. Wagner jest typem Filistra i pedanta; on oddaje się książkom, jak Faust poświęcił się wiedzy. Uwielbia on literaturę; kurz foliałów jest jego żywiołem, pergamin źródłem natchnień.

Pozostawiony na nowo sam sobie, Faust rozmyśla dalej w smutnym monologu rozpaczny; myśli i harmonia ich muzyczna powinny być odczytane w oryginale; żaden przekład nie może im wyrównać. Faust postanawia w końcu umrzeć; biorąc flaszkę zawierającą truciznę, mówi:

„Patrzę na ciebie i boleść serca koi się widokiem swoim; ściskam cię i gorączka mózgu uspokaja się, jak dzie cię w kolebce; fala za falą wyrównuje się powierzchnia mej duszy. Widzę jak przedemną rozściela się ocean szeroki i jak zwierciadło czyste leży u nóg moich; wabi on ku wybrzeżom jaśniejszym, ku dniom pogody wieczystej.“

Podnosi czarę do ust, kiedy nagle daje się słyszeć głos dzwonów i odległy śpiew kościelny.

CHÓR ANIOŁÓW. Chrystus zmartwychwstał! Radość śmiertelnym, których krępowały dotąd więzy pierworodne zepsucia i grzechu!

FAUST. Cóż to za szmer głuchy, cóż to za tony czyste, odrywają gwałtownie czarę od ust moich? Zapowiadacież wy, dźwięki głuche dzwonów, chwilę zmartwychwstania bożego? Czyż wy, o chóry! opiewacie już ową pieśń świętą, co kiedyś, w noc złożenia w grobie, spływała z ust anielskich, niosąc światu szczęśliwą nowinę zbawienia?

CHÓR KOBIET. Namazałyśmy ciało jego wonnościami; złożyłyśmy je w grobie wykutym w opoce; uwinęłyśmy je jak śnieg białemi rąbkami, ale, niestety! teraz Chrysta nie znajdujemy!

CHÓR ANIOŁÓW. Chrystus zmartwychwstał! Kto w boleści, w doświadczeniach czekał Boga Zbawiciela, temu dziś Zbawca zmartwychwstał!

FAUST. Czego szukacie tu w prochu, wy potężne, boleśńe kojące chóry? Dźwięczcie dokoła po świecie, gdzie wyglądają was dusze zbolale; słyszę poselstwo wasze, ale braknie mi wiary; cud jest najukochańszym wiary dziecięciem. Lecz do tych sfer wzniosłych, gdzie brzmi wieść święta, nie ważę się ja wzlatywać; — a jednak z dzieciństwa przywykły do tych dźwięków, dziś nawet one w świat mię porywają. Ach kiedyś, kiedyś w dniu tym zstępował na mnie pocałunek nieba; i wówczas brzmiały dzwony tak radośnie i modlitwa rzewna w piersi się tłoczyła, a niepojęta, śmiała tęsknica duchowa wywoływała mię w las i na łąkę. Pomiędzy tysiącem łez gorących, czułem, że świat nowy otwierał się przedemną. Pieśń ta zapowiadała mi wesołe gry młodości, uroczystość wiosny i szczęścia świeżego. Wspomnienia dawne, uczuciem dziecinnem, wstrzymują mię dziś od ostatniego, uroczystego kroku. O dźwięczcie, dźwięczcie, wy słodkie pieśni niebieskie! Łza płynie z oczu, ziemia ma mię dzisiaj znowu!

CHÓR UCZNI. Czyż pogrzebiony wzniósł się do nieba?

Ach on już u tronu Boga przedwiecznego, my zaś na padole płaczu i cierpienia. Czyż pozostawił on nas tu nazawsze, ach Panie, Panie zmiłuj się nad nami!

CHÓR ANIOŁÓW. Chrystus zmartwychwstał! Z łona zepsucia i zgnilizny, wesoło wznosić się ku niebu! Tym co wesoło, w miłości, braterstwie i jedności chwalą Pana, dla tych Chrystus zawsze jest blizkim! Mistrz jest przy uczniach swoich!

Scena wstępna nastęczyła się przez komedię wertepową, w której ukazuje się Faust, otoczony kompasami, sferami i instrumentami kabalistycznymi, chwiejąc się pomiędzy teologią, nauką boską, filozofią, nauką ludzką i magią, nauką piekielną. Treść jednakże bogatą sceny téj Goethe poczerpnął z doświadczenia własnego.

Scena pod bramą miejską. Opuszczamy posepną pracownię i samotne bojowanie indywidualne, aby odetchnąć powietrzem wolnym i przypatrzeć się życiu powszedniemu i codziennym zabawom. Jest to niedziela; studenci i służące, żołnierze i kupczyki wychodzą z miasta, dążąc ku rozmaitym zarogatkowym szynkowniom, otaczającym trakt miejski. Kurzawa i dym fajczany otaczają tłumy; wszędzie słyhać gwar i śmiechy wesołe, widać zalecanki młodzieży, odzywają się piosnki, uporne sprzeczki — wszystko od razu daje nam poznać charakter tłumu. Ten obraz, rzetelnie niemiecki, oddany jest wybornie; miejsce jakie on zajmuje w poemacie ma swoje znaczenie, pokazuje bowiem jak przyjmuje się życie duszą zwyczajną, w sprzeczności ze sceną poprzednią, która pokazywała nam ciężar ów, jakim życie tłoczy duszę kontemplacyjną, wymagając od niej wyjaśnienia swego uroczystego znaczenia. Faust żywot swój spędził na rozwiązywaniu zagadnień poważnych żywota; motłoch czas swój spędza na lekkomyślnych dążeniach, albo na rozkoszach zmysłowych; wielkie zagadnienie stworzenia nigdy nie mięsza mu miłego wczasu, świat bowiem dla niego nie jest wcale tajemnicą, ale czémś blizkim, rodzimém i poufałym. Więcój daleko dbają oni o tytuń dobry, o piwko musujące, o to czy ta lub owa pójdzie w taniec z tam-

tym, o tém kto będzie nowym burmistrzem w mieście, niż o wszelkie ukryte pomiędzy ziemią a niebem tajemnice. W scenie téj Faust bojownik myśli i Wagner, pedant, występują na scenę. Widok ten zajmuje go mocno, dając mu uczuć to, jak daleko od niego lud ten prosty umie używać świata.

Hier ist des Volkes wahrer Himmel,
Zufrieden jauchzet Gross und Klein:
Hier bin ich Mensch, hier darf ich's sein.

(Tu jest prawdziwe niebo gminu; dorosły i mały wykrzykują wesoło: tu dopiero jestem człowiekiem tu, i bym powinien być nim).

Tak, tu czuje się on człowiekiem, jednym z pospolitego bractwa, tu bowiem czuje pociąg do zabaw, ciągnących ku sobie innych. Ale Wagner, pedant wierutny, nie podobnego nie czuje w sobie; jest on tu dla tego tylko, że chciałby być wszędzie razem z Faustem; należy on do liczby tych ludzi, co nawet w obliczu Niagary gotowi są niepokoić się pytaniami o éwiekopiśmie, co na kiermaszu wiejskim mają na placu sprzeczki o pochodzeniu Pelazgów.

Gmin gromadzi się w około Fausta, oddając mu cześć głęboką, taką jaką zwykle raczą człowieka „naucznego“ ludzie niepiśmienni. Wagner pogląda na to z zawiścią; Faust czuje jakby w tém ukrywało się szyderstwo. Jako! czić jego, jego który czuje głęboko własną swoją nikczemność! Usiada na kamieniu, i patrząc z niego na zachodzące słońce, objawia myśli posępne o życiu i bezsensownych zabiegach jego. Stary wieśniak przypomniał mu scenę z młodości jego, podczas kiedy gorączka grasowała kiedyś, a on zawsze pilnował łoża boleści i tyle uratował był ludzi z pomocą „Ojca wszelkiego miłosierdzia.“ Siedząc na kamieniu, widzenia młodości zaczęły przeciągać przed oczami jego duszy.

„Tu siadywałem często samotny, pogrążony w myśli głębokie, martwiąc się postem i modlitwą; a jakżem wówczas był bogaty nadzieją, jakże mocny wiarą. Ze łzami i

westchnieniem załamywałem dłonie, prosząc o koniec téj groźnej zarazy u Boga.“

Środki jego były magiczne.

„Zadawano lekarstwa, a pacjent konał; nie pytano o to jednakże, kto wyzdrowiał? I tak my z lekarstwy, gorszemi od piekła samego, przechodziliśmy po téj dolinie jakby dżuma druga; sam podawałem tysiącom truciznę, ci marli, a ja dożyłem do tego nareszcie, że mi dziękują dziś za cudowną kurację.“

Wagner nierozumie tych skrupułów; nie kłopotuje się on wcale jak Faust poczuciem w sobie dwojga przyrodzenia:

„Dwie dusze mieszkają we mnie, niestety! Nieprzyjazne ich przyrodzenia bojują z sobą ustawicznie; jedna pobudzona głupią miłością życia, trzyma się usilnie organów ciała; druga brzydząc się brudnymi obszarami ziemnymi, tęskni za królestwem wielkiego ojca swego.“

Ukazuje się pudel, aby przerwać ten dyalog i Wagner, z charakterystyczną głupotą, w tém zjawisku nic więcej niepostrzeżę nad pudła:

„Oddawna go już postrzegałem, ale nie widziałem w tém nic ważnego!“

Wzrok wewnętrzny Fausta więcej jest jasnym. Opuuszczają scenę, a pudel idzie za nimi.

Pracownia Fausta. Faust i pudel wchodzą na scenę. Myśli Fausta są uroczyste, co wprawia w niepokój pudła; niespokojność ta coraz więcej wzrasta, w miarę tego jak Faust bierze się do wykładu biblii. Rozpoczyna się próba zaklęcia i ukazuje się Mefistofel. Nie mam potrzeby zastanawiać się nad szczegółami téj sceny, jakkolwiek może to być pociągającym dla mnie, ale przychodzę wprost do zetknięcia się Fausta z Mefistofelem. Zetknięcie się to było przygotowanym starannie. Faust został przywieziony do rozpaczę ubiegając się za wysokim celem żywota; przejrzał, że wszelkie jego zabiegi w tym względzie były szaleństwem; widział już to nareszcie, że wiedza była mydlaną bańką, dla której wyrzekł się on był szczęścia rzetelnego, jakie możebnym jest na ziemi. Rwie się więc te-

raz do szczęścia, chociaż nie wierzy w nie, tak samo, jak nie wierzy już w wiedzę. W przystępie zwątpienia zgadza się oddać duszę, jeżeli dostąpi kiedy szczęścia:

MEFISTOFEL. Chcę się oddać na twoje usługi, gotowy czuwać na każde twoje skinienie; ale kiedy potem, kiedyś, *tam* się spotkamy, ty to samo dla mnie czynić będziesz musiał.

FAUST. Nie dbam ja wcale o to, co *tam* kiedyś będzie; jeżeli ci się uda rozbić skorupę świata tego, to pewnie po nim nowe nastaną tu światy. Mniejsza o to, moje rozkosze płyną z tej ziemi, i to słońce przyswieca utrapieniom moim: niech wprzód od nich się oderwę, a tam niech się stanie co sobie chce. O tym niechę nic słyszeć więcej, niechę wiedzieć wcale czy tam kochają, czy nienawidzą, czy jest w sferach tamtych to, co zwiemy tu w górze i w dole.

MEFISTOFEL. W tym względzie możesz być spokojnym, odważ się; temi dniami z rozkoszą patrzeć będziesz na moją sztukę, ujrzysz to, czego żaden jeszcze człowiek nie oglądał.

FAUST. Cóż mi dasz ty, biedny ty djabełku? Czyż pojął kiedy który z was ludzkiego ducha, w jego wysokich, nadziemskich dążeniach? Ty masz wprowadzić strawę, co nigdy nienasyca; masz złoto, co jak srebro żywe złotym strumieniem leje się po dłoni; masz grę, z której nic się nie wynosi; ty masz także rozkosz dostojenstwa, co znika szybko jak meteor z nieba; — lecz pokaż mi owoc, co niezdjęty gnije i drzewo co się codzień odmładza?

MEFISTOFEL. O, takie zadanie, zapewne, trudnym w spełnieniu nie będzie; mogę cię temi skarby udarować; ale, braciszku, przychodzi chwila, w której rozkoszy możemy doświadczyć.

FAUST. Jeśli kiedy spokojnie spocznę na zgniliznie, to ci się oddam całkiem z moją duszą! Jeżeli potrafisz omamnić mnie tak, abym się uczuł zadowolonym, jeżeli potrafisz pochlebić mi tak, abym uczuł z tego zwykłą rozkosz

próżności — a! wtedy, wtedy twój i twój nazawsze! Wzywam cię na zakład!

MEFISTOFEL. Dobrze — przyjmuję wyzwanie!

FAUST. Uderz w dłoń! Pamiętaj, jeśli powiem kiedy chwilce — zatrzymaj się mgnienie, tak jesteś dla mnie miłą i czarowną, wtedy będziesz mógł mnie okuć w twe kajdany, wtedy gotów jestem przyjąć potępienie wieczne! Wówczas niechaj dzwonią sobie w dzwony wszystkie, jak po umarłym; wówczas czarcie wolnym będziesz od mej służby! Zegar wieczności niechaj wtedy stanie, niech sobie jego opadnie wskazówka, bo dla mnie wtedy wszystko już skończone?

MEFISTOFEL. Zastanów się, bo to jest ważne, niezapomnę o tém!

FAUST. Masz wszelkie prawo.

Co za rozpacz głęboka w tém wyrażeniu, że jeżeli powie chwilce upływającej „stój, tyś tak piękna!“ gotów jest wówczas zostać potępionym!

FAUST. Nie bój się tego, abym złamał moje słowo! Popęd całej duszy mej jest właśnie w tém, com ci przyobiegał. Zanadto dumą sięgałem daleko, więc tylko do was mogę ja należeć. Duch wielki wzgardził mą istotą, cała przyroda odmawia mi tajni co w sobie ukrywa, wątek mej myśli rwie się mi co chwila i brzydzą się już samém słowem *wiedza*. Zejdę więc teraz w przepaść zmysłowości, aby ukoić pałające żądze! Wszak w głębokościach czarodziejskiej sztuki wszystko a wszystko stoi w pogotowiu! Rzućmy się więc w wir świata, w potoki wypadków dziwnych! Tu boleść i rozkosz, powodzenie i zawody mogą się zmieniać dowoli, przecież niewyczerpią działalności ludzkiej.

MEFISTOFEL. Nie zakładam ci w tym względzie żadnego celu i miary; możesz wszędzie kosztować rozkoszy, gdzie się ci nadarzy, tylko bierz się do tego ochoczo, a śmiało!

FAUST. Uważasz dobrze, że nie ma tu wcale mowy o radości; oddają się tylko upojeniu, rozkoszy gorzkiej, miłości nienawistnej, wytchnieniu przykremu; pierś moja ule-

czona z żądy wiedzy, nie ma być na przyszłość obcą boleści i co przypadło podziałem dla całej ludzkości, gotów jestem skosztować w głębi mojej duszy; chcę duchem moim schwytać najwyższe i najgłębsze, skupić w sobie zarówno błogość i cierpienie całej ludzkości, aby w ten sposób moją jaźń jaźnią ludzkości nasztukować i w końcu skruszyć całe me jestestwo.“

Ta scena zapisu duszy pochodzi także ze stariej sztuczki wertepowej i ciekawą bardzo jest rzeczą śledzić za tym, jak ów szkic pierwotny został rozwinięty przez Goethego. W wersyi augsburgskiej jest jeden warunek, pomiędzy temi jakie sobie wymówił Mefistofel, a mianowicie, aby odtąd Faust nigdy nie występował na katedrze teologii. „Ale cóż na to publiczność powie“ pyta Faust. „Zostaw to mnie“, odpowiada Mefistofel „ja sam zajmę na niej miejsce twoje i wierz mi, że pewnie przyczynię coś do twojej sławy, jaką sobie zjednałeś dotąd w uczości biblijnej.“ Gdyby Goethe znał był wersyę tę, pewnoby był umiał z niej skorzystać. (Istotnie exegetyka i krytyka biblijna w Niemczech, zmieniająca wszystko w symbole i mythy w starym i nowym testamentach, odpowiada wybornie tej sarkastycznej myśli stariej legendy katolickiej).

Musimy przejść milczeniem nieporównaną scenę, jaka następuje, pomiędzy Mefistofelem a młodym studentem, świeżo przybyłym na uniwersytet, z nieograniczoną żądzą wiedzy. Tu wiersz kaźden jest przekazem, albo odcieniem mądrości głębokiej. Położenie wszakże sceny tej, w stosunku do całości utworu, zasługuje na uwagę szczególną. Czém że jest ta scena jeżeli nie satyrą na wszelką gałęź wiedzy? Właściwém dla niej miejscem jest ów punkt, kiedy Faust wyrzeka się nauki, kiedy na zawsze zamyka księgi swoje, aby użyć życia i świata. Tak więc słowa Mefistofela o tym, że teoria jest siwobrodym starcem, a życie świeżem drzewem, zieloném i złotém —

Grau, theurer Freund, ist alle Theorie,
Und grün des Lebens goldner Baum

przygotowują nas do ostatecznego odrzucenia teorii i och-

czego wyszukiwania rozkoszy.³⁹⁾ To prowadzi nas do *Piwnicy Auersbacha* i scen w niej, nacechowanych dowcipem rzetelnie arystofanicznym. Co to za scena! Loch ten trąci wyziewami wina i złego tytoniu; jego sklepienia poczerńnięte odbijają odgłosem wesela rozpustnego i śpiewów hałaśliwych. Głupcy wybijają się tu w całej swojej głupocie. Jest to jeden kształt rozrywek ludzkich! Rzecz, którą na nieszczęście widzieć można w każdym europejskim mieście. Faust pogląda na to z pewnym rodzajem odurzonej odrazy, która wkrótce przemaga go; więc dalej, dalej, do drugiej sceny, równie szalonej, równie rozpustnej, do

Kuchni czarownic. Tu Faust przechodzi od jednej bestyalności do drugiej, od materyalnej sprośności do sprośności duchowej, od szpetności głupoty ku szpetności wiedźm. W tym przytułku czarodziejstwa pije on napój czarowny, który ma mu, jak utrzymuje Mefistofel, ukazać Helenę grecką w najpierwszej napotkanej po drodze niewieście. Odmłodzenie następuje połączone z nieznanymi mu dotąd żądzami; jest młody, a młode namiętności pędzą go w burzliwy potok czasu.

Spotkanie z Małgorzatą. Proste dziewczę, wracające z kościoła, spotkało Fausta; zaczepione odpowiada mu dość zalotnie; tu rozpoczyna się ustęp miłosny, nadający całości poematu pewien urok, któremu nie oprzeć się nie może. Sam Szekspir nie zostawił nam podobnego portretu jak Małgorzata Goethego; nie dał nigdzie podobnego osobliwszego zjednoczenia się namiętności, prostoty, niewinności i czarodziejstwa. Ubóstwo i niższy stopień towarzyski Małgorzaty nigdy nie giną z widoku; nigdy ona nie staje się oderwaniem (abstrakcją) filozoficzném; sama miłość tylko podnosi ją ponad jęj położenie i tylko w namiętności swojej jest ona tak wzniosłą. Bardzo pięknym i zabawnym jest

³⁹⁾ Jakkolwiekbaż w scenie tej Mefistofela ze studentem widać wyraźnie pogląd Goethego na czczość współczesnej mu filozofii bezwzględnej Fichtego i Szellinga. Szatan za godło zawodu młodziana, pisze mu w albumie to, co powiedział był w raju pierwszy rodzicom ludzkości przy drzewie świadomości: *Bądźcie jako bogi, znający dobro i zło.*

sprzeczność, zachodząca pomiędzy tą prostą dziewczyną, a przyjaciółką jej Martą, która zaleca się Mefistofelowi z pewnemi światowemi wykrętami. Efekt téj sprzeczności w sławnej *scenie w ogrodzie* jest wyborny; i cóż bo to za scena! Trudno jest wypowiedzieć nawet skutek tego uroku! Jest to obraz nie zacierający się nigdy w pamięci; niektóre rysy tkwią głęboko w duszy i poruszają ją tak jak wzrusza nas czasami wspomnienie jakiejś muzyki czarownej. Na przykład to miejsce, kiedy Małgorzata prosi go, aby choć na chwilkę czasami pomyślał o niej, ona bowiem sama ma dosyć czasu na to, aby o nim zawsze myśleć:

Denkt ihr an mich ein Augenblickchen nur,
Ich werde Zeit genug an euch zu denken haben!

Jakiż śliczny wizerunek miłości niewieściej, miłości samotnej, w której myśli o miłym niewyzywane same kupią się w głowie! A ówże wyborny ustęp o wróżbie z obrywanych listków kwiatka — „*kocha, trocha, bardzo mało, wcale nic*,” po którym następuje urocze dumanie w nieobecności kochanka: „Mój Boże! jak też to człowiek w stanie jest myśleć o wszystkim, a wszystkim! Zawstydzona staję ja przed nim i tylko na wszystko jedna u mnie odpowiedź: tak i tak! O! bo też głupie ze mnie biedne dziewczę! Nierozumiem nawet, co on we mnie znajduje może.“ Szczerota ujmująca słowa nie da się przełożyć.

Las i jaskinia. Nie rozumiem dobrze stosunku sceny téj do całości myśli. Faust jest sam w pośród samotności przyrodzenia, wyrażając na przemiany zachwyty i rozpacz:

Ach! że też nie masz nic doskonałego
Już teraz czuję! Tyś do téj rozkoszy
Co teraz więcej mnie do bogów zbliża
Dał towarzysza, bez którego już się
Nie mogę obejść, chociaż dziki, zimny,
Przedemną samym mnie uniża, i w nie
Przemienia dary twoje słów swych tchnieniem.
W méj piersi dziki ogień on roznieca
Ku tobie, z wszystkich dziewic najpiękniejsza.
Tak do użycia rzucam się od żądz,
Za żądzą znowu tęskniąc od użycia.

Wchodzi Mefistofel i obaj z sobą się pasują. Scena ta

pełna jest ślicznych rzeczy, ale położenie jój w całości nie daje się pojąć jasno. Następuje po niej scena w izbie Małgorzaty, ukazująca ją u kołowrotka, śpiewającą:

Uszedł mi pokój
Z serca ciężkiego;
Nigdy, już nigdy
Nie znajdę jego!

Po niej następuje scena druga w ogrodzie, w której Małgosia wypytuje Fausta o jego wiarę. Damy tu sławne owe *credo*, choć w tłumaczeniu dosyć mierném:

Ty wyrozumiej mnie, luby aniele!
Kto nazwać zdoła,
I kto zawoła:
„Ja w niego wierzę!“
A kto tak śmiały,
Kto tak zuchwały
Wyrzec: ja w niego nie wierzę!
Ów Wszechstworzyciel,
Ów Wszechdzierżyciel,
Nie zachowujeż on ciebie,
I mnie i samego siebie?
Czy się nie sklepi niebo w wysokości?
Nie leżyż ziemia pod nami bezpiecznie?
Nie błyszcząż zawsze w pogodnej jasności,
Nie poglądaż gwiazdy na nas wiecznie?
Czyż ja nie patrzę tobie oko w oko,
I czyż się wszystko do ciebie głęboko
Do serca twego i głowy nie wciska,
Potém działając w wiecznej tajemnicy
Skrycie, widocznie przy tobie nie błyska?
Napełń tém serce, ile jesteś w stanie,
I żyjąc wtedy w tém uczuciu drogiém
Jakie chcesz daj mu nazwanie,
Nazwij je szczęście, serce, miłość, Bóg!
Ja nie mam na to żadnego imienia,
Wszystko to dla mnie jest uczuciem tylko.
Imie to dźwięk marny,
Dym gęsty, czarny,
Co światło niebios zasłania!

Jakkolwiek niezupełnie myśli te godzą się z nauką kościoła, przecież są one wzniosłym, głębokim i pięknym wyrazem przeświadczenia wewnętrznego człowieka o Stwórcy swoim. Małgorzata czuje to, że wyznanie to jest w rzeczy tém samém jakiego nauczają księża

Tylko słowami troszeczkę innemi.

Jest coś nadzwyczaj czułego w tém interesowaniu się dziewczęcia wiarą kochanka; wykazuje to jeszcze jeden pierwiastek jój charakteru, jak z drugiej strony instynktowy wstret jój ku Mefistofelowi podaje do niego rys inny; z jego czoła czyta ona to, że nie masz w nim współczucia, że

Ani razu on żywój duszy nie ukochał!

W obecności jego czuje ona, że jój własna miłość ginie; bo pewna takóž, że przy nim nie może się ona modlić.

Niewinność dziewczęcia szczebiocącego tak jak ptaszyna na drzewku, przygotowuje nas do prostodusznej gotowości przyjęcia kochanka w pokoiku swoim i zgody zadania matce proszku usypiającego:

Dość bym cię luby zobaczyła,
Wraz mnie coś zmusza spełniać twe żądanie;
Tylem dla ciebie, tylem już zrobiła,
Że mi nic wkrótce zrobić nie zostanie.

Scena ta, ze znaczeniem straszném, ma za następczynię ową krótką scenę na murze, w której Małgorzata słyszy jak jój przyjaciółka Basia tryumfuje w sposób niewieści z powodu upadku jednej ze swoich towarzyszek; kobiety, tak litościwe w każdym innym względzie, są bez litości jedna dla drugiej w tym właśnie wypadku, w którym, zdaje się, czułość niewieścia najwięcej objawić by się powinna. Basia nie mówi słówka jednego przeciw uwodzicielowi, ale całe jój oburzenie spada na ofiarę biedną, „która ma to tylko na co zasłużyła“. Małgorzata, czując się do winy, nie tryumfuje już jak pierwój by tryumfowała, kiedy

Słów podostatkiem nie mogła nazbierać,
Tak się to czarném jój zawsze zdawało
I czerniąc więcj jeszcze czarném mało.

Dziś czuje się grzesznicą i nie może sądzić innych! W zakończeniu monologu tego ileż jest prostoty:

Lecz wszystko co mnie powiodło na zgubę
Tak było słodkie, ach tak było lube!

To znaczy: „Tak, jeżeli zgrzeszyła, grzech ten przyszedł ku mnie w tak uroczej postaci, tak miły, żem go pokochała!“

Następna scena ukazuje nam Małgosię, modlącą się do N. Panny, matki boleści wszelkiej; potem nadchodzi brat jej Walenty, cierpiący bardzo z powodu sromu siostry; przerywa on serenadę Faustową, rzuca się na niego, dostaje po grzbiecie od Mefistofela, pada wreszcie i wyziewa ducha, przeklinając Małgorzatę. Od tego mordu i okropności udajemy się do Katedry. Małgorzata modli się w tłumie, a obok niej duch nieczysty. Uroczyste, przejmujące do głębi ducha wrażenie ogarnia widza, kiedy patrzy na ten obraz grzesznicy skruszonej, szukającej przytulku i pociechy w świątyni, a znajdującą tylko rozpacz nową. W około niej klęczy w milczeniu lud przysłuchując się z pociechą słowom, przejmującym ją dreszczem:

Dies irae, dies illa,
Solvat saeculum in favilla!

A kiedy chór intonuje:

Judex ergo cum sedebit,
Quidquid latet apparebit,
Nil inultum remanebit —

ona zostaje przejętą zgryzotą sumienia, duch bowiem zły wykłada jej te wyrazy w ich najgroźniejszym znaczeniu.

Noc na łysiej górze. Wprowadzenie sceny tej, gdyby Faust był prosto dramatem, byłoby dla niego wielkim błędem. Duch przechodzi tu od rozwagi namiętności ludzkich do bredzeń gorączkowych fantazyi. Tylko cośmy drżeli z Małgorzatą, nie jesteśmy więc usposobieni harcować na łysiej górze. Ale Faust nie jest dramatem; celem jego jest nietylko to, aby rozwinąć przed oczami naszymi rozmaite ewolucye pewnego ustępu żywota, nietylko przykucie uwagi do historyi bohatera, ale jest to wielkie legendowe widowisko, w którym wszystkie fazy żywota winne są być wystawione. Scena na łysiej górze jest właśnie częścią starąj legendy i znajduje się w wielu wersjach sztuki

wertepowój⁴⁰⁾. Uważmy że Goethe umieszcza Blocksberg zaraz po scenie w katedrze i tym sposobem wystawia sprzeczność pierwiastku czarodziejskiego z pierwiastkiem religijnym; tak samo uprzednio wystawił był w sprzeczności kuchnię wiedźm i jój orgie z orgiami w piwnicy Auerbachowój.

Nie powinniśmy bawić długo na Blocksbergu, ale zaraz wracamy na ziemię, gdzie dramat tragiczny śpieszy ku swemu rozwiązaniu. Uwiedzenie poprowadziło do dzieciobójstwa, to zaś powiodło do potępienia Małgorzaty przez wyrok sędziów kryminalnych. Faust dowiaduje się o tém, dowiaduje się że leży na nim potrójne morderstwo — Walentego, Małgorzaty i jój dziecięcia. W rozpacz swojej wyrzuca Mefistofelowi to, że ukrył był to przed nim, tracąc czas drogi na niecne i głupie kuglarstwa. Mefistofel odpowiada zimno, że nie pierwsza i nie ostatnia zapewne Małgorzata ginie w ten sposób. Na co Faust oburza się: „Nie pierwsza! Okropność, okropność, której nie pojmie dusza ludzka! Więcej niż jedna istota boża została wepchniętą w otchłań występku! A pierwsza w okropném konaniu, nie przebłagała miłosierdzia Stwórcy za wszystkie winy późniejsze jój podobnych istot!“ Scena ta napisana jest prozą, jedyna napisana prozą w całym poemacie; dla czego? odgadnąć trudno.

Co za malowidło w sześciu wierszach sceny następnój. Faust i Mefistofel jadą po dzikięj i jałowój niwie; stukanie ciesli, pracujących nad wystawieniem szubienicy, uwiadamia ich o przygotowaniach do spełnienia wyroku nad Małgorzatą.

Nareszcie odkrywa się scena ostatnia. Faust wchodzi do więzienia, w którém Małgorzata leży rozciągniona na posłaniu ze słomy, śpiewając dziko urywki starych balad ludowych; obłąkanie wyraźne a koniec blizki. Straszliwy pathos widzenia się tego wyciska łyzy za każdym odczy-

⁴⁰⁾ W wersyi sztrasburskiej Mefistofel obiecuje błaznowi konia, na którym pojedzie na Szabat, galopując w powietrzu; zamiast pegaza daje mu jednakże sturęgo capa z latarnią u ogona.

taniem téj sceny. Podczas kiedy cierpienie wzrasta coraz więcej, ukazuje się okrutna, obojętna postać Mefistofela i w taki sposób zawiera w koło określone ową ironię, przebiegającą poemat cały. Każden czuje, że scena ta nie da się przełożyć. Urok wierszy takich jak ten oto np.:

 Nie mów nikomu że byleś już przy Małgosi

nie da się odtworzyć. Przełożymy scenę tę prozą:

 MAŁGORZATA (*kryjąc twarz w słomę łoża*). Biada! biada! nadchodzą. Gorzka śmierć!

 FAUST (*łagodnie*). Cicho! cicho! Przychodzę wybawić cię.

 MAŁGORZATA (*padając przed nim*). Jeżeliś człowiek, uczuj litość nad moją niedolą!

 FAUST. Obudzisz straż swojemi krzyki; (*bierze za łańcuch aby go otworzyć*).

 MAŁGORZATA (*klęcząc*). Kto ci dał panie mistrzu tę moc nademną? Przychodzisz po mnie kiedy jeszcze północ. Zmiłuj się, pozwól niech ja jeszcze pożyję. Czyż ci niedość będzie, że mię zabierzesz jutro rano? (*Powstaje*). Jam jeszcze tak młoda, tak młoda! i mam umrzeć! Byłam także piękną i to mię zgubiło! Kochanek mój był blisko, a teraz on już daleko. Wieniec mój już porwany, rozrzucone kwiecie jego. O nie ciśnij mię tak mocno! Zlituj się nademną. Cóżem ci ja biedna uczyniła! Ach niechże cię nie proszę napróżno! Wszak wiesz żem cię nigdy w życiu mojem nie widziała!

 FAUST. Mogęż przenieść tę boleść!

 MAŁGORZATA. Jużem całkiem w twój mocy! Pozwólże niech przynajmniej nakarmię piersią moją dziecinę. Całutką noc tuliłam ją do siebie. Wzięli byli ją odemnie, aby mnie zmartwić, a teraz mówią żem ją zabiła. Ach! ja nigdy nie będę już szczęśliwa znowu. Śpiewają pieśni o mnie, jakże to nieludzko! Stara powieść tak się kończy: któż im zabrania zastósować ją!

 FAUST (*rzuca się na ziemię*). Kochanek leży u nóg twoich, aby wyzwolić cię z więzów niedoli.

 MAŁGORZATA (*klęka przy nim*). Uklęknijmy i pomódlmy

się do świętych Pańskich. Patrz pod progiem, pod schodami piekło pała! Czart z wściekłością okropną hałasuje.

FAUST (*namiętnie*). Małgorzato! Małgorzato!

MAŁGORZATA (*przysłuchując się*). To był głos mego miłego! (*Wskakuje, łańcuchy opadają.*) Gdzie on? Słyszałam właśnie jego! Jestem wolną. Nikt mnie nie zatrzyma. Pobiegnę, rzucę mu się na szyję, przytulę się do piersi jego. On wołał na mnie: Małgorzato! Stał na progu, w pośrodku wyjącego i hałasującego piekła; pomimo skomlenia szatańskiego, poznałam jego słodki, kochający mnie głosik.

FAUST. Ja to jestem.

MAŁGORZATA. Toś ty! Ach powtórz to raz jeszcze! (*Obejmując go.*) To on! To jest on! Gdzież się podziało nieszczęście moje? Gdzież konanie ciężkie w więzieniu? Gdzież łańcuchy moje? Toś ty! Przychodzisz mnie wybawić. Ach, jużem wyratowana! Oto znowu ulica, w której po pierwszy raz cię ujrzałam, oto ogródek rozkoszny, w którym ja z Martą czekałyśmy na ciebie.

FAUST (*usiłując wyprowadzić ją*). Chodź, chodź ze mną!

MAŁGORZATA. Och! zaczekaj chwileczkę! Ja tak lubię być tam gdzie ty jesteś. (*Pieści go.*)

FAUST. Śpieszmy! Jeżeli nie pośpieszysz, drogo to przypłacimy.

MAŁGORZATA. Jakto? Już nie chcesz mnie pocałować? Tylko co odemnie mój luby i już zapomniałeś całować! Czemuż mnie tak smutno u piersi twojej? Kiedyś to, kiedyś niebo całe zstępowało na mnie, kiedy słyszałam miłe słowa twoje, patrzyłam w oczy twoje; a ty wówczas tak mię całowałeś, jakbyś chciał duszę ze mnie wyssać! Pocałuj mnie, albo ja cię pocałuję! (*Ściska go.*) Niestety! usta twe chłodne — nieme. Gdzież miłość twoja? Kto mnie okradł z miłości twojej? (*Odwraca się od niego.*)

FAUST. Chodź, idź ze mną, bądź dobrej myśli moja droga. Uscisnę cię tysiakkroć gorącej; tylko idź za mną; o to jedno tylko cię proszę.

taniem téj sceny. Podczas kiedy cierpienie wzrasta coraz więcej, ukazuje się okrutna, obojętna postać Mefistofela i w taki sposób zawiera w koło określone ową ironię, przebiegającą poemat cały. Kaźden czuje, że scena ta nie da się przełożyć. Urok wierszy takich jak ten oto np.:

 Nie mów nikomu że byłeś już przy Małgosi

nie da się odtworzyć. Przełożymy scenę tę prozą:

 MAŁGORZATA (*kryjąc twarz w słomę łoża*). Biada! biada! nadchodzą. Gorzka śmierć!

 FAUST (*łagodnie*). Cicho! cicho! Przychodzę wybawić cię.

 MAŁGORZATA (*padając przed nim*). Jeżeliś człowiek, uczuj litość nad moją niedolą!

 FAUST. Obudzisz straż swojemi krzyki; (*bierze za łańcuch aby go otworzyć*).

 MAŁGORZATA (*klęcząc*). Kto ci dał panie mistrzu tę moc nademną? Przychodzisz po mnie kiedy jeszcze północ. Zmiłuj się, pozwól niech ja jeszcze pożyję. Czyż ci niedość będzie, że mię zabierzesz jutro rano? (*Powstaje*). Jam jeszcze tak młoda, tak młoda! i mam umrzeć! Byłam tak-koż piękną i to mię zgubiło! Kochanek mój był blisko, a teraz on już daleko. Wieniec mój już porwany, rozrzucone kwiecie jego. O nie ciśnij mię tak mocno! Zlituj się nademną. Cóżem ci ja biedna uczyniła! Ach niechże cię nie proszę napróżno! Wszak wiesz żem cię nigdy w życiu mojem nie widziała!

 FAUST. Mogęż przenieść tę boleść!

 MAŁGORZATA. Jużem całkiem w twój mocy! Pozwólże niech przynajmniej nakarmię piersią moją dziecinę. Całutką noc tuliłam ją do siebie. Wzięli byli ją odemnie, aby mnie zmartwić, a teraz mówią żem ją zabiła. Ach! ja nigdy nie będę już szczęśliwa znowu. Spiewają pieśni o mnie, jakże to nieludzko! Stara powieść tak się kończy: któż im zabrania zastósować ją!

 FAUST (*rzuci się na ziemię*). Kochanek leży u nóg twoich, aby wyzwolić cię z więzów niedoli.

 MAŁGORZATA (*klęka przy nim*). Uklękniijmy i pomódlmy

się do świętych Pańskich. Patrz pod progiem, pod schodami piekło pała! Czart z wściekłością okropną hałasuje.

FAUST (*namiętnie*). Małgorzato! Małgorzato!

MAŁGORZATA (*przysłuchując się*). To był głos mego miłego! (*Wskakuje, łańcuchy opadają.*) Gdzie on? Słyszałam właśnie jego! Jestem wolną. Nikt mnie nie zatrzyma. Pobiegnę, rzucę mu się na szyję, przytulę się do piersi jego. On wołał na mnie: Małgorzato! Stał na progu, w pośrodku wyjącego i hałasującego piekła; pomimo skomlenia szatańskiego, poznałam jego słodki, kochający mnie głosik.

FAUST. Ja to jestem.

MAŁGORZATA. Toś ty! Ach powtórz to raz jeszcze! (*Obejmując go.*) To on! To jest on! Gdzież się podziało nieszczęście moje? Gdzież konanie ciężkie w więzieniu? Gdzież łańcuchy moje? Toś ty! Przychodzisz mnie wybawić. Ach, jużem wyratowana! Oto znowu ulica, w której po pierwszy raz cię ujrzałam, oto ogródek rozkoszny, w którym ja z Martą czekałyśmy na ciebie.

FAUST (*usiłując wyprowadzić ją*). Chodź, chodź ze mną!

MAŁGORZATA. Och! zaczekaj chwileczkę! Ja tak lubię być tam gdzie ty jesteś. (*Pieści go.*)

FAUST. Śpieszmy! Jeżeli nie pośpieszysz, drogo to przypłacimy.

MAŁGORZATA. Jakto? Już nie chcesz mnie pocałować? Tylko co odemnie mój luby i już zapomniałeś całować! Czemuż mnie tak smutno u piersi twojej? Kiedyś to, kiedyś niebo całe zstępowało na mnie, kiedy słyszałam miłe słowa twoje, patrzyłam w oczy twoje; a ty wówczas tak mię całowałeś, jakbyś chciał duszę ze mnie wyssać! Pocałuj mnie, albo ja cię pocałuję! (*Ściska go.*) Niestety! usta twe chłodne — nieme. Gdzież miłość twoja? Kto mnie okradł z miłości twojej? (*Odwraca się od niego.*)

FAUST. Chodź, idź ze mną, bądź dobrej myśli moja droga. Uscisnę cię tysiakkroć gorącęj; tylko idź za mną; o to jedno tylko cię proszę.

MAŁGORZATA (*obracając się ku niemu*). A więc to ty jesteś, ty sam?

FAUST. Ja, ja. Chodźmy!

MAŁGORZATA. Uwalniasz mnie z więzów, przyciskasz mnie znowu do piersi! Jakże ty się mnie nie boisz? Wieszże ty, moje życie, kogo ty wyswobadzasz?

FAUST. Chodź, chodź! Ciemność nocy już się rozprasza.

MAŁGORZATA. Jam matkę moją zabiła, utopiłam moje dzieciątko. Czyż to już nie było takim twojem i mojem przeznaczeniem? Twojem takż? Więc toś ty? Zaledwie oczom moim wierzyć mogę. Daj mi rękę. — Wiec to nie sen — twoja ręka droga! Ale jakaż wilgotna! Otrzyj ją. Zdaje się mi jak gdyby krew na niej była. O Boże! Cóżś ty zrobił? Włóż miecz twój do pochwy, proszę cię o to!

FAUST. Co przeszło, przeszło, nie wspominaj o tém. Chcesz mnie zabić.

MAŁGORZATA. Nie, zaczekaj. Opiszę ci groby; jutro rano musisz zaraz pójść je opatrzyć. Dla matki wybierz miejsce najlepsze; brat niech spoczywa; opodal trochę dla mnie miejsce, tylko nie bardzo daleko; mała dziecina niech leży na prawej piersi mojej; przy mnie nikt niech już nie spoczywa. Spocząć przy tobie było kiedyś miłém, drogiem marzeniem mojem, ale już to nigdy, nigdy nie nastąpi. Czuję w sobie jakby mnie coś przyciągało do ciebie, a ty jakbyś mnie odtrącał od siebie. A jednakże to tyś sam, wyglądasz tak dobrym, przyjaźnym.

FAUST. Jeżeli czujesz żem to ja, chodź więc nareszcie.

MAŁGORZATA. Ztąd?

FAUST. Na wolę!

MAŁGORZATA. Jeżeli tam grób, jeżeli ztąd w objęciu śmierci, więc chodźmy! Tylko na spoczynek wieczny i już ani krokiem dalej. Chcesz iść już? O Henryku, gdybym téż ja mogła pójść z tobą takż!

FAUST. Możesz! Tylko zgódź się na to. Drzwi stoją otworem.

MAŁGORZATA. Ach! jam nie powinna wychodzić; dla mnie nie masz już nadziei! Co pomoże ucieczka? Czeka ją

na mnie. Zresztą to tak okropnie żebrać i — co gorsza — żebrać z sumieniem nieczystém. Jakże ciężko tulać się po ziemi cudzej, do tegoż schwytają mię zaraz, cobym ja nie zrobiła.

FAUST. Ja z tobą będę.

MAŁGORZATA. Prędko, prędko, na miłość Boga, ratuj dzieciątko małe. Nuże! Tam w górze przy ruczaju, po moście w las na lewo gdzie leży kłódka w stawie. Tylko prędko i śmiało je chwytaj. Patrz chce się podnieść. Jeszcze się pasuje z wodą! Ach ratuj! ratuj — na miłość Boga!

FAUST. Uspokój się proszę cię! Tylko krok jeden i będziesz wolna.

MAŁGORZATA. Gdybyśmy tylko przeszli wzgórze! Tam na kamieniu siedzą matula, — ale jakież chłód mózg mi przejmuję! Tam na kamieniu siedzą matula i kiwają głową na prawo i na lewo. Nie kiwa na mnie, nie daje mi znaku, to głowa jej tak cięży; spi tak długo, nie obudzi się już nigdy. Spi nieboga, żebyśmy mogli się pieścić do woli. Ach piękne to były czasy!

FAUST. Kiedy ani prośby, ani perswazye nic nie pomagają, spróbuję siłą wynieść cię ztąd.

MAŁGORZATA. Puść mnie, nie zniosę gwałtu! Nie bierz mnie tak morderczo, wiesz że był czas, kiedym wszystko robiła dla twójjej miłości.

FAUST. Dnieje. Małgosiu, moja najmilsza!

MAŁGORZATA. Dzień, tak dnieje! Ostatni dzień mój świata! Miał to być dzień ślubu mego! Nie mów nikomu, że byłeś już z Małgorzatą. Biedny wianuszek! Po wszystkiém już! Zobaczmy się znowu, ale nie na tańcach! Tłum wzrasta, place, ulice nie mogą go pomieścić. Dzwony dzwonią! Przełamano laskę! Jakże krępiją mnie mocno powrozami! Ach! niosą mnie do pnia krwawego, a miecz chce wpić się w szyję moją. Świat cały leży niemy — jakby grób!

FAUST. Och! pocóż mnie matka na świat narodziła!

(*Mefistofel ukazuje się.*) Uciekaj lub zginąłeś! Nie zwle-

kaj próżno! Co tu gawędzić! Na koń i dalej, dzień już świta!

MAŁGORZATA. Wszelki duch chwali Pana Boga! Kto to podnosi się od ziemi? To on! to on! Precz! Czego chce on na tém miejscu świętém? Ach na mnie on czycha!

FAUST. Będziesz żyła!

MAŁGORZATA. Sprawiedliwości Boża! Tobiem się ja oddała!

(*Mefistofel do Fausta.*) Chodź, chodź! Zostawię cię w tej matni z nią razem!

MAŁGORZATA. Twoją jestem Ojczyźnie niebieski! Zasłońcie mnie anieli boży! Wy duchy święte, otocście mnie, strzeżcie mnie! Henryku! Boję się o ciebie!

MEFISTOFEL. Ona jest już osądzona!

(*Głos z góry.*) Zbawiona!

(*Mefistofel do Fausta.*) Za mną! (*Znika z Faustem.*)

(*Głos ze środka brzm.*) Henryku! Henryku!

Przegląd ten, tylko co dokonany, rozwijający przed nami szereg scen rozmaitych, wyobrażających życie, nie tylko, że jest w stanie objaśnić nam powodzenie *Fausta*, ale nadto objaśnia nam jeszcze tajemnicę układu jego. Szybkość i różnorodność scen nadają dziełu temu pewną cechę nieładu, aż wtedy dopiero, kiedy uchwycimy pierwiastek organizacyjny utworu, wiążący części w całość i jedność, wtedy dopiero widzimy, że panuje tu ścisły porządek. Czytelnik, biorący po raz pierwszy *Fausta* do ręki, zwykle bywa niekontent z niego; brak związku widocznego ukazuje go raczej w świetle jakiejś zmory nocnej niż dzieła sztuki. Nawet krytycy wytrawni³⁶⁾ omylili się byli na nim w ten sposób. Tak Kolridż, co tyle bojował za genialnością sztuki szekspirowskiej, nie mógł być dopatrzeć się jedności w *Fauście*. „Nie masz całości jednej w poemacie tym,“ mówił on, „sceny następują po sobie jak obrazki w latarni czarnoksiężkiej, i większa część

³⁶⁾ Lewes twierdzi że *Faust* ma jedność wewnętrzną myśli, ale jedność ta nie objawia się w szykowności i spójności części, składających się na ład całości utworu.

(*Przyp. tłóm.*)

dzieła wydaje mi się płaską“. Kolridż, co bojował z krytykami francuzkimi, ogłosił (językiem mało co odmiennym od języka szległowskiego), że jedność dzieła sztuki jest organiczną, a nie mechaniczną; uważano że uczynił tём wielką przysługę, wykazując w sztukach Szekspira jedność, wiążącą w całość kunsztowną różnorodność szczegółów. Jeżeli Hamlet nie jest latarnią czarnoksiężką, równie też Faust nie jest nią. Szereg scen w latarni czarnoksiężkiej nie ma wcale związku z planem ogólnym, nie zależą w niej sceny jedna od drugiej. W rozbiórce, przełożonym tu czytelnikowi, widne są i ów plan ogólny i zależność wzajemna scen od siebie. Ścisłejsze obeznanie się z dziełem usuwa owe uczucie pierwsze nieukontentowania. (W dziele sztuki, w którym pod jedną, prostą a kształtną formą wyraża się wiele -- wszystko zależy od tego pierwszego rzutu oka; utwór sztuki jest pięknym właśnie dla tego, że *od razu* wydaje się on nam pięknym. Gdzie potrzeba jeszcze rozbierać, badać, szperać, aby wyszukać w dziele piękno, jedność, całość jego — tam nie masz wiele uroku piękna, schwytyjącego duszę ludzką niespodzianie i przykuwającego ją do kształtu swego czarodziej-skim skutkiem podziwu i miłości. Przyp. tłóm.) Uczymy się pojmovać je i podziw nasz rośnie w miarę jak się oświecamy wczytaniem się w dzieło. Obraz odmalowany jest tak wprawną ręką, a jednakże na pozór tak niedbałą, że moc w nim zostaje ukrytą od wdzięku i nigdzie nie zdradza usiłowania.

Myszę że mało znajdzie się takich, coby przeczytali Fausta bez odczarowania. Zapewne że są dzieła, które od pierwszego poznania się zachwycają nas rozkosznie; w nich zwyczajnie zarówno myśl i kształt są nowe, wykonanie uderzające. W zapale entuzjazmu ogłaszamy dzieło nowe za dzieło mistrzowskie. Ale potem, badając je, ucząc się go na pamięć, ochładzamy się dla niego. W lat kilka, może nawet w kilka miesięcy, dzieła tego nie można odczytać i dziwimy się sami, jak mogliśmy się niém tak zachwycać. Rzecz prosta! Idea dzieła nie jest już dla nas nową,

owszem, nieraz trąci ona dla nas fałszem. Wykonanie nie dziwi nas więcej, bośmy już dopatrzyli się w niem wad niemałych. Poufaląc się z utworem, podziw nasz zwietrzył po mału przez lekceważenie owo, rosnące, jak mówią, wraz z poufałością, ale poufałość rozwija je tylko albo w duszach niskich, albo dla rzeczy niewiele wartych istotnie. A więc dzieło owo nie było arcytworem? Bynajmniej. Utwór mistrzowski nie wywołuje nagłych uniesień; potrzeba zastanawiać się nad nim wiele a długo, zanim go zrozumiemy zupełnie, powinniśmy dorość go wprzód duchem, bo pewno on się do nas sam nie zniży. Wpływ jego mniej jest nagły, ale dłużej trwa za to. Zachwyt dla niego wzrasta z czasem, z poufałością; nie odczarowujemy się nigdy, a coraz więcej odkrywamy w nim bogactw. Nie znajdujemy w nim błędów, bo ich tam nie ma. Homer, Szekspir, Rafael, Beethoven, Mozart nie obalamują nigdy sądu, ale raz objawszy duszę, zatrzymują ją przy sobie nazawsze.³⁷⁾ Pamiętam jak poglądałem po raz pierwszy na marmury elginowskie z zupełną obojętnością, do której wstyd mi było przyznać się nawet; potem jednakże nieraz stałem nad nimi długo w zachwyceniu takim, że to prawie do łez dochodziło. Z drugiej strony dzieła, na które teraz patrzeć nie chcę, zachwycały mnie bardzo, że dziś muszę porównać ten mój entuzjazm dla nich z upodobaniem dzieciństwa w jabłkach niedojrzałych. Równie odczarowany byłem Faustem z początku; nie rozumiejąc rzetelnej istoty dzieła, myślałem, że się ono nie udało Goethemu, dla tego że ono nie odpowiadało oczekiwaniom moim. Jest to zarozumiałość krytyczna; chcemy koniecznie aby artysta, nie wiedząc nawet o istnieniu naszym, tworzył koniecznie w duchu naszym! W miarę jak stawałem się dojrzalszym i zacząłem był czytać Fausta w orygi-

³⁷⁾ Ale zawsze ład, jedność, myśl dzieła rzucają się w niem w oczy od razu; sztuka była pierwój od krytyki, a Fidyasze i Praksytele przemawiali dółtem do ludu prostego; zapewne smak ludu tego był wykształcony; starożytność wypastowana na symbolicie mytów politeizmu, schwytywała łatwo myśl pod formą rzeczy, ależ i my tu mówimy o duchu ludzi ukształconych a Lewes o krytykach nawet.
(Przyp. tłóm.)

nale (z pomocą słownika), mało pomału gloria jego jaśniała przed oczami mojemu. Jest on teraz jedním z tych dzieł, które sprawiają na mnie urok pewien, urok dający się tylko porównać z miłością, jaką czujemy w sercu naszym dla tych osób, które kochamy od dzieciństwa. Przerzucając stronnice Fausta, albo spotykając ustęp jaki z niego, zdaje się, że z wierszy tych tchnie jakaś woń osobliwa, napęlniająca duszę rozkoszą taką naprzykład, jaką uczuwamy w sobie kiedy doleci do nas urywek jakiegóś rzewnój, oddawna znanój nam melodyi. (Wszystko to jest dobre, ale zawsze z Faustem rzecz ma się inaczej, że on od razu i potem podoba się nam w ustępach przeslicznych, a zraża brakiem całości i jedności kunsztownój.)

Arcydzieło podobne Faustowi, dla tego samego iż jest arcydziełem, musi koniecznie (?) sprawić odczarowanie, w miarę nadziei jakie wcześniej o sobie obudza w umysłach. Sir Joshua Reynolds, w czasie pierwszego pobytu swego w Watykanie, nie mógł być ukryć zmartwienia swego, z powodu że nie upodobał sobie w dziełach Rafaela; tém tylko się pocieszał, że inni tego samego doświadczyli byli na sobie. „Rzecz jest taka — dodaje, — że gdyby dzieła te były rzetelnie takimi, jakimim je sobie wystawiał, byłyby one bezwątpienia obrazami piękności wysokiej, uderzającój, ale pewno nie odpowiadałyby one swojój ogromnej sławie.“ Nie powinniśmy się tedy dziwić temu, jeżeli słyszymy ludzi znakomitych, odzywających się o Fauście niepochlebnie. Karol Lamb naprzykład uważał go za prostą melodramę w porównaniu z Faustem Marlowa; sąd ten wyda się dziwniejszym kiedy się porówna Fausta Marlowa z Faustem Goethego; sądu tego nie wydałby był najpewniej, gdyby utwór Goethego czytał był w oryginale.

Aby zastosować legendę o Fauście do czasu swego, Goethe był zmuszonym traktować ją symbolicznie; jego geniusz własny nadał takowemu traktowaniu rzeczy kierunek osobliwszy. Zobaczmy w części drugiej Fausta, jak słabnąca moc jego geniuszu szukała była natchnienia więcj

w symbolizmie, niż w rzetelnych źródłach poezji, więcej w rozmyślaniu, niż we wzruszeniu. Ale, na teraz, ograniczając się tylko częścią pierwszą dramatu, spostrzegamy w traktowaniu jęj przedziwną mieszaninę stylu legendowego z symbolicznym, średniowiecznego z nowoczesnym. Głębookość mądrości, wyborną poezję, jasne oddanie, dowcip, humor i pathos — może kaźden ocenić; gdybyśmy tak długo nie mówili tu o tym utworze, warto by było zastanowić się nie nad jednym szczegółem, ale musimy poprzestać obecnie na krótkim wskazaniu ogólnych względów poematu tego. Najprzód co do głównego zadania; „zadaniem, jakie sobie autor założył w Fauscie — powiada Kolridź — jest wystawienie następstwa mizologii, albo nienawiści wiedzy, poniżenia znaczenia jęj, spowodowanych niepomiernym jęj pragnieniem w początku. Ale miłość wiedzy dla nięj samęj i w celach czystych nigdy nie może sprawić podobnej nienawiści nauki, chyba spowodować ją może sama chęć jęj dla celów niskich i niegodnych mądrości.“ Założywszy taką podwalinę za temat do rozprawy swojęj, Kolridź krytykuje tak wypełnienie samo myśli tęj: „Nie masz ani proporcji i powodowości w Fauscie; od początku samego jest on sobie wywoływaczem duchów. Z drugięj strony zmysłowość nie godzi się wcale z pragnieniem wiedzy.“ Oto mamy przykład krytyki, o której wspominaliśmy wyżej, krytyki, narzucającej swoje pojęcia autorowi, lub artyście, jako rzetelne i jedynie godne cele sztuki. Kolridź nakreślił plan swego własnego Fausta i gani potęm Goethego, że nie traktował zagadnienia swego w tym sposobie, w jakimby chciał je widzieć traktowaném Kolridź. Gdyby był się lepiej zastanowił nad rzeczą, przekonałby się, że mizologia nie była wcale założeniem autora Fausta. Po dwóch pierwszych scenach, już niemasz żadnej wzmianki o wiedzy; mizologia wyczerpała się w pierwszych scenach dramatu. Cóż mówi o tęp sam Goethe? Oto są jego słowa: „sztuczka wertepowa, napisana dla lalek (marynetek) o Fauscie, wielu głosami odzywała się w duszy mojęj. I ja sam wędrowałem po niejednym kraju nauki

i z wędrówki tej wróciłem dość wczesnie, zadowolony czczoscią wiedzy. Równie próbowałem też życia pod wielu względami, wracając zawsze z tych wybieczek z cierpkoscią w uściech.“ Jeżeli gdziekolwiek kryje się klucz do Fausta, to najpewniej tu. Sztuka ta jest odbiciem passowań się wewnętrznych duszy poety. Doświadczenie nauczyło go, jak czczemi są wszelkie zaciekania się filozoficzne; to samo doświadczenie wskazało mu sposób wykrywania zepsucia pod kształtami cywilizacji, przejrzenia owych ciemnych prądów występku, kryjących się pod gładką, równą i jednostajną powierzchnią. Jeżeli więc, na chwilę, rozróżnimy jeden ze dwóch względów poematu — jeżeli odłożymy na stronę obraz, aby się zająć wyłącznie zagadnieniem — wówczas przychodzimy do tego wniosku, że tematem Fausta jest apoteoza sceptycyzmu, wykrzyk rozpaczny nad nicoscią żywota ludzkiego. Mizologia stanowi jedną część, ale tylko część tematu. Zrażony w pokuszeniach swoich przeniknięcia *tajemnicy* żywota, Faust oddaje się kusicielowi, którego obiecuje mu za to odkryć *rozkosze* życia. Oddaje się tedy rozkoszy jak się oddawał nauce — i upada. Orgije piwnicy Auerbachowej, widzenia Blocksbergu nie są w stanie zaspokoić jego żądy. Namiętność jaką czuje do Małgosi jest gwałtowną, ale gorączkową, przemijającą; nie jest ona w stanie dokazać tego, aby powiedział chwilce umykającej „zatrzymaj się, jesteś tak powabną.“ Niepokojny, bo szuka, szuka *absolutu*, którego nigdzie znaleźć nie można. Jest to cechą ludzkości całej:

Es irrt der Mensch so lang' er strebt.

(Błądzi człowiek dopóki szuka.)

Teraz słówko jedno na zawarcie rzeczy. Wyrzucano Faustowi że założył zagadnienie, ale go nie rozwiązał. Niemyszę aby rezultat ten miał być słusznym, nie przypuszczam bowiem, aby poemat miał być środkiem rozwiązania zagadnienia. Poemata nie są wcale systematami filozoficznymi; lira nie jest pulpitem professorskim. Kiedy piewca zostanie wykładcą problematów, wówczas złoży swój własny charakter, a wejdzie w obowiązki innego. Go-

dném przecież uwagi jest to, że Goethe, co tak jasno wyłożył zagadnienie, podał nam był podwójnie, bo w życiu i w pismach swoich, najprzybliższe jego rozwiązanie, pokazując nam, jak mamy znosić brzemie żywota. System jego w tym względzie był systematem wyrzeczenia się (renuncyacyi) — *dass wir entsagen müssen*; myśl tę zastosował on był nie jednokrotnie w czynie i w teorii z pomyslnym skutkiem. Jego zdaniem powinniśmy się ograniczyć tém tylko co jest możebném, co daje się objąć umysłem. Tajemnica bytu jest zagadnieniem poważném, ale jest tajemnicą, postawioną po za granicami władz umysłowych. Wiedza może być tylko stosunkową, nigdy absolutną. Ale ta wiedza stosunkowa jest nieskończona i nieskończenie ważną jest dla nas: w téj sferze obszernéj spoczywa dzieło każde, stosownie do jego zdatności. Szczęście tak idealne jak i absolutne jest zarówno niedoścignioném, powinniśmy się go tedy wyrzec zawczasu. Wielką jest sfera czynnego obowiązku, dostateczną i uszlachetniającą każdego, kto pracuje w niej wytrwale i surowie. W samym znoju pracy jest pobudka, dodająca mocy życiu; przeświadczenie zaś tego, że praca nasza dąży do dobra innych, czyni znośnemi lata upływające.

(Lewes dodał tu wiele moralnych, praktycznych idei chrześcijańskich do zasadniczej myśli Fausta, która przytyka do sceptycyzmu i do rozpacz. Od sceptycyzmu tego dwie tylko były drogi — objawienie, wiedza nadprzyrodzona, nauka kościoła, albo apatya i samobójstwo. System sceptyczno-panteistyczny Goethego rozwijano w Niemczech i przyszli tam do tego materyalizmu, na który powszechnie dziś utyskują w ojczyźnie Goethego. Lewes zastanawiał się nad powodami popularności Fausta i nie trafił na powód główny, a tym był wyraz rzetelny, jaki odbił się w nim, stanu umysłowego współczesnego dramatowi pokolenia. Faust był ostatnim wyrazem moralnym okresu dążności protestanckiej idei w dziejach.)

Faust i liryki Goethego już są dostatecznemi do zjednania autorowi swemu pierwszeństwa nad poetami nowo-

czesnymi, jednego Szekspira wyjąwszy. Gdyby one same były świadkami geniuszu jego, niktby zapewne nieśmiało zaprzeczać tego wzniosłego położenia Goethemu. Ale dał on oprócz nich wiele innych dzieł, albo, innemi słowy, utorował on sam wiele ścieżek, wiele przebił luków, któremi twierdza sławy jego może być dobytą. Sława jego umniejsza się samem bogactwem ducha jego; samo to, że tyle dokonał, tyle utworzył, zmniejsza wiarę w moc dzieł jego. Wiele pism szkodzi sławie; bo tak jak kiedy żołnierze stoją ściśnięci w szeregach wówczas ostatni piechur łatwo trafi w którego, tak i pisarzowi łatwiej idzie z krytyką im mniej ma jęj ukazać utworów swoich. Literatura grecka bodaj czy nie jest tylko tak wielką dla nas dla tego, że jest ułamkiem z ułamków; przeżyły tu arcydzieła same, a nic niepozostało w niej takiego co osłabiło ich wrażenie. Nasza własna, współczesna (angielska) literatura wydaje się nam tak ubogą nie dla tego wcale, żeby nie było w niej dobrych dzieł, ale dla tego, że tyle jest w niej złych, że dobre nawet zostają zasłoniętymi tą nawałą mierności, cisnącą się ustawicznie pod uwagę. Goethe napisał 40 tomów o najrozmaitszych przedmiotach; pisał on z doskonałością, nieznaną dotąd Niemcom, ale też czasami musiał być pisać i słabo, bo nie zawsze można pisać doskonale. Owa część słaba dzieł jest ich część prozaiczna. Wierszem jest on zawsze *piewca*; nawet najuboższe poemata jego mają coś z tego wdzięku, który ujmuje nas w jego arcytworach. Dar pieśni, najprzedniejszy dar poety, którego żaden inny talent nie w stanie jest zastąpić, dodaje drobnostkom nawet Goethego uroku, a jego liryki czyni nieporównanemi.

Liryki są najlepszymi dziełami jego; czarownością swoją zjednały sobie poklask nawet u przeciwników poety. Często można słyszeć najsprzeczniejsze z sobą zdania o Goethem i dziełach jego, ale nigdy, zapewne, nie zdarzy się słyszeć coś innego, oprócz pochwał samych, kiedy rzecz idzie o jego mniejsze poemata. Wdzięk i życie, jakby instynktem, zostały w nie przelane; nie tu nie można im za-

rzucić. Najrozmaitszym uczuciom nadają one formę muzyczną, a rzetelną; są one wesołe, zalotne, żartobliwe, czułe, namiętne, smutne, zadumane i malownicze; raz są proste, jakby wcale nie miały treści, a były tylko nutą samą, to znowu pełne myśli wzniosłych; odbijają z wdziękiem eterycznym kaprys jakiś, albo fantazyę, to znowu łkają boleścią, która ci łyzy wyciska z oczu. „Pieśni te — mówi H. Heine, sam takó¿ mistrz pieśni — mają w sobie jakąś tajemnicę, którą uchwycić niepodobna. Wiersze harmonijne oplatają się ci w około serca, jakby kochanka pieściotliwa. Słowo cię obejmuje, podczas kiedy myśl pocałunkiem cię darzy.“ Część tego uroku polega na nieporównanej rzetelności stylu. Nie postępuje on, jak inni poeci, epigramami i efektami odurzając metaforami które, jakkolwiek bywają piękne, rzadko przecie¿ wyrażają prawdziwe znaczenie rzeczy, którą upiększyć mają. Styl Goethego rozwija się jak kwiat do słońca, z gracyą bez pretensyi wszelkiej, a z taką rozmaitością, jaka tylko odkryć się daje w samej przyrodzie przedmiotu. Niemasz w nim wcale „ozdoby.“ Piękno jakie on objawia jest organiczne, jest ono częścią samej tkaniny poematu, a nie dodaje się do niej zewnątrznie, jako ozdóbka. Przeczytajcie naprzykład „*Rybaka*.“ Jak tu obrazy są proste, jak one płyną z istoty rzeczy, ale jakże razem są one malownicze! Jeżeli się zwrócimy znowu do całkiem różnego poematu, do „*Narzeczonej z Koryntu*,“ to có¿ zdoła tu wyrównać tej trafności, z którą słowo każde wyraża owe tajemnicze a straszne położenie; ka¿den wiersz jest jakby świeża karta powieści, tak szybko, a przecie¿ tak stopniowie rozwija rzecz. Młodzian przybywa z Aten do Koryntu, dla wyszukania narzeczonej, którą przeznaczyli mu jego i jej rodzice. Od czasu tych zmówin rodzice dziewczyny przyjęli chrześcjanizm, a kiedy wiara nowa puści korzeń w sercu, nieraz wyniszcza ona z niego miłość i wszelkie obce jej uczucia, jakby chwasty nędzne. Niewiedząc nic o tej zmianie, młodzieniaszek przybywa do miasta narzeczonej późno już w nocy. Gospodarstwo już śpią, ale wieczrę przynoszą

mu do jego izdebki i zostawiają go samego. Strudzony młodzian nie ma chęci do jedzenia i rzuca się nierozebrany na posłanie. Kiedy począł drzemać, otwierają się drzwi i przy świetle lampki widzi wchodzącego do siebie osobliwszego gościa: jest to przysłonięta dziewczyna, w bieli, na czole ma dwie, złotą i czarną, przepaski. Widząc go, w strachu podnosi ramię białe; ma uciekać, ale młodzian przybyły zaklina ją, aby się zatrzymała, wskazuje jej na zastawiony stół jedzeniem i prosi, aby przy nim skosztowała darów bogów nieśmiertelnych, Bachusa, Cerery i Amora. Ale dziewczyna mówi mu na to, że już nie należy więcej do uciech świata tego, że bogi opuściły ten dom cichy, w którym jeden tylko Bóg w niebiesiech i na krzyżu czci się; nie przynoszą więcej w tym domu ofiar z baranka i wołowiny, ale ofiarą jest tu całe życie ludzkie. Jest to mowa, której nierozumie młody poganin. Odwołuje się do niej, jako do narzeczonej swojej; ale ona mówi mu, że mieszkaniem jej jest klasztor święty. On niechce słyszeć o tém. Bije północ — godzina duchów błędnych; dziewczyna widocznie staje się śmielszą; na powtórzone zaproszenie pije ona wino purpurowe blademi ustami, ale odmawia podanego sobie chleba. Daje mu łańcuch złoty, a w zamian bierze pukiel włosów czarnych młodziana. Mówi, że jest zimną jak lód, ale młodzian nie zraża się tém oświadczeniem; spodziewa się że ogień miłości rozpali krew jej, choćby dziewczyna z grobu doń wstała:

Wechselhauch und Kuss
 Liebesüberfluss!
 Brennst du nicht und fühlst mich entbrannt?

Miłość ich zbliża do siebie, w pocałunku przyjmuje ona ogień ust jego i czuje się ogrzaną tym płomieniem, co w nim samym gore. Ale chociaż ten upiór-dziewczyna poczuła ogień jego miłości, przecież w piersi jej nieczuć serca. Niepodobna opisać żywej barwy tej sceny rozkosznej, wystawiającej nam połączenie śmierci z życiem, ten ołtarz hymena, wystawiony na grobie. Widzenie się to przerywa zjawienie się matki, która, słysząc głosy w izdebce

młodziana i pocałunki kochanków, mieszające się z głosem piejących kogutów, w gniewie wchodzi połajac niewolnicę, bo myśli że to ona jest na schadzce miłośnej z podróżnym. Wchodzi tedy oburzona i „widzi — o bogi! widzi własne swe dziecie!“ Upior powstaje jako cień i wymawia matce, że jój przeszkodziła. „Niedość że ci tego, żeś mię wpędziła w grób przedwczesny!“ pyta jój. Ale grób nie jest w stanie zatrzymać jój w swém łonie;

sama ziemia nie może uspić miłości; przyszła, wysssała krew z ust lubego swego, oddała mu łańcuch, wzięła w zamian pierścień włosów jego. Jutro już on posiwieje; będzie musiał w grobie odszukiwać młodości swojej. Każe nareszcie matce przygotować stos pogrzebowy, otworzyć trumnę i na jednym stosie spalić jój ciało i ciało jój narzeczonego, aby razem, dłoń w dłoni, mogli wzlecieć do mieszkania bogów nieśmiertelnych.

W całej tej osobliwszej balladzie niemasz ani jednego obrazu. Wszystko jest powiedzianem prosto; wszystko ukazuje się oku jakby rzeczywistość żywa. To samo da się powiedzieć o drugim znanym powszechnie poemacie: „*Bóg i Bajadera*“, który jest znowu stroną odwrotną *Oblubienicy korynckiej*. Bożek indyjski, przechodząc mimo wybrzeży Gangesu, zostaje zaproszonym od Bajadery, aby wszedł do jój namiotu i wypoczął sobie pod jego cieniem. Bajadera zaleca się mu, jako to zwykły czynić niewiasty, do kasty jój należące. Bożek uśmiecha się z upodobaniem i przypatruje się jak w głębi jój poniżenia przebija się czystość serca ludzkiego. Pozyskuje sobie jój serce, ale, aby ją wystawić na próbę najcięższą, każe jój przejść przez

Lust und Entsetzen und grimmige Pein.

Roskosz i rozpacz i boleść okropną.

Obudza się z rana i znajduje przy łonie swoim trupa swego kochanka; darmo usiłuje go ocucić; uroczyste, poważne tony pieśni kapłanów, odśpiewujących mu spoczynek wiekuisty, dochodzą do jój uszów. Idzie ona za jego ciałem aż do stosu, ale kapłani odpędzają ją od zimnych

zwłok kochanka; ona nie żoną jego, nie ma więc prawa spłonąć na jego stosie. Ale namiętność jest zwyciężką; skacze ona w płomień, a wnet z pośrodku ognia powstaje bożek, trzymając ją nie uszkodzoną na swoim ręku.

Efekt rytmu zmieniającego się, użytego w poemacie tym, rytmu przechodzącego od czulej lekkości do uroczystej powagi; oraz sztuka, z jaką cały szereg wypadków został wplecionym w jeden rząd przepysznie wykonanych obrazów, stanowią utwór, jakiego nie dokonał żaden z poetów niemieckich. Taż sama sztuka widna jest w *Królu olchowym* (Erl-König), znanym każdemu, choćby z powodu przeslicznej, dorobionej przez Szuberta, muzyki, jeżeli nie z innego źródła. Porą nocną jedzie ojciec, chroniąc synaczka swego od chłodu, przytulając go do piersi; dziecko przeraża się widokiem *Króla olsz*, którego ojciec nie widzi; tu poeta wsunął kawałeczek krajobrazu w mistrzowski sposób; tak mieszają się tu z sobą dwa pierwiastki przyrodzony i nadprzyrodzony, równie też część obrazowa z powieściową; wszystko razem oddane jest z wyrazistością kunsztu plastycznego. *Króla olsz* uważano dotąd zwykle za utwór Goethego oryginalny; Viehoff jednakże, w komentarzu swoim na poemata Goethego, objawia to przekonanie, że poemat, który Herder przełożył był z duńskiego p. t. *córka króla olsz*, nasunął był pierwotnie Goethemu myśl do jego ballady. Wiersz ten sam. Początkowe i końcowe wiersze jednakie prawie; powieść jednakże jest różna i nie widać wcale w balladzie duńskiej owej wyborniej faktury wiersza Goethego; tu opowiada się prosto o tém, jak Oluf jechał na swadźbę, a na drodze spotkała go córka króla Olszów i wezwała go z sobą do tańca; odpowie jój Oluf, że nie może stanąć, aby w taniec z nią się puścić, jutro bowiem jest jego wesele. Nie zraża się tém dziewa wcale, ale ofiaruje mu ostrogi złote i koszulę jedwabną, aby się tylko zgodził, choćby chwilę jedną, z nią królewną Olszów, potańczyć. Ale Oluf jedno jój prawi „jutro jest moje wesele.“ Dziewa mu ofiaruje kupy złota za taniec. „Wezmę ja chętnie złota kopiecę, ale tańczyć

nie mogę i nie powinienem.“ W gniewie królowa Olszów razi w serce młodziana i każe mu jechać dalej, kędy mu droga, do niebogi swojej. Kiedy dojechał do domu, matka strasz się jego twarzy wybladłej; mówi jój na to młodzieniec, że był w kraju króla Olszów. „Cóż mam tedy powiedzieć oblubienicy twojej?“ „Powiedz jój, że w lesie z koniem moim i psami. Nazajutrz zjeżdżają się goście; wszyscy pytają o Olufa. Narzeczona wdziewa na się suknię szkarłatną; „ale daleko, w lesie, leży Oluf mężny, a z serca jego sączy się krew czerwona.“ Daliśmy tę treść ballady duńskiej, dla porównania jój z królem Olsz; porównanie to objaśni różnicę pomiędzy legendą, a poematem doskonałym.

Nie w samych tylko balladach, których trzy tylko co wyłożyliśmy, celuje Goethe. Moznaby było rozebrać równym sposobem dwa tomy liryk jego i napisać na nie tak długie komentarze jak ten oto życiorys poety, jeszcze nie wyczerpawszy całkiem tego płodnego przedmiotu. Zapewne biografia poety sama przez się jest komentarzem niejako na poemata jego, które są rzetelnym wyrazem tego wszystkiego, co on czuł i myślał:

Spät erklingt was früh erklang,
Glück und Unglück wird Gesang.

(Później odzywa się to, co przebrzmiało wcześniej i szczęście jak i niedola w pieśń się przelewają).

Nawet kiedy, jak w balladach, albo w poematach, jak np. w wybornej Idylli „*Aleksy i Dora*,“ nie oddaje nic takiego, coby mu podało doświadczenie własne, nawet wtedy, powiadam, rzadko on *wymyśla*. Wiele z drobniejszych poematów są skarbem mądrości praktycznej; wiele mało czém różnią się od „szczebiotania ptaszyny na gałęzi, wyrażającej uczucie wewnętrzne duszy.“ Żaden jednak nie da się przetłómaczyć; dla tego też trudno dać o nich wyobrażenie rzetelne czytelnikowi.

Śmierć Szyllera osierociła była Goethego; była ona więcej jak stratą przyjaciela, była ona stratą także pobudki silnej, która wyzywała go była do działania, do

pióra, a w działaniu twórczym żył on życiem potężniejszym. Podczas długich a pracowitych lat, które dlań płynęły jeszcze, prac skupienia się nauki, doświadczenia świeżego, planów rozmaitych, ujrzymy go tworzącym nowe dzieła, z których wielu nie mały dlań spłynął był zaszczyt, ale blask południowy żywota jego przeszedł już był, światło zaś, które przyświecało temu okresowi żywota Goethego, było promieniami zachodzącego słońca.

Jak gdyby dla tego, aby mu pokazać w całej jasności stratę ową jaką był poniosł, Jakobi przybył był w tym czasie do Wejmaru; jakkolwiek pierwsze spotkania dwóch starych przyjaciół były dość przyjemnymi, prędko przecież obaj spostrzegli, że przepaść owa, jaka oddzielała ich od siebie umysłowie, wzrastała coraz więcej, a każdy z nich rozwijał się w swoim własnym kierunku. Goethe widział to, że nie tylko nie rozumie on idei Jakobiego, ale nie rozumiał nawet jego języka. Jakobi znowu widział się całkiem obcym w świecie swego przyjaciela. Niestety! jest to właśnie jedna z tych kar jakie spotykają nasz postęp; każda chwila oddziela nas od przeszłości, od przekonań starych, od myśli drogich; postrzegamy, że język nasz najdroższym naszym przyjaciołom staje się tak obcym, jakby on był mową jakiego cudzoziemca.

Jakobi wyjechał, zostawując Goethego z jeszcze silniejszym poczuciem straty jaką poniósł był przez śmierć Szyllera. Z nim stracił on owe współczucie gorące, którego w nikim nie znalazł on już potem. W następnym miesiącu bawił w Jena Gall, będący wówczas w zapale rozszerzania swego systematu frenologii, będącego wówczas uderzającą nowością. Każdy, kto tylko pojmuje to, ile fizyologia i psychologia zadłużyły się pracom Galla (co wszakże nie pociąga za sobą wcale przyjęcia niedojrzałego i, w wielu względach, niedoskonałego systematu jego, pobudowanego na pracach tych), dowie się tu z zajęciem o tém, że Goethe nie tylko chodził na lekcye Galla, ale że nawet w rozmowach z nim prywatnych okazywał mu wiele współczucia i tak umiał go cenić, że Gall odwiedzał go nawet w cza-

sie słabości jego i w obecności jego dyssekował mózg, udzielając mu wszelkich poglądów nowych, we względzie frenologii, do których sam był doszedł. Zamiast tego, aby, jak to uczyniło było tytu, powitać teorię tę szyderstwem, wzgardą i przeciwstawieniem jej przesądów starych, Goethe widział był, od razu, całą ważność sposobu dyssekcji Galla, później przyjętego powszechnie w nauce, i jego głównych poglądów; chociaż i on widział był to, że nauka Galla nie postąpiła była dostatecznie, aby można było o niej wyrzec stanowcze słowo. Nauka ta podobała się była jemu z tego powodu, że określała rzetelne położenie psychologii w antropologii; podobała się mu dla tego, że łączyła człowieka z przyrodzeniem ściślej daleko, niż to było w dawniej szkole, pokazując jedność wszelkich objawów umysłowych w królestwie zwierzęcém ³⁸⁾.

Ale te głębokie i delikatne poszukiwania wkrótce zostały były przerwane odgłosem dział. 14 Listopada, o godzinie 7 ranniej, grzmot odległej artylerii zatrwożył był mieszkańców Wejmaru. Nastąpiła bitwa pod Jena. Goethe słyszał ów ryk armat z okropną wyrazistością, ale tak, jak ku południowi odgłos ten był przycichł, zasiadł był więc, jak zwykle, do obiadu. Zaledwo zajął był miejsce u stołu, kiedy tuż grzmot armat począł się rozlegać, nad głową prawie. W momencie sprzątnięto od stołu. Riemer zastał go przechadzającego się po ogrodzie wzdłuż i wprzód. Kule świstały ponad domem; bagnety uciekających Prusaków błyszczały ponad murem ogrodowym. Francuzi, na wzgórzach, panujących ponad Wejmarem, umieścili kilka dział, z których mogli byli dawać ognia na miasto. Był to cichy, jasny dzień; na ulicach było pusto jakby ludność miejska wymarła; wszyscy skryli się pod dach. Co chwila milczenie to przerywanem było grzmotem dział; kule, lecąc w powietrzu, zaczęły tu i owdzie budować. Ptaszki

³⁸⁾ Twierdzenie Galla, że Goethe więcej daleko był usposobionym pod względem kranjologicznym do wymowy politycznej, niż do poezji, ubawiło było nie mało tych wszystkich, co znali byli odrazę Goethego od polityki.

tymczasem spokojnie śpiewały po drzewach i głęboki spokój przyrodzenia odbijał dziwnie jakoś przy gwałtowności wojny.

Pośród tej uroczystej ciszy kilku huzarów francuzkich wjechało do miasta dla przekonania się, czy nieprzyjaciel znajdował się w niém. Teraz cały szwadron przeleciał galopem ulice. Młody oficer przyszedł do Goethego, aby mu oświadczyć, że dom jego wolnym zostanie od rabunku; został on obrany na kwaterę dla marszałka Augereau. Huzar młody, co przyniósł wiadomość tę Goethemu, był synem ukochaną jego Lili! Towarzyszył mu do pałacu. Tymczasem różne szwadrony rozgościły się w domu Goethego. Wiele domów gorzało. Odbijano piwnice. Rozpoczął się rabunek.

Goethe wrócił z pałacu, ale bez marszałka, który jeszcze nie przybył. Długo w noc czekano na niego. Zaryglowano drzwi i rodzina Goethego udała się na spoczynek. Około północy dwóch tyraljerów zastukało do drzwi, domagając się wpuszczenia; napróżno mówiono im, że dom był zajęty i że oczekiwano na marszałka. Odgrzali się powybijać okna, jeżeli im nie otworzą. Wpuszczono ich nareszcie. Dano im wina, które oni popijali po żołniersku, aż przyszła im fantazyja widzieć gospodarza. Powiedziano im, że był w łóżku; nic nie szkodzi, musi wyjść do nich, bo im chce się koniecznie zobaczyć go. W podobnych razach opór daremną jest rzeczą. Riemer poszedł do Goethego i oznajmił to Goethemu, który ubrawszy się wyszedł do nich majestatycznie na dół i obecnością swoją znacznie miarkował pijanych swoich gości, którzy okazali się dla niego tak grzecznymi, jak żołnierz francuzki umie się okazać, kiedy tylko zechce. Mówili do niego, prosili żeby się napił z nimi i trącił się z nimi kieliszkiem po przyjacielsku; nareszcie pozwolili mu odejść do siebie. Ale potem, napili, dopominali się uporczywie o łóżko. Luni żołnierze poprzestali byli na gołej podłodze, ale ci dwaj chcieli byli mieć koniecznie łóżko. Poszli więc na górę, wpadli do pokoju Goethego i tu nastąpiła sprzeczka, mająca pozór bardzo ważny. Krystyna, objawiająca wszędzie wielką odwagę i przytomność, podała była

pomoc czynną i napastnicy zostali ostatecznie wypchnięci z pokoju. Rzucili się więc na łóżko przygotowane dla marszałka i nic już ich ztamtąd nie mogło poruszyć. Nazajutrz przybył marszałek i szyldwachy pilnowały już domu.

Inne, straszniejsze sceny, niepokoiły były Wejmar. Rabunek był długi, tak że nawet pałac księcia został był pozbawionym koniecznych potrzeb do życia. W tej ostateczności, podczas kiedy domy gorzały tuż przy pałacu, księżna Ludwika objawiła była tę zadziwiającą odwagę, która pozostała odtąd pamiętną na zawsze, odwagę, co uczyniła była wrażenie nawet na samym Napoleonie, kiedy on wszedł do Wejmaru, otoczony grozą zwycięstwa i został przyjętym od niej u wschodów pałacowych — spokojnie, z powagą, przytomnie. *Voilà une femme à laquelle même nos deux cents canons n'ont pu faire peur!* powiedział był z tego powodu do generała Rapp'a. Księżna wstała się była do cesarza za ludem swoim, obroniła męża i swoją odwagą i stałością przemogła zwycięzcę, który bardzo był zagniewanym na księcia i nieraz mu to oświadczał, że tylko dla szacunku jaki miał dla jego żony, oszczędził go przy zajęciu jego państwa.

Gniew Napoleona na księcia równie był niedorzecznym jak nieumiarkowanym; nie dla tego mówię tu jednak o tém, aby pokazać jak małym mógł być czasami wielki zwycięzca; wzmiankuję tu o tém w celu przywiedzenia charakterystycznego słówka, jakie wymknęło się było z tego powodu z ust Goethemu. „Ukształcony od przyrodzenia samego, abym był spokojnym i bezstronnym widzem wypadków, nawet ja jestem w kłopotcie — mówi Goethe Falkowi — kiedy patrzę na ludzi jak oni usiłują dokonać tego, co jest niepodobnym. Że książę pomagał rannym oficerom pruskim, pozbawionym swojej płacy, że, po bitwie pod Lubeką, pożyczył on Blücherowi 4000 talarów — wy to macie za spisek, to się wydaje wam rzeczą godną wymówek i obwinień! Przypuśćmy że dziś klęska spada na armiję wielką; co generał albo feldmarszałek będzie wart w oczach cesarza, który postąpi sobie tak jak książę nasz

postąpił w takich samych okolicznościach? Powiadam ci że książę powinien był czynić jak był uczynił! Popęłniłby wielką niesłuszność gdyby czynił inaczej! Tak, a nawet, gdyby miał przez to utracić kraj i poddanych, koronę i berło, jak przodek jego, nieszczęśliwy Jan, nie powinien on ani na włos jeden odstępować od tego szlchetnego sposobu myślenia i od tego, co obowiązki człowieka i księcia przepisują mu uczynić. Nieszczęście! czém jest nieszczęście? Oto jest nieszczęście prawdziwe, kiedy książę zmuszonym jest doświadczać od obcych rzeczy podobnych. Gdyby z nim przyszło do tego, co przyszło było kiedyś z jego przodkiem księciem Janem; gdyby upadek jego był pewnym i nieodwołalnym, toby to nawet nie nastraszyło nas: wzięlibyśmy kij w rękę i poszlibyśmy za panem naszym w jego niedoli, tak jak stary Łukasz Kranach był zrobił w swoim czasie. Nigdybyśmy go nie odstąpili. Kobiety i dzieci, patrząc na nas wędrujących przez wioski, spuściłyby oczy, zapłakałyby i powiedziały jedne do drugich: „oto stary Goethe i były książę Wejmarski, którego cesarz francuzki spędził z jego tronu, dla tego, że był tak wiernym swoim przyjaciółom w ich niedoli, dla tego, że odwiedził wuja swego na jego pościeli śmiertelnej, dla tego, nareszcie, że nie chciał wyprzec się starych swoich towarzyszy broni i nie dał im umrzeć z głodu.“

„Na to — dodaje Falk — łzy płynęły mu po twarzy.“
Po pauzie, przyszedłszy nieco do siebie, mówił dalej:
„Będę śpiewał dla kawalka chleba! Pójdę jak żebrak-geślarz wędrujący po kraju i śpiewający ballady; będę opiewał nieszczęście nasze przed światem! Zajrzę do każdej wioski, do szkółki każdej, w której znają imię Goethego, będę opiewał niesławę Niemiec, a dzieci wyuczą się tej pieśni wstydu naszego, nim jeszcze staną się mężami; a tak pieśnią swoją przywrócą oni kiedyś na tron mego pana, a strącą nią z jego tronu pana waszego!“

Potém odwołam się do tego miejsca, a teraz pośpiesz do ważnego wypadku, który, wedle powszechnego zda-

nia, miał być następstwem bitwy pod Jena: rozumiem tu ożenie Goethego.

Od czasu, kiedyśmy po raz ostatni widzieli Krystynę Vulpius, upłynęło lat piętnaście, a w tym okresie nie-szczęśliwa zmiana nastąpiła. Wówczas była ona wesołą, żywą, lubiącą zabawy dziewczyną. Lata i wygodki zrujnowały jej wdzięki. Złe skłonności, które rozwinęła w niej młodość i żywość temperamentu, objawiły się potem wybitnie, co może w pewnym względzie wytłómaczyć nam jej pochodzenie i okoliczności, chociaż oboje nie są bynajmniej w stanie usprawiedliwić tego; ojciec jej, jak wiemy już o tém, dobił się nietrzeźwém życiem; brat jej popsuł nałogiem opilstwa piękne dary przyrodzenia; Chrystyna, co odziedziczyła po nich tę brzydką skłonność do trunku, nie była od niej powstrzymywaną konwencyonalizmem życia, była bowiem wyłączoną od towarzystwa, dla stosunku swego z Goethem. Lubiąca wesołość, osobliwie tańce, nieraz była widzianą na balach studenckich w Jena; tu przywykła ona do kieliszka, któren szybko zniszczył jej wdzięki i nieraz był powodem do swarów domowych. Zapewne, że dobrzeby było przemilczeć o tym ustępie z życia poety, ale na nieszczęście zanadto jest on znanym, aby go ukrywać; przytém podaje on w życiu Goethego smutne sceny, którychby pewno nie domyślili się ci, co znali go tak poważnym i wspaniałym w życiu publiczném. Sama wzmianka o tém następuje kollisionem uczuć ukrytych od wzroku ogółu; bój oburzenia z litością, wytrwałości ze słabością. Znalazłem jedną tylko wskazówkę drukowaną o tém nieszczęściu domowém, a tą jest list Szyllera do Körnera, dat. 21 Października 1800 roku. „W ogóle dziś mało on pisze, jakkolwiek bogatym jest w wymysł i w wykonanie rzeczy. Duch jego nie jest dość do tego spokojnym, nieszczęśliwe okoliczności domowe, dla znienienia których za słabym jest może, czynią go godnym litości.“

Za słabym jest, aby je odmienić! Tak, oto gdzie leży tragedia i tu obok tłómaczenie jej. Czują, daleki zawsze od zadania komukolwiek boleści, nie ma on potrzebnej

powagi do tego, aby położyć koniec temu. Cierpiał tak wiele dla tego, że sam nie mógł innych trapić. Dla otaczających go podobne poddanie się wydaje się niewyjaśnionem, bo ci obecni nie wiedzą tego jak to nastąpiło powoli, i jak cierpliwość w tych rzeczach wzrasta przez powtórzone doświadczenia; nie znają oni owęj ustawicznej nadziei zmiany, co powstrzymuje zawsze kroki gwałtowne, ani tego jak przywiązanie lubi ludzi się takimi nadziejami, pomimo wszelkich wskazówek oczywistości. Obecni widzą tylko pewne wybitne fakta, które są dla nich nie wyjaśnionemi dla tego właśnie, że poza niemi nie są w stanie dojrzec wielu nici subtelných, które wiążą z sobą fakta owe; nie widzą oni duszy cierpiącego, bojującej z wznoszącą się coraz złem, a nareszcie zgadzającą się z wolą bożą i starającą się znosić cierpliwie i pogodnie krzyż ten. Łatwo to jest powiedzieć nam: dla czego Goethe nie rozstał się z nią od razu? Ale rozłączenie się takowe nie było wcale rzeczą łatwą; była ona matką dziecięcia jego, była ona jego kochanką i była zawsze mu drogą³⁹⁾. Rozłączenie się z nią nie poprawiłoby ją z nałogu, owszem powiększyłoby go jeszcze. Za słabym był, aby zmienić położenie swoje, ale był dość mocnym, aby je znieść z mężem.

Tak płynęły lata całe. Wiele jój przymiotów dobrych wynagradzało niektóre jój wady. Goethe był do niej szczerze przywiązany, a ona była mu oddaną z całego serca; teraz w 58 roku życia, kiedy zamięszania, spowodowane bitwą pod Jena, dały być uczuć mu konieczność „skupienia tych co go kochali w jedno rodzinne kółko,“ któż, pomiędzy przyjaciółmi jego, bliższym był mu od Krystyny? Postanowił tedy ożenić się z nią.

Niewiadomo czy myśl owa ożenienia się z nią przychodziła mu była dawniej do głowy, a teraz dopiero się wy-

³⁹⁾ Podobne zachowanie się Goethego było pięknem; on, co ją kochał młodą i piękną, miał ją odtrącić teraz dla słabości, dla nałogu, który przyszedł niespodzianie? Byłaby to miłość rzetelnie egoistyczna. Krystyna potrzebowała pomocy i miała ją w mężu.

konała, kiedy Wejmar zanadto był zakłopotany, aby się zajmować cudzemi interesami; czy też chęć uprawienia syna swego, w tych czasach zamieszek, podała mu była myśl tę. Riemer myśli, że powodem do tego postanowienia była wdzięczność za jój odważne postępowanie podczas tych zamieszek; nie myślę jednakże, aby można było przyjąć to tłómaczenie, tém więcej, że stosownie do tegoż świadectwa ożenienie to przełożoném było od Goethego Krystynie jeszcze w młode lata. W braku wyraźnego dowodu, gotów jestem nastawać na oczywistość psychologiczną, przyjmując bowiem, że myśl małżeństwa wprzódy była dopuszczana, łatwo można wytłómaczyć sobie opóźnienie jój wykonania, kiedy przypomniemy sobie ów rys jego przyrodzenia, to jest owe osobliwsze wahanie się w przyjęciu jakiegokolwiek stałego postanowienia, osobliwsze w człowieku tak pełnym mocy i stałości, kiedy raz zapadło jego zdanie. Ale jest to słabość wszystkich ludzi z imaginacją; jakkolwiek wola ich jest mocną, kiedy raz zdobyli się oni na postanowienie, przecież w ludziach z imaginacją i z umysłowością silną wahanie się pomiędzy rozmaitemi powodami, utrzymującemi wolę na wodzy, dochodzi nieraz do słabości i tylko różni się ona od słabości mocą woli, kiedy raz ta zdobyła się na postanowienie. Goethe, który poczuwał się do téj szczególności charakteru swego, przypisywał to temu, że nigdy nie był postawionym w okolicznościach, wymagających szybkiego postanowienia, i temu że nie kształcił woli swojej. Myślę jednakże że przyczyna tego leży głębiej, polega bowiem na działaniach psychologicznych, a nie na przypadłościach wychowania.

Jakakolwiek przecież była przyczyna téj zwłoki, pewną jest jednak rzeczą, że 19 Października t. j. w pięć dni po bitwie pod Jena, a nie tak, jak to twierdzą inni, że w czasie samój kanonady, Goethe został połączony z Krystyną w obecności syna swego i swego sekretarza Riemer'a. (Jak to brzmi okropnie w uszach owa obecność syna przy ślubie rodziców).

Zgorszenie ogromne sprawił był ten czyn słusności, (czyn poprawiający błąd zastarzały i nadający rodziców i prawo synowstwa Augustowi Goethemu)⁴⁰). Przyjaciele szczerzy Goethego pochwalali jednakże głośno ten czyn jego. Odtąd ci wszyscy, którzy nie umieli zastosować postępowania swego do położenia towarzyskiego jego żony, nie byli dobrze widziani od Goethego. Krystyna skromnie umiała się zachować w swoim nowem położeniu i z takim taktem dobrym, że to zjednało jęj powszechnie przychylność wszystkich, kto ją znał tylko.

W czasie grozy wojennej i rabunku Wejmaru, najgłówniejszém staraniem Goethego było zachowanie w całości swoich manuskryptów uczonych. Wino, srebra, porządki wszelkie domowe łatwo mogły być nabyte, ale strata rękopismów byłaby dla niego stratą niepowetowaną. Pośmiertne rękopisma Herdera były zniszczone; Meyer utracił wszystko, nawet szkice swoje, ale Goethe nic nie utracił. Smutno wspomnieć że to nawet miano mu za złe. Wrogi jego nie mogli byli darować mu tego, że osobliwszém dla niego szczęściem dom jego uszedł był od ruiny, podczas kiedy domy innych zostały były zniszczone. Uważano to za jakieś tajemne obrachowanie jego samolubstwa!

Książę, za namową króla pruskiego, poddał się Napoleonowi, złożył broń i wrócił do Wejmaru, przyjęty z zapalem od ludu swego; było to wynagrodzeniem za doznane klęski. Pokój został przywrócony. Wejmar począł oddychać na nowo. Goethe skorzystał z tego momentu, aby rozpocząć druk *Nauki o kolorach* (Farbenlehre) i *Fausta*, aby nareszcie ochronić je, w ten sposób, od wszelkiej późniejszej zagłady. Począł obmyślać plan do poematu epicznego, którego bohaterem miał być *Wilhelm Tell*. Ale śmierć księżnej Amalii, 10 Kwietnia, przeszkodziła temu nazawsze; plan raz zaniechany, nie spełnił się już nigdy potem.

23 Kwietnia, przybyła do Wejmaru Bettyua. Zastano-

⁴⁰) August Goethe tępego był pojęcia i Wieland zwał go *synem niewolnicy*.
(Przyp. tłóm.)

wimy się tu, aby przypatrzeć się téj osobliwszój postaci, zajmującej dość poczesne miejsce w dziejach piśmienniczych wieku XIX w Niemczech. Każdy słyszał zapewne o „dziecku“ Bettynie Brentano, córce Maksymilijany Brentano, do którój Goethe umizgał się we Frankfurcie, jeszcze w okresie Werther'a, żonie Joachima von Arnim, fantastycznego romantyka, wielbicielce Goethego i Beethovena, jakiś czas uprzywilejowanój faworytce króla pruskiego i autorce tego dzikiego, ale wcale nie rzetelnego dzieła, noszącego tytuł: „*Korrespondencyi Goethego z dzieckiem.*“ Jest to jedna z tych dziwaczek, którym wszystko jest wolno; więcej elf niż kobieta, nie bez przeblysków jednakże geniuszu, świecącego czasami jak błyskawica w pomroku długich niedorzeczności, umyka ona przed pociskami krytyki. Jeżeli jesteś poważny w sądzeniu dzieł jój, każdy wzrusza ramionami, mówiąc: „wszakże to Brentano,“ i już zdaje się mu, że powiedział wszystko. Tam gdzie kończy się szaleństwo każdego, tam rozpoczyna się dopiero szal Brentanów; takie krąży przysłowie w Niemczech.

Nie myślę wcale traktować Bettynę poważniej niż wymaga tego okoliczność; ale oddając zupełną swobodę fantazyi, będąc wdzięcznym jój za niektóre malownicze anegdoty, jakie wyniosła i przechowała ona u siebie z przedstawiania z Goethem i z rozmów z matką jego, przecież muszę koniecznie rozważać serio historję jój stosunków z poetą naszym, z nich bowiem urosł był zarzut ważny przeciw pamięci jego, zarzut o tyle dlań obelżywy o ile nie słuszny. Wielu czytelników dzieła jój, cokolwiekby myśleli oni sobie o jój wyrażeniach miłośnych dla Goethego, cokolwiekby myśleli o jój z nim postępowaniu, zawsze czują tu jego chłód dla niój; inni znowu oburzają się na Goethego z tego powodu, że rozdrażniał w dziewczynie tę namiętność szaloną dla siebie, zasilając ją wierszykami i komplementami, czyniąc to zapewne z samolubnego wyrachowania, a mianowicie w tym celu, żeby z listów jój *zaczernąć do dzieł swoich świeżego materyaku!* W obydwóch wypadkach mylą się ci, co tak myślą. Rze-

telną jest rzeczą, że *korrespondencya* daje słuszne powody do obydwóch tych przypuszczeń, ale przeciw téj oczywistości jedno tylko można postawić, ale to jedno jest rzeczą stanowczą: oto że *korrespondencya* ta jest prosto romansem, wymysłem głowy Bettyny. Moznaby było użyć mocniejszego wyrazu gdyby kto inny, a nie kobieta, nie Brentano poważyl się napisać podobne rzeczy, podając je za rzeczywistość biograficzną, a nie za wymysł igrający w około rzeczywistości i pomiędzy nią. Ile tam jest prawdy, ile wymysłu, ile przesady, nie jestem w stanie objaśnić tego; ale Riemer, stary, zaufany przyjaciel Goethego, mieszkający z nim wówczas, kiedy Bettyna przybyła była do niego, wykazał dowodnie, że *korrespondencya* jest sobie prosto „romansem, któren od rzeczywistości pożyczył tylko okres czasu, miejsce i okoliczności;“ z innego źródła dowiedziałem się dosyć, aby zrozumieć dostatecznie postępowanie Goethego i jój własne w świetle wcale inném od tego, w jakim ona sama wystawiła je w swoim dziele.

Młoda, gorąca istota uwielbia Goethego z daleka, pisze do niego oświadczając się mu z tém, nadskakuje matce jego, która chętnie słucha tych pochwał, oddawanych synowi i z rozkoszą lubi rozmawiać o nim. Goethe zostaje uderzony niepospolitym umysłem Bettyny, wdzięcznym jest jój za starania jój dla matki i pisze do niej tak grzecznie jak tylko może, aby się nieskompromitować. Ona przyjeżdża do Wejmaru, rzuca się mu na szyję i przy pierwszym widzeniu się z nim usypia na jego łonie; potem okazuje jawnie swoją zawisć z powodu poety, jak miłość swoją ku niemu. Tak mówi ona sama; łatwo można się tego domysleć, że podobne postępowanie musiało być dla Goethego ambarasującym: pomyśleć tylko, mężczyzna mający lat 58, ubóstwiany od dziewczęcia, które chociaż laty kobieta, wyglądało przecież jak dziecko, ubóstwiany szalenie, ubóstwiany jedném słowem od Brentano! Cóż mógł był on uczynić? Mógł był skorzystać nieuczciwie z téj namiętności młodej dziewczyny; mógł téż surowo odeprzeć ją, albo nareszcie mógł patrzeć na to wszystko z uśmie-

chem, gładząc ją po głowie, jak się gładzi po główce dziecię swawolne a zabawne. Takie tylko trzy pozostawały mu sposoby; on przyjął sposób ostatni, podczas kiedy ona zmuszała go przyjąć sposób drugi, zmuszała go natarczyną, szaloną swoją adoracją. Z początku bawiły go wymysły kapryśnej a zalotnej dziewczyny; zajmował go jój umysł jasny a błyskotliwy; ale kiedy objawy jój miłości poczęły stawać się nużącemi i kłopotliwemi, potrzeba było je powściągać, a powściągać tak często, że nareszcie cierpliwości na to nie stało. Dalsze zachowanie tych stosunków stało się niemożliwem. Przybierała manjery dziecka, a nie chciała być traktowaną jak dziecko; dokuczała więc nieznośnie Goethemu.

Riemer podaje, że podczas tych odwiedzin skarżyła się przed nim na chłód Goethego. Chłód ten był tylko — jak powiada on — cierpliwością; cierpliwością, która dotrzymywała z trudnością przy ustawicznych napadach. Bettyna opuściła Wejmar, aby powrócić tu znowu 1811 roku, aż postępowaniem swoim podała mu dostateczny powód do zerwania z nią, pretekst, którego chwycił się z radością Goethe. Bettyna poszła była z żoną Goethego na wystawę sztuk pięknych; Goethe interesował się bardzo tą wystawą; tu jój uszczypliwe uwagi, osobliwie czynione z powodu obrazów Meyera, uraziły Krystynę, która głośno oburzyła się na nią. Od słowa do słowa przyszło do cierpkich przymówek. Goethe wziął stronę urażonej żony i wypowiedział dom swój Bettynie. Darmo w czasie drugiego pobytu w Wejmarze prosiła ona Goethego, aby ją znowu przyjął do siebie. Postanowienie jego było stałe; zerwał ostatecznie stosunki, które nie mogły być przyjąłnią, a były tylko kłopotem.

Znając mniej więcej rzetelną historję stosunków Bettyny z Goethem, możemy teraz roztrząsnąć autentyczność „*korrespondencyi*“ o tyle, o ile tego będzie potrzeba do podtrzymania dwóch zarzutów; 1^{od} chłodu i znowu potem czułości Goethego dla Bettyny; 2^{ro} że Goethe używał za materyał przy kompozycyi poematów swoich listy

tój zalotnicy. Aby kiedykolwiek Goethe był czułym dla niej stanowczo zaprzecza Riemer, pytając jak można dać wiarę temu, aby chłód, na jaki uskarża się ona w czasie pobytu swego w Wejmarze, mógł w czasie jój nieobecności zmienić się na miłość taką, jaką widzimy w sonetach, do niej napisanych? Rzecz nie jest wcale prawdopodobną; tajemnica przecież wyjaśnia się wyraźnym oświadczeniem Riemera, że sonety te do niej wcale pisanymi nie były. *Posłał był jój sonety, jak przesłał był je innym swoim przyjaciółom; poemata zaś, których natchnienie przypisuje sobie, istotnie do innój były napisane.* Dowód tego bardzo łatwy. Sonety te były napisane przed przyjazdem jój do Wejmaru, przechodziły one przez ręce Riemer'a, równie jak i inne dzieła jego. Nadto wiedział Riemer do kogo właściwie były one napisane, chociaż nie widział tego potrzeby publicznie wymieniać tój osoby. Co do mnie nie mam podobnego powodu ukrywania imienia tój do której pisał poeta; wyjawię więc, że pisał je do Minny Herzlieb, o której jeszcze posłyszemy; jakoż szarada zamykająca tę seryę poezji jego, a znacząca *Herz-Lieb*, mówi za tém wyraźnie. Nietylko Bettyna przywłaszczyła była sobie sonety, ułożone w Jena w obecności Riemer'a, i natchnione od osoby mieszkającej w Jena, ale przyswoiła była jeszcze poemata, które Riemer wiedział z pewnością, że były napisane przez poetę w 1813—19 roku, wtedy, kiedy ona była już żoną Joachima von Arnim i od 1811 roku zupełnie nie miała żadnych stosunków z Goethem. Istotnie byłoby to bardzo dziwną rzeczą, zamknąć pierwój dom przed kobietą, a potem pisać do niej poezye miłosne!

Odpowiadać chłодно na jój oświadczenia się, tak że aż się na to uskarża, a pomimo to jednakże pisać do niej sonety tętniące namiętnością! Dla tego nie zadziwi to nas wcale, jeżeli usłyszemy Riemera mówiącego, że niektóre z listów jój są niczém więcej jak parafrazami poezji Goethego, w których do dziś dnia czuć rytm i rymy poety. Więc zamiast przypuszczania tego, że Goethe z listów jój robił swoje poezye, prościej daleko zgodzić się na to, że

ona z poezyi tych układała listy swoje. Podobne obwinienie, tak głośne a tak wyraźne, obwinienie niszczące wszelką rzetelność „*Korrespondencyi*“ wymagało zdaje się odpowiedzi jakiegóś ze strony Bettyny; można było okazać listy oryginalne, z pieczętką pocztową; toby pewnie musiało być zniszczyć wszelką wątpliwość w tej mierze — ale oskarżenie przetrwało lat czternaście, przetrwało w obliczu świata całego, a żadna nie nastąpiła na nie odpowiedź.

W dodatku wyznać należy, że kiedy dzieło Bettyny raz pozbawione zostało w ten sposób wszelkiej autentyczności, więc i pobudowane na niem przypuszczenia o postępowaniu Goethego upaść razem muszą. Doprawdy, przypuścić do głowy, że Goethe używał za materyał do poezyi swoich listów Bettyny, jest rzeczą najniedorzeczniejszą, bo nietylko nie brakło nigdy Goethemu inwencyi i niewyczerpanego materyału, ale właśnie stateczną cechą umysłu Goethego było to, że czerpał zawsze z siebie i doświadczenia własnego, a nie z uczuć i doświadczeń obcych.

Rozstajemy się tu z Bettyną; występuje z kolei inna wcale postać, mianowicie majestatyczna figura Napoleona na kongresie Erfurckim. Było to we Wrześniu 1808 roku; cesarz francuzki z cesarzem rosyjskim i ze wszystkimi drobnymi panującymi, tworzącymi świętę Napoleona, zjechali się do małego miasteczka Erfurtu, o kilka mil od Wejmaru. Dziwny to był widok. Teatr został był otworzony, a na nim występował Talma i truppa paryzka, wystawiająca najpiękniejsze tragedye francuzkie przed publicznością, złożoną z głów ukoronowanych. Pośrodku siedzieli dwaj cesarze w krzesłach, rozmawiając poufale; nieco opodal siedzieli królowie; za nimi panujący księżęta i następcy tronu. Na całym parterze widać było same mundury a wstęgi. Dolne łoże napełnione były sztab-oficerami i najznakomitszemi osobami z biur cesarskich; łoże górne zajmowały księżne, a przy nich obce panie. Mocna straż, złożona z grenadyerów gwardyi cesarskiej, stała u wchodu. Za przybyciem którego z cesarzów po trzykroć biły bębny; za przybyciem którego z królów po dwakroć. Zdarzyło się

raz że sztyldwach omylony powierchownością karety króla würtemburskiego, kazał być uderzyć w bęben po trzykroć, na co oficer dowodzący zawołał gniewnie: Taisez-vous, ce n'est qu'un roi!

Napoleon przy tej zrzętności dał być posłuchanie księciu wejmarskiemu, oraz Goethemu i Wielandowi, z którymi rozmawiał o literaturze i dziejach. Goethe przybył był do Erfurtu 29 Września i tegoż wieczora widział wystawioną na scenie „Andromakę“. 30 był wielki obiad dany przez księcia, a wieczorem dany był „Brytanik“. W Monitorze pod dniem 8 Października wzmiankuje się Goethe w liczbie znakomitych gości: „Il paraît apprécier parfaitement nos acteurs et admirer surtout les chefs d'oeuvre qu'ils représentent“. 2 Października został był wezwany do cesarza i zastał go przy śniadaniu. Talleyrand i Daru stali przy nim; Berthier i Savary opodal. Napoleon popatrzywszy nań pilnie, powiedział: Vous êtes un homme! Frazes ten uczynił głębokie wrażenie na pociu. „W jakim jesteś wieku?“ spytał go cesarz. „Sześćdziesiąt lat N. Pannie.“ „Dobrze wyglądasz.“ Po pauzie: „Pisałeś tragedye?“ Tu wdał się Daru i z zapalem mówił o Goethem, dodając w końcu, że przełożył Mahometa Woltera. „Nie jest to dobra sztuka, powiedział Napoleon i tu zaczął krytykować Mahometa, osobliwie zły wizerunek, jaki dał Wolter w tragedyi swojej, tego zdobywcy świata. Potem zwrócił mowę swoją do Werthera, którego przeczytał był siedem razy; towarzyszył on mu do Egiptu. Po rozmaitych uwagach, a wszystkie były bardzo trafne i słuszne — mówi Goethe — wskazał mi miejsce jedno i spytał mnie jak mogłem je napisać, kiedy ono było tak sprzeczne z przyrodzeniem. Zdanie swoje rozwinął był z wielką jasnością. Słuchałem spokojnie i odpowiedziałem mu z uśmiechem, że nie wiedział czy przedtem zwrócił kto już był na to uwagę, ale że sądziłem ten znajduję słusznym. Miejsce to było istotnie nienaturalnym, ale może warto było wybaczyć je pociu dla sztuki, przez to bowiem dosięgał on zakończenia dzieła w sposób prost-

szy i łatwiejszy. Cesarz zdawał się być zadowolonym z tego i powrócił do dramatu; mówił o nim jako człowiek, co badał sztukę tragiczną z uwagą sędzi kryminalnego i co czuł żywo wadę główną sceny francuzkiej, że się oddaliła od przyrodzenia. Ganił każdą sztukę w której główną rolę odgrywało przeznaczenie. „Ces pièces appartiennent à une époque obscure. Au reste, que veulent-ils dire avec leur fatalité? La politique est la fatalité!“

Widzenie się Napoleona z Goethem trwało godzinę prawie. Cesarz rozpytywał poetę o jego dzieci i rodzinę; był bardzo łaskawym i każdą myśl prawie kończył zapytaniem: qu'en dit Mr. Goet? Kiedy Goethe wyszedł był od cesarza, ten kilka razy powtórzył Dariu i Berthiemu: *Voilà un homme!*

W kilka dni potem Napoleon był w Wejmarze; wielkie uroczystości odbywały się tam z tego powodu; pomiędzy innymi zabawami było wielkie polowanie na pobożwisku pod Jena; wielki bal u dworu, a w teatrze grano „*Śmierć Cezara*“, w której Talma występował w roli Brutusa. Podczas balu Napoleon rozmawiał wiele z Goethem i Wielandem. Mówiąc o literaturach starożytniej i nowożytniej, dotknął Szekspira, którego jednak nie mógł zrozumieć, zanadto bowiem był Francuzem. Powiedział wreszcie Goethemu: „Je suis étonné qu'un grand esprit, comme vous, n'aime pas les genres tranchés“. Goethe mógł być mu odpowiedzieć na to, że duchy wielkie zwykle byli powszechnie nieprzyjaciołmi tych „*genres tranchés*“; ale, ma się rozumieć, nie należało mu sprzeczać się z cesarzem. Mówiąc długo o tragedyi powiedział: Pan powinienbyś napisać „*Śmierć Cezara*“, ale w wyższym stylu jak sztuka Woltera. „Ce travail pourrait devenir la principale tâche de votre vie. Dans cette tragédie il faudrait montrer au monde comment César aurait pu faire le bonheur de l'humanité si on lui avait laissé le temps d'exécuter ses vastes plans.“ „Dzieło to mogłoby się stać dziełem głównym żywota Wać Pana. W tragedyi tej należałoby okazać światu, jak Cezar mógłby był dokonać szczę-

ścia ludzkości całej, gdyby mu dali byli czas potrzebny do spełnienia jego ogromnych zamiarów.“ Jeżeli sobie przypomnimy plan Goethego napisania Juliusza Cezara w młodości pierwszej, to możemy myśleć że sztuka ta, gdyby była ona napisaną wtedy, nie należałaby wcale do owego *genre tranché*, tyle zalecanego od Napoleona.

Oprócz tego zrobił był inną propozycję poecie, więcej zapewne dostępną, niż myśl pisania tragedyi w jego wieku; było to przełożenie jechania z nim do Paryża. „Venez à Paris, je l'exige de vous; là vous trouverez un cercle plus vaste pour votre esprit d'observation; là vous trouverez des matières immenses pour vos créations poétiques.“ „Jedź Pan do Paryża, wymagam tego koniecznie; znajdziesz tam Wać Pan koło obszerniejsze do działania umysłowego i do postrzeżeń; znajdziesz tam ogromny zapas materyałów, zdatnych do przerobienia ich na utwór poetycki.“ Goethe nigdy nie widział wielkiej stolicy jak Paryż lub Londyn i dla tego wiele było pociągającego dla niego w tych zaprosinach cesarza. F. von Müller powiada, że często lubił był mówić Goethe o koszcie, jakiby podróż ta mogła spowodować i o zwyczajach paryskich, ale niewygody tak długiej drogi (w owym czasie) i jego wiek podeszły, zdaje się, powstrzymywały go w jego chęciach.

14 Października Wieland i Goethe odebrali od cesarza krzyż legii honorowej — wówczas rzetelnie przynoszący odbierającemu go cześć nie małą; potem dwaj cesarze opuścili Erfurt. Goethe zachował w milczeniu to wszystko, co zaszło było pomiędzy nim a Napoleonem. Kiedy, w wiele lat potem, przypominał sobie widzenie się owe, w kronice swego żywota, uczynił to w bardzo suchy sposób. Na wiele razy czynione pytanie, jakie to było mianowicie miejsce w Wertherze, które wydało się Napoleonowi tak przeciwném przyrodzeniu? zawsze dawał odpowiedź żartobliwą, odsyłając pytającego do samego dzieła, aby czytając je odkrył tę słabiznę. Nawet Eckermannowi nie objawił był tego. W ostatnich latach swego wieku lubił był

bawić się z czytelnikami swoimi w schowanego i cieszył się, kiedy ci łamali sobie głowy nad mniemanemi tajemnicami. Ta jednakże tajemnica została wyjaśnioną od kanclerza von Müllera, któremu winniśmy takżó szczegóły widzenia Goethego z Napoleonem. Zarzut uczyniony Wertherowi był ten sam, jaki uczynionym był już mu od Herder'a, kiedy dzieło to było przeglądaniem w celu ogłoszenia jego drugiego wydania (1782 r.), a mianowicie, że melancholia, prowadząca go do samobójstwa, nie wypływając tylko z samej miłości niewzajemnej, ale będąc takżó następstwem dumy zawiedzionej, szkodzi interesowi dzieła. Herder uważał to za wadę sztuki; Napoleon brał to za rzecz przeciwną przyrodzeniu. Dziwném jest to, że Goethe godził się z obydwoma zdaniem i zmienił to gwoli krytyce Herdera, chociaż zapomniał był wcale o tém, kiedy mu Napoleon udzielił był potem, w tym względzie, swego zdania. Przeciw Herderowi, Napoleonowi i samemu Goethemu dość jest przytoczyć rzecz samą: Werther (t. j. Jerusalem) czuł mocno zawody dumy swojej, jak zawód doznany w miłości; jakim go Goethe znalazł takim go oddał w swoim dziele. Zwróćmy się tylko do listów Kestner'a, opisujących Jerusalema i jego nieszczęśliwą historję, a przekonamy się, że Goethe w Wertherze szedł wiernie, co do rzeczy, za kanwą podaną mu z życia.

To że Napoleon przyjął go pochlebnie, stało się było powodem krzyków głośnych ze strony tych, co nie doznawszy nigdy i nie mogąc nigdy doznać podobnie wysokich względów, uważali je za nizkie i niegodne człowieka i Niemca. Ale względy Napoleona były w stanie przejednać nawet republikańską surowość. Goethe zaś, co nie był wcale republikaninem, przez całe życie był czułym na względy, jakie spływały od głów ukoronowanych na mieszczanina frankfurckiego. Wiele w takich rzeczach zachodzi wyznań nieszczerých; zwykle tém głośniejszemi są krzyki, im kto więcej życzyłby sobie w duszy dostąpienia podobnego honoru. Słyszac jak ci panowie gardłowali na „służalstwo“ Goethego i na ubóstwienie przez niego sto-

pnia, mógłby kto pomyslić sobie zapewne, że ci mężowie stali sami wysoko moralnie i dla tego z takim politowaniem poglądali na poetę naszego z tój wyżyny swojej, która, w pewnym względzie, mogła była zastąpić ich niższość umysłową. Jest anegdota jedna, którą panowie ci lubią bardzo przywozić, którą dam tu dla tego samego, abyśmy mogli rozważyć spokojnie, jakie jest rzetelne jój znaczenie moralne. Beethoven, pisząc do Bettyny w 1812 roku, kiedy poznał był Goethego w Töplitz, tak się o nim wyraża: „Zapewne że królowie, księżęta, mogą natworzyć profesorów, radzców ile się im tylko podoba, mogą im nadać, jakie tylko sami zechcą, ordery, ale nie są oni w stanie utworzyć ludzi wielkich, dusz, coby wznosiły się po nad poziom; do tego nie mogą mieć oni nawet pretensyi żadnej i dla tego ludzi podobnych powinni mieć w poszanowaniu. Kiedy dwóch ludzi, jak Goethe i ja, zeszło się razem, wówczas potężni i wielcy muszą spostrzedz to, co się uważa za wielkie w mężach takich jakimi my jesteśmy. (Wyznać należy że Bethowen nie grzeszył wcale skromnością!) Wczora, wracając do siebie, spotkaliśmy całą rodzinę cesarską. Zdaleka spostrzegliśmy ją i Goethe odstąpiwszy odemnie, usunął się na stronę; pomimo nalegań moich nie mogłem go nakłonić, aby szedł dalej. Nacisnąłem kapelusz na uszy, zapiąłem płaszcz i z założonemi rękami przeciskałem się przez tłum. Księżęta i pазie byli uszykowani w szpaler, arcy-książe Rudolf zdjął kapelusz, a cesarzowa pierwsza się ukloniła. Znają mię oni dobrze. Z prawdziwą przyjemnością patrzałem na to jak ta processya przesuwała się mimo Goethego. Stał on z boku, bez kapelusza, kłaniając się nisko. Żartowałem z niego nie litościwie i nie dawałem mu pokoju.“⁴¹⁾

Anegdota ta zwykle się przywozi w celu pokazania niezależności Beethowena a służebności Goethego. Przy najmniejszym zastanowieniu się uznamy, że Beethoven był gburowatym w sposobie okazywania niepodległości swojej,

⁴¹⁾ *Żywot Beethoven'a* przez Szindler'a, wydany przez Moszeles'a, T. I p. 133—5.

Goethe zaś działał wedle powszechnie przyjętej reguły grzeczności, usuwając się na stronę i zdejmując kapelusz, jak to czyni każdy Niemiec, kiedy książę panujący przechodzi koło niego. Wszak równym zwyczajem jest grzeczności ustąpić i zdjąć kapelusz, kiedy przechodzi lub przejeżdża w powozie głowa ukoronowana, jak jest zwyczajem powszechnie przyjętym uchylić kapelusz, kiedy przechodzi mimo nas ktoś ze znajomych. Wolno było nie chcieć znać tych przepisów grzeczności Beethovenowi; jego przyrodzenie dziwaczne nie chciało być obracać się w orbitach konwencyonalnych; wybaczone też było mu to zapoznanie przepisów przyjętych powszechnie, jako wybryk przyrodzenia excentrycznego; co innego było z Goethem; poeta ten był człowiekiem świata, człowiekiem grzecznym, ministrem nareszcie; gdyby był założył ręce na piersi i nacisnął kapelusz na uszy, wydałoby się to każdemu grubiaństwem z jego strony niedarowaniem, byłoby ono bowiem sprzecznym z przyrodzeniem jego, z jego wychowaniem, położeniem towarzyskim i uczuciem przyzwoitości, jakie mu było właściwem.

Może być, nawet jest to bardzo prawdopodobnym, że samo wychowanie, odebrane przez Goethego, mogło dać ukłonowi poety naszego pewien charakter wytworności, niż to było widnym w powitaniu innych, obecnych temu, osób. Kłaniając się mógł się schylić nisko, z pewną formalnością poszanowania, nie myślę bowiem zaprzeczać tego wcale, że trzymał się pilnie dystynkcyj konwencyonalnych. Nie tylko dalekim był od wszelkiej surowości republikańskiej, ale owszem przykładał on daleko więcej wartości do swojej gwiazdy i tytułu excelencyi, niż to się podobą niektórym jego zwolennikom nawet. Jeżeli to było słabością jego, zostawmy mu ją; jeżeli zaś był on tak próżnym z tych drobnostek jak jaki lord angielski ze swego orderu podwiązki, to i wtedy jeszcze nie widzę żadnej dobrej racyi wyrzucać mu to. Tak mało poetów było *excellencyami*, tak mało z nich miało gwiazdy na piersi, że nie mamy wcale sposobu osądzić, czy próżność Goethego

była większą w tej mierze, czy też mniejszą od próżności, niż mieliśmy prawo spodziewać się tego. Tymczasem zdaje mi się że drwić sobie z jego tytułu, pisać epigrama na gwiazdę jego, wcale nie uchodzi w narodzie tym, który właśnie znanym jest światu ze swojej miłości i słabości do tytułów. Równie i anglicy nie są tak bardzo obojętni dla stopni towarzyskich i zupełnie swobodni od „snobbishness,” aby mogli udawać w tym względzie cenzorów poważnych, potępiających ową słabość w poecie naszym.

Pomiędzy przyjaciółmi, mieszkającymi w Jena, których zawsze widywał Goethe z przyjemnością, był Frommann, księgarz, w którego rodzinie było dziecię przyswojone, noszące imię Minny Herzlieb, zajmujące nas osobliwie z tego oto powodu, że było oryginałem, który natchnął był Goethego do utworzenia postaci Ottylii, w romansie *Powinowactwo duchowe* (Wahlverwandschaften). Kiedy była dziecięciami jeszcze lubił ją bardzo Goethe; kiedy wyrosła na pannę wywierala na niego wpływ uroczy, któremu próżno starał się oprzeć rozsądek jego. Różnica w latach była ogromna; cóż z tego! Nieraz dziwaczne uczucie dziewczęcia obdarza sercem swoim człowieka, co wiekiem mógłby być jej ojcem. Jakże często ludzie w wieku zapalają się uczuciem takim, jakie zwykle miota tylko piersią młodości namiętnój! W sonetach, do niej pisanych, równie też jak i w powieści wyż namienionej, możemy wyczytać jasno ów zapal namiętny i moc ową z jaką passował się z nim poeta. Mówiąc o powieści tej, tak się odzywa: „Każden pozna tu łatwo ranę głęboką, co wzdryga się przed myślą zostania wyleczoną, serce co boi powrotu do chłodnego spokoju... W niej, jak w urnie grobowej, złożyłem ja ze wzruszeniem głębokim wiele doświadczeń cierpkich. 3 Października 1809 roku (kiedy powieść ta wyszła była z druku) wykonałem nareszcie dzieło moje, ale uczucia, jakie się w nim zasklepiły, nigdy nie mogły się już były oderwać od serca mego.“ Gdybyśmy mogli wiedzieć tyle o okolicznościach, towarzyszących utworze-

Powinowactwo duchowych“ ile wiedzieliśmy o tych,

w których wylął się był w duszy Goethego Werther, wówczas zapewne równie jasno moglibyśmy byli przejrzeć w powieści tój materyał z życia poczerpnięty, a wcielony w utwór poety, jako to widzieliśmy wyżej w Wertherze; ale ponieważ niebezpiecznie jest w podobnych razach opierać się na domysłach samych, więc tylko będę przytrzymać się tych danych, jakie były dla mnie dostępne; to tylko mogę dodać jeszcze, że uczucie poety wzrastające w nim coraz więcej dla młodej dziewczyny, nabawiało go smutkiem i niepokojem, czegoż bowiem dobrego mógł się on od niego spodziewać? Nareszcie postanowiono w rodzinie wysłać dziewczę na pensyę ⁴²⁾ i ta rozłąka stała się zbawienną dla obojga.

Ciekawą jest wcale rzeczą czytać powieść tę, mając na uwadze tę okoliczność z życia poety; znajdziemy w niej nie tylko źródła natchnienia, ale oprócz tego wykryjemy wam sposób Goethego dramatyzowania tych dwóch połowic charakteru jego, o jakich wspomnieliśmy w pierwszej części tój biografii. Edward i Karolina kochali się w młodości swojej, ale okoliczności rozłączyły ich z sobą. Każde z dwojga zawarło związek *konwencyonalny*, wedle światowych pobudek, związek któren śmierć rozwiązała dla obojga. Wdowiec i wdowa, wolni teraz wybierać wedle serca swego pierwszy towarzyszkę, druga towarzysza życia, naturalnie stanowią sobie spełnić sen młodości pierwszej. Biorą się więc z sobą. Przy początku powieści widzimy jak para ta jest spokojną i szczęśliwą, jakkolwiek kilka odcieni, rzucanych od niechcienia niby, wskazują nam, że i w tém stadle dobranym niby uczuciem serca, kryje się pewna organiczna sprzeczność, nie dość zapewne silna, aby mogła wyrodzić niedolę w jego pożyciu, dostateczna jednak do przeszkodzenia temu, aby w nióm skojarzyło się silne a stateczne współczucie. Edward ma przyjaciela, jakby brata, którego zwą zawsze kapitanem, i tego zaprasza do siebie na mieszkanie. Karolina sprzeciwiała się temu z początku,

⁴²⁾ W powieści Otylia również wysyła się na pensyę.

przeczuwając w tém coś złego dla siebie; ustąpiła jednak w końcu tém bardziej, że życzyła sobie takóž, aby jój córka przybrana Otylia, którą właśnie należało odebrać z pensyi, bawiła odtąd przy niój. Tak stoją przed nami cztery główne osoby dramatu; jak tylko zjawiają się oni na scenie, natychmiast rozpoczynają swoje działanie ich „*powinowactwa duchowe*.“ Karolina czuje w sobie nie objaśniony pociąg do kapitana; Otylię pociąga do siebie Edward. Autor chce pokazać pociąg ten równie przyrodzonym, równie koniecznym jak owe powinowactwo chemiczne w ciałach, pociągające i łączące pomiędzy sobą ich atomy, wedle pewnych stałych praw przyrodzenia. Mamy przed sobą ustęp rzetelny z tragedyi żywota ludzkiego; rządzi tu konieczność pewna, potęga straszna, przedstawiając umysłowi dylemat, wstrząsający posadą społeczności.

(Mówiliśmy już wyżej, że w powieści téj należy szukać źródeł sęsymonizmu, furyeryzmu i romansów G. Sand'a).

Ci z krytyków, co rozumują o żywocie człowieka a następnie o sztuce ze stanowiska oderwanego, co nie dbając na fakta i na konieczność moralną, uważają przyrodzenie ludzkie jakby za szachownicę, na której wolno jest tak postąpić pieszką jak się komu podoba, sami gracze bowiem są tu niby działacze nie osobowi, nie zbałamuceni prędkością postępowania, nie zdolni przesłępić tego, co dla otaczających szachownicę jest rzeczą dotykálną; otóż krytycy podobni, powiadam, gotowi są ogłosić położenie wzajemne osób powieści za niemoralne, które autorowi nie godziło się wcale wyprowadzać na scenę, co w życiu rzeczywistém zostałoby natychmiast sprostowaném surową ideą obowiązku.

(Krytycy ci mieliby, zdaniem tłómacza, wielką za sobą rację, tém bardziej że myśl zaprowadzenia w powinowactwach duchowych, konieczność absolutną, powinowactw chemicznych, konieczność materyalnego świata w świecie moralnym woli — jest najwyższą niemoralnością i fałszem,

z którego wszelkie następstwa muszą być koniecznie *niemoralne i fałszywe*).

Inni zaś, którzy filozofię swoją wywijają z praktyki życia codziennego, jakiemby ono nie było, nie poszukując w niem wcale żadnych ideałów wymarzonych, ci co przyjmują wszelką jego gmatwaninę popędową i chcą, aby sztuka wyrażała tę rzeczywistość, ci, mówię, patrzą na te położenie wzajemne do siebie wyprowadzonych na scenę osób, jako na sytuację okropnie rzetelną i jakkolwiek tragiczną, przecież przez żaden sposób nic nie moralną. Tragedya bowiem zależy na zetknięciu się wzajemném namiętności i obowiązku, pociągu z jednej strony, a prawa społecznego z drugiej. Przypuściwszy, że Edward i Karolina są wolni, i popęd ten stałby się wprost pobudką do małżeństwa. Samo przecież małżeństwo stoi tu jako zaporą pomiędzy tymi popędami, a ztąd kollizya staje się konieczną.

Różność zdań, tu wyrażonych, musi zachodzić takż koniecznie pomiędzy dwoma wielkimi odłamami czytelników. Stosownie do tego w Niemczech i w Anglii powieść ta raz była uważaną za moralną, to znowu za niemoralną i to w sposób najwyższy. Nie myślę ja wcale aby była ona moralną, albo niemoralną. Kiedy krytycy powstają na nią, jako na utwór podkopujący podwaliny społeczne, naruszając świętość instytucji małżeństwa, i kiedy znowu inni krytycy głoszą w uniesieniu duchowém, że powieść ta jest moralna głęboko, dla tego mianowicie, że w tak jasném świetle wystawia ona świętość małżeńskiego związku, widzę w tém z mojej strony, że obie partye wnioski swoje wyciągnęły z wypadków indywidualnych, widzę, że w téj rzeczy, dały tylko swoje własne tłómaczenie, podczas kiedy autor nie miał był wcale zamiaru poddawać ją pod żadne wykłady. Każde dzieło, powiada Hegel, ma swój własny morał, ale morał ten zależy od tego, co go wyciąga z treści utworu. Dla tego to z powieści Goethego zarówno można (?) wyciągnąć argument tak *za* małżeństwem jak *i przeciw* małżeństwu. A przecież żaden z tych wniosków nie będzie wcale rzetelnym wynikiem, chyba tylko w zna-

czeniu osobistego tłumaczenia czytelnika. Goethe był artystą, a nie adwokatem; malował on obraz rzetelny i dla tego właśnie, że go malował rzetelnie, oddał go tak, że równie możebną jest rzeczą wyciągać zeń teraz najsprzeczniejsze ze sobą wnioski, tak samo, jak wnioski podobne wyciągają się zwykle z wypadków zaszłych w rzeczywistości. Przypuśćmy że sprawa ta odegrała się istotnie w oczach naszych, na scenie życia społecznego; niezawodnie, że w takim razie opinie, jakieby ona wywołała, byłyby różne, owszem byłyby nawet dyametralnie sobie przeciwnie ⁴³⁾. Nie trudną to jest wcale rzeczą napisać taką powieść w którejby na każdej karcie był wyraźny sens moralny; gdyby tedy celem autora było napisać powieść taką, coby wyjaśniła przykładem pewne założenie moralne, wówczas, zapewne, autor nie miałby potrzeby troskać się o rzetelność charakterów (?), bo używając ich jako środków do dopięcia celu pewnego, nie miałby (?) wcale za cel oddanie rzetelnie charakteru; wtedy zamiar jego byłby dydaktycznym, a nie artystycznym. Wcale innym jest cel i inna praktyka artysty; dla niego celem jest życie ludzkie; dla niego rzeczą główną jest charakter, który jest, jak to wiadomo każdemu, złożony z dwóch pierwiastków dobrego i złego, z cnoty i słabości, prawdy i fałszu, z pierwiastków sprzędzonych z sobą nierozdzielnie.

Ci co mają coś do zarzucenia podobnym obrazom i myślą że prawda sama nie jest dostateczną, mogą słusznie uważać w tym Goethego za naganego, że obrał sobie taki przedmiot. Ale on obrał go sobie dla tego że sam go doświadczył na sobie. Raz dozwoliwszy mu użycia tego przy-

⁴³⁾ Tu idzie wcale o co innego; zarzuca się tu Goethemu, że wystawiając rzecz niemoralną, starał się pokazać, że niemoralność ta była konieczną, że leżała w samej istocie duszy, a dusza była rządzona powinowactwem duchowym, tak fatalistycznym jak jest powinowactwo atomów chemicznych. Świat ten utworzony przez Goethego różni się od rzeczywistości; ludzie w tym ostatnim schodzą się i rozchodzą; widzimy tu sympatyę, ale nie tak przemocne jak je wystawia autor powieści, nadając bohaterom swoim charakter jakby automatów, któremi porusza moc wcale od nich samych niezależną. Ten fatalizm rozwinął autor Indjany i Walentyny.
(Przyp. tłumacza.)

miotu, trudno jest, zapewne, przyganiać mu sposób jego traktowania, z wyjątkiem jednej sceny, która dla czytelników angielskich wyda się zawsze naganną. Dwie osoby utworu tego wyobrazają namiętność w jęj pochłaniającej, nieobrachowanej, niepohamowanej gwałtowności, dążącej naprzód ku swemu celowi, aby go dopiąć (jak atomy chemiczne dążą do wzajemnego połączenia się z sobą). Dwie inne osoby, z równą mocą, z ujmującą szlachetnością, wystawiają poważną, surową ideę obowiązku. Edward i Otylia kochają gwałtownie, szybko, bez zastanowienia. Żadna wątpliwość nie mięsza ich pokoju. Uczucie ich tak jest naturalne, tak całkowicie pochłania ich w sobie, że stają się podobni dwojgu dzieciom co się pokochają z sobą. Jakkolwiek przecież żywo wyobrazają oni instynkt, równie też żywo Karolina i kapitan uosabiają w sobie rozsądek; miłość ich równie jest głęboką, ale jest to miłość dwojga istot racjonalnych, które dla tego, że rozumują, rozumują też o okolicznościach w których są postawieni, uznają społeczność, ustawy jęj i jęj prawa, przynosząc im na ofiarę swoje własne żądze, jako wyższej, towarzyskiej konieczności. Poddają się, idąc za wodzą przeświadczenia i sumienia, wynajdują ścieżkę w postępowaniu swoim, o której nie myślą wcale namiętna para, Edward z Otylią.

Edward zaledwo się dowiedział o tém, że jest kochanym, jak natychmiast myśli o rozwodzie (dozwolonym w Niemczech), o rozwodzie, który ułatwi mu sposób pobrania się z Otylią, a kapitanowi pozwoli zaślubić Karolinę. Niestety, Karolina, co dotąd nie miała była dzieci z Edwardem, czuje się w poważnym stanie. To gmatwa więcęj jeszcze położenie wzajemne aktorów, położenie, będące w początkach dość prostém. Nie mając dzieci (!) łatwo zgodziłaby się była na rozwód; teraz nie chce myśleć o tém. Nic jednakże nie może nakłonić Edwarda do wyrzeczenia się myśli rozłączenia się z żoną, zgadza się tylko na jedno, poszukania w oddaleniu lekarstwa na miłość swoją. Udaje się więc do armii, odznacza się w bitwach i wraca do domu z namiętnością równie

gwałtowną jak przedtém. Tymczasem kapitan oddalił się także z domu przyjaciela swego. Karolina znosi los swój cierpliwie i szlachetnie. Otylia w milczeniu pieści się z miłością swoją dla Edwarda i oddaje się z uczuciem gorącym staraniom około jego dziecięcia. Dziecie to, zgodnie z przesądem gminu (któren odtrąca wzgardliwie fizyologia) podobne jest, w sposób uderzający, do kapitana i Otylii, jednocząc w sobie, w żywych kształtach, namiętność, którą pałał Edward dla Otylii i namiętność drugą, którą oddychała Karolina dla kapitana.

Karolina, czując dość siły do przeniesienia swego losu, nie traci nigdy nadziei w to, że z czasem i Edward także nauczy się z równą mocą znosić swój własny los. Ale on pozostaje nie wzruszonym. Opozycja powiększa tylko w nim żądze jego. Nareszcie, dziecko, będąc pod dozorem Otylii, tonie. W żalu, światło jakieś rozpromienia się w duszy jój; tu dopiero Otylia, poraz pierwszy, poczyna czuć to, że źle czyniła, chcąc być żoną Edwarda; z tém poczuciem przychodzi postanowienie stałe nigdy nie być nią. Tragedya nabiera coraz głębszego charakteru. Otylia umiera; Edward, którego życie żywiło się tą jedną namiętnością, pogrążony w smutku niemym, idzie wkrótce za nią i zostaje pochowany na smętarzu obok kochanki.

Taką jest owa tragedia straszna, pojęta w swoich zasadniczych ideach; obrobił ją Goethe starannie, w najdrobniejszych jój szczegółach. Działanie postępuje powolnie, tak jak płynie ono w życiu codzienném, posuwając się naprzód w rozmaitych ustępach i okolicznościach, ale chociaż powolne, zawsze jednak jest ono zrozumiałe.

Dość jest tylko wskazówki jednej o początku tój powieści, abyśmy mogli wyczytać w niej to, jak Goethe wystawił się w niej pod dwoma postaciami różnemi, najprzód w osobie wrażliwego Edwarda, a potem w charakterze rozsądnego, a mocnej woli kapitana. Charaktery te zdjęte są z natury, były bowiem poczerpnięte z głębi własnego ducha. Uważając je jako charaktery powieści, są one utworami mistrzowskimi. Edward słaby, namiętny, a niecier-

pliwy, nawet w swoim niedołęztwie zachowuje w nas dla siebie interes. Jak przedziwnym odcieniem *np.* jest ten rys, kiedy czując się poraż pierwszy nieukontentowanym ze swego fałszywego położenia, słyszy, że kapitan naganiał egzekucyę jego na flecie jakiegoś sztuki i uważa się przez to od razu wolnym od wszelkiego obowiązku. Jest to właśnie jeden z tych charakterów namiętnych, co radzi są uchwycić się lada powodu, jakkolwiek on może się wydawać drobnym, byle tylko mieć pozór jakiś usprawiedliwienia się. Karolina i kapitan wyobrażają *rozsądek* i *obowiązek*, w sprzeczności Otylii i Edwarda, wyobrażających tylko *popęd* i *przesąd*; udało się Goethemu w osobach, wyrażających rozsądek, uczynić go przyjemnym i szlachetnym. Trudnoby było wymienić dwa drugie, równie szlachetne charaktery, nie przechodząc z zakresu rzeczywistości do ideału.

Rozenkranz zauważył to trafnie jak pięknie rozmaite rodzaje małżeństwa są wystawione w tej opowieści. Edward i Karolina oboje probowali małżeństwa dla powodów światowych (*de convenance*); sprobowali potem jeszcze na sobie małżeństwa opartego na przyjaźni: jeżeli pierwsze było nieszczęśliwe, drugie nie było dostatecznym, nie było bowiem związkiem, opartym na *miłości*. Oprócz tego w związku hrabiego z baronową widzimy małżeństwa takie, jakie najczęściej bywa na świecie — czysta ugoda, szanowana konwencyonalnie z jednej i drugiej strony. Dla tego hrabia wystawiony jest tu jako lekkomyślny wietrznik świata mody, bawiący się teoryami w rodzaju St. Simona, zachowując to przekonanie, że małżeństwo powinnyby było być pewnym rodzajem *terminu* (rzemieślniczego), z którego wyzwalanoby stale co lat pięć przynajmniej.

Oprócz tego krytycy podziwiają sam sposób wystawienia charakterów, jak się one malują przed czytelnikiem w myślach swoich, mowie i uczynkach, bez wszelkich opisów albo objaśnień ze strony autora. Całe wystawienie rzeczy jest przedmiotowe (objektywne), a tak proste, rozwijanie się wątku tak spokojne, wszystko dokonuje się

między tak powszednimi szczegółami, że trudno jest wskazać coś podobnego gdzie indziej. Jeżeli we Francji, albo u nas (w Anglii) niektóre drobnostki wydają się czytelnikowi nudnymi trochę i jakby utrudzającymi sam pochod dzieła, równie też drażniącymi ciekawość, niecierpliwą dowiedzieć się czémprędzej o rozwiązaniu historyi, to za to czytelnicy niemieccy tej powieści nie czują wcale utrudzenia, owszem lubują się oni w detalach i w tych celach artystycznych dla których one występują na scenę. Jeden z moich najdroższych przyjaciół, którego zdanie zawsze jest tak trafne i tak godne uwagi, myśli, że długie ustępy, przerywające postęp wątku, podczas nieobecności Edwarda, są właśnie środkiem artystycznym, mającym dać uczucie czytelnikowi powolny bieg czasu⁴⁴⁾; bo też tylko w umyśle (w fikcyi) rozwiązanie jest tuż obok wykładu rzeczy — w życiu wcale jest inaczej. Daję tu to zdanie przez wzgląd na czytelnika; wydaje się bowiem to zdanie, w moich oczach, więcej daleko dowcipném niż słuszném. Cóż bowiem mają do rzeczy owe ulice które Goethe tak starannie przeprowadza w parku, owe chatki z mchu i kory, restauracya kaplicy i t. d.? Wszystko to jest tu rzeczą obcą, leży poza planem i nudzi ogromnie. Autor miał być zapewne pierwotnie zamiar napisać powieść małą i miał na to dość zasobu; rozszerzając potem ramy tej powieści popsuł przez to układ dzieła, będącego utworem wielkiej wartości artystycznej.

Styl „*powinowactw duchowych*“ bardzo jest chwalonym w Niemczech; Rozenkranz ogłasza go za styl klasyczny. Należy jednakże pamiętać o tém, że Niemcy nie są zasobne w dzieła pisane z tą wytwornością, jakiej od autora wymagają zwykle we Francji i Anglii. Należy pamiętać także o tém, że wiele ze zdań Niemców o Goethem potrzeba przyjmować tak ostrożnie, jak się przyjmują zdania Anglików o Szekspirze. Nie opuszczając z uwagi tych

⁴⁴⁾ Tak samo jak w bajkach słowiańskich, kiedy bohater udaje się w drogę, dodaje zawsze opowiadacz: „poszedł — idzie i idzie, idzie i idzie, idzie i idzie i t. d.“
(Przyp. tłumacza).

dwóch oto punktów, łatwiej jest osądzić krytyki niemieckie, napisane przez tych pisarzy, co nie uważają za styl klasyczny styl ten w jakim powieść Goethego została napisaną. Delikatną bardzo rzeczą dla obcego jest ferować zdanie w tej sprawie. Gdybym pisał dla Niemców, przestąpiłbym na przytoczeniu tu opinii będącej powszechnie w obiegu; pisząc jednakże dla Anglików, czytających dzieła niemieckie, mniej będzie zapewne śmiałości z méj strony, jeżeli pozwolę sobie wytknąć tu niektóre wskazówki wieku autora, zdradzające się w jego stylu. Anglicy jeżeli zechcą porównać tę prozę z prozą jego lat młodszych, albo z prozą wzorową, a z taką tylko należy porównywać pisarza takiego jakim jest Goethe, znajdą ją zapewne słabą, chłodną, mechaniczną we względzie budowy myśli, a nawet nieco bezduszną dla abstrakcyjności dykcji saméj. Tak jak występujące osoby w powieści tej oznaczone są po większej części *stanem*, jaki zajmowały one w świecie towarzyskim, jak *np.* kapitan, architekt, nauczycielka, nauczyciel, pośrednik, Anglik, czeladnik wędrujący, ksiądz, chirurg, tak samo oznaczają się tu przedmioty oderwanemi słowy, konkretności unika się wszędzie, a peryfraza przekłada się stale nad wyraz bezpośredni rzeczy. Następnie musi być koniecznie nużące ucho powtarzanie jednego i tegoż samego frazesu, albo użycie jakiegoś jednéj formy, jakby ulanej stereotypicznie; zapewne są tu miejsca wielkiego wdzięku, są odcienia poetyckie, których pewno żaden Anglik nie przesłepi. Rozdział ostatni jest jakby poematem. Uczucie (*pathos*) jakie w nim wieje jest tak proste, że potrzeba być mocnéj konstytucji, aby go przeczytać bez rozrzewnienia. Równie kartka owa w której kapitan i Karolina pływają po jeziorze w wątléj łodzi przy świetle gwiazd na niebie, jest poematem, którego muzyka zbliża się prawie do harmonii wiersza.

Minna Herzlieb, której winniśmy powieść tę, wyszła za mąż i była szczęśliwą w pożyciu swoim. Goethe długo czuł ranę w sercu. W roku 1810 jeszcze raz spróbował sił swoich w poezji erotycznój, wystawiając zetknięcie się

wzajemne pomiędzy miłością a obowiązkiem. Przyroda poematu tego przeszkodziła ogłoszeniu jego drukiem i dotąd pozostaje on w rękopisie. W tym roku także Goethe rozpoczął swoją autobiografię, której część pierwsza wyszła w r. 1811; publiczność chciwa tego życiorysu poety, z odczarowaniem go odczytała; łatwo jest zrozumieć powód tego zawodu. Jakkolwiek bowiem dzieło to jest uroczem w wielu względach, przecież nie ukazuje poety w chwili najciekawszej jego życia, w chwili jego młodości; oprócz tego mniej tu daleko *prawdy*, a więcej *wymysłu*.

Nim przystąpił był Goethe do napisania swojej biografii przeżył był już matkę swoją; umarła ona 13 Września 1808 roku w 78 roku życia swego. Do ostatniej chwili kochała ona żywo syna swego, który odpłacał się jęj wzajemnością⁴⁵); sława jego była pociechą i podporą jęj późnego wieku. Życzył był sobie tego, aby mieszkała przy nim w Wejmarze, ale kółko starych jęj przyjaciół frankfurtskich, równie tęż wpływ starych nawyknień, utrzymywały ją do ostatka w mieście rodzinném, gdzie powszechnie była kochaną i poważaną.

Dwadzieścia dwa lata jeszcze pozostały do końca długiego życia Goethego; gdybyśmy ten okres żywota jego chcieli traktować podobnie, potrzeba by było napisać jeszcze tom jeden. Nie braknie wcale na materyałach do tego; w listach poety, w korespondencyi przyjaciół jego i jego znajomych znalazłoby się mnóstwo szczegółów; na nieszczęście materyały mnożą się w tym okresie żywota Goethego, kiedy dzieje jego tracą ten interes jaki miały one w początku. Od roku sześćdziesiątego do roku osmdziesiąt drugiego żywota poety przeciąga się okres ostatni biografii jego, ale nie jest to już jeden z tych okresów życia, w których osoby i wypadki wywierają wpływ na człowieka; charakter jego już się rozwinął był ostatecznie, nie mógł więc odtąd przybierać nowego kierunku. W tym

⁴⁵) Zarzucają mu przecież, że po lat kilkanaście nie odwiedzał jęj, co rok jednakże jeździł do Czech na wody Karlsbadzkie, więcej ze zwyczaju niż dla zdrowia.

(Przyp. tłóm.)

periodzie biografia jest już u kresu, a poczyna się nekrologia. Dla Niemców szczegóły, o których nadmieniałem, mogą mieć interes pewien, ale dla nas dość obojętną będzie powieść o tém, co Goethe przedsiębrał, czém się zajmował, co czytał, dokąd wyjeżdżał, kiedy miał katar, a kiedy chorował na ból zębów, z kim rozmawiał.

Mogę nadmienić o znajomości Goethego z Beethovenem, z powodu żywego interesu, jaki budzą zarówno oba imiona. Byli razem czas jakiś w Töplitz, podziwiając wzajemnie geniusze swoje. Biograf Beethovena dodaje: „choć Beethoven chwalił cierpliwość Goethego w rozmowie z nim (z powodu jego głuchoty), zawsze przecież jest to faktem, że wielki poeta i minister za prędko zapomniał o wielkim kompozytorze; kiedy 1823 roku mógł być z małym dla siebie kłopotem wyświadczyć mu ważną przysługę, nie tylko że tego nie uczynił, ale nawet nie raczył był odpowiedzieć Beethovenowi na jego pokorną prośbę“. Tak to zwykle oskarżają ludzi! Na takich to dowodach opierają się czynione ludziom wielkim zarzuty. Fakta są takie tylko, że Beethoven pisał był do Goethego, a Goethe na list jego nie dał był żadnej odpowiedzi. List Beethovena prosił Goethego o wstawienie się do W. Księcia, aby ten prenurował jego mszę; zapewne że przykro musiało być Beethovenowi nie otrzymać na to pismo odpowiedzi; podobne zdarzenia wielce martwią i srodze obrażają miłość własną, zwłaszcza jeżeli kto jest skłonny do tłumaczenia sobie wszystkiego przez przypuszczenie złych powodów ze strony tych, co nas urazili. Ci jednakże co mają na uwadze to, że może być mnóstwo powodów w każdej czynności ludzkiej, co nie lubią przypuszczać koniecznie powodów złych, jeżeli nie mają w téj mierze żadnej oczywistości, ci, mówię, od razu domyślą się tego, że oskarżenia jakie tu spotkały poetę „że zapomniał prędko o wielkim kompozytorze, że nie raczył był odpisać na jego pismo,“ niekoniecznie były oparte na dowodach. Wiemy owszem, że Goethe miał w sobie od przyrodzenia chęć przysłużenia się każdemu, wiemy, że stale polecał W. Księciu jakąś czynność

zacną, jakiś przedmiot wsparcia; wiemy i to że Goethe głęboko podziwiał Beethovena i nie miał był żadnego powodu obrazić się na niego; wiedząc zaś to wszystko, musimy koniecznie przypuścić jakiś osobliwszy powód milczenia, różny wcale od tego jaki podawał był zagniewany kompozytor i jego biograf.

Ale idźmy dalej w opowieści naszej. Rok 1813, w którym rozpoczęła się była w Niemczech wojna o niepodległość, był dla Goethego rokiem kłopotów. Rozpoczął się on dla niego smutkiem — śmiercią starego przyjaciela jego Wielanda, która dotknęła jego więcej niż ci co go znali najlepiej spodziewali się tego. Herder, Szyller, księżna Amalia, matka jego, a teraz Wieland — wszyscy drodzy mu, wszyscy jego przyjaciele opuścili go i pozostawili osamotnionego na świecie szerokim w jego starości późnej.

Nie był to jedyny powód niedoli; zaburzenia polityczne pomieślały były jego plany. Germania cała powstała przeciwko panowaniu Napoleona, a powstała — jak sądził Goethe — daremnie. „Nie otrząśnicie się z więzów swoich, mówił Körnerowi; mąż ten zanadto jest potężnym; darmo się szarpiecie, głębiej tylko żelazo wpije się w szyje wasze.“ Zwątpienie jego wielu podzielało, szczęściem jednakże naród nie dzielił go. Podczas kiedy patryoci poruszali ogół narodu do walki rozpaczliwej, on chciał „uchylić się od chwili obecnej, niepodobna bowiem było żyć w podobnych okolicznościach i nie oszaleć“. Uciekł się, jak to było zwyczajem jego, do sztuki. Napisał ballady „*Taniec śmierci*“, „*Wierny Eckart*“ i „*Dzwon wędrowny*.“ Napisał rozprawę „*Szekspir i to bez końca*“, wykończył wreszcie trzeci tom autobiografii. Pogrążył się w studyach nad *historią chińską!* Nawet w dzień bitwy pod Lipskiem⁴⁶⁾, napisał był piękny epilog do tragedyi „*Essex*“ dla faworytalnej aktorki pani Wolff.

Pisarze-patryoci nie szczędzą przymówek cierpkich czło-

⁴⁶⁾ Ciekawym jest szczegółem, że w ten dzień pierwszej klęski wielkiego Napoleona medalion jego, wiszący na ścianie w pracowni Goethego, spadł z gwoźdźca na ziemię.

wiekowi, co był w stanie szukać ucieczki w poezji i badaniach dziejów chińskich w straszną burzę polityczną, w czasie boju krwawego o niepodległość, nie znajdując innego tłumaczenia tego faktu jak tylko to jedno, że Goethe był samolubem. Inni pisarze-patryoci, pomiędzy temi ultra-republikanie, jak Karol Grün naprzykład, bronili go wymownie. Niechże oni w tym względzie bojują pomiędzy sobą. Nie myślę aby potrzebném było dodać tu coś jeszcze do tego, cośmy wyżej powiedzieli we względzie politycznych zasad Goethego. Ci co nie mogą pojąć go takim jakim był, a chcieliby aby był takim jakimi byli sami oni, nie zechcą zapewne zgodzić się na żadne przekładane im w tym względzie argumenta. Zdaje się, że niepotrzebnie jest dowodzić tego, że w sześćdziesiątym czwartym roku trudno było przecież stać się zapalonym politykiem, tém bardziej, że do téj pory starannie unikał był polityki; równie zbyteczną byłoby rzeczą okazywać, że nie był on wcale w tém położeniu, coby dawało mu jakąkolwiek sposobność dokazać czegokolwiek. Cały zarzut ogranicza się tém, że nie pisał pieśni wojennych, nie wydawał manifestów, ale usiłował, jak tylko można najwięcej, ukryć się przed historią współczesną. Jeżeli to było występkiem, to powód do tego nie był zapewne występnym. Sądźcie jak sobie chcecie to postępowanie, tylko nie zapoznawajcie jego powodów. Przypisywać je tchórzowstwu, bojaźni skompromitowania się, jest rzeczą obelżywą, wbrew wszelkiej oczywistości, jaką podaje nam charakter sam Goethego. Kiedy potężny Napoleon prześladował W. Księcia wejmarskiego, widzieliśmy jak Goethe brał w tém udział, jak był poruszony, jak gotów był on dzielić z nim wszelką dolę. Była to niesprawiedliwość osobista, którą pojmował jasno i przeciw której gotów był wystąpić. Dla księcia swego gotów był stać się śpiewakiem ballad⁴⁷⁾; dla narodu nie miał on głosu, a dla czego?

⁴⁷⁾ Czy nie jestto tylko czezą emfazą? Stać się śpiewakiem, łatwo to powiedzieć, ale aby być śpiewakiem potrzeba umieć śpiewać!

Bo nie było wcale narodu. Wtedy już Goethe widział jasno to, co dziś widzi każdy, że Niemcy nie mają bytu narodowego; Germania społa się była wówczas w jedno ciało narodowe duchem nienawiści ku Napoleonowi i ku Francji, jako też entuzjazmem wyswobodzenia z pod przemocy obcej; zdawało się mu, że jedność ta gorączkowa rozprysnie się w boju z Tytanem. Omylił się w tém jednakże; skutek dowiódł mu błędu, ale ten błąd w zdaniu nie ma być mu zarzucanym jako brak szczerości w przeświadczeniu. Kiedy Luden, dziejopis, którego zdanie jako patrioty musi mieć za sobą powagę wielką, widział się z Goethem po bitwie pod Lipskiem, które to widzenie się wspominał potem z uczuciem, takie z tego wyniósł wrażenie, że ci co naganiają Goethego w obojętności dla kraju, myślą się wielce; milczenie jego z powodu wielkich zasług wówczas wypadków przypisać należy prosto bolesnej rezygnacji, do której znajomością ludzi i położeniem swoim był doprowadzonym.“ Luden przybył doń, aby pomówić z nim o projektowanym dzienniku „Nemezyda,“ coby pobudzał nienawiść narodu przeciwko Francji. Goethe myśl tę mu odradzał. „Nie myśl, dodał po chwilec milczenia, nie myśl, żeś obojętny dla idei wielkich — Nie! idee te są w nas, składają one część istoty naszej, której nikt nam nie wydrze. Niemcy drogiemi są sercu memu; nieraz czułem ja w sobie gorzką boleść, że lud niemiecki, tak czcigodny, brany oddzielnie jako osobistości, musi być tak nieszczęśliwym jako całość. Porównanie Niemców z innemi narodami wzbudza uczucie bolesne, któremu chcę się wyrwać wszelkimi sposobami; sposoby na to znalazłem w sztuce i nauce, one bowiem należą do całego świata; w ich obliczu giną wszelkie granice narodowości. Jednakże nędzna to wreszcie pociecha i nie wynagradza ona wcale tego dumnego przeświadczenia, że się należy do wielkiego, potężnego, czczonego i straszego narodu.“ Mówił był takż o przyszłości Niemiec, ale widział, że przyszłość ta jeszcze była bardzo daleko. „Dla nas tymczasem jedno pozostaje: niech

każden, stosownie do usposobień własnych, uczyni co tylko może ze swojej strony do pomnożenia oświaty i rozwoju narodowego, aby wzmocnić i rozszerzyć je we wszystkie strony, aby lud niemiecki nie krył się gdzieś w cieniu poza innymi ludami, ale by się stał zdolnym do wszelkiego czynu wielkiego, kiedy dzień sławy jego zaświta nareszcie.“ Były to słowa bardzo mądre, jakkolwiek były one niesmaczne dla zagorzałego patryotyzmu. Zwracając się od tych zagadnień oderwanych ku projektowanemu „Dziennikowi“ i ku możebności pobudzenia narodu niemieckiego ku owym ideom wzniosłym, dodał: „Ale obudziły się naród niemiecki? Wież on, czego potrzebuje, czego chce? Zapomniałeś o tém co mówił w Jena ów czcigodny Filister do sąsiada swego, ciesząc się, że tylko co wyprawiono Francuzów, aż tu już weszły do miasta inne wojska obce i dom jego nie będzie stać pustką. Ach! zanadto spaliśmy mocno, abysmy jednem szturchnięciem mogli przebudzić się ze snu. Czyż wszelkie poruszenie ma już być wyniesieniem? Zwracamy dziś uwagę nie na samą młodzież wykształconą, ale na wielu, na miliony. Cóż wygramy? Powiadasz że wygramy swobodę, ale może lepiejby było powiedzieć że się wyswobodzimy nie od jarzma cudzoziemców, a tylko od cudzego jarzma. Prawda, nie widzę teraz Francuzów, nie widzę Włochów, ale za to ileż to widzimy Kroatów, Madziarów, Szeklerów i tyle innych, innych ludów dzikich!“ Podobna mądrość poglądu politycznego dziś nawet zastanowić powinna. Kto tak myślał nie mógłby zapewne być po stronie zapaleńców ówczesnych, gdyby był on nawet jeszcze w wieku entuzjazmu. Ale, jak to mówił był raz Eckermannowi, kiedy ten napomykał coś o zarzutach, czynionych mu z tego powodu, że nie pisał był pieśni wojennych. „Jakże ja mogłem chwycić za oręż ten bez nienawiści, a jak, pytam, nienawidzić bez serca młodego? Gdyby wypadki te zastały mnie były w moim dwudziestym roku życia, wtedy zapewne nie dałbym się w tém wyprzedzić nikomu, ale zastały mnie one więcej niż sześćdziesiątletnim dziadem. Oprócz tego nie możemy wszyscy

służyć ojczyźnie w jednym sposobie, ale każdy służy jój tak jak mu Pan Bóg przeznaczył. Ciężko dosyć pracowałem przez całe pół wieku. Mogę powiedzieć śmieie, że w tém, co mi natura przeznaczyła na dolę mojej pracy, nie ustawałem nigdy i nie opuszczałem rąk na chwilę jedną, ale zawsze pracowałem i robiłem tyle i tak dobrze jak tylko mogłem. Gdyby to samo mógł wyznać o sobie każdy, zapewne że byłoby to dobrém. Pisać piosenki wojenne i siedzieć samemu za piecem! Oto niby miało być mojem zadaniem! Składać je na biwaku, u ogniska, kiedy na świtaniu słyszysz rżenie koni — zapewne mogło to być dobrém i piękném, ale nie było to moją professyą, ale professyą Teodora Körner'a. Jego piosenki wojenne są dlań rzetelnie właściwą poezyą; ale dla mnie, co nie jestem wcale przyrodzenia żołnierskiego, co nie mam ani odrobiny zmysłu żołnierskiego, podobne pieśni wojenne byłyby maską niezdolną zakryć mojej przyrodzonej fizyonomii. W poezyach moich nicem nigdy nie udawał, nie wyraziłem jednego uczucia, którego bym sam na sobie nie doświadczył, owszem, któreby mnie samo nie pobudzało do wyrażenia go w słowie. Składałem tylko dotąd piosenki miłosne w czasie kiedym się kochał; jakże tedy mogłem składać pieśni, zapalone nienawiścią, kiedy w sercu mojem nie było tego uczucia?“

Jego zajęcie się poważne sztuką miało związek ścisły z tą jego obojętnością w rzeczy polityki, a nawet rzecz można, że z niej brała początek; powaga ta stała się powodem osobliwszego zarzutu, „że Goethe patrzył na życie jak artysta.“ Frazes ten przeszedł był w Niemczech w formę stereotypową. Każdy kto tylko zasłyszał był cokolwiek o Goethem, musiał także znać ten rzucony o nim ogólnik; mówiono i pisano to z oczywistością przeświadczenia i mieści się w tém tom całej ukrytej obelgi.

Ale popatrzmy zblizka na ten zarzut. Kiedy człowiek poświęca się pewnej nauce wyłącznej, oddaje jój większą część czasu swego, wszelkie myśli i sympatye swoje, dziwimy się w duchu podobnej mocy wewnętrznej i pochwa-

lamy takie namiętne poświęcenie się nauce; nie myślimy wcale podobną gorliwość uważać mu za występki jakiś; wszak nie mówimy o Faraday'u, że patrzy na życie z punktu chemicznego, o Owenie, że pogląda na nie tylko jak zoolog. Rozumiemy to dobrze, że wszelkie wielkie usiłowanie musi koniecznie pociągnąć za sobą wszystkie myśli i działania umysłowe, odwracając je przez to od innych badań i dążeń. Dla czegoż tedy sztuka jedna ma być wyłączoną od tego przywileju ważnego? Dla czego kunsztmistrz, kiedy się zajmie gorliwie swoją rzeczą, już uważa się winnym, już nań krzyczą jak na wilka? Oto jedna jest, wedle mnie, tego przyczyna: że ludzie dotąd jeszcze nie patrzą na sztukę jako na rzecz poważną, ⁴⁸⁾ a to dla tego, że służy ona ukontentowaniu naszemu. Patrzą na sztukę jako na dziecię zbytku, wyrób próżniactwa; (bo może zesła do tego sztuka, oddalając się od tych wyżyn, na których stała ona, jako pewna władza, jako poczucie i przecucie duchowego bytu *człowieka*.) Ci co niezdolni są wznieść się do wysokości pojęcia tego, jakie żyło w piersi Goethego i Szyllera, gotowi są patrzeć na poezję jako na rzecz czysto retoryczną i uważać za zarozumiałość, jeżeli artysta mówi o sztuce jako o najszlachetniejszym kształcie cywilizacji. Zapewne, że ci co widzą w malarstwie i snycerstwie rzemiosło, służące ku przyozdobieniu sal jadalnych i galeryj kosztownymi ozdobami; muzykę, za powód do wynajęcia łoża w Operze; a poezję jako przyjemną zabawkę, zapewne, powtarzam, ci mogą być usprawiedliwieni w swoim zdaniu, traktującym lekko malarzy, snycerzy, muzyków i poetów. ⁴⁹⁾ Ale nieprzypuszczam, aby

⁴⁸⁾ Dla tego, że sztuki nie uważają za jakąś oderwaną od rzeczy formę piękną, ale widzą w niej jeszcze treść najistotniejszą życia ludzkiego, w której muszą być skupione wszelkie, obchodzące z blizką ludzkość interesa, uczucia i dążenia; chcą oni widzieć w sztuce *człowieka* wiecznego, tak zbiorowego jak i osobowego. Nie jest doskonałym ten instrument któremu brakuje strun wielu. (*Przyp. tłóm.*)

⁴⁹⁾ Ale nie jest to wcale traktować lekko poetę, kiedy się wymaga od niego wyrażenia ducha i pełnej ognia dążności narodu; właśnie dowodzi to, że patrzono poważnie na sztukę i jeżeli się dziwiono, że w arcie poety brakło struny, tętniącej wówczas przeważnie w duszy narodu, niedziwiono się temu wcale bez ważnego po-

czytelnik miał być jednym z tych ludzi; mogę więc odwołać się do jego rzetelnego zdania, w sprawie praw sztuki do przeznaczenia poważnego, jako jednej z form ukształcenia narodowego. Skoro to przyznamy kunsztowi, prostém następstwem tego będzie to, że im poważniej pójdzie artysta po drodze mu wytkniętej, tém więcej cześci będzie mu się należyć od nas.

Jakoż Goethe był zanadto głębokiego przyrodzenia, aby nie miał brać na *serio* wszystkiego, co tylko on przedsiębrał; pędził on życie surowe i pracowite, skoro tylko mógł był wyrwać się od zabaw i próżniactwa dworskiego. Lubił on pracę, nie troszcząc się w tej mierze o nagrodę inną, okrom tej jaką daje czynne życie, tj. rozkosz umysłowego rozwinięcia się, które było właśnie jedną z konieczności moralnych jego przyrodzenia. Pracował nad nauką tak pilnie, jakby od niej wyglądał kawałka powszedniego chleba, pracował w obliczu wrażeń niezliczonych, bez wszelkiej zachęty pochwały, lub widoku sławy. W sztuce, co była główną częścią jego zajęć i dążeń umysłowych, starał się o wyrobienie w sobie pewnej dokładności (kompletności); wszędzie poszukiwał do niej materyałów. Jeżeli widzimy filozofa wyciągającego do swojej nauki zasoby z uogólnienia najlichszych przedmiotów, w czasie chwil wolnych, rozrywce poświęconych, starając się nawet w teatrze, na balu, albo z niezwiązłej rozmowy, związanej pomiędzy współtowarzyszami swemi w wagonie, wyciągnąć przykłady i udowodnienia prawd, nad którymi rozmyśla w ciszy swojej pracowni — jeżeli, powiadam, filozofa tego nie obwiniamy z tego powodu o to, że pogląda na życie tylko jako filo-

wodu i jeżeli mówiono, że poeta, co był niemym dla wyrażenia entuzjazmu patriotycznego, nie był rzetelnym wyrazem ducha ludzkiego i narodowego, to słowa te ludu, co się zwracał do swego poety naczelnego i nie znalazł w nim tego czego od niego wyglądał — były także słowami słusznego niezadowolnienia. Gdyby poeta kochał kraj swój, nienawidzałby jego nieprzyjaciół; pisał miłosne piosenki dla kochanek, a dusza jego nie umiała wyspiewać hymnu miłości dla ojczyzny swojej. Och nie tak zaiste poetę rozumiała starożytność natchniona! Dawid, pieśniarz boży, wołał do ludu — a głos jego brzmi dotąd i odbija się echem wszędy — mówi mową zrozumiałą każdemu: jeżeli zapomnę na cię Izraelu, niech język mój przyschnie do podniebienia!

(Przyp. Hóm.)

zof i nie mówimy że dla tego powodu brak mu uczuć ludzkich;⁵⁰⁾ a przecież coś podobnego mówili ci wszyscy, co brali to za występki w Goethem, że on stale starał się wyciągać z życia zasób pewien dla sztuki. (Czemuż go niewyciągnął z uczuć owych jakimi oddychały były Niemcy w 1813 roku?)

Jeżeli mówiąc, że Goethe patrzył na życie jako artysta, rozumiemy pod tém to mianowicie, że on będąc kunsztmistrzem, postawił był sobie sztukę za główne zatrudnienie żywota, frazes ten staje niedorzecznym; jeżeli zaś pod tém rozumiemy to, że oderwał się od zajęć i zabiegów innych ludzi w tym celu jedynie, aby bawić się życiem i kształtować je jakby jaki dramat przyjemny, wówczas wyrażenie podobne jest oszczerstwem. Niech czytelnik *żywota* tego sam to osądzi. Czy żywot ten, rozwinięty przed oczami jego, ukazał mu, w poecie brak współczucia dla ludzi i dla ich usiłowań? Widział że on tu choć cień przyrodzenia takiego, coby było skupione w sobie samém, a tak wyrachowane na zimno, że życie same mogłoby się dlań stać prostą tylko zabawką? Jeżeli czytelnik odpowie że nie, to damy już pokój święty temu zarzutowi, że Goethe poglądał na życie tylko jako artysta.

Podczas kiedy jedni napadali na niego za jego obojętność polityczną, inni jeszcze zajadłej i okrutniej czepiali się do poety za jego mniemany brak religii. Człowiek coby przeczytał dzieła Goethego i nie dopatrył się w nich głęboko religijnego ducha, musiałby zapewne słowo religia ograniczyć formą swego własnego wyznania. Człowiek zaś, coby czytając go znalazł w pismach jego, że Goethe nie był prawowiernym, byłby zapewne podobnym do tego coby w południe, porą pogodną, chwalił się z tego, że odkrył słońce na niebie. Do prawowierności nigdy nie miał Goethe pretensyi żadnej. Wcześniej rozpoczął się był rozwój religijny ducha jego, a z nim razem rozpoczęły się były jego wąt-

⁵⁰⁾ Właśnie że zarzut podobny „*that a poet is deficient in the feelings of the race*” trafia w samą istotę poety, jemu bowiem niepowinno być obecne żadne uczucie ludzkie.

pliwości w wierze. Zapewne są tacy co wątpliwości uznają za występki, ale żadna zapewne dusza ludzka, co tylko bojowała w życiu, co tylko choć raz pasowała się z falami wzburzonymi myśli niepokornej, co za nadto była szczerą, aby się cofnąć przed niemi i zatrzymać przy zbyt pośpiesznych wnioskach, bojąc się spojrzeć w oczy następstwu zwątpienia, nie powie o tém tak wzgardliwie i tak gniewnie jak mówili owi przeciwnicy Goethego. ⁵¹⁾

Bieg opinii religijnych Goethego, jak już to widzieliśmy wyżej, zmieniał się nie raz w życiu jego. Raz był ściślym w wierze jak najściślejsze sekty protestanckie; to znowu wpadał całkiem w sceptycyzm. Panna Klettenberg skłoniła go była do współczucia dla braci morawskich, ale obłuda (nieświadoma siebie) Lavatera i obłuda świadoma (!!) i poniżenie moralne duchowieństwa włoskiego mało po mału zmieniły były jego cześć dla wyznań chrześcijańskich w otwartą a nieraz sarkastyczną wzgardę dla księży i duchowieństwa wszelkiego. W rozmaite epoki długiego jego żywota tak się zmieniały uczucia jego religijne, że w tym względzie mogliby przyznać się do wyznania jego zarówno pijetysta jak i wolterzysty, a obaj z równym prawem i słusznością. Tajemnica tych sprzeczności leży w tém, że były w duszy jego głębokie uczucia religijne obok zupełnej niewiary we wszelką religijną naukę. (Czémże tedy jest religia?) Dla tego, wiele razy encyklopedyści napadali na chrystyanizm, gotów on był bronić go; ale skoro tylko zetknął się z dogmatyką chrześcijańską, co wymagała od niego poddania się artykułom wyznania swego, oburzał się natychmiast na to i odpowiadał jój w duchu swego sceptycyzmu. Mógł być powiedzieć encyklopedystom: ktokolwiek uwolni umysł, nie dawszy razem wła-

⁵¹⁾ Istotnie w protestantyzmie wątpliwość w wierze, nie chwilowa i pomimo-wolna, ale stała, sceptyczna, jest w porządku rzeczy i nie można jój mieć za złe nikomu; w wierze odrzucono tam podstawę kościoła, powagę nauki, podanie, z kądże więc ma być tu pewność niezachwiana w rzeczach przechodzących pojęcie ludzkie? Powstaną koniecznie wątpliwości, a kto by znalazł spokój, albo wrócił by do tradycyi starój i wyrzekł się przez to protestantyzmu, albo nie myślałby wcale o wierze. (Przyp. tłóm.)

dzy moralnej nad naszym ja, staje się przez to szkodliwym; albo wymówił by z tego powodu jedną ze swoich maksym:

„Nur das Gesetz kann uns die Freiheit geben“
(t. j. tylko w kole prawa może być swoboda.)

(Zasada wyborna, ale stosująca się równie do umysłu jak i moralności — tam prawem jest *dogmat*, w tém co przechodzi jego pojęcie, a jest tak koniecznym do związania w jedno całości świata z pozaświatem, tu prawo moralne, obaj płynące z objawienia bożego, a dające się sprawdzić rozumem.) Nie jesteśmy rzetelnie wolnymi, jeżeli nie przyznajemy nad sobą wyższej władzy. Co do nauki dogmatycznej, stawiał przeciw niej zawsze to jedno prawidło fundamentalne, że wszelkie pojęcia o Bogu muszą być naszymi własnymi wyobrażeniami, dobrymi dla nas samych, ale niezdatnymi dla innych. (A przecież owa zmienność jego wyobrażeń własnych dowodziła mu jasno, że człowiek nie może poprzestać na swoim własnym wyrobie religijnym, zmienia i szuka innego, z piętnem powagi takiej, co by go kazała nam przyjąć i uznać za prawdę niezmienną, bo wieczną; jakże dziecinnym, jak nędznym jest człowiek, pozostawiony sam sobie w rzeczy wiary!) Każdy, wedle Goethego, powinien był mieć swoją własną religię, wyrobioną z siebie, z istoty własnej. (Była to także opinia Szlejermachera, *teologa* protestanckiego!) Zobaczymy czy Goethe był wiernym temu wyznaniu, co zapewne lepszym by było niż gdyby miał się starać stosować do wyznania cudzego. (Jakże niedorzecznie! jakże dziecinnie! Łatwo zapewne stosować się do przepisów wyznania własnego, jak i do przepisów moralności własnej, bo na każdy wypadek można sobie przygotować nowy dogmat i moral nowy!) O własnej religii tak powiedział:

Im Innern ist ein Universum auch;
Daher der Völker löblicher Gebrauch,
Dass Jeglicher das Beste was er kennt
Er Gott, ja seinen Gott benennt.

„We wnętrzu naszym jest także świat oddzielny; ztąd

chwalebny zwyczaj ludzi nazywać to Bogiem, co tylko uznają najlepszego w sobie.“ (Ale wracając do Goethego, Szleiermachersa i im podobnych, co oni wyrobili w rzeczy wiary, coby było lepszym, mędrszym, stalszym od dogmatu objawienia? Jeżeli z niego nie skorzystali, wymyślili zawsze jakąś niedorzeczność i tylko, co tym jest niedoleźniejszym jeszcze, że każdy z tych panów tak z wysoka sobie poczynał! Po co wreszcie ta tkanina pajęczą, co się rwie i naprawia ustawicznie, a nigdy nie jest ona lepszą ani mocniejszą!) „Wierzę w Boga — powiedział Goethe — jest piękne i chwalebne wyrażenie; ale *znać* Boga we wszystkich jego objawach, *to* jest zapewne rzetelną świętością na ziemi.“ Objawiał siebie za protestanta w najgłębszym znaczeniu tego wyrazu i jako protestant uważał się swobodnym od wszelkiego wpływu dogmatu przepisanego, oraz czuł się w prawie rozwijania się samodzielnego w rzeczy religii. Co do rzetelności Pisma, utrzymywał z nowymi spirytualistami, że to jest tylko rzetelnym, co jest rzetelnie wybornym, co stoi w zupełnej zgodzie z najczystszym umysłem przyrodzeniem, co tu jeszcze prowadzi nas do najwyższego rozwoju duchowego. Czterech Ewangelistów miał za rzetelnych „jest bowiem w nich odbicie wielkości, wypływającej z osoby Jezusa Chrystusa, wielkości będącej tak bożką, jaka tylko kiedykolwiek (?) widzianą była na ziemi. Jeśli mię kto zapyta, azali jest to w przyrodzeniu mojem oddać Mu cześć należną — mówię na to: bezwątpienia! Uginam przed Nim kolana, jako przed objawieniem boskiem moralności najwyższej! Jeżeli mię kto zapyta: czy jest to w przyrodzeniu mojem czcić słońce, mówię znowu: bezwątpienia! jest ono równie objawem istoty najwyższej! (!!!) Czczę w niem światło i siłę płodną (produkcyjną) bożą, przez którą wszyscy żyjemy, ruszamy się i byt mamy.
Niech oświata umysłowa idzie naprzód, niech nauka postępuje, zyskując coraz więcej głębi i szerokości, niech umysł ludzki rozszerza się jak tylko może, zawsze przecież nie wzniosą się one wyżej nad ukształcenie moralne

chrystyanizmu, jakie jaśnieje u Ewangelistów. Sektarstwo protestanckie ustanie z czasem, a z niem nienawiść pomiędzy ojcem i synem, siostrą a bratem; bo jak skoro miłość rzetelna Chrystusa zostanie pojętą w jej przyrodzeniu rzetelném i stanie się ona pierwiastkiem żywym, natychmiast uczujemy się wielkimi i swobodnemi, jako istoty ludzkie, i niebędziemy już przykładać wielkiej wagi do zewnętrznych kształtów wyznania. Oprócz tego, coraz więcej będziemy postępować do chrystyanizmu w słowach i wierze, do chrystyanizmu w uczuciach i czynie.“ Miał już ośmdziesiąt dwa lata, kiedy powiedział był to Eckermannowi. Dziesięć lat przedtém pisał był do swojej stariej przyjaciółki hrabiny von Sztolberg: „przez całe życie moje postępowałem uczciwie z sobą i z innymi; we wszystkich dążeniach moich ziemskich pamiętałem zawsze na Najwyższego. Pani sama i jej rodzina tą samą postępowała drogą. Idźmyż nią dalej, dopóki nam stanie życia naszego; dla innych inne słońce świecić będzie; pod tém słońcem będą oni pracować, wtedy kiedy dla nas jaśniejsze od słonecznego światła świecić będzie. Nietroszczymyż się o przyszłość! W królestwie Ojca naszego dość jest prowincyj i tak jak On przeznaczył nam tu na ziemi przyjemny wypoczynek, to zapewne i tam nas nie opuści; może tam ucieszymy się tém, co nam tu było odmówioném, to jest z poznania się wzajemnego od jednego spójrzenia, a przez to pokochania się jeszcze mocniej, niż kochaliśmy się na ziemi.“

Dwa są poglądy, pod któremi możemy zapatrywać się na religię: najprzód pogląd boski, a powtóre pogląd ludzki. Pierwszy stanowi *Theozofię*, drugi *Etykę*. Theozofia Goethego była theozofią Spinozy⁵²⁾, zmieniona nieco jego własnymi dążnościami poetyckimi; nie był to już pantheizm geometryczny, ale poetyczne wszechbóstwo. Wedle pojęć jego świat cały wydawał się boskim, nie masą bezżywną, ale żywym objawem energii boskiej, płynącej ustawicznie

⁵²⁾ Otóż to ten, co chciał był wszystko sam z siebie wyciągnąć o Bogu, przyjął naukę Spinozy, odrzucając naukę kościoła, wyprobowaną w ogniu doświadczenia, w ogniu XIX wieków!

(Przyp. tłóm.)

czynem. Paweł święty powiada że Bóg żyje we wszystkim, a wszystko żyje w Bogu. (Ale nie idzie za tém, aby Bóg nie żył oprócz tego sam w sobie jako istota osobista, samodzielna, duchowa, niezależna od stworzenia, będąca przedewszystkiem, tworząca wszystko czynem woli swojej, mogąca takóŜ czynem tym obrócić wszystko w nicość i żyć w sobie, we trzech osobach Trójcy przenaświętszej.) Nauka oświadcza nam takóŜ, że świat ustawicznie *staje się*. Stworzenie jest w kaŜdym momencie. Świat nie został stworzony raz i na zawsze jako rzecz dokonana, a potóm juŜ nic nie pozostawało Stwórcy jak tylko patrzeć nań spokojnie załoŜywszy ręce. (Któż tak myśli!?) Świat powstał i powstaje ustawicznie. (Bóg stworzył świat i podtrzymuje go; gdyby Stwórca świata na chwilkę jedną usunął się mocą swoją z obszarów niezmiernych stworzenia, gdyby Opatrzność boŜa przestała czuwać nad niemi, wszystko od razu obróciłoby się w nicość. Jest to nauka katolicka; nie masz tu wcale nic nowego; wszystko to jest w katechizmie. Mędracy fałszywi jak dzieci wojują z urojeniami własnemi.) Energia pierwotna życia równie jest świeŜą i potężną dziś jak w początkach; wiecznie objawia się ona w kształtach tysiącznych, postępując wyŜej i coraz wyŜej.

Religia Goethego była nadzwyczaj konkretną, (!!?) a oddaną czci rzetelności (*devout in its worship of realities*). PoboŜność jego była naboŜeństwem prawdy (??). Wierzył on w fakt widomy (któż juŜ w niego nie wierzy?); myślał on, że to co rzetelne, jest świętszém, wziętém będąc same w sobie, niŜ wymysł mógłby je tém uczynić. Przyrodzenie ludzkie było dlań świętym faktem, a ciało ludzkie świątynią świętości. Jest to myśl helénska, ale widném tu jest takóŜ powinowactwo ze Spinozą. (Myśl ta byłaby rzetelną, o tyle jednakże jest fałszywą, o ile jest niepełną, o ile zeszpeciła się duchem naturalizmu Spinozy. Chrześcianizm naucza takóŜ że stworzenie jest świętém, bo jest utworem rąk boŜych; że człowiek jest obrazem boŜym, a ciało jego jest kościołem ducha. Są to rzeczy stare jak świat i rzetelne jak świat. Tylko jest tu jeszcze strona

odwrotna, a strona główna, najważniejsza, bo od niej to właśnie zależy wyrozumienie prawdy całej. Stworzenie jest świętém, ale nie jest ono Bogiem, tylko jego stworzeniem; świeci w niem myśl Stworzyciela, ale jak szata ono zwierzcje, skoro tylko ręka boża usunie się od niego. Człowiek jest obrazem bożym, ale obraz ten jest w nim skażony upadkiem, grzechem pierworodnym; upadek ten skaził był nawet przyrodzenie całe; ciało jest kościołem ducha, ale nie ciało a duch jest tu główną rzeczą, jest ono tylko narzędziem jego. Kto lubuje sobie w ciele, poniża przez to ducha, jak kto lubuje wyłącznie w stworzeniu, poniża Boga, a najwięcej upada sam, bo się trzyma tylko materji i cielesności. Jakież może być poniżenie większe, jak nędzny idiotyzm wyznać to co Lewes mówi *np.* o wierze Goethego, że „wierzył w fakt widomy!“ Cóż za ślepotą ducha osobliwsza, co tylko wierzy w to, co namacać palcem może!!! Czy to się ma nazywać światłem?) Spinoza nie sympatyzował z tymi filozofami, co ośmiewają albo obrzydzą przyrodzenie ludzkie; wedle niego lepiej było starać się je pierwój zrozumieć. (Chrześcianizm tylko rozumie najlepiej rzetelne przyrodzenie człowieka pokazując nam razem jego jasną i ciemną stronę.) Spinoza gardząc hałasami tych wszystkich, co brali wzruszenia i czynności ludzkie za chaotyczne i niedorzeczne, rozbierał je, zastanawiał się nad własnościami ich tak, jak gdyby one były figurą matematyczną. Innemi słowy, poszukiwał on bez namiętności wszelkiej, rozumował bez pośpiesznych wniosków, badał fakta w tym porządku w jakim one mu się ukazywały i dawał na nie odpowiedzi jasne a proste. To samo czynił Goethe. Przedewszystkiém usiłował zrozumieć fakt, bo (w jego oczach) czyn był objawem bóstwa. Mistyczne przemiany narodzenia się i śmierci, wpływy rozkoszne rozwierającego się życia i stopniowego rozwinięcia, dążenia niespokojne i spoczynek pogodny, „wiecznie szumiące fale czasu, wyprzedzające z istoty bożej swoje kształty nadobne“ — były dla niego świeżo wymówioném słowem bożém. Podobne pojęcie wyraził był

Wordsworth w wielu miejscach, nigdzie jednakże nie wyraził on lepiej tej myśli jak w tych ot kilku wierszach poezji Opactwo Tynterskie:

And I have felt
A presence that disturbs me with the joy
Of elevated thoughts; a sense sublime
Of something far more deeply interfused,
Whose dwelling is the light of setting suns,
And the round ocean and the living air,
And the blue sky and in the mind of man:
A motion and a spirit that impels
All thinking things, all objects of all thought
And rolls through all things.

System moralny Goethego ściśle był połączonym z jego Theozofią. Religia jego była ubóstwieniem przyrodzenia, moralność zaś była uidealizowaniem ludzkości. Istota ludzka była w jego oczach najwyższem objawieniem bóstwa na ziemi, a najwyższe objawienie ludzkości było ideałem do którego zdążała moralność wszelka. Najprzód powinniśmy się nauczyć wyrzeczenia się (renuncyacji), winniśmy się nauczyć ograniczać się jak tylko być może; w pierwszym przymocie leży zaród poświęcenia się, w drugim człowiek zapomina o sobie dla innych. Rzetelna pobożność wypływa z miłości ludzkiej. „Jeżeli niektóre zjawiska przyrodzenia, rozpatrywane ze stanowiska moralnego, naprowadzają nas na przyjęcie zła pierwotnego, to z drugiej strony, wiele innych zjawisk dają nam przeczuć Dobra pierwotne. To źródło dobroci, jeżeli wytrysnie w życiu, zwiemy pobożnością (pietas); tak postępowali starożytni, uważając ją za podstawę cnoty. Jest to moc, przeważająca samolubstwo; gdyby, cudem jakim, pobożność mogła nagle zakwitnąć we wszystkich i objawić się czynem, ziemia od razu oswobodziłaby się ode zła wszelkiego.“

Nie trudnem by wcale było zadaniem wybrać z dzieł Goethego (mówi Lewes) szereg zdań moralnych najszlachetniejszego charakteru; rzetelnie bowiem dzieła jego nasiąkłe są taką moralnością, że ta przemawia do każdego serca nieuprzedzonego; nawet widocznym w nich jest brak

odwrotna, a strona główna, najważniejsza, bo od niej to właśnie zależy wyrozumienie prawdy całej. Stworzenie jest świętym, ale nie jest ono Bogiem, tylko jego stworzeniem; świeci w nim myśl Stworzyciela, ale jak szata ono zwietrzeje, skoro tylko ręka boża usunie się od niego. Człowiek jest obrazem bożym, ale obraz ten jest w nim skażony upadkiem, grzechem pierworodnym; upadek ten skażył był nawet przyrodzenie całej; ciało jest kościołem ducha, ale nie ciało a duch jest tu główną rzeczą, jest ono tylko narzędziem jego. Kto lubuje sobie w ciele, poniża przez to ducha, jak kto lubuje wyłącznie w stworzeniu, poniża Boga, a najwięcej upada sam, bo się trzyma tylko materii i cielesności. Jakież może być poniżenie większe, jak nędzny idiotyzm wyznać to co Lewes mówi *np.* o wierze Goethego, że „wierzył w fakt widomy!“ Cóż za ślepotą ducha osobliwsza, co tylko wierzy w to, co namacać palcem może!!! Czy to się ma nazywać światłem?) Spinoza nie sympatyzował z tymi filozofami, co ośmiewają albo obrzydają przyrodzenie ludzkie; wedle niego lepiej było starać się je pierwój zrozumieć. (Chrześcianizm tylko rozumie najlepiej rzetelne przyrodzenie człowieka pokazując nam razem jego jasną i ciemną stronę.) Spinoza gardząc hałasami tych wszystkich, co brali wzruszenia i czynności ludzkie za chaotyczne i niedorzeczne, rozbierał je, zastanawiał się nad własnościami ich tak, jak gdyby one były figurą matematyczną. Innemi słowy, poszukiwał on bez namiętności wszelkiej, rozumował bez pośpiesznych wniosków, badał fakta w tym porządku w jakim one mu się ukazywały i dawał na nie odpowiedzi jasne a proste. To samo czynił Goethe. Przedewszystkiem usiłował zrozumieć fakt, bo (w jego oczach) czyn był objawem bóstwa. Mistyczne przemiany narodzenia się i śmierci, wpływy rozkoszne rozwierającego się życia i stopniowego rozwinięcia, dążenia niespokojne i spoczynek pogodny, „wiecznie szumiące fale czasu, wyprzedzające z istoty bożej swoje kształty nadobne“ — były dla niego świeżo wymówioném słowem bożem. Podobne pojęcie wyraził był

Wordsworth w wielu miejscach, nigdzie jednakże nie wyraził on lepiej tej myśli jak w tych ot kilku wierszach poezji Opactwo Tynternskie:

And I have felt
A presence that disturbs me with the joy
Of elevated thoughts; a sense sublime
Of something far more deeply interfused,
Whose dwelling is the light of setting suns,
And the round ocean and the living air,
And the blue sky and in the mind of man:
A motion and a spirit that impels
All thinking things, all objects of all thought
And rolls through all things.

System moralny Goethego ściśle był połączonym z jego Theozofią. Religia jego była ubóstwieniem przyrodzenia, moralność zaś była uidealizowaniem ludzkości. Istota ludzka była w jego oczach najwyższem objawieniem bóstwa na ziemi, a najwyższe objawienie ludzkości było ideałem do którego zdążała moralność wszelka. Najprzód powinniśmy się nauczyć wyrzeczenia się (renuncyacyi), winniśmy się nauczyć ograniczać się jak tylko być może; w pierwszym przymocie leży zaród poświęcenia się, w drugim człowiek zapomina o sobie dla innych. Rzetelna pobożność wypływa z miłości ludzkiej. „Jeżeli niektóre zjawiska przyrodzenia, rozpatrywane ze stanowiska moralnego, naprowadzają nas na przyjęcie zła pierwotnego, to z drugiej strony, wiele innych zjawisk dają nam przeczuć Dobro pierwotne. To źródło dobroci, jeżeli wytryśnie w życiu, zwiemy pobożnością (pietas); tak postępowali starożytni, uważając ją za podstawę cnoty. Jest to moc, przeważająca samolubstwo; gdyby, cudem jakim, pobożność mogła nagle zakwitnąć we wszystkich i objawić się czynem, ziemia od razu oswobodziłaby się ode zła wszelkiego.“

Nie trudném by wcale było zadaniem wybrać z dzieł Goethego (mówi Lewes) szereg zdań moralnych najsłabszego charakteru; rzetelnie bowiem dzieła jego nasiąkłe są taką moralnością, że ta przemawia do każdego serca nieuprzedzonego; nawet widocznym w nich jest brak

wszelkich drobnych, samolubnych, ciasnych sposobów widzenia. Krzyczano czasem na niemoralność dzieł Goethego; ale krzyki te wypływały z braku miłości bliźniego; krzyczano na niego skoro tylko nie znajdowano w dziełach jego zasad moralnych do własnego wyznania swego należących. Jeżeli kto przeczyta dzieła Goethego i nie uczuje w nich ducha najszlachetniejszych zasad, któremi pierwszą była przejęta, ten widać nie jest zdolnym pojąć ich. W Berlinie słyszałem o wyborném zdarzeniu. Raz u stołu słyszał był Carlyle jak tu obgadywano poetę z powodu tego braku w nim wiary. Długo słuchał on tych nudnych plotek dość spokojnie, ale niecierpliwiły go one okropnie; nareszcie podczas kiedy niektóre dusze pobożne wznosiły w górę oczy, ubolewając że taki geniusz nie poświęcił był sił swoich sprawie chrystyanizmu, a tak mało uczynił i t. d., zaczął miąć w rękę serwetę, a naostatek powiedział spokojnie: „Moi Panowie! nie słyszeliście nigdy historyi o człowieku, co gardził słońcem dla tego, że to nie chciało zapalić mu cygara?“ To słowo jedno zatuliło całkiem usta tym nieprzyjaciołom Goethego.

O coby go nie oskarżono, nigdy przecież nie zarzucano mu tego, żeby nie starał się ustawicznie dojść do zupełnego rozwinięcia swojej własnej istoty i dopomódz rozwinięciu oświaty narodu swego. Jest coś rzetelnie wspaniałego w obrazie ostatnich lat poety; tak był spokojnym, a razem tak czynnym! Wszelkie odkrycie w nauce, wszelka nowa strona w piśmiennictwie, wszelkie nowe widoki w sztuce znajdowały w nim tak żywe zajęcie jakby w dziecku chciwém wiedzy, a zawsze był gotów zachęcić i dopomódz w tych dążeniach.

Starość jest to wyraz względny bardzo. Goethe w latach siedmdziesięciu był młodszym niż wielu ludzi w piędziesięciu; w osmdziesiątym drugim roku życia, napisał on przegląd naukowy owęj wielkiej sprzeczki toczącej się pomiędzy Cuvier'em a Geoffroy St. Hilaire'em, w przedmiocie filozofii zoologii, przegląd taki, jakiego zapewne nie potrafiłoby napisać wielu w wieku młodym. Wielu jest jednakże

fizyologów, co przeczą temu aby wiek 70letni był wiekiem późnym bardzo. Flourens naprzykład utrzymuje, że od 55 do 70 roku wieku człowiek jest w najwyższym okresie wieku męskiego; Reveillé Parise w dziele swoim „o starości“ oświadcza, że pomiędzy 55 a 75 rokiem życia, a czasem nawet dalej, dusza rozwija się jeszcze i nabiera mocy osobliwej — „c'est véritablement l'homme ayant atteint toute la hauteur de ses facultés.“⁵³⁾

Dzieje nauki, równie jak i dzieje piśmiennictwa, dostarczają nam wiele uderzających przykładów działalności umysłowej w wieku późniejszym, działalność ta bowiem niezawodnie musi być przyczyną téj mocy umysłu. Sofokles, mówią, napisał jedno z arcydzieł swoich w 80 roku życia i podaje nam także przykład wielkiej władzy poetyckiej w tak późnych latach. Siły refleksyjne także nieraz przedłużają się długo w ludziach, a powiększenie zasobów umysłowych zdaje się je wzmacniać; ale z siłami twórczymi nie tak się dzieje. Przecież u Goethego widzimy osobliwszą płodność, nawet w najpóźniejszym wieku jego; druga część Fausta została dokonana w jego 81 roku życia; a „Zachodnio-wschodni Dywan“ został napisanym w sześćdziesiątym piątym roku wieku poety; jakkolwiek nie możemy wcale uważać utwory te starości Goethego za równe dziełom jego z okresu wieku młodego, przecież musimy uważać je za poezye piękne wydane o zachodzie żywota wieszczka wielkiego.

„Dywan zachodnio-wschodni“ był dla Goethego ucieczką przed zaburzeniami czasów napoleońskich. Zamiast frasowania się polityką Europy, rozrywał się badaniem poezyi i dziejów Wschodu. Zaczął był nawet uczyć się języków wschodnich, a jak dziecko cieszył się z tego, że mógł być przepisywać rękopisma arabskie, charakterem im wła-

⁵³⁾ Parchape anatom i frenolog sprawdził trzystu czaszkami przynajmniej i głowami ludzi żywych, że objętość mózgu wzrasta codzienie aż do 62 roku wieku; Lordat zaś, professor w Montpellier, dowiódł téj rzeczy samym sobą, teorią i praktyką, teorią wyłożoną jeszcze w młodości, praktyką zaś w taki sposób, że będąc przeszło 70letnim starcem, pełni obowiązki profesora.

ściwym. Von Hammer, de Sacy i inni orientaliści podali mu byli dostateczne zasoby; działalność poetycka właściwa jemu, wkrótce nadała im kształt piękny. Ale w czasie kiedy nakładał na siebie zawój i oblekał się w kaftan, duchem pozostał zawsze rzetelnie niemieckim poetą. Palił opium, pił *fukah*, ale marzenia jego były niemieckie i pieśni jego dźwięczały nutą rodzimą. To właśnie stanowi cechę Dywanu, jest on *zachodnio-wschodni*; obrazy są wschodnie, ale uczucia trzymają się zachodu. Tak samo jak w — „*Elegiach rzymskich*“ rzucił się był w przepaść klasyczną, odtwarzając kształty jej z nieporównaną łatwością i czarem przedziwnym, nigdy przecież na chwilę jedną nie przestając być oryginalnym, nie przestając być Niemcem. Tu tak samo; idzie on za karawaną w jej powolnym pochodzie przez pustynie piaszczyste: przysłuchuje się on tremelom melancholicznym *bulbul'a* (słowika), śpiewającego na wybrzeżach źródeł połyskujących na słońcu; słucha on pobożnie przepisów koranu i rozkoszuje w harmonii wierszy Hafisa. Kombinacja jest bardzo szczęśliwa. (?) Wydała ona epokę w literaturze niemieckiej. Lirycy, wedle Gerwinus'a, idąc nagle za przykładem jego, od razu zaniechali swoich pieśni marsowych, a poczęli nucić tęskne piosenki wschodu. Rückert i Platen, idąc śladami Hafisa germańskiego, bładzili w gajach różanych; inni poeci szczęśliwie naśladowali go takż. (Renegat Mickiewicza takż był naśladowaniem dążności Goethego.) Czyż nie wydaje się tu pewna dążność, tkwiąca w charakterze Niemców, odwracania się od życia czynnego polityki, kiedy widzimy to samo w dwóch epokach dziejowych: w czasie wojen krzyżowych i w czasie boju o niepodległość Niemiec, widzimy poetów Germanii uciekających od zaburzeń czasów swoich, aby wyszukać sobie natchnienia w ideach całkiem przeciwnych charakterowi współczesnego im okresu? Minne-Singery, przy szczęku mieczów krzyżowych, umieli tylko śpiewać o miłości i zabawach; poeci nowocześni podczas zaburzeń europejskich czerpali natchnienie albo w romantyczności średniowiecznej, albo w orientalizmie! Należy

koniecznie zanotować fakt ten, aby pokazać, że niesłusznie napadano na Goethego z powodu zwrotu jego ku wschodowi; zdaje się, że możnaby było wybaczyć to staremu poecie, skoro młodzi odbierali z tego powodu oklaski?

Wschodnio-zachodni Dywan jest podzielonym na ksiąg dwanaście; tytuły ich są takie: Pieśniarz, Hafis, Miłość, Zadumanie, Smutek, Przypowieści, Tymur, Sulejka, Winiarnia, Parabole, Persowie i Raj; rozmaitym jest w treści, ma rozmaite także przymioty. Możliwe byłoby do samego Goethego przystosować (epigraf) napis ów, jaki on położył nad księgą Hafisa: słowo jest oblubienicą, a duch jest oblubieńcem; kto poznał dzieła Hafisa, widział ich połączenie się wzajemne z sobą:

„Sey das Wort die Braut genannt,
Bräutigam der Geist;
Diese Hochzeit hat gekannt,
Wer Hafisen preist.“

Wiele włożył tu poeta ze swego własnego doświadczenia, trudno jest zapewne oznaczyć, ale w jednym razie, w księdze *Sulejka*, położył on imię Hatema, tam, gdzie rym ukazuje wyraźnie, że należałoby czytać Goethe:

„Du beschämst wie Morgenröthe
Jener Gipfel ernste Wand,
Und noch einmal fühlet *Hatem*
Frühlingshauch und Sommerbrand.“

„Płoniesz wstydem jak rumieni jutrzienka ów wierzchołek góry; i jeszcze raz czuje Hatem tchnienie wiosny i skwar lata.“

Wdzięk z jakim wycieniowane są niektóre poemata jest osobliwszy; przebija tu mądrość wytrawna, uśmiechająca się w głębi poezji spokojnie, a pogodnie jak mądrość mędrców starożytności. Spokój, upał, cisza południa, mięszają się tu wesoło z conceptami winiarni; tego wszystkiego niepodobna jest oddać w przekładzie, nie myślimy nawet pokusić się o to. Ale dla tych co rozumieją język niemiecki podajemy tu niektóre ustępy „*Dywanu*“ w oryginale:

Trunken müssen wir alle seyn!
Jugend ist Trunkenheit ohne Wein:
Trinkt sich das Alter wieder zu Jugend
So ist es wundervolle Tugend.
Für Sorgen sorgt das liebe Leben
Und Sorgenbrecher sind die Reben.

Do poematów tych został dodany tomik cały dopisków historycznych, dowodzących sumiennych studyów Goethego nad Wschodem, ale dowodzących razem, do jakiego stopnia Goethe niższym był w prozie niż w poezji. Wiek daje się tu spostrzegać na każdej karcie.

W pierwszych rozdziałach autobiografii wystawił obraz Frankfurtu, obraz weale pochlebny dla mieszkańców miasta tego; kiedy zaś w roku 1814 przejeżdżał przez rodzinny gród swój, został przyjętym w nim z owacyami, przypominającemi ostatnie nawiedziny Woltera w Paryżu.

Odegrano w teatrze Tassa z wielką bardzo pompą. Jak tylko poeta ukazał się w łoży, przygotowanój dla niego, przybranój kwieciami i uwienconój laurem, dała się słyszeć symfonia Haydna, a cały parter powstał z okrzykiem entuzjazmu. Symfonia odgrywała się dalej—ale zagłuszały ją okrzyki ludu. Nareszcie podniosła się zasłona i stopniowo cisza zaległa teatr cały. *Prolog* powitał poetę wielkiego, co stało się hasłem nowych okrzyków. Po wystawieniu Tassa nastąpił *Epilog*, w czasie którego wience z popiersi Aryosta i Tassa zostały zdjęte i ofiarowane Goethemu. Kiedy wszystko się skończyło, korytarze i wschody teatru zostały zalane wielbicielami poety; przechodził on pomiędzy tłumem uśmiechając się do niego i wynurzając spojrzeniem i wyrazem oblicza swoją wdzięczność i miłość dla współrodaków.

W roku 1816 począł był Goethe wydawać Dziennik, poświęcony sztuce, p. t. *Kunst i starożytność* (Kunst und Alterthum); trwał on do roku 1828. Jest to osobliwszy a ciekawy bardzo pomnik czynności i poszukiwań starca. Ciekawą jest przytém rzeczą zmiana, zaszła w tym okresie w ideach jęgo. Widział on stosunek swój do szkoły romantycznój, a razem postrzegał to jak dążności przyro-

dzenia jego i wychowania przyprowadziły go były do postawienia naprzeciw tej szkoły cechy sztuki greckiej. *Propileje* wyrażają właśnie tę dążność grecką; zaś *Kunst i starożytność* są już objawem pewnej skłonności ku romantykom. Sztuka gotycka, starzy malarze szkoły niemieckiej i niderlandzkiej nie wydawały mu się już nagannymi; ale odkrycie marmurów elginowskich jeszcze raz obudziło było w nim entuzjazm dawny do tej doskonałości formy, jaka była ideałem sztuki starożytnego. Słyszałem od Raucha, snycerza, który opowiadał to bardzo humorystycznie, jak Goethe gniewał się zabawnie, kiedy snycerz Ritschl zdawał się mu popadać w niebezpieczeństwo zepsucia talentu swego, wykonywając rysunki w duchu szkoły romantycznej.

Jakkolwiek przecież silną była opozycja, jaką objawiał dla waleśań się samopas tak nazwanej szkoły chrześcijańskiej, zanadto było w nim ducha faustowego, by mógł on całkowicie oderwać się od romantyków. W wieku późnym, skłonność do podstawienia w miejscu natchnienia rozmyślenia (refleksyi), coraz więcej wzrastała w Goethem; chętka dawna do mistyfikacyi zaczęła przybierać teraz powierzchowność poważną oszukując równie może samego poetę jak i czytelników jego. Naród niemiecki lubił był wyszukiwać głębokiego sensu w miejscach, które najpewniej Goethe napisał był bez wszelkiej myśli ukrytej; postrzegłszy że stał się, nad własne spodziewanie swoje, prorokiem, podczas kiedy chciał był tylko być, po staremu, poetą, stopniowo zaczął był wpadać w tę polapkę i na serio chciał potem przybierać na się postać proroczą, w czasie kiedy niepodobna mu było być nadal tak wielkim poetą, jakim był przed tém. Wszelki szczegół stawał się typowym; wszelki frazes miał osobliwszą ważność. Jeżeli lew ryczał o pewnej porze (w Nowelli), albo milczał, stawało się to zaraz powodem do nieskończonych tłumaczeń. „*Lata wędrówki*.“ (Wanderjahre) Wilhelm Mejsra stały się były wielkim arsenałem symboli; drugim takim arsenałem była wtóra część Fausta. Cieszył się on z tego, kiedy widział jak krytycy filozoficzni prze-

ścigali jeden drugiego w domysłach na niczem nie opartych, kaźden z nich usiłując wyjaśnić sens Fausta albo Wilhelma Mejstra; bardzo chytrze nie chciał on sam dopomódz, w téj mierze, kaźdemu z nich. Patrzał on jak natłaczano ksiąźnice rozprawami temi nad zagadnieniem, co mianowicie rozumiał był poeta pod tém, lub pod owém; nikt nie skusił był do tego twórce samego owych poematów mystycznych, kaźdego głos móglby był stanowczo przeciąć wszelkie sprzeczki. Owszem zamiast tego, gotów był, zdaje się, dostarczać zapaśnikom coraz więcej żywności do ich sporów. Jedném słowem mystyfikował świat, ale czynił to w sposób powaźny, bez świadomości moźe tego, z pewną wiarą w swoją własną mystyfikację.

W 1816 roku księztwo sasko-wejmarskie zostało wyniesioném do godności wielkiego księztwa; Goethe otrzymał w tym czasie order Sokoła z podniesieniem płacy, wynoszącej teraz do 3000 talarów, oprócz dodatków nadzwyczajnych na kancelaryę. Dwa inne wypadki zaszły w tym roku. Lotchen, owa Lotchen Werther'a, teraz wdowa, w 60 roku życia swego, a matka dwanaściorga dzieć, odwiedziła go w Wejmarze. Nie widzieli się byli z sobą od jęj zamążpójścia, cóź to musiała być za radość dla nich obojga! Jaka mięszanina dziwna uczuć, sięgających młodości pierwszej i, z drugiej strony, podziwienia, znajdując się wzajemnie zmienionymi tak bardzo! Mówiono mi, że Lotchen, nie zważając na swoje włosy siwizną okryte, przybrała się w suknię białą, usiłując być kokietującą i powabną; ale stary Jowisz nie był usposobionym do tego sentymentalizmu wspomnień dawnęj miłości i nie myślał ustroić się, po staremu, we frak granatowy i bóty ze sztylpami, jakie nosił w epoce werterowskiej.

Drugim, więcej ciekawym wypadkiem roku tego jest skon żony poety naszego. Wielu uważało to za szczęśliwe wybawienie dla Goethego z pod ucisku ciężkiego brzemienia; są ludzie, co tak lubią urządzać żywot cudzy na swój sposób własny i tłómaczyć troski obce, bez względu na uczucia serca strapionego. Jakkolwiek bądź ciężki to

był raz do przeniesienia. Ta, co od lat dwudziestu ośmiu kochała go i czuwała nad nim, ta, co, pomimo wad swoich, była dla niego tém, czém żadna dla niego nie była kobieta, nie mogła być odjętą mu bez tego, aby nie uczuł on dotkliwie téj próżni w domu swoim i w życiu. Wyraził był te uczucia w dwóch miejscach tylko; w wierszach wybornych, napisanych w dzień (!) śmierci towarzyski swojej i w liście do Zelter'a. Oto są te wiersze:

Du versuchst, o Sonne, vergebens,
Durch die düstern Wolken zu scheinen!
Der ganze Gewinn meines Lebens
Ist, ihren Verlust zu beweinen.

(Darmo, słońce, darmo chcesz przebieć się przez obłoki posępne! Ach dla mnie nic już nie pozostało w życiu, jak tylko oplakiwać jéj stratę niepowrotną).

Do Zeltera tak pisał: „Kiedy mówię tobie, tobie doświadczonemu nie jedną troską żywota, że moja żonka wierna opuściła mię na zawsze, wiem, że ty zrozumiesz mię dobrze, co to znaczy.“

Starał się znaleźć pociechę w nauce; osamotnienie domu jego w roku następnym zaludniło się i rozjaśniło ożenieniem syna jego z Otylią von Pogwisch, jedną z najweselszych i najświetniejszych piękności Wejmaru. Zawsze była ukochaną w sercu swego teścia i przez cały bieg reszty życia jego nie tylko że zajmowała się domem jego i przyjmowała licznych jego gości, ale jeszcze była osobliwszą pieczęcią, której wszystko było dozwoloném. W następnym roku śpiewał on piosenkę nad kolebką pierwszego wnuka swego.

Jego obowiązki ministeryalne nie były wcale ciężkimi, ale zawsze spełniał je Goethe ściśle. W tym względzie mamy dwie anegdoty, pokazujące jego rozkazujący i stanowczy charakter w mocném świetle. Długo pracował nad podniesieniem uniwersytetu Jeny; biblioteka, jak mówił Eckermannowi, była ciasna i wilgotna i nie odpowiadała wcale celowi pomieszczenia w sobie skarbów umysłowych w sposób należyty, osobliwie, kiedy przez nabywanie księgo-

zbioru Büttner'a przez wielkiego księcia, dodano do massy książek poprzedniczej 13,000 tomów, które leżały w kuppach na podłodze, dla tego, że brakło dostatecznego miejsca, aby je umieścić przyzwoicie. Byłem zakłopotany tém niepomału; potrzeba było przybudować do dawniej bibliotecznej sali jeszcze drugą salę, ale brakło na to fundusów. Jednakże można było obejść się bez tego kosztu, obok bowiem biblioteki była izba duża a próżna, właśnie jakby naumyślnie wymiarkowana do pomieszczenia przyczynionej massy ksiąg. Ale izba ta nie należała do biblioteki, ale składała lokal fakultetu medycznego, który czasami zgromadzał się w niej dla konferencyj swoich. Udałem się do pp. medyków z bardzo grzeczną propozycją, aby ustąpili izby tej na rzecz biblioteki. Nie chcieli jednakże zgodzić się na to; oświadczyli, że chętnie na to przystaną skoro zostanie im wybudowana sala osobna dla odbywania w niej posiedzeń medycznych, i to natychmiast. Odpowiedziałem im, że gotów jestem wygotować im inny pokój dla ich posiedzeń, ale że nie mogę obiecywać im niezwłocznie wystawić nowy apartament. To nie zaspokoilo ich wcale, bo kiedy nazajutrz wymagałem od nich klucza od sali posiedzeń, odpowiedziano mi, że go nie mogą odszukać. Nie pozostawało więc nic innego jak tylko wejść do niej przemocą. Posłałem więc po mularza i kazałem wybić drzwi z biblioteki do sali posiedzeń; za ledwo, pod razami oskardów, wypadło kilka cegieł, aż przez otwór widać było kilka poważnych peruk, któremi przyozdobiona była izba. Dalej mój przyjacielu, dalej—wołałem na mularza, a ten wybił wkrótce w ścianie taki otwór, że ten mógł być być przerobionym na drzwi. Jak tylko wyłom został dokonany w murze, natychmiast do sali posiedzeń wpadło kilku sług bibliotecznych z księgami pod pachami, które rozłożyli na podłodze, jako znak zwycięstwa i objęcia posiadłości nowój. W momencie ławy, stoły i krzesła znikły, a ich miejsce zajęły półki; w kilka dni książki zostały ułożone na nich. Doktorowie weszli potem do swojej sali dawniej zwykłemi drzwiami i znaleźli w niej nie-

spodziane przemiany. Nie wiedzieli co mają powiedzieć na to, ale w milczeniu wrócili nazad; zachowali przecież ku mnie tajoną urazę. Kiedym opowiedział to w. księciu, uśmieł się szczerze z tego i zupełnie pochwalił mój postęppek. Potém kiedy z powodu wilgotnego pomieszczenia biblioteki potrzeba było ją przenieść, chciałem aby ją wynieść gdzie indziej; chciałem budować nowy lokal i dla tego potrzeba było rozwalić część muru miejskiego na nie nikomu nieprzydatnego. Ale i w tém nie szło mi lepiej. Wszelkie przełożenia moje, perswazye i dowody padały jak groch o ścianę; zmuszony byłem zdobyć sobie miejsce prawem podboju. Kiedy naczelnicy miejscy ujrzeli robotników, pracujących nad zburzeniem części muru starego, wysłali natychmiast deputacyę od siebie do w. księcia z pokorną prośbą, aby jego wysokość raczyła słowem swoim zgromić mój gwałt, dokonany nad starym murem miejskim. Ale w. książę, który tajemnie zgodził się był na mój postęppek, powiedział: „Nie mogę się wdawać w postępowanie Goethego; wie on dobrze co robi, niech więc czyni jak sam uważa najlepiej. Idźcie do niego i pogadajcie z nim sarni, jeżeli macie na to dosć odwagi.“

Drugą anegdotę opowiedział Luden. W 1823 roku sejm (Landtag) zebrał się i wymagał podania sobie rachunków. Goethe był wtedy na czele komisji nauk i sztuk pięknych; komisji tej dane było 11,787 talarów i z tych należało zdać rachunek przed sejmem. Goethe z początku nie zważał na te wymagania Landtagu i wyrażał się cierpkó z powodu podobnych żądań rachunków z tak małej summy. Ale w końcu musiał być posłać rachunek. Ale jakież było zdziwienie sejmu, kiedy przeczytał tych kilka wierszy: „odebrałem tyle; wydałem tyle; pozostaje tyle. *Podpisano*: Naczelnik Wielkooksiążęcój bezpośredniej komisji sztuk i nauk — *Goethe*.“ Na podobny sposób zdawania rachunków niektórzy z członków sejmu parsknęli śmiechem; inni byli oburzeni z tego i postanowili odmówić pieniędzy na rok następny, co tém jednomyślniej zostało przyjętém, że sejm miał wielkie idee ekonomiczne, a mało wcale pojęcia o sztuce

kach i nauce. Luden starał się przekonać członków Landtagu, że postąpią wcale niedorzecznie; zgadzał się, że sejm miał być prawo i powinien być wchodzić we wszelkie szczegóły wydatków, nie dla tego aby mogła wynikać z tego jaka wątpliwość co do użycia właściwego pieniędzy przeznaczonych na pożytek komisji, ale dla tego, że w sprawie publicznej konieczną jest rzeczą aby ogół mógł zarówno *widzieć* wszystko dowodnie, obok ufności, jaką pokłada w urzędnikach swoich. Odpowiedziano mu na to, że nie dość jeszcze było tego, że sejm odbierze rachunek z grosza każdego, wydanego w komisji, ale że potrzeba było jeszcze, aby sejm przekonał się o tém, że pieniądze zostały wydane na cel pożyteczny i rzetelnie pożądanym, niedopuszczając tu żadnego faworytyzmu, albo zbytku, ze stratą grosza publicznego. Chociaż posiedzenie sejmowe było zupełnie prywatne, przecież nie można było myśleć, aby sprzeczki te mogły pozostać tajemnicą i nie stały się przedmiotem gawędek salonowych. Goethe był tém oburzony. Oddawna nawykł był on do rządzenia absolutnego, więc podobny sposób sprawdzania uczynków jego przez sejm, wydawało się mu być bardzo poniżającą rzeczą. Jakkolwiek Goethe nie miał racji w tej rzeczy, przecież ani w. książę, ani w. księżna nie chcieli iść przeciwko niemu. Karol August mówił z marszałkiem sejmowym, okazując mu jak nieprzyzwoitą było rzeczą urażać Goethego; w. księżna posyłała po Ludena, który tak opisuje to widzenie się: „mówiła do mnie o tém z tą prostą godnością, która czyniła ją tak imponującą, nawet w stosunkach z Napoleonem zagniewanym. Było by to wielkiem złem, gdyby stosunki nasze przyjacielskie miały być zakłócone jakimkolwiek bądź nieporozumieniem. Było by to dla mnie tém boleśniej, że wiem żeby to martwiło w. księcia. Sejm bezsprzecznie ma za sobą rację wielką, ale też i radzca tajny Goethe niezawodnie myśli, że ma także za sobą rację słuszną. Nad prawami, albo po za prawami pisaniami jest jeszcze prawo inne — oto *prawo dla poetów i dla kobiet*. Sejm zapewne jest przekonany, że grosz publiczny

został był wydany przez Goethego rzetelnie na rzecz komisji. Zgadzasz się pan na to? Dobrze więc, pozostaje jeszcze tylko jedno zagadnienie, czy grosz ten został użytym właściwie, korzystnie dla kraju? Ale tu należy przypomnieć sobie położenie Goethego w stosunku do świata, do kraju naszego, do dworu, do wielkiego księcia przez tak długi lat przeciąg, i położenie to naturalnie bardzo musiało być wpłynąć na sposób zapatrywania się jego na interessa. Zdaje mi się, że jest to zupełnie zrozumiałą rzeczą, że zdaje się mu, że ma on pierwsze prawo niż ktokolwiek bądź inny stanowić o tém, sam przez się, co jest z dobrem dla komisji, na co ma on wydać grosz mu powierzony. Zapewne nie rozumiem ja dobrze tych rzeczy i dalekiem jest to odemnie, abym miała stanowić coś w tym względzie, chcę tylko, aby baczono na stosunki przyjacielskie i żeby stary radzca tajny nie miał najmniejszej z tego przykrości. Jak tego dokonać — niewiem; ale sejm powinien to jakoś załatwić. *Mamy tylko jednego Goethego, a kto wie jak długo zachowamy go jeszcze?* Drugiego takiego pewnie nie znajdziemy prędko.“

Czyż słowa te nie mają uroku niewieściego? Możemyż się dziwić temu, że Luden został podbitym niemi i że za powrotem jego sejm cały został przywiedziony do zgody? Opowiadając podobne anegdoty charakterystyczne, powinniśmy jeszcze zamieścić tu jedno, co, aczkolwiek mniej jest zajmującą, przecież krąży ona po Niemczech i Anglii, pod formą wcale niedorzeczną i obelżywą dla pamięci wielkiego poety. Kiedym słyszał ją po raz pierwszy, opowiadaną w kształcie faktu, na który można było przytoczyć dowody pewne, może sobie wystawić czytelnik jakie ona musiała być obudzić we mnie oburzenie, jak musiałem zaprzeczać rzetelności jój i jak usilnie musiałem domagać się tego, aby mi pokazano dowody, bo potrzeba było na to dowodów mocnych, aby uwierzyć temu, że Goethe *skradł był sztabę złota*. Przecież dowodu na to nie dano mi żadnego. Wkrótce zapomniałem całkiem o tém, aż posłyszałem znouu to samo i to w Wejmarze samym. Sta-

rając się dowiedzieć o tém dokładnie, oto co się okazało w gruncie tego zarzutu obelżywego.

Cesarz rosyjski przesłał był Döbereiner'owi, wielkiemu chemikowi niemieckiemu, sztabę platyny. Bryłę tę pożyczono Goethemu, który chciał się jęj przypatrzeć; pozwolono mu robić na nięj doświadczenia swoje, a potem poruczono mu przesłać ją Döbereiner'owi. Goethe, którego namiętność dla minerałów znaną jest powszechnie i co miał w tym względie „manię zbieraczy,“ położył sztabę tę platyny pomiędzy skarbami swemi i cieszył się wielce, patrząc na nią, jak ona leżała w zbiorach jego pomiędzy innemi minerałami, aż nareszcie tak się w nięj rozkochał że niechciał się z nią rozstać. Döbereiner, zniecierpliwiony, napisał do niego nareszcie, prosząc o odesłanie jęj. Ale nie odebrał na list swój żadnej odpowiedzi. Napisał powtórnie, ale również bezkorzystnie. Znajdował się tedy w bardzo podobnym położeniu, w jakim był professor Büttner, który pożyczwszy Goethemu przyrządki i inne narzędzia optyczne, pisał potem niejednokrotnie o nie, aż nareszcie zmuszonym był posłać do niego służącego z rozkazem stanowczym przynieść mu je koniecznie. Goethe odkładał tak samo od jutra do jutra odesłanie sztaby i niemógł się z nią rozstać; kiedy zniecierpliwiony chemik skarżył się o to przed w. księciem, Karol August śmiał się z tego i tak mu odpowiedział: At! zachciałeś! Dajże pokój staremu! Nie będziesz się ty widział z tą bryłą nigdy! Napiszę do Cesarza, prosząc go o drugą taką!

Można dodać do tego to jeszcze, że w okresie *genialnym* żywota swego, Goethe zabrał z kolekcji Knebla sto rycin Albrechta Dürer'a, aby się niemi nacieszyć w domu, i że tych rycin już nigdy potem Knebel nie oglądał w swojej osieroconej kolekcji. Wypadki te należą do kategorii bardzo częstego nadużycia, to jest do kategorii pożyczania i niezwracania na powrót właścicielowi pożyczonych książek, parasoli i pieniędzy nawet — nie są wcale chwalebne i nie myślę ich tu bronić wcale. Niech sobie czytelnik osądzi jak zechce ten brak sumiennosci.

ale nie mówmyż tego takż, że Goethe ukradł sztabę złota, albo platyny.

Goethe z Döbereiner'em śledził za wszelkimi nowemi zjawiskami chemii, jakie wtedy nauka ta wydobywała na jaw przed zdziwionym światem. On takż przygotował był do druku swoje własne pismo o morfologii; badał mythologię grecką, literaturę angielską i sztukę gotycką. O Manfredzie Bajrona napisał był w dzienniku swoim (Kunst und Alterthum); z entuzjazmem powitał tu on poetę wielkiego, uważając dzieła jego za największe w literaturze nowoczesnej. Czytywał takż Walter Scott'a z coraz więcéj wzrastającém podziwieniem. Homera studyował do ostatka z wielkiém ukontentowaniem; pod koniec żywota swego powrócił mu był osobowość jego, której był mu zaprzeczył Wolf. *Idee o Homerze* Szubert'a zwróciły były go ku wierze w byt rzetelny ślepego lirnika z wyspy skalistój Scio. Malarstwo, snycerstwo, architektura, geologia, meteorologia, anatomija, optyka, literatura wschodnia, angielska, Calderon i szkoła romantyczna we Francyi — zajmowały go w ostatnich latach długiego żywota. „Życie — powiada on — podobne jest do ksiąg sybillińskich; staje się ono tém droższém, im mniéj go nam pozostaje.“ Dla tego kto go umiał użyć tak korzystnie musiało ono być drogiém. Im stawał się starszym, tém uporniej pracował. Mało bywał w towarzystwach. Do dworu bardzo rzadko przyjeżdżał. Ale podczas kiedy on nie bywał u dworu, dwór u niego bywał. Raz na tydzień odwiedzała go wielka księżna, czasami przywożąc z sobą do Goethego jakiego gościa wysokiego, jak np. Cesarza rossyjskiego, wtedy jeszcze Wielkiego Księcia Mikołaja, albo króla württembergskiego. Zawsze było u niego coś ciekawego, jakby umyślnie przygotowanego na podobny wypadek; kochał i poważał wysoce W. Księżnę, cieszył się więc z tego, kiedy mógł być jéj pokazać coś zajmującego, bądź rycinę jaką, bądź medalion, bądź książkę piękną, bądź nareszcie poemat, albo jaką nowosć uczoną. Karol August odwiedzał go często, ale nie miał pewnych dni na to. Zwykł był po prostu

postępować do pracowni starego przyjaciela i gawędzić z nim tam jakby z bratem. Razu jednego, był u Goethego student z Jena; student ten postrzegł wchodzącego do gabinetu człowieka w podeszłym wieku, bez wszelkiego dołożenia się i zasiadającego spokojnie w krześle; student mówił dalej, a kiedy skończył, Goethe powiedział do niego spokojnie: „Ale muszę panów poznać z sobą: Jego Królewska Wysokość W. Książę Sasko-Wejmarski; Pan — student uniwersytetu jenajskiego.“ Nigdy poczciwy student nie zapomniał w życiu swoim tego pomieszczenia, jakiego był doświadczył wtedy, kiedy zabrał był znajomość z W. Księciem Wejmarskim!

Pierwsze wydanie „Wędrowek Wilhelma Mejsra“ przypada (1821) w tym okresie; powiemy więc tu cokolwiek o tém dziele.

Są tu karty godne talentu Goethego; nie mogą jednak dzieła całego uważać za co innego jak tylko za zbiór szkiców i studyów, często nawet bardzo niepełnych, a nieraz nawet niewartych wykończenia. Dzieło to ma pełno nierówności; raz jest wybornie obrobione, drugi raz razi niedbalstwem *Historja człowieka pięćdziesięcioletniego* np. ma niektóre miejsca wyborne. „*Nowa Meluzyna*“ jest powieścią czarującą; ale wiele z tego, co się uważa za rzecz symboliczną w dziele tém, wydaje mi się być tylko fantastycznym. Jako kompozycya jest to wcale słabe dzieło, niedbałe aż do obrazu czytelnika. Nie tylko że wiele historyjek wpakowano tu siłą, mocą, ale sam ich układ zdradza w nich rękę bardzo młodocianą; do tegoż są to powiastki nudne, nie raz wcale prozaične; jedna (*Nicht zu weit*) „*Nie daleko*“ rozpoczyna się ze znakomitą werwą, ale pozostaje niedokończoną w dziele, tak jak była niedokończoną w tece autorskiej. Przynętem nie wyszła tu jako urywek, owszem obiecuje się tu jej dokończenie, ale nigdzie go nieznajdujemy. Jest to niegrzeczność w obliczu godności czytelnika, niegrzeczność tém więcej nieprzyzwoita, im wyszła ona od pisarza znakomitszego, od człowieka który tyle pisał o sztuce. Mógłby był powiastki te ogło-

się osobno, tak jak się one pisały kiedyś osobno. Jeżeli nie mógł być obrobić należycie planu pierwotnego „*Wędrówek Wilhelma Mejstra*,” mógł je być pozostawić w urywku. (Goethe dał przykład pierwszy podobnego pisania *od niechcenia*, przykład, który nie pozostał w literaturach europejskich bez naśladowników.)

Łatwo jest dla popleczników Goethego wynaleść w dziele tém miejsca piękne; nie trudno też wcale upatrywać pod tą symboliczną nudotą myśli i znaczeń głębokich, jakie tylko podobają się krytykom filozoficznym. Co do mnie jednakże, jakkolwiek podziwiam ja bardzo Goethego, jakkolwiek podobają mi się jego pisma, nie znajduję ja w „*Wędrówkach*” dawnego uroku, ani też mogę wnówić w siebie samego, powodując się miłością dla autora, że dzieło to jest napisane dobrze, jest dobrze pomyślane, albo wykonane rozsądnie. *De gustibus non est disputandum*. Dla tego nie sprzeczą się z nikim, kto się zachwyca *Wędrówkami*, ale szczerłość każe mi wyznać to, że znajduję w nich prawie wszystkie te błędy, jakie tylko może mieć dzieło: są one niezrozumiałe, nudne, urywkowe, a nieraz zgoła źle napisane. Kiedy przytaczają się z *Wędrówek* pewne cząstkowe wyjątki, w celu ukazania myśli rozumnej, albo stylu pięknego, mógłby kto pomyśleć sobie, że krytyk, ganiący to dzieło poety, był dlań surowym i niesprawiedliwym; ale kto je odczyta sam i popatrzy na nie jako na całość sztywną, przyzna zaraz sądowi powyższemu zupełną jego słuszność. Irwing powiedział był, że we „*Trzech ukłonach*” więcej było daleko prawdy, niż we wszystkich owoczesnych pismach teologicznych. Carlyle nie w jednym względzie wykazał był takż głębokość osobliwszą mądrości téj, jaka przebija się z każdej karty pisma tego. Jakże miałyby być inaczej kiedy autorem jego jest Goethe? Ale przyznajmy słuszność tego, że wyjątki nie stanowią wcale dzieła; dla pokazania sposobu tego w jaki dzieło to zostało ułożoném, przytoczymy tu wyjątek jeden z Eckermann'a: „Kiedy począł był Goethe wykończać i przerabiać powieść tę, która pierwotnie wyszła była

w jednym tomie, postanowił on sobie z góry rozszerzyć ją teraz do dwóch tomów. Ale w miarę jak dzieło to przepisywało się i przerabiało rękopism jego zgrubiał znacznie, nad spodziewanie nawet samego autora; ale oszukał się on tą pozorną grubością dzieła, bo pochodziła ona nie z obszerności rzeczy samej, ale tylko ztąd, że przepisywacz Goethego pisał bardzo rozwlekle. Oszukany pozorem Goethe postanowił wydać Wędrówki nie we dwóch już, ale we trzech tomach; jakoż podzielono manuskrypt na trzy zeszyty i posłano go tak do wydawcy. Ale w miarę jak druk dzieła postępował, spostrzeżono że się pomyłono w rachubie i że dwa ostatnie tomy wyglądały bardzo kuso. Wydawca więc począł się upominać o więcej materiału, aby nim podwatować zapadłe boki; niepodobna już było zmieniać ciągu opowiadania, potrzebaby było rozpoczynać wszystko na nowo, więc Goethe znalazł się z tego powodu w niemałym ambarasie. W tych okolicznościach posłał był po mnie, opowiedział mi cały wypadek, dodając jak myśli sobie poradzić w tej sprawie. Rozłożył przedemną dwie związki grube manuskryptów i wskazując na nie rzekł: Tu znajdziesz rozmaite nieogłoszone dotąd drukiem artykuły; są tu skończone i wiele nieskończonych jeszcze; zawierają one zdanie moje o naukach przyrodzonych, sztuce, literaturze i życiu; wszystko jest tu pomieszane z sobą. Gdybyś wybrał z tego na sześć albo na ośm arkuszy druku, możnaby było zapełnić brak materiału do dwóch ostatnich tomów „Wędrówek“. Mówiąc rzetelnie nie mają artykuły te żadnego związku z wątkiem mojej powieści, ale można temu jakoś poradzić. Pamiętasz wspomniano w Wędrówkach o archiwum pełném w domu Makarego; biorąc więc z tego *assumpt*, możemy umieścić z tego archiwum kilka oderwanych artykułów i to nas wyprowadzi z trudnego położenia“. Pochwaliłem plan ten, zasiadłem do dzieła i w prędkim czasie wybrałem tyle, ile było potrzebném do zapełnienia tej nieszczęśliwój luki. Goethe był zadowolony z mojej pracy. Wszystko rozłożyłem na dwie części; jedną część związałem pod ty-

tulem „*Z archiwum Makarego*,” drugą zaś pod tytułem: „*Wedle poglądu Wędrownika*“. Około tego czasu ukończył był Goethe dwie poezye, jedna na „*Czaszkę Szyllera*,” druga — „*Żadna istota nie przechodzi w nicosć*“; chciał autor, aby i te dwie poezye zamieścić tu; zgodnie z tém zachceniem jego dodaliśmy je na końcu dwóch poprzednich części. Kiedy Wędrowki wyszły na świat, nie wiadano co to jest takiego? Dziwiono się że bieg powieści został przerwany szeregiem jakichś zdań zagadkowych, na które odpowiedź mogą tylko wydać ludzie specyjalni, artyści, literaci, uczeni; niemało to namroczyło czytelników, osobliwie kobiet. Co zaś do dwóch poezyi dodanych, równie mało je zrozumiano, jak i domyślano się powodu, dla jakiego wplątały się one tutaj. Łamano sobie głowy, a Goethe śmiał się z cicha z tego.

Po tém, zdaje się, wszelka krytyka dzieła tego byłaby zbyteczną. Gdyby Goethe szanował ogół czytelników swoich, gdyby żył on w Anglii albo we Francyi, gdzie krytycy spełniają obowiązek jakoby policyi literackiej, zapewne nie odważyłby się drwić sobie w ten sposób z publiczności i traktować lekko własną sławę swoją.

Ale w Niemczech nawet (!) nie obeszło mu się bez kary za to; zmystyfikował publiczność, ale publiczność wcale nie była z tego zadowoloną; krzywili się na to sami przyjaciele Goethego; nikt nie był kontent z dzieła. Dopiero dla współczesnego nam pokolenia pisarzy niemieckich dzieło to stało się niejako biblią społeczną — księgą sybyllińską. Najpierwsze objawy niezadowolenia pokazały się na twarzach przyjaciół autora; ale, ma się rozumieć, że mu to wyrzucali oni z lekka i zarzuty te były prawie pochwałą, gdybyśmy je zechcieli porównać z zarzutami czynionemi od nieprzyjaciół Goethego. Pewien Pustkuchen, duchowny z Lieme, naśladował z tego powodu parodyę Nicolai na Werthera napisaną, ale naśladował ją w duchu poważnym, wydając „*Lata wędrowki*,” w których poglądy Goethego na życie zostały wystawione tak, że kaźden chrześcianin musiał się oburzyć na nie.

Stało się to odtąd hasłem pewnej partyi — Goethe nie jest chrześcianinem! Jak potém stało się hasłem innėj jeszcze partyi „Goethe nie jest patryotą!“ Nareszcie przyszedł Menzel, który ogłosił światu nietylko to, że Goethe nie był ani patryotą, ani chrześcianinem, ani moralistą, ale jeszcze i to, że nie był on geniuszem, ale tylko prosto człowiekiem z talentem! Goethe poprzestał na epigramacie, napisanym z powodu dzieła Pustkuchen'a, i poszedł dalej swoją drogą. Do oponentów swoich mawiał zwykle jedno: gdyby mnie oni mogli osądzić nie byłbym tym kim jestem.

Hätten sie mich beurtheilen können,
So wär' ich nicht was ich bin.

Szczekanie kundysów, kiedy wyjeżdżamy ze stajni, do-
wodzi tylko tego jednego, żeśmy na koniu.

Es bellt der Spitz aus unserm Stall
Und will uns stets begleiten,
Und seiner lauten Stimme Schall
Beweist nur dass wir reiten.

Podczas kiedy mocne uczucie opozycyi wzrastało do-
koła w narodzie, uczucie, którego pewnie „Wanderjahre“
nie mogły były pohamować; sława Goethego poczęła się
rozchodzić po Włoszech, Anglii i Francyi nawet. Jego
czynny a żywy interes w literaturach obcych zjednał mu
sympatyę w mężach takich, jakimi są Manzoni, Scott, Baj-
ron, Carlyle, Stapfer, Ampère, Soret i inni. Goethe napi-
sał był artykuł o „*Carmagnoli*“ Manzonięgo, broniąc go
od przeciwnych mu krytyków z takim zapałem, że, we-
dle zdania samego Manzonięgo, głos Goethego zjednał mu
sławę europejską. „Pewną jest rzeczą, że współczuciu Goe-
thego winien jestem chwałę jaką sobie zjednałem. Żle
mnie wcale traktowano aż do czasu, kiedy Goethe powstał
ku obronie mojej; odtąd nietylko zmieniło się o mnie
zdanie ogółu, ale sam nawet nauczyłem się od niego pa-
trzeć na dzieła moje i widzieć je w nowém zupełnie świe-
tle.“ Jak głębokim był podziw Goethego dla Bajrona i jako
z tego był dumnym Bajron, wiadomém jest to powszechnie.

Poemat, który przesłał Bajronowi, na odpowiedź dedykacji jego *Werner'a*, doszedł go był właśnie wtedy, kiedy poeta gotował się do swojej wyprawy greckiej.

Nie ograniczał się tylko czytaniem samém. Wielkie odkrycie Oersted'a elektro-magnetyzmu zajęło go żywo. Sprawdzał z Döbereiner'em zjawiska tego odkrycia, a wkrótce potem Oersted odwiedził go. Dzieło anatomiczne d'Alton'a o mamucie i innych zwierzętach przedpotopowych zastało go gotowym do napisania o nim w dzienniku swoim i ogłoszenia światu ważności tych poszukiwań. Napisał sprawozdanie o swojej wyprawie wojennej do Francji; *Kronikę* życia własnego, *Studia nad sztuką*, poezye pomniejsze, epigramata p. t. *Zakane Xenien*, nowożytnie śpiewy greckie w przekładzie i naszkicował *odtworzenie* zatraconego dramatu Eurypidesa *Phaëton*.

Widoczna jest tedy, że wiele jeszcze było życia w Goethem, w tym starym Jowiszu, jak go zwano powszechnie w Niemczech; budowa ciała jego dotąd jeszcze była masywna i trzymała się prosto; czoło było gładkie, bez żadnych zmarszczków starości; głowa zachowała jeszcze włosy gęste, jak miała je w wieku męzkim, a duże oczy ciemne miały jeszcze ów połysk, co zawsze był tak uroczym. Lekarz Hufeland, co zajmował się specjalnie organizmem ludzkim w stosunku jego do sił żywotnych, mówił, że nigdy nie natrafił on na człowieka, coby miał tak doskonały cielesny i duchowy organizm. Nietylko była w nim zadziwiająca moc żywotna, ale jeszcze osobliwsza równowaga funkcyj. „Można powiedzieć rzetelnie, że charakterystyczną cechą była w nim harmonia z jaką działały wszelkie władze umysłowe, tak że jego wyobrażenia twórcza zostawała statecznie pod nadzorem jego umysłu; to samo można powiedzieć w rzeczy jego władz fizycznych: żadna działalność nie przechodziła mocą inne, wszystkie działały razem, zachowując przedziwną równowagę w czynnościach swoich. Ale *produkcyjność* była charakterem zasadniczym jego tak umysłowego jak i cielesnego organizmu; ostatni objawiał się osobliwie w bogatej sile odżywniej.

szybkiem wyrabianiu krwi i reprodukcji. Nawet starym będąc, wyrabiał krwi wiele.“ Nietylko życie, ale życie życia samego, moc kochania dochowała się w nim do ostatka. *Quisquis amat, nulla est conditione senex*, mówi Pontanus stary; margrabia zaś de Lassy bardzo słusznie uważa za sen ostatni ten, w którym nie masz już marzeń miłosnych. *Hélas, quand on commence à ne plus rêver, on plutôt à rêver moins, on est près de s'endormir pour toujours.*“ W siedmdziesiątym czwartym roku wieku swego Goethe dość miał jeszcze młodości do kochania.⁵⁴⁾ W Maryenbadzie spotkał się z panną von Lewezow. Pokochali się z sobą szalenie; dla Goethego wróciły prawie pełne exaltacyi lata werterowskiego okresu. Myślano że się z nią ożeni; nawet miał zamiar ten, ale przełożenia przyjaciół, a może obawa śnieszności powstrzymały go od tego. Oddalił się a *elegia maryenbadzka*, którą ułożył w powozie (!), który go odrywał od ulubionój, pozostała tylko jako pamiątka cierpień jego i zapałów.

Zdaje się że nie jedna panna von Lewezow była rozkochaną od tego „starca wymownego“. Pani Szymanowska, wedle świadectwa Zelter'a, była w nim szalenie zakochaną; jakkolwiek frazes podobny może być postacią retoryczną, zawsze jednak oznacza, wychodząc z ust człowieka tak poważnego jak Zelter, że musiał być Goethe pozyskać sobie u niój entuzjazm płomienny, jakiego pewno nie możnaby było się spodziewać od starca 74letniego.

Dnia 7 Listopada 1825 r. Goethe, który kilka tygodniami przedtém przygotował był jubileusz na 50 rocznicę panowania Karola Augusta, był uczczony podobną uroczystością jako w rocznicę pięćdziesięcioletnią przybycia jego do Wejmaru. O świcie, kiedy odkrył zasłone łóżka swego, najpierwszym dźwiękiem, jaki posłyszał, był

⁵⁴⁾ Czytelnik może tu ocenić pogląd pogańsko-naturalistyczny Lewesa, tłumacza i admiratora Spinozy; zachwyca się czém? Oto starcem lubieżnym, stojącym już nad grobem! Goethego przezwano Jowiszem, istotnie bowiem, jak Wolter we Francyi, tak autor Fausta w Niemczech był bożkiem nowego politeizmu.

śpiew poranny odśpiewany przez osoby ukryte w jego ogrodzie. Pierwsze spojrzenie jego padło na upominki gustowne, ofiarowane mu od jego przyjaciół szczerych. O pół do ósmej wszystkie powozy miejskie były w ruchu; wszystkie osoby znakomitsze u dworu i w mieście udawały się do domu poety-ministra. Orkiestra i czternaście jego przyjaciółek zgromadziły się w jego bawialni, dla odśpiewania ody porannej, napisanej od profesora Riemer'a, a ułożonej pod muzykę przez Eberwein'a. O dziewiątej, kiedy Goethe został wyprowadzony z pracowni swojej od syna i jednego z przyjaciół, tłum w każdym pokoju tak był wielki, że musiano wprowadzić solenizanta drzwiami bocznymi. Zaledwo się ukazał odezwała się muzyka i zwiększyło się wzruszenie to, co się wyrażało w spojrzeniu każdego. Nimfy Ilmu powiedziały dobry dzień swemu pocie wiernemu i poczęły opiewać nieśmiertelną sławę jego. Cała masa słuchaczy głęboko była przejęta. Tony rozplynęły się nareszcie w milczeniu uroczystem. Ze skromną godnością mąż szanowny obrócił się do przyjaciół swoich i wyraził im podziękowanie swoje wymownym uściskiem dłoni i słowy czułymi. Następnie baron von Fritsch wystąpił naprzód i podał własnoręczne pismo książęce i medal złoty, odbity tajemnie w Berlinie; miał on z jednej strony wizerunek księcia i księżnej, z drugiej uwieńczoną laurem głowę poety; na obcięciu były wyrzeźbione imiona Karola Augusta i Ludwiki.

Goethe, co spodziewał się upominku godnego osób od których wychodził, trzymał oboje przez czas pewien nierozpieczętowane w niemém wzruszeniu. Zbliżyły się rozmaite deputacje; były one od miast wielkksiążęcych: z Jena, Wejmaru, Eisenachu i od łoży masonskich. Studenci jenajscy wieszowali mu przez dwóch deputowanych od siebie.

Wkrótce, po dziesiątej, Karol August i Ludwika przybyli osobiście złożyć mu swoje powinszowania. Pozostali z nim sam na sam godzinę całą; kiedy przybyli znowu następca tronu z żoną i z dwoma księżniczkami. Tymcza-

sem ministrowie stanu, naczelnicy trybunałów, najznakomitsze osoby dworu i deputacye zgromadzili się razem; najznakomitsze panie Wejmaru, pomiędzy którymi były córki i wnuczki Wielanda i Herdera, przyłączyły się do nich w pokojach górnych. Skoro wszyscy zaproszeni przybyli, zostali wprowadzeni parami do wielkiej sali, w której stały posąg wielkiego księcia i popiersie Goethego, roboty Raucha, na pięknym piedestale, a obok leżał wieniec laurowy. Jak tylko processya doszła była do środka sali, z galeryi dała się słyszeć muzyka. Efekt harmonii jej w sali wysokiej a pięknej, ozdobionej portretami i popiersiami, był nie do opisania. ⁵⁵⁾

O drugiej godzinie został zastawiony stół na więcej jak na dwieście osób w sali ratuszowej. Wieczorem w teatrze grano Ifigenię. Ku końcowi aktu trzeciego, Goethe ostrzeżony od swego lekarza powrócił do siebie; tu oczekiwało go zakończenie tego dnia pięknego. Przed domem jego oczekiwała nań serenada, odegrana przez orkiestrę kaplicy w. książęcej. Hummel z wielkim smakiem i uczuciem połączył był marsz z Tytusa, uverture Glücka do Ifigenii i mistrzowskie adagio układu własnego; do tego dołączone było echo z rogów. Początek wyrażał tryumf dnia tego, podczas kiedy rozplywające się tony adażja zdawały się zapraszać do spokoju, następującego po spełnieniu dzieła.

Dom cały na Frauenplan, w którym mieszkał Goethe, został uilluminowany. Liczne towarzystwo zjechało się do niego, gdzie oczekiwało nań piękne przyjęcie; Goethe godzinę zabawił z gośćmi, nim udał się był na spoczynek. Dzień ten obchodzono w Lipsku i we Frankfurcie. We Frankfurcie konsul generalny Bethmann oznaczył dzień ten umieszczeniem w muzeum swoim posągu Goethego, wielkości naturalnej, który wykonał był dla niego Rauch. ⁵⁶⁾

Czytając te i tym podobne anegdoty, jak i owe opo-

⁵⁵⁾ Na tej uroczystości znajdowali się A. Mickiewicz z A. E. Odyńcem.

(Przyp. tłum.)

⁵⁶⁾ O tém czytać obszernie w Goethe's goldener Jubeltag. Wejmar, 1826.

wiedziane przedtém o sejmie Wejmarskim, nie możemy się dziwić temu, jeżeli człowiek, co był traktowany jakby bożek jaki, objawiał czasami wolę uporną albo wszedł w rolę, którą mu gwałtem narzucono.

W roku następnym Niemcy okazały wdzięczność swoją Goethemu przywilejem, będącym najsurowszym sarkazmem na narodowość germańską, przywilejem mianowicie ogradzającym prawo wyłączne Goethego do wydawania dzieł swoich. Ogłosił on był wydanie całkowite dzieł swoich, a *Bundestag* postanowił zabezpieczyć je od rozboju prass miast niemieckich. Dotąd dzieła Goethego wzbogaciły były tylko księgarzy samych, ale nareszcie ten przywilej, acz spóźniony, zabezpieczył był spadek praw Goethego na dzieci jego.

W drodze honorów Goethe bardzo był ucieszony listem przysłanym mu od Walter Scotta, w którym wyrażał mu dawną swoją admiracyę; 28 Sierpnia 1827 roku Karol August przyszedł do pracowni poety z królem bawarskim, który przyniósł mu sam order wielkiego krzyża, jako hołd swój dla męża wielkiego Germanii. Idąc ściśle za etykietą poddany nie mógł być przyjąć znaków cudzych bez przyzwolenia pana swego, i Goethe, zawsze w tym względzie punktualny, zwrócił się do W. Księcia z temi słowy: „Jeżeli zgodzi się na to monarcha mój.“ Na co książę zawołał: „Du alter Kerl! mache doch kein dummes Zeug!“ (Ach stary, nie róbże głupstwa!)

6 Stycznia 1827 roku pani von Szejn umarła w 85 roku wieku swego.

Potém z koleci miał utracić starego, dobrego księcia swego, który zwał go był swoim towarzyszem broni. W 1828 14 Czerwca umarł był Karol August. Pismo Humboldt'a do Goethego zawiera w sobie tak wiele ciekawych szczegółów o ostatnich chwilach zgonu księcia, że niektóre z nich wypiszemy tu: „nigdy nie widziałem ja, pisze, tego wielkiego, ludzkiego księcia więcej ożywionego, więcej rozumnego, łaskawego, sympatyczniejszego dla dalszego rozwoju narodu jak w ostatnich dniach swoich. Często mawia-

łem do przyjaciół swoich, niespokojny i pełen przeczuć złych, że to ożywienie, ta osobliwsza jasność umysłu, połączona z takim osłabieniem fizyczném, były dla mnie zatrwajającym zjawiskiem. Sam on widocznie chwiał się pomiędzy nadzieją wyzdrowienia i oczekiwaniem wielkiej katastrofy. W Potsdamie wiele z nim przesiedziałem godzin. Pił, a potem spał na przemian, a potem pił znowu, to wstawał aby pisać do żony, a potem znowu spał. Był miłym, uprzejmym, ale bardzo osłabiony. W przestankach męczył mię pytaniami trudnemi o fizyce, astronomii, meteorologii i geologii; pytał mię o atmosferę księżycą, o kolorowe podwójne gwiazdy, o wpływ plam tarczy słonecznej na atmosferę, o postać kształtów organicznych w świecie pierwotnym i o ciepło wewnętrzne kuli ziemskiej. W przestankach rozmowy usypiał, często był niespokojny a potem mówił przepraszając grzecznie za nieuwagę swoją: „Widzisz, Humboldcie, już mi się mało co należy!“ Nagle zaczął mówić bez związku o religii. Powstawał na zwiększanie się pietyzmu, uważając w tym rodzaju fanatyzmu związek pewien z absolutyzmem i zerwanie ze wszelką czynnością wolną. „Dla tego, zawołał, są zli i przewrotni ludzie, co myślą, że za pomocą pietyzmu mogą się przypodobać panującym i otrzymać od nich miejsca i wstęgi. Uciekli się z poetycznym rozmiłowaniem się do wieków średnich.“ Gniew jego ucichł wkrótce, i powiedział, że znajduje wiele pociechy w chrystyanizmie. „Jest to religia pełna ludzkości, ale zepsuto ją od samego początku; pierwsi chrześcianie byli wolnymi myślicielami pomiędzy partją *ultra*.“

Znając przyjaźń Goethego dla w. księcia, przyjaciele poety bali się, aby raz tak ciężki dla serca jego nie był strasznym w skutkach swoich. Siedział był właśnie u stołu, kiedy nadeszła wiadomość o tym smutnym wypadku. Poczęto szeptać o tém; nareszcie powiedziano mu o tém ostróźnie a z wielkim strachem o niego. Ale twarz Goethego pozostała spokojna. „Ach to okropnie! powiedział na to; mówmy o czém inném!“ Mógł był zmienić

treść rozmowy, ale trudno było odegnąć, równie łatwo, myśli ciężkich. Uczuł bardzo wiele; tém ciężej było mu przenieść tę boleść, im więcej nie chciał objawić smutku tego. „*Nun ist alles vorbei!*“ (Wszystko się skończyło!) powiedział potem. Kiedy wieczorem przyszedł Eckermann, znalazł go znękanym bardzo.

Udając się w rozkoszne okolice Dornburga, starzec poeta usiłował w pracy i rozważaniu przyrodzenia oderwać myśl swoją od téj ciężkiej straty. W następnym roku (1829) ukończył swoje „*Wędrowki Mejstra*,“ w tym kształcie w jakim je mamy teraz; pracował takż nad częścią drugą Fausta; wspólnie z młodym Francuzem Soret, zajmującym się przekładem „*Przekształceń rośliny*,“ przeglądał swoje papiery uczone.

W miesiącu Lutym 1830 roku śmierć w. księżnej jeszcze raz zasępiła zmierzch jego żywota. Chmury te, przeciągające tak szybko, były jakby wskazówkami prędko mającej nastąpić nocy — „nocy, w której nikt już pracować nie zdąży!“

Nim opowiemy ostatecznie dni długiego zawodu poety naszego, potrzeba rzucić jeszcze pogląd na część wtórą Fausta, która ostatecznie została ukończoną 20 Lipca 1831 roku, ale teraz powiemy o niej, aby potem już nie przerywać sobie powieści naszej.

W obliczu poematu tego uczuwać więcej daleko pomięszania, niż w obliczu jakiego bądź innego dzieła Goethego. Zawsze trudnym było dla mnie zadaniem podać rzetelne wyobrażenie o dziele, a obok tego objawić zdania krytyczne o niem, jakie inni mężowie ferowali; trudność ta zwiększa się jeszcze więcej teraz, kiedy sobie pomyślę o téj licznej partyi ludzi, mających o poemacie, który tu mam rozbierać, całkiem przeciwne memu zdanie, i to partyi nie ciemnych, albo uprzedzonych czytelników, ale owszem umysłów oświeconych i mających znakomitą za sobą powagę krytyczną. Mężowie ci odzywają się o części drugiej Fausta jako o dziele bardzo wysokiej wartości, jako o utworze, nawet przechodzącym wszystko co

tylko napisał Goethe, jako o skarbcu głębokiej, mystycznej filozofii, jako o cudzie wykonania artystycznego. Inni znowu, i to ludzie, liczący się do największych zwolenników poety, uznają poemat ten za rzecz wcale nie wielkiej wagi, za utwór daleko niższy od *części pierwszej* i będący, tak co do pomysłu jak i co do wykonania, pewną wypracowaną nieudatnością. Z liczby tych ludzi jestem ja także. Usiłowałem gorliwie zrozumieć to dzieło; starałem się stanąć we właściwem świetle, aby mózgiem poczuć efekt cały obrazu tego; ale, jakkolwiek gorliwie pracowałem nad tém, zamiast tego, aby rozjaśnić sobie ciemności, aby przejrzeć jasno w pomysle samej budowy utworu, (jak to mi udało się było przy innych dziełach tego samego pióra), jeszcze więcej przeświadczyłem się o rzetelności pierwszego mego zdania. Zapewne mogło to być winą mego własnego umysłu; najczytelniejsza ręka, jak się wyraził Goethe, o zmroku może być wcale nie czytelnym charakterem. Co jednakże uczułem w sobie, jak mi się wydało to dzieło — to tylko wyrażę tutaj, nie podając tego za prawdę nieomylną, ale tylko za opinię moją własną.

Porównyując z sobą wzajemnie wrażenia, dokonane od *pierwszej* i *drugiej* części Fausta, jakkolwiek w obydwóch razach przebija się pewne niezadowolenie, znajdujemy, że zarzuty czynione jednej i drugiej są wcale inne. W części *pierwszej* niezadowolenie z dzieła może wypływać z tego, że wydaje się ono nam urywkowem, nie zgodnem, bluznierczem, niedosć metafizycznem i t. d.; jednakże przeczytać ją raz jeden już jest dostatecznem, aby się zająć rzeczą samą, patetycznością ustępów, poczują w nich rozlaną, charakterem wybitnym utworu tego. Innemi słowy, treść dzieła zajmuje nas sobą; krytyka napada tylko na szczegóły wykonania głównej myśli poematu. Jeżeli uważamy go być urywkowym, nie uważamy przecież urywki same za rzecz małoważną, ale owszem podziwiamy w nich moc osobliwszą pomysłu; jeżeli znajdujemy, że brak tu jest smaku, nie mówimy jednak, aby brak tu był geniuszu; rzecz się ma wcale inaczej z *częścią drugą* poematu;

tu nie same już szczegóły wywołują o sobie sąd niekorzystny, ale sam wątek, sama budowa utworu; nie wykonanie, ale pomysł cały, tak co do historii samej, jak i co do jej wykonania. Jakie jest następstwo? Następstwo jest takie, zpoufaliwszy się z częścią pierwszą Fausta, zarzuty nasze słabną, a w miarę tego admiracja nasza ku niej wzrasta, ale zpoufalenie się z częścią wtórą poematu potwierdza tylko rzetelność zarzutów naszych i oprócz tego wskazuje nam jeszcze, dla czego mianowicie są one rzetelne.

Jeżeli przypomnimy sobie to, że wszystkie dzieła Goethego noszą na sobie piętno biograficzne, są niejako częścią jego żywota, wyrazem rozmaitych doświadczeń przez jakie był przeszedł, więc i te utwory późnych lat jego muszą mieć dla nas takż ów osobliwy interes; razem z tém czytelnik spostrzeże powody te, jakie mnie skłoniły były do odłożenia na sam koniec dzieła tego wszystkiego, co zostawało mi powiedzieć o części drugiej Fausta, zamiast tego, abym miał przystąpić do niej po rozebraniu rzeczy, jaką objęła była część pierwsza utworu tego. Rzetelnie mówiąc są to dwa oddzielne poemata, a nie dwie części jednego i tegoż samego utworu. Przedział, jaki zachodzi pomiędzy jedną a drugą kompozycją, co do pomysłu i wykonania, jest tak wielkim jak sam przeciąg czasu, jaki przedziela od siebie wykonanie obydwóch tych poematów. Idąc za wskazówką biograficzną, widzieliśmy w poprzedzającym wątku dzieła naszego stopniowe rozwinięcie skłonności Goethego ku mistycyzmowi i zaciekaniom się metafizycznym; skłonność ta, w zawiązku, w lecjach jego młodości, wzrastała razem z laty i nareszcie w wieku dojrzałym wywinęła się w szerokie konary, do tego stopnia, że cień ich począł był nareszcie przyćmiewać żywotniejsze skłonności ducha, i poeta ten, niegdyś tak jasny i samodzielny, rozkochał się w symbolach, jakby jaki kapłan Izydy bogini. Dla tych, — a jest ich nie mało — co uważają, że celem sztuki jest stworzenie symbolów dla filozofii, podobne rozwinięcie talentu poety uważa się za

rzetelny postęp; inni jednakże, co niepoddają artyście myślicielowi, muszą uważać podobną dążność refleksyjną za oznakę upadku. Prawda, że sztuka nowożytna, jako przedstawicielka wielostronności życia nowoczesnego, wymaga wiele refleksyi; ale i to jest prawdą niezawodną, że przewaga dążności refleksyjnej jest wskazówką upadku. Prawda, że dla organizmu złożonego z wielu pierwiastków, konieczną rzeczą jest wewnętrzna budowa koścista; ale coraz większe kostnienie staje się przyczyną i następstwem upadku sił żywotnych.

W obydwóch częściach Fausta występują na widownię te same prawie zagadnienia krytyczne, jakie zajmowały już uwagę naszą w pierwszych i ostatnich księgach Wilhelma Mejsra, zagadnienia zanadto obszerne i głębokie, abyśmy się mieli zajmować niemi tutaj, tak że musimy tylko poprzestać na wskazaniu ich samém. Główny wzgląd jednakże musimy tu rozwinąć; wzgląd ten jest niejako gruntem wszelkich dowodów, dotyczących téj rzeczy. Jest on taki: jeżeli artysta chce wyrazić pewne idee filozoficzne za pośrednictwem symbolów, niepowinien on nigdy zapominać o tém, że sztuka będąc sama objawem (representation), więc symbola obrane muszą koniecznie posiadać w sobie pewien wdzięk, niezależny od tego, co one wyrażają. Formy, co są jéj materyałem, symbola będące jéj mową, muszą mieć w sobie piękno i interes, dostępne dla tych, co nie potrafią podnieść się myślą do utajonego w nich znaczenia. Jeżeli nie mają tego wdzięku, przestają przez to samo być sztuką — stają się hieroglifem. Sztuka jest malowidłem obrazowém, a nie malowidłem - pismem. Beethoven w symfoniach swoich mógł wyrazić wielkie idee psychiczne, które dla dusz będących w stanie pojąć je, mogły zapewne stać się źródłem wielkiej rozkoszy; ale gdyby muzyka sama nie była w nich uroczą, gdyby ona nienapawała duszy uczuciem rzewném, wówczas, jakkolwiek myśl kompozycji mogłaby być głęboką, przeszłaby ona niedostrzeżona, a to dla tego powodu, że wymagalność najpierwsza muzyki nie jest wcale wystawienie myśli

wielkich, ale to, aby poruszyła ona duszę wzruszeniami muzycznymi. Poeta, co ma tylko pomysły głębokie, a nie posiada tego uroku ułudnego, co przenosi do serc naszych wcielenie żywe tych pomysłów — nie będzie nigdy poetą rzetelnym. Najpierwszą wymagalnością poezji jest to, aby wzruszała serca, a nie to, aby nas nauczała.

Jeżeli to cośmy tu wyrazili jest prawdą, więc część druga Fausta nie mogła być wyrazem rzetelnym poezji, nie odpowiadała bowiem ona najpierwszemu warunkowi poematu. Czémby nie był ten poemat, to pewna że nie jest on zajmującym. Sceny, wypadki, charaktery nie noszą w sobie tego przeważnego wdzięku, jaki zachwyca nas w części pierwszej. Cały ich interes wypływa ze znaczenia, jakie one symbolizują sobą; więc interes zależy od sprytu czytelnika w odgadywaniu znaczenia utajonego. Mefistofel, ów przewyborny pomysł części pierwszej, stał się niewiedzieć czém; Faust utracił wszelką indywidualność, wszelkie tętno wzruszenia. Zapewne krytycy filozoficzni nie omieszkają wytłómaczyć, jak podobna zmiana była konieczną, ponieważ w *części drugiej* wszystko co w pierwszej było indywidualnem stało się uniwersalnem. Ale jest to tylko określenie, a nie usprawiedliwienie rzeczy; jest to upadek w celu filozoficznym. Goethe oświadczył to sam, że taki był jego zamiar. „Nie mogłem się wydziwić temu, powiada, że nikt z tych co się byli podjęli dalszego ciągu i dopełnienia urywku mego nie pojęli myśli téj, która wydawała się tak naturalną, że część druga musiała być koniecznie być podniesioną do sfery wyższej, wprowadzić Fausta do sfer wznioslejszych, postawić go pod godniejszymi, niżli wprzód, warunkami.“ Dość słusznie; ale zmieniając zasadę nie było wcale żadnej potrzeby zmieniać sposób traktowania rzeczy; aby wprowadzić Fausta do sfery wznioslejszej nie było koniecznem wcale zmienić bojowanie ducha indywidualne na reprezentacyjne abstrakcyjne; nadewszystko, nie było koniecznem zapoznawać rzetelne zadanie sztuki i wstępować w sferę filozofii, a przez to przynosić na ofiarę znaczeniu piękno. Wada poematu tego nie

leży tylko jedynie w ukrytém znaczeniu, ale w ubóstwie życia poetycznego, które miało ożywić owe idee ukryte. Mniejsza o utajony sens, byle obraz był piękny. Lew może być symbolem czujności, mocy, majestatu królewskiego, albo samotności wreszcie, może on wyrażać to lub owo, wedle upodobania artysty, ale to znaczy bardzo mało, czy rozumiemy my źle lub dobrze myśl tę; idzie tu tylko o to głównie, by lew był oddany trafnie, by jako wyobrażenie wzbudzał w nas podziw, jeżeli ma być on uważanym za utwór rzetelny sztuki. Nie pojmujemy *np.* części pierwszej Fausta; dowodzi już tego najlepiej nieustający dotąd wzajemny pomiędzy sobą spór krytyków w rzeczy, dotyczącej symboliki wewnętrznej sztuki tej; spierają się oni dawno i spierać się będą zapewne dopóty, dopóki Faust będzie interesować ludzi, jako utwór rzetelny geniuszu; ale, co się dotyczy wdzięku dzieła, wszyscy oni zgadzają się ze sobą. Namiętność, poezya, sarkazm, wyobraźnia, mądrość i myśli, zakradające się do duszy głęboko, pathos i naiwność Małgosi; chłód okrutny Mefistofela, cierpienia niespokojnego mędrca — są to rzeczy, dostępne dla każdego — każdy rozumie je wybornie i cieszy się ich oddaniem wiernem. Można się sprzeczać o tajemnicę, ale obrazem zachwycać się tylko można. Porusza on nas tak jak porusza dzieci bajka stara, ukrywająca w sobie wielkie myśli i nauki moralne; przestrogi te niedostępne są dla nich; nie przeczuwają ich nawet — ale biorąc to wszystko za rzetelność — boją się, cieszą, lub rozczulają nad treścią powieści. Kiedy dzieci podrosną i nauczą się dostrzegać sensu ukrytego pod powieścią, przybędzie dla nich nowa przyjemność; ale nawet wtedy lubowanie się umysłu nmięj będzie zależyć od myśli moralnej niż od formy żywej utworu. Wszelka allegorya, co nadstawia się myślą swoją z zaniedbaniem formy, traci efekt — jest chłodną, bezduszną i niezajmującą. Allegorya, co chce opowiedzieć dzieje ducha pod pozorem historii życia, o tyle tylko zajmie, o ile powieść ta będzie zajmująca sama przez się. *Część Fausta wtóra* nieodpowiada temu

wymaganiu; potrzeba mieć klucz do tych mysteryj. Rzecz nie odwołuje się tu wcale do wzruszeń duszy; niemasz tu wcale piękna wewnętrznego w symbolach występujących na jaw w dramacie. Mówiąc to, mam tu na względzie całość jego; w szczegółach jest wiele ustępów pięknych; są wiersze głębokiego pomysłu, są, co wyrażają bardzo szczęśliwie jakiś sarkazm; niemasz tu przecież wypadku, charakteru, niemasz sceny, coby się wryła potężnie w pamięć czytającego, tak jak tego dokonywały wypadki, charaktery i sceny w części *Fausta pierwszój*.

Dzieło odkrywa się tém, że widzimy Fausta na łące kwiecistej; chce on ukoić niepokój wewnętrzny ducha usiłując zasnąć. Zmrok pada, a w około Fausta unoszą się duchy niebieskie. Aryel śpiewa, wtórzając sobie na arfie eolskiej; inne duchy przyspiewują chórem. Faust obudza się wreszcie o wschodzie słońca i wyraża uczucia swoje w pięknych wierszach. Może to wyrażać przebudzenie ducha jego z ciemnego zmięzchu owego jaki zapadł był dla niego po śmierci Małgorzaty, a ustępującego teraz pod wpływem czasu pocieszyciela, co sprowadza dzień na nowo i ranek świeży, orzeźwiający ducha nową mocą.

Du regst und rührst ein kräftiges Beschliessen
Zum höchsten Daseyn immerfort zu streben.

(Poruszasz w duszy mocną wolę coraz wyżej i wyżej zdążać do istoty bożej).

Scena zmienia się na dwór cesarski. Zle się dzieje. Kanclerz utyskuje na to że gwałcą się prawa; generalissimus skarży się na wojsko; podskarbi wielki rozwodzi żale z tego powodu, że w skarbie państwa panują pustki święte. Jest to scena zabawna, pełna sarkazmu i bardzo złośliwej mądrości doświadczonego dworaka. Ukazuje się Mefistofel w ubiorze *blazna dworskiego* i cesarz rzymskiego państwa pyta go o radę. Nie mało jest złota w ziemi—oświadcza na to Mefistofel; przyroda ludzka i moc duchowa wydobyłyby je snadno na zewnątrz. Jak tylko wymówił on te dwa wyrazy *przyroda i duch*, jak kanclerz państwa, z orto-

doksyą czułą i zdala przeczuwającą herezyę wszelką, woła pobożnie:

Natur und Geist — so spricht man nicht zu Christen
Deshalb verbrennt man Atheisten.

(Przyroda i duch! zaiste nie mówi się tak do chrześcian; za to właśnie palą na stosach bezbożników). Więcej by komiczną mogła być ta scena, gdyby wplatała się ona w jakikolwiek bądź sposób w całość wątku; ale trudno dopatrzeć się tu jakiegokolwiek bądź związku, tém więcej iż Faust nie jest nawet tutaj obecnym. Następująca scena równie jest ciemną. Występuje maskarada wydana dla cesarza; jest ona tak szalona i pstra jak tylko można sobie tego życzyć. Jest tu wiele szczęśliwych wierszy i trochę satyry na niektóre szaleństwa literackie; wiele miejsc dających się cytować w życiu — ale czytelnik nie może się tu zorientować. Potem idzie scena, wystawiająca zabawy monarchy; jest to satyra na system Law'a puszczenia w obieg monety papierowej. Mefistofel oświadczył, że duch ludzki wyda z siebie pieniądze i sprawdziło się to, kiedy ludzie poczęli przywiązywać do papieru wartość kruszcu. Naród zbogacony nagle tak łatwo, tak taniem bogactwem, wpada w najdziksze szaleństwa. Piękny tu jest materyał dla komentatora; ale nie wiele z tego korzysta czytelnik. W scenie następnej Faust wyciąga na stronę Mefistofela, ku wielkiemu zadziwieniu czarta, który pyta go, czy mu mało jeszcze było zabawy w tym tłumie różnobarwnym; ale Faust obiecał cesarzowi pokazać Helenę trojańską i każe Mefistofelowi spełnić tę obietnicę jego. Mefistofel oświadcza że nie ma żadnej mocy nad światem pogańskim i że nie tak jest łatwo wyprowadzić na scenę Helenę jak monetę papierową. Ale jest na to sposób; Faust musi odwiedzić baby stare, mieszkające w strasznej pustyni, niedostępnej nikomu:

Ins Unbetretene
Nicht zu Betretende.

Czém są te baby, nie mogłem tego zrozumieć; czém mięnią je być komentatorowie niemieccy, zostawiam to samemu

czytelnikowi; niech się dowie o tém kiedy ciekawy. Faust odchodzi. Scena się zmienia i wystawia na nowo dwór. Mefistofel kręci się tu wszędzie, pomaga damom: téj zdejmuje zmarszczki, tamté leczy od okrzywienia, innéj daje filtr jakiś. Nareszcie w sali poczynają błyskać światelka i rozpoczyna się widowisko. Ukazuje się na scenie Faust i wywołuje Parysa, którego towarzystwo krytykuje rozmaicie; potém ukazuje się Helena i Mefistofel, który widzi ją poraz pierwszy, wyznaje że jest piękna, ale nie zupełnie przypada mu do gustu. Ale Faust jest w zachwyceniu nie opisanym i wyraża to, co mogłoby się objaśnić uczuciem artysty niemieckiego, postawionego w obliczu kunsztu greckiego. Zazdrośny jest o Helenę Parysowi i mięsza się pomiędzy tę parę; następuje eksplozja—duchy nikną a Mefistofel wynosi Fausta bez zmysłów. Tak kończy się akt pierwszy.

Jeżeli zapomnimy na chwilę o symbolice tych scen wszystkich, i o uroku stylu przebijającym się w kilku miejscach, mało tu jest wcale do podziwiania; ważny jest to bardzo wzgląd, bo nawet przyjąwszy symbolizm, jak go dopuszczają niektórzy krytycy, jeżeli będziemy podziwiać myśli głębokie i sarkazm ów jakie ukrywają się pod tą fantasmagoryą, będziemy dziwić się filozofowi, a nie artyście; będziemy wychwalać poemat za przymioty nie należące wcale do obrębu poezji. Nie dziwmyż się tedy, jeżeli czytelnicy, co nie są w stanie dopatrzeć się sensu ukrytego w rzeczy téj, albo ci, co postrzegając go, nie wiele się nim cieszą, dość zimno przyjmują część drugą sztuki Goethego.

W akcie drugim Faust wystawia się w łóżku, w pracowni swojej; przy nim siedzi Mefistofel. Wchodzi sługa, od którego dowiadujemy się, że Wagner zajął miejsce Fausta i zjednał sobie sławę tak znakomitą, jaką niegdyś pozyskał był sobie, na niém, Faust. Długo usiłował on odkryć pierwiastek żywotny, za pośrednictwem którego mógłby był utworzyć człowieka. Nadchodzi stary nasz znajomy *student*, któremu dał był, przed laty, naukę Mefistofel. Stał się on

idealistą i podaje powód do pewnych przycinków filozofii Fichtego. Wchodzimy potem do laboratorium Wagner'a. Ukończył właśnie dzieło ogromne—utworzył *homunculusa* (człowieczka) którego trzyma w butelce. Osobliwszą wcale jest ta oto scena; wyborną i charakterystyczną jest mowa Wagnera, co napuszony nauką, oświadcza że przestarczyły sposób generacyi stał się już próżnym i nie właściwym godności stulecia sławnego:

Wie sonst das Zeugen Mode war
Erklären wir für eitel Possen.

Dobry to może sposób dla zwierząt, ale człowiek, istota obdarzona takimi dary wysokimi, musi mieć koniecznie początek wyższy i szlachetniejszy.

Pokazuje się przecież, że *homunculus* jest tylko duchem i bardzo nieprzyzwoitym duchem, chce bowiem uczyć Mefistofela i prowadzić go wraz z Faustem na górę łysą pogańsko-klassyczną; widowisko sabatu tego zajmuje resztę aktu. Jest to *pendant* do sceny na górze Brocken w części pierwszej; ten przecież *pendant* ma minę *olla podrida*; są tu ułamki z rozmaitych lat, zmieszane razem, bez wielkiego zachodu, a bardzo ciemne. Przedstawiają one nieprzebrany temat dla komentatorów. Głównem zadaniem jest wystawienie Mefistofela jako postaci obcej tym zabytkom starożytności klassycznej. Bardzo humorystyczną jest nagana czarta nagości antycznej:

Zwar sind auch wir von Herzen unanständig,
Doch das Antike find' ich zu lebendig!

W scenie na górze Brocken (w części I) mamy czarodziejstwo germańskie; ideał niemiecki kobiecego wdzięku, w prostoduszności Małgosi. W tej zaś części *drugiej* mamy świat klassycznego supernaturalizmu i ideał grecki przyjemności kobiecej w Helenie. Akt trzeci zajmuje Helena; przedtém był on ogłoszony jako całość osobna; rozbił ten poemat ten Carlyle w Przeglądzie obcego piśmiennictwa (*Foreign Review*). Dosyć trafnie mówi on o nim, że „nie wyraża wcale tego, co zapowiada na tytule, a to do tego

stopnia, że zdaje się jakoby otaczała go tajemnica jakaś, nie tylko mogąca wydać się pobieżnemu czytelnikowi ciemną aż do urazy godności jego, ale nadto wyzywającą zarazem i niedocieczoną.“ Niepowinniśmy gniewać się na tę ciemność, jeżeli te kształty nieprzejrzyste noszą na sobie piętno wysokiego wdzięku; wszakże urna alabastrowa tyle może się nam podobać co naczynie z kryształu. Jakoż i Carlyle dodaje w końcu, że sens powierzchowny niezadawalnia czytelnika i gniewałoby to go bardzo, gdyby czas od czasu nie błyskało nam pewne światelko ukryte, zdradzające jakiś wielostronny i głęboki sens, tający się w głębi pomysłu Goethego, a zachęcający umysł badawczy do wyłuszczenia go coraz większego z téj jego obsłony mystycznej.“

Ale podczas kiedy odgrywam tu rolę przeciwnika poety, tak względem jego dzieła, jako i względem chwalców jego, nie mogę przecież pozwolić na to, aby kto pomyślał sobie, że nie wielbię „Heleny“ Goethego. Sam styl kunsztu wymaga do zupełnego powodzenia przymiotów, jakich zbywa właśnie Części drugiej Fausta; kaźden lubownik poezyi przyzna, że poezya i urok jój wiele tu ucierpiały. Ci, co lubią erudycję, wykłady, znajdą tu zapasy nieprzebrane; ci co lubią wiersze piękne, przeblyski duszy głębokięj, zastanawiającej się nad wszystkiem, znajdą tu takż powab nie mały dla siebie; ci jednak co otworzą dzieło to, w nadziei téj, że znajdą w niem arcytwór jakiś, oszukają się zapewne nie pomału; może znajdą się tacy, których zachwyci Helena, ściskająca się z Faustem, ale zostawiająca w uścisku tylko zasłonę swoją i suknię—rozpływając się sama w powietrzu—jako symbol tego, że połączenie się klassycznosci zamarłej z romantycznością żywą, musi wydać tylko znikomość samą. Poczucie téj prawdy ukrytej może kogo zachwyci, może kto napisze z tego powodu komentarz duży, ale pocałunek Małgosi wart zapewne więcej niż tysiąc podobnych allegoryj!

Niema potrzeby rozbierać dalej sztuki téj, tém wię-

cój, że w pozostałych dwóch aktach nie ważnego nie zachodzi. Faust rozpatrzywszy się w życiu ludzkim pod wielą rozmaitemi względami, zazdrości swobody wód morskich, i chce powstrzymać ich zapęd. Staje się starym, smutnym, zadumanym. Cztery stare baby, *Nędza*, *Zbrodnia*, *Niedola* i *Troska* objawiają mu się. Troska pyta go czy znał ją kiedy? Faust odpowiada jej: „przeszedłem świat cały, poznałem uciechę wszelką; tę co mię nie zadowalała odrzucałem, tę co uciekała odemnie nie goniłem wcale. Pożądałem i zadowalałem żądze moje; pożądałem znowu i tak przepłynął żywot mój, najprzód wielki i potężny, ale dziś biorę rzeczy rozumnie i trzeźwo. Znam dość życie, ale nie mam wyobrażenia jasnego o świecie przyszłym. Głupiec kto nie znając tego co będzie, wygląda go przecież ustawicznie i wyobraża sobie, że ponad chmurami znajdzie istoty jemu podobne. Niech stanie lepiej i opatrzy się w koło siebie; świat ten nie jest niemy dla człowieka co ma sens w głowie. Po co mu ubiegać się za wiecznością? Wszystko co może zbadać ma on w swojej dłoni.“ Są to wyrazy streszczające własną filozofię Goethego (wykazującą jak człowiek bez pomocy objawienia upada nisko, jak jest istotą nikczemną, chociażby obdarczony był umysłem wielkim)! Oto jest oryginał tego miejsca:

Thor! wer dorthin die Augen blinzend richtet,
Sich über Wolken seines Gleichen dichtet!
Er stehe fest und sehe hier sich um;
Dem Tüchtigen ist diese Welt nicht stumm.
Was braucht er in die Ewigkeit zu schweifen!
Was er erkennt, lässt sich ergreifen.

Faust nie chce uznać wszechwładności Troski; ona tchnęła na niego i uczyniła go ciemnym; jakkolwiek pozbawiony wzroku, postanawia przecież dokonać rozpoczętego dzieła. „Nuże dalej, woła, wyciągnij swe nogi olbrzymie, zabierz wszystko; wysuszyć tę kałużę burzliwą będzie dla mnie najwyższém powodzeniem. Odkryję przestrzeń na której miliony ludzi zamieszkać będą mogli, zapewne nie bardzo bezpiecznie, ale zawsze będą mogli żyć i działać. Tak, ser-

cem i duszą oddałem się temu zachceniemu memu; jest to ostateczne postanowienie mądrości. Ten tylko godzien jest wolności i życia, kto codziennie musi myśleć nad ich zdobywaniem; tak więc tu, otoczeni dokoła niebezpieczeństw, dzieciństwo, wiek męzki i starość kończą dni swoje. Chciałbym ujrzeć owe tłumy czynne, mieszkające na gruncie wolnym. Wówczas mógłbym zawołać: „Stój — jesteś piękna, chwilo!“ Ślad dni moich ziemskich nie zginąłby wtedy przez wieki całe. Przeczuwając tylko podobny stan błogosławieństwa, cieszę się już tą chwilą świętą!“ Takim sposobem wyrzekł do przechodzącej chwili „Stój jesteś piękna!“ Z tém umiera.

Venit summa dies et ineluctabile fatum.

Karjera Fausta skończona. O ile zadanie Fausta da się rozwiązać ogólniej niż to zostało było dokonaniem w części pierwszej, to rozwiązanie zostało wyrażonem w słowach umierającego: dusza niespokojna, doświadczywszy rozmaitych kierunków w usiłowaniach indywidualnych i w indywidualnych rozkoszach i nie znajdując w nich uspokojenia, zostaje ostatecznie przywiedzioną do uznania tej oto prawdy żywotnej, że człowiek żyje dla człowieka, i tylko o tyle, o ile pracuje on dla ludzkości całej, usiłowania jego mogą przynieść mu szczęście pewne.

Wiosna 1830 roku zastała Goethego w jego ósmdziiesiątym pierwszym roku pracującego nad Faustem, piszącego przedmowę do żywota Szyllera przez Carlyle'a i mocno zajętego sprzeczką filozoficzną, rozlegającą się na ówczas w Paryżu, sprzeczką toczoną pomiędzy Cuvier'em a Geoffroy St. Hilaire'm, w rzeczy jedności układu królestwa zwierzęcego. Zagadnienie to jedno z najważniejszych i najgłębszych ze wszystkich, jakie tylko zostały były zagajone w biologii; spoczywa ono w łonie wszelkiego poglądu na rozwój i zostało już było oddawna rozwiązaniem od Goethego, w tym samym właśnie duchu w jakim bronił go był obecnie Geoffroy St. Hilaire. Cieszył się bardzo, patrząc na to jak świat uczony brał się serio do rozwiąza-

nia zagadnienia tego. Anegdota, jaką podaje Soret w tomie dodatkowym do „*Rozmów Goethego z Eckermannem*,” jest bardzo charakterystyczna.

„W poniedziałek, 1 Sierpnia 1830 roku nowiny o rewolucyi lipcowej doszły dziś do Wejmaru i poruszyły sobą każdego. Po obiedzie odwiedziłem Goethego. „No, zawołał on, skoro wszedłem do pokoju, co myślisz o tym wypadku wielkim? Wulkan nareszcie począł wybuchać — wszystko gore!” Straszne wydarzenie! odpowiedziałem na to; ale czegoż innego można się było spodziewać w takich widocznie złych okolicznościach i pod takim ministeryum; tego tylko, że wszystko skończy się na wygnaniu rodziny królewskiej. „Nie zrozumieliśmy się, mój kochany przyjacielu, powiedział na to Goethe; nie mówiłem tu o narodzie francuzkim, ale o czémś inném wcale; mówiłem o sprzeczce tak ważnej w nauce, toczonj pomiędzy Cuvier'em, a Geoffroy St. Hilaire'm, która wybuchnęła nareszcie w akademii.“ Te słowa Goethego były tak niespodziane, że sam niewiedziałem, co miałem mu na nie powiedzieć; przez kilka minut byłem jakby odurzony. „Jest to rzecz największej wagi — mówił dalej — i nie możesz sobie wystawić co czulem dowiedziawszy się o posiedzeniu z 19 Lipca. Mamy więc teraz w Geoffroy potężnego i stałego sprzymierzeńca. Widzę jak wielkiem musiało być zajęcie całego uczonego świata francuzkiego w tój sprawie; bo, pomimo nawet wstrząśnienia politycznego, posiedzenie z 19 Lipca było bardzo liczne. Najlepszą przecież rzeczą z tego wszystkiego jest, że sposób syntetyczny zapatrywania się na przyrodzenie został tu użytym, za sprawą Geoffroy St. Hilaire'a; już go dłużej, spodziewam się, nie będą odrzucać, jak to było dotąd. Odtąd dusza będzie rządzić materyą w poszukiwaniach naukowych we Francyi. Wypłynąć z tego muszą koniecznie wielkie poglądy na stworzenie — pojmą nareszcie tajemnicze działanie boże w przyrodzie. Oprócz tego, co nada wszelkie paranie się z przyrodą, jeżeli będziemy tylko zajmować się częścią indywidualną i materyalną, a nie będziemy czuć tchnienia du-

cha, przepisującego każdej cząstce jęj właściwy kierunek, porządkując, albo uświęcając wszelkie odstępianie od normy wewnętrzzném prawém! Długo pracowałem nad tęp wielkiém zagadnieniem, bo pół wieku prawie! Najsamprzęd byłem tu sam, potęp znalazła się pomoc obca, a teraz nareszcie, ku wielkięj radości mojęj, zostałem przescigniętym przez pokrewne mi umysły.“

Ci co znają wielkie pojęcie przyrody, spoczywające w łonie nauki tęp o *Jednocię układu* (Unity of Composition), zapewne, odrzucając nawet samą tęp doktrynę, rozumieją urok jęj cały na dusze poetyckie. Istotnie inny wielki artysta, naówczas w zaraniu geniuszu i powodzenia swego, człowiek, co nie miał był wcale powołania naukowego i wiadomości specjalnych, a tylko posiadał samą miłość idei wielkich i chęć szczerą przeniknięcia w ducha przyrodzenia, został był takóz przyprowadzonym do wzięcia udziału w stronnictwie Geoffroy St. Hilaire'a. Mówię tu o G. Sandzie. Napisała ona była list do Geoffroy, wytłoczony tam, gdzieby go zapewne nikt nie myślał szukać (w *Histoire de la génération de l'homme par Grinaud de Caux et Martin de St. Ange*, Paris 1837 p. 430); list ten jest nadto ciekawym pomnikiem, abyśmy go mieli przejść tu milczeniem. Damy więc tu parę zeń wyjątków, aby je porównać z przytoczonymi wyżej myslami Goethego: „Je ne vous dirai point que vous avez vaincu la science et le génie de Cuvier, je dis seulement que j'ai peut-être assez bien compris la discussion pour savoir de quel côté se portent mes sympathies et ma confiance. En cela je ne crois pas être influencé par les bontés que vous avez eues pour moi; mais il y a quelque chose de plus grand, de plus hardi, de plus sincère et (permettez moi de parler la langue de ma profession) de plus poétique dans vos larges vues sur ce que nous appelons la création... Ce que je puis vous assurer c'est que l'oeuvre de vos sept jours est une pensée large et magnifique, et qu'elle jette à bas la genèse de Cuvier pour quiconque déteste le mesquin dans les arts. Mais pardonnez moi ces façons de parler; vous savez

que devant un tableau d'Apelle un cordonner ne vit que le soulier, et si jugea-t-il assez le soulier... Il y a déjà long temps qu'ayant non pas lu, mais entendu raisonner de vos idées dans le public, jem'étais tellement passionné pour votre nouveau plan de l'univers (!), que j'avais écrit quelques pages vraiment absurdes, comme peut l'être la traduction d'une langue qu'on ne sait point... Sur ce, pardonnez moi, M-r, d'être un disciple si indigne, mais sachez bien que je me prosterne devant les savants comme devant les pères spirituels du genre humain. Eux seuls entraînent les siècles, font avancer l'intelligence de notre race dans ses voies lentes et pénibles. Les hommes d'action marchent à leur suite sans le savoir, et subissant l'influence mystérieuse, font les lois humaines dans une sorte de rapport avec les lois divines pénétrées par les savants."

W tej myśli ostatniej G. Sand objawia te same właśnie wyobrażenia, jakie miał był Goethe, co do wyższej ważności, dotyczącej sprzeczki wynikłej pomiędzy Cuvier'em a Geoffroy St. Hilaire'm. Goethe nie poprzestał był na rozmowach o tém zagadnieniu, ale współcześnie z tém począł był pisać przegląd swój tej dysskusyi i wykończył, we Wrześniu, pierwszą część jego.

W Listopadzie dotknęła go była druga niedola — ostatnia już z tych jakie miał przenieść: doszły były go wieści, że jego syn, jednak, co niedawno udał się był do Włoch dla poratowania zdrowia, zmarł był w Rzymie 28 Października. Ojciec bolejący starał się był, wedle zwyczaju swego, przezwyciężyć wszelki wyraz wzruszenia i pokonać je wreszcie pracą nieustanną. Ale usiłowania jego, w tym względzie, okazały się były czczemi: to passowanie się z boleścią kosztowało go życia. Gwałtowny krwotok z płuc stał się następstwem tej walki wewnętrznej. Zwątpiono o życiu starca, ale jeszcze powstał był z choroby, aby na nowo wziąć się do pracy, dopełniając autobiografię swoją i pisząc dalej Fausta.

Otylia von Goethe, wdowa po synu jego, wielka faworytka starego, poświęciła się na uprzyjemnienie jego sa-

motności. Czytywała mu głośno Plutarcha, a książka ta, wraz z historią rzymską Niebuhr'a, przenosiła go w przeszłość klassyczną, w której duch jego błakał się jakby w kraju rodzinnym. Niezaniedbywał jednakże spóczesnego sobie okresu. Czytywał pilnie wszystko, co tylko napisali znakomitego nowi pisarze, a czytywał z rzetelnie młodzień-
czym zapalem. Tak czytał dzieła Berangera, Wiktora Hugo, Delavigne'a, Scotta i Carlyle'a. Odbierał hołdy Europy; dom jego często zdobiła obecność jakiego znakomitego gościa, pomiędzy którymi zawsze lubił być witać Anglików.

Carlyle, zachwycony mądrością i urokiem, jakie się mu objawiły były w obcowaniu z Goethem, powziął był myśl, aby niektórzy z wielbicieli poety tego w Anglii przesłali mu do Wejmaru mały dar jaki, jako oznakę swego dlań uwielbienia. Wróciwszy do domu pani Carlyle odrysowała pieczętkę do wyrznięcia; wyobrażała ona węża wieczności opasującego gwiazdę z temi oto wyrazami: *ohne Hast, ohne Rast* (bez pośpiechu, bez wytchnienia), stosując to do znanych powszechnie wierszy:

Wie das Gestirn,
Ohne Hast
Aber ohne Rast,
Drehe sich jeder
Um die eigne Last.

(Jako gwiazda, bez pośpiechu, ale też i bez wytchnienia, niech każdy obraca się około swego brzemienia). Piętnastu admiratorów angielskich złożyło się na zrobienie pięknej pieczęci, w oprawie złotej, na której było wycięto: Mistrzowi niemieckiemu od jego przyjaciół angielskich: 28 Sierpnia 1831 roku. Do tego daru był dołączony list następny:

Poecie Goethemu,

w dzień 28 Sierpnia 1831 roku.

„Panie! Pomiedzy przyjaciółmi, których rocznica ta zgromadzi w około ciebie, niechże i my twoi angielscy wielbicie, choć myślą i w symbolu, jeżeli niepodobna dla nas dokonać tego osobiście, złożymy ci nasze naj-

szersze pozdrowienia. Spodziewamy się, że nam uczynisz cześć tę i przyjmiesz od nas w dzień twoich urodzin drobny ten upominek, któren, będąc wyrazem uczuć naszych, nie będzie może w oczach twoich bez pewnej wartości.

„Powiedzieliśmy sobie tak: ponieważ to jest zawsze obowiązkiem najwyższym okazywać cześć tam, gdzie się należy cześć rzetelna, a wszelki mąż, co czynem i słowem zlewa na nas światło i mądrość, jest dla nas dobroczyncą największym; więcemy, niżej podpisani, czując dla poety Goethego szacunek, jako uczniowie dla swego mistrza duchownego, chcieliśmy wyrazić mu cześć naszą dla niego publicznie i wspólnie; na ten koniec postanowiliśmy prosić go o przyjęcie drobnego wiązania, pochodzącego w równej mierze od każdego z nas, w dzień nadchodzący jego urodzin; niech w czasie tym, kiedy mamy jeszcze pomiędzy nami tego męża szanownego, jakaś pamiątka wdzięczności, którą mamy dla niego, a którą chowa także dla niego świat cały, przypomina mu nas nieobecnych.

„Tak więc mały nasz haracz, może najczystszy z tych, jakie człowiek może złożyć człowiekowi innemu, staje obecnie widomie przed tobą i prosi, abys nim nie wzgardził. Oby był on ci przyjemnym i przypominał stale o tym związku ścisłym, jaki, pomimo morza i przestrzeni, łączy cię mistrzu z nami!

„Prosimy Boga aby wiele lat jeszcze przyłączyło się do żywota twego tyle sławnego, aby pomysłność wszelka przebywała z tobą, aby siły i zdrowie nie opuszczały ciała twego, gotowe zawsze wspierać cię w wysokich dziełach twoich, jak to było dotąd, kiedy jako gwiazda bez pośpiechu ale też i bez wytchnienia dźwigałeś brzemie swoje.

Pozostajemy, Panie, twoi przyjaciele i słudzy

Piętnastu Anglików.“⁵⁷⁾

⁵⁷⁾ Imiona tych Anglików są następujące, o ile mogłem się tego dowiedzieć. Carlyle i brat jego Dr. Carlyle, W. Scott, Lockhart, Wordsworth, Southey, Churchill, Frazer, profesor Wilson, Jerdan, Heraud, lord Leveson Gower i Procter (Barry Cornwall).

Uczucie w liście tym wyrażone, które kaźden łatwo odgadnąć może że pochodziło od Carlyle'a, a mianowicie cześć dla mistrza od ucznia duchowego, jest dowodem tego, że wpływ Goethego nie pozostał był bez owocu, że nawet w krajach odległych potrafiono ocenić wyższość dzieł tego poety nad inne dzieła pisarzy nowoczesnych; wyższość zawartą w przymocie poglądu głębokiego i sięgającego daleko.⁵⁸⁾

Hołd Anglików nadzwyczaj był miłym pocie, miał on bowiem osobliwsze współczucie dla Anglii i jęj synów. Pomiędy Anglikami mieszkającymi w Wejmarze w tym czasie był młodzian jeden, którego imie głośnie jest dziś wszędy dokąd tylko sięga literatura angielska; tym młodzianem jest William Thakeray; albumy wejmarskie dotąd jeszcze przechowują z dumą karykatury, jakie wówczas młody rysownik szkicować lubił. On to był tak dobry że mi podał materyał ciekawy ku przyozdobieniu dzieła mego wspomnieniami żywo dochowanemi w pamięci, a zawartemi w liście następnym:

Londyn, 28 Kwietnia 1855 r.

„Drogi Lewesie! Chciałbym szczerze mieć więcej daleko do powiedzenia Ci o Wejmarze i o Gothem. Dwadzieścia pięć lat temu grono młodzieży angielskiej lubiło mieszkać w Wejmarze dla nauki, zabawy i towarzystwa; wszyscy byli lubionymi i przyjmowanymi po przyjacielsku w małej stolicy księstwa saskiego. W. książę i W. księżna przyjmowali nas z największą gościnnością. Dwór był wspaniały, ale nadto, był jeszcze przyjemny i bez wszelkiej etykiety. Zapraszano nas po kolei na obiady, bale i zgromadzenia. Niektórzy z nas, co mieli prawo do tego, przybywali w mundurach wojennych albo dyplomatycznych; inni, co nie mieli do nich prawa, wymyślili byli sobie sami wspaniałe odzienie; stary, poczciwy marszałek dworu książęcego, von Spiegel, (co miał, pamiętam dobrze,

⁵⁸⁾ Ale niedosięgującego prawdy samęj. Poezya Słowian, oparta na wierze, dosięgnie jęj może.

dwie przesliczne córki) lubił bardzo wprowadzać nas na pokoje. Zimą najmowaliśmy sobie lektyki, w których noszono nas przez zasyпы śniegu do domów naszych znajomych i do dworu gościnnego. Ja z mojej strony miałem osobliwsze szczęście wówczas, zdarzyło się mi bowiem nabyć szpadę Szyllera, która składała część mego kostiumu dworskiego; szpada ta wisi dotąd w pracowni mojej i przypomina mi dni mojej młodości, dni uroczne i pogodne.

„Znaliśmy całe towarzystwo tego małego miasteczka; gdyby panny wejmarskie nie mówiły wszystkie wybornie po angielsku, moglibyśmy byli nauczyć się mówić dobrze po niemiecku. Widywaliśmy się z sobą ustawicznie. Panie dworskie miewały swoje wieczory. Na teatrze po dwakroć grywano na tydzień; tu takżeśmy się zbierali i tworzyli jakby jedno grono rodzinne. Goethe już się był usunął od dyrekcji teatru, ale pozostawały w nim jeszcze wielkie tradycje z owego okresu. Teatr był przedziwnie urządzony; oprócz wybornej trupy wejmarskiej przybywali jeszcze tu sławni aktorowie i śpiewacy z Niemiec całych, zajmowali *role gościnne* (Gastrolle, starring engagements) przez zimę całą. Mieliśmy zimy jedną Ludwika Devrient, występującego w Szyloku, Hamlecie, Falstafie i w Zbójcach; piękna pani Sreder grała w Fidelio.

„Po dwudziestotrzechletniej nieobecności, spędziłem parę dni letnich w dobrze znajomém mi miejscu i byłem dosyć szczęśliwym, by udało mi się wyszukać kilku przyjaciół z czasów młodości mojej. Pani Goethe była obecną i przyjęła mnie z córkami mojemi z uprzejmością jęj właściciwą. Piliśmy herbatę w ogrodzie obok sławnego domku, (Gartenhaus), należącym do dziś jeszcze do rodziny poety, w którym on lubił tak często przebywać.

„W 1831 roku, chociaż się był usunął od świata, przecież lubił był starzec sławny przyjmować u siebie obcych. Przy herbacie u synowej jego zawsze było miejsce dla nas. Spędzaliśmy tu godziny całe, spędzaliśmy wieczory przy muzyce i na wesołej pogadance. Czytywaliśmy powieści i poemata w językach francuzkim, angielskim i nie-

mieckim. Lubilem namiętnie wówczas rysować dla dzieci karykatury. Przyjemnie mi było słyszeć że pamiętano o nich, a niektóre z nich przechowały się były nawet do tego czasu, pyszniłem się tém będąc młodym chłopcem, kiedy mi mówiono że przeglądał je Goethe sławny.

„Przebywał stary poeta w swoich pokojach, gdzie go odwiedzali tylko jego najbliżsi przyjaciele; lubił jednak wiedzieć co się tu u nas działo w bawialni i interesował się cudzoziemcami. Jak tylko podobała się była jemu czyja fizyonomia, natychmiast osiadły w Weimarze artysta robił mu jój wizerunek.⁵⁹⁾ Goethe miał całą galeryę głów, wykonanych dwoma kolorami czarnym i białym, a zdjętych przez tego malarza. Cały dom jego był zawieszony malowidłami, rysunkami, ustawiony posągami, popiersiami, odlewami gipsowemi i medalionami.

„Ma się rozumieć że pamiętam to do dziś dnia żywo bardzo, jak byłem tém zmieszany, kiedy mając lat dziewiętnaście, otrzymałem oczekiwane od dawna zawiadomienie, że takiego to rana pan radzca tajny (Geheimrath) raczy mnie przyjąć. Audyencya ta odbyła się w małym przedpokoju jego prywatnego apartamentu; pokój ten był zawieszony odlewami z antyków i płaskorzeźbami. Poeta był przyodziany w długi surdut szaraczkowy, na szyi miał białą chustkę, a w pętlicy czerwoną wstążeczkę. Miał ręce założone na tył, zupełnie tak jak trzyma on je w posążku Raucha. Cera jego była bardzo zdrowa, biała i rumiana; oczy miał nadzwyczajnie ciemne, przenikające i świecące. Mięszało mię spojrzenie jego i przypominam to sobie, żem porównywał je wtedy do spojrzenia bohatera jednego z romansów owoczesnych, a mianowicie do spojrzenia *Melmotha wędrownego*, który nas tak przerażał wszystkich lat temu będzie trzydzieści. Ach były to oczy człowieka, co zaprzedał się był jednej osobie i zachował wzrok żywy do ostatniej starości swojej. Myślałem sobie, że Goethe

⁵⁹⁾ Widzieliśmy wyżej że A. Mickiewicz dostał był tej cześci.

(Przyp. tłum.)

musiał być być piękniejszym jeszcze w starości swojej niż kiedy był młodym nawet. Głos jego był mocny i przyjemny. Rozpytywał mnie o mnie samego, na co odpowiadałem jak tylko umiałem najlepiej. Przypominam sobie, że z początku byłem trochę zdumiony, ale potem ochłonałem jakoś z tego, kiedy spostrzegłem, że mówi po francuzku z niebardzo dobrym akcentem.

„*Vidi tantum*. Widziałem go tylko trzy razy. Raz przechadzając się w ogrodzie jego na *Frauenplan*'ie; drugi raz kiedy miał być wsiadać do powozu jednego dnia pięknego, a miał być na sobie wówczas czapkę i surdut z kołnierzem czerwonym. Pieścił się wtedy z ładną złotowłosą, małą wnuczką swoją, nad której główką anielską dawno już zieleni się murawa.

„Każden z nas, kto tylko miewał książki albo dzienniki z Anglii, posyłał je jemu i on je przepatrywał bardzo ciekawie. *Magazyn Frazer'a* (*Frazer's Magazine*) przyszedł nam był z kraju i poeta cieszył się bardzo temi wybornemi portretami, jakie umieszczały się w nim w początkach. Był tam jeden, pamiętam, straszna karykatura P. R., która, jak mi powiedziała pani Goethe, sprawiła na nim wrażenie przykre; zamknął był książkę i odsunął ją z nieukontentowaniem od siebie. „Chcieliby żebym wyglądał tak,“ powiedział; chociaż rzetelnie nie znałem nikogo tak pogodnym, wspaniałym i lepiej wyglądającym jak wielki, stary Goethe.

„Chociaż słońce jego kłoniło się już bardzo ku zachodowi, jednak niebo w około było spokojne i jasne, a mały Wejmar przybierał od niego wiele blasku i życia. W każdym salonie miasta tego mówiono zawsze o sztuce i książkach. Teatr, chociaż nie miał był wcale jakichś wielkich aktorów, był prowadzonym porządnie i rozumnie. Aktorowie czytali, byli ukształceni i przyzwoici, bywali dość dobrze przyjmowani od szlachty. U dworu rozmowy były bardzo przyjacielskie, nie wymuszone i grzeczne. Księżna (dzisiejsza księżna wdowa) pożyczała u nas książki, przysyłała nam swoje, i grzecznie, łaskawie rozmawiała z nami

młodymi chłopcami o naszych gustach i usposobieniach literackich, oraz o zamiarach naszych na przyszłość. W uszanowaniu, okazywaném od dworu względem patryarchy piśmiennictwa niemieckiego, było coś szlachetnego, myślę nawet że stosunek ten podnosił zarówno poddanego jak i księcia. Dziś po dwudziestopięcioletniem doświadczeniu żywota, jakiego nabyłem od tych lat szczęśliwych, o których napomykam teraz, po znajomościach najrozmaitszych uczynionych po świecie, myślę, że nigdzie nie widziałem towarzystwa mniej wymuszonego, więcej szczerego, serdecznego, grzecznego, z większą umiejętnością żyć z ludźmi jak w tém oto kochaném miasteczku saskiém, w którym żyli i zostali pochowani Szyller poczciwy i wielki Goethe.

Szczery pański

W. M. Thakeray.“

Świadectwo Thakeray'a nietylko potwierdza się tém, com słyszał w tym względzie od innych, ale nawet da się ono zastosować dziś do Wejmaru, w którym angielscy turyści są przyjinowani od W. księcia i księżnej z tą samą łaskawością i wdziękiem takim, jaka cechowała panujących przeszłego pokolenia; czuć tu takoz wszędzie tradycyę żywą okresu Goethego.

Wracając do Goethego, powiedziec przychodzi, że ostatni jego sekretarz Kräuter, który zawsze odzywał się o nim z uwielbieniem, opisuje jego czynność nawet w tym podeszłym wieku, jako przechodzącą pojęcie ludzkie. Oprócz tego zajmował się systematycznie. Był pewien czas dnia przeznaczonym u niego na korespondencyę; potem porządkował papiery swoje, albo dopełniał oddawna rozpoczęte dzieła. Jednego pięknego poranku, mówił mi Kräuter, Goethe odezwał się do niego: „Chodź, porzućmy to dyktowanie, szkoda tak pięknej pogody, warto jest ję zażyć; pójdziemy do parku i tam coś zrobimy. Kräuter zabrał książki potrzebne i papiery i udał się za poetę, który w długim swoim surducie granatowym, w takiéjże czapce

na głowie, z rękami założonemi jak zwyczajnie z tyłu, szedł przed nim wyprostowany i wspaniały. Ci co pamiętają posążek Raucha, łatwo wyobrażą sobie postać poety starego; ale nie potrafią oni wystawić sobie efektu tój głowy Jowiszowój, która przy tём zdarzeniu zatrzymała była nawet uwagę starego jednego wieśniaka i tak go była zajęła sobą, że ten kładąc ręce na rydlu, a na nich opierając brodę swoją, patrzył długo, długo w zadumaniu na tę postać wyniosłą i tak się zapomniał, że nie ustąpił nawet z drogi, ale stał, patrząc nieruchomie, podczas kiedy Kräuter musiał być ustąpić na bok, aby przejść swobodnie.

Mówią zwykle, że Goethe nie okazywał wcale w powierchowności swojej zwykłych wskazówek wieku późnego; jest to przecież przesadą, jaką dopuszcza tylko mowa potoczna. Umysł jego przechował do ostatniej chwili jasność i działalność, jak wiemy już o tём; istotnie, człowiek co napisał rozprawę o pracach Cuvier'a i Geoffroy St. Hilaire'a, co dopełnił Fausta w 82 roku żywota swego, może zająć wysokie miejsce pomiędzy Nestorami wieków. Obowiązkiem jest jednakże życiopisa wspomnieć o tём, że tak w jego umysłowości, jak równie i w ciele Goethego zdradzał się starzec. Słuch jego widocznie tępiał; pamięć jego o zdarzeniach najnowszych była bardzo niepewną; wzrok tylko zachował mocny i miał zawsze apetyt dobry. W ostatnich latach życia objawiał osobliwszą sprzeczność z upodobaniem młodości swojej: oto lubił bardzo powietrze ściśnione zamkniętego pokoju, jak dawniej lubił powietrze świeże. Nie można go było namówić, dla oświeżenia powietrza, aby pozwolił kiedy otworzyć okno mieszkania swego. Nie lubiąc nigdy chłodu i tęskniąc do ciepła jak dziecko południa, przesiadywał zwykle w tak napalonych pokojach, że to nieraz stawało się potём powodem do przeziębienia i kataru. Na wsi jednak lubił zawsze być na wolném powietrzu; osobliwie zdrowém było dla niego powietrze górskie Ilmenau. Do Ilmenau uciekł był, aby uniknąć uroczystości gotujących się z powodu ostatniej

rocznicy urodzin jego. Wszedł był na wierzchołek Gickelhahnu i zajął był do domku leśnego, w którym tyle dni szczęśliwych spędził był niegdyś z Karolem Augustem. Znalazł był tu na ścianie napisane kiedyś przez siebie ołówkiem wiersze:

Ueber allen Gipfeln
Ist Ruh,
In allen Wipfeln
Spürest du
Kaum einen Hauch;
Die Vögelin schweigen im Walde.
Warte nur, balde
Ruhest du auch.

Ocierając łzy z oczu, łzy obudzone przypomnieniem Karola Augusta, Karoliny von Szejn i swojej własnej młodości szczęśliwej, powtórzył był wiersz ostatni: — Ja — warte nur, balde ruhest du auch. (Ach! tak! zaczekaj chwilę i ty także spocznieś sobie.)

Spoczynek ten był bliższym daleko niżby się kto tego mógł spodziewać. 16 następnego miesiąca Marca, wnuk jego Wolfgang, przychodząc, jak zwykle, do pokoju jego na śniadanie, znalazł go w łóżku. Wigilią, przechodząc z napalonego mocno pokoju swego do ogrodu zajął się był; lekarz znalazł go w stanie gorączkowym; była to tak zwana w Wejmarze gorączka nerwowa, działająca jakby zaraza. Z pomocą lekarstw, ku wieczorowi miał się lepiej, zaczął mówić wiele, był wesół. 17 Marca o tyle już miał się być lepiej, że podyktował długi list do Wilhelma Humboldta. Wszelka myśl o niebezpieczeństwie ustąpiła była całkiem. Ale w nocy (19) zasnawszy mocno, obudził się około północy, czując chłód przenikliwy w rękach i w nogach, przy tém ból i ściśnięcie w piersi. Niechciał był budzić lekarza, mówiąc, że w tém nie było nic niebezpiecznego, tylko dolegało go mocno. Ale kiedy rano nadszedł był lekarz, znalazł wielką i straszną zmianę w chorobie. Zęby dzwoniły od ziębienia; ból w piersi obudzał jęk w chorym; czasami krzyczał głośno. Nie mógł uleżyć na jednem miejscu, ale ruszał się ustawicznie w łóżku starając się

znaleść wygodniejsze miejsce. Twarz jego posiniała była; oczy zapadły głęboko; były mętne, a spojrzenie takie, jakie mają zwykle ci, co przeczuwają śmierć bliską. Po chwili ustąpiły nieco te symptomata straszne; przeniesiono go z łóżka do wygodnego krzesła, stojącego u węzłowia. Tu ku wieczorowi zrobiło mu się lżej, uspokoił się widocznie, zaczął mówić wyraźniej i z zajęciem o potocznych rzeczach; osobliwie rad był z tego, że wstawienie się jego za pewnym artystą młodym, jego protegowanym, było skuteczne; drżącą ręką podpisał był papier urzędowy, zabezpieczający pensję artystce, młodej wejmarce, którą się opiekował.

Następnego dnia, zbliżenie się śmierci było widoczne. Bolesci przeszły były, ale zmysły jego poczęły go były opuszczać i były chwile, w których stawał się nieprzytomny. Siedział spokojnie w krześle, mówił czule do otaczających go i kazał był przynieść sobie dzieło *Salwandy'ego* — *Seize Mois, ou la révolution et les révolutionnaires*, które zaczął był czytać, kiedy miał zasłabnąć; ale sprobowałszy czytania, położył książkę, czując się zanadto chorym do tego. Kazał następnie przynieść sobie spis wszystkich osób, które dowiadywały się o zdrowie jego; rozrzewniło go takie widoczne a powszechne w mieście okazywane mu współczucie; postanowił niezapomnieć o niem za wyzdrowieniem swoim.

Następnego poranku — było to 22 Marca 1832 roku — wstał i chciał przejść się po pokoju; ale przeszedłszy raz, poczuł że mu brakło sił i usiadł na szezlongu; rozmawiał z Otylią o zbliżającej się wiosnie, która niechybnie miała mu przywrócić zdrowie. Nie przeczuwał tego, że zgon jego jest tak blizkim.

Często wspominał Otylię; siedziała u jego łoża statecznie, trzymając rękę jego w swoich obu dłoniach. Spostrzeżono, że począł bredzić. „Popatrz, wołał, na tę głowę niewieścią, tak uroczą, z temi czarnemi włosów pierścieniami; jaki koloryt śliczny, jak się odbija on wybornie na tém tle ciemném!“ Zobaczył kawałek papieru na ziemi i po-

łajał, że pozwalają na to, aby listy Szyllera tak się walały po ziemi. Potém usnął spokojnie, a obudziwszy się, rozpytywał o szkice, które tylko co widział — szkice, które się mu we śnie były objawiły. W niemój niespokojności wyglądano skonu, który tak widocznie zbliżał się do starca-artysty. Mowa jego coraz więcej stawała się niewyraźną. Ostatnie wyrazy poety, które rozumiano, były: *mehr Licht!* (więcej światła!). Ciemność ostateczna otaczać go poczęła, a on, co przez cały swój żywot dążył był do powiększenia światła, wołał na rozstaniu swoim z ziemią o światło, o więcej światła, kiedy pomroka śmierci brała go już w objęcia swoje.

Znakami jeszcze chciał się być dać zrozumieć, pisząc palcem litery w powietrzu, dopóki mu tylko sił starczyło, aż nareszcie, kiedy ostatnia kropla życia miała wypłynąć, już tylko kreslił palcem po szalu rysy jakieś, który przykrywał go na posłaniu. Po wpół do pierwszej pochylił się na szezłagu. Czuwający około łoża, położywszy palec na ustach, dał znać, że usnął. Usnął rzetelnie, ale był to sen ostatni, sen, w którym życie opuściło ciało, a dusza poety świat nasz; nie obudził się już więcej ze snu tego!

(Jakże smutne wrażenie na katoliku robi ten oto skon Goethego; do ostatniej chwili widzimy w nim artystę tylko; ani razu nawet nie przypuścił on myśli o śmierci, ani na chwilę nie zastanowił się nad przyszłością, co czeka człowieka po za grobem! Żadna myśl religijna nie rozpromieniła, nie pocieszyła i nie pokrzepiła ducha jego. *Więcej światła!* wołał konając. O! rzetelnie potrzeba było więcej daleko światła współczesnemu Goecie okresowi ludzkości, osobliwie w Niemczech, co ubóstwiły były człowieka, jakby w czasach polyteizmu pogańskiego. *Więcej światła!* W tym wykrzyku duszy, passującej się ze śmiercią, brzmi coś takiego co rozdziera do samej głębi serce nasze! A też znaki, któremi chciał był on coś wyrazić, w tych chwilach, w których dusza ludzka stoi już na progu życia wiecznego! W tej chwili uroczystej, w której nieraz duch proroczy przemawia skrzepłemi usty konającego, Goethe chciał

był koniecznie wypowiedzieć swoim najbliższym jakąś naukę, czy przestrożę, ale nie dano mu było dokonać tego. Tajemnica świata nadziemskiego nie miała nigdy wyrwać się mu z piersi rozrzewnionej — ostatniem słowem religii jego miało być pozostać to wyznanie materyalizmu:

Thor! wer dorthin die Augen blinzend richtet!

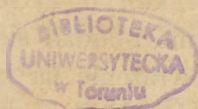
.....
.....

Was braucht er in die Ewigkeit zu schweifen!

Was er erkennt lässt sich ergreifen.

W tym skonie objawia się najdobitniej nędza choćby najpotężniejszego ducha ludzkiego, kiedy ten wzgardzi objawieniem, a jak dziecko słabe chce iść koniecznie o swoich siłach drobnych!)

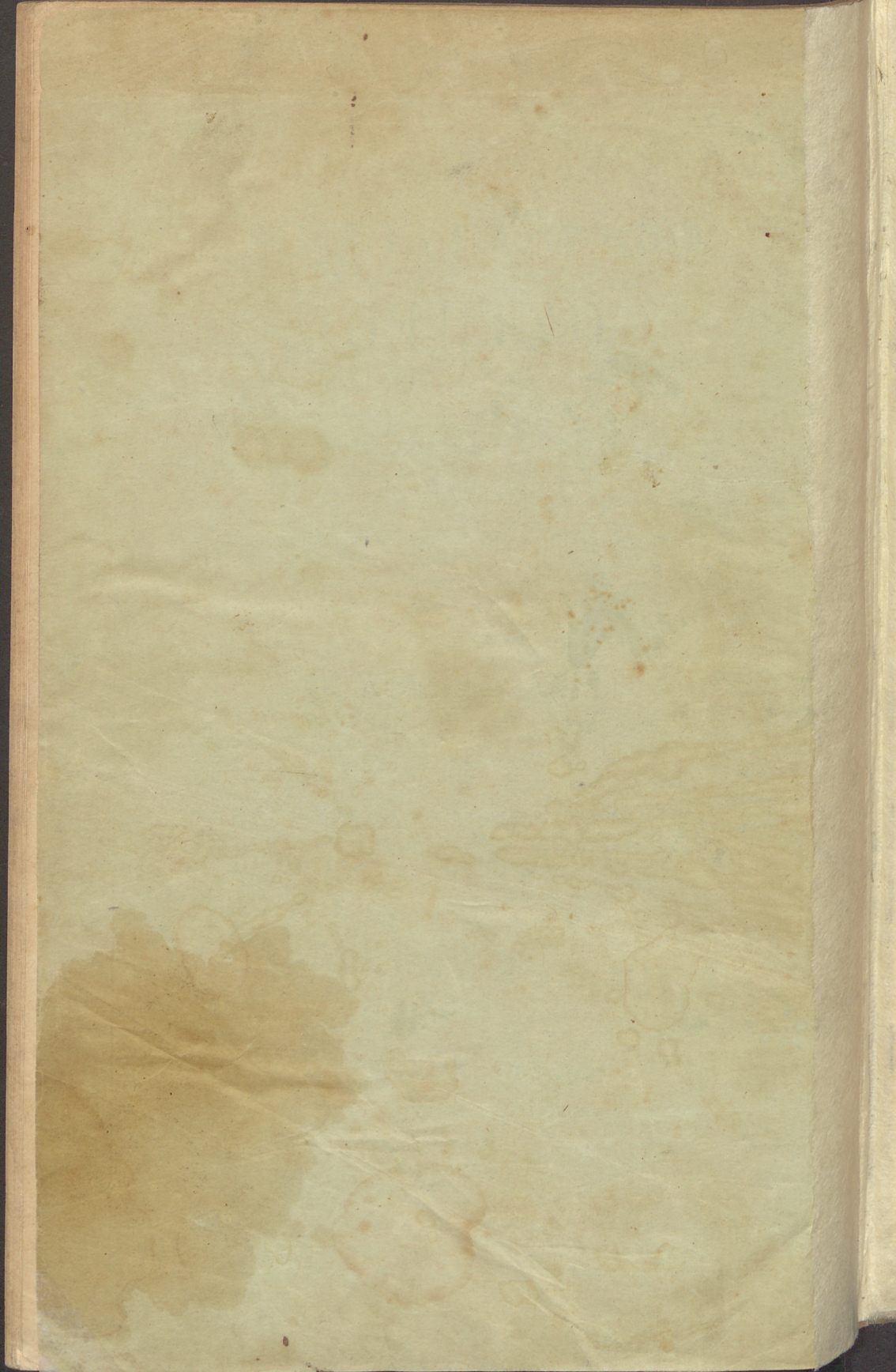
K O N I E C .



ZNACZNIEJSZE POMYŁKI DRUKARSKIE.

Str.	wiersz.		zamiast.	czytaj.
4	11	z góry	Sultz	Lutz.
5	9	"	Kraze	Krause.
17	8	"	Polithystora	Polihystora
—	—	"	Izagoga	Izagogi.
18	17	"	Elpenar	Elpenor.
28	13	"	Bela	Bayle'a.
30	6	"	Wolfganda	Wolfganga.
37	12	z dołu	Primzora	Primroza.
49	10	"	Vulpinsa	Vulpiusa.
78	7	"	objaśnień	objawień.
85	14	"	szpadę	szpadę.
88	19	z góry	się przekonać	cię przekonać.
92	10	"	Elwira	Elmira.
101	16	"	Baumgarten i Crnsius	Baumgarten-Crusius.
114	11	"	droczyć	dręczyć.
133	16	"	w Piemoncie	w Pymoncie.
159	9	"	i wszystko	i wszystkiego.
166	18	z dołu	w Apol	w Apolda.
179	14	"	(1784)	(1783).
187	6	"	Vicenza	Vicenza.
240	3	z góry	principer	principium.
—	—	"	folcorum	foliorum.

Uwaga. Zamiast Merck wszędzie czytać należy Merck. W numeracyi przypisków t. II zaszyły pomyłki następujące: przypisek na str. 316 oznaczony jest cyfrą 19 zamiast 18, jakby wypadło trzymając się właściwej kolei; po nim następuje, na str. 325 przypisek 18 (zamiast 19), dalej 19 (zamiast 20) i t. d.; z tym samym błędem aż do końca, z wyjątkiem przypisku na str. 408, oznaczonego cyfrą 39, zamiast porządkowej 34 (właściwie 35).



321425

45-

7/22/21950

